PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY TRZECI. — TOM XCII.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1906.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1906

TEORYA PARALLELIZMU PSYCHOFIZYCZNEGO[1].

Do kwestyi w dzisiejszej psychologii i filozofii może najbardziej roztrząsanych i spornych należy problem wzajemnego stosunku duszy i ciała. Parallelizm, czy też oddziaływanie wzajemne? — z tem pytaniem zwraca się nauka do każdego myśliciela. O zupełnem jednak porozumieniu się na tym punkcie, dziś jeszcze ani myśleć nie można; owszem, nie tylko pojmowanie problemu samego, ale także jego dalsze rozwinięcie, jego wartość, jego szersze lub ciaśniejsze znaczenie i uzasadnienie przybiera u każdego niemal pisarza inną formę. Prócz tego łączy się tę kwestyę nie tylko z faktami czysto doświadczalnymi, ale także z przekonaniami, jakim autor w teoryi poznania i w metafizyce hołduje, z przekonaniami objawiającemi się naturalnie w najrozmaitszych kształtach. Trudno byłoby doprawdy znaleźć dwóch autorów zgadzających się zupełnie w tej kwestyi.

Skoro więc umysły i przekonania dzisiaj na przeciwnych

[1] Artykuł niniejszy był już ukończony przed ukazaniem się pracy ks. Stanisława Kobyłeckiego T. J. o postulatach psychologii doświadczalnej w *Przeglądzie Powszechnym*, gdzie autor w piątej części także omawia parallelizm psychofizyczny. Ponieważ ta praca mówi o parallelizmie tylko o tyle, o ile jest postulatem psychologii doświadczalnej, my zaś tę teoryę omawiamy głównie z punktu historycznego i filozoficznego, pozwalamy sobie naszą pracę uważać niejako za uzupełnienie znajdujących się tam uwag o parallelizmie metafizycznym. Tam widzimy, że parallelizm empiryczny jest koniecznym postulatem psychologii; tu, że parallelizm metafizyczny jest nieuzasadnioną teoryą.

zupełnie stoją biegunach, nie może być naszem zadaniem łagodzenie wspomnianego sporu. Jedynie dalszy rozwój myśli filozoficznej, wyciąganie ostatnich konsekwencyi z tejże teoryi, może doprowadzić do spokojnego, objektywnego sądu i do sprawiedliwej oceny jednej i drugiej teoryi. W niniejszej pracy mamy więc na oku cel czysto informacyjny. Chcemy na pierwszem miejscu zobaczyć, jaki jest początek i rozwój historyczny tego problemu w dziejach nowożytnej filozofii, następnie przypatrzymy się dowodom, jakie paralleliści na poparcie swej teoryi i przeciw wzajemnemu oddziaływaniu przytaczają, a wreszcie dołączymy niektóre uwagi o wartości filozoficznej tejże teoryi.

Naprzód atoli trzeba powiedzieć, co wogóle należy rozumieć pod nazwą teoryi parallelizmu psychofizycznego? W celu wstępnego określenia punktu spornego pominiemy wszystkie szczegółowe różnice u pojedynczych autorów, podnosząc jedynie cechy wszystkim wspólne i właściwą tej kwestyi istotę.

Jest to rzeczą każdemu wiadomą, że doświadczamy ciągle rozmaitych wydarzeń wewnętrznych, psychicznych i że tym wydarzeniom odpowiadają rozmaite stany lub zmiany fizyologiczne w naszem ciele. Jeżeli np. mam jakieś spostrzeżenia wzrokowe, akt ten widzenia, jako akt świadomy, jest wydarzeniem psychicznem. Lecz zarazem fale eteru dochodzące do siatkówki podniecają nerw wzrokowy i. to podrażnienie nerwu, dochodzące przez rozliczne ośrodki nerwowe aż do kory mózgowej, jest zmianą fizyologiczną naszego ustroju. Przy każdem uczuciu radości zmienia się puls, serce bije żywiej, oko ożywia się, a oblicze się rumieni i wygładza. Każdej myśli mojej towarzyszą obrazy fantazyi; przy usilnej pracy umysłowej obieg krwi się zmienia, a doświadczenia psychofizyczne pokazują, że nawet najmniejsza czynność umysłowa, jak zwracanie uwagi na pewien przedmiot, dodawanie lub odejmowanie liczb i t. p., wywołuje zmiany w rytmie naszego pulsu, a więc i w całym systemie fizyologicznym. Nasuwa się więc pytanie: w jakim stosunku stoją te zjawiska do siebie? Czy zewnętrzna podnieta, drażniąca siatkówkę, jest przyczyną sprawczą tego, że poznaję odwiedzającego mnie przyjaciela i że uczucie radości mnie napełnia? Innemi słowy: czy wydarzenia fizyo-

logiczne mogą przez oddziaływanie sprawcze wywołać zjawiska psychiczne i naodwrót, lub czy może takie oddziaływanie wzajemne wcale nie istnieje? Parallelizm odpowiada na pierwszą część pytania przecząco. Wydarzenia jednego szeregu, nie wywołują wydarzeń szeregu drugiego, lecz idą tylko równolegle do drugiego. Wzajemność oddziaływania sprawczego między obu szeregami nie istnieje, jest nawet wprost niemożliwą.

Parallelizm psychofizyczny zatem, pojęty w swej formie najogólniejszej, jest to teorya, która, wykluczając wzajemne oddziaływanie sprawcze zjawisk fizycznych lub fizyologicznych i psychicznych, przypuszcza jedynie czystą równoległość obu form zjawiskowych.

Oto jądro problemu. Rozmaite zaś formy parallelizmu poznamy dokładniej, przypatrując się historycznemu rozwojowi tej kwestyi.

I. Początek i rozwój historyczny parallelizmu.

Teorya parallelizmu ma swe początki we filozofii Kartezyusza. Jego punktem wyjścia jest, jak wiadomo, powszechne wątpienie. Wśród burzliwych fal skeptycyzmu widzi tylko jeden punkt pewny, t. j. że istnieje i że myśli. Myśl zaś obejmuje wszystko, o czem podmiot się upewnić może, bez niebezpieczeństwa iluzyi, o czem może mieć jasną świadomość. Zatem i zjawiska fantazyi i wrażenia zmysłowe należą do dziedziny myśli, lecz tylko o tyle, o ile mają swe początki w duszy. Przyczyną zaś zjawisk nie będących aktami świadomości nie jest dusza, lecz ciało. A ciało jest li tylko materyą rozciągłą z którą pewna ściśle oznaczona ilość energii kinetycznej niejako zewnętrznie jest połączona. Czynności więc życia wegetatywnego i sensytywnego są skutkami sił czysto mechanicznych i wynikają z koniecznością mechaniczną z układu i wzajemnego stosunku pojedynczych cząstek organizmu.

Z tych zasad wynika charakterystyczna cecha psychologii Kartezyusza: ona tworzy zupełny rozdział i cał-

kowity kontrast między duszą a ciałem. Dusza jest tylko *res cogitans*, ciało tylko *res extensa*.

Jakże więc tłómaczy Kartezyusz to ścisłe połączenie duszy z ciałem, o jakiem nas poucza doświadczenie ustawiczne? Dusza, odpowiada K., siedzi w szyszce i styka się tam z duchami żywotnymi, za pomocą których kieruje ruchami organizmu.

Oczywiście nie jest to żadnem wyjaśnieniem poruszonej trudności. Przepaść, jaką K. stworzył między duszą i ciałem, była zbyt wielką i głęboką, ażeby ją był mógł zapełnić kilku słowami. Dusza i ciało właściwie nie mają nic wspólnego ze sobą; mamy zatem już tu rodzaj parallelizmu, którego Kartezyusz sam wytłómaczyć nie mógł. Następcy jego atoli nie chcieli i nie mogli się zadowolić tak niejasnem położeniem; należało koniecznie znaleźć jakąś odpowiedź: parallelizm przybiera o wiele wyrazistsze kształty u okazyonalistów z jednej, u Spinozy z drugiej strony.

Pierwsi, jak De la Forge, Geulincx i Malebranche, nie widząc możliwości wzajemnego oddziaływania, uciekają się do wszechpotęgi Bożej, podczas gdy Spinoza rozwiązuje trudność usuwając ją zupełnie. Stosunek dualistyczny między duszą a ciałem u Kartezyusza i okazyonalistów, zamienia się u niego w identyczność. Według niego niema substancyalnej różnicy rzeczy; Bóg jest jedyną substancyą obejmującą wszystko, jako swoje modyfikacye. Jak więc w Bogu są dwa istotne przymioty rozciągłości i idei, tak i w każdem ciele i człowieku są dwie strony, jedna fizyczna, druga psychiczna, łączące się atoli w jednę i tę samą istotę. *Mens et corpus unum idemque sunt individuum, quod iam sub cogitationis, iam sub extensionis attributo concipitur.* Wynika więc z tej nauki powszechny parallelizm między światem materyalnym a światem psychicznym. Tak stał się Spinoza ojcem dzisiejszego parallelizmu monistycznego.

Według Spinozy każde ciało ma swoją ideę czyli duszę. Ponieważ zaś ciało ludzkie składa się z licznych ciał mniejszych, więc wynikałoby z tego, że w człowieku znajduje się tyle dusz ile jest atomów. Spinoza nie zwrócił uwagi na tę konsekwencyę swej doktryny; krok ten dalszy uczynił Leibniz w swej monadologii.

Zdaje się, że dla Leibniza, punktem wyjścia były trudności, jakie napotkał w kwestyi o wzajemnem oddziaływaniu istot. Nie mogąc sobie wyobrazić jakiegokolwiek wpływu fizycznego jednego ciała na drugie, rozkłada świat na nieskończoną ilość istot pojedynczych, duchowych, zdolnych do czynności psychicznej i samorzutnej. Ciało jest agregatem monad nie mających świadomych wyobrażeń, najdoskonalszą w tym agregacie monadą jest dusza. Zgodność zaś pomiędzy przebiegiem naszych myśli, wyobrażeń i uczuć a ruchami ciała polega jedynie na harmonii z góry przez Boga ustanowionej *(consentement préétabli)*. Parallelizm Leibniza jest więc po części dualistyczny, po części monistyczny. Jest dualistyczny, jeżeli się bierze pod uwagę całego człowieka lub wogóle istotę żyjącą; jest monistyczny w pojedynczych monadach. Jest on dalej spirytualistyczny, gdyż tylko istoty i zjawiska psychiczne są rzeczywiste; jest niewspółrzędny (*Subordinationsparallelismus* Hartmanna), gdyż oba szeregi nie posiadają równej wartości; jest wreszcie powszechny, bo obejmujący świat cały.

Obok tego kierunku realistycznego w nowszej psychologii także filozofia idealistyczna bierze swój początek od Kartezyusza. Ona to wytworzyła nową formę parallelizmu, formę idealistyczną, dziś prawie powszechnie panującą. Kartezyusz, Locke, Berkeley, Hume, Kant i jego następcy: oto szereg idealistyczny w nowożytnej filozofii.

Jak widzieliśmy, istnieje dla Kartezyusza najpierw tylko dusza, to myślące ja. Wprawdzie przyjmuje także istnienie świata materyalnego, lecz ponieważ między ruchami ciał a naszemi pojęciami niema żadnego podobieństwa, więc ciała nie mogą realnie działać na duszę. Stąd wynika z koniecznością, że znamy tylko nasze pojęcia. Oto punkt wyjścia dla idealizmu. Kartezyusz zachował jeszcze pojęcie substancyi materyalnej; Locke przekształca je już w zbiór pewnej liczby prostych idei, podkopując w ten sposób samo pojęcie substancyi; Berkeley odrzuca wprost nieznane nam podścielisko własności materyalnych i zatrzymuje tylko istnienie substancyi duchowej, stając się w ten

sposób twórcą powszechnego imateryalizmu czyli fenomenalizmu; Hume odrzuca także »nieznaną podporę pojęć«, zwaną duszą substancyjną i wykłada psychologię bez duszy, psychologię aktualistyczną, według której dusza jest tylko sumą naszych wydarzeń psychicznych; Kant wreszcie wykazuje w krytyce czystego rozumu, że nawet w tych aktach rzeczywistego bytu poznać nie możemy, że wszędzie, czy w świecie materyalnym czy psychicznym, byt *(Das Ding an sich)* dla nas jest niepoznawalny. Oto w krótkich słowach głęboki, brzemienny w konsekwencye przewrót w nowożytnej filozofii.

Wprawdzie idealiści nie zajmowali się naszą kwestyą, lecz przygotowali grunt dla następnych pokoleń. Dopiero kiedy Schelling przyznał przyrodzie równie uprawnione miejsce obok świata duchowego, kwestya o wzajemnym stosunku duszy i ciała stała się znowu aktualną.

Pomiędzy zwolennikami Schellinga należy się Fechnerowi zasługa, że po raz pierwszy nasz problem jasno sformułował. Jego pogląd na stosunek duszy do ciała jest w gruncie rzeczy parallelizmem monistycznym, bardzo pokrewnym z poglądami Spinozy, lecz przedstawionym w szacie idealistycznej. Według Fechnera niema żadnego ciała bez duszy, ale także niema żadnego zjawiska psychicznego bez strony fizycznej. Jak Bóg jest duszą świata, obdarzoną pełnością świadomości, tak świat jest ciałem Boga. W szczególności u człowieka procesy w mózgu i w nerwach są identyczne ze zjawiskami psychicznemi. Wprawdzie oba zjawiska przedstawiają się nam w sposób zupełnie odrębny, tak, że jednych do drugich sprowadzić nie możemy, mimo to, są one tylko rozmaitemi stronami tej samej istoty, pokazującej się nam jużto w ten, jużto w inny sposób. Fechner nie rozwinął ani nie uzasadnił dokładniej swego parallelizmu; zamiast jasnej udowodnionej doktryny podaje nam znane i powtarzane często porównanie z wklęsłą i wypukłą stroną łuku kołowego.

Dokładniejsze, systematyczne uzasadnienie tej teoryi należy dopiero do najnowszych czasów.

W roku 1889—1893 wyszło z druku drugie wydanie »Logiki« Sigwarta. Czcigodny, niestety w przeszłym roku zmarły

autor dodał w drugim tomie nowy paragraf (97 b), w którym traktuje »o indukcyi na polu psychologicznem i o jej podstawach«. Po ogłoszeniu tych właśnie uwag wszczęła się, jak twierdzi Wentscher (*Zeitschr. f. Phil. u. phil. Kritik*, t. 116, str. 103), walka o parallelizm psychofizyczny. Sigwart powiada tam: »W szczególności ogólne podstawy badania empirycznego usprawiedliwiają to przypuszczenie, że pomiędzy zjawiskami w świadomości a zewnętrznemi zmianami istnieją stosunki przyczynowe, natomiast ani pojęcie przyczynowości ani zasada zachowania energii nie domaga się teoryi parallelizmu psychofizycznego, a wypływające z tejże teoryi konsekwencye wprost ją wykluczają«. (*Logik* II² 518. II³ 527).

Sigwart dołącza bardzo gruntowny rozbiór zasady przyczynowości i prawa zachowania energii i wykazuje, że wzajemne oddziaływanie między duszą a ciałem tym prawom bynajmniej się nie sprzeciwia. Jakkolwiek według niego przyznać należy, że wytłumaczenie dokładne, naukowe tego wzajemnego stosunku na niemałe wprawdzie natrafia trudności, jednak nie na przeszkody zasadnicze. Ponieważ zaś z drugiej strony zjawiska życia psychicznego z pewną koniecznością nam to przekonanie o wzajemnym stosunku przyczynowym nastręczają, wolnoby było jedynie wtedy to zdanie odrzucić, jeżeliby ono naprawdę niepokonalne trudności i sprzeczności w sobie zawierało. Lecz tak nie jest; owszem, parallelizm będący już sam w sobie teoryą zupełnie hypotetyczną, prowadzi do sprzeczności nierozwiązalnych. Jeżeli się go pozostawia własnym jego konsekwencyom, doprowadza on do zadań nie dających się wykonać; w przeciwnym razie sam się podkopuje; zaprzecza fundamentalnemu w życiu ludzkiem faktowi chcenia i woli, czyni wszelki duchowy stosunek między ludźmi, wszelkie owoce kultury i życia społecznego niezrozumiałemi zagadkami i wyrzeka się z góry możliwości prawdziwej nauki psychologii.

Odpowiedź na te badania Sigwarta dał Wilhelm Wundt w X i XII tomie redagowanego przez siebie pisma *Philosophische Studien*. G. Heymans wydrukował następnie w *Zeitschrift für Psychologie und Physiologie der Sinnesorgane* t. 17, str. 62 nast.

krytyczny rozbiór rozlicznych pism, ogłoszonych w tym czasie ze stanowiska przeciwnego.

Roku 1898 wystąpił także Paulsen w nowem wydaniu swego »Wstępu do filozofii« w obronie parallelizmu i ogłosił odtąd cały szereg odnośnych artykułów w *Zeitschrift f. Phil. u. phil. Kritik.* W tym samym roku miał Rehmke, prof. filozofii w Greifswaldzie, jako rektor uniwersytetu, który już dawniej, bo w r. 1894 wystąpił był w swym podręczniku psychologii, jako energiczny przeciwnik parallelizmu, odczyt o tym samym przedmiocie. Mniej więcej w tym samym czasie wystąpił również Ludwik Busse, prof. filozofii na wszechnicy królewieckiej przeciwko teoryi parallelizmu, ogłosił kilka artykułów w *Zeitschrift f. Phil. u. phil. Kritik*, a 1903 r. obszerne dzieło p. t.: *Geist und Körper, Seele und Leib*, w którem teoryę parallelizmu poddaje wszechstronnej i dokładnej krytyce. Zwolennicy parallelizmu na podobne dzieło ze swojego stanowiska jeszcze się nie zdobyli. Lecz nie zamilkli zupełnie; Edmund König, np. uczeń Wundta, usiłował w obszernej rozprawie zwalczyć teoryę wzajemnego oddziaływania.

Tak więc literatura o paralleliźmie rośnie z dnia na dzień w niesłychany sposób, najobficiej w Niemczech, lecz także w innych krajach, w Ameryce i Anglii przedewszystkiem, następnie we Francyi, we Włoszech, a nawet w Polsce. Jest więc rzeczą niemożliwą, w ramach szczupłego referatu zapisać i rozebrać wszystkie pisma z osobna. Ograniczymy się do krótkiej wzmianki o najwybitniejszych współczesnych przedstawicielach omawianego sporu.

W sposób dziwnie niejednolity, przedstawia się parallelizm w psychologii i filozofii Wilhelma Wundt'a. Z jednej bowiem strony stawia zasadę parallelizmu psychofizycznego jako zasadę czysto empiryczną i heurystyczną i wyraźnie się zastrzega, że niema nic wspólnego z metafizyczną zasadą parallelizmu, postawioną przez Kartezyusza, Spinozę i Leibniza. Jako taka ma ona tylko o tyle znaczenie, o ile z pomocą doświadczenia stwierdzoną być może i wyraża to tylko, że oba zjawiska fizyczne i psychiczne, nie mogące być ze sobą porów-

nane, ani nie są identyczne, ani też jedne w drugie przemienić się nie mogą. Mimo to rozciąga Wundt parallelizm z pobudek metafizycznych na cały świat materyalny. Według niego materya nie istnieje, lecz jest tylko hypotetycznem pojęciem, uzupełniającem nasze doświadczenie bezpośrednie; cały świat jest sumą chceń elementarnych, a więc wydarzeń psychicznych, przedstawiających się nam po części w szacie materyalnej. Zatem nie tylko w człowieku, w zwierzętach i roślinach mamy zjawiska psychiczne jako właściwą ich istotę, ale także atomy i drobiny fizyczno-chemiczne są według wszelkiego prawdopodobieństwa czuciem elementarnem. Możnaby zatem u Wundt'a rozróżnić podwójną zasadę parallelistyczną, jedną empiryczną, drugą metafizyczną. Ponieważ atoli druga zawiera jego właściwy pogląd na świat (woluntaryzm aktualistyczny), można więc powiedzieć, że jego parallelizm jest idealistyczny i powszechny.

Między uczniami Wundt'a należy tu wspomnieć Edmunda König'a i Oswalda Külpe'go. Pierwszy odrzuca stanowczo parallelizm panpsychistyczny i broni tylko parallelizmu w ciaśniejszem znaczeniu, t. j. że każdemu elementarnemu zjawisku świadomości odpowiada pewien proces fizyologiczny. Jego pogląd zaś na tę kwestyę można tem scharakteryzować, że wraz z Wundtem broni teoryi aktualności *(Aktualitätstheorie)*, że dowodu na parallelizm z prawa zachowania energii nie uważa za dostateczny, lecz za jedyny argument ścisły poczytuje dowód z »zasady zamkniętej przyczynowości naturalnej« *(Axiom der geschlossenen Naturkausalität)*. Do tych dowodów powrócimy niżej.

Külpe zaś, prof. filozofii w Würzburgu, wyraża, choć nieśmiało, myśl, że parallelizm nie stoi w sprzeczności z wzajemnem oddziaływaniem, że owszem właśnie przez takie oddziaływanie powstaje. Külpe pokazuje bowiem, że wbrew usiłowaniom monistów i dziś jeszcze należy uważać dualizm za możliwy pogląd metafizyczny na świat, i że dowody przeciw substancyalności duszy nie są przekonywujące. Stosunek zaś duszy i ciała tłumaczy tak, że ze stałej sumy energii pewna ilość tejże przechodzi z jednej substancyi na drugą.

Harald Höffding, prof. filozofii w Kopenhadze, wy-

kłada parallelizm, polegający ostatecznie na tożsamości strony fizycznej i psychicznej. Stosunek duszy i ciała możnaby tłumaczyć czworakim sposobem: 1) przez wzajemne oddziaływanie; 2) że dusza jest tylko formą, produktem materyi; 3) że materya jest produktem istoty duchowej; 4) że jedno i drugie są tylko rozmaitymi, od siebie niezależnymi objawami jednej i tej samej istoty. Wzajemne oddziaływanie atoli sprzeciwia się prawu zachowania energii; materyalizm zaprzecza samoistności zjawisk psychicznych, nie dających się sprowadzić do materyi: spirytualizm nie zdoła wytłumaczyć istotnej różnicy między zjawiskami fizycznemi i psychicznemi. Zostaje więc tylko czwarty sposób tłumaczenia, mianowicie, »że jedna i ta sama zasada w podwójnej formie swój wyraz znalazła«. Höffding przyznaje atoli, że ta odpowiedź nie rozwiązuje licznych trudności, że pozostaje pytanie, jaką jest ta istota i dlaczego w podwójny sposób się objawia, że więc kwestya ostatecznie nie została rozstrzygniętą, lecz tylko dalej odsuniętą.

W podobny sposób tłumaczy parallelizm Herman Ebbinghaus, prof. filozofii w Wrocławiu. Doktryna wzajemnej przyczynowości sprzeciwia się według niego prawu zachowania energii i mechanicznemu poglądowi na świat materyalny, spirytualizm i materyalizm nie zdołają również wytłumaczyć tych zjawisk; zostaje więc parallelizm jako jedynie możliwe tłumaczenie. Bezpośrednio wydaje nam się wprawdzie, że zjawiska fizyczne i psychiczne są wprost ze sobą nieporównalne, lecz zapomocą dalszych rozważań dochodzimy do wniosku o tożsamości tych dwóch szeregów. Prawdziwa istota rzeczy tylko nam ludziom w taki podwójny sposób się objawia; jak się zaś przedstawia innym istotom, nie możemy powiedzieć. Ebbinghaus jest także zwolennikiem teoryi aktualności.

Paulsen, słynny profesor berliński, przyznaje wprawdzie, że hypoteza wzajemnej przyczynowości jest możliwą, sam atoli oświadcza się za teoryą parallelistyczną, ponieważ 1^0 teorya ta leży w kierunku dzisiejszej myśli filozoficznej, o ile jest idealistyczną, — a według Paulsena parallelizm jest dla idealisty jedynie możliwym poglądem na świat, — 2^0 teorya odpowiada kie-

runkowi współczesnych poglądów przyrodniczych. Drugą zaś tezę udowadnia tem, że fizyologowie niemal wszyscy do tego poglądu się przyłączyli, że taki pogląd zgadza się z zasadą zamkniętej przyczynowości fizycznej i że przeciwna hypoteza uniemożliwiłaby wszelkie nauki ścisłe, przyrodnicze, otwierając na oścież drzwi najgorszemu spirytyzmowi. Jak wielu innych, tak i Paulsen odrzuca wszelką substancyę i rozciąga parallelizm na cały świat.

Heymans wykazuje, że zjawiska jednego i drugiego szeregu są tylko zjawiskami świadomości: szereg psychiczny jest pierwszorzędny i daje bezpośrednią świadomość zjawisk psychicznych; szereg fizyczny jest drugorzędny, zależny od pierwszego i daje nam tylko pośrednią świadomość o zjawiskach psychicznych. Tą różnicą bezpośredniego i pośredniego spostrzegania świadomego zjawisk psychicznych, tłumaczy się różnica dwóch szeregów, ich parallelizm zaś wynika z tożsamości rzeczywistych wydarzeń. Dla świadomości wyższej, powszechnej nie istniałyby dwa szeregi, gdyż pojmowałaby wszystkie zjawiska takiemi jakiemi są, t. j. psychicznemi.

Według Ziehen'a parallelizm psychofizyczny jest tylko pozorem. W rzeczywistości możemy za pomocą dokładnej analizy dojść do tego wniosku, że li tylko zjawiska psychiczne istnieją, że więc i to wszystko co my materyalnem nazywamy, niczem innem nie jest, jak sumą wrażeń psychicznych. Ziehen stawia sobie jeszcze to ważne pytanie, jakim sposobem więc dochodzimy do rozróżniania dwóch szeregów, jeżeli w rzeczywistości tylko jeden istnieje, lecz nie znaleźliśmy u niego na to pytanie dokładnej odpowiedzi.

Wręcz przeciwnie uczy profesor wiedeński Fryderyk Jodl, że szereg materyalny jest substancyjny, pierwszorzędny i czynny, szereg psychiczny zaś niesubstancyjny, drugorzędny i czysto bierny. Świadomość jest tylko funkcyą materyi organicznej. Dualistyczny pogląd na nasz problem sprzeciwia się według Jodla, 1^0 zasadniczym postulatom metodycznym naszego myślenia, przedewszystkiem postulatowi jednolitego tłumaczenia świata; 2^0 sprzeciwia się faktom dowodzącym ścisłej zależności

czynności psychicznej od organizmu: 3° zawiera w sobie trudności natury logicznej. »Duch, powiada Jodl, nie będący funkcyą istoty, t. j. który nie może być określony zapomocą wyrazów wziętych z bytu materyalnego, jest pojęciem niemożliwem«. »Pojęcie osoby jest niemożliwe bez przymiotów wziętych ze zjawisk materyalnych«.

Stanowisko niejako pośrednie zajmuje Eduard von Hartmann, ponieważ nie jest zasadniczym przeciwnikiem tej teoryi, choć wszystkie dowody za nią uważa za niedostateczne. Jak sam powiada, zajmuje »stanowisko syntetyczne względem problemu wzajemnego oddziaływania i parallelizmu«, uważając parallelizm, o ile istnieje, jako wynik wzajemnego oddziaływania na podstawie istotnej równości i tożsamości substancyalnej ducha i materyi. Wprawdzie uważa przyczynowość różnorodną *(Heterogene Kausalität)* t. j. między substancyami zasadniczo różnemi za możliwą, lecz nie potrzeba wcale takowej przyjmować dla duszy i ciała, gdyż są one jednorodne. Dusza i ciało są tylko funkcyami częściowemi tej samej funkcyi absolutnej, absolutnego podmiotu.

Rehmke wykazuje w swym »Podręczniku psychologii ogólnej«, że parallelizm nie da się zupełnie pogodzić ze stanowiskiem transcendentalnego idealizmu, które przecież zajmują Fechner, Wundt, Paulsen, König, Heymans i wielu innych parallelistów.

O znaczeniu »Logiki« Sigwarta w naszej kwestyi, już była mowa.

Większe jeszcze wrażenie wywołała wśród uczonego świata mowa profesora Karola Stumpf'a na kongresie psychologicznym w Monachium 4 sierpnia 1896 r., która spowodowała dokładniejsze zajęcie się naszą kwestyą. Wielce zasłużony z badań nad psychologią wrażeń słuchowych profesor berliński uważa parallelizm za ukryty dualizm, o wiele więcej zagadkowy niż najbardziej okrzyczany okazyonalizm i kładzie silny nacisk na to, że harmonia i zgodność w całym świecie, polegają jedynie na powszechnej wzajemności oddziaływania przyczynowego i że zjawiska psychiczne od niej wcale nie są wykluczone.

Max Wentscher wykazuje, że cały spór o parallelizm

da się sprowadzić do tego, jak należy rozumieć 1⁰ prawo zachowania energii, 2⁰ zasadę mechanicznego poglądu na świat, 3⁰ zasadę zamkniętej przyczynowości naturalnej. Z rozbioru tych trzech zasad dochodzi do wniosku, że parallelizm jest teoryą nieudowodnioną i w gruncie rzeczy tylko źle maskującym się materyalizmem.

Ehrhardt znowu dowodzi niemożliwości parallelizmu opartego na teoryi o poznawczym idealiźmie. Na podstawie idealizmu, którego sam jest »stanowczym zwolennikiem«, można jedynie przyjąć wzajemne oddziaływanie.

Obszerniejszej i wszechstronnej krytyce poddał parallelizm profesor Ludwik Busse. Wykazuje, że dowody na parallelizm nie są dostateczne, że parallelizm sprzeciwia się najoczywistszym faktom życia praktycznego, że nie zgadza się z faktem jedności świadomości i że prowadzi koniecznie do poglądu czysto mechanicznego na świat psychiczny. Dusza byłaby tylko automatem wytwarzającym z koniecznością mechaniczną zjawiska psychiczne, noszące przytem tę dziwną i niezrozumiałą cechę na sobie, jakoby były uwarunkowane zasadami logicznemi, estetycznemi i etycznemi. Eliminacya woli dokonana przez Münsterberga byłaby jedynie prawdziwą konsekwencyą tego poglądu.

Sprowadziwszy kwestyę parallelizmu do najkrótszej i istotnej formuły, jak to na wstępie uczyniliśmy, zobaczmy już, jakimi dowodami paralleliści usiłują wykazać niemożliwość wzajemnego oddziaływania między duszą i ciałem, a zatem i konieczność własnego poglądu [1].

---

[1] Podajemy tu główną literaturę odnoszącą się do naszego artykułu: Avenarius: *Kritik der reinen Erfahrung.* Tenże: *Der menschliche Weltbegriff.* — Busse L.: *Wechselwirkung zwischen Leib und Seele. Sigwart-Festschrift.* Tenże: *Leib und Seele. Zeitschr. f. Phil. u. phil. Kritik.* T. 114, str. 1 nast. Tenże: *Wechselwirkung oder Parallelismus? Eine Entgegnung. Zeitschr. f. Phil. u. phil. Kritik.* T. 116, 56—80. Tenże: *Geist und Körper, Seele und Leib.* Leipzig 1903. — Descartes: *Oeuvres,* éd. Cousin. — Ebbinghaus: *Psychologie,* 1, 1897. — Erhardt Franz: *Wechselwirkung zwischen Leib und Seele.* 1897. Tenże: *Psychophysischer Parallelismus und erkenntnistheoretischer Idealismus. Zeitschr. f. Phil. und phil. Kritik.* T. 116, str. 255 nast. — Fe-

II. Dowody parallelistów.

Na pierwszem miejscu wypada nam wspomnieć o myśli wypowiadanej dość często przez dzisiejszych parallelistów, o myśli, którą znajdujemy najdobitniej sformułowaną u Paulsena [1], mianowicie, że teorya parallelizmu odpowiada kierunkowi współczesnych badań przyrodniczych, opartych na zasadach czysto mechanicznych. Paulsen powołuje się tu na fakt, że fizyolodzy coraz bardziej do tego poglądu się skłaniają; przypomina, że nauki przyrodnicze powszechnie przyjęły zasadę tłumaczenia wydarzeń fi-

---

chner: *Elemente der Psychophysik.* — Geyser J.: *Grundlegung der empirischen Psychologie.* Bonn 1902. — Gutberlet: *Kampf um die Seele*[2]. 1903. — Heymans G.: *Zur Parallelismusfrage. Zeitschr. f. Psych. u. Phys. d. Sinnesorgane.* T. 17, str. 62 nast. — Hartmann E. von: *Die allotrope Kausalität. Arch. f. syst. Phil.* T. 5. Tenże: *Die psychophysische Causalität. Zeitschr. f. Phil. u. phil. Kr.* T. 121. Tenże: *Die moderne Psychologie.* 1901. — Jodl: *Lehrbuch der Psychologie*[2] 1903, podaje także bardzo obszerną literaturę o parallelizmie. Tom I, rozdz. II na końcu. — Kodisowa »Studya filozoficzne«, Warszawa 1903. — König Edmund: *Die Lehre vom psychoph. Parallelismus und ihre Gegner. Zeitschr. f. Phil. u. phil. Kr.* T. 115, str 161 nast. Tenże: *Warum ist die Annahme einer psychophysischen Causalität zu verwerfen? Zeitschr. f. Phil.* T. 119, str. 29 nast. — Külpe Oswald: *Einleitung in die Philosophie*[3], 1903. — Liebmann: *Zur Analysis der Wirklichkeit*[3]. 1900. — Mercier: *Les origines de la psychologie contemporaine.* — Paulsen: *Einleitung in die Philosophie*[12]. 1904. Tenże: *Noch ein Wort zur Theorie des Parallelismus. Zeitschr. f. Phil. u. phil. Kritik.* T. 115. — Petzold J.: *Die Notwendigkeit und Allgemeinheit des psychophys. Parallelismus. Archiv f. syst. Phil.* VIII, 1902. — Rehmke: *Lehrbuch der allgemeinen Psychologie.* 1894. Tenże: *Wechselwirkung oder Parallelismus.* Halle, Niemeyer. — Sigwart: *Logik*[2]. 1889—1893; [3]1904. — Spinoza: *Ethica.* — Stumpf: *Leib und Seele. Rede*[2]. 1903. — Überweg: *Geschichte der Philosophie*[9]. I—IV. — Wentscher: *Über psychische und physische Causalität und das Prinzip des psychophisischen Parallelismus.* Leipzig 1896. Tenże: *Der psychophisische Parallelismus. Zeitschr. f. Phil. u. phil. Kritik.* T. 116. — Tenże: *Zur Kritik des psychophisischen Parallelismus. Zeitschr. f. Phil. u. phil. Kr.* T. 124, str. 154 nast. — Wundt W.: *Vorlesungen über Menschen- u. Tierseele*[3]. 1897. Tenże: *System der Philosophie*[2]. 1897. Tenże: *Grundriss der Psychologie* 1904. Tenże: *Grundzüge der phys. Psychologie*[5]. 1902—1903. Tenże: *Philosophische Studien.* T. X—XII: *Über psychische Causalität u. das Prinzip des psychoph. Parall. Über naiven u. kritischen Realismus. Über die Definition der Psychologie.* — Ziehen: *Vorlesungen über physiologische Psychologie*[5]. 1900.

[1] *Zeitschr. f. Phil.* T. 115, str. 2.

zycznych li tylko przez fizyczne siły i zjawiska. Podobnie wyrażają się E. König, Ebbinghaus, Jodl i inni.

Czy taka pobudka może nam wystarczyć, abyśmy przyjęli teoryę parallelizmu? Był czas, kiedy wszystko tłumaczono przez materyę i formę. Lecz czy jakiś problem sporny już przez to samo był rozstrzygniętym, że do niego stosowano kategorye materyi i formy? W wieku XVIII chciano cały świat ująć w prawa czysto mechaniczne. Wielkie odkrycia przyrodników wprawiały świat uczony w zachwyt. Wszystkie nowe zjawiska wtłaczano gwałtownie apriorycznie w szablon ulubionych prawideł i zasad, aż wreszcie się pokazało, że w ten sposób nie wszystko da się wyjaśnić i wrócono znowu do spokojnego, bezstronnego badania przyrody. Nie można zaprzeczyć, że każda teorya, każdy pogląd na świat dużo zyskuje na tem, jeżeli zdoła tłumaczyć najróżnorodniejsze i najzawilsze zagadnienia; że uczeni zawsze będą skłonni do rozbierania nowego problemu z tego właśnie punktu widzenia i że dopiero wtedy się za innem rozwiązaniem oglądać poczną, skoro pierwej obrana droga zawiedzie. Lecz w naszej kwestyi rzecz się ma inaczej, jak to zobaczymy, rozbierając właściwe dowody parallelistów.

Słusznie więc powstaje W e n t s c h e r [1] przeciwko takiemu »p o l i t y c z n e m u« poglądowi Paulsena i König'a, powołując się na wielką ścisłość dzisiejszych badań przyrodniczych. Współczesne nauki przyrodnicze nie zadawalniają się podporządkowaniem faktów pod rozmaite teorye i hypotezy, lecz badają najdokładniej pojedyncze zjawiska, zwłaszcza nowe, zawiłe przykłady, by na nich stwierdzić prawdziwość teoryi lub w razie potrzeby stare teorye zastąpić nowemi. Klasyczny przykład w tej mierze przedstawia nam walka pomiędzy teoryą undulacyjną Fresnel'a, a teoryą emanacyjną Newton'a, w której to walce pierwsza teorya, pomimo najzaciętszego oporu swych przeciwników odniosła zwycięstwo, gdyż opierała się na najpewniejszych faktach.

Jeszcze słabszą pobudkę zawiera inna myśl Paulsena, że mianowicie parallelizm psychofizyczny, zwłaszcza w szacie idea-

[1] *Zeitschr. f. Phil. u. phil. Kritik.* T. 117, str. 77—79.

listycznej, na tle monistycznem, odpowiada kierunkowi dzisiejszej myśli filozoficznej. Znaczyłoby to uprawiać pewnego rodzaju filozofię salonową, chcielibyśmy, jak to niestety uczynił Paulsen w swym dużo czytanym »Wstępie do filozofii«, nasze poglądy zaopatrzyć etykietą: nowoczesna filozofia! A nawet gdyby współczesna filozofia zawierała najczystszą prawdę, o czem wszelako wobec najróżnorodniejszych, nieraz wprost sobie przeciwnych prądów, systemów i przekonań, nieco powątpiewać należy, toby okoliczność ta jeszcze nas nie zwolniła z obowiązku ścisłego uzasadnienia wspomnianej teoryi. Przystąpmy więc już do właściwych jej dowodów.

Między nimi zajmuje pierwsze miejsce dowód wzięty z prawa zachowania energii. Opierają się na nim przedewszystkiem Harald Höffding[1] i Ebbinghaus[2]. Edmund König[3] ten dowód zupełnie odrzuca, gdyż to prawo, jak powiada, domaga się jedynie ilościowej niezmienności energii przy wszystkich zmianach fizycznych, a nic o tem nie mówi, czy następują zmiany energii i w jakim kierunku następują. Dowód ten można krótko tak przedstawić: energia może zmienić swoje podścielisko i swoją formę, ale nigdy swej ilości. Gdyby zaś np. akt woli był w stanie poruszyć choćby najmniejszą cząsteczkę w mózgu, w takim stanie energia z niczegoby powstała; a odwrotnie energia zostałaby zniweczoną, gdyby wydarzenie fizyologiczne mogło wywołać jakiekolwiek zjawisko psychiczne. A więc wzajemna przyczynowość pomiędzy ciałem a duszą jest niemożliwa, a rzecz samą należy tak tłómaczyć, że wszelkie zmiany energii w układzie fizyologicznym tworzą zamknięty w sobie szereg przyczynowy, względem którego zjawiska psychiczne tylko równolegle się odbywają.

Dla lepszego zrozumienia rzeczy należy nieco wyjaśnić prawo zachowania energii. To prawo orzeka jedynie, że jeżeli przy wzajemnem oddziaływaniu ciał następuje zmiana energii, nowa

[1] *Psychologie* (deutsch von Bendixen) zwłaszcza str. 68—85.
[2] *Grundzüge der Psychologie* I, zwł. str. 28—46.
[3] *Zeitschr. f. Phil.* T. 115, str. 186.

forma energii jest ilościowo równą pierwszej. Z tego wynika bezpośrednio, że w każdym zamkniętym układzie ciał ilość energii nie może się ani powiększyć ani zmniejszyć. Jeżeli więc cała natura jest takim układem, wtedy paralleliści słusznie rozciągają prawo zachowania energii na cały świat. Czy jednak przyroda jest taką całością, o tem nie możemy się dowiedzieć z tegoż prawa zachowania energii, lecz należałoby to inną drogą udowodnić. A rozstrzygnięcie tej kwestyi zależy właśnie od tego, czy istnieje stosunek przyczynowy pomiędzy światem fizycznym a psychicznym lub nie.

Proste rozważanie utwierdzi nas jeszcze w tem mniemaniu, że paralleliści niesłusznie rozszerzają znaczenie prawa zachowania energii. Jeżeli kamień z pewnej wysokości spada, wtedy cała jego energia potencyalna zamienia się w ilościowo równą energię kwietyczną, czy to molarną czy molekularną. Lecz wszystkie ciała podlegają prawu bezwładności; one nie mogą same przez się przejść z jednego stanu do drugiego, ale potrzebują do tego przyczyny zewnętrznej. Czy do wywołania tego przejścia z jednego stanu w drugi także energia jest potrzebna? A jeżeli tak, czy ta energia należy także do owego układu zamkniętego, w którym chcemy oznaczyć ilościową stałość energii? Z pewnością nie, bo właśnie wtedy ilość energii w owym układzie powiększyłaby się o ilość energii potrzebnej do wywołania zmiany (ruchu). Prawo zachowania energii nie pyta wcale, skąd pochodzi zewnętrzna podnieta i jak działa, lecz opiera się li tylko na przypuszczeniu, że jakaś zmiana energii ma miejsce. Wprawdzie owo przejście z jednego stanu energii w drugi, będąc czemś rzeczywistem, pozytywnem, domaga się z koniecznością jakiejś przyczyny, t. j. siły w znaczeniu filozoficznem. O tej przyczynie lub sile prawo energii zgoła nic nie twierdzi i nie może nawet nic orzec o naturze tej przyczyny.

Prawo zachowania energii zostałoby więc zupełnie nietkniętem, jeżeli przypuścimy, że ciało ludzkie tworzy zamknięty w sobie system fizyczny, w którym się energie zamieniają według prawa ich zachowania. Dusza połączona z ciałem w jedność natury mogłaby jednak oznaczyć czas, kiedy taka zmiana ma na-

stąpić i mogłaby tym zmianom nadać pewien kierunek [1]. Tak samo może fizyk lub chemik oznaczyć czas mającej się odbyć transformacyi, może zmusić pojedyncze energie do zmieniania się w pewnym a nie w innym kierunku, nie naruszając przez to bynajmniej prawa zachowania energii. Wprawdzie czy my kiedyś tę tajemnicę odkryjemy, w jaki sposób np. mój akt woli obecnie sprawia, że te słowa piszę: to jest zupełnie inne pytanie, na które nam także paralleliści na podstawie swej teoryi żadnej zgoła odpowiedzi dać nie mogą.

Przyznać zaś parallelistom należy, że oddziaływanie wzajemne między duszą a ciałem żadną miarą w ten sposób odbywać się nie może, iżby pewna ilość energii w układzie fizyologicznym zniknąć miała, by w duszy wywołać odpowiednią energię duchową. Psychologia i to nie tylko stara filozoficzna, ale także nowa doświadczalna, udowodniła, naszem zdaniem, w sposób najoczywistszy, że zjawiska psychiczne nie dadzą się tą drogą sprowadzić do zjawisk fizycznych i że materyalizm psychologiczny jest najnieszczęśliwszem usiłowaniem wytłumaczenia życia psychicznego ze zmian fizyczno-chemicznych. Możnaby więc sposób wyrażania się E. Königa do pewnego stopnia dobrze wytłumaczyć, kiedy parallelizm psychofizyczny nazywa »postulatem empirycznym«, do którego fizyologia z jednej, psychologia z drugiej strony dochodzi, skoro na podstawie pojęcia przyczynowości, jakie nauki przyrodnicze wytworzyły, usiłują zdać sprawę z wzajemnych stosunków między zjawiskami fizycznemi i psychicznemi w żywym organiźmie [2]. Innemi słowy: jeżeli do zjawisk psychofizycznych stosujemy pojęcie przyczynowości, użyte przez nauki przyrodnicze, t. j. o ile zawiera w sobie prawo zachowania energii i zasadę zamkniętej przyczynowości naturalnej, wtedy nie tylko nie można mówić o przejściu energii z ciała w duszę lub odwrotnie, ale wtedy nie można wogóle przypuścić wzajemnego oddziaływania między jednem a drugiem. Lecz naj-

[1] Por. Stumpf: *Leib und Seele*[2]. Str. 25.
[2] *Zeitschr. f. Phil.* T. 115, str. 167.

częściej zapomina się tu o tem, że w pojęciu przyczynowości tak rozumianem należy koniecznie rozróżnić dwa składniki: 1^0 zasadę przyczynowości jako taką, o ile jest zasadą czysto analityczną i wskutek tego powszechnie panującą i orzeka, że każde zjawisko, każdy byt nowo powstający musi mieć przyczynę tegoż określonego bytu; 2^0 specyalne sformułowanie i stosowanie tej ogólnej zasady do zjawisk przyrodniczych, gdzie przedewszystkiem, albo nawet wyłącznie, należy rozumieć zjawiska fizyczno-chemiczne. Rzecz to oczywista, że w drugiej formie zasada przyczynowości zależy od owych czynników, które w niej na podstawie badań doświadczalnych ujęto i że zatem w takiej formie tylko w tej dziedzinie i dla tych przypadków stosowaną być może, gdzie się właśnie owe daty empiryczne urzeczywistniają.

Wiemy wprawdzie dobrze, że nie tylko liczni przyrodnicy, ale także filozofowie takiemu rozumieniu zasady przyczynowości się sprzeciwiają i ogólnej wartości tej zasady w pierwszem znaczeniu przyjąć nie chcą, gdyż, jak mówią, badania Hume'a i Kant'a pokazały, że zasada przyczynowości w tej formie nosi na sobie charakter metafizyczny, transcendentalny a zatem bezwzględnej wartości niema, że więc ta zasada tylko w drugiem znaczeniu może służyć za zasadę naukową. Wobec takiego pojmowania rzeczy należy atoli zwrócić uwagę na to, że badania Hume'a i Kant'a kilkakrotnie poddawano surowej krytyce, że więc dzisiejsza nauka i filozofia nie może się bezwzględnie opierać na tych wywodach, nie uwzględniając krytyki tychże. Nie możemy się na tem miejscu zapuszczać w analizę zasady przyczynowości i jej znaczenia; chcieliśmy tylko zwrócić uwagę na to, że wielu, bardzo wielu, nie rozróżnia dwóch wspomnianych składników w używanej przez nich zasadzie, wielu nawet zupełnie odrzuca, choć najniesłuszniej, moment pierwszy.

W tem zdaniu utwierdza nas także J. Geyser[1], który roztrząsając kwestyę, czy parallelizm psychofizyczny może być użyty jako zasada w badaniach psychologicznych, powiada, że paralleliści niesłusznie utożsamiają pojęcie przyczynowości z pojęciem

[1] *Grundlegung der emp. Psychol.* str. 114—116.

energii, podczas gdy w rzeczy samej prawo zachowania energii jest tylko specyalną formą ogólnej zasady przyczynowości. A Wundt poddając krytyce pojęcie »prawa przyczynowości« *(Kausalgesetz)* powiada, że zasada przyczynowości nie jest bynajmniej prawem stojącem na równi z innemi prawami przyrody, że nie jest jak one uogólnieniem doświadczenia, lecz postulatem logicznym, z którym z góry przystępujemy do badania zjawisk przyrody, że więc posiada bezwzględne, ogólne znaczenie, od którego prawo grawitacyi lub prawo zachowania energii zasadniczo się różnią[1].

Także Oswald Külpe[2] odrzuca dowód parallelistów wzięty z zasady przyczynowości. Lecz jego własne uzasadnienie tego postępowania wydaje się nam zgoła niedostatecznem; owszem uważamy jego pogląd na tę zasadę za zupełnie zgodny z parallelizmem i za inny tylko sposób wyrażania jednej i tej samej rzeczy. Według niego można zasadę przyczynowości tylko wtedy stosować do dwóch zjawisk, *a* i *b*, jeżeli po pierwsze jedno zjawisko regularnie poprzedza drugie, a po drugie, jeżeli pomiędzy temi zjawiskami istnieją pewne stosunki ilościowe, np. jeżeli po większem *a* także następuje większe *b* w sposób dający się ująć w pewne prawo. Jeżeli jednak potrzeba tylko czasowego następstwa jednego zjawiska po drugiem, w takim razie jest to rzeczą zgoła obojętną, czy powiadam, że poruszenie ramienia idzie równolegle

---

[1] »In Wahrheit ist... das Kausalgesetz ebenso wenig ein Gesetz, aus dem man andere speziellere Gesetze ableiten könnte, wie es eine Verallgemeinerung aus der Erfahrung ist, die wir durch die Zusammenfassung einer Menge einzelner Regelmässigkeiten in einen allgemeinen Ausdruck gewinnen. Weder seine Entstehung noch seine Anwendung entspricht dieser, einer fehlerhaften Analogie entstammenden Auffassung«... »Hieraus ergibt sich ebensowohl die absolute *Allgemeingültigkeit* des Kausalprinzips, wie die Unmöglichkeit, demselben irgend eine einzelne, einem bestimmten Gebiet empirischer Tatsachen entnommene Gesetzmässigkeit zu substituieren. *In welchem Umfange das Gravitationsgesetz oder der Satz der Erhaltung der Energie oder die Gesamtheit der sogenannten mechanischen Gesetze gültig sei, alles das ist eine empirische Frage, über die das Kausalprinzip als solches nichts aussagt*«. Physiol. Psychologie III[5] 683, 684; Naturwissenschaft und Psychologie str. 13, 14. Ostatnie zdanie przez nas podkreślone!

[2] *Einleitung in die Philosophie*[3]. Str. 193, 194.

(wyraz »równolegle« wzięty naturalnie w znaczeniu parallelistów), do mego aktu woli, lub że stoi względem niego w stosunku przyczynowym. Tylko wtedy zachodzi istotna różnica, jeżeli akt psychiczny w jakikolwiek sposób rzeczywiście, czy całkowicie czy też częściowo, wywołuje, sprawia akt fizyczny — a o to właśnie chodzi w całym sporze między parallelizmem a teoryą wzajemnego oddziaływania.

Lecz pomiędzy zjawiskami fizycznemi i psychicznemi, powiadają, niema nic wspólnego! Duch i materya, dwie substancye zasadniczo różne, nie mogą przecież wejść w stosunek wzajemnej przyczynowości!

Wobec takiego zarzutu pozwalamy sobie na jedno tylko pytanie: skąd paralleliści wiedzą, że pomiędzy istotami zasadniczo różnemi wzajemne oddziaływanie przyczynowe jest niemożliwe? Wniosek ten nie wynika bynajmniej z zasady przyczynowości. Słusznie zauważa Sigwart[1], że już dokładna analiza fizykalnego pojęcia siły pokazuje, iż tak zwany skutek wynika tak samo z natury ciała podlegającego działaniu, jak i z natury działającego ciała, że *patiens* wchodząc w pewien stosunek do *agens*, odmienia się w sposób sobie, swojej istocie właściwy, że więc w pojęciu przyczynowości niema przeszkody do przypuszczenia wzajemnego oddziaływania pomiędzy istotami zasadniczo różnemi.

Zresztą czy paralleliści lepiej rozumieją przyczynowość między bytami zasadniczo jednorodnymi? Czy my pojmujemy jasno związek przyczynowy pomiędzy jedną kulą będącą w ruchu, a drugą kulą, której pierwsza swego ruchu udziela? Widzimy li tylko samo zjawisko zewnętrzne: zbliżanie się jednej kuli do drugiej, zetknięcie się i następujący ruch drugiej kuli. Oto wszystko. Opierając się na zasadzie przyczynowości rozumujemy, że ruch pierwszej kuli jest przyczyną ruchu drugiej kuli; lecz czy zdołamy wglądnąć w samą istotę tej przyczynowości? Czy pojmujemy, jak pierwsza kula może drugą w ruch wprawiać? A jeżeli nie pojmujemy tego, to dlaczego przyjmujemy tu przyczynowość rzekomo na podstawie zasadniczej jednorodności, a odrzucamy takową

[1] *Logik*[3] II. Str. 544, 545.

między duszą a ciałem? I tu także mamy bezpośredni ścisły związek między jednem zjawiskiem a drugiem, tak samo jak w świecie fizycznym; owszem w świadomości naszych aktów woli, objawiających się czy to wewnątrz czy zewnątrz czynem i chcianym skutkiem mamy właściwe źródło, z którego czerpiemy nasze pojęcie przyczynowości; tu niejako namacalnie widzimy działalność przyczyny, a bez tej świadomości cały świat zewnętrzny nie byłby może zdolny do wywołania w nas tego pojęcia. Jeżeli więc na polu psychofizycznem odrzucamy przyczynowość, musimy ją tem bardziej odrzúcić na polu czysto fizycznem i musimy się ze smutną rezygnacyą zgodzić na niemożliwość naukowego tłumaczenia choćby najdrobniejszego, najskromniejszego faktu.

Tak więc i drugi argument parallelistów, opierający się na zasadzie przyczynowości, nie zdoła nas przekonać o prawdziwości ich teoryi.

(Dok. n.)

Fryderyk Klimke.

NAJNOWSZA POWIEŚĆ ROSYJSKA.

LEONID ANDREJEW.

I.

Mamy do czynienia mimo niektórych rysów wspólnych z innem zjawiskiem literackiem, niż były talenty Gorkiego, Czechowa lub Wieresajewa. Słowiańska natura kryje na dnie swem pierwiastek nieukojonej tęsknoty do ideału; pogrąża się w stany zamyśleń i lubi wysnuwać nić marzeń. A życie wydaje się jej wówczas złem nad miarę. W istocie w Rosyi współczesnej niemało ujemnych czynników życia wpływa na to, że ono się nie może wydawać innem, zwłaszcza wrażliwym artystycznym duszom. Ciemnota, nędza i poniżenie bezrolnego ludu czyni go materyałem podatnym do wzbudzania żywiołowych uniesień, nieobliczalnych w swojem rozpętaniu i dziś już nie dających się nasycić pięknemi obietnicami.

Materyalna krzątanina w ogniskach wielkomiejskich wyjałowiła serca, wyrugowała z nich wiarę, a natomiast nie dała innych podpór duchowi. Samowola wszechwładnej hassy urzędniczej podkopała powagę władzy i zachwiała zaufanie w ludzką sprawiedliwość. Nie da się też zaprzeczyć, że wpływ zachodniej, osobliwie francuskiej kultury przyspieszył rozkład intelligencyi i powiększył etyczny zamęt. Rwie się dusza na widok butnej samowoli, nie uznającej powagi ponad siebie — u góry, a ostatecznej upodlonej niewoli — u dołu. Ucisk jej gnębi tem bardziej,

że szeroką rosyjska natura rozmiłowała się w rozległych równiach, bezmiernych stepach, ogromnych roztoczach wielkich rzek, kędy oko nie ma oparcia, a obszary nawiewają smutek i tęsknotę. Stąd to u wszystkich wymienionych pisarzy tkwi na dnie melancholia niespełnionych rojeń. — Tamci jednak byli społecznikami w przekonaniach, realistami w metodzie twórczej.

Andrejew bywa naturalistą we formie, ale symbolistą czy też może indywidualistą w sposobie widzenia i pojmowania świata, oraz przetwarzania materyału danego przez życie w kształty artystycznej kreacyi.

Zaczął pisać przed ośmiu laty, a dziś w Rosyi czytającej niema dwóch zdań o tem, że to pierwszorzędny talent; zdobył sobie zatem rozgłos w czasie tak krótkim, jak Gorkij. Mus, nie zaś studya uczyniły go nowelistą, jak to zresztą widać z autobiograficznej notatki p. t.: »Z mojego życia« [1].

»Zrodziłem się — pisze Andrejew — w 1871 w Orle i tam kończyłem szkoły. Uczyłem się źle, w siódmej klasie przez rok byłem ostatnim uczniem, a obyczaje miałem mierne, czasami naganne. Najmilsze chwile w gimnazyum, o których dotąd wspominam rad, to pauzy między lekcyami a także owe nieczęste zresztą przygody, skutkiem których mię wydalano z godzin. W pustych i długich korytarzach dźwięczna cisza, igrająca jedynem brzmieniem kroków; z obu stron zamknięte drzwi, a za niemi pełne ludku klasy. Promień słońca, nieuwięziony promień, przenika w szczelinę i zaczyna taniec z pyłem, jeszcze nieosiadłym po pauzie: wszystko takie tajemnicze, zajmujące i pełne osobliwego, ukrytego znaczenia. Jeszcze za czasu bytności mej w szkole zmarł mój ojciec, geometra — i w uniwersytecie wypadło mi cierpieć biedę. Na pierwszym roku w Petersburgu nawet głód mię trapił, nie tyle zresztą z powodu prawdziwej nędzy, ile wskutek niedoświadczenia i nieumiejętności zużytkowania zbywających części stroju. I teraz wstyd mi pomyśleć, że mogłem przez dwa dni nie wziąć do gęby kęsa chleba, podczas gdy miałem dwie lub trzy pary spodni, dwa palta — ciepłe i letnie i t. p.

---

[1] *Dziennik dla wszystkich.* Petersburg, styczeń 1903.

»Kończyłem uniwersytet w Moskwie. Tu żyło się wygodniej, pomagali koledzy i komitet, ale z innych względów milej wspominam Petersburg: silniejsze tam zróżniczkowanie młodzieży. Wśród wyraźnie zarysowanych grup łatwiej wynaleźć dla siebie odpowiednie środowisko.

»W styczniu 1894 strzelałem się bez rezultatu; w następstwie niefortunnego strzału zjawiła się kościelna pokuta, nałożona przez władzę i choroba serca niegroźna, choć uparta i dokuczliwa. W owym czasie dwa lub trzy razy próbowałem pisać — bez sukcesu; natomiast z rozkoszą i powodzeniem malowałem portrety po trzy i pięć rubli sztuka. Wydoskonaliwszy się brałem nawet po dziesięć do dwunastu rubli. W 1897 dano mi dyplom i zaciągnięto w szeregi pomocników adwokackich. Wykoleiłem się atoli prędko. Nie miałem zgoła praktyki prawniczej: jedną jedyną sprawę cywilną przegrałem z kretesem we wszystkich instancyach i parę razy z urzędu broniłem.

Zaproponowano mi pisanie sądowych sprawozdań do *Kuryera*. W 1888 napisałem na propozycyę sekretarza *Kuryera* Nowikowa, pierwszy obrazek wielkanocny, a potem całkowicie poświęciłem się literackiej pracy — dość różnorakiej. Raz kreśliłem sprawozdania ze spraw kryminalnych, to znów felietony pod pseudonimami. Teraz pisuję wyłącznie powieści i zrzadka artykuły na temat zadań społecznych. Wielce mi dopomógł w literackim kierunku doskonałemi radami i wskazówkami Maksym Gorkij«.

Sam tedy przebył ciężkie chwile w życiu i spostrzegać mógł dowoli w czas procesów sądowych, a i owo malowanie portretów niewątpliwie sprzyjało udoskonaleniu formy. Od razu od pierwszych utworów zastanawiała go analiza psychologiczna ludzkiego osobnika; jednak wbrew metodzie naturalistów obserwował nie zwykłe stany duszy, lecz wyjątkowe, najczęściej psychopatologiczne, powtóre zaś oświetlał je tak, że stany owe w owem oświetleniu, nie tracąc swej niezwykłości, służyły za wykładnik zasady ogólnej natury, symbolizując zasadę czy ideę istniejącą we wszechżyciu. Mniejsza o to, że obrazy i zdarzenia, malowane w dziełach Andrejewa, wydawały się czytającej publiczności paradoksalne,

niezgodne z prawdą życia: on o to nie zabiegał. Dawniej mniemano, że tylko te myśli i uczucia warte są obrazowania, które mogą liczyć na oddźwięk w sercach czy głowach wielu czytelników; tylko te zdarzenia mogą dostarczyć materyału do powieści, które są dość ważne, aby się stały zajmującemi. Andrejew narzuca nam s i e b i e albo wyławia w odmętach życia właśnie okazy w y j ą t k o w e, mało wspólne z ogółem. One mu dostarczają wybornej treści psychopatologicznej. Nas to bynajmniej nie gniewa ani przeraża. My w swojej literaturze przywykliśmy do indywidualistów. Kiedy Mickiewicz w sonetach »Droga nad przepaścią« w *Czufut-kale* lub *Ajudah* kreślił obrazy własnej twórczości, gniewali się klasycy, — niemniej przeto Mickiewicz genialnym był poetą. Wolno też niepospolitym talentom zająć nas sobą lub swemi wizyami, choćby między przeciętnem życiem a niemi otchłań się otwierała: byleby piętno wielkiego talentu spoczęło na utworach. Co więcej — artysta maluje nie to, co widzi, lecz to, co powstaje w jego duszy na widok życia. A tem się on różni od przeciętnego spostrzegacza, że bywa wrażliwszym na zjawiska, że one w jego duszy pozostawiają wyraźniejsze ślady i że pobudliwa natura artysty może się stać skarboną tych myśli i uczuć, jakiemi żyją współcześni. Jeżeli on tedy posiada dar wyczucia i wyrażenia wszystkiego, co kryje się w skarbcu jego duszy, wówczas bywa wprawdzie indywidualnym, ale ma też znamiona zbiorowej duszy. Takim jest Andrejew — i dlatego to nazwałem go w odróżnieniu od poprzedników — indywidualistą.

II.

Jest w zbiorze Staffa »Ptakom niebieskim« piękny, tercynami napisany poemacik p. t. »Otchłań kusząca«. Skuci łańcuchami bracia siedzą nad otchłanią, trzymając się za ręce. Aż oto jeden posuwa się ku przepaści, otchłań go pożera, a inni wołają nań: »tchórz!« Drugi wlecze się nad głąb — i ginie drugie życie, Potem trzecie i dziesiąte. Wówczas pozostali wiążą się przysięgą, że nie spojrzą w nęcącą topiel zabójczą. A zaledwie posnęli — już nowy brat z dziką obłędną ciekawością skradał się nad kra-

wędź [1]. Tę samą myśl odtworzył Andrejew w symbolicznej wizyi p. t. »Sciana« [2]. Stroma, gładka ściana dzieliła nieba na dwie połowy. Mnóstwo trędowatych jęczało brzękliwymi głosami, wyło, tłukło się, szalało koło niej, pragnąc się dowiedzieć, co za nią? Noc wieczna otaczała ich. Czasem, jak zwierz pojmany, w gniewie migotała ognistem, strasznem ślepiem, czasem bawiła się rozpaczą i niedolą trędowatych. Błagali o śmierć, ale — mrąc co minutę — byli nieśmiertelni na wzór bogów.

Wszyscy pod ścianą wyli i łkali, a było ich chciwych i zgłodniałych — jak szarańczy. Rzekłbyś, że w mękach straszliwych wyła spalona ziemia, szeroko rozdziawiwszy kamienną paszczę. Niby las usłych drzew, giętych w jedną stronę wzburzonym wichrem, podnosiły się ku ścianie kurczowo załamane dłonie, chude, nędzne, błagalne, a było w nich tyle rozpaczy, że drgały głazy i mknęły z lękiem po niebie siwe chmury. Lecz nieruchoma wysoka ściana obojętnie odbijała ryk, który wstrząsał smrodliwem, zgęszczonem powietrzem.

A potem zrywali się starsi i młodsi, pełni nienawiści, i wołali do ściany: oddaj mi moje dziecię! Okrutna, oddaj mi mego syna! Oddaj mego brata! Zabójczyni, oddaj mi mnie samego! Gdy zaś ściana milczała, wówczas niewiasta wykrzyknęła: Przeklinam cię, mórderczyni mego dziecięcia! I wszyscy wołali: Przeklinam cię, przeklinam!

Potężnie odmalował Andrejew nieodgadnioną otchłań ludzkiego bytu i bezdenną otchłań grobu, który porywa niezliczone martwe ciała istnień, i całą nędzę gnojowiska ludzkich trucheł, i cały rozjęk dusz, smaganych bezlitośnie przez doczesność, a zatopionych w wieczności bezmiarem roztęsknień i rozmodleń.

Ale ponury to obraz: brak w tej okropnej wrzawie trędowatych — dźwięków wiary, nadziei, miłości. Rak zgniótł ciała a sęp wyżarł mózgi i serca. Groza i przerażenie, nienawiść i wściekły szał miotają ciżbą, przez trąd zjedzoną do kości! Jakże to? Chrześcijanie czy hyeny? Wizya kończy się okrzykiem: Biada!...

---

[1] »Ptakom niebieskim«, 1905, str. 153.

[2] Napisana w 1901 r.

Biada!... Biada!... A jeden z rosyjskich wielbicieli Andrejewa tłumaczy, że w tym okrzyku brzmi pociecha, słodycz ukojenia, nadzieja spoczynku... Ach, gdyby! Ale nie — ułuda to, nic więcej. Głos beznadziejnej rozpaczy brzmi w okrzyku, nic nadto [1].

W tym obrazie uzmysławia poeta w jaskrawy i ostry sposób jedno z uczuć nowożytnej duszy ludzkiej: strach przed śmiercią. Istnieje atoli szereg obrazów Andrejewa, których zadaniem odmalować całą nędzę tej duszy, wszystkie jej męki i poniżenia, wszystkie narzędzia tej nieskończonej tortury, w jakiej wije się człowiek. Takie symboliczne malowidła niedoli człowieka zawierają się w powieściach: »Fałsz«, »Śmiech«, »Milczenie«, »Na gwałt«, »Myśl«, »Czerwony śmiech« [2].

Cztery pierwsze opowiadania należą do dawnych, pochodzą z lat 1900—1901. W pomyśle nieco śmiałe, prawie ryzykowne, jako symboliczne nie zawierają klucza do niewątpliwego odgadnienia symboliki. Najwyraźniejsze z nich p. t. »Fałsz« krytyka nazwała »małym, ciemnym obłokiem na świetlanej przyszłości twórczej Andrejewa. Może się on rozrośnie w groźną i posępną chmurę«. Nie rozrósł się, wydał więcej i mniejszych jeszcze ciemnych obłoków, sam zaś pozostał jednym z jaśniejszych. Symbolizuje on daremną rozpaczliwą walkę z fałszem w życiu, jako rdzeniem i wątkiem wszelkiego zła. Obłudna i bezwiednie kłamliwa kobieta zwodzi swego kochanka. Profil jej biały, poważny i szlachetny, jak u anioła, zadumanego nad opuszczoną ludzką

---

[1] Hekker N.: »Leonid Andrejew i jego dzieła«. Odessa 1903, str. 19.

[2] Dzieła Andrejewa wyszły zbiorowo w dwóch tomach. Tom pierwszy w »Изданіе Товарищества Знаніе« pt. »Разсказы« zawiera utwory: »Большой шлемъ«, »Набатъ«, »Ангелочекъ«, »Молчаніе«, »Смѣхъ«, »Валя«, »Разсказъ о Сер. гѣ Петровичѣ«, »На рѣкѣ«, »Бездна«, »Въ подвалѣ«, »Ложь«, »Петка на дачѣ«, »У окна«, »Жили-были«, »Стѣна«, »Въ темную даль«. Tom drugi, wydany w trzy lata po pierwszym w 1906 roku, zawiera powieści: »Мысль«, »Въ туманѣ«, »Жизнь Василія Оивейскаго«, »Призраки« i »Красный смѣхъ«. Nadto w »Сборникъ Товарищества Знаніе« za rok 1904, t. V. mieści się powieść pt. »Воръ«, nie objęta wydaniem zbiorowem z r. 1906. Będę zatem cytował krótko: t. I. t. II., mając zawsze na myśli wymienione wydanie. Artykułów o Andrejewie w najnowszej literaturze rosyjskiej wiele. Najciekawsze są: znakomitego krytyka M. K. Michałowskiego w »Русское Богатство«, Bocianowskiego, Hekkera, Suchanowa (w osobnych odbitkach).

mogiłą. Oczy jej duże, chciwe światła, piękne i spokojne. Okolona błękitną obwódką źrenica wydawała się czarną, głęboką i tajemniczą.

On jej groził w szale, że ją zabije. — Zabij — odpowiadała mu spokojnie. Czasem takie nudne i ciężkie życie. Ale czy groźbą osiągniesz prawdę? Zabił ją i zrazu mniemał, że zabił fałsz; przekonał się atoli, że zabił kobietę, fałsz zaś uczynił nieśmiertelnym.

»Słowo f a ł s z z syczeniem wypełzało ze wszystkich kątów i okręcało się koło duszy, a nie była to już mała żmijka, lecz duża, lśniąca, rozszalała żmija. Kłuła, dusiła stalowemi kolcami; gdym krzyczał z bólu, z ust dobywał się ohydny, świszczący gadzinowy syk, jakby cała pierś ma zionęła gadami. Co za szaleństwo być człowiekiem i szukać prawdy! Co za ból! Ratujcie, ratujcie!«

Jeżeli obrona tezy: »życie pełne fałszu od urodzenia do grobowej deski a walka z fałszem daremna«, miałaby niejakie powodzenie w myśl aksyomatu starożytnego: *mundus vult decipi, ergo decipiatur,* to trudniej byłoby zgodzić się na rolę śmiechu w opowieści Andrejewa. Kobieta łudziła swego kochanka obietnicami, których nie spełniała. Poszedł szukać jej na maskaradę, włożywszy larwę śmiejącego się Chińczyka. Maska budziła naokół nieujęty śmiech. On, z sercem pękającem z bólu, mówił jej o sobie i swej miłości, o męce oczekiwania, o trujących łzach zazdrości i tęsknoty, o duszy swojej, ona zaś od śmiechu się zanosiła, patrząc na śmieszną maskę a słuchając rozpaczliwych wyrazów. Andrejew pierwszy swój obrazek napisał był niegdyś o głodnym studencie i gdy go odniósł redakcyi jakiejś, wyśmiano go. »Płakałem, gdym pisał — zeznawał — a gdy oni w redakcyi rękopis zwracali, śmiali się«. Wspomnienie to utkwiło w pamięci i wyraziło się w symbolicznym obrazie. Każdy człowiek nosi maskę, która mało ma wspólnego z głębią duszy, podobnie jak owa chińska maska wspólne z noszącym ją miała tylko ludzkie rysy. Znamienne to, że poeta i we »Fałszu« i w »Śmiechu« i w »Ścianie« i w »Milczeniu« główną rolę ujemną kobiecie przydzielił. Ona mistrzynią obłudy, ona bluźni i przeklina »Ścianę«, ona milczeniem zabija nieszczęsnego ojca, czy to gdy jako córka Wiera nie chce

odkryć przed nim swej tajemnicy, która ją rzuciła pod koła pociągu, czy gdy jako żona i matka w milczeniu czyni go sprawcą niedoli i śmierci córki. Ale ani śmiech ani milczenie nie odgrywa w życiu takiej groźnej roli. Wprawdzie nasz Słowacki w »Kordyanie« powiedział, że »żadnych kłosów ludziom nie wysieją śmiechy», od tych słów atoli do tragizmu Andrejewa jeszcze bardzo daleko. Jeśli zaś przysłowia są naprawdę mądrością narodów, to jedno z nich mówi o milczeniu, iż jest ono złotem, podczas gdy mowa miewa wartość srebra. I w opowieści Andrejewa lepiej, że Wiera milczy, gdyż wymowa jej zapewne głębiej i srożej rozdarłaby serce ojca, skoro tajemnica jej była tego rodzaju, że jedynie śmierć samobójcza równoważyła jej grozę. W istocie tedy symboliczne utwory powyższe z wyłączeniem pierwszego wydają mi się w pomyśle słabe, a wykonanie lśni się wprawdzie pięknemi przenośniami i porównaniami, nie zdoła wszelako powetować braku potężnego pomysłu. Podobnej miary jest obrazek »Na gwałt«, wystawiający pożar, jako ślepą, groźną siłę, niepojętą dla człowieka i przerażającą go niesłychanie.

Natomiast dwa końcowe symboliczne obrazy: »Myśl« i »Czerwony śmiech« należą do arcydzieł Andrejewa. »Myśl« posiada nawet jednolitą fabułę i w pierwszej połowie jest bystrem studyum psychostenii.

11 grudnia 1900 r. doktor medycyny, Antoni Kierżencew, zabił człowieka. Ponieważ czynowi towarzyszyły okoliczności, które pozwalały domyślać się obłędu u zabójcy, przeto poddano go pilnej obserwacyi w szpitalu dla obłąkanych. Kierżencew spisał w dzienniku historyę swego życia i swej zbrodni. Zabity Sawiełow był prawnikiem i literatem. O jego żonę starał się niegdyś Kierżencew, a gdy go wyśmiała, obiecał w duchu zemstę. Gryzło go i to, że ona szczęśliwa, i to, że krytyka chwali jego dzieła. Dla życia one zgoła niepotrzebne. »Przydadzą się i zajmą chyba setkę tłuściochów, łakomych rozrywki, ale nie nas, którzy usiłujemy odgadnąć życie — pisał Kierżencew. Podczas gdy artysta potęgą swej myśli i talentu powinien tworzyć nowe życie, Sawiełow opisywał stare, nie siląc się nawet przeniknąć tajemnych jego głębin«.

Zabójcę cechowała siła woli, odporność tęgiego systemu nerwowego, pogarda dla kurs mającej etyki. W czasach szkolnych udawał przyjaźń kryjąc pogardę. Jako student ukradł 15 rs. z pieniędzy koleżeńskich, skłamał, że kasyer się pomylił — i uwierzono mu. »Byłem jedynym człowiekiem, jakiegom cenił. Nikogo nie kochałem prócz siebie, a w sobie kochałem nie obmierzłe ciało, które i miernoty lubią; w sobie wielbiłem myśl. Nie znałem i nie znam nic wyższego nad myśl. Ubóstwiłem ją i warta tego. Czyż nie zmagała się ze światem i jego przesądami? Na szczyt wyniosłej góry dźwignęła mię — i widziałem, jak w dole grzebie się ludzkie mrowie, zastawiając się świątyniami i modłami wobec żądz zwierzęcych, wobec wiekuistego strachu przed życiem i przed śmiercią. Nie byłemli wielki, wolny i szczęśliwy? W myśli swej, za kośćmi czaszki, byłem tak dumny, jak rycerz średniowieczny, kiedy siedząc niby w orlem gnieździe w swym niedostępnym zamku, dumnie i władnie spogląda na rozpostarte nizko doliny«.

W egoiźmie, samoubóstwieniu, wyjątkowości utrwalał się i umacniał. Plan zabicia układał na zimno, wiedząc, że prawo ściga to, jako zbrodnię. »Ale — rozumował — prawie wszystko co czynimy — zbrodnią jest i chyba ślepy tego nie widzi. Dla wierzących zbrodnią wobec Boga, dla innych — wobec ludzi, dla takich, jak ja, względem siebie. Uważałbym za większy występek, gdybym raz uznawszy, że zabójstwo konieczne, nie wykonał postanowienia. A że ludzie dzielą występki na wielkie i małe, że mord nazywają wielkim, — to mnie wydawało się zwykłym i marnym fałszem« (II. 8).

Postanowił udać obłęd, zabić, potem wyzdrowieć; przez rok czytał dzieła z zakresu psychiatryi, po roku wykonał parę prób obłędu z bardzo pomyślnym skutkiem, wreszcie zabił. Po spełnieniu tego czynu wrócił do domu. Ale wówczas rozpoczyna się drugi akt dramatu. Dotychczas wychowywał doktór w sobie samym nadczłowieka. Pogarda dla innych, nie krępowanie się żadnymi względami natury moralnej, wyrafinowany egoizm doprowadzają go do przekonania, że mu wszystko wolno, że go nie dosięgną ustawy, że on jest środkowym punktem świata; myśl tedy wyłączna i uparta, niby gwóźdź w mózgu tkwiąca, zniewala

go do nader misternie ułożonego pomysłu zbrodni. Za pomocą suggestyi spotężniałej myśli ubezwładnia w stanowczej chwili swoją ofiarę. Ale oto ta myśl staje się dlań odtąd źródłem udręki. Tortura rozpoczyna się w godzinę po zabiciu. I to, co stanowiło subtelne pomocnicze narzędzie czynu, t. j. symulowany obłęd, teraz za pośrednictwem myśli przybiera coraz przeraźliwszą postać rzeczywistości. Powstaje mianowicie groźny dylemat: udawałem obłęd, żeby zabić, czy też zabiłem, bom był obłąkany?

Druga część dylematu napełnia duszę nieszczęsnego zabójcy grozą i przerażeniem. »Wyobraźcie sobie pijaną żmiję: zachowała swą złośliwość; zwinność i szybkość się wzmogły, zęby ostre i jadowite. Ona pijana i zamknięta w izbie, gdzie wielu ludzi drży z przerażenia. Rozszalała wije się między ludźmi, otacza nogi, kłuje w twarz, usta, skręca się w kłębek i tnie żądłem własne ciało. Zdaje się, jakby nie jedna, lecz tysiąc żmij kręciło się, kąsało się i pożerało nawzajem. Taką była owa myśl moja« (II. 38).

Odtąd śledzimy stopniowe pogrążanie się w odmęt obłędu człowieka, szczutego bez tchu i wypoczynku przez myśl, że on jest naprawdę waryatem. Ideą przeto utworu jest: myśl, której podporę stanowi egoizm, samoubóstwienie, materyalizm, która w sobie nie ma i nie szuka dla swych porywów hamulca w zobowiązaniach człowieka względem ludzkości lub społeczeństwa, która wyłamuje się z pod ucisku wszelkich skrępowań z zewnątrz świata idących i przez świat ułożonych, — taka myśl człowieka gubi a zarazem czyni go szkodliwym dla ogółu.

Ostateczna forma samouwielbienia Kierżencewa jak się wyraziła? »Dla mnie niema sędziego, niema prawa, niema nic zakazanego. Mnie wszystko wolno. Wyobraźcie sobie świat, gdzie niema ciążenia, niema wierzchu i spodu, wszystko — kaprysem i trafem. Jam tym światem«.

Ostateczna zaś forma męki, jaką mu myśl, że jest obłąkańcem, zadawała, wyraziła się w błaganiu doktorów, aby go za zdrowego uznali: wówczas zginie przynajmniej.

Gdybym miał zwięźle i jasno określić zasadniczą ideę utworu, użyłbym pośrednictwa Adama Asnyka i jego sonetu z cyklu »Nad

głębiami«: kto gwałcąc wiekuistego Ducha zamysły, chce działać ku powszechnej szkodzie. nie tylko trudem Danaid cała jego praca, ale także przeciwko niemu oręż się skierowywa i jego zabija.

Do najnowszego symbolicznego poematu, który powstał w 1904 roku, dostarczyły Andrejewowi materyału korespondencye z wojny rosyjsko-japońskiej. Podobno nigdy za pamięci pokoleń ostatnich okropności wojny nie wystąpiły w tak strasznej postaci, jak teraz. Złożyła się na to głównie doskonałość broni, rażącej z takich odległości, że wroga nie widać, dziwna celność japońskich pękających kul, wschodnia zaciekłość i rozszalenie idących do ataku, pogarda życia z jednej, a strach śmierci z drugiej strony, dobijanie rannych, palenie ich na stosach razem z trupami, niedostateczność polowych szpitali, lekarzy i opatrunków, walki z drucianemi zawłokami, wilcze doły najeżone ostrokołami, gęste miny podziemne i tym podobne środki masowego niszczenia ludzi. Wyrażenie, że żołnierz jest żerem armatnim[1], nigdy nie miało tak realnego znaczenia, jak w obecnej wojnie.

Andrejew doskonale znał wyborne malowidła ofiary tej wojny Wereszczagina, zwłaszcza ironiczny cykl, poświęcony walkom turecko-rosyjskim, jak np. »Spokój na Szypce« lub »Trofea wojny«. One stały się wzorem dla poematu p. t. »Czerwony śmiech«. Szereg fragmentów oficerskiego dziennika maluje z ogromną siłą nastroje duszy ludzkiej, unękanej okropnościami. We fragmentach niema innego ładu ni związku, jeno ten, że dusza ta sama: blizka obłędu. Oto fragment drugi. Cztery dni i nocy trwa bitwa. Stoją bez snu i bez pojęcia przy bateryach i strzelają. Młody adjutant przyjeżdża z oznajmieniem, że generał prosi przez dwie godziny stać i strzelać: nadeszle posiłki. Adjutant blady jak trup, boi się. Wtem kula urywa mu głowę, a z kadłuba bucha jasny, żywy, jak śmiech szydersko igrający, strumień krwi. Istny c z e r w o n y śmiech! Fragment piąty — jeden z najpiękniejszych. Siedmiu wagonami, po pięciu nocach niespania jadą po rannych na pole walki.

Jęk z ciemności idący jednostajny, ciągły, przeszywa mózg; można oszaleć. Tu niespodzianie strzela się student medycyny

[1] Po rosyjsku: »пушечное мясо«.

w przystępie jakiegoś zapamiętania się. Fragment szósty ważny w całości kompozycyi, tłumaczy bowiem tajemny sens jej. Stało się, że autorowi dziennika urwał granat obie nogi, które amputował stary lekarz, lubiący gawędę. Opowiada on, że mnóstwo waryatów zrodziła wojna. Dni i noce jak złowrogie obdarte cienie snują się po pagórkach bez drogi, celu, bez ustanku. Wymachują rękami, śmieją się, krzyczą i śpiewają a spotkawszy się biją się lub nie widząc się nawzajem — mijają. Co jedzą? Może nic, a może trupy, jak zwierzęta, jak owe utuczone zdziczałe psy, które po całych nocach żrą się po wzgórzach i wyją. Nocami niby ptaki rozbudzone burzą, niby ćmy gromadzą się przy ogniskach. Zaledwie się stos roznieci, nim pół godziny minie, wyrasta koło stosu tuzin krzykliwych, obdartych, dzikich sylwetek nakształt zziębłych małp. Setkami giną w przepaściach, w dołach wilczych, na resztkach drucianych zawłok i ostrokołów; mieszają się do walki i biją się po bohatersku, zawsze na czele bez trwogi; często atoli biją swoich. Lubię ich — wyznaje doktor. Ja dopiero dostaję obłędu, to też siedzę tu i gawędzę, ale skoro doszczętnie zwaryuję, pójdę w pole, skrzyknę ich, zbiorę koło siebie tych zuchów, tych rycerzy bez drżenia — i wydam wojnę światu. Wesołym tłumem z muzyką i pieśnią wkroczymy do miast i siół, a gdzie przejdziemy, wszystko zabarwi się na czerwono, wszystko zawiruje i zapląsa jak ogień. Kto ocalał, z nami się złączy; nasza mężna armia urośnie jak lawina i oczyści świat. Któż zakazał bić, palić i grabić? My zabijać będziemy, łupić i palić. Wesoła, bezpieczna wataha junaków — zburzymy wszystko: ich gmachy, uniwersytety i muzea. Swowolna dziatwa, płomienistym śmiechem brzmiąca, — hasać będzie na gruzach. Ojczyzną naszą stanie się dom zdrowia, wrogami ci, którzy jeszcze nie zwaryowali. A gdy wielki, niezwyciężony, radosny zakróluje nad światem, jako jedyny pan i władca, rozkoszny śmiech gromki rozlegnie się po obszarach ziemi. Przyjaciele! U nas będzie czerwony księżyc i czerwone słońce a u zwierząt będzie wesoła czerwona sierść; zedrzemy skórę z tych, kto nazbyt biały, nazbyt biały... Kosztowaliście krwi? Cokolwiek kleista, cokolwiek ciepła, ale czerwona — i śmiech jej taki czerwony! (II, 260).

Druga część jest szeregiem wizyi jeszcze potworniejszych. Beznogi oficer wrócił do swego ojczystego i rodzinnego gniazda starcem zgrzybiałym, którego ręce i głowa trzęsły się, znamionując początek postępowego paraliżu. W obłędzie wyobraził się geniuszem i w ekstazie twórczej dwa miesiące pisał dzieło: kwiaty i pieśni. Brat, świadek pogrążania się duszy w odmęt obłędu, snuł po jego śmierci straszliwe wizye zbiorowego kataklizmu. Nakoniec całe niebo okrywa się purpurą; czerwona ziemia wyrzuca ze swego łona zwały trupów: one rosną, nagie dobywające się ze spodu podnoszą zwierzchnie; góra trupów rośnie, dusi żywych. A ponad wszystkiem Czerwony śmiech, jako straszliwa lecz władna istota, która niesie zniszczenie, i śmierć, i szał, i grozę...

»Czerwony śmiech« uważam za poemat jakiegoś opętania ludzkiego. Nic normalnego, nic spokojnego: groza, przerażenie, ból, potworne sny i wizye, jakie zdoła wymyśleć wyobraźnia obłąkańca. Jest to zatem liryczny poemat, którego zamiarem napełnić duszę czytelnika uczuciami, jakie miotały uczestnikami wojny. Dzięki wynalazczej, żywej i plastycznej wyobraźni liryki, wstrząsają do głębi — z początku. Potem snując się bez przerwy jednostajnym tonem nużą i dręczą, jak sen okropny. Zmysł estetyczny czytelnika natrętnie domaga się jakowejś fabuły. W pierwszej części zespala okruchy te w całość przynajmniej jedna postać ludzka i jej losy. W drugiej wszelako znika i ta wątła więź. Uczucia ludzkie, smagane okrutnemi widzeniami, nie są w stanie z jednakiem napięciem ich śledzić. Poemat, obejmujący ośmdziesiąt stron opisu ostrych cierpień, pod koniec bardzo nuży i prawie wrażenie bólu wywiera.

Ale w żadnym innym symbolicznym utworze Andrejewa nie wypowiedział się tak dobrze pessymizm pisarza, ponury pogląd na świat i życie, talent rembrandtowski, oświetlający pomrokę gęstwą złowrogich świateł i lic boleśnie wykrzywionych. W symbolicznych kreacyach, zwłaszcza w »Czerwonym śmiechu« Andrejew okazał się poetą tego, co w życiu ciężkie, tajemnicze, niepojęte, straszne, co nieznośnie i bez ukojenia boli, co budzi tęsknicę wyciska łzy żalu za minionem szczęściem. Cień nad światem, olbrzymi, bezkształtny, posępny i złowrogi cień nad światem,

a całe niestrojne i wrzawliwe wesele świata, cały zamęt i kręt świata czemś wprost obłędnem wobec tego olbrzymiego, złowrogiego i posępnego cienia...

Tak i jednemu z naszych poetów przedstawiało się życie, gdy pisał:

Jest trosków, kolców, bólów niemało w tem życiu
I więcej niż na jawie płynie łez w ukryciu;
A kto się hucznym śmiechem wśród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu — szczęsnym się nazywa.

(Dok nast.).

Antoni Mazanowski.

KWESTYE EGZEGETYCZNE

W OSTATNICH DZIESIĘCIU LATACH.

(Dokończenie).

II.

Niektórzy egzegeci katoliccy usiłowali w ostatnich latach rozwiązać problem, odwołując się na różnicę rodzajów literackich, używanych w Piśmie św., oraz na teoryę domyślnych cytacyi [1].

---

[1] Rozwiązanie oparte na różnicach rodzajów literackich, podał pierwszy szczegółowo O. Lagrange O. P. w poważnym artykule redagowanego przezeń czasopisma *La Revue biblique* p. t. *L'inspiration et les exigences de la critique* (octobre, 1896, str. 496—518). Zob. tego samego autora *La méthode historique* (1 wyd.) O. Ferd. Prat T. J. opiera się również na tej zasadzie w artykule »O historykach natchnionych i ich źródłach« (*Les historiens inspirés et leurs sources, Etudes* 20 février, 1901, str. 482, 483), tudzież w broszurze: *La Bible et l'histoire*, 1904. Podobnież także ks. Alf. Durand T. J. (*L'autorité de la Bible en matière d'histoire*, w czasopiśmie *La Revue du Clergé français*, décembre 1902, str. 8); ks. F. Hummelauer T. J. *Exegetisches zur Inspirationsfrage*, 1904; oraz znakomity artykuł ks. Sydney Smith T. J.: *The nature of inspiration* z okazyi poprzednio wymienionego dzieła (*The Month*, styczeń 1905); por. H. Höpfl O. S. B.: *Die höhere Bibelkritik* 1902 i *Das Buch der Bücher* 1904.

Teoryę cytacyi domyślnych proponował i rozwinął pierwszy, jak sądzę, z pośród katolików dr. Clarke w *Tablet*, 11 grudnia 1897. Ks. Ferd. Prat i ks. Alf. Durand T. J. oświadczyli się za nią i bronili jej w powyżej wspomnianych rozprawach.

Ks. A. J. Delattre T. J. zwalcza pracę O. Lagrange'a *La méthode historique*, w dziele zatytułowanem: *Autour de la question biblique* (1904).

Przyjrzyjmy się z kolei obydwom teoryom. Najprzód tedy o teoryi rodzajów literackich.

»Niema żadnej formy literackiej, używanej przez pisarzy świeckich, którąby nie była godną natchnionych autorów: apologia, allegorya, poezya, utwory, którebyśmy dziś nazywali powieścią obyczajową lub powieścią historyczną — to wszystko może się nadać do celów dydaktycznych i, co za tem idzie, może być przedmiotem natchnienia Bożego. Co więcej, niema żadnego powodu, żeby kompilacya nawet, ów najpośledniejszy rodzaj literacki, który ledwie że upoważnia kompilatora do tytułu autorstwa, nie mogła przybrać charakteru księgi kanonicznej, jeśli pisarz natchniony posługuje się nią w celu udzielenia nauki w rzeczach religijnych« [1].

Ks. Brucker T. J. w sprawozdaniu o pewnej książce, wydanej w tej dziedzinie przed dwoma laty, tak się wyraża: »Ks. Hummelauer rozróżnia w opowiadaniach Starego Testamentu bajkę, przypowieść, poezyę epiczną, historyę religijną, historyę pierwotną, podanie ludowe i rodzinne, opowiadanie wolne, *midrasch*, opis proroczy lub apokaliptyczny, — ale nie znajduje w nich historyi ścisłej w dzisiejszem tego słowa znaczeniu: według jego zapatrywania żaden pisarz biblijny nie zamierzał przedstawić ścisłej prawdy we wszystkich szczegółach swego opowiadania. Zatem, jakkolwiek inspiracya rozciąga się do wszystkich twierdzeń natchnionego pisarza, to jednak gwarantuje tylko te, które autor wyraźnie chce wypowiedzieć; a więc nie upewnia wcale o ścisłej prawdziwości wszystkich szczegółów opowiedzianych, skoro sam autor nie miał jej na myśli«.

Przedłużmy jeszcze trochę ten cytat, bo warto się zapoznać z oceną takiego sposobu widzenia ze strony ks. Bruckera, którego prace cieszą się uzasadnioną sławą prawowierności. »Co dotąd się rzekło, dodaje, wszystko to można przyjąć, owszem wszystko to ma za sobą pozory słuszności. Niechaj nikt nie mówi, że takie zapatrywania wychodzą na jedno z potępioną hipotezą, która

---

[1] Ks. F. Prat T. J.: *La Bible et l'histoire*, str. 30, tudzież *Etudes*, 20 lutego 1901, str. 482.

zacieśnia inspiracyę. Bynajmniej, natchnienie wszystkich twierdzeń Ksiąg św. pozostaje tu nietkniętem; co się osiąga w tej teoryi, to to mianowicie, że ona uwydatnia rozmaite stopnie w twierdzeniach natchnionego pisarza i stąd wypływa, że podobnie jak opowiadania, roszczącego sobie pretensyę tylko do prawdy w przybliżeniu, natchnienie nie przekształca w kategoryczne twierdzenie, tak samo nie daje ono historycznej ścisłości takim rodzajom literackim, które, czy z natury swej, czy skutkiem zamiaru autora ścisłości takiej mieć nie mogą« [1].

»W obecnej chwili — powiada mgr. Douais, biskup w Beauvais, w liście wystosowanym do duchowieństwa swojej dyecezyi o studyum Pisma św. (1905) — nastręcza się nam teorya, oparta na rozróżnieniu form opowiadania literackiego, która to teorya kilkakrotnie a nawet w ostatnim jeszcze czasie została wypowiedzianą ze znajomością fachową i należytem umiarkowaniem. Tę zasadę krytyki biblijnej uważam za stwierdzoną« (str. 67).

Atoli jakie znaczenie nada owo rozróżnienie rodzajów literackich pojęciu nieomylności Ksiąg św., by nieomylność ta pogodzić się dała z faktami wyżej wymienionymi? Oto odpowiedź!

Natchniony pisarz posługuje się mową ludzką; trzeba zatem przykładać doń miarkę zwyczajnych praw mowy ludzkiej. Kiedy przytacza jakąś rzecz, ale nie wydaje sam o niej sądu, nie ręczy za nią, nie bierze na się odpowiedzialności, — kiedy podaje ją tylko jako prawdopodobną, lub też nie przywiązuje do niej żadnej szczególniejszej wagi, lecz raczej pozostawia ją w opisie jako szczegół drugorzędny, mogący być prawdziwym lub fałszywym bez wpływu na znaczenie opowiadania, — wtedy, choćby nawet przytoczony takim sposobem szczegół był rzeczywiście fałszywy, nie można jednak wcale powiedzieć, że autor się pomylił, przytaczając ów szczegół. Zachodzi wtedy niedokładność, błąd materyalny, czyli, że rzecz wzięta materyalnie, według dosłownego brzmienia wyrazów, nie odpowiada rzeczywistości, ale

[1] *Etudes* 20 stycznia 1905, str. 262, 263. Podkreślenie moje.

niema wcale błędu formalnego, gdyż autor nie miał zamiaru podania za prawdę owego szczegółu.

Łatwo zrozumieć na przykładzie, jak to samo zdanie może w jednej książce zawierać błąd formalny, podczas gdy w innym utworze będzie po prostu błędem materyalnym, według tego, jakim był zamiar i cel, który autorowi stał przed oczyma. Weźmy traktat św. Franciszka Salezego »O miłości Bożej«. Czy nazwiemy tu »formalnymi błędami« szczegóły, materyalnie błędne, jak np. porównania wzięte z historyi naturalnej, same w sobie niedokładne? Zapewne nie, albowiem odnośne ustępy bez względu na to, czy są prawdziwe czy fałszywe, służą wyłącznie za porównanie do illustracyi czegoś innego i jako takie wiodą do celu zamierzonego przez autora. Jeśli nie znajdziemy w traktacie o miłości Bożej błędu w zakresie teologii mistycznej, powiemy śmiało i po prostu, że nie zawiera on błędów, jakkolwiek napotyka się w nim owe, materyalnie niedokładne szczegóły naukowe. Przeciwnie, w rozprawie z historyi naturalnej te same szczegóły byłyby formalnymi błędami dlatego, że tam afirmacya owych szczegółów leżałaby w zamiarach samego autora.

Jest więc rzeczą największej wagi zrozumieć dobrze, co autor chce twierdzić i w jakim stopniu przywiązuje znaczenie do swoich twierdzeń. Otóż »doniosłość i rozciągłość twierdzeń jakiegoś autora poznajemy z rodzaju literackiego jego utworu, oraz z praw, którym podlega mowa ludzka«[1].

A zatem, by wyrobić sobie słuszny pogląd o jakimś natchnionym autorze i nie domagać się od niego, pod karą przypisania mu rzeczywistego błędu, więcej, niż on sam chciał powiedzieć, należy przedewszystkiem zadać sobie pytanie, jakim jest cel jego księgi: czy zamierzał podać rozprawę religijną, czy obyczajową, czy może historyczną lub naukową? Należy dociec, jaką formę literacką obrał dla swego utworu: prozę czy poezyę, historyę czy fikcyę i t. d.

Powszechnie dziś przyjęto zdanie, że zadaniem Pisma św.

---

[1] P. Fr. Prat S. J.: *Etudes* 1901, str. 496.

nie jest szerzenie nauk przyrodniczych, astronomicznych i t. p.— i proces Galileusza przydał się na to, by prawdę tę wyświetlić. Chaldejczycy, którzy nie posiadali natchnionych ksiąg, w tych naukach o wiele dalej postąpili aniżeli Żydzi. Według trafnego powiedzenia Baroniusza Pismo św. nie na to nam dano, by pokazać nam, jakie są szlaki nieba lecz na to, aby nas pouczyć, którędy wiedzie droga do nieba.

Zachodzi teraz pytanie, czy zasady, przyjęte w stosunku do nauk przyrodniczych, dają się również zastosować do historycznych ustępów Pisma św. Kwestya ta jest bardziej subtelna i nie daje się sprowadzić do wspólnego mianownika; tego rodzaju zastosowanie wymaga wielkiej przezorności, albowiem historya ma o wiele większą styczność z dziedziną wiary i obyczajów, aniżeli nauki przyrodnicze. Zapewne, Pismo św. nie miało bezpośrednio na względzie dać nam podręcznik ścisłej, naukowej historyi. Ks. Cornely T. J. słusznie to zaznacza: »Komentator Pisma św. jak najbardziej powinien baczyć na to, by nie chciał w Księgach św. szukać tego, czego autor natchniony dać nie zamierzał. Księgi św. bowiem nie w tym celu są nam dane od Boga, byśmy z nich mieli uczyć się historyi i chronologii, lecz na to, abyśmy w nich zbawienia szukali. Co św. Augustyn powiada o kwestyach przyrodniczych, jest również prawdziwem w zakresie historyi: »Duch Boży, który przemawiał przez pisarzy natchnionych, nie chciał pouczać ludzi o tych rzeczach, nie przedstawiających żadnej korzyści dla zbawienia« [1].

Jednakże, historya narodu żydowskiego z jednej, a historya ewangeliczna z drugiej strony są podstawą objawionej religii, podwaliną prawdziwej nauki dogmatycznej i obyczajowej; i o tyle, co za tem idzie, jest ona sama w istotnych swych punktach

[1] »Quam maxime enim cavere debet (interpres), ne illa in libris sacris invenire velit, quae tradere noluerunt. Etenim eum in finem nobis non sunt dati, ut historiam chronologiamque nos docerent, sed ut nobis salutis essent fontes. Quod de rebus naturalibus docet S. Augustinus, id eodem modo de historicis verum est: ‚Spiritus Dei, qui per scriptores sacros loquebatur, noluit ista docere homines nulli saluti profutura'«.

Cornely: *Historica et critica Introductio in U. T. libros sacros*, vol. I, editio altera, 1894, p. 603.

przedmiotem twierdzeń natchnionego pisarza, oraz zagwarantowaną od błędu przez natchnienie Boskie.

Teorya domyślnych cytacyi pokrewną jest omówionej dotąd zasadzie różnych rodzajów literackich. Śledzi ona jak daleko rozciąga się odpowiedzialność natchnionego pisarza, zadowalniającego się rolą kompilatora.

Rolę kompilatora obrałem na przykład dla siebie w niniejszym artykule, nie tyle dlatego, by zasłonić się przed odpowiedzialnością za wyrażone tu poglądy, ile aby dać dosyć dokładne i zupełne pojęcie aktualnych kontrowersyi. Posłuchajmy najprzód ks. F. Prata T. J., co rozumieć należy pod domyślną cytacyą.

»Cytacya domyślna jest to przytoczenie w tekście cudzych słów lub zdań bez zwykłych oznak cudzysłowu. Gdyby czytelnik współczesny, do którego książka wprost się zwraca, nie zdołał poznać się na tem, mielibyśmy kradzież literacką, albo przynajmniej— w epoce, w której własność literacka jest nieznaną - wygodną i oszczędną metodę wyrażania swoich idei za pomocą gotowych zdań drugiego. Ale w pierwszym jak w drugim wypadku autor przyjąłby na siebie odpowiedzialność za prawdziwość potajemnie zapożyczonych ustępów i ustępy obce słusznie byłyby uważane za wyraz jego własnej myśli.

»Drukarska sztuka pozwala nam dzisiaj na oznaczenie cudzysłowu bez wymienienia autora. Ale niekiedy wszelki zewnętrzny znak staje się tu zbytecznym: wiersz poezyi wśród całego ustępu prozy, frazes łaciński w toku francuskiego utworu, przysłowia, zwroty znane w historyi, pewne ustępy Pisma św., które cały świat umie na pamięć, wyodrębniają się bezpośrednio z kontekstu i nie trudno wiedzieć, komu przypisać ich autorstwo. Oto, co można nazwać domyślną cytacyą«.

»Czy istnieją w Biblii domyślne cytacye? Bez wahania trzeba odpowiedzieć: tak« [1].

Ks. Prat wykazuje bardzo trafnie istnienie domyślnych cytacyi w Piśmie św., ale kiedy chodzi o stopień gwarancyi, jaką do nich przywiązuje natchniony autor, porusza on tylko

[1] *La bible et l'histoire,* str. 46, 47.

zagadnienie, nie chcąc go rozwiązać, ba nawet unika roztrząsania tego zagadnienia. Ks. L. Hackspill napisał w tym przedmiocie kilka wybornych uwag, z których wyjmuję następujący ustęp: Jeżeli autor »w jakikolwiek sposób daje nam do zrozumienia, że niema na myśli sensu ściśle historycznego, że nie bierze na siebie odpowiedzialności za wszystkie szczegóły, zawarte w jego źródłach,— to któż nas upoważni przypisać mu to, czego on nie chce powiedzieć, i zarzucić mu błędy w rzeczach, których on nie chce twierdzić?... Jeżeli coraz odsyłając nas do źródeł, albo odtwarzając opisy, które gdzieindziej odnajdujemy w formie prawie identycznej, milcząco oświadcza, że posługuje się historyą taką, jaką znalazł w źródłach wówczas istniejących, że używa jej jako narzędzia w sprawie nauki religijnej, czyż w takim wypadku nie będziemy mieli prawa przypuścić, że on ręczy za historyczność przytoczonych zdarzeń tylko w pewnej względnej mierze? Oczywiście i właśnie przez zużytkowanie tych źródeł zaznacza autor, że nie uważa ich za kłamliwe, oczywiście wyłącza ponadto błędy religijne, gdyby miały w nich miejsce, gdyż nie dają się one pogodzić z natchnieniem ni z zamiarem autora dania nauki w rzeczach religii, oczywiście nareszcie ręczy za ten stopień historyczności, jaki jest niezbędny i jaki wystarcza dla jego celu: ale czemuż miałby z tą samą ścisłością twierdzić i gwarantować szczegóły tych opisów, szczegóły zupełnie drugorzędne i obojętne dla zakreślonego sobie celu, szczegóły nie zgadzające się bardzo często w równoległych opisach [1].

W praktycznem zastosowaniu tych zasad, mianowicie kiedy chodzi o określenie, co w opowiadaniu autora jest drugorzędnym szczegółem, nie podpadającym pod odpowiedzialność autora, lub jakim jest dokładnie właściwy charakter takiego opisu, oraz w jakiej mierze taka forma literacka pozwala na wolniejsze historycznie tłumaczenie opowiedzianych zdarzeń, — bez wątpienia okażą się wśród egzegetów rozmaite poglądy. Tak ks. Brucker po cytowanym wyżej ustępie zaraz dodaje: »Jeśli zasada r o d z a j ó w

[1] »L'inspiration scripturaire, à propos d'un livre récent« dans le *Bulletin de Littérature ecclésiastique,* publié par l'Institut catholique de Toulouse, février—mars, 1905, str. 59, 60.

literackich nie naraża swych zwolenników jeszcze na poważne zarzuty, to może inaczej ma się rzecz co do zastosowań, jakie z niej czyni ks. Hummelauer względem Księgi Rodzaju, której historyczny charakter zdaje się za wiele osłabia«.

Atoli niepewność ta, w jakiej mierze można robić użytek z danej zasady, nie upoważnia nikogo do wniosku, że sama zasada jest fałszywą. Ks. A. Durand T. J. bardzo słusznie zwrócił na to uwagę: »Bynajmniej nie jest prawdą, jakoby ta zasada upoważniała do ogólnego sceptycyzmu na całej linii historyi biblijnej, podobnie jak etyce biblijnej nie uwłacza to wcale, że czytamy w biblii o kłamstwie Jakóba i kazirodztwie Judy, nie potępionych wyraźnie przez autora, lub że odnajdujemy w niej pozbawioną wszelkiego komentarza opowieść o cudownem podniesieniu piękności Judyty w celu łatwiejszego usidlenia Holofernesa, lub wreszcie pochwałę Razyasza za to, że samobójstwem życie sobie skrócił. Jeżeli w takich razach natchniony autor milczy i nie wypowiada swego sądu o wartości moralnej tego rodzaju faktów, to chyba dlatego, że ich opis sam za siebie dosyć mówi« [1].

Brak dokładnej znajomości Ksiąg świętych oraz trudności, z jakiemi krytyk musi się spotykać; niekiedy może brak pewnego i wykończonego sądu teologicznego, lub dzielności umysłu, by śmiało wyjść na spotkanie zawiłych zagadnień, a może jednoczesny zbieg tych wszystkich okoliczności powoduje to zjawisko, że niektórzy autorowie katoliccy odrzucają *a priori*, ryczałtem, całkowicie i energicznie powyżej wyłożone zasady. Ks. Schiffini T. J. naprzykład, formułuje tę tezę w wyrazach przypominających dysputy XVI wieku. »Również należy odrzucić ową metodę, psującą Pismo św., którą niektórzy nowsi egzegeci podają pod kłamliwą nazwą domyślnych cytacyi« [2]. Inny teolog, który nad ks. Schiffinim ma tę wyższość, że studyował kwestyę w sposób daleko bardziej wyczerpujący, tudzież z większym spokojem, ks. Chrystyan Pesch T. J., tak się wyraża o teoryi

[1] *Revue du Clergé français*, 1 grudzień 1902, str. 29.

[2] Reprobanda est pariter altera illa corruptio Bibliorum, quaea novellis quibusdam exegetis sub ementito nomine citationum implicitarum circumfertur. *Divinitas Scripturarum*, 1905, str. 162. Podobne tezy można znaleźć

domyślnych cytacyi w poważnem swem dziele, wydanem świeżo w tej materyi: »W niewielu miejscach są przytoczone ustępy, wyjęte z innych pism bez wzmianki jednak o tem. Takie ustępy dają się należycie wyjaśnić tylko jako domyślne cytacye, zachowujące to znaczenie, jakie posiadały w dokumentach, z których je zaczerpnięto. Takiego rodzaju więc cytacye nie sprzeciwiają się natchnieniu Bożemu«[1]. Dodaje następnie, że nie powinno się tego lub owego ustępu, sprawiającego trudność, uważać dowolnie za domyślną cytacyę. To samo właśnie odpowiedziała Komisya biblijna na zapytanie w tej kwestyi: Czy wolno katolickiemu egzegecie w celu rozwiązania zawiłych trudności twierdzić[2], że mamy tu do czynienia z ukrytą lub domyślną cytacyą jakiegoś dokumentu, nie zagwarantowanego przez natchnionego pisarza? Oczywiście, że nie! Tylko wtedy wolno przypuścić takiego rodzaju cytacye, jeśli za niemi przemawiają poważne dowody. Taka jest treść decyzyi z dnia 13 lutego 1905 r.[3]

Podobnież rzecz się ma z teoryą rodzajów literackich. Ks. Pesch nie jest nieprzejednanym ich wrogiem, jak Billot i Schiffini.

Widać zresztą, że te teorye przyjmują się coraz bardziej nawet w kołach katolickich autorów, znanych ze swej naukowości zarówno jak i prawowierności. Tak np. czasopismo *l'Ami du Clergé*, cieszące się zasłużoną opinią pewnej i zdrowej nauki, ogłasza w numerze z 22 marca 1906 r. długi artykuł o aktualnych kwestyach biblijnych pod tytułem: »Uwagi i wspomnienia starego moralisty«. Czytamy tam, z okazyi zestawienia opisów Księgi Ro-

---

w dziele ks. Billot *De inspiratione Sacrae Scripturae*, oraz w książce ks. Murillo: *Critica y Exegesis*. Tezy te żadnego nie mają widoku zwycięstwa: nie opierają się na faktach, lecz jedynie na wątpliwem pojęciu inspiracyi, na pojęciu metafizycznem, *a priori*, podnoszącem nad miarę dane wiary i określenia soborów.

[1] *De inspiratione Sacrae Scripturae*, 1906, str. 542.

[2] Podkreślenie moje własne.

[3] Zob. *Revue biblique*, kwiecień 1905, str. 161, lub Pesch w cytowanem dziele str. 543, nota 2. — Por. inną odpowiedź Komisyi biblijnej o opisach mających pozór historyi, a nie będących historyą ścisłą, *Revue biblique*, lipiec 1905; Pesch, dzieło cyt. str. 504, nota 1.

dzaju z opowieściami babilońskiemi, co następuje: »Może więc zdarzyć się, że po obu stronach mamy »historyę«, jak również po obu stronach mogłaby trafić się »bajka«, w razie, jeśli osnowa tekstu biblijnego wprost pozwoliłaby na wniosek o zapożyczaniu skądinąd jakiegoś ustępu nakształt cytacyi. Jakąkolwiek przyjmie się hipotezę, niema formalnego błędu, który należałoby włożyć na karb inspiracyi, tudzież niema nic, coby mogło jej dotykać z powodu ułomności ludzkich, które z wszelką koniecznością muszą istnieć w Piśmie św.« (str. 247).

Podobnież ks. Lesêtre, proboszcz w Saint-Etienne-du-Mont, konsultor Komisyi biblijnej, znany ze swej prawowierności, autor pokaźnego szeregu artykułów w *Dictionnaire de la Bible,* rewizor dzieł, wydawanych w dyecezyi paryskiej, będący w najlepszych warunkach, by zdać sobie sprawę z położenia i z intellektualnych potrzeb naszych czasów, napisał świeżo w *Revue pratique d'Apologétique* szereg artykułów o »opowiadaniach historyi świętej«[1]. Wykazuje tam jasno, że wobec postępu krytycznych i naukowych badań nie można wcale przypuścić w niektórych ustępach Genezy historyi dokładnej i ścisłej. Mówiąc o długości życia pierwotnych patryarchów tak kończy: »Byłoby zatem rzeczą niemądrą wciągać w zakres wiary czy chronologię biblijną pierwszych wieków, czy długie życie, przypisywane pierwotnym patryarchom. Wiek, do jakiego dochodzili patryarchowie późniejsi, nie przekracza możliwych granic życia ludzkiego. Abraham żył 175 lat, Izmael 137, Izaak 180, Jakób 147, Józef 110, Mojżesz 120, Jozue 110, Joïada 130 i t. d. Tak podeszły wiek tłumaczy się sposobem życia tych patryarchów. Historya zapisała od owego czasu pewną ilość wypadków podobnej sędziwości. Ale zdaje się, że sędziwość, dochodząca do dwustu lat i więcej, nie odpowiada wcale rzeczywistości historycznej. Nie byłoby więc rzeczą właściwą obstawać przy rzeczywistej tego rodzaju sędziwości, odwołując się jedynie do powagi Pisma św., którego rozumienie w danym razie jest co najwięcej problematyczne[2].

---

[1] W numerach z 15 stycznia, 1 lutego, 1 kwietnia, 1 maja 1906.
[2] 1 maja str. 128—129.

Nim zakończymy, wypada nadmienić jeszcze kilka słów, tyczących się autentyczności Pisma św. I w tej dziedzinie dyskusya zrobiła znaczny postęp w ostatnich latach. Powoli ustala się zapatrywanie, że należy bardzo starannie rozróżnić kanoniczność Ksiąg św., t. j. fakt dla każdego katolika niewątpliwy, iż zostały napisane przez autorów natchnionych, od autentyczności czyli pochodzenia tej księgi od tego lub owego pisarza. Co się np. tyczy autentyczności drugiej części Izajasza (rozdz. 40—66), pierwszorzędny katolicki autor, Wawrzyniec Reinke, jakkolwiek sam jest za jej autentycznością, jednak zauważa: »Wolno katolikowi przyjąć nie-autentyczność jakiejś części pod warunkiem uznania, że proroctwa, które odmawia Izajaszowi, należy uważać za słowa innego prawdziwego proroka« [1]. Dziś na przykład oświadczać się za pochodzeniem Ekklesiastesa od Salomona, znaczyłoby to stawiać się w położenie dość niewygodne nawet z punktu widzenia teologicznego, a w położenie wprost błędne z punktu widzenia naukowego [2].

Najważniejsza ze wszystkich tego rodzaju kwestyi, kwestya autentyczności Pięcioksiągu, obecnie mniej przeraża teologów, aniżeli przed dziesięciu laty. W dziełku, wydanem r. 1903 w Rzymie i aprobowanem przez Mistrza pałacu apostolskiego, dawny profesor teologii wyraził swoje zdanie w następujących słowach [3]: »Pozostawiamy na uboczu kwestyę o pochodzeniu Pięcioksiągu czy sześcioksiągu... ponieważ o tej kwestyi rozprawiają dziś katoliccy pisarze niezależnie od kwestyi natchnienia owych ksiąg. Wszyscy bowiem uznają natchnienie Boskie tych Ksiąg w całej ich rozciągłości, zarówno ci, którzy przyjmują, że owe Księgi zostały spisane przez Mojżesza, przez Jozuego lub nielicznych innych hagiografów, jak i ci, którzy, opierając się na dość licznych oznakach, z większem prawdopodobieństwem mniemają [4],

[1] *Die messianischen Weissagungen bei den grossen und kleinen Propheten des A. T.*, t. II (1860) str. 485, 486.

[2] Zob. »Studya nad Ekklesiastesem«, ogłoszone przeze mnie w *Revue biblique* (październik 1899; styczeń i lipiec 1900).

[3] P. D. Zanecchia O. P.: *Scriptor sacer sub divina inspiratione iuxta sententiam Card. Franzelin*, str. 83.

[4] Podkreślenie moje.

iż w postaci nam przekazanej księgi te pochodzą od większej liczby pisarzy natchnionych, którzy je napisali w przeciągu wieków, a nawet po niektórych innych św. Księgach« [1].

Oto zapatrywania, z któremi zapoznać czytelników uważaliśmy za stosowne, nie ręcząc bynajmniej osobiście za ich prawdziwość.

Dla wielu czytelników wyłożone przez nas poglądy wydadzą się może zbyt nowymi, lub nawet rażącymi i niepokojącymi. Niech się uspokoją, niech zaufają żywej i nieomylnej powadze nauczycielskiej Kościoła. Niech przypomną sobie, że było wiele innych zapatrywań w niemniej ważnych rzeczach, które zostały ostatecznie przyjęte lub odrzucone po długich kontrowersyach. Dyskusye tego rodzaju, byleby prowadzono je z umiarkowaniem, szczerością, szacunkiem dla Tradycyi, oraz w prawdziwym duchu uległości względem Kościoła, nie mogą zaszkodzić prawdzie, ani narazić na szwank katolicki dogmat. Właściwe niebezpieczeństwo istniałoby dopiero wówczas, gdyby się chciało subtelne te kwe-

---

[1] Po ukończeniu tego artykułu przez autora, Komisya biblijna ogłosiła dnia 27 czerwca b. r. odpowiedź na pytania, postawione jej w kwestyi autentyczności Pięcioksiągu. Streszczamy tu ten dekret, potwierdzony przez Ojca świętego, dla lepszej oceny poruszonych przez autora kwestyi.

Dowody, jakich dostarcza krytyka przeciw pochodzeniu Pięcioksiągu od Mojżesza, nie upoważniają jeszcze do twierdzenia, że Mojżesz nie był autorem tych Ksiąg, lub też, że Księgi te składają się po największej części ze źródeł późniejszych od ery Mojżeszowej. Natomiast można przyjąć, że Mojżesz nie napisał wszystkiego własnoręcznie, ani nie dyktował dosłownie; mógł bowiem myśli, pojętych pod wpływem inspiracyi, udzielić innym, by wiernie je oddali na piśmie, zastrzegając jednak sobie potwierdzenie tak zredagowanych ksiąg. Ze względu na autentyczność Pięcioksiągu można bez trudności przypuścić, że Mojżesz posługiwał się do napisania swego dzieła pisemnymi dokumentami lub ustnemi podaniami, z których stosownie do założenia swego, oraz pod wpływem natchnienia Bożego korzystał, podając je dosłownie lub tylko w głównych zarysach; mógł także te źródłowe materyały skracać lub obszerniej rozwijać. Można wreszcie, z uległością zawsze dla sądu Kościoła, przyjąć bezpiecznie, że w ciągu tylu wieków zaszły pewne zmiany tekstu, czy to wskutek późniejszych dodatków, czynionych po śmierci Mojżesza oraz przez natchnionego jakiegoś pisarza, czy wskutek głos i uwag w tekście zrobionych, czy z okazyi odpisywań, tłumaczeń z języka dawnego na język późniejszy, tak dalece, że otwiera się szerokie pole dla badań krytycznych.

Przypisek Redakcyi.

stye rozstrzygać dorywczo na podstawie zasad apriorystycznych, rozwiązywać zbyt pochopnie i naiwnie.

Nie zapominajmy nigdy, że za dni naszych Kościół musi się potykać nie z Saracenami i Turkami, ale z mężami nauki, na polu wiedzy. Tu właśnie rozgrywa się i rozgrywać się będzie coraz bardziej ta wielka batalia zarówno w dziedzinie metafizyki, jak w zakresie historyi i antropologii, w kwestyi biblijnej podobnie jak w kwestyi socyalnej. O cokolwiek bądź się rozchodzi, trzeba będzie zawsze stanąć po stronie nauki, jeśli ona odkryje jakąś prawdę i należycie ją udowodni. W tym celu prace krytyków należy poddawać pod ścisłą kontrolę, aby starannie odróżnić, co w ich wynikach jest nauką ścisłą, zdobytą już prawdą, a co pozostaje jeszcze domysłem, niestwierdzoną dotąd hipotezą. Przesadna nieufność względem krytyki, bezwzględne potępianie wszystkich prac i metod innowierców może wydać zgubne następstwa dla sprawy katolickiej. Bez wątpienia, trzeba otwarcie potępić np. teorye Loisy'ego, stykające się z nieokreślonym adogmatycznym protestantyzmem, trzeba piętnować ostro te wybryki, które tak znaczną wyrządziły krzywdę katolickiej krytyce, wywołując ruch reakcyjny wtenczas, kiedy należało postępować z umiarkowaniem naprzód. Ale należy także zrozumieć złe następstwa przesadnego konserwatyzmu, który nasuwa myśl, że nauka katolicka nie da się pogodzić z wiedzą, lub że narzuca szereg dogmatów, stojących w przeciwieństwie do najbardziej sprawdzonych faktów. Czyż nie należy uważać za niewczesne, nierozważne a nawet niebezpieczne dzieł pewnych nieprzejednanych konserwatystów, którzy podają tylko broń wrogom Kościoła, mieszając dogmat z dowolną opinią, zasłaniając dwuznacznem hasłem »Tradycyi« — jak gdyby zawsze chodziło o Tradycyę teologiczną — wszystko cokolwiek przyjmowano w ubiegłych czasach, pozbawionych częstokroć możliwości dokładnych historycznych i egzegetycznych badań, w dodatku w kwestyach, nie stojących w bezpośrednim związku z wiarą?

Taktyka zrzekania się z żalem tylko poglądów, nienadających się już do obrony, taktyka postępowania naprzód dopiero wówczas, kiedy zmusza do tego śmieszność poprzedniej sytuacyi,

taka taktyka poniża katolicką wiedzę i monopol szukania i wynajdywania prawdy we wszystkich historycznych i biblijnych zagadnieniach, w których krytyka nie wypowiedziała ostatniego słowa, przyznaje niedowiarkom. Takie postępowanie jest przyznaniem się do własnej nieudolności naukowej.

Niewczesność i nieroztropność przesadnego konserwatyzmu nie tylko ośmiesza wiedzę katolicką w oczach niewierzących, ale nadto wystawia na niebezpieczeństwo wiarę samychże katolików. Stawiając na jednej linii z dogmatami wiary pewne tradycyjne poglądy, podlegające jednak dyskusyi, naraża się wielu na to, że skoro fałszywość owych poglądów zostanie stwierdzoną naukowo, mogą się zachwiać w wierze, gdyż nie będą umieli odróżnić prawdy katolickiej od dowolnych opinii ludzkich. Nieroztropnością jest wielką traktować naukę Kościoła jako ostatecznie ustaloną, lub przypuszczać, że została ona dotkliwie zaatakowaną przez jakieś wyniki naukowe. W takim razie bowiem umysły, szczerze dążące do prawdy, widziałyby się zmuszonymi, wybierać między wiedzą a wiarą: niebezpieczeństwo zaiste poważne, odpowiedzialność wielka!

Jak we wszystkich zagadnieniach, tak i w tej kwestyi trudno istotnie wytknąć dokładnie prawdziwą pośrednią drogę. Wobec tego najbardziej pożądaną jest rzeczą — bo czas nagli — aby egzegeci katoliccy, unikając zarówno niebezpiecznej śmiałości, jak przesadnej bojaźni, pracowali nad wspólnem zadaniem w duchu zgody, w duchu tej życzliwej miłości, o której św. Ignacy Lojola powiada na czele swoich ćwiczeń duchownych: »Trzeba przyjąć z góry za pewnik, że każdy dobry chrześcijanin skorszym jest do tłumaczenia na dobre zdania bliźniego, aniżeli do potępiania go; gdyby zaś nie mógł tego zdania na dobre wytłumaczyć, to powinien pytać bliźniego, jak on sam zdanie swoje rozumie i jeśli je źle rozumie, powinien z miłością błąd jego naprawić«.

Ks. Albert Condamin.

MIHOVIL NIKOLIĆ

KARTKA Z WSPÓŁCZESNEJ LIRYKI CHORWACKIEJ.

»Ja lietam po tom svietu i sunčanom na traku.
Lepršam kao leptir, ogrievam dušu swoju,
I nosim toplo srce, u njemu pjesmu jaku,
Pripoviedam ju ljudstvu, da čuje povjest moju...«
(M. Nikolić).

Chcąc w kilku słowach scharakteryzować poezye i rodzaj talentu tego młodego poety chorwackiego, musielibyśmy dla nich użyć wyrazów: przyroda i miłość, łzy i wspomnienia szczęśliwej, lecz na zawsze minionej przeszłości, poczucie nicości świata i słabości człowieka, pragnienie szczęścia wyższego, nadziemskiego, szukanie duszy Boga wśród świata i ludzi, kontemplacyjna tęsknota za spokojem, swobodą i szczęściem.

Nad wszystkiem, nad całą poezyą Nikolića bez względu na jej rodzaj, treść i formę, zawsze i wszędzie unosi się dziwna melancholia. Jak delikatna mgła jasnych obłoków zasnuwa ona sobą słońce jego poezyi, przepuszczając promienie jej wszystkie przez wiotką tkaninę swej szaty. Stąd wszystkie te promienie zabarwione jedną jakby barwą, wszystkie struny harfy poety nastrojone do jednego, molowego akordu.

Ten molowy ton nie przypadł niektórym czytelnikom do smaku, nie przemówił do niektórych natur silnych, energicznych, męskich, stąd zasłużył sobie u nich na nazwę sentymentalizmu i czułostkowości. Tak jednak nie jest. Jest to indywidualne, ale

niesprawiedliwe, jednostronne zapatrywanie. Poezya Nikolića nie jest to kobieca czułostkowość, ani dziecinny sentymentalizm, chorobliwe lubowanie się we łzach i roztkliwianiu się, jakie spotykamy u epigonów poezyi odrodzenia, zwłaszcza u Arnolda, jest to specyalny rodzaj poezyi: poezya wiecznego pragnienia, które trawi wszystkie dusze szlachetne, wrażliwe; wypełnia wszystkie umysły głębsze, patrzące w przyszłość, roztrząsające liczne zagadki i problemy świata, ludzkości, duszy ludzkiej i t. p., pragnienie, które żyje w każdym z nas, u każdego jednak różnie się na zewnątrz objawia, zależnie od natury, charakteru, wysokości rozwoju duchowego jednostki. Nic więc dziwnego, że natury proste, nieskomplikowane, silne, męskie, nie mogły dosłyszeć i zrozumieć tych melodyjnych, ciszą wieczoru brzmiących, delikatnych tonów, które same sobą zgłuszyły.

To natura im zupełnie obca. Słaba i drobna wobec ich fizycznej mocy i hartu opoki, ale stokroć szczęśliwsza, bo wolna i lotna i zdolna do wzlotów na najwyższe myśli szczyty, i ponad nie, daleko w nieznane i dla ich oka niedostępne światy. Nikolić jest to poeta »moderny«, śpiewak swej duszy, wrażliwy i delikatny, to też każde drżenie jego duszy, każde bolesne, lub radosne westchnienie, każdy ważniejszy moment życia opanowuje go zupełnie i rodzi w nim pieśń. Dzięki tej jego »czułości« czytamy z poezyi jego całą walkę, jaką toczy młoda, idealna dusza z życiem, jego trudami i poziomością, z tą wieczną życiową kłótnią świateł i cieni, szlachetności i złego. Nie jest to owa chorobliwa, nowomodna poezya, poezya ludzi zniszczonych życiem, pokonanych i zabitych w najpiękniejszej dobie rozwoju, to jest poezya zdrowej, czystej młodości, która jednak, poznawszy ciemne strony świata i ludzi, ucieka od nich i kołysze się gdzieś na wyżynie, tęskniąc za wiecznym spokojem, wieczną swobodą. Czuje jednak, że pragnień tych nie ugasi i wtem widzi swój tragizm człowieka i nań się skarży w swych strofach, na nie narzeka, nad niemi płacze i boleje. »Nie jest to słabość, — jak słusznie powiada jeden z krytyków Nikolića, — a gdyby nawet była, to nie byłaby słabością, grzechem jednego człowieka, ni jednego pokolenia, ni je-

dnego wieku, ale całego człowieczeństwa i ogromu wieków, rozwoju ludzkości...«

Z drugiej strony widzimy w poezyi młodego poety znowu obok dziwnej, bezgranicznej melancholii, niepocieszonego smutku, zarazem siłę młodości, jej konieczną i stałą potrzebę i naturalną towarzyszkę: miłość. Poeta daje uczuciom jej ujście w całym szeregu utworów miłosnych, i tu jednak, doznawszy zapewne ciężkiego zawodu, popada w smutek i melancholię, z upodobaniem, jak mówi Słowacki — »zamyka się wśród ciemnych marzeń ciszy, ma sny i o chwilach prześnionych pamięta« szczęśliwy, kiedy może wspominać różowe lata młodości, miłości i swobody.

Gdybyśmy chcieli porównać poezye tego poety z poezyą naszych, lub bliżej nam znanych, obcych poetów, moglibyśmy rzec, że złączona w niej dziwna czystość, prostota i szczerość w odczuwaniu piękna przyrody i z drugiej strony słabości życia, nicości człowieka — Konopnickiej z młodzieńczą, lecz osłabioną życiem siłą, pragnieniem nigdy niezaspokojonej miłości — Tetmajera, — wszystko zaś owiane, jakby mgłą jesienną, wszystko posępnie szumiące, jakby chłodnym wiatrem jesieni, melancholią Verlaina.

Jakiejś ściśle określonej szkoły, jakiegoś wyraźnego kierunku poezyi Nikolića wskazać nie można, jak nie można go wskazać dla całej prawie nowszej literatury chorwackiej. Jest ona w okresie jakby »krystalizowania się« jakiegoś nowego kierunku, dziś jeszcze nie dosyć wyraźnego; obraca się, jakby w błędnem, choć barwnem kole najróżnolitszych zagadnień, pragnień i planów. I nic w tem nie będzie dziwnego, gdy weźmiemy pod uwagę, ilu wpływom ulega od razu, równocześnie prawie literatura chorwacka w dzisiejszym stosunkowo szybkim rozwoju: Ibsen i Strindberg, rosyjski realizm i Tołstoj, francuski naturalizm i Zola, Przybyszewski, który wielki zyskał w ostatnich czasach wpływ w Chorwacyi i resztki niezapomnianego jeszcze dobrze romantyzmu, samorodny wreszcie, polityką wzbudzony nacyonalizm, wszystko to oddziaływało w jednym czasie niemal na młode talenty Chorwacyi; nic więc dziwnego, że porwało je

niejako w wir i zamięszanie, nie pozwoliło przejść normalnie wszystkich procesów ducha, znaleźć jednej, specyalnej drogi, najodpowiedniejszej rodzajowi tych talentów.

Nikolić byłby ją może znalazł, lecz — jak sam mówi — nie chciał jej szukać i nie szukał, a może znalazł ją właśnie dlatego, że nie szukał, znalazł w swej własnej duszy i swem sercu. W przedmowie do swych poezyi («Pjesme« Zagreb. 1901 II. wyd.) pisze tak:

»...W każdą ze swoich pieśni wlałem wszystko swoje: i krew i ducha i myśl. Cokolwiek szło naprzeciw mnie w życiu: chłód, czy ciepło, pieśni moje są zawsze jękami mego bólu i mego szczęścia. Nie szedłem nigdy w mej twórczości za jakimś programem; ani też sobie nigdy, jako poecie, nie stawiałem zadania. Na piersiach przyrody: wśród lasów i dolin rodziły się moje pieśni. Ja przysłuchiwałem się dziewiczej pieśni wiosennej ptaszyny i smutnemu umieraniu ponurej jesieni. W starciu ze światem i życiem zadrżała niejedna struna w mojej duszy. Wszystkie jej wrażenia przemawiają z mych poezyi. Moja liryka jest moją powieścią; ona pisana jest dla serca. Swobodny, wysoko ponad przemijającymi więzami, jam zawsze śpiewał. jak czułem i wspominałem. W procesach mojej duszy leży źródło mojej poezyi...«

Tu powiedział poeta wszystko, co melodyjną muzyką dzwoni w jego poezyach, tu streścił całą treść swojego natchnienia i swej twórczości, a dalej dał i wyjaśnienie niejako swego smutku i melancholii, swego zamykania się wśród ciszy wspomnień i przeszłości. Wyznaje, że przecierpiał w życiu wiele, zawodów moc wielką doznał. Młodość najranniejszą miał szczęśliwą, radosną, miłości szczęśliwej przetkaną promieniami, o ile jednak szczęśliwą, o tyle krótką. Marzenia i nadzieje, jakie nosił w duszy, wszystkie się rozwiały. Najprostsze, najłatwiejsze cele, fatalnym zbiegiem okoliczności uszły w nieskończoność, stały się niemożliwemi do urzeczywistnienia; napróżno ręce ku nim wyciągał, wytężał wzrok i pieśnią duszy je wołał.

Natura podatna, wrażliwa, lecz słaba nie umiała się oprzeć bystro płynącym falom życia, dała się unieść daleko, daleko od celu swej drogi, aż omdlała, wyrzucona na samotną wyspę wspo-

mnień i rezygnacyi, wśród jej ciszy i spokoju odżyła; smutna i zamyślona, w duszy pełna żalu, w oczach łez perlistych pełna, wpatrzona w dalekie, przez mgły i tumany rozpienionych wód złocące się gwiazdy swych wspomnień, niedosięgnione słońce swobody. Przepaścią rozszalałych wód oddzielona, na skrzydłach poezyi tylko ku nim ulata, w promiennych blaskach ich się kąpie i łzy ich ciepłem suszy i smutek swój tęczą ich maluje. W poezyi rozpływa się cała, nią żyje, jej się poświęca i cała oddaje.

»Wszystko biedne i ciężkie, — pisze Nikolić dalej w przedmowie — co mi przynosiło życie na każdym kroku — zapada w zapomnienie, a przedemną pieśń się tylko dźwiga, jako świetlane jakieś bożyszcze... Ciebie jednej nie tknęli, Ciebie nie pohańbili, o jasna bogini moja!...«

Gdybyśmy chcieli szukać realnych przyczyn tego żalu i smutku poety, znaleźlibyśmy ich wiele w szczegółowej biografii Nikolića. W osobiste jednak przejścia i koleje życiowe młodego poety wchodzić i je roztrząsać dzisiaj byłoby przedwczesnem, poprzestanę więc tylko na wspomnieniu jednego z najważniejszych faktów z jego życia, który bardzo wielki, widoczny i zrozumiały wywarł wpływ na nastrój poety i jego poezyi [1].

---

[1] Mihovil Nikolić, urodził się 29 lipca 1878 roku we wsi Kričke, w kotarze Knińskim w Dalmacyi zagorskiej. Miejsce rodzinne opuścił będąc jeszcze małem dzieckiem, wynosząc z pomiędzy jego nagich, poszarpanych skał wieczną tęsknotę i smutek. Ojciec jego był grecko-katolickim proboszczem w Kričkach, skąd, po 30-letnim tam pobycie, przeniósł się do miasteczka Križevci w Chorwacyi właściwej; matka zaś z dziećmi, dla ich kształcenia, osiadła w Karlovcu. Matkę wspomina Nikolić w liście z wielką wdzięcznością, nazywając ją »prawdziwą słowiańską, poetyczną naturą, której zapewne ma do zawdzięczenia swe uczucie poetyczne«. Roku 1888 traci Mihovil ojca, a w 1891 matkę, opiekun zaś oddaje go do akademii handlowej w Zagrzebiu. Po ukończeniu nauk w r. 1896 dostał się do banku »Croatia«, w której jest do dzisiaj urzędnikiem. Z ludzi, z którymi go bliżej los związał, wspomina Nikolić Dr. J. Kopača, w którego domu był instruktorem i gdzie, zdaje się, zrodziła się pierwsza miłość, tudzież Dr. Mil. Dežmana, krytyka i poetę, który znacznie wpłynął na twórczość literacką Nikolića. Wpłynęły i inne czynniki na talent jego, bardziej osobiste, których jednak Nikolić nie zdradza przed światem, kryjąc je w głębi swej duszy· »Bo i czemuż — powiada w liście — artysta niema mieć prawa zachować coś i dla siebie?« (List Nikolića z dn. 4 grudnia 1904 r.)

Było to nagłe utracenie drogi i warunków do szerszego kształcenia się, którego młody poeta tak pragnął. Zdolny i bystry, przedwcześnie rozwinięty i pałający wielką żądzą wiedzy, nagle zmuszony został wyrzec się gorących pragnień i zwrócić się do pracy zimnej, rachunkowej, trzeźwej i tak znienawidzonej i przygnębiającej dla każdej natury wyższej, nerwowej i poetyckiej.

Oddanie się wbrew własnemu instynktowi, studyom handlowym było wielkim ciosem dla rozpoetyzowanego młodzieńca, wstrząsnęło całą jego istotą i nadało specyalny ton jego lutni. Widoczne to wyraźnie w pierwszych utworach Nikolića, pomieszczonych w »Prosvjecie«. Ten moment widocznie najsilniej odbił się w jego poezyi i najtrwalsze zostawił ślady; działały jednak i inne, w mniejszym może, ale również znaczącym stopniu.

* * *

Jak rozróżniliśmy powyżej dwie główne cechy w poezyi Nikolića, dwa główne motywy jego utworów: ogólno-ludzkie, a przynajmniej ogólno-poetyckie pragnienie swobody, tęsknotę do wolności i lepszego bytu, poczucie słabości i znikomości życia i świata, a z drugiej strony zamykanie się wśród własnych wspomnień przeszłości i szczęśliwej miłości, tak i poszczególne utwory Nikolića, pomieszczone w zbiorku p. t. »Pjesme«, możemy podzielić na dwie kategorye: o charakterze obszerniejszym, bardziej ogólno-ludzkim i o charakterze więcej zacieśnionym, odnoszącym się do uczuć i młodości samego poety, poezye miłosne.

Przewagę w zbiorku mają te ostatnie: utwory miłosne, które są specyalnością poety, w które najwięcej wkłada duszy i serca i którym, jak świadczy dedykacya, oddaje w swej poezyi pierwszeństwo. »Pjesme« poświęcone są »Jej marzycielskiej młodości«, a większość ich jest rzeczywiście marzeniami i jego młodości, wspomnieniami minionego, lepszego, niż dzisiaj, — wczoraj.

Na tem polu poezyi miłosnej, na którem, zdawałoby się, niema już jednego źdźbła, jednej, najdelikatniejszej woni kwietnej, jednego

podmuchu lub szmeru uczucia i nastroju niewyśpiewanego, na tem polu przecież Nikolić potrafił utrzymać swą indywidualność, nie popaść w banalność i powtarzanie się, być zawsze tylko sobą, a być nowym, pociągającym i zajmującym. Niema tu tych niezliczonych, takiem niezrównanem, różnobarwnem światłem rozpryskujących się fontann obrazów i pomysłów, jakie mamy np. u Słowackiego, — nie, od niego Nikolić jest daleko prostszy i jednolitszy.

W poezyi jego spotykamy zaledwie kilka tylko wyraźnych nastrojów, stanów ducha, ale po sto razy na różne sposoby, w różnych chwilach, w rozmaitem oświetleniu i przy różnym akompaniamencie wyśpiewanych. Zawsze jednak tchną dziwną świeżością, są jakby dalszym ciągiem lub echem poprzednich, razem składają się na jakieś wielkie, zamglone, dziwnie słoneczne i piękne, ale dziwnie smutne i łzawe widmo wyśnionego szczęścia.

Jest to specyalna sztuka, oryginalny i rzadki dar poetycki, ale i nader niebezpieczny i niedługo trwały. Poeta, który obraca się w jednem, ciasnem, choćby najpiękniejszem kole myśli, przetrawiając je ciągle i pokazując ze wszystkich stron, musi z czasem popaść w powtarzanie się i czczą powszedniość. Kryształ najpiękniejszy, brylant najsztuczniej szlifowany ma przecież pewną, ograniczoną liczbę ścian i jedna z nich musi być ostatnią. Wielki to mistrz, który kryształowi umie nadać tak niezliczoną ich ilość, i on jednak musi natrafić na ścianę ostatnią, po raz ostatni w niej załamać światło.

Przeciw tej jednak pessymistycznej obawie wyczerpania się u Nikolića — jaką już chorwaccy krytycy podnieśli, — przemawiają, zdaje mi się, pewne odmienne, a nader ciekawe cechy, występujące w nielicznych jego, późniejszych utworach, pomieszczonych w tym zbiorku i w czasopismach, jak *Vienac* (1902—3) *Lovor* (1905) i i., a zawierających, zdaniem mojem, pierwszy zadatek nowych natchnień poety, pierwsze tryski nowego źródła myśli.

Te utwory wchodzą do drugiej kategoryi poezyi Nikolića, dlatego o nich obszerniej na innem miejscu, przy szczegółowym ich rozbiorze.

Treść prawie wszystkich utworów miłosnych Nikolića tkwi w antytezach. Poeta daje się zazwyczaj unosić wspomnieniu jakiemuś z przeszłości, albo bezgranicznie szczęśliwemu, albo skrajnie ponuremu, stąd srebrno-złote nici radości i żałobne żalu i rozpaczy snują się naprzemian przez tkaninę jego poezyi, jak i życia.

Najchętniej i najczęściej powraca do przeszłości. W niej znajduje ukojenie i zapomnienie, w niej znajduje tyle słodyczy, iż zwolna rozpływa mu się dusza w kontemplacyi i cichem, jakby uśpieniu. Śni on wtedy i marzy, żyje wtedy jasnem »wczoraj«, zapomina o smutnem »dzisiaj« i niepewnem »jutro«, stąd wszystko tu w przeciwstawieniu do drugiego rodzaju jego poezyi, płynie łagodnie i cicho, ledwie dosłyszalnie. Sam poeta, jakby się lubował w tym auto-hypnotyzmie, poddaje mu się i marze sennej każe się — nieść, pędzić, aż mu dusza cała od szalonego lotu i uniesienia w ogniach staje. Porywa on tą pieśnią nie tylko siebie, ale i nas, rozgrzewa nam dusze i każe nam czuć razem z sobą. Tu zdradza wielki talent sugestyonerski: jasno przed oczy nam stawia obrazy swego szczęścia lub cierpienia i łudzi nas wyśnionemi wizyami, sugestyonuje, każe w nie wierzyć, na nie patrzeć, za niemi lecieć, w nich się zapamiętywać.

Świetlany obraz u Nikolića zachodzi zawsze, jak jasna płyta zwierciadlana, w której odbija się jego dusza, jakby parą mglistą, smutkiem i melancholią. Najzłocistsze mary senne rozwiewają wkońcu ostre, czarne kontury rzeczywistości, która z za nich przebija swą żałobą. Stąd w poezyi Nikolića wiele pesymizmu, ale pesymizmu nie w dosłownem, dzisiejszem jego znaczeniu, jaki spotykamy tak często u nas, u Tetmajera np., wpadającego często w cynizm, lub sarkazm. To pesymizm jakiś idealny, cichy, nie wstrząsający, nie bolesny, ale, jak spokojna toń morza, po całej poezyi rozlany, kojący, choć beznadziejny, jak rezygnacya uspokajający. Rzeczywistego pesymizmu, silnego, raniącego, jak u Kraujčevića bardzo mało, a cynizmu nigdy prawie.

Niekiedy poeta, rozmarzony wspomnieniami, zapominając o świecie i rzeczywistości, jakąś niespodziewaną, wielką nadzieją na-

tchniony, buduje sobie wspaniały, jasny, krysztalny gmach przyszłości.

Lecz znowu cały ten kraj zaczarowany, wyśniony, z tęczowych barw powstały, zasnuwa się nagle ciemnemi mgłami i jak szmat jasnego nieba, odkrytego na chwilę pośród czarnych, skłębionych chmur, ginie w niej i znika, zostawiając za sobą zmrok tylko ponury, żal i smutek. Jak przez łzy błyśnie jeszcze raz i drugi świetlana smuga wspomnienia, aż wkońcu całe niebo poezyi poety zasnuje się w gęstą, szarą oponę melancholii i tęsknoty... beznadziejnej, bezkresnej, bezpamiętnej...

I nic dziwnego. Chwilowe marzenie pryska, a surowa rzeczywistość staje znowu w całej swej nagości przed oczyma poety. Czuje on, że na nic te złudzenia, które tylko żal zostawiają po sobie, że niemasz dlań nadziei żadnej, ni szczęścia, ni radości, gdy w swoim »życia maju«.

Sam został na tym wielkim świecie,
Wszyscy go odeszli ku śnionemu kraju,
Gdzie się dusza rwała w pierwszym pragnień kwiecie
I dziś stoi tutaj, kędy cyprys drzema
I wspomina owych, których więcej niema...
(M. Nikolić: ***).

Dlatego smutny i w swym bólu zatopiony on przestaje istnieć dla tej ziemi, dla tych ludzi i ich spraw codziennych; mógłby powtórzyć zą naszym Gustawem: »na tym świecie, ale już nie dla tego świata«. Ukojenia w świecie, przystani żadnej szczęścia nie znalazł, jak cień więc mglisty dziś błądzi między niebem, a ziemią, i lekki, niewidoczny, wolny od ciężarów życia, buja po bezkresnych krainach poezyi, wdziera się na wyżyny gwiazd i słońca, chwyta je w locie swej fantazyi, zagląda w ich nieznane światy i wiecznie błądzi i błądzi, rozpływając się, jak »cień drżący« w mrokach nocy: w tęsknocie, żalu i melancholii:

Ja drżę, jak cienie nocy, co snują próżne mgły —
Przystani niemasz dla mnie — daleki, pusty świat —
Ja śnię o szczęścia baśni; — przez ciepłe, ciche sny
W mą duszę ona spływa, jak słońca świetlny kwiat.

Na zmrok spoglądam czarny: daleko gwiazda drga,
Com chwycił ją raz w locie, jak czystych pereł kiść,
Wtem zmierzchło się wokoło, na błękit ciemność szła
I chmurna padła jesień i padł ostatni liść.
O! czuję, jak mi z serca po kropli kropla w ślad
Na ideały pada, co zburzył nędzny świat,
A straszny ból mi z oczu kaskadę sączy łez
I więżąc skrzydła kładzie mym górnym lotom kres. — —
O przyjdźcie! — ja was wołam, o, chwile wszystkie, wy,
Gdy serce moje drżało i drgał mej duszy dzwon!...
...Zmrok teraz pada chłodny i kryje blade sny —
Gdzie wonne kwitło kwiecie, — tu teraz pada szron...
I tylko serce żyje i dusza mi łka — ot!
Co dało nędzne życie, by lżejszy był mi lot!
Leciałem ja — i długo, — obleciał ziemi szmat,
Lecz nie dał mi przystani — ten wielki, bujny świat!
I teraz drżę, jak cienie, co snują próżne mgły,
I nic już więcej niemam: na grobach marzeń drżę
I czuję tylko wkoło, jak płyną pierwsze sny
I szepczą mi o szczęściu, co żyje, lecz i mrze...
(M. Nikolić: »Ja drhćem kao sijena«).

Najczęściej powtarzającem się i najbardziej wdzięcznem tłem dla poezyi Nikolića jest przyroda. Jak każda natura marzycielska i on na jej łonie szuka ukojenia i zapomnienia o tem, co boli. I tu, na tem polu, w prostem, wyrazistem malowaniu najpowszedniejszych, niewyszukanych obrazów jest Nikolić mistrzem.

Bierze najprostszy motyw przyrody, powszechnie znany i po setki razy już powtarzany, umie jednak weń włożyć tyle siebie i oryginalności, tyle życia i plastyczności, zabarwić go takim czarem i urokiem, a niekiedy siłą, i zarazem poddać mu jakieś głębsze, duchowe, mistyczne znaczenie, dostrojone zawsze do jego osobistego usposobienia, do tonów jego duszy i wysokości jego poezyi, że zupełnie magnetyzuje nas swymi obrazami, czaruje, porywa, nastraja na swoją nutę. Tu najwyraźniej okazuje on swój dar sugestyonowania; ta też poezya działa ze wszystkich jego utworów może najsilniej, najrówniej, bo działa na wszelkie zmysły; każe nam słyszeć, widzieć, czuć, dotykać, każe wreszcie i duszą i sercem błądzić po tych krainach, po jakich błądzi duch poety.

Kiedy się je czyta, zdaje się, że się patrzy na te jesienne smutne lasy, na ten jesienny, monótonnie padający liść pożółkły, że się słyszy jesienny ów poświst jęczącego wiatru, dreszczem przechodzący; zdaje się, że się widzi to jesienne, załzawione, tonące słońce, kiedy zapada; zdaje się, że się czuje tę poezyę »čeznuća«, jak się wyraził poeta, poezyę niezaspokojonej tęsknoty, pragnienia. A zawsze i wszystko »jesienne«. Jesień swą melancholią, swym ustawicznym, jednotonnym poszumem suchych gałęzi, swym smutnym, wolnym, bez końca padającym deszczem pożółkłych, głucho szumiących liści, swą szarością i bolesną monotonią najsilniej przemówiła do melancholijnej, smutnej duszy poety. Wiosna swą dziewiczą, rozkwitającą piersią i radosnym śpiewem ptactwa, lato swą upalną siłą, swą gorącą namiętnością, swą grozą burz i słonecznością barw nie pociągnęły poety ku sobie. Jego wiosna minęła, minęła z przebłyskiem szczęścia, ale szybko, bezpowrotnie; lato jego chmurne było i groźne, ciężkie i burzliwe, wyczerpało siły, rozwiało marzenia, w mdlejącej więc jesieni znalazł poeta echo swej duszy; ona zgodnym brzmi akordem ze strunami jego serca, rozpalone chłodzi czoło, mokre łzy osusza, ciężką drogę bólu i cierpień zwiędłem zaściela liściem i pędzi wichrem dalej i dalej — na zachód, do grobu, ku śmierci. Swą »muzyką umierania« szepcze zbolałej duszy człowieka o śmierci, o przyszłem, szczęśliwszem życiu, o nicości tego, »co jest«, o wielkości, o swobodzie, o pięknie tego »co będzie« — co być musi.

Przeczytajmy na przykład utwór p. t. *Novembar*. W słabej próbie przekładu polskiego nie możemy poznać ni dziesiątej części piękna, jakie ukrywa się w strofach oryginału. Rezygnując jednak z góry z zupełnego zadowolenia artystycznego z przekładu i z siły wrażenia, chciejmy traktować tu ten utwór tylko jako przekład, usiłujący dać choć bladą odbitkę tego piękna, tej dźwięczności i melodyi wiersza, a zarazem zachować wierność, formę i charakter utworu. W tej bladej jednak odbitce znaleźć będziemy mogli choć ślady pięknego talentu, odkryć zasadnicze jego rysy i cechy, odczuć choć w części ten nastrój jednostajny,

tę »Stimmung« w jakiej cały ten utwór utrzymany, a w czem Nikolić jest specyalistą.

I.

Spojrzyj: lecą liście z drzewa i siwe się trzęsą konary —
To północny wiatr zwiewa te ostatnie dni letnich czary.
Górą jaskółki ciągną, kędy słońca mieni się czasza
I cicho nas opuszczają — ostatnia iluzya nasza —
Puste nam tylko zostaje to niebo tak roztęsknione
I smutne, białe i ciche, jak gdyby z łez osuszone.
A północny wiatr dmie chłodny na kształt grobów zimnych cienia
I nie pyta, co jest święte i co drogie ma wspomnienia —
O skłoń bliżej skroń swą ku mnie, niech Ci spłoszę sny złowieszcze
Jeszczem nie miał ja jesieni i nie czułem tchnień jej jeszcze...
Cisi, bladzi nasłuchujmy, — coś wokoło nas odzwania,
Drzewo pęka, a liść pada, słyszysz — pieśń to umierania...

Po tym nastrojowym, świetnie, choć w prostych, zwykłych konturach szkicującym posępną szatę jesieni, ustępie opisowym, następuje część druga, jasna i czysta, jakby z matowego, chmurnego nieba jesieni wyjrzał kryształ błękitu na chwilę, jakby srebrny promień słoneczny, przebiwszy ciężką nieba oponę, wesoły, radosny, szczęśliwy na wolność się wyrwał powietrzną, na ziemię wybiegł zdziwioną. Przy posępnej muzyce jesieni czarowne wiosny obrazy budzi poeta w swej duszy; w bolesnej obecności szczęśliwa przeszłość staje przed nim w całej swej szacie świetlanej. Jakby dla silniejszego kontrastu, jakby na to, by tem boleśniejsze było później rozczarowanie, by tem głębiej i ciężej odczuć chłodny powiew zbliżającej się jesieni, malują się poecie na chwilę te bujne obrazy przeszłości:

II.

Czy pamiętasz? — raz, nad brzegiem, szliśmy koło domu Twego —
Młode rano uśmiech słało nam hen — z nieba lazurnego,
Przebudzone kwiaty lśniły, jakby łzami rosą ranną,
A ptaszęta rojem gnały ponad łąkę rozoraną...
Młode rano uśmiech słało po tym rodnym, naszym kraju,
Co, jak młodość wiecznie świeży, wiecznie piękny, wiecznie
[w maju —
Czy pamiętasz? — tam nad brzegiem, w ów pogodny dzień
[wiosenny

Jam Ci pierwsze kwiecie dawał, a z niem uśmiech z ust mych
[senny;
Rzekłem wtedy Ci: strzeż kwiatu, on tak piękny i choć zwiędnie,
Wtedy jeszcze wonieć będzie z niego święte to wspomnienie —
Nie wierzyłaś... A dziś spojrzyj: zwiądł młodości kwiat wiosenny,
A mnie zniknął już na wieki z ust ten uśmiech cichy, senny...

»Uśmiech zniknął«, a z nim i cudowne widzenie. Drżące, zziębnięte, widmo jesieni powraca znowu z swą jęczącą orkiestrą, by i w piersi poety zbudzić posępne tony. Następuje drugi obraz jesieni, nie tylko jesieni przyrody, ale i drugiej, niemniej smutnej, bolesnej jesieni życia poety, jego szczęścia i miłości. Wspomnienia żyją jeszcze na dnie duszy, lecz cierpienia, jak drobny deszcz listopadowy, jak chmura powiędłych liści, opada na nie, zasypuje je i przygniata, aż dusza poety znowu zwolna zapadać poczyna coraz głębiej i głębiej — w »zimne grobów cienie, co nie znają, co jest święte i co drogie, co wspomnienie...«

III.

Patrz! depczemy suche liście, — żółta wstęga w dal się snuje, —
Dziś już człowiek nic nie myśli, tylko serce, serce czuje —
Spojrzyj: ciągną mgieł całuny, obsiadają drzewa suche,
Z drzew ucieka ptactwo biedne poprzez lasy zimne, głuche,
Szukać dachów i schronienia; — a my dalej wciąż idziemy
Milcząc, cicho; choć bez słowa — dobrze siebie rozumiemy...
Bo i o czemż mówić mamy? Tyle mówią liście one,
Powieść całą mówi smutną owo niebo roztęsknione...
Znów depczemy suche liście, — kiedy żółte, niechaj zwiędnie —
Lecz my w duszy kryjmy swojej owych jasnych dni wspo-
[mnienie....
Idźmy cicho dalej, — dalej: — tęskna jesień wkoło duje,
Tu już człowiek nic nie myśli, tylko serce, serce czuje...

IV.

Sypie deszcz posępnem echem, — cicho. jakby od niechcenia
Na stracone szczęścia ludzkie, na grobowe ich sklepienia —
Chodź, o duszo, spójrzmy: jesień tajemnymi czary wieje,
Ona sama sobą śpiewa smutne umierania dzieje...
W swem bezkresnem roztęsknieniu echa żalu szle dokoła:
Powieść biednej, ludzkiej duszy, — pieśń bolesna, niewesoła...
Chodź tu bliżej, posłuchajmy, — patrz, jak smutne Ty masz oczy,
Z młodzieńczego lica Twego bladość się przesmutna toczy,

A przez oczy patrzy dusza, Twoja dusza, co tak czuje...
Smutno patrzy, — zda się: szczęściu swemu całun śmierci snuje...
Wkoło nas dmie wiater chłodny, na kształt grobów zimnych [cienia
I nie pyta, co jest święte, i co drogie ma wspomnienia...

Niekiedy służą poecie za tło i wiosna i lato, i jasne, słoneczne dnie, i bujna, wesoła zieloność. Ni one jednak, ni kwietne polany, ni srebrne kanwy strumieni, ni tyle mówiące poszumy lasów nie potrafią uśmiechu wzbudzić na ustach poety. A gdy zabłądzi on tam kiedy, to taki smutny, taki łzawy, taki za siebie patrzący i tęskny, że nie wiedzieć, szczęścia on i radości wyrazem, czy tylko bolesnych cierpień.

I wtedy nawet, gdy śmiejącą się łąką płynie dziewicza wiosna i radosne, młodzieńcze swe piersi odkrywa i woła: »Z Bogiem wy, mgły posępne, precz ciemne mroki zimy, niech ziemia znów w pięknie swem stanie!...« i wtedy — polną ścieżyną smutny kroczy śpiewak, powoli, jakby pieśń tęsknoty swej śpiewał, a w dłoni mu pierwszy kwiat — ciernisty głóg bieleje. Za nim stąpa młoda dziewoja i on ją wiedzie, gdzie spokój, gdzie leśny potok szemrze wśród ciszy, by pączki młodzieńczej jej piersi rozkwitły, by wiosną jej życie całe się zdało. Niech z wiatrem leci na dźwiękach bujnej pieśni, niech słońca promienie jej drogę ścielą świetlaną, niech karmią ją i poją słowiki pieśnią i tęczą barw motyle! — A on? — on pozostać musi tu, wśród cichej przyrody, gdzie przeszłości jego budzi się ideał, gdzie las rozśpiewany wspomnienia mu przynosi, gdzie powieść ich wiecznie żyje i, jak wiosna życiem całem się zdaje. (»Pjesnik u proljeće« »Poeta na wiosnę«).

Szereg utworów, jak: »W lesie«, »Z wiosennych ranków«, »O zmroku«, »Październik«, »Styczeń«, tymsamym tchną nastrojem, tą samą jęczą bezgraniczną tęsknotą i żalem, zawsze jednak pełne nowych obrazów, oryginalnych pomysłów, zawsze świeże, szczere, z serca płynące, zawsze w skończoną, lotną szatę piękna odziane.

Z tą kontemplacyjną poezyą przyrody łączy się tu i ówdzie wyraźnie zaznaczające się przywiązanie do miejsc rodzinnych, do

miejsc, gdzie poeta przepędził szczęśliwe młodości chwile, »gdzie zaznał, choć na chwilę, co piękno, co szczęście, co loty motyle...« Jest to coś, co nadaje utworom Nikolića szczególnie pociągający czar, co nas chwytą swą szczerością i prostotą za serce, jak ta tęsknota duszy naszego Adama roztęsknionej, latającej do pól swych »malowanych zbożem rozmaitem«. Nie chcemy bynajmniej tu zaraz porównywać poety chorwackiego z Mickiewiczem, o tem niema mowy, i poeta, który kornie chyli czoło przed naszym wieszczem, samby na to nie pozwolił. Zaznaczam tylko urok, jaki posiadają te ustępy w utworach Nikolića, natchnione miłością do ziemi rodzinnej, podobnie, jak ustępy w »Panu Tadeuszu«.

Nie jest to gwałtowny, lokalny patryotyzm, ani szczegółowy, książkowy, choć w pomyśle szlachetny, opis rodzinnego kraju, jak u nas np. u Pola, Niemcewicza, lub Morawskiego, lecz uniesienie się chwilowe tęsknotą do tych miejsc przeszłości, spokojne pole najsłodszych wspomnień poety, gdzie przeżył najlepsze dnie swoje. Jest to poetyckie rozkołysanie się fantazyi poety czarem, jakim tchną te »kwietne polany«, ta »lotów młodzieńczych droga«, to

»Nebo, gdje jáblane ljubi,
Polje, gdje protiče r'jeka, páse iz zátišja toga
Tiho u pródolje gubi...« [1]

To — rwanie się gorącej duszy poety — na te kurhany jego wspomnień, snów i nadziei.

Przeciwstawienie bezgranicznego szczęścia czarnej rozpaczy, górnych uniesień duszy ludzkiej — płaskiemu pełzaniu ciała, — świetlanych marzeń — surowej rzeczywistości, które się tak często u Nikolića powtarza, najwyraźniej występuje w utworze »Smierć i Miłość« (»Smrt i Ljubav«); w rozmowie ducha Śmierci z jakimś cichym aniołem, czy boginką Wiosny-Młodości i Słońca-Miłości; w rozmowie, a raczej w poetycznej, dwoma różnymi rodzajami wiersza przepięknie wyśpiewanej walce tych dwu, na przeciwnych sobie krańcach stojących duchów.

[1] jablane — topole; ljubi — całuje; r'jeka — rzeka; zatišje — zacisze; prodolje — dolina.

Głos »Miłości« to cicha, liryczna pieśń młodej duszy. To bezkresne echo przeciągłych tonów słowiczych, płynące bez końca po leśnych sklepieniach, to cichy szept rozmów i westchnień, słanych z ustroni w księżycową noc majową, to radosne bicie serc rozkochanych, to akord wszystkich strun kochającego serca, to cichy, a tak wymowny, tak głośny, a tak milczący głos zapatrzonych w siebie dwu spojrzeń długich, głębokich, serdecznych... »Miłość« — to postać wyśniona z tęczowych, mistycznych promieni, łączących dwie drogie sobie dusze, — to widmo urocze z mgieł marzeń, z snów tkanek, z nadziei pajęczych sieci, z łez świetlanych strumieni, z śnieżnych połysków skrzydeł gołębich, całujących się w powietrzu, czyste, świetlane, jasne, powiewne, a smutne, rozpacznie broniące się »Śmierci« ramionom.

Puść mię! — woła »Miłość« drżącym głosem — jam jest jak róża,
Co od mrozu słaba ginie,
Lecz, gdy słońce błyśnie znowu,
Piersią swą ku niebu płynie.
Dzisiaj cierpię, z bólu mdleję, —
Jutro pragnę szczęścia chwili...
Puść mię! — jam tak młoda jeszcze, —
Niech radością serce kwili,
Szczęścia jedną łzę wyleje!...«

Lecz głos »Śmierci« głuchy i ponury, jak podziemne gromy, przerywa anielską melodyę »Miłości«, rozjęczoną żalem, nadziejami rozmarzoną, jak smutne struny wiolonczeli. »Śmierć« bezlitosna, zimna, stanowcza wznosi swą długą, wychudłą rękę nad chwiejącem się kwieciem »Miłości«; z jej przezroczystej dłoni chłodne płyną mgły strumienie, mrożą wszystko dokoła, gną i zabijają. Zimna, przenikająca woń dusi i dławi, a gęste, szare obłoki jej płaszcza ścielą się całunem po ziemi, kłębią dymem w powietrzu, kładą na jasne niebo, zasłaniając sobą słońce i lazury promienne, kwiaty i drzewa, głuszące śpiew i woń i światło i życie całe. Twardym, ochrypłym, monotonnym głosem, jak chór puszczyków w noc burzliwą, skanduje »Śmierć« wolno swe długie, posępne strofy:

»Mnie wieczność tu zsyła od świata zjawienia
I wiernie jej palę ofiary dnia każdego.

I tyś z jej trysła świętego płomienia,
Dziś masz opuścić krainy świata tego!
Ból żaden nie wstrząśnie lodów piersią moją
Pójdź za mną w świat ciszy, w świat śmierci i spokoju!«

A gdy przerażona »Miłość« się broni i łkając drży przed »zimną piersią Śmierci«, gdy zaklina ją na szczęście ludzkości, gdy woła, że od Boga na ziemię zesłana, by pocieszyć biedną, ludzką duszę, by osłodzić nędzę życia, »Śmierć« odzywa się bolesną pesymizmu nutą:

»Widzę: tyś jest, anioł, co z nieba spadł wyżyny,
Jak zorza promienista nad nędzą błyskasz ludzi;
Gwiazdą cię świetlaną zesłał błękit siny,
Co wiarę w człeku żywi i nadzieję budzi...
Lecz cóż chcesz zdziałać, biedna? — tu szczęście nie zakwita,
Tu serca ludzkie wiedną, — tu ból, — tu rozpacz zgrzyta!...«

»Miłość« jednak spłynąwszy, jak biała, niewinna gołębica z ramienia Boga na ziemię, ziarno boże wiecznego szczęścia, ziarno nadziei i wiary niosąc na pociechę, nie da się uwieść podstępnym wężom zwątpienia i rozpaczy. Ona — »Miłość« od wiecznej miłości, na miłości skrzydłach lecąc, i miłość na ziemię niosąc, gotowa jest pójść na ofiarę za ludzi i nie cofnie się, jak miłość, nie zlęknie cierpień i nędzy ludzkości, lecz swem srebrnem skrzydłem ją otoczy, ciepłem swego serca ogrzeje, ku wiecznemu poprowadzi szczęściu. »Smierci« się nie lęka i jej się oprzeć zdoła, bo źródło jej w wieczności, a wieczność nie umiera:

»Ach! gdybym ja z tobą odeszła,
Piekło by całe śpiewało,
Aniołów zaś czystych podniebie
Gorżkoby, gorżko płakało...
Puść mię!... ze mnie ludzkości
Światło żywota ma płynąć,
Wieczności ja jestem córą,
A wieczność nie może zaginąć!...«

(Dok. nast.).

Tadeusz Grabowski.

Z TWÓRCZOŚCI FRANCUSKIEGO PASTORA.

(Dokończenie).

Na niezrównane ustępy napotykamy w rozdziale *La joie* (Radość). Przedmiot przyznać trzeba niezwykły: o cierpieniu napisano całe biblioteki — snać miano sposobność badania go we wszystkich stopniach i wszystkich odmianach. Badanie też było łatwem, bo cierpienie bywa długotrwałem i zda się być ukutem z twardego i ciężkiego metalu. Radość zaś jest niepochwytną, przelotną, ogarniającą zazwyczaj tylko powierzchnię lub niektóre części duszy. Autor twierdzi jednak, że jest człowiekowi niezbędną, jak powietrze, którem oddycha.

»... Rozrywki i inne przyjemności — pisze — to tylko zewnętrzne formy. Czyste wino, które w te czary wlać trzeba to radość. I podobnie jak wino potrzebuje by dojrzeć, ziemi, deszczu, powietrza i słońca, tak radość może być tylko dojrzałym owocem dobrego życia. To zdobycz dzielnych i silnych i nie każdy ją posiąść zdoła...«

Przeciwnikiem radości jest smutek, a są go różne odmiany. Jest smutek godny szacunku, bo spowodowany przeciwnościami życia lub nieszczęściem; jest smutek zrodzony z wadliwego ustroju myśli, z przesytu. Ten nieznany wśród robotników, lęgnie się u ludzi bezczynnych lub przesyconych zabawą: »tacy chodzą po świecie śmiertelnie znudzeni, ale nie myślą o żadnej odmianie, bo się czują powołani do obrzydzenia życia drugim. Ci z nich, którzy są literatami, wznieśli swą misyę do godności kapłaństwa.

Zadaniem ich jest wyciąganie essencyi ze swych myśli ponurych i rozdzierających wrażeń, oraz staranne butelkowanie jej dla publicznego użytku...« Smutek pochodzący z pesymizmu filozoficznego wydaje się autorowi »krzykiem zgwałconej natury apelującej do rozsądku o pomoc...« »Gdyby pesymizm miał słuszność — pisze nieco dalej — kwiaty przestałyby kwitnąć, gwiazdy świecić, krynica życia by uschła. Skoro świat dalej żyje swoim trybem, nie ma się prawa nad losem ludzkości rozpaczać. Strzeż się doktryn zabijających radość: niektóre prawdy mogą być smutne — całość prawdy — nigdy!...« Miałoby się tu ochotę nieco podyskutować: toż chyba nikt nie płacze z obawy, że się świat zawali a pessymizm mógłby na swoją obronę powiedzieć, że jest tylko zmysłem otwartym na jęk odwiecznej boleści wszystkiego stworzenia i nieprzewidujący tej boleści końca. Myśl o końcu świata przenika go raczej nadzieją niż trwogą...

Najgorszym rodzajem smutku jest ten, który na wybladłych twarzach ryje występek. Pod jego powłoką kryje się rak toczący duszę i ciało, życie zapoznane, zhańbione, zbrudzone, krwawi tysiącem ran. Niema tu już miejsca na radość.

»Istnieje wszakże inny jeszcze wróg radości — to duch szyderstwa podający w pośmiewisko rzeczy czcigodne i święte. Pod takim śmiechem wszystko więdnieje a serce wysycha na zawsze. Szyderstwo nie jest wesołością, ono przeciwnie wesołość zabija. By módz się bawić, trzeba posiadać pewną naiwność wrażeń. Nie poświęcajmy naszego starego śmiechu, starych poczciwych żartów i szczerego wesela dla podejrzanego sprytu wykonującego z lekkiem sercem swoją piekielną robotę...«

Chcąc się weselić trzeba pokochać życie, trzeba umieć wznieść i rozszerzyć serce. Wesołość zaś nie jest wyłącznym udziałem młodości: niejeden doszedł do niej w 40-ym roku po twardych ścieżkach, a wtedy szczęście jego jest trwalsze, niż bywa w r. 20-ym. »U niektórych starców dostrzedz można to szczęście w najwznioślejszej formie: jest nią pogoda z przyjętego i zwalczonego cierpienia, z pokochanej pracy, z długiego a wiernego trwania przy obowiązku, z wzrastającej co dnia wiary w cel życia i jego wartość...« Podobne wesele należy podziwiać u tych,

którzy je zdobyć umieli, podziwiać i dążyć, aby je posiąść w przyszłości.

»...Nic piękniejszego jak radość! To iskra Boża zrodzona w niebiosach. Podnosi serce, oświeca myśl; odsłania nam w jednym jasnym błysku tajemnice, nad któremi duch nasz przez długi ciąg dni smętnych daremnie się męczył. Radość zaciera różnice, zbliża ludzi, podnieca litość, ulepsza i wzmacnia. Jest tak dobrą i cenną, iż należy bez wahania poświęcić wszystko co ją tamuje, poszukiwać wszystkiego co ją wzmaga«.

Pod tytułem *Solidarité* C. Wagner umieścił wszystkie kochania ludzkie: uczucia rodzinne, przyjaźń, miłość do kobiety, ojczyzny i ludzkości. Z tych, jak się można było spodziewać w piśmie dla młodzieży, stosunek do kobiety najwięcej zabiera miejsca, a traktowany jest ze swojej dobrej i swojej złej strony. Wogóle nie uznając ascetyzmu mniszego autor wymaga cnoty, wymaga czystości obyczajów, myśli i serca, klnie liche surogaty zdobiące się kradzionem mianem miłości i spędzające ją powoli ze świata. Ratujcie miłość! miłość zamiera — woła wymownemi słowy — i ma słuszność, zwłaszcza we Francyi. Łatwiej tam o milion franków niż o małżeństwo skojarzone z miłości. Łatwo zaś pojąć, czem są małżeństwa zawarte na zimno i zbyt często pozbawione silnego spójnika religii. W kwestyi patryotyzmu autor znajduje mniej gorące tony niż w innych. Czyżby Drumont miał słuszność twierdząc, że o ile katolik pomimo prześladowań potrafi z największem poświęceniem służyć innowierczej ojczyźnie, o tyle protestant czuje się zawsze nieco obcym w katolickim kraju? Jako przykład cytuje katolików angielskich, a mógłby też cytować i innowierców polskich ciążących zawsze sercem ku współwyznawcom, choć ci byli wrogami ojczyzny. Otóż p. Wagner zbyt gorliwie ostrzega przed szowinizmem, zbytnio głosi międzynarodową jedność, zbyt często wreszcie przytacza zdania i wiersze niemieckich autorów, by nie ściągnąć na siebie podejrzenia, że jako luteranin ciąży — może bezwiednie — ku duchowej metropolii luterskiej nauki. Zresztą jest Alzatczykiem, a przecież wspólność językowa coś znaczy.

Kwestya religii rzadko jest dotykana w całym ciągu dość

obszernej książki; autor zda się umyślnie nie mówi o niej wprost — czuć ją wszakże nurtującą pod wywodami rozsądku i etyki. Dopiero ostatni rozdział *La foi* przynosi znane nam już zdania o konieczności wiary i ufności, o Ewangelii odpowiadającej wszystkim potrzebom duszy i bardziej niż się zdaje, do nowych prądów duchowych zbliżonej, a zarazem o swobodzie »wierzeń« o wolności ducha ludzkiego i o wspólnym niewidzialnym Kościele, łączącym w sobie wszystkie formy religii...

Następne dzieła *La vie Simple* i *Vaillance* są rozszerzeniem niektórych myśli zawartych w *Jeunesse*, naciskiem położonym na dwie wielkie cnoty; prostotę i siłę ducha. Jest w nich z natury rzeczy wiele powtórzeń — wogóle książki C. Wagnera czynią wrażenie seryi gam, w których taż sama ręka, te same nuty na różne tony wygrywa. Kto wie czy te dwie ostatnie nie zyskają na węższem założeniu przedmiotu. W *Jeunesse* jest ich może za wiele, bo autor dotykać musi wszystkich niemal kwestyi moralnych i wszystkich społecznych, o ile dotyczą młodzieży, musi zatem po wielu tylko się prześliznąć. *La vie Simple*[1] odznacza się przedewszystkiem zaletą, której naucza; wszystko tu powiedziane jest w sposób jasny i prosty, światło rzucone nie na żadne głębie lub szczyty, ale na prostą drogę, którą każdy ma pod nogami. Wzdłuż drogi oświetlone owoce, które zrywać można, kwiaty, któremi się wolno ucieszyć i łzy bliźniego, które ocierać należy. Mało kto się domyśla, iż nią właśnie idąc, dojdzie się najprędzej do celu. Książka ta przydałaby się też jako model stylu do przestudyowania wielu z naszych młodych pisarzy, chroniących się prostoty więcej, niż śmiertelnego grzechu, goniących za efektem i li tylko za efektem, najczęściej kosztem sensu. U p. Wagnera niema rzeczy uderzających, niema śladu chorobliwości ani maniery, niema śladu żadnej pretensyi. Na niektórych punktach może błądzić, ale jest zawsze szczery, naturalny i prosty. Zaczyna przez wykazanie niepotrzebnego szczytu komplikacyi, do jakiego doszło życie w cywilizowanych krajach. Następnie przechodzi do ducha prostoty, który, jak słusznie powiada, nie polega na braku este-

[1] C. Wagner: *La vie Simple.* Paris. Librairie Armand Colin. Str. 288.

tyki lub ubóstwie naszego otoczenia, ani na braku form uprzejmości w obejściu, przeciwnie polega na tem, by się pokazywać tem, czem się jest, nie nadawać sobie »tonów«, nie odgrywać żadnej roli — nawet przed sobą. Jest zatem wyższą formą szczerości w mowie, w ubiorze, w stosunkach z ludźmi, w spełnianiu obowiązków, w dobrych uczynkach, w zabawie. O każdej z tych gałęzi prostoty mówi autor dobitnie i gładko. W rozdziale o obowiązku walczy najpierw z doktrynerami, twierdzącymi, że obowiązku niema, skoro nawet nie jest dowiedzionem, że człowiek posiada wolną wolę. Tak mówią w teoryi, dla własnego użytku, a w praktyce ciż sami mędrcy ganią bez skrupułu lub chwalą uczynki drugich, odwołują się w potrzebie do ich uczciwości lub dobrego serca. Człowiek nie może wyzuć się z pojęcia obowiązku moralnego, równie jak z pojęcia czasu lub przestrzeni. (Tu nasuwa się czyjaś dowcipna definicya, że o b o w i ą z e k j e s t t o, c z e g o ż ą d a m y o d d r u g i c h...) Inni znów bronią się trudnością w spełnianiu bardzo ciężkich lub skomplikowanych obowiązków, te jednak trafiają się nie codzień i nie każdemu. Za to pozostaje obowiązek powszedni, prosty, codzienny. »Ci, którzy tracą zbawienie, nie dlatego zazwyczaj się gubią, że nie zdołają sprostać nadzwyczajnym zadaniom, ale że zaniedbują zwykły obowiązek«.

Dla objaśnienia tych słów autor stawia przykład. Człowiek pragnący zbadać najniższe szczeble społeczeństwa, odkrywa takie otchłanie nędzy, iż staje przerażony. Toż żadna siła ludzka temu nie podoła! »Więc niejeden choć mu serce pęka z litości, opuszcza ręce i postanawia nie robić nic z rozpaczy. To źle. Często niepodobna działać na wielką skalę, ale to nie racya, by nie czynić dobrze po trochu. Tyle ludzi siedzi z założonemi rękami dlatego, że według nich jest do roboty zbyt wiele. Tych trzeba sprowadzić do prostego obowiązku, a ten w tym wypadku jest następujący: niech każdy w miarę możności wyrobi sobie stosunki w świecie wydziedziczonych. Toż niejeden umie się wśliznąć w towarzystwo ministrów i panujących. Czemuż więc, z dobrą wolą, nie mógłby zapoznać się bliżej z biednymi, z robotnikami którym brak potrzeb do życia? Poznawszy kilka rodzin, ich dzieje,

ich okoliczności i biedy, możesz im się stać bardzo użyteczny, czyniąc po prostu co możesz. ...Co prawda będzie to tylko maleńki kącik ogólnej biedy, ale spełnisz co do ciebie należy, a może i drugiego zachęcisz przykładem... Czyniąc tak odsłaniasz jedną z ukrytych sprężyn poczciwego żywota. Ambicya ludzka obejmuje zawsze ogromne zakresy, ale w praktyce rzadko można zdziałać co wielkiego a i wtedy szybkie osiągnięcie ostatecznego celu zależy od cierpliwej przygotowawczej pracy. Wierność w małem jest podstawą wszystkiego co wielkie. Nie dość o tem pamiętamy, a przecież to prawda niezmiernej wagi, zwłaszcza w ciężkich godzinach życia. Gdy okręt tonie można się uratować na odłamku drewna. Wśród życiowego rozbicia, pomnijmy, że lada szczątek może się nam stać deską ratunku. Lekceważenie tych resztek jest objawem zdemoralizowania.

»Dajmy na to, że ci grom śmierci okrył żałobą ognisko domowe, lub że zmiana fortuny zniszczyła w twych oczach owoc długoletniej pracy. Nie możesz umarłych wskrzesić ani odzyskać majątku. Więc wobec niepowetowanej straty opuszczasz ręce, zaniedbujesz twój strój, twój dom, twoje dziatki. To zrozumiałe, lecz jakże niebezpieczne! Zaniedbanie jeszcze pogorsza złe. Mniemasz, żeś wszystko utracił i przez to samo stracisz wkrótce wszystko co ci zostało. Zbierz resztki twojej własności, strzeż je i szanuj, a z czasem ta sama resztka stanie ci się pociechą. Samo dokonanie wysiłku doda ci mocy... Choćbyś miał jedną tylko gałązkę, którejbyś mógł się uczepić, pochwyć ją, a gdybyś z obrońców dobrej sprawy pozostał sam jeden, nie rzucaj broni by za innymi uciekać... Trzeba umieć czekać i zaczynać na nowo. Żołnierz zrozumiałby źle swój obowiązek, gdyby po przegranej bitwie nie chciał już czyścić munduru ni broni. — Po co? — zapytasz może. — Po co? A czyż nie ma stopniowania w porażce? Czy jest obojętnem, jeźli do niepowodzenia przyłączy się nieład, rozstrój, zniechęcenie? — Nie. Pamiętajmy zawsze, iż najmniejszy objaw energii w tych straszliwych chwilach, jest to niby światło zapalone wśród nocy na znaki nadziei i życia. Widząc je każdy zrozumie, że jeszcze nie wszystko stracone...«

Po kwestyi obowiązku, Wagner obrabia prostotę w potrze-

bach życia, w przyzwyczajeniach, przyczem zauważa bardzo słusznie, iż ci najwięcej zazwyczaj się skarżą, którzy najmniej mają do tego powodów. Takim autor życzy, aby raz w obcem mieście lub kraju zgubili pulares i poznali się z niedostatkiem w sposób dotykalny.

Rozdział zatytułowany *Le plaisir simple* jest po części niemal powtórzeniem, a po części rozszerzeniem tego samego tematu traktowanego w *Jeunesse*. Autor dowiódłszy koniecznej potrzeby rozrywek, zwłaszcza dla młodzieży, ubolewa nad wymaganiami zbytku, które wyganiając z zabawy prostotę, ograniczyły ją do tłumnych, a bardzo kosztownych zebrań. Poza niemi młodzież nie mając gdzie się uczciwie rozerwać, szuka rozrywki w niebezpiecznych lokalach. Tych zaś jest wiele. Zepsucie — zdaniem p. Wagnera — tak ogarnęło wszelkie gałęzie zabawy, iż cnota chcąc się od brudu uchronić musi wszystkiego się wyrzec. Nie dziw tedy, że biedaczka uchodzi za ponurą i nudną.

Tu autor dodaje ustęp, który warto polecić sercu czytelnika. Celem jego jest zwrócenie uwagi na pewne kategorye ludzi, zazwyczaj pomijane, gdy chodzi o jakąkolwiek przyjemność.

»Gdy ujrzycie mężczyzn lub kobiety poświęcających się surowej pracy lub bolesnemu zadaniu leczenia nędz ludzkich, pamiętajcie, że ci ludzie są tak samo stworzeni jak wy, że mają te same potrzeby i że są chwile gdzie im trzeba rozrywki i wytchnienia. Nie odwróci ich od obowiązku jeśli się czasem pośmieją, oni, którzy widzą co dnia tyle łez i cierpienia. Przeciwnie, nabiorą sił do dalszej pracy.

»Gdy zaś trafisz na nieszczęśliwe rodziny, na ciężko dotkniętych ludzi, nie otaczaj ich jak zapowietrzonych kordonem sanitarnym, przekraczanym z ostrożnościami kładącemi bezustanny nacisk na ich niedolę. Przeciwnie, okazawszy całe współczucie, całą cześć dla ich boleści, ulżyj im, pomóż powrócić do życia, przynoś im nieco woni z zewnętrznej dziedziny, coś coby im okazało, że ich nieszczęście nie wykluczyło ze świata.

»Rozszerz także sympatyę twoją na tych, których pochłaniające czynności przykuwają do miejsca. Świat pełen jest istot

poświęconych, nie znających nigdy przyjemności ani odpoczynku, dla których najmniejsza chwila swobody i wytchnienia jest dobrodziejstwem ogromnem. A byłoby tak łatwo sprawiać im tę ulgę, gdyby się tylko o tem pomyślało. Ale ot! miotła jest na to, aby zamiatała i zdaje się, że nie może odczuć zmęczenia. Trzeba nam się otrząsnąć z tej grzesznej ślepoty zasłaniającej nam uznojenie tych, co muszą bezustannie pracować. Weźmy czasem na siebie trud tych straconych czat obowiązku... niech Syzyf odetchnie na chwilę. Zastąpmy matkę wiodącą żywot niewolniczej pracy między gospodarstwem a dziećmi, poświęćmy nieco naszego snu tym, co długie noce spędzają przy chorych. Niech panienka, którą nie bardzo bawi przechadzka przywdzieje czasem na kilka godzin fartuch kucharki, a ją samą puści na wolność. Możecie w ten sposób dać dużo szczęścia drugim i sobie. Przechodzimy codziennie obok ludzi obarczonych brzemieniem, które moglibyśmy im pomódz nosić, choćby przez chwilę. A chwila ta starczyłaby na zabliźnienie niejednej rany, wskrzeszenie otuchy w wielu sercach gasnącej, na otworzenie dobrej woli pomiędzy ludźmi nowych zakresów działania. O ileżby łatwiej było o porozumienie, gdyby się każdy umiał całem sercem stawić w położenie drugich! O ileżby życie milszem było dla wszystkich!

O *Vaillance*, książce święcącej swe 18-te wydanie, można z większym jeszcze naciskiem powiedzieć to, co o poprzedniej *Sois un homme*, to jest, że wielką oddałby przysługę, ktoby ją na polski język przełożył. Trudno tu wybrać ustępu do przytoczenia na próbkę; wszystkie takie piękne, iż chciałoby się nad każdym zatrzymać. Rzewnym i pięknym jest rozdział *Aux infirmes*, szlachetny hołd oddany heroizmom cierpliwości i słodyczy, tak często zapoznanym przez ludzi; bardzo głębokim i mądrym *L'éducation héroique*, wyjątkowo trafnym *L'honneur viril*, zbijającym lekką ręką i wprawną cały gmach fałszywych doktryn światowych — ten bardzo usilnie polecić można ojcom do przeczytania z synami Jest też rozdział *La peur* potrzebniejszy niżby się zdawało nawet u nas, gdzie dzielność zdała się długo być nieodłączną od natury Polaka.

III.

Trzy pozostałe jeszcze książki Wagnera: *Auprès du foyer* (Przy ognisku domowem), *Le long du chemin* (Po drodze) i *L'âme des choses*[1] pisane są w formie lżejszej, a zawierają zwłaszcza pierwsza i trzecia niejedną piękną myśl i cenną naukę. *Auprès du foyer*[2] omawia w stylu zawsze jasnym, prostym a częstokroć rzewnym stosunki domowe, życie rodzinne, jakie było niedawno, jakie jest obecnie i jakie być powinno. Żal mu poniekąd minionych czasów, żal starych tradycyi, żal spójni rodzinnej niszczonych konsekwentnie a nielitościwie przez nowoczesny ustrój cywilizacyi. Nawoływa do ratowania szczątków i zagospodarowania się z niemi tak, aby skarby ogniska domowego odzyskać. Radzi bardzo ludziom sędziwym nie odsuwać się od towarzystwa młodych, zwłaszcza od dzieci, gdyż tak starzy dzieciom jak i dzieci starym są nawzajem potrzebni. Otwierając książkę na los szczęścia trafimy na ustęp o postępowaniu względem sług:

»Chcąc urzeczywistnić idealny typ dobrego sługi potrzebaby mieć spokój filozofa, giętkość dyplomaty, zręczność czarodzieja, cierpliwość anioła. Który z chlebodawców posiada te zalety? Pozwalamy sobie na kaprysy, niecierpliwości, niedbalstwo, niezręczność. Mniej być wartym od swego sługi — dziwny zaiste przywilej! Co powiedzielibyśmy o pijanym woźnicy, potykającym się, gdy koń prosto chodzi, a okładającym go batogiem gdy biedne zwierzę się potknie? Przyznajmy szczerze, iż niejeden chlebodawca jest do tego gbura podobny... Chcąc być dobrze obsłużonym, trzeba dobrze rozkazywać, a na to aby módz dobrze rozkazywać, trzeba samemu módz być szanowanym.

»Bądźmy ludzkimi i wymagajmy to samo od naszych dzieci. Nic nie psuje i nie drażni służącego, jak gdy się widzi na łasce kaprysów dziecinnych. Są dwa rodzaje podobnych do siebie bo-

---

[1] Tytuł niepodobny do przetłumaczenia dosłownie (bo »Dusza rzeczy« absolutnie nic nie znaczy), dałby się określić jako myśl w martwej naturze ukryta — lub coś podobnego.

[2] C. Wagner: *Auprès du foyer*. 4-me Edition. Paris. Libr. Armand Colin. Str. 287.

haterów: żołnierz stojący spokojnie przed motłochem, który nań rzuca kamienie i służący, który znosi łagodnie impertynencye zuchwałych i źle wychowanych dzieciaków. Nie zaniedbujmy naszych stosunków ze służbą, kładąc w nie najskrupulatniejszą sumienność. Porządny człowiek ostrożniej i delikatniej postępuje z ludźmi niższymi od siebie, niż z własnymi przełożonymi. Jeżeli na tym punkcie zawinisz, grzech twój odbije się na całym twym domu, na wychowaniu dzieci, na spokoju domowym, na atmosferze moralnej i religijnej. Idź — spróbuj mówić pacierz wprost po gwałtownej scenie, po nadużyciu twej władzy!... Chrońmy siebie i dzieci od piętna, jakie wyciska poniewieranie duszy ludzkiej w osobie maluczkich. Jeźli chcemy dzieci nasze wykierować na ludzi i na pracowników, chowajmy je w czci dla godności człowieczej pod jakimkolwiek odcieniem. Lepszy piorun w dom, niż istnienie w domu tym jednego pariasa«.

To wszystko bardzo poważne, gdy czytane po trosze, w całości płynie gładko i lekko — póki autor sam nie usiłuje być lekkim. Dowodem tego jest zbiór urywków, serya krótkich myśli i obrazków rzuconych na papier, a zebranych wzdłuż drogi życia: *Le long du chemin*[1]. Niektóre obrazki są ładne, wszystkie myśli słuszne, razem wzięte jednak tworzą całość dość bladą, zwłaszcza kilka końcowych ustępów zawierających rodzaj bajek moralnych dla dzieci. Niema porównania między tą książką a przytoczonemi poprzednio, lub z wyszłem prawie równocześnie *L'Ame des choses*. Tu również serya obrazków, ale po większej części pełnych poezyi, żywego poczucia natury i odczuwania tajemnego znaczenia rzeczy. Świat cały, gwiazdy, morza i góry, dęby i stokrotki, orły i motyle są w oczach autora jakoby kartą pełną hieroglifów, z których wyczytuje potęgę Stwórcy, olbrzymią harmonię, celowość w największym i najdrobniejszym szczególe stworzenia. Czyta z nich również niezwalczoną żywotność i niezamąconą ufność zawstydzającą człowieka. Sam człowiek chwytany i jakoby

---

[1] C. Wagner: *Le long du chemin*. 4-me Ed. Librairie Fischbacher. Paris. 1901. Str. 321.

fotografowany na gorącym uczynku w różnych okolicznościach i pozach dostarcza również illustracyi do obrabianych w innych tomach tematów. Takim np. jest widok woźnego, śpiącego smacznie na skórzanej torbie pełnej dekretów, edyktów i pozwów. Wiele poprzedniej złości, wiele następnych gniewów i gorzkich łez, wiele trosk i rozpaczy drzemie w tym gnieździe żmij, w tej torbie służącej za poduszkę śpiącemu! A on uśmiecha się przez sen, jakoby ludziom same kwiaty roznosił... »To co czynił ten człowiek czynimy bezwiednie wszyscy, pod potężną władzą przyzwyczajenia. Wszyscy zasypiamy w spokoju na jakiejś kupie krzywd i niesprawiedliwości. Nie dostrzegamy ich już bo dzieją się zbyt regularnie, zbyt powszednio. Trącamy o nieszczęścia, wkoło nas krążą podłości, stare kłamstwa otaczają nas i duszą. Kto je dowidzi, kto się o nie troszczy? Mała garstka ludzi, których świat zwie szaleńcami, marzycielami, bo mu przeszkadzają spokojnie kręcić się w kółko. Łatwiejby wskrzesić umarłych, niż zbudzić te zastygłe sumienia!...«

Innym razem widzi nad brzegiem rzeki tłum ludzi, śledzący z zaciekawieniem namiętnem biednego kota, walczącego z falami o życie. Co chwila wypływa, lecz nurt porywa go znowu, aż młody andrus zwieszając się z nadbrzeżnego muru, wyciąga go z wody. W tej chwili entuzyazm tłumu jest wielki — a przecież to tylko zwyczajne kocisko, jakich dziesiątki giną co dnia w ogromnem mieście? Powodem zapału jest zwycięstwo nad śmiercią. »O jakże tajemniczą jest potęga życia! Daremnie zapoznajemy ją i depczemy jej cuda, daremnie odczuwamy chwilami przewrotną radość niszczenia. Przychodzi godzina, gdzie na sam widok walki życia ze śmiercią cała w nas drzemiąca siła instynktu przeciwko śmierci powstaje. Oto tłum ludzi śpieszących za tysiącem spraw opuszcza wszystko z powodu kota, który nie chce zginąć. A ów ulicznik drwiący z wszelkiej władzy, zajęty zazwyczaj brojeniem szkodliwych figli obecnie nagłą litością chwycony, naraża własne życie dla uratowania zwierzęcia. Poznajemy w tem wpływ najwyższej Woli, której dlatego, że stworzyła życie, każde stworzenie jest drogie i która się w najlepszych między ludźmi objawia instynktem po-

święcenia się, instynktem szukania i ratowania tego co było zgubionem«.

P. Wagner lubi ulice miasta w godzinach niezwykłych, umie patrzeć i widzieć rzeczy, które większość przechodniów mija bezmyślnie. Oto droga prowadzi pod górę, ulica stroma i ślizka. Co chwila nowy wóz wyjeżdża z ciężarem i za każdym razem u stóp pochyłości doprzęga się do zwykłego zaprzęgu pomocniczego konia — zawsze tego samego. Wyciąga wóz w górę wraca i znów ciągnie inny, na niego zwracają się wszystkie ciosy batów, na niego instynktownie tamte konie całe brzemię pracy zwalają. Zwykle stary, sponiewierany, głodny, zbolały, będzie wlókł cudze ciężary, aż padnie pod nożem oprawcy. »Gdyby koń taki myślał, gdyby mógł wyrazić co głucho odczuwa, jakieżby ponure obrazy wyłoniły się z jego zwierzęcej duszy! Wielu jest ludzi do tego konia podobnych — zawsze u pługa, nigdy w spoczynku, nigdy u nagrody. Każdy ich woła tam, gdzie trzeba wysiłku, by co pchnąć w górę, lub wyciągnąć z błota. Na nich spadają czarne roboty, których nikt tknąć się nie chce... nikt na ich obecność nie zważa, nikomu nie przyjdzie na myśl, iż mogą czegokolwiek się bać lub spodziewać... Można wszystkiego od nich żądać, wszędzie ich posłać, narażać ich na wszystko. Obawa przed obelgą, zarazą, śmiercią lub hańbą, to dobre dla ludzi mających stanowisko i dobrą sławę: tych życie jest coś warte, mają o co się bać. Tamtych nie stać na podobny zbytek. A więc niech robią to, czegoby nikt nie zrobił, niech idą tam gdzieby najodważniejszy się wzdragał. Gdy wrócą, nikt z nas nie powie im: dziękuję. Względem pewnych ludzi niema obowiązku żadnego, nawet wdzięczności: na to są, by się poświęcali dla drugich.

»Duszę moją przykuwa widok tych cierpliwych, na których wszystkie spadają ciężary. Im więcej się wpatruję w zmrok w którym więdnieją, tem więcej odkrywam w nim nadziemskiej światłości. Jeżeli ci są niczem, czemże jesteśmy, sami, czem jest życie, czem świat? O nich myślę patrząc na was biedne przyprzęgowe konie. Z ich powodu zajmujecie mnie więcej, niż wszystkie najpiękniejsze rumaki... Patrząc na was pomimowoli myślę o niewidzialnem spojrzeniu, widzącem wszystkie milczące cierpienia,

wszystkie miażdżące krzywdy, na które nikt nie zważa. Spojrzenie to na was spoczywa: zgłębia otchłań waszego męczeństwa i coś mi szepcze, że nawet w waszych ciemnościach nadchodzącą zorzę dostrzega...«

Nie wszystkie obrazki są równie poważne. Niektóre trącą wesołym paradoksem, tem weselszym, iż czuć, że autor zdaje sobie sprawę, że paradoksy kreśli. Czasem znów wynajduje lekką formę dotknięcia ważnej sprawy, jak np. w *L'infâme Capital.* Ledwie skończył walczyć po stronie uciśnionego ubóstwa, spostrzega przed sobą spotwarzone bogactwo i wraz, jak rycerz z bajki, rzuca się na jego obronę. Chce widocznie obrócić w czyn to, co w *Justice* innym zalecał, aby w czasach naszych chrześcijanin odgrywał w społeczeństwie szlachetną rolę rycerza, obrońcy słabych, czciciela ideału i pogromiciela krzywd.

O błędach, wyrosłych tu i ówdzie w dziełach Wagnera, jak kąkol w łanie pszenicy, ostrzegliśmy już czytelników i nie ma powodu do nich powracać.

W niektórych jednak poważnych umysłach powstało pytanie, czy z powodu tych błędów należy lub nie całość pracy odrzucić? Na to możnaby znów odpowiedzieć pytaniem: Czy gospodarz zaniecha żniwa całego łanu, z przyczyny wykwitłego tu i ówdzie kąkolu? Z pewnością nie, raczej wszystko razem włoży na młockarnię, która zostawiając kąkol samo czyste ziarno z pszenicy wymłóci.

T. Wodzicka.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Filozofia św. Augustyna na tle epoki. Przez *Maurycego Straszewskiego*, zw. prof. filozofii w Uniw. Jagiell. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. 1906.

Prof. Straszewski wypełnił swą książką lukę, jedną z bardzo dotkliwie dających się uczuć w literaturze naszej. Nie tylko nie posiadamy dzieł św. Augustyna, przetłumaczonych na język polski, co umożliwiłoby zapoznanie się przez szersze koła ze sposobem myślenia i bogactwem idei u wielkiego biskupa Hippony, ale dotąd nie zdobyliśmy się nawet na monografię, samodzielnie napisaną, a dającą pogląd choćby sumaryczny na rozwój duchowy jednego z myślicieli najtęższych, jakimi słusznie chlubić się może ludzkość cała. Nie będziemy dochodzić tutaj powodów czy przyczyn tego faktu; konstatujemy tylko, że św. Augustyn nie miał wśród Polaków takich wielbicieli, jakich miał u innych narodów; żaden też z wybitniejszych myślicieli polskich nie uważał za stosowne poświęcić mu swej uwagi, gdy tymczasem dla myślicieli francuskich, angielskich i niemieckich pisma wielkiego Afrykańczyka były prawdziwą kopalnią. Zwłaszcza uczeni niemieccy zabrali się z dobrze znaną drobiazgowością i sumiennością do analizy dzieł i myśli św. Augustyna, wskutek czego ich literatura w tym kierunku jest niezmiernie bogatą. Jest to w każdym razie nauczka dla tych, co napisanie rozprawy w rodzaju tej, jaką dał prof. Straszewski, uważają za objaw dążności klerykalnych, a może i bigotyzmu. Zapewne, nie każdy jest i może się czuć powołanym do pisania o św. Augustynie. Kto-

kolwiek bowiem zechciałby przedstawić wszechstronnie i gruntownie tę postać promienną kwitnącego w trzecim i czwartym wieku na wybrzeżach Afryki północno-zachodniej Kościoła katolickiego, musiałby w jednej osobie być historykiem, filozofem, teologiem, a nawet filologiem ze względu na styl św. Augustyna, a te warunki nie zawsze chodzą w parze. To też wdzięczność prawdziwa należy się prof. Straszewskiemu, że nie żałował trudów i pracy mozolnej, aby w swej książce zwrócić uwagę społeczeństwa naszego na głębię i bogactwo myśli jednego z najwybitniejszych Ojców Kościoła. Postawił sobie prof. Straszewski zadanie o wiele skromniejsze, aniżeli inni biografowie św. Augustyna, gdyż, jak sam podaje, nie było jego zamiarem przedstawić wyczerpująco i wszechstronnie tego wszystkiego, co najściślej jest związane z imieniem św. Augustyna; chciał on dać obraz, i to dość ogólny, rozwoju myśli u pogromcy Manichejczyków, pelagianizmu i Donatystów. Przyświecał zaś szan. autorowi cel bardzo szlachetny, mianowicie, aby w dzisiejszej rozterce umysłów, wobec objawiającej się coraz głośniej tęsknoty za czemś lepszem, idealniejszem, pewniejszem, wskazać tym, którzy jak Augustyn św. chcą szczerze prawdy szukać i ukojenia swych bólów, gdzie tę prawdę znaleźć mogą oraz lekarstwa dostać na niedomagania swej duszy.

Co do formy zewnętrznej, autor zaniechał używanego powszechnie podziału swej książki według materyału na części, księgi, rozdziały i paragrafy, a obrał o wiele swobodniejszą formę wykładów, gdyż i książka jest owocem wykładów publicznych, miewanych w r. 1905 w Uniwersytecie krakowskim. Nie mam zwyczaju narzucania autorom swoich upodobań, ale jednak forma, obrana przez szan. autora, okazała się w praktyce o tyle ujemną, że dość często trzeba było nawracać do myśli już raz gdzieindziej poruszonych, a czego można było uniknąć, posługując się podziałem nieco innym.

Ponieważ Augustyn św. skupia w sobie dorobek filozoficzny myśli greckiej i rzymskiej, więc z natury rzeczy musiał szan. autor dać dla postaci św. Augustyna tło szerokie, zwłaszcza przez wzgląd na czytelników, nie znających dziejów filozofii starożytnej, musiał wskazać w rysach najogólniejszych bodaj te drogi kręte, często gęsto bardzo rozbieżne, jakiemi biegła myśl ludzka, póki jej nie poznał i nie przyswoił sobie św. Augustyn. W pierwszym tedy wykładzie przesuwa autor przed naszemi oczyma przedstawicieli najwybitniejszych filozofii greckiej: Talesa, Pitagorasa, Anaksymandra i Anaksymenesa, Ksenofanesa, Heraklita, Parmenidesa, Anaksagorasa, Empedoklesa, Demokryta,

Sokratesa, Platona, Arystotelesa oraz ich szkoły, dając przy każdym z nich krótką, ale zawsze trafną charakterystykę ich poglądów filozoficznych.

Następuje w wykładzie drugim przedstawienie stosunku chrześcijaństwa do filozofii pogańskiej. Zrazu chrześcijanie, zajęci sprawami o wiele ważniejszemi, nie troszczyli się wiele o to, co nauczali mędrcy pogańscy; lecz kiedy pod wpływem złej filozofii w łonie samego chrześcijaństwa zjawiać się poczynają herezye jedna po drugiej, z drugiej zaś strony filozofowie i uczeni pogańscy broniąc rozumu zwalczali wiarę w Chrystusa i Kościół, podnoszący coraz śmielej swą głowę z katakumb, musieli chrześcijańscy myśliciele pod grozą zaniedbania obowiązku swego stanąć na gruncie, na którym stanęli ich przeciwnicy, podnieśli rękawicę rzuconą, a św. Justyn, Atenagoras, Arnobius, Tertullian, Orygines, Pantenus, Klemens Aleksandryjski, kruszą zwycięsko kopie o sprawę Bożą. Szczegółowo zajmuje się szan. autor stosunkiem nowoplatanizmu do myśli chrześcijańskiej oraz jego wpływem na tę ostatnią w ukształtowaniu nauki o Boskim Logosie czyli o drugiej Osobie w Trójcy św.; zwraca przytem uwagę na fakt, który przeoczył niejeden dziejopisarz filozofii, iż nowoplatonizm zamierzał dać nie tylko pogląd filozoficzny na świat, ale pragnął stać się religią powszechną i w ten sposób wyrugować z pośród ludzkiego rodzaju imię i naukę Chrystusa. Niemniej manicheizm miał zakusy, aby się stać religią wszechludzką. Tylko *lapsui calami* należy przypisać wyrażenie (str. 48), że to św. Paweł miał rozprawę ze Szymonem Magiem, poprzednikiem Gnostyków. Jak świadczą Dzieje Apostolskie oraz tradycya pierwszych wieków rozprawiał się ze Szymonem Magiem święty Piotr, od którego Szymon, zwany przez swych zwolenników Paraklet em (Pocieszycielem), Mocą Bożą i t. d. chciał wyłudzić za pieniądze dar czynienia cudów.

Zajmującym jest w wykładzie następnym opis początków i rozwoju życia zakonnego wśród chrześcijan oraz wpływ tego życia na spekulacyę chrześcijańską w stuleciu czwartem. Nie można się jednak zgodzić z szan. autorem na zdanie, jakoby »z soborem nicejskim kończyły się spory o zasadnicze prawdy wiary chrześcijańskiej, a rozpoczynało się ich wszechstronne rozwinięcie, uzasadnienie i systematyczne we wszystkich kierunkach wykończenie« (str. 75), gdyż twierdzeniu temu zadają kłam dzieje monofizytyzmu, monotektyzmu, wstrząsających niemniej silnie od aryanizmu podwalinami nauki przez Chrystusa Kościołowi swemu zostawionej.

W wykładzie czwartym dla całkowitego uzupełnienia tła, na którem ma się zjawić biskup z Hippony, kreśli szan. autor obraz stosunków politycznych i społecznych w świecie starożytnym, a co ze względu na dzieło pomnikowe Augustyna: *De civitate Dei* było niezbędne. Przy tej sposobności przeprowadza autor nader zręcznie porównanie dwóch postaci, stojących na kresach całkiem przeciwnych, Augustyna i Juliana Apostaty, którego krokami dziecięcemi niestety nie kierowała, jak to było u Augustyna, matka o duszy gorąco Boga kochającej, lecz mnich aryański Eutropiusz, surowy, a co chwila grożący chłopcu najsroższemi karami piekielnemi. Przechodzi następnie szan. autor do nakreślenia żywota św. Augustyna urozmaicając swój wykład barwnem przedstawieniem stosunków społecznych Afryki północno-zachodniej. Znów mi się tutaj nasuwa pewna wątpliwość. Szan. autor twierdzi mianowicie apodyktycznie (str. 110), że ojciec Augustyna, Patricius, pozostał do samej śmierci poganinem. Tymczasem biografie św. Moniki, Brewiarz rzymski, a tak samo Überweg[1] utrzymują, że Patricius nawrócił się przed swą śmiercią i został chrześcijaninem. Nie mam jednak pod ręką źródeł odpowiednich, aby ten szczegół sprawdzić, i dlatego nie chcę się o niego spierać. Mam jednak żal do szan. autora, że tak po macoszemu obszedł się ze św. Moniką, której modłom, łzom i zabiegom zawdzięcza Kościół Augustyna; taka przytem miła nadarzała się sposobność napomknienia o wpływie matek na Bazylego W. i obu Grzegorzów! Za to uznanie całkowite należy się autorowi za jego uwagi o Wyznaniach *(Confessiones)* św. Augustyna; niewiele możnaby do tych uwag dodać, choć są zwięzłe. I znów ośmieliłbym się postawić znak pytania maleńki przed twierdzeniem autora: »Wieki średnie z materyału naukowego Wyznań nie korzystały, nie były bowiem do tego dojrzałe«, gdyż to twierdzenie nie pozostaje w zgodzie z faktami, a poniekąd nawet z tem, co sam szan. autor gdzieindziej utrzymuje o wpływie św. Augustyna na mistykę wieków średnich.

Opowiedziawszy przejścia duchowe, które wkońcu doprowadziły Augustyna na łono Kościoła, przechodzi autor w rozdz. VI do właściwego tematu swego, do przedstawienia poglądów filozoficznych św. Augustyna. Rzecz swą rozpoczyna od skreślenia augustyańskiej teoryi

---

[1] Por. jego: *Grundriss der Geschichte der Philosophie,* w opracow. Maksa Heinze'go, część II. Berlin 1898, str. 118: »Augustins Vater Patricius blieb bis kurz vor seinem Tode der alten Religion zugetan«.

poznania. Autor umie rzeczy trudne i zawiłe przedstawić w formie jasnej i przystępnej, że nawet dla czytelników nieobeznanych z filozofią, problem poznawania naszego według teoryi św. Augustyna jest łatwym do zrozumienia i spamiętania. Augustyn, umysł trzeźwy, badawczy, krytyczny, nie może pozostać na zawsze w pętach sceptycyzmu; w poznawaniu znów zmysłowem niepodobna nie dopatrzyć się braku pewności przedmiotowej; wobec tego punkt oparcia dla pewności w poznawaniu upatruje on w fakcie oczywistym swego istnienia samowiednego. Z tego punktu Archimedesowego należało było rzucić jakiś pomost ku światu zewnętrznemu i zapytać się, na czem znów opiera się pewność w poznawaniu naszem odnośnie do otaczającego nas świata zewnętrznego, należało było roztrząsnąć pytanie o wartości przedmiotowej naszych pojęć ogólnych, bo dopiero wówczas byłby całokształt augustyańskiej teoryi poznania zupełny. Stąd, mojem zdaniem, odpowiedniej było już na tem miejscu omówić pogląd św. Augustyna na idee ogólnę oraz jego różnicę co do tego przedmiotu w porównaniu z ideologią Platona, aniżeli pozostawić tę sprawę do wykładu o poznaniu Boga. Pogląd św. Augustyna na podstawę pewności w poznawaniu naszem okazuje niejeden punkt styczny z zasadą metodologiczną Kartezyusza: *cogito, ergo sum;* słusznie jednak szan. autor przestrzega przed chęcią utożsamienia obydwóch poglądów; piszę się całkowicie na zdanie prof. Straszewskiego, że św. Augustyn ujął o wiele głębiej zagadnienie o podstawie pewności w poznawaniu naszem, aniżeli to uczynił Kartezyusz.

Wykład siódmy poświęcony jest scharakteryzowaniu poglądów psychologicznych Augustyna. Psychologię św. Augustyna stawia szan. autor bardzo wysoko, czy jednak nie z ujmą niepotrzebną Stagiryty? Wprawdzie Arystoteles inną posługiwał się metodą, aniżeli św. Augustyn, ale i te okruchy nauki psychologii, jakie Stagiryta nagromadził w swem dziełku: »O duszy«, mogły powstać tylko drogą obserwowania faktów psychicznych; czyż zresztą rezultaty, do których jeden i drugi pionier studyów psychologicznych dochodzą, tak dyametralnie się różnią? Można było śmiało podnieść wszystkie strony dodatnie psychologii Augustyna, a jednak nie umniejszać przez to zasług niewątpliwych Arystotelesa. Na str. 195 może lepiej powiedzieć: objawy psychiczne niższego i wyższego rzędu — zamiast: objawy duchowe niższego i wyższego rzędu. Na str. 208 autor, po przytoczeniu czterech możliwych sposobów co do pochodzenia dusz ludzkich, a mianowicie, że jest ona wytworem albo żywiołów materyalnych, albo pochodzi od

istot od człowieka doskonalszych np. od aniołów, albo jest ze substancyi Boga samego, albo też jest przez Boga stworzoną — dodaje: »Daremnie siliłby się ktoś wymyślić tu jeszcze coś piątego, w powyższych czterech tezach streszcza się wszystko«. Tymczasem przeoczył szan. autor, że już Tertullian faktycznie piątą wskazał możliwość w swym traducyonizmie.

Pewne obawy budzić się mogły u teologa, gdy prof. Straszewskiemu przyszło w wykładzie ósmym mówić o poznaniu Boga oraz o jednej z najtrudniejszych do omówienia tajemnic, o tajemnicy Trójcy świętej. Budziło się we mnie zaciekawienie mimowolne, jak się też upora nie-teolog z subtelnościami tych tajemnic, aby nie natknąć się ani na Scyllę ani na Charybdę. Szan. autor bardzo ostrożnie co prawda wziął się do rzeczy, ale ku mej wielkiej radości wywiązał się z zadania zupełnie bez błędu. Kreśli on barwnie, jak zwolna oczyszczało się u Augustyna pojęcie Boga z naleciałości manichejskich i nowoplatońskich, póki ostatecznie się nie skrystalizowało w pojęcie Boga, jakie posiada chrystyanizm. Zaznaczyć tu należy, że Augustyn odmiennie od późniejszych Ojców Kościoła i teologów zapatrywał się na dowody istnienia Bożego, gdyż nie szukał tych dowodów, bo idea Boga wydawała się mu oczywistą, a istnienie Boga koniecznością. Taki punkt widzenia jest tylko konsekwencyą jego poglądów psychologicznych, ale bezwzględnie rzecz biorąc niedość uzasadniony, jak tego dowodzą dzieje tak zwanego ontologicznego dowodu Bożego istnienia. Wyrazy: *simplex, simplicitas*, może lepiej było oddać przez: prosty, prostota, aniżeli: pojedynczy, pojedynczość. Niedość jest mi zrozumiałe zdanie: »U Plotina mamy trzy hipotezy, ale niema tam wcale trzech osób Boskich« (str. 231); wszak hipoteza oznacza u autorów greckich bądź osobnika, bądź też osobę. Co do pytania, czy lepiej oddaje myśl nauki chrześcijańskiej wyraz: *Logos* czy też: *Verbum* — stanąłbym raczej po stronie Ojców Kościoła zachodniego, bo: *Verbum* silniej akcentuje rodzenie i osobowość Słowa Bożego. Mówiąc o poglądach na idee rzeczy u Platona i u Augustyna, twierdzi szan. autor, że Platon prawdopodobnie nie dopuszczał możliwości istnienia idei każdej rzeczy szczegółowej z osobna (str. 235); wyrażenie to nie jest dość jasne, bo nie wiadomo na pewne, czy chodzi w tym wypadku o idee szczegółowe, o idee jednostek, o ile są jednostkami, czy też o to, ażali istnieją idee ogólne wszystkich poszczególnych bytów jednostkowych; tylko druga możliwość jest zgodna z ideologią Platona. Również wyrażenie,

że »idea Platona, podobnie jak i forma Arystotelesa, to coś z zewnątrz przychodzącego, co się w materyi wyciska«, należy o tyle sprostować, że w myśl hylomorficznej teoryi Arystotelesa forma, przynajmniej substancyalna, nie jest bynajmniej powłoką, dołączającą się do materyi, ale czemś, co w możności tkwi w materyi i z niej bywa wyprowadzane.

W wykładzie dziewiątym jest przedstawiony bez zarzutu najmniejszego stosunek świata do Boga; mówi tedy szan. autor o początku świata, o naturze czasu a poniekąd i przestrzeni, o materyi i formie, o kosmogonii Mojżeszowej, o zachowaniu świata jako ciągu dalszym aktu stwórczego, o życiu i jego rozwoju, przyczem porównywa pojęcie rozwoju, właściwe Augustynowi, z tem, jakiego ojcem duchownym jest Darwin. Mimochodem nadmienić należy, że gdy Augustyn zwie Boga: *essentia pura* (str. 247), to wyraża on przez to cechę metafizyczną Boga, czyli że Bóg ma byt swój z siebie, a więc Jego istotą jest, aby był, wskutek czego między Jego istotą a istnieniem niemasz rozróżnienia rzeczowego, tylko co najwyżej umysłowe.

Rozdział X zajmuje się człowiekiem oraz jego stanowiskiem wśród stworzeń; przy tej sposobności znów wchodzi autor na pole teologiczne, bo rozprawia o współdziałaniu łaski Bożej z osłabioną przez grzech pierworodny wolą ludzką. Szkoda, że autor nie pogłębił swego wywodu o Pelagianach, tych prawdziwych racyonalistach V w., bo wówczas i nauka Augustyna o woli ludzkiej w pełniejszem byłaby się ukazała świetle. Malowidło, przedstawiające akt stworzenia pierwszego człowieka, nie znajduje się w kaplicy Sykstyńskiej, tylko w jednem z pól plafonowych w loggiach.

Cały rozdział XI traktuje o wiekopomnem dziele Augustyna: *De civitate Dei,* któremu to dziełu oddaje szan. autor z całym pietyzmem wielkie pochwały. Wreszcie rozdział XII, a zarazem ostatni, jest reasumpcyą poglądów Augustyna na świat oraz przedstawieniem wpływu, jaki wywierał Augustyn na myślicieli w różnych czasach i u różnych narodów.

Poszedłem za radą szan. profesora i książkę jego prawie jednym tchem przeczytałem; obecnie dziękuję mu za biesiadę duchową, jakiej przez swą książkę dostarczył nie tylko mnie, ale i tym wszystkim, których nie przeraża imię Augustyna. Co do uwag p. Brücknera, które, jak z książki widać, szan. profesor zanadto sobie wziął do serca, radbym przypomnieć, że gdy się spytano raz Torquata Tassa, kogo uważa za najszczęśliwszego, odrzekł, że Boga. »A po Nim kogo?« —

»Tego, kto Bogu najpodobniejszy«. Pan Brückner pozostanie tylko Brücknerem, a św. Augustyn wieczną chlubą Kościoła i myśli ludzkiej.

Ks. dr. Franciszek Gabryl.

Studya społeczne. *Leopold Caro.* Kraków 1906.

Mamy przed sobą książkę, będącą zebraniem dorobku kilkunastoletniej pracy naukowej autora; z całego szeregu mniejszych i większych rozpraw, ogłoszonych w różnych czasopismach, wybrał p. dr. Caro szesnaście tematów, omawiające jeszcze dotąd aktualne zagadnienia. Jakkolwiek na pierwszy rzut oka możnaby przypuścić, że poszczególne rozprawy, pisane w różnych okresach czasu, z sobą się nie wiążą, to jednak po dokładniejszem rozpatrzeniu się w »Studyach społecznych« widać, że tak nie jest, że pewna nić wspólna łączy przeważną część tematów w organiczną całość. Są to mianowicie rozprawy, poświęcone kredytowi włościańskiemu. Dadzą się one podzielić na takie, w których autor rozbiera objawy tego kredytu w naszym kraju, omawia je na podstawie szczegółowych studyów i kreśli w wymownych cyfrach wyzysk biednego chłopa, tudzież na takie, które są uzupełnieniem pierwszych, gdyż autor zastanawia się nad środkami zaradzenia złemu i występuje z własną inicyatywą w tym kierunku.

Głównym niezdrowym objawem fatalnych stosunków kredytowych na wsi w naszym kraju jest l i c h w a. Pan Caro, autor znanego w niemieckiej literaturze ekonomicznej, dzieła *Der Wucher,* kreśli w rozprawie »Lichwa na wsi w Galicyi« obraz okropnego wyzysku chłopa galicyjskiego przez lichwiarzy wiejskich, a to na podstawie materyałów, zebranych przez Wydział krajowy i aktów »Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych«. Ciekawą illustracyę stanowią liczne tablice statystyczne, w których znajdujemy między innemi także zestawienie stosunków osobistych lichwiarzy według statystyki kryminalnej, wykaz gminnych kas pożyczkowych, miejskich i powiatowych kas oszczędności i t. d. Autor, wiedząc z własnego doświadczenia, jak trudno u nas zebrać choćby jakie takie materyały do ważnych zagadnień ekonomicznych, podaje projekt kwestyonaryusza dla zbadania lichwy w naszym kraju, zawierającego w czternastu artykułach szczegółowe pytania. Najważniejszą rzeczą w proponowanym kwestyonaryuszu jest to, że autor stara się w nim uwzględnić wszelkie możliwe postaci, pod jakiemi lichwa objawić się może, nie ograniczając jej pojęcia tylko do nieuczciwych pożyczek pieniężnych.

Lecz niebezpieczeństwo lichwy grozić może nie tylko ze strony

poszczególnych jednostek, bo p. Caro w swej rozprawie o »Banku włościańskim w Galicyi« wykazał, że także kredyt, udzielany przez instytucye, nawet poważne na oko, w braku odpowiedniej kontroli może pociągnąć za sobą fatalne dla dłużników skutki.

Rozprawa o banku włościańskim jest jak gdyby drugą stroną tegosamego medalu, który widzimy w poprzednio omówionej pracy, lecz nie w znaczeniu przeciwieństwa, lecz raczej uzupełnienia. Nie uszły też oka autora pewne wadliwości w przeprowadzeniu likwidacyi banku, co do których słusznie żądał publicznie wyjaśnienia. Nadzwyczaj ciekawą tablicę statystyczną znajdujemy na końcu rozprawy, zestawiającą powiaty galicyjskie według procentu spłaconych w Banku włościańskim długów, oświaty i ruchu ludności, w której dodatni wpływ oświaty występuje w bardzo silnych zarysach.

Nie dość jednak wykazywać same tylko braki, poza tem bowiem pozostaje druga, zazwyczaj o wiele cięższa, część zadania, mianowicie podanie projektu, jak złemu zaradzić. Autor występuje z odpowiednią inicyatywą w całym szeregu rozpraw, będących niejako dalszym ciągiem omówionych wyżej prac o lichwie i banku włościańskim.

W odczycie »O sposobie zwalczania lichwy«, wygłoszonym w r. 1896 na wiecu katolickim we Lwowie, słusznie zauważa p. Caro, że »podczas gdy kradzież, a nawet oszustwo niekoniecznie doprowadza poszkodowanego do ruiny majątkowej, lichwa pociąga za sobą to następstwo, a jednak ustawa karze surowiej kradzież lub oszustwo, niż lichwę«. Ze względu na istotę lichwy i jej skutki dla dłużnika, tudzież z powodu najrozmaitszych form, w jakie ją sprytny lichwiarz ubiera celem obejścia ustawy, żąda autor rozszerzenia pojęcia lichwy w ustawie o lichwie i podniesienia prawa żądania unieważnienia umowy z powodu pokrzywdzenia ponad połowę wartości do *ius cogens*.

Uchwała Sejmu z r. 1897, przyjmująca gwarancyę kraju za pożyczki, dla powiatowych i gminnych kas oszczędności, dla towarzystw zaliczkowych, tudzież dla gmin i powiatów, do wysokości dziesięciu milionów, oraz Wnioski Wydziału Krajowego z r. 1898 w przedmiocie kas Raiffeisena dały sposobność autorowi do zrobienia całego szeregu trafnych uwag i tak między innemi poddaje p. Caro ostrej krytyce ten fakt, że Wydział Krajowy w swych wnioskach żądał na utworzenie biura centralnego dla kas Raiffeisenowskich i na koszta organizacyi kursów praktycznych dla przyszłych kasyerów spółek kwoty 10.000 złr., z czego 6.000 miało przypaść na pensye dyrekcyi i urzędników biura centralnego, co stało w sprzeczności z żą-

daniem, by Bank Krajowy spełniał bezpłatnie czynności kasy patronatu.

Jednym z najważniejszych postulatów, jakie p. Caro postawił w celu zreformowania kredytu w naszym kraju, jest myśl ukrajowienia poczty i utworzenia przy niej krajowej pocztowej Kasy oszczędności, której szczegółowemu i fachowemu omówieniu poświęcona jest znaczna część rozprawy p. t. »Reforma kredytu włościańskiego«. Wiadomo, że rząd używa funduszów pocztowej Kasy oszczędności na skupywanie rent państwowych, co na wypadek zachwiania się kredytu państwa, np. w razie wybuchu wojny może być dla kasy wprost groźne. Autor jest zdania, że funduszów pocztowej Kasy oszczędności możnaby użyć śmiało i bez obawy jakiejkolwiek straty na pożyczki dla włościan.

Wreszcie uzupełnieniem poprzednich rozpraw jest praca »o ulgach legalizacyjnych w sejmie krajowym, w której autor żądał zwolnienia wpisu hipotecznego od należytości stemplowych, intabulacyjnych i legalizacyjnych w tych wypadkach, gdzie przedmiot umowy przedstawia wartość niżej 100 złr., a to z tej przyczyny, że należytości uboczne wywołują przy małych pożyczkach hipotecznych znaczne podrożenie kredytu. W rok po ogłoszeniu przez autora powyższej rozprawy, przyszła do skutku ustawa krajowa, wprowadzająca zwolnienie od należytości przy wartości przedmiotu umowy poniżej 100 koron. Drugim bardzo doniosłym postulatem, wyrażonym przez p. Caro, jest żądanie zaprowadzenia w ustawodawczej drodze odpowiedzialności notaryusza za treść dokumentu i za sprawdzenie uprawnienia do działania stron, przed nim się jawiących, we wszystkich sprawach z ludnością włościańską i małomiejską. Myśl bardzo ważna i dotąd niespełniona; zdaje się jednak, że na poważne trudności napotkałoby ustalenie pojęcia ludności »włościańskiej« i »małomiejskiej«, dlatego, że nie wiadomo, jakie tu wziąć kryterye, ekonomiczne czy topograficzne za podstawę.

W »Studyach społecznych« spotykamy ponadto dwie prace, które dotykają dwu bardzo doniosłych kwestyi, a mianowicie parcelacyi i zawodowej organizacyi rolników. W pierwszej z nich domaga się p. Caro oddania kierownictwa ruchu parcelacyjnego w ręce jednej z poważnych instytucyi finansowych, z pośród których wydaje się autorowi najodpowiedniejszem do przeprowadzenia interesu parcelacyjnego z pożytkiem dla stron obu i zgodnie z dobrem publicznem Towarzystwo Kredytowe ziemskie. W drugiej pracy przemawia za

uchwaleniem ustawy krajowej o rolniczych stowarzyszeniach zawodowych. Punktem wyjścia dla autora jest pierwotny projekt hr. Falkenhayna i obecna państwowa ustawa »ramowa«. Autor wykazuje potrzebę podobnej organizacyi dla naszego kraju.

Poza tem zawierają »Studya społeczne« jeszcze następujące rozprawy:

»Książki robotnicze«, gdzie autor wykazuje, że obecne przepisy ustawy przemysłowej o książkach robotniczych minęły się w praktyce zupełnie z intencyą ustawodawcy, któremu chodziło przedewszystkiem o ułatwienie zarobku robotnikowi i o uświadomienie go, co do stanowiska społecznego i przysługujących mu praw.

Tematem pracy »Prawa sługi« są obowiązujące dzisiaj regulamina służbowe ich braki i niedomagania.

»Projekt reformy ustawodawstwa naftowego« zawiera polemikę z projektem radcy górniczego, p. Bocheńskiego, żądającym reformy ustawodawczej w tym kierunku, żeby prawo eksploatacyi nafty i innych żywic ziemnych przysługiwało każdemu, ktoby zgłosił się w tym celu pierwszy do urzędu górniczego o »nadanie górnicze« na podstawie szczegółowego planu odbudowy. Rozprawa ta jest i z tego względu ciekawa, że zwiastuje niejako tę wszechstronną, a bardzo zajmującą i ciekawą polemikę naukową o istotę prawną kontraktów naftowych i o reformę całego ustawodawstwa naftowego, jaka toczy się w ostatnich czasach w kołach prawników nauki i praktyków, żeby tylko wymienić prace profesorów d-ra Zolla jun. i Wróblewskiego, d-ra Spyry, d-ra Jendla, Rosenberga i innych.

W rozprawie »o dodatku do funduszu religijnego« omawia autor pokrzywdzenie duchowieństwa wskutek opodatkowania od majątku, a nie od dochodu. Nadto omawia autor w osobnych pracach nadużycia przywłaszczania sobie firm w celach nielojalnej konkurencyi, tudzież potrzebę zorganizowania pomocy prawnej dla ubogiej ludności.

Pozostaje wreszcie do omówienia jeszcze jedna rozprawa, umieszczona na czele »Studyów społecznych«, a zatytułowana »Sprawa indemnizacyjna w Galicyi«. Różni się ona o tyle od innych prac, zawartych w książce p. Caro, że właściwie dotyczy sprawy indemnizacyjnej w Galicyi. Jak wiadomo, Galicya miała prawo żądać, by rząd austryacki sam poniósł koszta zniesienia pańszczyzny, gdyż patent z 17 kwietnia 1848 r. stanowił między innemi wyraźnie w art. VII, że *die Vergütung wird vom Staate geleistet.* Potem rząd począł się powoli wycofywać,

dla zatarcia zaś złego wrażenia postanowił 13 października 1857 udzielać galicyjskim funduszom indemnizacyjnym »subwencyi« (!) w kwocie 2,500.000 zł. m. konw. i t. d. i t. d., aż wreszcie całą sprawę zakończono ugodą. Autor przedstawił szczegółowo całą walkę w parlamencie, jaka poprzedziła uchwałę Izby i uzasadnia swe zapatrywanie, że Galicya powinna była na wniosek mniejszości komisyi parlamentarnej, zmierzający do oddania sprawy trybunałowi państwa, odpowiedzieć groźbą skargi wzajemnej i powołuje się w tym względzie na zdania tak wybitnych prawników i mężów stanu, jak Glaser, Unger, br. Hye i Belczedi.

Na końcu zaznaczyć jeszcze należy, że autor uzupełnił rozprawy zamieszczone w »Studyach społecznych« nowemi datami i świeżymi faktami. Książka p. Caro będzie zawsze poważnym przyczynkiem do dziejów naszych stosunków ekonomicznych i socyalnych u zbiegu dwu stuleci.

Dr. Kaz. Wł. Kumaniecki.

Mikołaj Rej. Studyum krytyczne. *Aleksander Brückner.* Kraków 1905.

W pierwszym rozdziale swej monografii prof. Brückner daje przegląd literatury poświęconej Rejowi, od najdawniejszych czasów do ostatnich. Z tego przeglądu widać dopiero wyraźnie, jak literatura krytyczna o Reju była dotąd niewielką, jak mało dotąd znaliśmy jego dzieła, i jak mało wiedzieliśmy o Reju, chociaż nazwisko jego tak się nam wydawało znajomem i blizkiem. Skutkiem tego książka prof. Brücknera, dająca wszechstronny obraz naszego pisarza, nie mogła być jubileuszowem zebraniem wiadomości dotychczasowych, okraszonem tu i owdzie jaką deklamacyą. To rzecz z gruntu nowa, niemal zupełnie od dotychczasowych prac niezależna (choć oczywiście ich wyniki musiała uwzględniać). Jest to pierwsza książka o Reju, dająca równocześnie i szczegółowe analityczne badania i pogląd ogólny, syntezę. Całość spuścizny literackiej Reja poddała ona badaniu całości i części. Skutkiem tego można mieć nadzieję, że teraz od niej zaczną się znowu badania więcej szczegółowe pojedynczych dzieł Reja; wskazaną jest droga, pokazane te punkty, które domagają się oświetlenia pełniejszego.

W tej całości jeden jest brak dla nas dotkliwy. Niema biografii pisarza. Ku własnej szkodzie książki, bo bez tej biografii wydaje się ona niezupełną. Brak nam przez to różnych, nieraz nadzwyczaj ważnych objaśnień do dzieł Reja. Autor broni swej metody tem, że bio-

grafia Trzecieskiego jest tak piękną i tak zupełną, że rozszerzać ani pogłębić jej niepodobna. Stanowisko to, którego akceptować nie można, boć jeżeli piszę zupełne studyum o autorze jakim, żywot jego muszę ciągle z dziełami jego splatać — od zdolności piszącego zależy naturalnie, jak to zrobi. Sam Brückner zresztą nieraz musiał od tego poglądu odstąpić, wspominając działalność Reja na sejmach, lub jego czynny, praktyczny (nie tylko pismem) udział w rozkrzewianiu nowej wiary. Organiczne splecenie całego toku życia Rejowego z przedstawieniem jego działalności literackiej dodałoby książce dużo powabu i wartości czysto naukowej.

Od drugiego rozdziału prof. Brückner rozpoczyna przegląd dzieł Reja; rozdział ostatni, »Uwagi ogólne«, jest całego dzieła a zarazem wizerunku Rejowego syntezą ogólną. W tych ramach mieści się taka masa szczegółów nowych, ważnych, ciekawych, taka ilość faktów i spostrzeżeń nowych, daleko sięgających, że niepodobieństwem jest wymienić w sprawozdaniu pobieżnie choćby najważniejsze. Nadto: chcieć ten lub ów szczegół sprostować, poprawić, inaczej oświetlić, na to trzebaby mieć tę samą co autor erudycyę, tę samą niepospolitą znajomość epoki, w tym samym kierunku wykonać ogrom pracy. Więc tylko ucząc się od autora monografii, dowiadując się od niego mnóstwa rzeczy, spróbujmy objąć całość dzieła, przypatrzyć się jego sposobowi przedstawienia rzeczy, podkreślić jego znaczenie dla naszej wiedzy o Reju.

Omawia prof. Brückner najpierw najdawniejsze pisma czy dzieła Reja, owe niezachowane liczne »wiersze«, o których wspomina Trzecieski, dochodzi ich treści na podstawie porównania z ówczesną produkcyą poetycką Polski; następnie dyalogi, z których najciekawszy, »Warwas«, o kwestyi kobiecej, jest obecnie przedmiotem kontrowersyi; dalej »Rozprawę«, »Żywot Józefa«, »Psałterz«. To ostatnie dzieło wysoko wynosi dla pięknego języka, dla szczerego i głębokiego uczucia religijnego, »Rozprawę« zaś dla jej oryginalności.

Najlepszą jest środkowa część książki, jej korpus, t. j. te rozdziały, które mówią o reformacyjnej działalności i reformacyjnych pismach Reja, o »Wizerunku« i o »Zwierzyńcu«. Z wyjątkiem rozdziału o »Postylli« wielkiej wartości rzeczowej, ale napisanego trochę ciężko, wszystkie inne napisane są bardzo żywo, interesująco, nie tracąc zresztą przez tę żywość nic ze swej wartości naukowej. Możnaby powiedzieć, że to są pierwsze wogóle studya nad »Zwierzyńcem«, nad »Wizerunkiem«, nad »Postyllą« i »Apokalipsą« i t. d. Szczególnie interesujące są ustępy o tem, jak to Rej przechodził zwolna do obozu

protestanckiego, jak się te myśli w nim rozwijały i utwierdzały; autor usuwa tu dawne mniemanie, jakoby z latami Rej od tych dawniejszych swoich myśli odstępował; pokazuje, jak z biegiem czasu pojawiają się na horyzoncie reformacyi polskiej Aryanie, i jak Rej przeciwko nim występuje; żywe, ciekawe i ważne są ustępy, poświęcone przyjaciołom i współdziałaczom Reja w reformacyi. Dalej do tych najlepszych ustępów należy rozbiór »Wizerunku«, wykazanie jego stosunku do pierwowzoru Palingeniusza, pokazanie, jak z humanistycznego poematu pod piórem Reja powstaje dzieło polsko-ziemiańskie; ważny jest ustęp o przyrodzie w pismach Reja, o jego odczuwaniu natury i zżyciu się z nią (choćbyśmy się nie zgodzili na przecenianie Reja z tego powodu). Wreszcie nader cenny i interesujący jest komentarz, jaki prof. Brückner daje do »Zwierzyńca« księgi drugiej, do tej księgi, którą zajmują osobistości ówczesne, znajomi i powinowaci Reja.

Wobec tych ustępów świetnych mniej żywy jest rozdział o »Postylli«, a traktat o »Figlikach«, a zwłaszcza o »Zwierciedle« wydaje się za krótkim, za mało dostosowanym do wartości tych pism, względnie do ich znaczenia, jako świadectwa o Reju i o jego epoce.

Jest to w związku z poglądem prof. Brücknera na te dzieła. Przekonanie powszechne dotąd stawia na czele pism Rejowskich »Żywot człowieka poczciwego«. Prof. Brückner inne pisma na plan pierwszy wysuwa, »Postyllę« zwłaszcza, »Rozprawę«, »Psałterz« i t. d. Pogląd ten z trudnością dałby się utrzymać. Nie tu miejsce polemizować z nim szczegółowiej nieco; zrobiliśmy to w *Pamiętniku literackim* r. 1905 (wogóle sprawozdanie niniejsze w przeważnej części opiera się na tamtym). Nie widać też, żeby zdanie prof. Brücknera zjednało sobie zwolenników — przyszłość zresztą rozstrzygnie.

Jest to odmienne od dotychczasowych grupowanie dzieł Reja między innemi także wynikiem poglądu autora na tak zw. rodzimość i oryginalność autorów XVI wieku. Reja prof. Brückner za to zwłaszcza wysoko podnosi i chwali, że jest on jakoby najoryginalniejszym z naszych pisarzów XVI wieku, że wszyscy uchylali czapeczki przed Rzymianami, a on nie. I to pogląd, który zapewne przyszłości mieć nie będzie. Jest on produktem chwili. Znajdujemy się bowiem obecnie w samym środku prądu bardzo silnego i bardzo chwalebnego: »chcemy dotrzeć do źródeł duszy polskiej«, chcemy być sobą, na własnych podstawach oprzeć dalszy nasz rozwój. Ten prąd jest niewątpliwie objawem bardzo pomyślnym, świadczy o żywem rozbudzeniu własnej świadomości, jest dążnością bardzo dobrą. Tylko, jak w każdym takim ruchu umy-

słowym, popada on tu i ówdzie w przesadę; heroldami jego stają się nieraz ludzie, u których dobra wola i chęć przewyższa zanadto pogłębienie umysłowe. Powstają w takiej atmosferze poglądy nieusprawiedliwione faktami; powstają hasła nienależycie zdefiniowane, odczute raczej, aniżeli wyrozumowane. Do takich należy kwestya tak zwanej rodzimości. W zakresie ściśle literackim jest ona po części reakcyą przeciwko przesadzie poprzedniego kierunku metody badań literackich, przeciw drobiazgowemu a ciasno pojętemu wyszukiwaniu pożyczek literackich, wpływów, zależności. Na takiem tle mogło powstać wyobrażenie o Reju, jako bardzo rodzimym, w przeciwieństwie np. do Kochanowskiego, który rzekomo nie był niczem innem, jak tylko poetą klasycznym w języku polskim. W istocie Rej nie jest ani więcej ani mniej rodzimy od innych poetów owej epoki, jest tylko mniej wykształcony. Ale znowu jest to temat za wielki, żeby go tu poruszać szczegółowo. O ile można wnioskować z tego, co jest, kwestya ta będzie teraz zajmować naszą historyografię literacką i oczekiwać możemy bardzo interesujących rezultatów na tem polu.

Jedną z właściwości monografii prof. Brücknera, którą należy wspomnieć, jest odkrywanie zaginionych pism Reja. Trzecieski mówi o wielu, których nie znamy; prof. Brückner z różnych świadectw stara się wywnioskować, co te pisma mogły zawierać: a do wymienionych przez Trzecieskiego dodaje cały szereg nowych. Otóż te wszystkie fakta muszą czekać na zbadanie dokładniejsze. Zasługą książki jest to, że do tego badania dała impuls. Powszechnie jednak odzywa się pewien żal czy pretensya do prof. Brücknera, że myśli swoje w tym względzie rzuca zbyt autorytatywnie, nie uzasadniając ich dokładniej, wystarcza mu jeden lub drugi argument, nie zawsze należytą mający wagę. W takich kwestyach postępowanie musi być bardzo szczegółowe, skrupulatne, jak postępowanie sądowe w sprawie bardzo niepewnej i zawiłej. Otóż prof. Brückner, rzucając te myśli, otworzył widok na wielką nową dziedzinę badania.

W rozdziale ostatnim autor skupia uwagi ogólne i syntetyczny daje wizerunek Reja. Nie ze wszystkiem możnaby się na ten obraz zgodzić, np. na ten pogląd, który z Reja czyni postać wybitnie i wyłącznie średniowieczną, podczas gdy pisarz ten stanowczo jest odbiciem epoki przejściowej, jednocząc w sobie cechy średniowiecza z cechami początków Odrodzenia. Dalej możnaby temu rozdziałowi zarzucić, że za mało stylizuje; w wielkiej ilości szczegółów zatraca się nieco wi-

dzenie rysów zasadniczych, które w takiem zakończeniu jedynie powinny być uwzględnione z wielką siłą i wyrazistością.

Ogólne wrażenie ogólnego obrazu jest takie, że Rej został stanowczo przeceniony. Autor nie tai przed czytelnikiem licznych, bardzo licznych defektów Reja-pisarza, podkreśla je nieraz bardzo silnie, a z tem wszystkiem znaczenie jego i wartość kreśli słowami i myślami tak silnemi, że te przedewszystkiem składają się w umyśle czytelnika na wrażenie ostateczne. Portret malowany jest fakturą jaskrawą, a ostatecznie światła są tak silne, że z pewnego oddalenia tylko one narzncają się oku. Stąd to budzi się kwestya: dlaczego pisarz tak wybitny, tak prawie niepospolity, piszący o materyach, które nadzwyczaj żywo obchodziły wszystkich, tak mały wywarł wpływ na r o z w ó j literatury. Prof. Brückner nieraz wprawdzie notuje oddziaływanie Reja na tego lub owego pisarza, ale są to wszystko raczej drobiazgi. O wpływie podobnym, jaki wywierał Kochanowski lub Skarga, niema mowy. Niema też wpływu praktycznego na masy, takiego, jakiegobyśmy się po pisarzu takiej rzekomo miary spodziewali. Być może, że późniejsze badania takie fakta wykryją, ale dotąd nie mamy ich w takiej ilości, żeby o prawdziwym wpływie można było mówić.

Wogóle w badaniach nad wiekiem XVI, ze wszystkich dawnych zbadanym dotąd najlepiej, zdaje się, że zaczynamy wchodzić na nowe tory, to też do dyskusyi pola jest i będzie dużo, jak zawsze w stadyum formowania nowych pojęć i wyobrażeń. Dzieło prof. Brücknera należy już trochę do tej nowej epoki, to też możnaby na jego tle poruszyć mnóstwo kwestyi. Na parę tylko zwróciliśmy uwagę, starając się wybrać najważniejsze.

W całości swej książka ta zawiera taką sumę wiadomości, że bardzo długi okres czasu przejdzie, zanim się ona zestarzeje, zanim sama będzie już tylko pozycyą bibliograficzną. Jest to najlepsze z dotychczasowych pism prof Brücknera, z największemi zdobyczami dla nauki, z największą ilością wskazówek dla badań dalszych; nawet ujemne właściwości stylu autora występują tu daleko mniej, niż w innych jego pismach, a wysuwają się zalety, żywość, barwność opowiadania, zdolność wywołania życia z postaci i faktów dawno zmarłych. Nie jest może ostatnim wyrazem o Reju, nie jest może klasyczną o nim monografią, ale możliwość takiej monografii z odległych bardzo a bardzo obłoków ściągnęła już na ziemię. Wiedzieliśmy dotąd o Reju względnie bardzo mało, teraz będziemy wiedzieć względnie i bezwzględnie bardzo dużo.

Jubileuszowej literaturze Rejowskiej jest to pozycya największa rozmiarami i najznakomitsza wartością.

St. Dobrzycki.

Z zachodnich kresów. Szkice i rozpatrywania. Przez *Franciszka Morawskiego.* Kraków 1906. Nakładem *Świata Słowiańskiego.* Str. 412.

Wielkopolską książką nazywa autor swe dzieło w przedmowie, zamieszczonej na wstępie. To miano, słuszne tak ze względu na treść, jak na osobę piszącego, nadaje tej publikacyi osobne piętno w oczach krytyka.

Bo niestety zbyt mało, a nawet coraz mniej »wielkopolskich« książek pojawia się w publicystyce ogólnopolskiej. Niedarmo ucisk germański pozbawił nasze kresy środowisk polskiej umysłowej kultury a te, które dotąd istnieją, zmuszone są prowadzić żywot cichy i bierny, nie mogą zogniskować wokoło siebie sił umysłowych, których szereg tak poważny poszukał i znalazł swobodniejsze pole do pracy na niwie galicyjskiej.

Z tem większem zajęciem witamy każdy nowy głos z kresów dający świadectwo, że, bądź co bądź, nie zamarła na nich żywotność publicystyki o wyższym pokroju i wykwintnej formie.

Książka, leżąca przed nami, świadectwo to daje w pełnej mierze. Pisana spokojnie, przedmiotowo, a zarazem z gorącem odczuciem wyrządzanych nam krzywd, rozwija przed nami szereg barwnych obrazków i poważnych rozpatrywań, a przykuwa czytelnika nie tylko doborem treści, ale także wykwintnością pisarskiego talentu. Autor, wnuk wielkopolskiego poety i pisarza, generała Franciszka Morawskiego, odziedziczył po dziadku dar przybierania w szatę wytworną tematów z życia i polityki współczesnej.

To też te obrazy z wielkopolskiej doli i niedoli czytają się, jakby rozdziały powieści. Autor prowadzi na wstępie czytelnika do wielkopolskiej szkoły, opowiada życie jednego z tych, którym system pruski nadał już miano *morituri,* nauczyciela-Polaka. Dalej w »Czarnej dekadzie« przypatrujemy się powstaniu Hakaty i dowiadujemy się ciekawych szczegółów o stosunku jej założycieli do księcia Bismarcka. A potem śliczny, przejmujący opis strasznej orgii antypolskiej p. t. »Biały orzeł w Poznaniu«. Zaiste pełną tragicznej grozy jest scena, gdy członkowie hakaty w pieśni do Chrystusa przywołują aniołów do pomocy w walce przeciw Polakom. Obrazek rodzajowy wzięty z życia, a pełen humoru, stanowi rozmowa w wagonie z haka-

tystą o delikatnem sercu. Istna to perełka w subtelnem cieniowaniu uczuć. Tragikomicznym również opis zbrojnej rewizyi u wnuczki Aleksandra Fredry. Ponuremi zato są barwy w dwóch po mistrzowsku skreślonych sylwetkach pod tytułem: »Poczciwy Niemiec« i »Testament krwi«. Wprowadza nas w nich autor do przeciwnego obozu. Wnikamy z nim w psychologię germańskiej duszy, widzimy dziwne w niej sprzeczności zalet, niewątpliwie poważnych i przymiotów, które stworzyły potęgę Niemiec, z równoczesnym zanikiem moralnego pierwiastku, ukrytym w kwiatach bezgranicznej obłudy. To samo okazują nam rozprawy obszerniejsze p. t. »Walka z nadczłowiekiem« i »Faryzeizm germański« a po nich w *Neudeutschland* znakomicie skreślony typ Wszechniemca intellektualnego, w pożarciu innych narodowości upatrującego zbliżenia się królestwa Bożego na ziemi.

Wszystkie zaś te niemieckie typy odrysowują się w książce p. Morawskiego na tle ciekawej rozprawy o wewnętrznych stosunkach w społeczeństwie niemieckiem p. t. »W parafii feodalnej«. Znakomity to szkic niesłychanych objawów kastowości feodalnej w pozornie postępowych Niemczech. Czytającemu zda się, że z gwaru życia powszedniego wstępuje do średniowiecznych podziemi, że otwierają się przed nim zaczarowane komnaty, w których lśni złoto i błyszczą drogie kamienie, ale w których powietrze duszne i stęchłe, chwyta za gardło, tamuje oddech, odbiera nadzieję i chęć życia.

W tem środowisku junkierskiem, które nas gnębi i uciska, dzieją się rzeczy, którym trzeba się przyjrzeć z blizka, by je ocenić i zrozumieć. Na romantycznych zamkach siedzą książątka udzielne, na corazto liczniejszych ordynacyach baronowie i grafy różnorodne. Oni odgraniczeni od reszty ludzkości baryerą nieprzebytą przesądów i praw stanowych. Widzimy taką Meklemburgię, w której nauczyciel i dzieci szkolne, zamiast nauki, muszą pędzić zające pana barona, przypatrujemy się tragedyom rodzinnym, gdy prawnie poślubiona małżonka dlatego, że niższego pochodzenia, traktowaną jest jak nałożnica, dzieci wydziedziczone, pozbawione nazwiska, skazane na nędzę. A przytem rzeczy pocieszne. Niemiec, któremu pęka serce z radości, że dostał orderek czwartej klasy, gdzieindziej znów kucharz nadworny ozdobiony aż sześciu krzyżami. Spoglądamy na dworaków zgiętych w kabłąk przed książątkiem, które włada obszarem mniejszym, niż powiat galicyjski. Przypatrujemy się całemu serwilizmowi natury niemieckiej, oddychamy tą atmosferą, która równocześnie wytwarza zimne, straszne bezlitośne prądy nienawiści rasowej. Ci bałwochwalcy dziedziczności,

to równocześnie najwięksi zwolennicy wydziedziczania ludności polskiej, odwiecznie na wschodnich kresach niemieckiego państwa zamieszkałej. Ten szlachecko-oficerski korpus, sławiący tradycye miłości pruskiej ojczyzny, z nienawiścią spogląda na Polaka, w którego sercu nie wygasło przywiązanie do ziemi ojców. Ten nierycerski, prześladowczy duch germański obdarzył polskie kresy przywilejami dziwnymi, obcymi poczuciu narodowemu polskiemu. Wsie jedne nazwał rycerskiemi, drugie mieszczańskiemi. Przyznał tylko pierwszym prawo głosowania na sejmikach powiatowych; utworzył kuryę hrabiów, w której hrabiowie polscy mają przewagę przy wyborze członka do Izby Panów.

Lecz nie rozwodzę się zbyt obszernie nad treścią książki p. Morawskiego, zaznaczę tylko, że napisana w sposób lekki, barwny a gruntowny, stanowi cenny przyczynek do literatury o naszych wschodnich kresach i powinna znaleźć się w rękach każdego, kogo losy naszych braci na kresach obchodzą.

J.

Z piśmiennictw obcych.

Z nowszej literatury hiszpańskiej.

II.

Conde de Casa Valenica: »Estudios historicos«. — Don Antonio Maria del Valle y Serrano: »Viajes, hazanas y aventuras de un Héroe del Siglo XIII«.— Espinosa y Quesada: »Cosas de Espana«. — Jacinto Octavio Picon: »Lazaro«.— Margr. de Figueroa: »La Vizcondesa de Armas«. — Pio Baroja: »Camino de perfecion« (Passion mistica). — Francisco Acebal: »Huellas de Almas«. — Gustavo Morales: »Amor y Amor«.

Przechodząc od O. Colomy do innych autorów widzimy w tym rodzaju *Estudios historicos par El Conde de Casa Valenica de la Academia espanola y de la ciencias morales y politicas* — obejmujących: 1) opis ambasady D. Jorge Juan do Maroku w r. 1767 — rzecz obecnie bardzo na czasie, mogąca wielce zająć europejskich dyplomatów a nawet niejednego ich nauczyć; 2) rozprawka o wojnie Hiszpanii z rzpltemi Peruwii i Chile w r. 1866 — raczej artykuł, niż szkic historyczny i 3) Dziennik Ferdynanda VII w r. 1823 podany z komentarzami autora, rzecz źródłowa, cenna zwłaszcza dla historyografów tej samej epoki. Hrabiemu de Casa Valenica brak w stylu barwności i życia — nie trzeba go czytać wprost po O. Colomie.

Zarzutu tego nie można uczynić innemu pisarzowi ze sfer arystokratycznych Hiszpanii. Don Antonio Maria del Valle y Serrano Marqués de Villa Huerta. Jego utwór zatytułowany: *Viajes, hazanas y aventuras de un Héroe del siglo XIII,* czyli »Podróże, czyny i przygody bohatera z wieku XIII« nie jest już dla ziomków jego nowością; dla nas jednak w tym wypadku 12 lat niewiele zaważy, tembardziej, że autor usiłując naśladować z daleka formy używane w XVI stuleciu, odjął swemu dziełu cechę literatury tegoczesnej. Główne zarysy swojej monografii wyjął z kronik rodzinnych uzupełniając je szczegółami wynikającymi z głębokich studyów spraw wschodnich a tylko tu i owdzie okraszonymi kwiatami własnej fantazyi. Bohater jego, Ruy Gonzalles de la Valle, opuściwszy młodo ojczyznę, zaciąga się przez drogę do hufców drobnych książąt francuskich a potem niemieckich, nie mogąc jednak znieść grubego barbarzyństwa, opilstwa i okrucieństw Niemców, wprasza się w orszak przyjeżdżającego w misyi pacyfikacyjnej nuncyusza papieskiego i pod jego opieką dociąga do Wiednia, zawsze w towarzystwie wiernego swego giermka Tristana. Tu upodobawszy sobie pannę z przeciwnego okienka, śle jej za pomocą strzały bilecik, skreślony piórem pokątnego pisarza — sam bowiem pisać nie umie — i, o dziwo! otrzymuje odpowiedź zapraszającą go do jej domu. Przyszedłszy, zastaje ją z ojcem, który po krótkim czasie żeni ich i błogosławi. Następuje kilka lat spokojnego szczęścia, które sam Ruy Gonzales zamąca mieszając się w spór Ottokara, króla czeskiego, z Rudolfem Habsburskim. Zmuszony uchodzić, chroni się na Węgry a otrzymawszy tam wieść o śmierci żony, jedzie do Bizancyum, aby utworzywszy sobie drużynę, pociągnąć do Ziemi świętej. Zamiast do Jerozolimy dostaje się jednak do Armenii, gdzie zarówno fortelem jak dzielnością uwalnia z mocy Saracenów nowe miasto Erzerum dawną Teodozyę, przezwaną tak od czasu zniszczenia starego, przepysznego armeńskiego grodu tego imienia. Mieszkańcy z wdzięczności poddają się jego władzy, która trwa niepodzielnie lat 9. Ruy Gonzales poprawia warownię i dobrobyt swoich poddanych; czuje się bezpiecznym od sąsiednich wrogów, bo Wielki Han Kublaj posłał mu złotą tablicę, nadającą niby inwestyturę z poręki tatarskiej. Han tak jest daleko, że władca Erzerumu nie odczuwa wcale jego przewagi do chwili, gdzie za wstąpieniem nowego Hana przybywa z ordą wódz tatarski z rozkazem oddania miasta bratu hańskiemu. Ruy Gonzales musi ustąpić, smutny — bo cała ludność żegna go ze łzami a w mieście zostawia kościół wraz z przywróconym tu katolickim kultem. Opowiadanie pełne

jest gniewu na złość i zdradę greckiej drużyny oraz pochwał dla Ormian, dla ich cywilizacyi, uczciwości i męstwa. Wyszedłszy z Erzerum sam ze swoim Tristanem, Hiszpan błąka się czas jakiś po kraju, natrafia na ruiny Babilonu, zaciąga się w służbę wojenną jakiejś saraceńskiej księżny a wkońcu, po seryi przygód, powraca do ojczyzny, gdzie odnalazłszy z rodziny jedynego synowca dopomaga mu do ożenienia a sam wstępuje do monasteru Cystersów w Villa-Huerta. Cała książka czyta się z wielkiem zajęciem, zwłaszcza jeżeli kto posiada już tło wiadomości o tragicznie zagmatwanych stosunkach greckich, armeńskich i tureckich w XII i XIII w. O Armenii Wielkiej i Małej, o jej królach, bohaterach, uczonych, o jej wielkich miastach, których dziś jeszcze znaczne szczątki istnieją, a wreszcie o jej nieszczęściach, których nieprzerwany łańcuch aż po dzień dzisiejszy się ciągnie — mało kto pamięta i chce przypomnieć. Rzec można śmiało, że najgorszym błędem, popełnionym przez politykę greckich cesarzy, było zniszczenie Armenii. Grecy złakomili się na ich bogactwa; nie chcieli znosić innego państwa na swych wschodnich kresach; korzystali więc z każdej waśni zaszłej między armeńskimi książęty, aby podstępem lub siłą zwalić to przedmurze oddzielające ich od głębin Azyi. I stało się, że po trupie Armenii przeszli do nich Turcy i po trzechwiekowej walce ogarnęli cesarstwo! Ale dość o tem; Grecy i Armeńczycy zawiedliby nas w ten sam błąd, jaki margr. de Villa-Huerta popełnił kładąc w usta swego bohatera, opowiadającego osobiście swe dzieje, szczegóły historyczne i archeologiczne, o jakich nie mógł mieć pojęcia prosty szlachcic hiszpański, umiejący zaledwie podpisać swe imię. Chcąc nam podać wszystko co nam podaje, powinien był dać mu za towarzysza uczonego mnicha, choć i ten może w XIII wieku nie byłby cytował Herodota ani w sposób tak mądry interesował się ruinami Babilonu. Można zatem skrytykować, ale trudno się żalić na to, co stanowi główny urok dzieła. Dodane przez autora fantastyczne przygody wyglądają jakoby wycisłe z Tassa lub Ariosta, zato opis monasteru, gdzie mnisi żyjąc w surowem ubóstwie wśród przepychu rzeźbionych marmurów, piękny jest bardzo i niezmiernie ciekawy. Ruy Gonzales czyli jak go po powrocie zwano »Babilon«, schronił się pomiędzy nich, gdyż uważał, że po życiu pełnem różnorakich przejść, to rzecz roztropna skupić myśli w służbie Bożej przed śmiercią. Przybył do klasztoru w dziwnej złotej zbroi, złożonej w całości z monet greckich i innych, połączonych misternie za pomocą ogniwek; Tristan nosił podobną zbroję z monet srebrnych: był to oryginalny sposób przewoże-

nia swoich kapitałów. Po dwunastu latach bardzo pobożnego życia w zakonie, dawny władca Erzerumu, obecnie Fray Félix, zmarł pokornie i cicho, zostawiając po sobie pamięć wielkiej świętości. Prosił, by mu nie kładziono nad mogiłą nagrobka. Cystersi wysłuchali życzenia; w annałach klasztornych atoli postawili mu pomnik wieczysty, zapisując ostatnie przemówienie konającego i pochwałę jego wielkiej cnoty. Styl margr. de Villa-Huerta jest czysty i gładki — byłaby szkoda gdyby na tem jednem dziele poprzestał.

Cosas de Espana[1] — tytuł dawany często w dziennikach francuskich na czele korespondencyi hiszpańskich — widnieje też na okładce niewielkiego, ale drobnym drukiem napełnionego tomiku. Autor o dwóch nazwiskach, Espinosa i Quesada, zebrał w nim owoce archiwalnej pracy, niektóre obrobione, inne zostawione w oryginale. Szereg rozpoczyna relacya pochodu kostyumowego, urządzonego w r. 1721 przez cech złotników miasta Meksyku z okazyi beatyfikacyi św. Izydora. Autorem jej był złotnik Pedro Guttierez. Czytając ma się wrażenie, że przecież ludzie dawniej mieli wolniejszą głowę, więcej czasu, więcej fantazyi i więcej pieniędzy, niż dzisiaj — bo gdzieżby się tu śniło kupcom i rzemieślnikom, nie już naszym ale paryskim lub londyńskim, sypać złotem na takie imprezy? A czegóż i kogo w tym pochodzie meksykańskim nie było! Szli rolnicy w aksamitach z symbolami swej pracy, jechał ogromny orszak koronacyjny cesarza (wspomnienie po Karolu V) ze wszystkimi elektorami, dostojnikami i posłami innych mocarstw; dalej różni królowie, począwszy od angielskiego a skończywszy na cesarzu chińskim, za tymi jeszcze wspanialszy orszak królowej Saby a za nią orszak króla Salomona, oba olśniewające od drogich kamieni: samą królowę przedstawiał ośmioletni chłopczyk konno, cały w bieli, otoczony Etyopczykami, których czarność skóry naśladowało misternie przylegające do ciała odzienie z czarnego atłasu, na którym od szyi do pasa lśniły sznury dyamentów. Na końcu jechał rodzaj wozu, na którego przedzie grała muzyka, ukryta w krzakach zieleni; w głębi zaś wznosił się rodzaj ołtarza z figurą Najśw. Panny i modlącym się przed nią św. Izydorem. Wszystko to olśniewające blaskiem złota, rubinów, brylantów, szmaragdów i kosztownych tkanin: od króla francuskiego »zdało się bić słońce«, czapka cesarza chińskiego okryta klejnotami, powiewała pióropuszem ze złotych nitek, okrytych dyamentami. Niechcący przychodzi myśl, wielu to biednych Indyan trzeba

[1] Espinosa y Quesada: *Cosas de Espana.* Sevilla. Str. 117.

było zabić i obrabować, aby módz w Meksyku podobną paradę urządzić! Wielkie też pytanie, czy św. Izydorowi przypadła do gustu...

Druga relacya drogocenna dla historyków Karola V i Franciszka I opisuje szczegółowo spotkanie tych monarchów w Aignes-Mortes r. 1538. Poza nią mamy rozprawkę p. t. *La fuerza en Espana* — »Siła w Hiszpanii«, z mnóstwem przytoczonych przykładów. Autor a raczej zbieracz tychże zauważa, iż wielka muskularna siła szła zwykle w parze z imieniem Alfonsa, jak np. Don Alonso de Granada, który w obecności króla Karola II jednem cięciem noża ściął głowę bykowi. Don Alonso de Cespede, który poruszał w powietrzu belkę z siedzącymi nań 12 ludźmi, a raz chwyciwszy rękami za poręcz balkonu, podniósł w górę nie tylko siebie ale i konia, na którym jechał; don Alonso Diaz z przydomkiem *el Membrudo* (rosły, tęgi), który gdy koń jego się zmęczył, przewieszał go przez własne plecy i nosił. Tenże sam walczył w Peruwii w r. 1542 bez broni, samemi rękami miażdżąc nieprzyjaciół w uścisku; opowiadają, iż raz z radości mimowolnie udusił żołnierza, który wieść o zwycięstwie przynosił. Don Diego Garcia de Paredes (tym razem nie Alonso) cieszył się sławą hiszpańskiego Samsona; gdy chłopaczkiem jeszcze wychodził raz z matką z kościoła a ta żaliła się, że zapomniała przeżegnać się wodą święconą, powiedział, że jej zaraz przyniesie i po chwili wrócił przed kościół niosąc całą chrzcielnicę. Autor cytując jeszcze mnóstwo nazwisk i faktów zauważa, iż to co dziś pod nazwą s p o r t u mieni się być importacyą z Anglii, istniało dawniej w Hiszpanii bez osobnej nazwy i wchodziło bez pytania w zakres wychowania młodzieży.

Podobnie działo się ze zręcznością, *La destreza en Espana,* której Espinosa osobny szkic poświęca, czerpiąc wiele z książki Wilhelma Depping: *Les merveilles de la force et de l'adresse.* Temu już wielkie sprawiają zdumienie chłopcy, którzy w Sewilli na wieży, zwanej Giralda, poruszają dzwony nie za pomocą sznurów tylko impetem własnego ciała, siedząc konno na twardym spiżu. U dworu Sancha IV (1294) było ulubioną sztuką toczenie koniem między rozstawionemi na ziemi jajami; o jednym z jeźdców owego czasu, Marcinie Ceron, opowiada Zapata w swoich Miscellaneach, że w pełnym biegu bardzo silnego konia, schylał się i prawą ręką zdejmował mu munsztuk i cugle, poczem gdy koń rozpędzał się jak szalony, zakładał mu obie ręce do pyska i obróciwszy go zatrzymywał do woli.

Jednem z głównych pól, na których się rozwija zręczność Hiszpanów, są walki byków, traktowane ongi jeszcze poważniej, niż dzi-

siaj, skoro w przytoczonej tu rozprawie O. Colomy o relikwiach świętego Franciszka Borgii czytamy, że raz nastąpiła oficyalnie ogłoszona przerwa w sławnej nowennie z powodu *Corridy*. Espinosa rozbiera traktat o tym przedmiocie skreślony ręką wielkiego torera (czyli jak u nas mylnie mówią toreadora) Don Józefa Doza. Rzecz jest zbyt fachowa, by mogła zająć naszych czytelników, wyjąć z niej można tylko fakt, że ten dziki sport uprawianym bywał od dawnych czasów nawet przez kobiety. Doza przytacza własną matkę i siostrzenicę; opowiada też o jakiejś damie z Sewilli, która w wigilię wstąpienia do klasztoru, »już po przywdzianiu habitu« zabawiała się przez cały wieczór walką z ciołkami. Miało to być jej pożegnanie z marnościami świata... Don Josef zresztą nie gorszy się tem wcale. Według niego raj ziemski był w Andaluzyi a po grzechu Adam musiał walczyć *(torear)* z bykiem, aby go zmusić do pługa. Juliusz Cezar w Hiszpanii uczył się sztuki torerów i t. d. i t. d., co wszystko usiłuje dowieść argumentami i cytatami świadczącymi o niepośledniej wiedzy. Nie dziw przeto, że mówi o świętych torerach (!) wymieniając św. Ataulfa, drugiego biskupa Kompostelli, św. Piotra Regalado, św. Franciszka Solano i... św. Piotra z Alkantary! Na takie fantazye potrzeba już wyobraźni XVII wieku, zważywszy zwłaszcza, iż Doza myślał chwalić nie ganić swych ulubionych patronów. Namiętność walki nie gasła z wiekiem: Don Juan Hijon uganiał się w arenie licząc przeszło 80 lat, sędziwy mr. Lemus nie mogący jako grand hiszpański brać w walce udziału, prosił króla o płaszcz *santiaguistów*, który zda się nadawał nawet grandom ten ceniony przywilej.

Od walki byków przechodzi Espinosa do nadwornych błaznów, tłumacząc ich nazwę w romańskich językach *bouffon, bufone* ten, że między innemi pośmiewiskami, których byli przedmiotem, kazano im nadymać, *bouffir*, policzki, poczem je spłaszczano uderzeniem dłoni. Za prawdziwość etymologii ręczyć trudno, tacy bowiem *homme de plaisir*, jak ich także zwano, mieli tysiące lepszych konceptów na zawołanie. Istnieli zda się już w bardzo dawnych czasach; rodzaj ich wszakże rozwielmożnił się na dworze cesarzy greckich, gdzie np. ulubiony błazen Monomacha Boilas doszedł do takich zaszczytów, iż mu się nawet zachciało cesarskiej korony. We Francyi w średnich wiekach niektóre rodziny i miejscowości używały monopolu dostarczania błaznów dworowi. W Hiszpanii grali niekiedy niepoślednią rolę i pod pozorem żartu dawali rady zbawienne, jak np. błazen św. Ferdynanda, któremu ten król zawdzięczał zatrzymanie w swej mocy świeżo zdobytego miasta

Sewilli. Sławny ze swych konceptów był błazen Karola V, Don Francesillo de Zuniga, autor znanej *Cronica burlesca.* Ten wezwany raz do cesarzowej w nieobecności cesarza wymówił się gładko: »Nie mam zwyczaju odwiedzać żon moich przyjaciół, gdy ich mężów niema w domu«. Nazywano go *decidor del César,* co trudno przełożyć na polskie a świadczy, że nie był uważany za prostego błazna. Żarty jednak trzymały się go do śmierci i, rzec można, przyprawiły go o śmierć, bo padł zamordowany przez jednego z obrażonych niemi dworzan. Gdy go zanosili do mieszkania a żona wybiegła przerażona hałasem, odezwał się z uśmiechem: »To nic, absolutnie nic, tylko że WPani męża zabili«. Koledze proszącemu, aby na tamtym świecie za niego się modlił, odparł: »To mi zawiąż nitkę na mały palec, abym nie zapomniał« ... i to były jego ostatnie słowa.

Po błaznach, którzy przecież przedstawiali jeszcze pewien element umysłowy, przyszła moda na karłów i na karlice — toż biedny Velasquez musiał ich całą kollekcyę odmalować dla swego króla. Już poważny Filip II lubił się takiemi dziwami otaczać a między nimi znajdował się Polak, którego bliższego pochodzenia nie znamy. Argote de Molina w swoim: *Discurso sobre el Libro de la Monteria*[1] (1582) pisze mówiąc o polowaniu na wilki i lisy: »Wielkim łowcem tego rodzaju zwierza był Stanisław, rodem Polak, karzeł Jego Królewskiej Mości, który zmarł w trzy lata (zapewne po przybyciu na dwór). Miał tak małą głowę i tak był cały składnie zbudowany, że go brano za dziecko, ale z cnoty jego i roztropności poznawano wnet jego wiek prawdziwy. Znając go z tej strony Jego Królewska Mość otaczał go swoją łaską. Widzieliśmy w Madrycie bramę jego domu ustrojoną w łby wilcze i lisie, do których strzelał, w czem był dziwnej zręczności, przyczem łatwo się ukrywał, dzięki swojej drobnej postaci i swemu odzieniu k o l o r u g ó r y« *(sic).*

Niewiele więcej da się o poważniejszej literaturze hiszpańskiej powiedzieć a i z tego, co tu umieszczono, byłoby bez utworów O. Colomy bardzo niewiele — raczej materyał źródłowy, niż wypracowania. Z innych dziedzin nic nad Wisłę nie doszło, ani, jak już wspomniano, da się z katalogów księgarskich wyczytać. Z działu podróży wiadomo tylko od ks. Aïcardo o *Sombras chinescas* (Chińskie cienie), których autorem jest sekretarz ambasady w Pekinie Don Luis Valera margr.

[1] Traktat o łowach.

de Villasinda. Obrazki te sądząc z podanych wyjątków barwne są i ciekawe, tylko że się już tyle w ostatnich latach o Chinach czytało!

Czas już zatem przystąpić do działu powieści, gdzie nas spotyka istna powódź romansów wszelkiej wartości, rozmiarów i gatunku. Wszak to wyborna przyprawa do papierosa, tego nieodłącznego towarzysza Hiszpana równie jak Hiszpanki! Przy tem bogactwie produkcyi starsi autorowie szybko schodzą z pola: przebrzmiał już molierowski dowcip Alarcona, Fernan Caballero, będzie wkrótce tem, czem jest dziś dla nas Klementyna z Tańskich Hofmanowa, nie słychać o nowych realistyczno-opisowych utworach Juana Valery, Pereda przeniósł się do krytyki i jest w tym fachu wyrocznią; nawet Perez Galdos w swej szalenie obfitej produkcyi przerzucił się z powieści na scenę. Swojego czasu *Przegląd Powszechny* podał sprawozdanie z jego trylogii o skąpcu Torquemadzie i kilku innych utworach. Niestety autor ten skręcił z pola powieści psychologicznej na drogę polityki i to bezwyznaniowej — romanse jego ostatnie nazwaliby Francuzi *des pamphlets mis en action.* Szkoda skoszlawionego talentu i szkoda dusz, które się pod wpływem jego skoszlawią!

Do niebardzo nowych pisarzy ale też i niestarych należy Jacinto Octavio Picòn, autor cenionej książki *Apuntos para la historia de la caricatura* (Notatki do historyi karykatury) a zarazem powieści zatytułowanej *Lazaro.* Na nieszczęście historya karykatury nie jest nam znaną, mamy tylko romans a istotnie sądząc z tej jednej próbki, niepodobna przyłączyć się do admiratorów autora. Fabuła brzydka i płaska, zakończona w sposób sentymentalno-niedorzeczny: dzieje sercowej pokusy młodego kapelana, który wprawdzie przed nią ucieka chroniąc się w głuchy, wiejski zakątek, ale wprzód zrzuca sutannę, a krzyż, brewiarz i święte obrazki łamie, drze i ciska do ognia, jakoby wraz z niedozwolonem uczuciem chciał zniszczyć wszystko, co dotąd kochał i czcił. W ukryciu swojem przebywa długie chwile pustki duchowej i głuchej tęsknoty, poczem powraca do życia tknięty nie iskrą miłości Bożej, co ozłociłoby całą książkę słonecznym promieniem, ale ideą filantropii mającą, zdaniem autora, zastąpić mu wszystko, co stracił. I dlatego nazwano go Łazarzem powstającym z grobu...

Na czele drugiej powieści podpisanej historycznem nazwiskiem margr. de Figueroa [1] stoi równie arystokratyczny tytuł: *La Viz-*

[1] Margr. de Figueroa wydał w ostatnich czasach obrazek z czasów rzeczypospolitej hiszpańskiej p. t. *Gondar y Forteza*, bardzo uczciwy pod

condesa de Armas. Treść pod nim dosyć czcza, obrazek przydługi z eleganckiego świata kosmopolitycznego o tyle, że prócz kilku szczegółów mógłby być przeniesionym żywcem do Paryża lub Wiednia. Tendencya moralna ale dość blada a styl, podobnie jak w *Lazaro* Picòna nie usprawiedliwiający pochwalnego tonu opinii. Co jest wszakże jeszcze mniej usprawiedliwionem, to tytuł *Camino de perfecion (Passion mistica)* por. *Pio Baroja* dość osławionego autora »Idylli biskajskich« — *Idilios vascos*. Ani tu śladu »drogi do doskonałości«, ani iskierki »pasyi mistycznej«. Zdaje się jakoby autor a raczej introligator się omylił i włożył na tę powieść okładkę przysposobioną do innej książki. Wogóle pisarze hiszpańscy mają dar wymyślania ładnych tytułów, co bywa niekiedy powodem rozczarowania, gdy natomiast u nas ładna książka a zwłaszcza ciekawy artykuł tai się zbyt często pod odstraszającym oschłością tytułem. Dość przejrzeć »Spisy rzeczy« naszych miesięczników. Słusznie ktoś powiedział, że na nas znać Wschód tem, że pozujemy na wielką powagę; każdy strzeże godności swego rozumu lub swojej wiedzy i mniema, że ją najlepiej upilnuje, gdy u jej wrót postawi... nudy. System Hiszpanów jest w każdym razie praktyczniejszy, boć np. tytuł *Camino de Perfecion* może przyciągnąć nawet ludzi szukających pobożnych rozmyślań. Tych w powieści Pia Baroja nie znajdą. Jest to historya młodzieńca, który chybił wstrętną swej artystycznej duszy karyerę medycyny, obrzydził sobie pracę i życie. Umysłowo i moralnie rodzaj Płoszowskiego z »Bez dogmatu«, posiadającego jeszcze mniej woli, jeszcze mniej »dogmatu« i mniej wykwintności od Sienkiewiczowskiego »bohatera«. Być może, iż tytułowa »Droga doskonałości« stosuje się nie do niego samego ale do jego erotycznych przygód — zrazu bardzo szpetnych, potem już mniej gorszących a zakończonych czystą miłością i weselnemi gody. Możnaby zauważyć, iż mnóstwo ludzi się żeni niemających żadnych do doskonałości pretensyi. Trudnoby autorowi te awantury przebaczyć, gdyby nie cudne tło, na którem poniekąd się gubią. Rzeczony młodzieniec bowiem nie mogąc wytrzymać w Madrycie puszcza się na pieszą wędrówkę po górach i dolinach Hiszpanii, z czego wynika szereg prześlicznych obrazów natury i sztuki. Ma się wrażenie, iż idąc krok w krok za opowiadaniem możnaby ze swego pokoju poznać ojczyznę Calderona. Ma się rozumieć, że nie braknie tam opisu miasta Toledo i jego katedry: jest to ulubiony temat po-

względem moralności, ale kładący na równi fanatyzm nieprzyjaciół krzyża z zapałem jego obrońców. Jest to obecnie modą we wszystkich literaturach.

wieściopisarzy, którzy wogóle przesadzają się wzajemnie w odmalowaniu rodzinnego kraju. Pio Baroja posiada ku temu znakomity pendzel w kształcie wyjątkowo pięknego stylu. Nie brak mu nieraz i myśli subtelnych i trafnych spostrzeżeń. Pod względem społecznym bohater jego uważa socyalizm i demokracyę za najgłupszy z despotyzmów; pod względem religijnym wygaduje na księży i wywleka przeciw nim skandale. Psalmy w jego mniemaniu są krzykami zemsty, modły kościelne przeklinaniem życia. Przytem ciągnie go coś do kościoła, ubolewa nad sobą, że nigdy nie będzie w stanie pozbyć się wpojonego weń instynktu rzeczy nadprzyrodzonych i kultu dla piękna przyrody i sztuki, ale po urodzeniu synka zarzeka się, że go zostawi wolnym na łonie Natury (przez wielkie N!) tak, aby sam o własnych siłach mógł szukać drogi do poznania »Prawdy«. Nie będzie męczył dziecka niepotrzebną nauką, nie zasmuci go ponuremi myślami, nie narzuci mu tajemniczych symbolów żadnej wiary... »A podczas gdy tak myślał— dodaje autor — babka zaszywała zwiniętą kartkę Ewangelii w pierwszą pieluszkę dziecięcia«.

Powyższe zdanie, na którem zamyka się książka, jest zapewne krzykiem boleści nad zakorzenieniem »przesądów tamujących promienie prawdziwej mądrości...« Zawarty w tej »Drodze do doskonałości« opis procesyi, mógłby nieświadomych przejąć odrazą i trwogą. Śpiewy są grobowe, ludzie niosący świece patrzą nienawistnie i ponuro; cały obrzęd tak odstraszający, że tylko wziąć, jak to mówią, »nogi za pas« i umykać — do innego opisu procesyi w książce mniej świetnej stylem, ale w całości o wiele rozumniejszej. Autorem jej jest Francisco Acebal a tytuł ma znowu śliczny: *Huellas de almas* tj. »Ślady dusz«. Tym razem jednak tytuł zastosowany do treści bardzo misternej i delikatnej wśród bardzo prostej fabuły. »Dusze«, o których mowa, są szlachetne i czyste, choć może nieco powszednie a głównym dramatem jest walka z samym sobą młodzieńca, który opłakawszy śmierć narzeczonej spostrzega z oburzeniem, że się zakochał w jej młodszej siostrze i że w tejże co chwila »ślady duszy« tamtej znajduje. Młodzieniec ów jest z zawodu historykiem i bibliotekarzem; stąd może najbardziej zajmującym rysem jego fizyognomii moralnej jest umysłowa dwoistość, zdolność odrywania się w najcięższych chwilach od życia rzeczywistego do abstrakcyjnej sfery naukowej. Mianowany profesorem uniwersytetu w dzień zgonu narzeczonej umie świetnie i płynnie przemówić z katedry; sam przy zastanowieniu dziwi się, że dla niego ludzie zmarli przed kilkuset laty są bardziej żywi, niż ci, któ-

rych na ulicy spotyka, że ich sprawy, ich świat są jego istotnym światem. Zda się, iż każdy pracujący w dziedzinie historyi, wrażenie to niekiedy podzielał; tylko że zwyczajnie wstyd jest z niem przed »praktycznymi« ludźmi się zdradzać. Uczony ten historyk chodzi dużo po kościołach, przesiaduje w nich nawet po śmierci narzeczonej od świtu do południa, czyni to jednak raczej z chorobliwej fantazyi, marzy o życiu zakonnem jako o przystani spokoju a nie jako o polu pracy dla chwały Bożej. Pomimo to powieść Francisca Acebala jest wyjątkowo zgodna z zasadami i uczuciami wiary. Wspomniany już opis procesyi Bożego Ciała mógłby stanowić osobny szkic zatytułowany »Procesya Bożego Ciała w Toledo«. Autor musiał ją bowiem umieścić w Toledo, bo gdzieżby się w porządnym romansie hiszpańskim bez pielgrzymki po »cesarskim grodzie« obeszło?

Pełno jej w powieści *Amor y Amor* por Gustavo Morales[1]. Jest to spory tom zdobny w secesyjną okładkę i niezbyt sympatyczne illustracye, mogący rościć pretensye do modnego w Paryżu określenia *roman passionel.* Treść nieco dziwna i niezupełnie zgodna z tytułem zapowiadającym dwie zupełnie różne, przeciwstawione sobie miłości. Jak zwykle ma tu piękna miłość matki stanowić kontrast z brzydką miłością namiętnej kobiety; pierwszą jednak autor usunął zanadto na drugi plan, dając tamtej, brzydkiej, zbyt wiele miejsca, jak zwykle bywa w powieściach »moralnych«. Hrabina Fernanda skompromitowawszy się w Madrycie szuka chwilowego schronienia w swoim pałacu w Toledo. Administratorem zaś tego pałacu jest ksiądz staruszek, który niewiele myśląc przyprowadza jej swego krewnego, młodego aptekarza, Cezara Pantoja y Benalis. Hrabina nudzi się, więc jej trzeba pokazać miasto; ksiądz oprowadza ją po katedrze, czemu czytelnik zawdzięcza bardzo szczegółowy opis tej świątyni — siostrzeńcowi zaś pozostawia funkcyę »cicerona« po innych częściach miasta, skąd nowe opisy, na których tle rozwija się początek romansu między hrabiną i aptekarzem. Właściwie Cezar jest tylko właścicielem odziedziczonej po ojcu apteki. Matka jego pochodzi ze wsi; on sam wychowany w Toledo, wchłonął w siebie ogromną ilość kultury, która nie przetrawiona wytworzyła w nim hypertrofię umysłową przy wielkiej naiwności serca i gwałtowności uczuć. Fernanda wydaje mu się boginią zstępującą na ziemskie niziny. Toż przy tej wytrawnej kokietce o wielkopańskiem obejściu, o wielkoświatowej ogładzie kuzynka jego Marya Rosa, którą

[1] Madrid. Libr. Fernando Fé. 1900. Str. 406.

mu matka wychowała na żonę, wygląda jak źdźbło trawy przy róży! Biedak zakochuje się do szaleństwa, daje się pociągnąć do miasta, gdzie go hrabina przedstawia mężowi i znajomym, jako dalekiego kuzyna, do czego dopomaga brzmienie jego nazwiska [1]. Młodzieniec zastosowuje się bez namysłu ani wyrzutu sumienia do nałożonej mu roli, wobec męża Fernandy nie potrzebuje mieć skrupułu, bo ten, równie cyniczny jak wykwintny, zezwala na wszystkie wybryki żony, byleby mu nie zawadzała w zbieraniu starożytnych porcelan i innych mniej niewinnych rozrywkach. Matka Cezara, Dona Sagrario, próżno wytęża wszystkie siły modlitwy i czynu, by syna ratować; Fernanda chwyciła go w swoje szpony i puścić nie chce, bo po raz pierwszy w życiu doznaje coś zbliżonego do prawdziwej miłości. A co dziwniejsze, że uczucie to powstało — z fizycznego strachu. W Cezarze bowiem żyje jeszcze człowiek pierwotny, nieogładzony, żyją niezatarte choć skrzywione instynkta prawości. Całe jego mienie topnieje, ale dyskretne ofiarowanie pomocy pieniężnej ze strony hrabiny wywołuje wybuch wściekłości. Zato matka, przybywszy po raz pierwszy w życiu do stolicy, znajduje go w rękach lichwiarzy i usiłującego się ratować grą. Biedaczka sprzedaje cicho drogi sobie kawał rodzinnej ziemi i wykupuje weksle a syn rad tylko, że jej obecności się pozbył, tonie nadal w szaleństwie. Budzi go zeń przyjaciółka lat dziecinnych, Łucya, żyjąca teraz w zbytku i grzesznem zgorszeniu. Ta kocha go także, ale czuje się niegodną go poślubić, więc wyjawia mu przeszłość Fernandy, by odczepiwszy się od niej wrócił do matki i Maryę-Rosę poślubił. Hrabina uniewinnia się kłamstwem; odtąd jednak widzi, że nić nawiązywana co chwila rwie się i mota. »On mnie miał za świętą«, skarży się swej przyjaciółce Zofii, »a stosunek nasz uważał jakby coś odrębnego, niby ósmy sakrament. Teraz boję się go ...« Owa przyjaciółka radzi jej pozbyć się Cezara; ten spostrzegłszy intencyę, zrywa z nią i odjeżdża, wezwany do konającej matki. Po jej śmierci żyje cicho z kuzynką jakoby z siostrą, nasamprzód chory, potem coraz zdrowszy, powracający fizycznie i moralnie do normalnego stanu. Aż pewnego dnia Marya-Rosa otrzymuje ręką Łucyi skreślony bilecik ostrzegający o niebezpieczeństwie grożącem Cezarowi ze strony Fernandy. Posyła po jedynego krewnego i przyjaciela Cezarowego, Bonifacia, który przyrzeka swą pomoc. Istotnie tego wieczora do wrót ich dzwoni czło-

[1] *La Cruz* vel *Pantoja* był sławnym hiszpańskim malarzem w XVI w. Pracował dużo u dworu Karola V i Filipa II.

wiek podejrzanej powierzchowności, leśny, należący do służby przyjaciółki Fernandy. Przynosi list wzywający na schadzkę i Cezar za pierwszem tchnieniem pokusy słabnie i idzie. Koniec powieści jest niedorzecznie dramatyczny: Bonifacio, idący skrycie krok w krok za przyjacielem, zabija leśnego w chwili, gdy ten strzelbę na Cezara wymierzył. Cezar, posądzając Fernandę o nasadzenie mordercy, rzuca się na nią i dusi, poczem rzuca się do kolan trupa i płacze. Na strzał przybiega Zofia, czekająca w pobliżu i widząc co się stało, biegnie do wsi, aby wezwać policyę. Żandarmi jednak przybywając na miejsce znajdują palącą się szopę a pod jej gruzami dwa trupy. Kto kazał zastrzelić Cezara, kto go zabił i kto podpalił szopę? To wszystko ma »czuły słuchacz« w swojej wyobraźni »dośpiewać«. Wolno przypuścić, iż autor nie wiedział, jak swą długą powieść zakończyć i nagle z komedyi salonowej skręcił na melodramat najwulgarniejszego gatunku. Najlepszym z całej książki (prócz obowiązkowego spaceru po Toledo) jest opis przyjazdu matki Cezara do stolicy i jej zdumienie na widok publiczności zachowującej się po kościołach jakoby w salonie. Wogóle Morales wydaje się religijnym — szkoda tylko, że, jak mówiono o Zoli — chce świat brudną miotłą zamiatać. Dodać należy, iż *Amor y Amor* uchodziło w r. 1900 za najlepszą powieść hiszpańską. Jakie powodzenie miały poprzednie utwory Gustawa Morales — nie wiemy. Jest ich sporo: *Proyectos de leyenda* (»Szkic do legendy«), *Figuras de cera* (»Figury z wosku«), *El Indiano de Valdella.* Tytuł powieści poprzedzającej *Amor y Amor* bardzo secesyjny: *Luz de la sombre,* niby »Światło« albo »Blask cienia« przypomina tytuły poezyi, które sam autor z pewną ironią przytacza a które brzmią w tłumaczeniu: »Wzrok ślepy«, »Światłość ciemna«, »Chwała smutna«, »Wesoły płacz«, »Martwe życie«, »Szczęście nieszczęścia« i t. p. Poeta *fin de siècle* Rodrigo Coto, który te poezye popełnił, mógłby na odwet ze swego brata w światłocieniu się wyśmiać.

Teresa Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Legendy Chrystusowe. *Selma Lagerlöf.* Przekład ze szwedzkiego Wandy Młodnickiej. Lwów. Nakład księgarni Polskiej Bern. Połonieckiego. 1905. Str. 227.

Traduttore — traditore, powiedziałaby zapewne autorka szwedzka czytając swoje legendy w tłumaczeniu polskiem, które acz dokonane bardzo dobrze, stylem bardzo naturalnym i gładkim, przecież zda się nie oddaje wdzięku zawartego w oryginale, skoro go się niepodobna dopatrzeć pomimo pochwał sypanych książce przez tych, którzy ją w pierwotnem brzmieniu czytali. Duch każdego języka jest inny — przeciw temu nikt i nic nie pomoże. Niech kto spróbuje przetłumaczyć na francuskie albo niemieckie nasze choćby najśliczniejsze kolędy! Cała zaś pierwsza część »Legend« Selmy Lagerlöf jest w stylu kolędowym. Tracąc zaś pierwotną naiwność, tracą i charakter ludowy; sprzeczności z Ewangelią wychodzą na jaw w sposób rażący. Pół biedy jeszcze z tem, iż rzeź Niewiniątek odbywa się na wielkim »Kinderfeście« urządzonym przez Heroda dla ułatwienia sprawy siepaczom; gorzej jest później gdy Pan Jezus doszedłszy do 12 lat, zapomniał o cudach swego dzieciństwa, nie wie nic o swem pochodzeniu Boskiem a Najśw. Panna ze św. Józefem cieszą się z tego po cichu w nadziei, że o żadnem posłannictwie z góry nie będzie już mowy. Całe zajście pozostania Pana Jezusa w świątyni i szukanie Go przez rodziców opisane w sposób nie tylko bajeczny, ale wprost ignorujący Boskość Zbawiciela. Fantazya ma dużo praw, ale to już za wiele, zwłaszcza w naszych czasach. Lepszą daleko, bo zawierającą myśl głęboką jest legenda o św. Piotrze zasmuconym nagle wśród rozkoszy niebiańskich widokiem duszy własnej matki strąconej do piekła. Pan Jezus chcąc go pocieszyć i o swej sprawiedliwości przekonać, rozkazuje Aniołowi wynieść jej duszę z przepaści do nieba. Św. Piotr patrząc z góry, widzi w istocie, jak anioł matkę jego ku górze unosi, widzi też, że u jej szat i szyi uczepiło się kilku innych potępieńców. Anioł unosi ich z nią razem i biedacy pewni już zbawienia; ona jednak pełna pychy i złości otrząsa się z ich uścisku strącając ich napowrót w otchłanie. Za każdą spadającą duszą brzemię zda się być cięższem w ręku anioła, aż gdy ostatnia dusza odpada, niepodobna mu dłużej utrzymać ciężaru. Św. Piotr oburzony na matkę widzi ją lecącą na wieczne męki i uznaje ze wstydem mądrość Boskich wyroków... Dobrą też choć za długą jest legenda o protoplaście wielkiego rodu Pazzi'ch — i na tem koniec. W naszych czasach literatura lubi posługiwać się tematami religijnymi. Miałoby się ochotę przypominać wciąż przykazanie: Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno.

W. T.

Les amusettes de l'histoire. *Charles Normand.* »La Petite Bibliothèque«. Librairie Armand Colin. Paris 1906. Str. 151.

Utwór lichy a tytuł pretensyonalny powinienby brzmieć wręcz przeciwnie, bo zebrane tu anegdoty nikogo nie zabawią ani też nie nauczą wiele. Widocznem jest, że autor sili się, aby opowiedzieć rzeczy nowe

a znajduje takie, które albo nie są warte opowiadania albo potrzebowałyby przytoczenia dokumentów stwierdzających ich prawdziwość. Taką jest np. długa historya o Ludwiku XI, jak zeszedł do lochów, aby się tam kłócić ze stolarzem o cenę klatki więziennej, jako ów stolarz obawiający się kary za istotne oszustwo, zamknął króla do owej klatki a sam biegł się utopić. Wyciągnięty z wody i pojmany, bo rzeka Cher miała służyć wyłącznie celom sprawiedliwości królewskiej, wprowadzonym jest do tego samego lochu, gdzie król siedzi w klatce zemdlony. Jak się tam dostał nie pyta nikt, ani Ludwik XI wróciwszy do zmysłów nie wyjawia nikomu; stolarza zamiast szubienicy spotykają wielkie łaski, które jednak krótko trwają, bo król skutkiem przerażenia umiera. Pan Normand mówi, że pewien uczony wynalazł tę dziwną historyę w rodzinnych papierach owego stolarza; nazwiska uczonego jednak nie podaje. Z drugiej strony kogóż to może interesować, że Wielki Condé, chcąc na popasie usmażyć sobie omlet, upuścił go do ognia, albo — co już należałoby dowieść, bo to oskarżenie — że Sir Charles Warren spowodował parażkę Anglików w czasie wojny z Boerami, dlatego, że mu się nie podobało wyjść w danej chwili z kąpieli! Nie wiem, czy jest autentyczny fakt o Bismarcku, jako widząc na polowaniu tonącego w bagnie towarzysza, zagroził mu, że doń strzeli, czem przerażony p. Wildstock, nadludzkim wysiłkiem wydobył się z błota, poczem oberwał jeszcze moralną nauczkę na temat *self-help*'u! Dobrym natomiast jest wzięty z XVII wieku mściwy koncept człowieka niewinnego, którego tortury przy śledztwie pozbawiły nóg. Wyleczony w szpitalu i opatrzony szczudłami, jął chodzić jak cień za sędzią, który go o kalectwo przyprawił. Grzeczny i milczący towarzyszył mu wszędzie tak długo, aż sędzia pod wpływem tego żywego wyrzutu sumienia zachorzał i zmarł— i jeszcze wtedy kaleka odprowadził ciało jego do grobu ... Najlepszą rzeczą z książki są illustracye. Całość przeznaczona dla dzieci, ale i dla nich nie jest zbyt zdrowem czytaniem z powodu ustawicznie drwiącego tonu przybranego przez autora gwoli dowcipu.

T. W.

Geschichte des polnischen Adels. Von *E. v. Żernicki Szeliga.* Nebst einem Anhange: Vassalenliste des 1772 Preussen huldigenden polnischen Adels in Westpreussen. Hamburg. Verlag von Henri Grand. 1905. Str. 82 i 55.

Autor słusznie zauważa w przedmowie, iż chcąc skreślić dzieje szlachty polskiej należałoby napisać polityczną i społeczną historyę całego kraju; ramy zaś, jakie sobie zamierzył, pozwalały tylko na zwięzłe wynotowanie pochodzenia, wzrostu i stanowiska szlachty, jej przywilejów i obowiązków, wytłumaczenie znaczenia starych tytułów oraz dostojeństw urzędowych, autonomicznych i dworskich, ustaw dotyczących szlachty, regulaminu sejmu i elekcyi, powstania przydomków, nazwisk i herbów w Litwie i Koronie i t. p. wiadomości fachowe, mogące historykom niemieckim oszczędzić zbyt często popełnianych błędów. Wobec jednak tej przymusowej zwięzłości zadziwia długie zatrzymanie się u wstępu nad przedhistorycznemi dziejami Polski, powtórzenie obrazowej hipotezy o »dwóch braciach« Czechu i Lechu, oraz niezbyt jasne wplecienie historyi Krakusa i Wandy w dzieje Polan, pomimo przyjętego już przez uczonych faktu, iż Kraków wraz z krajem Chrobatów

dopiero po rozbiciu się państwa Wielkiej Morawii został przez Bolesława Chrobrego zdobyty i na dobre do monarchii jego wcielony. Pisząc rzecz ściśle fachową bezpieczniej byłoby unikać wycieczek w mgliste, przedpiastowskie dziedziny, zwłaszcza gdy się pisze dla użytku najbardziej systematycznego z narodów. Poza tem książka ma wielkie zalety ścisłości i jasności i może oddać przysługi nie tylko Niemcom ale i mniej świadomym piszącym Polakom. Z listy podanej przy końcu będzie mogła niejedna dziś zniemczała rodzina nawiązać nić łączącą ją z polskimi przodkami. Czy jednak zniemczeli Polacy będą o to dbali? Zdawałoby się, że nie, bo żyjąc od kilku pokoleń w ojczyźnie kultu dla prawa pięści, musieli się przejąć tym duchem i może między nimi znajdzie się niejeden, który będzie wolał nie przyznać się do łączności z narodem zwalczonym. A jednak pono sam arcykapłan siły, Nietsche, chwalił się pochodzeniem z polskiej, szlacheckiej rodziny...

Wśród dzieł p. Emiliana Żernickiego w dziedzinie polskiej heraldyki, jak: *Die polnischen Stammwappen, ihre Geschichte und ihre Sagen*, wielkie illustrowane wydanie, lub większe jeszcze, bo przeszło 1000 stron w 8-ce obejmujące: *Der polnische Adel und die demselben hinzugetretenen anderländischen Adelsfamilien* — obecna historya stanu rycerskiego w Polsce wygląda raczej na konieczną podstawę, niż na objaśniający dodatek. W każdym razie wydanie tych prac w języku niemieckim nie jest wodą na młyn hakatystów, może bowiem w uczciwszych umysłach germańskich sprostować niejeden fałsz przez złą wolę zasiany i pod osłoną nieświadomości do szkodliwych dla nas rozmiarów wyrosły. *W. T.*

»Biblioteka Prawdy«:

Poradnik dla rolników, kupców, przemysłowców. Napisał *Franciszek Szczepański*

Św. Paskal.

Pogadanki o prawie spadkowem. Napisał *Piotr Szufnara.*

Jak się bronić przed wyzyskiem żydowskim?

Św. Franciszek Seraficki. Napisał *O. Floryan z Haczowa.*

O opiece nad sierotami. Napisał *Mieczysław Szybalski.*

Niedawno istniejąca, a tak już pożyteczna »Biblioteka Prawdy« wzbogaciła się znów kilku nowymi tomikami. Jak z ich tytułów widać, są to częścią dziełka, mające za zadanie opisywaniem żywotów świętych, duchem i działalnością blizkich i zrozumiałych dla ludu, wskazywać mu wzór do naśladowania. Przytem formą przystępne prostą, opowiadaniem żywem i zajmującem zalecają się dla czytelnika włościańskiego, jako przyjemna lektura.

Druga grupa dziełek, które mamy omówić, jest treści więcej praktycznej. »Poradnik dla rolników, kupców i przemysłowców« podaje elementarne wiadomości, które włościaninowi czy to jako gospodarzowi, czyto jako kierownikowi sklepiku wiejskiego lub też jakiej włościańskiej instytucyi finansowej są potrzebne. A więc mówi tu autor o miarach, wagach, wekslach, procencie, lichwie, o reklamacyach wojskowych i t. p. Pogadanki o prawie spadkowem i o opiece nad sierotami mają za zadanie spopularyzować odnośne przepisy ustawy.

Książeczka »Jak się bronić przed wyzyskiem żydowskim?« podaje wskazówki do obrony ekonomicznej wobec Izraelitów.

»Św. Paskal« zawiera nauki treści religijnej dla młodzieży wiejskiej.

Z kilku powyższych uwag widać, jak błogą w skutki, jak pożyteczną moralnie i ekonomicznie może być dla szerokich warstw działalność »Biblioteki Prawdy«. W Czechach istnieje cały szereg wydawnictw dla ludu i dziełka tego rodzaju rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy. W naszym kraju rośnie oświata między ludem, ale nie wzmogła się tak dalece, by książka do czytania stała się dla ogółu ludności wiejskiej potrzebą życia. Ale właśnie dziełka przystępne, traktujące o przedmiotach interesujących bezpośrednio ludność wiejską, mogą pobudzić ją do czytania, do kształcenia się. Pomódz może w tym kierunku i strona zewnętrzna wydawnictwa; druk wyraźny zachęci mniej wprawnych w czytanie, rycina umieszczona na okładce pociągnie oko i zainteresuje umysł, a wreszcie i cena minimalna nie odstraszy chętnych.

B. A.

Żywot św. Brata Gerarda Majella ze Zgromadzenia OO. Redemptorystów. Napisał *O. Bernard Łubieński.* Kraków 1905.

Błogosławieni Męczennicy O. Marcin Grodziecki, O. Stefan Pongracz, kapłani Tow. Jez. i Marek Stefan Križ, kanonik ostrzychomski. Napisał *ks. Marcin Czerwiński T. J.* Kraków 1905.

Ostatnie lata przyniosły nowy szereg Świętych i Błogosławionych, których najwyższa w Kościele władza za takich czcić, dla nich wznosić ołtarze, do nich się modlić zezwoliła.

Brat Gerard Majella, to wzór cichego pracownika; pracując w ukryciu, pełniąc niższe posługi, do jakich Braci w zakonach się używa, zdołał wznieść się do wyżyn; zasłynął za życia cudami, uzdrawiał chorych, pomagał w nadprzyrodzony sposób cierpiącym. W swoim skromnym zakresie umiał nawet rozwinąć działalność apostolską; szczególny zwłaszcza miał dar przygotowywania duszy do dobrej spowiedzi. Stąd też brat Gerard jako święty wyniesiony na ołtarze jest patronem dobrej spowiedzi.

W innym kierunku pokierował Bóg życiem i działalnością trzech błogosławionych, których żywot i świątobliwy zgon opisuje ks. Czermiński. Zmarli oni umęczeni za wiarę i to nie przez dzikich pogan, lecz wśród ludów kulturnych w wieku XVII na Węgrzech. Gdy po wstąpieniu na tron Ferdynanda II Betlen Gabor z pomocą turecką opanowywał Węgry, wódz jego Rakoczy zająwszy Koszyce, wystąpił z dzikiem okrucieństwem przeciw katolickim kapłanom. Wśród katuszy najsroższych, które jednak nie zdołały ich skłonić do odstępstwa od wiary i przyjęcia nauki Kalwina, z weselem w sercu oddali ducha, osiągnęli palmę męczeńską.

B.

Historya mego życia. *Helena Keller* Przełożyła Alina Świderska. Kraków-Warszawa. Gebethner i Wolff 1905. Str. 314.

Nie jest to fikcyjna bohaterka robionych z imaginacyi pamiętników, ale istota żywa, młoda, żyjąca pełną pulsacyą sił duchowych i fizycznych, tem zajmująca w wysokim stopniu, że wszystko, w co istotę ludzką wyposaża los w zaraniu życia, ona właśnie wskutek choroby utraciła, a silną wolą zdobyła napowrót.

Córka kapitana Kellera urodziła się zdrową, normalną dzieciną, w pierwszych jednak latach życia utraciła wzrok, słuch i mowę — stała się w rodzinie silnem, zdrowem, ale w miarę lat nieokiełznanem, niemal szkodliwem i niemiłem stworzonkiem. Bywa

często, że dzieciom upośledzonym, otoczenie stara się wynagrodzić pieszczeniem i bezkarnością krzywdę losu, i często też ten sposób miłości dodaje do kalectwa ciała, kalectwo duszy w wypaczonym i nieukształconym poczciwie charakterze. To groziło już sześcioletniej Helence, a w jak wysokim stopniu, o tem nas pouczy list zacnej wychowawczyni panny Sullivan, którą kapitan Keller do swojej córeczki sprowadził. Czytamy w nim i w dwóch następnych, jak mały dzikus, silny, uparty, łakomy, ze wszystkiemi wadami zwierzątka, trudny był do nauczenia, najprostszych rzeczy— i do jakiego heroicznego poświęcenia i wysiłku musiała być zdolną nauczycielka, a następnie przyjaciółka Helenki, zanim ją posłuszeństwa i pewnych wymogów przyzwoitości nauczyła, ucząc jednocześnie poznawania rzeczy, dawania im właściwej nazwy i wprowadzając ją w zetknięcie duchowe i fizyczne ze światem. Pełno w tych listach, mądrej a pełnej serca wychowawczyni, cennych uwag pedagogicznych, więc też książka tego rodzaju, jak historya życia Heleny Keller nie tylko przez to ciekawa, że bohaterka jej, różna od wszystkich prawie powieściowych typów, ale jeszcze więcej przez głębokie a pełne miłości ujęcie przedmiotu, odważne dążenie do celu, doprowadzenie w krótkim stosunkowo czasie do rozbudzenia duszy, lękliwej, pięknej, idealnie kobiecej i uzdolnienia, pomimo wszystkich kalectw, umysłu tak wybitnego, że panna Keller nabyła wykształcenie pełne i z łatwością egzamina uniwersyteckie chlubnie poskładała.

I ta pierwsza część książki, listy panny Sullivan, są też najciekawszem, podwójnem studyum tych dwóch typów silnych charakterów kobiecych.

Dalej idą listy Helenki i małe jej pamiętniki w dziecinnym jeszcze wieku zaczęte. Widać w nich sporo samodzielności sądu, dowcipu, a co najdziwniejsza wesołości i dobrego humoru. Ładna, silna, zdrowa dziewczyna, odcięta od życia, jakie mogłoby być jej udziałem, gdyby nie potrójne kalectwo (choć siłą woli mówić się wkońcu nauczyła), nie czuje się ani chwili pokrzywdzoną od Boga, którego całem sercem pokochała, od chwili, gdy w otaczające ją ciemnie pierwsze promienie wiary wpadły, i nigdzie czytając jej pamiętniki ani zazdrości i niechęci względem szczęśliwiej wyposażonych, ani zgryźliwego, skwaszonego humoru nie dopatrzysz. Istotę, która nigdy słońca nie ogląda, jakaś słoneczność otacza. Zapewne — jest to wynikiem zdrowia i poczucia siły fizycznej — jest zarazem wynikiem szczęścia z rozwoju sił intellektualnych, ale najwięcej przyczyniło się do tego pełne miłości otoczenie, i rozbudzone religijne uczucia. Miłość brała od ludzi i miłość oddawała Bogu i światu, jak kwiat, co w uprawnej, ciepłej ziemi soki czerpie, a woń i krasę swej korony w niebo wysyła.

A. R.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Po encyklice *Gravissimo officii.*

Wrażenie ostatniej encykliki Piusa X we Francyi, było większe, jak się z początku zdawało. »Oczekiwana od dawna encyklika do biskupów francuskich, pisze *Osservatore Romano,* wywołała przechodzące ludzkie pojęcie wrażenie. Nigdy słowo papieskie nie wywołało we Francyi tak długotrwałego i potężnego odgłosu. Od chwili, w której encyklikę ogłoszono, mówi się tylko o niej, a prasa wszelkich odcieni poświęca jej całe szpalty... Kapłani i świeccy jednomyślnie wielbią Boga; błogosławią nazwisko Piusa X za to, że ich nie zmusił do przyjęcia prawa. Poddaliby się w posłuszeństwie jego przepisom, lecz z ciężkiem sercem. Radość odczuta z tego powodu, objawiła się w uroczystość Matki Boskiej; mnóstwo osób wszelkiego stanu i wieku, między niemi wielka liczba mężczyzn, przystąpiła do Stołu Pańskiego. We wszystkich katedrach odczytali biskupi encyklikę a tłumy ludu zapełniały kościoły«.

Prasa rządowa i antyreligijna wystąpiła, rozumie się, gwałtownie przeciwko Papieżowi; encyklikę uważa ona za wojnę, wydaną Francyi. Dziwnem i niespodziewanem jest stanowisko, jakie w tej sprawie zajął *Temps.* Ten konserwatywny, protestancki dziennik sprzeniewierzył się naraz swoim tradycyom; w jego arty-

kułach przebija ton, który zwykle panuje na ulicy, a nie znany jest w kołach, liczących się jeszcze z zasadami wychowania. Oskarża on Piusa X wprost o kłamstwo. Papież utrzymując, że odrzuca Związki wyznaniowe, ponieważ jednogłośnie odrzucili je biskupi, minął się, jego zdaniem, z prawdą, gdyż na 74 biskupów tylko 48 głosowało przeciwko Związkom, 26 zaś za nimi. Na tę rzuconą Papieżowi w twarz obelgę, odpowiedział najpierw *Osservatore*. Skonstatował on nie tylko fakt, że prawie wszyscy zebrani biskupi potępili Związki, ale że Papież użył nawet tych samych słów, których użyli biskupi, gdy swoje zapatrywania na sprawę wyrażali. W obronie Papieża stanął we Francyi, umiarkowany *Journal des Débats* i co dziwniejsza, ten sam *Siècle*, który równocześnie z *Temps*'em pisał o »papieskich kłamstwach«. Stwierdza on obecnie, że tylko fałszywe i niedokładne tłumaczenie encykliki spowodowało nieporozumienie, że niesłusznie zarzucano Papieżowi kłamstwo i że w danej kwestyi 72 biskupów było p r z e c i w, 2 tylko z a, ale, dodaje, »o tych dwóch wiedziano już od dawna, że dotąd jeszcze nie rozumieją, o co właściwie chodzi«.

Pocieszającym za to naprawdę jest fakt, że prócz biskupów, zabrali głos i wybitni z pomiędzy katolików francuskich. »Papież, pisze wódz konserwatystów, deputowany Denys Cochin, z pewnością daleko widzi i również pewnem jest, że my katolicy tylko przy nim stać możemy. Można wprawdzie polecać ostrożność, cierpliwość i poddanie się, można poddawać krytyce pewne poglądy i nadzieje, nigdy jednak nie można radzić człowiekowi, by zrezygnował ze swoich przekonań, by się wyrzekł tego, co mu daje prawo egzystencyi w świecie, jednem słowem nie wolno nikomu powiedzieć grzecznie: nie możesz dłużej żyć. Jesteśmy katolikami, a katolikiem jest ten, kto słucha wskazówek Papieża, a nie praw panów Combesa i Clémenceau. Mamy prawo żyć jako katolicy w naszym kraju, a rząd powinien się był porozumieć z głową Kościoła, gdy chodziło nie o przepisy policyjne w sprawie kultu, ale o zupełnie nowe zorganizowanie Kościoła we Francyi. Nie! rząd zniszczył dokument, który nosił podpis Francyi i według którego postępowano sto lat. Napróżno starał się winę tego faktu przypisać drugiej stronie. A Papież, który

podobne konkordaty z innymi narodami zawarł, od którego zależy życie tysięcy kapłanów i spokój milionów wiernych, mógł wprawdzie pogardzić obrazą, ale nie mógł pozwolić na utworzenie precedensu. Nie mógł tego, inaczej byłby osłabił tę niespożytą moralną siłę, która przeżyła tyle cesarstw i tyle republik«. Margrabia de Vogüé i Etienne Lamy, należący do tak zwanych »zielonych kardynałów« (tak nazywają we Francyi autorów głośnego listu, żądającego od biskupów przyjęcia Związków wyznaniowych) sądzą, że po encyklice papieskiej pozostaje już tylko poddanie się, jakiekolwiek byłyby przedtem zapatrywania. Lamy oprócz tego przypisuje winę zatargu rządowi.

Czego się można po rządzie spodziewać? Brunetière wykazując, jak cała dzisiejsza polityka Francyi wbrew jej woli obraca się koło Watykanu, sądzi, że prędzej lub później rząd będzie musiał zawrócić. To zawrócenie natrafi jednak na jedną wielką trudność, którą dowcipnie określił *Figaro*: »wzdłuż pociągu ministrów stoją dziennikarze, którzy jak konduktorzy nieustannie wołają: Canossa! Canossa! A przerażeni ministrowie lękają się, że lada chwilę usłyszą rozkaz: wysiadać!«. Wprawdzie Vogüé twierdzi, że po encyklice *Gravissimo officii*, która w całym świecie głębokie wywołała wrażenie, rząd powinien wejść na drogę prowadzącą do pokoju, gdyż rozpocząć rokowania z Watykanem nie byłoby dla Francyi bardziej upokarzającem, jak iść do Algeciras. »Bismark, ciągnie de Vogüé dalej, nie wiedział, co to fałszywy wstyd, kiedy raz uznał swój błąd. W encyklice słyszą u nas hasło wojenne. Włosi, którzy są lepszymi dyplomatami od nas, widzą w niej jednomyślnie wezwanie do rokowań. Wiem, że prędzej czy później musi do tego przyjść«.

Aby jednak do porozumienia się przyjść mogło, musiałby rząd zmienić ustawę separacyjną o tyle, że przy tworzeniu Związków wyznaniowych zagwarantowałby wyłączne prawo zwierzchnie władzy kościelnej, a kościoły i dobra kościelne oddał Kościołowi na własność, a nietylko je wypożyczył. Te wymagania natrafią na trudności, ale Kościół nie może z nich zrezygnować. »Kościół — pisze biskup orleański, i w tej sprawie będzie miał wszystkich katolików za sobą, — jest boską instytucyą, która słu-

sznie dla siebie żądać może tych samych praw, jak każde inne stowarzyszenie, a więc przedewszystkiem prawa, aby sam swoje sprawy regulował a nie inni bez jego woli. Dla tego musiał Papież Związki wyznaniowe odrzucić«.

W kołach rządowych czuć skutkiem encykliki pewne rozdrażnienie. Dotychczas istniało we Francyi mimo ustawy o kongregacyach, dużo szkół w o l n y c h, które w rzeczywistości były szkołami zostającemi pod kierunkiem kongregacyi. Owszem nieostrożność czy pewność siebie szła tak daleko, że, jak to stwierdzają naoczni świadkowie, na ulicach Paryża spotkać można było często młodzież obojga płci, używającą przechadzki pod dozorem członków kongregacyi. Rząd dotychczas na te szkoły nie zwracał uwagi i zostawiał je w spokoju; dopiero po pojawieniu się encykliki, w przystępie złego humoru, wydał Clémenceau okólnik do prefektów, nakazując im, by przeciwko takim zakładom urzędownie występowali. Równocześnie rozporządził prezydent ministrów, Sarrien, by prefekci surowo karali tych księży, którzy odczytując encyklikę po kościołach, pozwolą sobie na jakieś komentarze, w których możnaby się dopatrzeć wykroczeń przeciwko 34 i 35 paragrafowi ustawy separacyjnej, a mianowicie obrazy urzędnika lub podburzań do bezpośredniego gwałtu.

I niema się nawet tym przystępom złych humorów co dziwić, skoro we własnym obozie odzywają się od czasu do czasu głosy potępiające ustawę. »Głupstwem i waryactwem« nazywa ją nieparlamentarnie radykalno-socyalistyczny deputowany Meunier. Według niego prawodawca wmieszał się w rzeczy, które go nic nie obchodzą. »Skąd wogóle, pyta, przychodzi państwo do tego, by organizowało Kościół, od którego się oddzieliło?«

Mimo wszystko *on fait bonne mine au mauvais jeu.* Ustawa, według ministra Bartou, zawiera w sobie największe wolności i daleko idącą porękę. »Żaden kraj ziemi nie zabezpiecza wykonywania kultu z równą swobodą i pewnością. Gdyśmy widzieli opór duchowieństwa, apelowaliśmy do kraju, a kraj przy ostatnich wyborach dał jednomyślną odpowiedź, uchwalił ustawę separacyjną i powołał do izby bardziej jeszcze imponującą republikańską większość. Czyż można wątpić, że cofniemy się w przeprowadze-

niu prawa, tego wyrazu narodowej woli? Nigdy, przenigdy nie poniżymy się do upokarzających nas rokowań, a tak samo nie lękamy się gróźb«. Podobnie groził Sarrien, a przedewszystkiem Briand, który twierdzi, że uniemożliwi Kościołowi wykonywanie kultu, jeżeli nie przyjmie on Związków wyznaniowych. Lecz tu znowu Clémenceau oświadcza, że za jego rządów żaden kościół nie będzie zamknięty, a słynny Jaurès nazywa groźbę Brianda niebezpieczną dla wewnętrznego pokoju. »Jeżeli katoliccy obywatele, pisze on w *Humanité*, łączą się na podstawie prawa o stowarzyszeniach i nie żądając żadnej korzyści od ustawy separacyjnej, chcą wykonywać obowiązki swego kultu, jeżeli rezygnują z dóbr kościelnych i bezpłatnego używania świątyń, jak można w tem upatrywać zbrodnię, jak można prześladować ludzi, którzy absolutnie niczego od państwa nie wymagają, a opierają się jedynie na ustawie o stowarzyszeniach? Toby znaczyło rozpocząć bardzo wątpliwą i pożałowania godną walkę«. Jeszcze surowiej wyraża się radykał Maujan. »Kościoły nie mogą być zamknięte. W tym punkcie różnimy się zasadniczo od nieprzejednanych naszego stronnictwa. Kwestya kościołów może być tylko przez parlament rozwiązana, a parlament jasno wyraził swą wolę: chce bronić swobody sumienia i ułatwić wykonywanie kultu. Świątynie muszą być więc otwarte dla katolików i nie wolno ich przeznaczenia jakkolwiek zmieniać«. Kiedy znowu Briand zagroził, że cofnie pensyę duchownym, nieuznającym Związków, odpowiedział mu w *Humanité* socyalista Allard, że niema do tego prawa, gdyż księża dostają pensyę nie dlatego, że są księżmi i że wykonują swój urząd, lecz ponieważ na podstawie konkordatu byli państwowymi urzędnikami, a jako tacy mają prawo do odszkodowania, skoro im ich charakter urzędniczy i urząd zabrano.

Rząd więc widzi trudności i pragnie wyjścia, a najlepszym tego dowodem fakt, że Briand i inni spodziewali się po konferencyi biskupów i w głębi serca tego pewnie żądali, aby dał się wynaleźć jakiś *modus vivendi*; przynajmniej gazety przez Brianda inspirowane stanowczo twierdziły, że biskupi nie wejdą na drogę z której nie będzie powrotu. Briand spodziewał się nawet, że zebrany episkopat wyśle do niego delegacyę w celu porozumienia

się w tej sprawie, ogłosił przecież w *Temps,* że przyjmie z pewnością na audyencyę każdego biskupa, któryby się z nim chciał zobaczyć. Delegacyi nie wysłano a wogóle o drugiem zgromadzeniu biskupów, które się rozpoczęło 4 września w Paryżu, wiemy tylko tyle, że brało w niem udział 82 arcypasterzy i że wysłali oni do Papieża telegram z wyrazami posłuszeństwa i uległości, na który wkrótce z Rzymu otrzymali odpowiedź. Z pewnem tylko prawdopodobieństwem można przypuścić, że biskupi oświadczyli się za tak zwaną *resistance pacifique* czyli za zachowaniem *status quo* nawet, gdy już upłynie czas przeznaczony do utworzenia Związków.

List pasterski zgromadzonych biskupów niczego nie wyjaśnia. Wykazuje on łączność biskupów i kapłanów z Papieżem, niebezpieczeństwo i niesprawiedliwość ustawy, broni Papieża przeciwko zarzutom, że nie szuka dobra Francyi, lecz ubocznych, politycznych celów, zrzuca odpowiedzialność za walkę z Papieża i z biskupów, spodziewa się, że wszyscy katolicy razem do zapasów staną i kończy nadzieją, że nie przyjdzie we Francyi do wojny religijnej. O uchwałach konferencyi list milczy, zaznacza tylko, że w swoim czasie katolicy wszystkiego się dowiedzą.

Bezpośrednio po konferencyi biskupów, odbyła się rada ministrów. Postanowiono na niej w razie nieprzyjęcia Związków zamknąć kościoły, nie jak przewidywała ustawa, już 11 grudnia 1906 r., lecz dopiero 11 grudnia 1907. Gazety skrajnie radykalne piszą z tego powodu o kapitulacyi, o Kanossie i t. d. Tak tragicznie wprawdzie rzeczy brać nie można, ale jednak rząd czuje, że gdyby od razu prawo z całą surowością stosowano, mógłby na tem tylko Kościół zyskać, gdyż rozbudziłoby to szerokie masy i uśpione sumienia. W każdym razie wobec postanowienia rady ministrów, dosyć ciekawie wygląda dumne twierdzenie p. Clémenceau: »nigdy rząd nie nawiąże nowych stosunków z Rzymem. Nigdy, nigdy! Ja ignoruję Papieża«.

Dla uzupełnienia obrazu zwracamy tu uwagę na jeden jeszcze szczegół. Rząd francuski i prasa antykościelna spodziewała się wprost schizmy w łonie katolików. Jak na razie nadzieje te nie mają widoków. W klerze znalazła opozycya przeciwko encyklice

tylko 9 zwolenników; w siedmiu parafiach podobno »schizma prędko i silnie się rozwija«. Na 40.000 parafii nie wielki to rezultat, a na owych księżach też Kościół wiele nie stracił. Byli to tacy, których biskupi chcieli dla różnych przyczyn przenieść do innych parafii, a którzy na złość zwierzchności kościelnej bez jej aprobaty, przeszli do opozycyi. Ciekawem jest tylko, że dziennikarz Henri des Houx z pewną liczbą stronników wydał do katolików odezwę, w której ogłasza światu, że Francya jest w niebezpieczeństwie, że odsądzona od katolicyzmu stanie się łupem chciwych kongregacyi, ponieważ Papież nie zna stosunków i poszedł za radą nieprzychylnych Francyi cudzoziemców a szczególniej za głosem niemieckich Jezuitów, pracujących systematycznie nad upadkiem Francyi. Wobec tego katolicy powinni się połączyć w ligę, mającą na celu takie zorganizowanie Związków wyznaniowych, którymby żadna zwierzchność duchowna nie mogła odmówić posług duchownych i wykonywania kultu. Wprost na drwiny zakrawa fakt, że autorzy manifestu zaliczają samych siebie do ludzi szczerze katolickich.

Z programu antyreligijnego w Hiszpanii.

Śladem Francyi chciałaby iść i Hiszpania. Liberalny gabinet Lopeza Domingueza, pomijając tak ważną dla hiszpańskiego życia pracę na polu ekonomicznem, pragnie przerzucić całą działalność Kortezów na pole walki religijnej. Program rządowy występuje na pozór dość umiarkowanie. Minister sprawiedliwości, hr. Romanones, wyraził się przed przedstawicielem *Daily Telegraph*'u, że rząd nie myśli wprawdzie zmieniać konkordatu bez porozumienia się obu interesowanych stron, ale nie pozwoli, aby Kościół mieszał się do spraw wyłącznie do państwa należących, i takie sprawy, ponieważ one nie są objęte konkordatem, rząd sam bez współudziału Kościoła załatwiać będzie. Do takich spraw należą, zdaniem ministra, przedewszystkiem szkoły, śluby cywilne, sekularyzacya cmentarzy i kwestya niekatolickich wyznań. Te będą załatwione »bez dyplomatycznych rokowań z Watykanem«, ponieważ »rząd ani na chwilę nie może pozwolić na to, by jego absolutne prawa w wątpliwość podawano«.

Dla szerokiego ogółu, nie rozumiejącego się dobrze na sztucz-

kach liberalnych, może ten program wyda się istotnie umiarkowanym. Takim on jednak w rzeczywistości nie jest, gdyż ten sam Romanones tak dalej mówił: »Konkordatu nie możemy aprobować i uwiadomiliśmy już Watykan, że nowe rokowania są potrzebne, aby dojść wreszcie do rezultatu, któryby zaspokoił pragnienia wszystkich grup stronnictwa liberalnego. Jeżeli Watykan nie zechce rokowań rozpocząć lub będzie je opóźniał, jest możliwem, że rząd zagrozi oficyalnie konkordatowi z r. 1851, i tym sposobem zmusi Rzym, by się zgodził na prowizoryczny *modus vivendi*, dopóki nowy konkordat nie będzie zawarty«. Takie poglądy nasuwają przypuszczenie, że rząd nie myśli na seryo o programie umiarkowanym, a potwierdza to zapatrywanie także fakt, że rząd dąży do utworzenia bloku, składającego się na wzór bloku francuskiego z wszystkich stronnictw liberalnych; blok ten miałby na własną rękę uprawiać politykę kościelną. Owszem hr. Romanones ogłasza w *Imparcial*, że jeżeli liberali wszelkich odcieni nie będą się wzajemnie wspomagać i nie przeszkodzą zwycięstwu Rzymu, doczeka się Hiszpania ciężkich czasów.

Do czegóż więc właściwie rząd dąży? Najpierw do zaprowadzenia ślubów cywilnych. Paragraf 42 hiszpańskiego *Código civil* opiewa: »Prawo uznaje dwie formy małżeństwa: kanoniczne, obowiązujące wszystkich, którzy się przyznają do religii katolickiej i cywilne«. Ten paragraf ograniczył przed kilku laty konserwatywny minister sprawiedliwości, margrabia del Vadillo dekretem królewskim o tyle, że jedna przynajmniej ze stron musiała podać swoje wyznanie a wtenczas forma kanoniczna małżeństwa już obowiązywała. Obecnie rozporządził hr. Romanones również dekretem królewskim, że nie wolno urzędnikowi zawierających ślub o wyznanie pytać — tym sposobem małżeństwo kanoniczne przestało obowiązywać. Mógłby się może ktoś dziwić, jak król na coś podobnego się zgodził. Otóż ten *real orden* czyli dekret królewski nie jest bynajmniej królewskim. Nie jest on wogóle żadnem prawem, a tylko postanowieniem wykonawczem prawa a jako taki jest wyłącznie czynnością urzędową danego ministeryum. Sam Romanones tego nie ukrywa, że w tej sprawie ani

z królem ani z radą ministrów się nie znosił, że nawet król o niej jeszcze nie wie; sprawę tę załatwił Romanones na własną rękę.

Chodzi dalej o zeświecczenie szkoły. Dużo prywatnych zakładów naukowych o charakterze publicznym, tak elementarnych jak średnich i uniwersyteckich, znajduje się pod kierownictwem zakonów. Już 15 sierpnia b. r. postanowiono, że wszystkie te szkoły mają się postarać o upaństwowienie do 1 października, inaczej będą zamknięte; oprócz tego w każdym zakładzie średnim ma mieć przynajmniej pięciu profesorów tytuły i stopnie akademickie. Ciekawem jest umotywowanie tych rozporządzeń. Szkoła ma uwzględnić rozmaite religijne zapatrywania i w »duszach młodego pokolenia zasiać miłość nauki i wiarę w pracę«. Romanones nie czekał nawet do 1 października; w połowie września w drodze prostego rozporządzenia zamknął prowadzone przez zakonnice nauczycielskie seminaryum żeńskie w Palmie na Malorce.

Rząd nosi się jeszcze z myślą nowego prawa o zakonach; uprzywilejowane mają być zredukowane do trzech, inne podlegać będą ustawie wspólnej. Później ma przyjść kwestya cmentarzy i, jak już wspomnieliśmy, kwestya konkordatu.

Zanosi się więc istotnie na walkę kulturną; a o ile chodzi o opór ze strony katolickiej, przyszłość nie przedstawia się wcale różowo. Biskupi zabrali wprawdzie już głos w różnych sprawach, wystąpili stanowczo i odważnie, ale katolicy podobnie jak we Francyi, rozdzieleni na różne obozy, nie są w stanie się bronić. Inne zato oznaki zdają się wskazywać, że burza nie będzie zbyt gwałtowną. I tak donoszą telegramy, że ministrowie nie mogą się porozumieć w kwestyi konkordatu i zachowają *status quo;* rozdwojenie nastąpiło również, jak donosi *Imparcial,* w sprawie zakonów. Ministrowie o radykalnym w tym kierunku programie nie chcą nic wiedzieć; pragną programu kompromisowego, któryby jednak nie robił istotnych zmian w dawnym stanie rzeczy.

Dość pesymistycznie zapatruje się na program rządowy i prasa. Radykalny *Heraldo* przewiduje nawet możność dymisyi gabinetu, twierdzi jednak równocześnie, że rzeczą honoru jest nie ustępować; liberalny *Correo* lęka się, że wszystko skończy się na słowach tylko, gdyż między ministrami niema jedności, a *Impar-*

cial prosi rząd o odpowiedź na następujące pytania: »Gdy prawo zakonne będzie zredagowane, czy rząd przedłoży je Kortezom? czy parlament je przyjmie? czy korona je potwierdzi?« Wprawdzie Romanones, podobnie jak Clémenceau, wyraził się bardzo stanowczo: »Cokolwiek biskupi uczynią lub czynić zamyślają, to nie zmieni zupełnie planów rządu«, fakt jednak, że dziwnie skrzętnie dowiaduje się o listach pasterskich i grozi biskupom represyami, zdaje się wskazywać, że nie jest pewnym, czy nie przyjdzie zatrąbić do odwrotu.

Nowa Reforma i generał Jezuitów.

Wybór ks. Wernza na generała Jezuitów dał nie tylko włoskim, francuskim i angielskim dziennikom pożądaną okazyę do pisania o wpływach cesarza Wilhelma w Watykanie i — u Jezuitów; i niektóre gazety polskie zagrały na alarm. Rozpoczęło pobudkę *Słowo Polskie,* ciągnęła ją dalej *Nowa Reforma.* »Czyżby rzeczywiście wpływ władcy protestanckich Niemiec sięgał już tak daleko w sprawach katolickich? — pisze *Reforma* w nrze 205. — Czyżby to miała być nowa demonstracya Rzymu przeciwko Francyi?« — i z tego pytania przechodzi do dziwnie śmiałego twierdzenia: »Rzym widocznie jest z rządem pruskim a nie z prymasem Polski«. Kilka dni później powraca *Reforma* w numerze 213 do tego samego tematu. Polacy od Rzymu niczego się dziś spodziewać nie mogą, gdyż Rzym pod żadnym względem nie poprze władzy duchownej w walce przeciwko rządowi pruskiemu, ponieważ nadanie orderu kardynałowi Koppowi »i wybór Niemca generałem Jezuitów najlepszym są objawem ‚serdecznych stosunków' między Rzymem a Berlinem«.

Nowa Reforma już od dawna uważa za swoje zadanie napełniać społeczeństwo polskie nieufnością do Rzymu i zniechęcać je do Kościoła a w szczególności do ks. arcybiskupa Stablewskiego; ale w takim razie, jeżeli się chce postępować szlachetnie i przyjąć na siebie wielką odpowiedzialność za szerzenie rozdwojenia, trzeba się oprzeć przynajmniej na pewnych podstawach, a nie na przypuszczeniach i do tego przypuszczeniach fałszywych, i nie wyciągać z tych przypuszczeń alarmujących wniosków. Dlatego też, żeby postawić w odpowiedniem oświetleniu nieuzasadnione wiadomości

o wpływie cesarza Wilhelma na wybór nowego generała, pozwolimy tu sobie na kilka uwag.

Nie kładziemy nacisku na ten szczegół, że o jakimkolwiek wpływie protestanckiego monarchy, choćby już dla tej przyczyny nie może być mowy, ponieważ każdy z wyborców obowiązuje się przysięgą oddać swój głos na tego, kogo w sumieniu uważać będzie za najgodniejszego; nie kładziemy na to nacisku, gdyż nie jest to nam jasnem, czy w redakcyi *Nowej Reformy* zechcą ocenić doniosłość tego szczegółu. Uwzględnimy za to co innego.

Papież, jako zwierzchnik Kościoła, może wywrzeć na kongregacyę daleko idący nacisk, może zażądać wyboru tego lub owego osobnika, może też wybranego odrzucić, ale papież tego nigdy nie czyni, wychodząc ze słusznej chyba zasady, że zakon sam najlepiej rozumie, co mu potrzebne; papież tak dalece w te rzeczy się nie miesza, że nawet zawiadomienie go o wyborze, nosi na sobie charakter prostej informacyi i, powtarzamy, choć papież ma do tego prawo, on sam uważa tę informacyę nie za prośbę o aprobatę, lecz za proste zakomunikowanie dokonanego faktu. Z tej strony więc wpływu ani nacisku nie było.

A ze strony cesarza Wilhelma? Nie trudno chyba przypuścić, że cztery prowincye francuskie, dalej angielska, irlandzka, holenderska, belgijska i galicyjska z pewnością temu wpływowiby się nie poddały, tembardziej, że głosowanie jest tajne, a i niemiecka ma jeszcze w pamięci paragrafy antyjezuickie i nie zapomina, że za poniesione w wojnie francusko-pruskiej trudy i ofiary, z gradem orderów i krzyżów spadł równocześnie na nią i wyrok banicyjny.

O jakimże wreszcie wpływie niemieckim świadczy wybór ks. Ledóchowskiego na asystenta niemieckiego? Asystencya niemiecka obejmuje prowincye: niemiecką, austro-węgierską, holenderską, belgijską i galicyjską. Na 4336 członków tej asystencyi sama niemiecka prowincya liczy przeszło $^2/_3$, bo 1455 członków. Urząd asystenta nie daje wprawdzie jurysdykcyi, ale daje znaczny wpływ na bieg spraw. I na czele tej asystencyi zakon stawia Polaka i to o nazwisku, które w Berlinie nie może wywołać miłych wspomnień. Ha! może to zresztą zrobiono dla zamaskowania się!!

Możemy jednak uchylić trochę zasłony i podać prawdziwszą

przyczynę, a możemy to uczynić tem łatwiej, że już przed nami zrobiła to *Gazette de France,* ogłaszając interwiew z pewnym Jezuitą francuskim. Ogólnie wiadomo, że dokonywa się obecnie przełom w naukach ściśle teologicznych, jak np. w samej teologii lub egzegezie, a ten ruch daje się odczuwać, jak w całym świecie katolickim, tak też i w zakonie. Chodziło więc o to, aby na czele zakonu postawić człowieka, któryby potrafił odróżnić ziarno od plewy, nie iść w tych sprawach za daleko, ale też nie pozostać w tyle. Ks. Wernz, jako człowiek nauki i jako znana i powszechnie ceniona powaga na polu prawa kanonicznego, dawał tę rękojmię; a ponieważ posiadał, zdaniem wyborców, i inne, wymagane dla generała od instytutu przymioty, nic dziwnego, że został wybranym. I to jest, zdaje się prawdziwe rozwiązanie zagadki.

Ks. Wiktor Wiecki.

Ze świata literatury.

»Wieczory nad Lemanem« w Niemczech.

»Wieczory nad Lemanem« ś. p. ks. Morawskiego nie tylko w Polsce cieszą się zasłużonem uznaniem; tłumaczą je obecnie na język czeski, chorwacki i holenderski, a przetłumaczono je już na węgierski, rosyjski i niemiecki. Na język niemiecki przełożono je przed dwoma prawie laty. W przeciągu szesnastu miesięcy nakład 2000 egzemplarzy został wyczerpany, a firma Herdera przygotowała w sierpniu b. r. nowe wydanie w 3000 egzemplarzy.

Z zaciekawieniem śledziliśmy, jakiego przyjęcia dozna dzieło w prasie niemieckiej. Czy wobec wyższego poziomu niemieckiej wiedzy teologicznej i umiejętności filozoficznych sąd polskiej opinii się ostoi i znajdzie swe potwierdzenie?

Mamy przed sobą wszystkie sprawozdania, jakie się dotąd w prasie niemieckiej o »Wieczorach« pojawiły; tych dłuższych i krótszych recenzyi, omówień i notatek jest 41. Jedyną ujemną ich stroną jest to, że z wyjątkiem kilku wybitniejszych nazwisk, przemówiły nieznane szerszemu ogółowi głosy.

Rozpoczniemy od głosów zajmujących się osobą autora. W nauce jest on »człowiekiem bystrego rozumu i bogatej wiedzy, mistrzem lo-

giki i pióra«, którego »dowody, przeciwstawione zarzutom przeciwników, przedstawiają się jak spiżowe postacie, których żadna siła ni podstęp nie zmoże« (*Die Amerika,* 1905, 16 kwietnia); jest »cenionym uczonym, któremu śmierć za prędko wyjęła pióro z pilnej ręki«, a który odznacza się »głębokością, jasnością i mistrzowskiem przedstawieniem rzeczy« (*Pastor bonus* 1905/6, zesz. I); w życiu był on »ujmujący, doświadczony, rozważny« (*Kath. Seelsorger* 1905, zesz. III); w pracy apostolskiej »z niesłychaną psychologiczną znajomością serca, z taktem i roztropnością prowadził odwrócone od Boga dusze z powrotem do wiary, chwiejące się umacniał« (*Pastor bonus* l. c.; *Sendbote,* Innsbruck 1905, zesz. 2).

Książka sama jest »dziełem wspaniałem« (*Wissenschaftliche Beilage zur Germania* 1905, nr. 5 i *Sendbote* z Cincinnati 1905, zeszyt z marca); »prawda katolicka święci w tej książce wielkie tryumfy« (*Pastor bonus* l. c.); »niema dzieła, któreby na tak ograniczonej przestrzeni ujęło katolicki pogląd na świat tak głęboko, tak oryginalnie i przedstawiło w tak pięknej szacie« (*Sendbote,* Innsbruck l. c.).

Wielkie pochwały zyskuje forma dzieła. Recenzenci zwracają uwagę na piękność języka i przedstawienia rzeczy, skutkiem których daje lekturę miłą i pouczającą (*Theolog. Revue,* 1905, nr. 5), na czarujące obrazy (protestancka *Monatsschrift für Stadt und Land* 1905, nr. 5: »das Malen versteht er bezaubernd«), na doskonałość dyalogu, którego »ten tylko używać może, kto opanował całkowicie swój przedmiot i potrafi go oprzeć o delikatne, psychologiczne pogłębienie rzeczy« (*Liter. Rundschau,* Freiburg 1905, nr. 8), na zręczność pojawiającą się w doskonałem ujęciu przedmiotu i zwróceniu dyskusyi na właściwe tory (Schöninghs *Literarischer Jahresbericht* za r. 1904), na szlachetny, rzeczowy ton całości (*Hochland* 1904/5, zesz. 3), jednem słowem na »formę właściwą tylko szlachetnym naturom« (*Katholik* 1904, zesz. 10). Nawet protestanci uznają, że »dobre robi wrażenie bezstronność, jaką wszyscy (biorący udział w rozmowach) objawiają, i odwaga, z jaką wszystkie kwestye poruszają« (*Theol. Jahresbericht,* Berlin 1905, t. 24). »Jak delikatnie umie postępować; nie narzuca się natrętnie, ucząc i napominając, lecz każe na każde pytanie przedstawicielom niekatolickich wyznań i modnemu człowiekowi podać to ziarno prawdy, które jeszcze posiadają; wkracza dopiero, gdy obraz prawdy się zaciera, plami lub pozostaje niezupełnym, poprawia i uzupełnia obraz spokojnie, rzeczowo, wykluczając wszystko, coby obrazić mogło« (*Pastor bonus* 1905/6, zesz. 1).

Ten ostatni ustęp recenzyi prowadzi nas do tych ocen, które zajmują się samą już treścią książki. Tu dowiadujemy się, że »Wieczory« są »bardzo udatną rehabilitacyą chrześcijaństwa i katolickiego Kościoła« (*Priester-Konferenz-Blatt* 1905, zesz. 1), są »wspaniałą apologią religii wogóle, a w szczególności Boga, Chrystusa i Kościoła katolickiego« (*Monatsblätter für kath. Religionsunterricht* 1905, z. 1); »Wieczory« dają to, co »według Paulsena i Harnacka tak gorąco a jednak na próżno szukało naukowe badanie: wszechstronny i zupełnie pewny pogląd na świat i mądrość życiową, opartą o niewzruszone zasady« (Schanz, *Theol. Revue,* Münster 1905, z. 5); dlatego też łatwo już zrozumieć, że dr. Gisler w *Schweizerische Rundschau* 1905, z. 4 nazywa »Wieczory« »najlepszą w tym rodzaju apologetyką w języku niemieckim« lub, że *Die Amerika* 1905, z 16 kwietnia sądzi: »kto sobie przyswoił dowody uczonego, ciętego polskiego Jezuity, może skutecznie bronić swego Kościoła przeciwko wielu nawet wrogom«, i że »Wieczory« »należą do najpiękniejszych dzieł, jakie apologetyka posiada«.

Taki jednak sąd powinien się opierać na pewnych podstawach. Te podstawy znajduje krytyka najpierw w szerokich horyzontach, jakie autor ogarnia. Dzieło »zwraca się do wykształconych czytelników i obejmuje naprawdę szerokie horyzonty, które i samodzielnie myślącego czytelnika z całem zajęciem w dyskusyę wciągają« (*Hochland* 1904/5, zesz. 3). »Niema jakiegokolwiek religijnego, socyalnego lub etycznego tematu, granicznego kamienia wiedzy, zwalczanej nauki chrześcijańskiej, któreby w tym kole wysoko wykształconych ludzi nie były omówione i oświetlone łagodnem a równocześnie silnem światłem religijnego przekonania, które zwycięsko nad całością się roztacza« (*Die christliche Frau,* 1905, z. 7). Autor »jest obeznany z historyą, sztuką, z rozmaitemi gałęziami wiedzy; nie obce mu też duchowe prądy teraźniejszości« (*Stimmen aus Maria-Laach* 1905, z. 4).

Podoba się krytyce również argumentacya autora. »Główną zaletą tego będącego na czasie i zwracającego na siebie uwagę dzieła to podbijająca rozum logika i prosto do celu zdążająca pewność, z jaką uczony i nad tak różnorodnym tematem panujący Jezuita przeprowadza dowód o boskości chrześcijaństwa i wyłącznem uprawnieniu katolicyzmu, wykazując równocześnie zwycięsko i cięto bezpodstawność rozmaitych zarzutów, sofizmatów i wątpliwości« (*Westf. Merkur* 1905, nr. 1). Argumentacya jest »logicznie i psychologicznie głęboka«, »przeprowadzenie dowodów jest przeważnie filozoficzne i udałe; wszędzie

napotkasz oryginalne myśli i nieoczekiwane rozwiązania nadarzających się trudności i wątpliwości« (*Priester-Konferenz-Blatt* 1905, n. 1).

Szczegółowiej zajmują się krytycy ostatnimi wieczorami. »Osoba Chrystusa, w opisie p. Leroy, pojęta ze stanowiska rozumu, który bez uprzedzenia ewangelie czyta, jest skończonem arcydziełem. Tylko tak mógł Chrystus przyjąć ludzką naturę; tylko tak mógł się dla wszystkich stać wszystkiem« (*Paradiesesfrüchte,* luty 1905, str. 63). Piąty wieczór »to prawdziwe arcydzieło: Chrystus bez charakteru, bez narodowości, bez rozwoju – zjawisko, które jedynie w bóstwie tego zagadkowego Człowieczego Syna swe rozwiązanie znajduje« (*Katholik* l. c.). »Szczytem doskonałości są trzy ostatnie wieczory, które bronią bóstwa Chrystusa i boskości Kościoła przeciwko protestantyzmowi i racyonalizmowi« (*Liter. Rundschau* l. c.).

Nie brak jednak i głosów ujemnych. Niektóre wyrażają osobiste pragnienia; nie podoba się np. forma dyalogu, która innych zachwyca (*Die christl. Frau,* 1905, zesz. 7), żądają ostrzejszego sądu o rosyjskim Kościele, chcieliby, aby autor zamiast punktów rozdzielających chrześcijańskie wyznania uwydatnił był właśnie elementy łączące (*Borromäusblätter* 1906, n. 7); nie podoba się im, że autor pominął milczeniem teorye historyczne Rankego, Mommsena, Lamprechta i filozoficzne Hartmanna, spierają się o niektóre poglądy, mówią o »niedokładnościach«, czasami o zbytnim optymizmie — zarzutów, któreby osłabiały wartość dzieła, niema. Protestantom tylko wiele się niepodoba; tytuł jest *bauernfängerisch,* dzieło samo pisane »w języku salonowym dla ludzi salonu«; piszą o »zarozumiałych głupstwach«, o »znoszeniu kukułczych jaj w obce gniazda«, o »powierzchowności« (*Monatsschrift für Stadt und Land* l. c.) Poza ogólne frazesy te głosy jednak nie wychodzą.

Wobec takich poglądów łatwo zrozumieć zdanie, że »Wieczory« są »dla niewierzących i chwiejących się, lecz o dobrej woli, doskonałym przewodnikiem na drodze do prawdy« (*Priester-Konferenz-Blatt* l. c.), i że »mogą one być ostatecznym ratunkiem dla narażonych na niebezpieczeństwo utraty wiary« (*Kath. Seelsorger* 1905, zesz. 3).

Ks. Wiktor Wiecki.

Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi.

(Ciąg dalszy).

Samborskie Towarzystwo handlowe, zawiązane w marcu 1901. posiada 25 członków z kapitałem udziałowym 7.569 K 60 h. Przedmiotem handlu są towary łokciowe i galanteryjne. Zarówno przedmiot handlowy, jak i powód powstania Towarzystwa, są nader charakterystyczne. Mianowicie Towarzystwo nie powstało bynajmniej, jak to się dzieje zazwyczaj ze Stowarzyszeniami spożywczemi, dzięki ogólnie odczuwanej potrzebie, jeno wskutek okoliczności, zupełnie przypadkowych, mianowicie, do kwietnia 1901 jeden z kupców miejscowych zajmował sklepy w nieruchomości Samborskiej kasy zaliczkowej pod handel towarów łokciowych i galanteryjnych. Później przeniósł się do Lwowa, ponieważ zaś kontrakt dzierżawny obowiązywał strony jeszcze na dłuższy okres czasu a rozwiązanie kontraktu narażałoby owego kupca na straty, zaś kasę na trudności wyszukania odpowiedniego lokatora, więc za wspólnem porozumieniem zawiązano Towarzystwo, by to prowadziło nadal handel artykułami galanteryjnymi i łokciowymi. Urządzenie sklepu nabyto od owego kupca za 1.000 K. a towary zaczęto sprowadzać na własną rękę.

Targ za 10 miesięcy 1901 r. wynosił:

1901	. . . . .	K 18.402·78
1902	. . . . .	» 39.916·51
1903	. . . . .	» 40.581·66

Z czystego zysku na dywidendę przypadało 8%, zapas towarów był stanowczo za duży, wynosił bowiem prawie 65% rocznego obrotu. Gospodarstwo kredytowe kwitnie w całej pełni, i jak z jednej strony pretensye do członków i odbiorców za pobrane od nich towary, są bardzo znaczne i coraz to bardziej się zwiększają, tak znowu z drugiej strony bardzo poważnem jest zadłużenie się Towarzystwa u dostawców. Odbiorcy zalegają co najmniej 3 miesiące ze spłatą długu, gdy w handlu drobiazgowym kredyt powinien być najwyżej miesięczny. Brak własnego kapitału obrotowego uzupełnia dyrekcya pożyczkami przeważnie od członków Towarzystwa i samborskiej kasy zaliczkowej.

Uwięziony w pretensyach kapitał udziałowy, nie wystarcza do obrotu i stąd konieczność zadłużania się i kupowania na kredyt, a więc stosunkowo drogo.

Personal, w stosunku do małych obrotów, cokolwiek za liczny.

Towarzystwo handlowo-przemysłowe w Tarnobrzegu, założone w r. 1899, doprowadziło w znacznej mierze do pożądanego celu i stało się istotnie regulatorem cen.

Rozwój obrotu towarowego Towarzystwa, przedstawia się jak następuje:

Targ w ciągu 7 miesięcy	1899/900	wynosił	K 61.787·46
w r.	1900/901	»	» 128.335·67
»	1901/902	»	» 167.614·84
»	1902/903	»	» 216.300·97
»	1903/904	»	» 254.147·08

Towarzystwo zaraz w samych początkach umiało bardzo zręcznie ugodzić w piętę Achillesową handlu drobiazgowego prywatnego, sprowadzając większą partyę słoniny węgierskiej i sprzedając tanio, nawiązując w ten sposób stosunki z klientelą włościańską, lecz przedewszystkiem dzięki konsekwentnie przeprowadzonej taktyce, obniżania cen towarów, aż do granic możliwości. Taktyka ta ma jednak tę ujemną stronę, że wpływa także na obniżenie zysków.

Tak w stosunku do obrotu towarowego wynosił:

w r.	1899/900	zysk brutto	10%	netto	3·3%
	1900/901	» »	9·9%	»	0·2%
	1901/902	« »	8·1%	»	1·7%
	1902/903	» »	7·2%	»	1·35%

To ciągłe obniżanie musi mieć jednak swą granicę, a w przyszłości będzie jeszcze trudniejszem do uskutecznienia, wobec tego, że współzawodnicy prywatni uciekają się niejednokrotnie do sztuczek niesumiennej konkurencyi, których Towarzystwu naśladować nie wolno, jak np. niedoważanie mąki itp., wskutek czego mogą dawać swym odbiorcom pozornie jeszcze tańszy towar.

Z polityki zniżkowej korzystają zarówno członkowie Towarzystwa, jak i nie członkowie. To też, gdy za granicą zaledwie 2 do 3 % nabywców nie są członkami Stowarzyszenia, to tutaj odwrotnie, członkowie Stowarzyszenia (z pewnymi udziałami) na 216.400 K. 97 hal. targu, dali utargować zaledwie 32.691·07 K., a więc tylko 15 %.

Liczba członków nie jest wielką.

w r.	18999/900	było członków	96	z kapitałem udział.	K	10.995·00
	1900/901	» »	106	» »	»	13.213·84
	1901/902	» »	118	» »	»	14.567·17
	1902/903	» »	122	» »	»	18.871·93
	1903/904	» »	118	» »	»	21.784·11

Udziały były pierwotnie 5 koronowe, gdy jednak nadzieje na masowe przystępowanie członków zawiodły, podniesiono udziały do kwoty 50 koron, a chcąc przynaglić członków dawniejszych do podwyższenia swych udziałów pięciokoronowych, przyznano wpłaconym udziałom 50 koronowym prawo do współudziału w zwrotach cen za kupna w stosunku do poczynionych zakupów.

Środek ten jednak nie doprowadził do pożądanego rezultatu i wywołał pewne rozgoryczenie z powodu niezrozumienia dobrych intencyi zarządu i pewnej obojętności członków.

Towarzystwo udziela kredytu towarowego tak członkom jak i niecłonkom, hurtowym na rachunek bieżący, detalicznym na książeczki.

Odbiorców hurtowych posiada Towarzystwo 65, przeważnie kółka rolnicze lub sklepy wiejskie, targ roczny wynosi 118.841.46 K.

W celu wyrobienia zmysłu handlowego u okolicznej ludności, Towarzystwo prowadzi kurs handlowy, mianowicie przyjmuje na praktykę, trwającą rok do dwóch lat, synów włościan, dając im utrzymanie, książki szkolne i posyłając ich do miejscowej szkoły, przygotowując w ten sposób chłopców do prowadzenia sklepików kółek rolniczych, od czasu do czasu, wysyła też kierownika bazaru do sąsiednich wsi, w celu udzielania praktycznych wskazówek początkującym kółkom i sklepikom.

VII.

W wielu krajach, w których kooperatywa spożywcza święci już pewne tryumfy, wiejskie stowarzyszenia spożywcze wyodrębniają się niejednokrotnie od miejskich, nie dlatego, by zasadnicza konstrukcya tych stowarzyszeń musiała być inna niż konstrukcya miejskich stowarzyszeń, ale z uwagi na to, że na wsi potrzeby gospodarstwa domowego bardzo silnie się jednoczą z potrzebami gospodarstwa zarobkowego, że one stanowią w znacznie wyższym stopniu jednolitą harmonijną całość, niż to się dzieje w mieście, że wkońcu ta jednolitość jest prawie że powszechną, bo wszyscy prawie są i spożywcami i gospodarzami.

Rozwój miejskich stowarzyszeń spożywczych w trojakiej odbywa się formie: albo są to filie silnie rozrośniętego stowarzyszenia miejskiego (typ angielski), albo też stowarzyszenia spożywcze stanowią dalsze stadyum rozwojowe stowarzyszeń dla wspólnych zakupów artykułów, potrzebnych w gospodarstwie rolnem, a rozszerzającem zwolna

swój zakres działania także na artykuły spożywcze w ściślejszem tego słowa znaczeniu (typ szwajcarski), albo wkońcu wiejskie stowarzyszenia handlowe od samego początku swego rozwoju uwzględniają w równej mierze artykuły spożywcze, jak i artykuły rolnicze (typ duński)[1].

Typy te dotyczą zresztą nie tyle rodzaju tych stowarzyszeń, ile raczej sposobu ich powstawania, ich rozwoju historycznego. Wszystkie te trzy kraje jednak dowodzą niewątpliwie, że kooperatywa spożywcza i na wsi wybitne może święcić tryumfy, a mylnem jest zdanie, jakoby warunkiem rozwoju tych stowarzyszeń musiał być koniecznie rozkwit wielkiego przemysłu i jakoby stowarzyszenia te mogły się rozwijać tylko w siedliskach industryalizmu[2].

Szczególnie jaskrawo uwydatnia się ta prawda w Danii, gdzie w r. 1892 na dwieście stowarzyszeń spożywczych w Danii ogółem istniejących, było zaledwie pięć stowarzyszeń, które zdołały się stale utrzymać w miastach, a i dziś jeszcze stosunek ten nie uległ zasadniczej zmianie, bo na 1000 do 1100 stowarzyszeń spożywczych w Danii ogółem istniejących, zaledwie 15 znajduje się w miastach prowincyonalnych, tak, że stowarzyszenie spożywcze wiejskie jest w Danii dziś jeszcze normalnym typem stowarzyszenia spożywczego.

Zasadniczo podobna sytuacya istnieje i w Galicyi. I tu również rozwój stowarzyszeń spożywczych wogóle a specyalnie stowarzyszeń spożywczych na wsi szedł podobnemi drogami jak w Danii, jakkolwiek i w ogólnym stanie kultury i w tempie rozwoju asocyacyi rolniczej między Galicyą (znaczne na niekorzyść Galicyi) zachodzą różnice. Ale zachodzą niektóre inne jeszcze momenta wspólne, bo i o Galicyi można, zdaje się, powiedzieć to, co stwierdza Joergensen o Danii, że handel wogóle nie był w Danii tak skorumpowany i nieuczciwy w mieście jak na wsi i że ta okoliczność właśnie, stanowi jedną z walnych przyczyn przewagi wiejskich stowarzyszeń spożywczych nad miejskiemi.

I w Galicyi kooperatywa spożywcza znacznie szersze zapuściła korzenie na wsi niż w mieście, i w Galicyi też, historya stowarzyszeń spożywczych to przedewszystkiem historya wiejskich stowarzyszeń spożywczych a tu znów przedewszystkiem historya sklepików Kółek rolniczych.

---

[1] Por. *Mittheilungen über den sechsten Kongress der internationalen Genossenschaftsallianz gehalten zu Budapest vom 5 bis 8 September 1904.* London 1905, str. 370. (Referaty D. M. Innesa, Seweryna Joergensena i H. Müllera).

[2] L. Krzywicki: »Stowarzyszenia spożywcze«. Warszawa 1905.

Nie kółka rolnicze w ogólności, bo kółka mają znacznie szerszy zakres działania. Wedle § 2 statutu celem Towarzystwa kółek rolniczych jest praca nad podniesieniem dobrobytu, oświaty i moralności ludu. »W praktyce dążenia do podniesienia dobrobytu« wysunęły się na pierwszy plan, a znów sklepiki były przez długie lata jedyną prawie ważniejszą agendą Towarzystwa. Sprawozdanie Towarzystwa za rok 1902 stwierdza, że »kółka rolnicze w przeważnej części z tytułu tylko były rolniczemi, bo działanie ich przesunęło się ku stronie handlowej, a w wielu wypadkach wyłącznie na niej tylko się oparło. Niezdrowe stosunki handlowe po wsiach i miasteczkach, nadmierny wyzysk, wysokie ceny przy najgorszej jakości towarów, narzuciły kółkom rolniczym zadanie przeprowadzenia sanacyi w drobnym handlu. Zadanie to podjęte z wielkim zapałem, nęcące swą nowością a przytem jak się okazało rentowne, tworząc siłę attrakcyjną kółek, jako nastręczające widoczne korzyści, tak dalece zaabsorbowało stowarzyszenia, że o zasadniczej części działania, o sprawach rolniczych prawie zupełnie zapomniano. Nie można nie uznać ogromnego znaczenia tego ruchu Kółek rolniczych na polu handlowem, przyniósł on bowiem wielkie korzyści materyalne i moralne: wytworzył wprost konieczną konkurencyę i obniżył przez to ceny, wyszkolił w zbiorowem działaniu, zachęcił do podjęcia innych przedsiębiorstw i dostarczył na nie funduszów, przyczynił się do wystawienia własnych domów Kółek rolniczych i dał punkt oparcia czytelniom i życiu towarzyskiemu — choć co prawda to wyłączne prawie zajęcie się kramarstwem wypaczyło na pewien czas działalność Towarzystwa. Akcya, która właściwie powinna być uboczną, a co najwyżej równorzędną, stała się główną i podstawową. W ten sposób troska o zaoszczędzenie drobnych kwot przy zakupnie, a więc o umniejszenie rozchodu nabrała większego znaczenia, niż o wiele ważniejsze od niej zadanie podniesienia intraty z gospodarstwa i zwiększenia dochodów«.

Sklepik spółkowy Kółka rolniczego, tworzy się najczęściej przy pomocy udziałów członków spółki, atoli kwestya udziałów długi czas nie była uregulowaną, ani pod względem wysokości minimalnej, ani też pod względem obowiązku i prawa do wypowiadania i wycofywania. Minimalna wysokość udziału była też pierwotnie prawie wszędzie pozostawiona zupełnie swobodnemu uznaniu członka, tak daleee, że nie brak udziałów poniżej jednego złr. (50 ct. a nawet 20 ct.) obok innych wynoszących po kilkadziesiąt a nawet po kilkaset złr. Tkwiła wtem tendencya do ułatwiania przystępowania do kółka jak najliczniejszym

członkom. Z drugiej wszakże strony brak wszelkiego ograniczenia wpływał ujemnie na tworzenie się i administracyę tego kapitału zakładowego, ponieważ pozwalał na ścieśnianie ofiarności u tych także członków, dla których pewien przymus na wpłacenie cokolwiek wyższego udziału nie stanowiłby przeszkody w przystąpieniu do spółki [1].

Niekiedy zresztą fundusz zakładowy sklepiku kółkowego powstawał w inny także sposób. Oto kółko rolnicze jako takie, więc bez wiązania się w spółkę sklepową, zaciąga pożyczkę, z góry według umówionej stopy oprocentowaną, od jednej lub paru osób gotowych do jej udzielenia. Pożyczki te bywają zwykle przez pewien szereg lat niewypowiedzialne, a spłata rozpoczyna się dopiero po upływie z góry oznaczonego terminu. Z czystych zysków rocznych tworzy się własny fundusz zakładowy sklepu Kółka rolniczego, mający zastąpić pierwotny kapitał pożyczkowy. Ponieważ kółko w chwili założenia sklepu nie posiada majątku własnego, nie może przeto dla pożyczki otrzymanej na założenie sklepu udzielić realnego zabezpieczenia, więc ofiarujący Kółku rolniczemu pożyczki tego rodzaju, spełniają czyn ofiarności obywatelskiej.

Z natury rzeczy wynika, że zazwyczaj wierzyciele ci wchodzą w skład zarządu Kółka, mają przeto wpływ na prowadzenie przedsiębiorstwa kółkowego, a zarazem osobisty interes w jego powodzeniu, spojony najściślej z interesem publicznym całego kółka. Niekiedy znów kapitał zakładowy pochodzi z darów osób życzliwych, Rady gminnej lub przypadkowo uzyskany został w dzodze składek od nieczłonków kółka, jak np. sklep Kółka rolniczego w Mnikowie (pow. krakowski) założony z funduszu zebranego przez uczestników Zjazdu przyrodników w Krakowie. Niekiedy znowu zdarza się, że Kółko rolnicze daje z funduszów własnych, pochodzący z miesięcznych (bezzwrotnych) wkładek swoich członków początek sklepowi kółkowemu, który prowadzony pod firmą Kółka, jako interes prywatny, jednego z jego członków, przynosi Kółku tylko prowizyą stałą z góry wyznaczoną (np. 1 %) w stosunku do uzyskanego z interesu dochodu.

Obecnie wszystkie te sprawy są dokładnie unormowane instrukcyą dla sklepów Kółek rolniczych, uchwaloną na posiedzeniu Zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych z dnia 27 grudnia 1900 r. Wedle tej instrukcyi pod firmą Kółka rolniczego może być prowadzone

[1] Stefczyk: »Handlowa działalność Kółek rolniczych w Galicyi« *(Ekonomista polski* 1894. Tom XVIII, str. 27).

przedsiębiorstwo handlowe (sklep Kółka rolniczego), jeżeli ogólne zebranie Kółka postanowi założenie. Prowadzenie przedsiębiorstwa na rachunek Kółka podług przepisów tej instrukcyi i jeżeli właścicielem jego jest Kółko rolnicze jako takie. Każdy sklep musi posiadać odrębne z ogólnych funduszów Kółka wydzielone środki, przeznaczone na prowadzenie przedsiębiorstwa i osobno administrowane [1].

Własne fundusze sklepu kółkowego mogą pochodzić z wydzielonych na cele przedsiębiorstwa sklepowego własnych funduszów Kółka, z udziałów członków, z darów prywatnych na ten cel przeznaczonych i z zysków przedsiębiorstwa.

Jeżeli fundusze przedsiębiorstwa tworzą się także z udziałów, naówczas powstaje dla prowadzenia sklepu Kółka rolniczego spółka cicha, w której Kółko rolnicze jako takie jest właścicielem przedsiębiorstwa a inni członkowie Kółka, którzy wnieśli udziały, są jego cichymi spólnikami. Udziały mogą nabywać tylko członkowie Kółka. Najmniejszy udział wynosi 2 K. Kwotę najwyższego udziału dla jednego członka ustanowi ogólne zebranie Kółka. Sprawami przedsiębiorstwa sklepowego zawiadują: ogólne zebranie Kółka rolniczego, Zarząd Kółka, kierownik Kółka, kasyer, personal pomocniczy, w szczególności sklepikarz. Umowa ze sklepikarzem ma być zawarta pisemnie, a sklepikarz ma złożyć na zabezpieczenie zawinionych strat kaucyę w wysokości — przez zarząd ustanowiony — lub dostarczyć dwóch odpowiednich poręczycieli. Zarząd Kółka ustanawia najwyższą granicę, do jakiej kierownikowi wolno obciążać przedsiębiorstwo sklepowe kredytem towarowym, tudzież postanawia, do jakiej łącznej kwoty, można przy sprzedaży udzielić kredytu towarowego, jak niemniej, jak wysokie kredyty towarowe mogą być przyznane poszczególnym odbiorcom. Za przekroczenie tych kredytów odpowiadają kierownik i sklepikarz solidarnie.

Czysty zysk rozdziela ogólne zebranie Kółka na wniosek Zarządu, podług następujących zasad:

1) Przedewszystkiem musi być z czystego zysku wydzielone 15% na fundusz rezerwowy, dopóki tenże nie wzrośnie do wysokości kapitału udziałowego, umieszczonego w przedsiębiorstwie handlowem.

2) Następnie wydziela się z czystego zysku odpowiednią kwotę do rozdziału pomiędzy Kółko rolnicze i członków, którzy mają udziały,

---

[1] »XX Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Kółek rolniczych za rok 1902«. Lwów 1903.

w stosunku kwot wniesionych przez Kółko rolnicze i członków. Udział w zysku nie może przekraczać 10%.

3) Z pozostałej reszty czystego zysku wyznacza się odpowiednie kwoty dla kierownika i personalu sklepowego.

4) Resztę zysku ogólnie zebraną bądźto przydziela do funduszu rezerwowego, bądź też przeznacza na inne cele dobra publicznego.

Sklepików Kółkowych było w r. 1904 ogółem 833, z tego atoli tylko 455 we własnym zarządzie, natomiast 378 wydzierżawionych. Ta ostatnia cyfra jest bardzo interesującą. Dowodzi bowiem, że sklepik Kółkowy w ścisłem tego słowa znaczeniu jest bardzo często formą przejściową, że zaś w bardzo wielu wypadkach stanowi on punkt wyjścia dla wytwarzania się prywatnego handlu chrześcijańskiego. Firma Kółka wprawdzie bywa zachowaną, bo jest to stara i dobra firma, a jak wspomniano powyżej, bywa ona przecież używaną i wówczas, gdy sklep od samego początku był przedsiębiorstwem czysto prywatnem. Zjawisko to z roku na rok potęguje się bardzo silnie, bo np. jeszcze w r. 1902 na 455 sklepów we własnym zarządzie było tylko 249 sklepów wydzierżawionych.

W jaki sposób dochodzi do takiego przeobrażenia, wykazuje przykład Maszkienic [1]. W celu założenia sklepiku Kółkowego, włożyli niektórzy z członków Kółka rolniczego udziały na otworzenie sklepu a mianowicie trzech po 5 złr., jeden 10 złr. i jeden 20 złr., a nadto zaciągnięto dług w Kasie pożyczkowej gminnej w kwocie 73 złr., razem 161 złr. na sklep, który umieszczono w domu jednego z członków, jemu też powierzono prowadzenie sklepu za wynagrodzeniem połowy czystego dochodu ze sprzedaży towarów.

Sklep rozwijał się nader pomyślnie; po upływie pół roku czysty dochód wynosił 190 złr., mimo, że ceny były względnie umiarkowane. Zdawało się, że jeżeli się tak dalej powodzić będzie, sklep Kółka rolniczego spełni swoje zadanie i niezawodnie w ciągu roku lub najdalej dwóch lat, odbierze w zupełności klientelę obu sklepikom żydowskim i zmusi ich właścicieli do zamknięcia swych interesów. Ale niestety to powodzenie zaszkodziło sprawie, prowadzący bowiem sklep gospodarz zapragnął go uczynić swoją własnością i odmówił składania rachunków. Później zaczął wpływać na zarząd i przeciągać niektórych

[1] Bujak F. »Maszkienice. Wieś powiatu brzeskiego, stosunki gospodarcze i społeczne«. Kraków 1901.

jego członków na swą stronę tak, że ostatecznie zarząd zawarł z nim ugodę na 3 lata, zostawiając u niego kwotę 100 złr. i wydzierżawiając mu sklep tj. firmę i kilka szaf i wag za 12 złr. rocznie. Główną przyczyną, która skłoniła zarząd do tego kroku, była niemożność przeprowadzenia ścisłej kontroli, dalej przyczynił się do tego brak interesu prywatnego u większości członków zarządu Kółka rolniczego, którzy nic nie włożywszy nie mogli spodziewać się żadnych dochodów, wkońcu lekkomyślne twierdzenie, »a niech się tam sklepikarz wzbogaci«.

Wydzierżawienie sklepiku Kółkowego jest niewątpliwie zupełnem wypaczeniem idei spółkowej. Nadużycie firmy Kółkowej przez dzierżawcę, szkodzi zaś nie tylko idei spółkowej, ale szkodzi również samej firmie Kółka. To też w całej pełni uzasadnionym jest postulat, by dzierżawca zobowiązywał się sprzedawać towar ściśle wedle wskazanego mu cennika np. Związku handlowego Kółek rolniczych, o ile sprzedaje za gotówkę a w razie kredytowania towaru nie podwyższać ceny jego ponad oznaczoną w kontrakcie maksymalną normę. Prócz tego zobowiązywać się winien dzierżawca do poddawania swego sklepu tj. stanu i gatunku trzymanych towarów oraz ksiąg handlowych kontroli handlowego lustratora Kółek, który przedstawia walnemu zgromadzeniu Kółek sprawozdanie sklepu [1].

Dzierżawa będzie niewątpliwie wszędzie tam uzasadnioną, gdzie niema na miejscu odpowiednich sił do prowadzenia sklepu we własnym zarządzie. Tam, gdzie warunki miejscowe nie są po temu odpowiednie, by sklep prowadzić we własnym zarządzie, należy go wydzierżawić, a ewentualnie nawet odstąpić zupełnie za darmo. O ileby zaś nastąpiło wydzierżawienie sklepiku, to przychód z opłaty dzierżawnej w żadnym razie nie powinien iść do podziału między członków Kółka, jeno na jego zbiorowe potrzeby.

W sklepach Kółek rolniczych przeważają z natury rzeczy artykuły spożywcze [2], tu zaś znów pierwsze miejsce zajmuje sól. Nietrudno to wytłumaczyć. W handlu bowiem tym artykułem ciągle i koniecznie zapotrzebowywanym przez wszystkich, najsilniej a powszechnie dawały się uczuć rozliczne niedostatki, nadużycia i wyzysk. Nie mówiąc już o tak pospolitych nadużyciach, dotyczących jakości i wagi towaru, podnieść przedewszystkiem wypada niesłychaną fluktuacyę cen tego artykułu mimo zupełnej stałości cen pierwotnych. Szczególniej przy

---

[1] Grabski: »Spółki włościańskie« str. 55.

[2] Stefczyk j. w. str. 123.

soli warzonkowej, której używa większość ludności kraju, fluktuacye cen drobnej sprzedaży wykazywały nierzadko różnice 100—150% tj. od 11 do 25 ct. za topkę, niejednokrotnie zwilgotniałą, poobtłukiwaną lub oskrobaną w sposób oszukańczy. Tam, gdzie powstał sklep Kółka rolniczego ceny nie tylko znakomicie się obniżyły, ale również przestały podlegać znaczniejszym zmianom. Oczywiście, że z chwilą ukrajowienia handlu solą, niedogodności te przestały istnieć, zwłaszcza wobec stałych cen, ustanowionych dla handlu drobiazgowego przez krajowy Zarząd sprzedaży soli, atoli w swoim czasie sklepiki Kółkowe były poważnymi pionierami na polu uzdrowienia stosunków w tej dziedzinie handlu.

Obok soli najważniejszą grupą artykułów handlowych w sklepach Kółkowych stanowią tłuszcze i ich przetwory, tj. nafta, mydło, słonina i t. p., których nigdzie nie brak i których konsumcya wśród ludności wiejskiej jest rozpowszechnioną a zwiększa się w miarę, jak pod wpływem sklepików Kółek rolniczych ceny są przystępnemi dla coraz szerszego ogółu.

Produkta mączne i pieczywo doznają bardzo rozmaitego odbytu w różnych sklepach Kółkowych. W okolicach kraju, gdzie ludność wiejska niemal wyłącznie żyje z roli, gdzie nadto klasa wyrobników wiejskich i rękodzielników jest nieliczną, tam nie znajdują produkty mączne i pieczywo znaczniejszego odbytu, ponieważ artykuły te ludność czerpie bezpośrednio z własnego gospodarstwa. Przeciwnie znowu w innych okolicach zapotrzebowanie kasz wszelkiego rodzaju i pieczywa jest tak znaczne, że w letniej zwłaszcza porze roku chleb oraz krupy stanowią główny towar sklepu Kółkowego. Rozleglejszą sprzedaż mąki prowadzą sklepy Kółkowe w miasteczkach i wsiach zbliżonych charakterem do miasteczek.

Z zakresu towarów kolonialnych nie brak w żadnym sklepie Kółkowym pięciu głównych artykułów: cukier kawa, herbata, pieprz i imbier, ponadto cykorya, ocet, krochmal pszenny, farba do bielenia i bielizny, świece, zapałki, szwarc, gwoździe, podkówki, nici, igły, guziki niciane i perkalowe, wreszcie papier, ołówki i pióra.

Większe sklepy sprzedają również artykuły gospodarskie i drobiazgowe, przybory szewskie, wyroby tytoniowe (trafiki).

Rozmaitość artykułów handlowych w sklepach Kółek rolniczych zwiększa się w kierunku ku zachodowi i w miejscowościach z gęstszą ludnością o rozmaitych potrzebach, zwłaszcza w miasteczkach. W sklepach Kółkowych więcej rozwiniętych, występują artykuły handlu kolo-

nialnego w większym doborze i rozmaitości gatunków, więc kawa surowa w kilku gatunkach obok palonej, herbata w paczkach obok gospodarskiej na wagę, cukier kostkowy i w mączce, świece stearynowe obok łojowych i parafinowych, zapałki szwedzkie i salonowe obok siarkowych i t. p. Z owoców południowych utrzymuje się migdały, cytryny i pomarańcze, które lud także częstokroć kupuje, jako domowy środek leczniczy. W ostatnim czasie rozwija się też dział towarów bławatnych. Dział ten obejmuje towary, których sprzedaż jest jeszcze w wyższym stopniu zmonopolizowaną przez prywatnych kupców żydowskich, aniżeli dział towarów spożywczych. Z drugiej zaś strony zapotrzebowanie towarów bławatnych przez ludność wiejską staje się coraz rozleglejszem a dziś już jest bardzo znacznem. Wstępną czynnością w tym kierunku jest wprowadzenie w zakres handlu Kółkowego sprzedaży drobiazgowych towarów łokciowych jak np. tasiemki, plecionki, koronki, wstążki, hafty i t. p. Dalszy postęp polega na zaprowadzeniu zbytu białych towarów płóciennych a dopiero ostatnim krokiem jest rozszerzenie handlu na towary modne a więc chustki na głowę i do odziewania, drukowane perkale, batysty, oksfordy, kolorowe barchany, flanele i t. p.

Większych zresztą rozmiarów dział ten nie będzie w stanie przybrać dopóty, dopóki będzie miał do walczenia z takim niedostatkiem funduszów, jaki się dzisiaj jeszcze ciągle objawia; towary bowiem bławatne wymagają znaczniejszego kapitału, który powolnie się w handlu obraca a przytem wymagają osobistego zakupna wobec lokalnych a bardzo znacznych różnic w gustach ludności, wreszcie niemałego kupieckiego doświadczenia [1].

W ostatnich wreszcie latach Kółka rolnicze rozszerzyły swą działalność na handel artykułami rolniczymi. Gdy jednak działalność wychodzi poza zakres potrzeb t. zw. spożywczych, działalność tę pomijamy w tem miejscu.

Wedle sprawozdań samychże Kółek, nadesłanych Zarządowi głównemu w r. 1902, na 952 Kółek rzeźnie miało 116 Kółek, piekarnie 6 Kółek, spichlerz 12 Kółek. Wiele Kółek miało też (głównie dzięki swym przedsiębiorstwom handlowym) własne domy, których łączna wartość wynosiła w r. 1904 K. 583.279.

Daty dotyczące obrotu ogółu Kółek są nieznane, ponieważ Kółka nie są przedsiębiorstwami, obowiązanemi do publicznego składania ra-

[1] Stefczyk j. w. str. 47.

chunków a i same nie przedkładają Zarządowi głównemu bardziej szczegółowych sprawozdań. To też główne wiadomości o rozwoju Kółek zawdzięczamy lustracyom. Otóż w 187 sklepikach, zlustrowanych w r. 1904, wynosił obrót 4,916.155 K., 173 sklepów uzyskało nadwyżkę w ogólnej kwocie 126.623 K., podczas gdy tylko 14 sklepów miało niedobór w wysokości 3.737 K.

Sklepiki Kółek rolniczych powstawały niejednokrotnie pod wpływem lichwy towarowej a i skutecznie też nieraz tej lichwie przeciwdziałały.

Tak o Kółku rolniczem w Rybnie czytamy. »Kiedy z początkiem wiosny z. r., z wyjątkiem kilku gospodarzy, cała ludność mając pustki w komorze a po części i oborze, zmuszoną była kupować żywność a zawsze czujni pejsaci opiekunowie naszego chrześcijańskiego ludu skrzętnie gromadzić poczęli zapasy na wzór egipskiego Józefa, z tą małą różnicą, że kiedy tamten sprzedawał, ci proszą, by brać bez pieniędzy, ale np. tak: kiedy korzec kukurudzy (100 kg.) kosztował tu na miejscu 8 złr., oni dają za darmo tj. bez pieniędzy, zobowiązując atoli dłużnika do oddania długu z nowego tj. do końca sierpnia 15 złr., to znaczy od 100 450% za rok. W podobny sposób rozdawali owi czuli o dobro naszego biednego chłopka jarmarkowi opiekunowie i inne artykuły żywności, nie chcąc ani patrzyć na pieniądze a pragnąc tylko ułatwić wygodny byt właścicielom polskiego zagona«.

O skutkach założenia sklepiku Kółka rolniczego czytamy tak dalej w tej samej korespondencyi: »W dniu ostatnim marca z. r. otwarliśmy sklepik dla użytku wszystkich tj. członków i niecłonków chrześcijan. I stała się rzecz dziwna. W Rybny przytaniało. Siedm tutejszych sklepów, między którymi 6 żydowskich, jakby tknięte iskrą elektryczną, zdecydowały się ceny towarów obniżyć. Jak prawie wszędzie, tak i u nas wrogie machinacye pośrednio i bezpośrednio nurtowały, by lud odciągnąć od kupna w naszym sklepiku i ubezwładnić uczciwe przedsięwzięcie samopomocy«. Usiłowania te nie doprowadziły jednak do pożądanego rezultatu, owszem zarząd Kółka wyszedł z tej walki zwycięsko. »Przy kaszach i mące kukurudzianej nie liczono żadnego zysku, słoninę sprowadzano z Węgier i na drobną rozsprzedaż liczono 32 ct. za ½ kg., gdzie dawniej kosztowała tutaj 48 do 50 ct., naftę najlepszą (salonową) po 8 ct. za ½ kg., kiedy u żydów ta sama ilość żółtej kosztowała 10 ct., na niektórych niezbędnych artykułach liczono 5% a na innych 10%, z którego to zysku miały być pokryte wydatki jak przywóz, podatek, asekuracya i wynagrodzenie sklepikarza,

który również dał lokal. Okoliczność ta sprawiła żywe poparcie ze strony ludu naszego sklepiku, przyczem wyszły na jaw niektóre sposoby żydowskie oszukiwań, np. litr kaszy jęczmiennej siekanki sprzedawali żydzi o $^1/_2$ ct. taniej od nas, przekonano się atoli, że ową kaszę żydzi przed sprzedażą nakrapiają a stąd zysku objętością (najmniej $^1/_4$ część) nagradzali sobie życzliwi obywatele sowicie ową zniżkę o $^1/_2$ ct.

Ciekawe gospodynie robiąc próbę, kupowały 1 litr kaszy z Kółka a jeden od żyda, gotując przekonały się, że żydowskiej kaszy nic przy gotowaniu nie przybyło, z kupionej zaś w Kółku przybyło blizko połowę. Powoli więc lecz stale przybywało zwolenników naszemu sklepikowi a poparcie ze strony ludności (nawet sąsiednich wsi), dworu, duchowieństwa i miejscowej intelligencyi było tak znaczne, że kiedy po miesiącu okazało się 92 złr. czystego zysku, wydatek na inwentarz już był pokryty« [1].

Wypada również nadmienić, jakimi środkami doszliśmy do tak znacznego zysku. Oto: 1) Doborem i jak najniższą ceną towarów. 2) Rozmaitością tychże, mianowicie, by w sklepiku było wszystko, czego tylko miejscowość potrzebuje. 3) Wielką czujnością, by niczego w sklepiku nie brakło. 4) By posłaniec po towary był pewny, o ile możności tani. 5) By zamiast gotówki przyjmowano za towary także np. jaja, masło i t. p. 6) Chętna, zręczna i życzliwa obsługa a najgłówniejsza 7) uczciwość sklepikarza.

(Dok. nast.)

Dr. Zygmunt Gargas.

[1] *Przewodnik Kółek rolniczych* 1893. Str. 308 i 338.

Druk ukończono 28 września 1906 r.

BODENHAIN[1].

SCENA Z DRAMATU.

PIEKARSKI, NOTARYUSZ

ZIEMOWIT

(idzie naprzeciw nim)

O witam! Wśród takiej szarugi
Panowie łaskawie przybyli.

(ściska Piekarskiego za rękę)

PIEKARSKI

Co prawda, to słota przeklęta!
Przyjeżdżam tu już po raz drugi...

ZIEMOWIT

(z wymuszoną uprzejmością)

Spodziewam się, że nie nadaremnie.

PIEKARSKI

A teraz hrabiemu przedstawię
I pana Goldschmida, rejenta.

ZIEMOWIT

O, poznać mi bardzo przyjemnie

(podaje rękę — ściska obydwóch)

---

[1] Pod tym tytułem pojawi się w tych dniach nowy dramat L. Rydla, poświęcony współczesnym stosunkom poznańskim. W dramacie tym wchodzi poeta w nową sferę swojej twórczości; próbkę jej podajemy w niniejszym urywku z aktu trzeciego.

Ruchliwej firmie księgarskiej Friedleina, która ten dramat wydaje, składamy niniejszem podziękowanie za użyczenie łaskawe tekstu.

Redakcya.

NOTARYUSZ

Zapewne panowie w swej sprawie
Chcą pomówić jeszcze beze mnie,
Więc proszę mi wskazać łaskawie
Gdzie czekać? Na podpis się zjawię.

ŻIEMOWIT

To możeby tu, w bibliotece.
(otwiera drzwi na lewo w głębi)

NOTARYUSZ

Nadmienić i to się ośmielę,
Że świadków dwóch żąda ustawa...

ZIEMOWIT

Dwóch chłopów sprowadzić polecę...
(dzwoni)

NOTARYUSZ
(wchodzi na lewo)

ŁUKASZ
(we drzwiach na prawo)

ZIEMOWIT
(mówi do niego parę słów po cichu, potem dodaje)

Rozumiesz? Wprowadzisz ich tyłem
Do mojej pracowni.

ŁUKASZ
(wychodzi)

PIEKARSKI

Ta sprawa,
Dla której tu dzisiaj przybyłem
Powinna pójść gładko, jak sądzę.
Znam pańskie majątki dokładnie,
Dziś mogę dać czek na pieniądze
A projekt kontraktu gotowy
Otrzymał pan hrabia.

ZIEMOWIT

Czytałem
Lecz o tem nie może być mowy

By kupić miał pan Bodzantowo:
Podzielę się z panem połową,
Szmat ziemi pokaźny odkroję,
Lecz tego pałacu i wiosek
Najbliższych nie sprzedam. To moje
Jest gniazdo rodowe.

PIEKARSKI
(z ironią)
Stąd wniosek,
Że woli pan hrabia stopniowo
Sprzedawać, chociażby ze stratą?

ZIEMOWIT
(podrażniony wstaje)
Mój panie, mnie jeszcze stać na to,
Bym ziemię utrzymał rodową.

PIEKARSKI
Ja radzę za dobrą zapłatą
Od razu... Pan hrabia się myli
Gdy mniema, że tu się utrzyma.
(wstaje)
Znam lepiej stan pański w tej chwili,
Niż pan sam.
(wydobywa i podaje papiery)
Tu wszystko spisałem:
Pan hrabia własnemi oczyma
Niech zliczy — jest czarno na białem.
— Tu długi...

ZIEMOWIT
(patrzał w zapisane kolumny cyfr, potem rozpaczliwym ruchem opuszcza rękę z papierami na kolana i patrzy przed siebie zgnębiony — po chwili)
Pan... pan mnie ograbia.

PIEKARSKI
Ze złudzeń.

ZIEMOWIT
(rozdziera papiery)
Precz z taką rachubą!
To kłamstwo!

PIEKARSKI
(ostro)
Obraża mnie hrabia!
Odchodzę. Myliłem się grubo
Gdym sądził, że mam do czynienia
Z rozsądnym, spokojnym mężczyzną.

ZIEMOWIT
Uniosłem się w żalu i gniewie
Przepraszam.

PIEKARSKI
To znowu rzecz zmienia.
Czasami się słowa wyślizną,
Za które... Lecz mniejsza już o nie.

ZIEMOWIT
Usiądźmy.
(siadają)

PIEKARSKI
Z początku rzecz zacznę,
Pan hrabia ma długi zbyt znaczne.

ZIEMOWIT
(przerywa)
Lecz dotąd przed nimi się bronię.

PIEKARSKI
Na długo?

ZIEMOWIT
Ha, to się pokaże.

PIEKARSKI
A jeśli się zmówią lichwiarze
O sprzedaż tych dóbr na subhaście?

ZIEMOWIT
Pan szlachcic, pan wie co to znaczy
Z siedzibą rodową rozstanie!
Tu zeszło pokoleń czternaście
Przez wieki, przez lat pół tysiąca!

PIEKARSKI

Lecz jeśli nie można inaczej...

ZIEMOWIT

(rozpaczliwie łamiąc ręce)

Cóż z kośćmi mych przodków się stanie?!

PIEKARSKI

(wstaje)

Więc myśl o sprzedaży odtrąca
Pan hrabia — i zrywa układy?

ZIEMOWIT

(skwapliwie)

Nie zrywam! Lecz trudno mi panie
Z tą myślą się zgodzić — to boli!

(wstaje i chodzi rozdrażniony)

(po chwili)

Przyznaję, że niema już rady...

PIEKARSKI

Bez wyjścia jest dziś położenie,
Więc przejdźmy do rzeczy powoli.

ZIEMOWIT

(chodzi — nagle wstaje)

Ja nigdy nie sprzedam w tej cenie
Za milion i dwakroć! To żarty!

PIEKARSKI.

Nie mówię, że to moje słowo
Ostatnie.

ZIEMOWIT

W otwarte chcę karty
Grać z panem

PIEKARSKI

Służę uniżenie.

ZIEMOWIT

Komisya mi za Bodzantowo
Dawała milion i czterysta,

PIEKARSKI

Komisya przepłaca szalenie
To jasna rzecz i oczywista.
Ja nie mam do tego przyczyny.

ZIEMOWIT

Więc niech pan sto tysięcy doda

PIEKARSKI

Nie mogę.

ZIEMOWIT
(unosząc się)

To chyba są drwiny!
Pan z uczuć mych polskich korzysta...
Za bezcen mam sprzedać!?
(po chwili)
A! szkoda
Żem niemcom nie sprzedał...!!

PIEKARSKI

Rodziny
Pan nie chciał narażać, nazwiska
Pan hrabia miał wzgląd na opinię
I słusznie...

ZIEMOWIT

Ha, ha! Mam rodzinę!
Zjechali z daleka i z blizka
Dokuczyć, poniżać jedynie
Miast rękę mi podać, gdy ginę!
Opinia? Eh, ludzi bez liku
Prusakom sprzedało majątek,
A gdzież ta opinia? — Ot, krzyku
Narobią tam gdzieś gazeciarze
I na tem opinii początek
I koniec. Nikt palcem nie wskaże
Nikt ręki nie cofnie, nie zgromi —
Przyjmują witają znajomi —
Świat cały ich widzi nie gorzej
Niż przedtem. Cóż stało się księżnie?

Sprzedała jak nic Damianowo —
Czy na nią opinia się sroży?
Krzyk gazet umiała znieść mężnie
Do Lwowa zjechała w karnawał
Był grosz, więc bawiła się zdrowo
Dom każdy otworem jej stawał...
Opinią niech pan mnie nie straszy!

PIEKARSKI

Jak widzę ze sprawy już naszej
Nic chyba nie będzie... Pan sprzeda
Komisyi?

ZIEMOWIT

Mnie krwawi się dusza,
Ja wolałbym panu... Lecz bieda —
Pan widzi, że bieda mnie zmusza...
Mój cały ratunek w tej cenie
Opuścić nie mogę feniga...

PIEKARSKI

A zatem Komisyi?... Nie wierzę!

ZIEMOWIT

Ja, panie, mam polskie sumienie,
Krew burzy się we mnie i wzdryga,
Lecz... gdzie dają więcej tam idę —
Pan nie chce — Komisya niech bierze —

PIEKARSKI
(dobitnie)

A jeśli mnie posłał pan Thiede?

ZIEMOWIT
(zrywa się)

Co? Jakto? Nie prawda!

PIEKARSKI

W istocie
Tak, jestem Komisyi ajentem.

ZIEMOWIT
(z wybuchem oburzenia)
Pan? Polak! Wleść w taką ohydę!?
Pan? Szlachcic! W tym brudzie! W tem błocie!?
Co sercu polskiemu jest świętem,
Pan śmie tem frymarczyć bez sromu?!

PIEKARSKI
Gdzie więcej mi dają tam idę?!
(z cynicznym uśmiechem rękę ku niemu wyciąga)

ZIEMOWIT
(cofając się z odrazą)
Ha, pańskie dotknięcie mnie plami!...
Pan zdradę wniósł w próg tego domu!

PIEKARSKI
(ze smutkiem ale spokojnie)
Pan hrabia pokrzywdził mnie srodze
W szlachetnym swych uczuć wybuchu --
Pan hrabia był w sądach zbyt skory
Ja tu jako Judasz nie wchodzę
I czysty sam czuję się w duchu.

ZIEMOWIT
Tak! Ajent Komisyi!

PIEKARSKI
Pozory!
(po chwili z godnością)
Nie gorszym jestem patryotą
Niż hrabia, wszedłem zaś w stosunek
Z kolonizacyą tylko po to,
By swym rodakom nieść ratunek.

ZIEMOWIT
Nie mogę pojąć ani słowa.

PIEKARSKI
To rzecz tak prosta, oczywista!
Pan przy sprzedaży Bodzantowa
Na pośrednictwie mem skorzysta
Mają miliony, płacić mogą

I płacić chcą — więc niech przepłacą!
Pan swój majątek sprzeda drogo,
Po spłacie długów będzie za co
Kupić od niemca dobra spore;
Ja pośrednictwo na się biorę:
Jest pewien baron... Ot, zamiana
Z dobrą dopłatą. Z takich przemian
Korzysta sprawa narodowa...

ZIEMOWIT

Zaczynam coś pojmować pana...
(zbliża się)

PIEKARSKI

Ratować pragnę polskich ziemian.
— Pan hrabia chce mieć ź Bodzantowa
Milion czterykroć?

ZIEMOWIT

Bardzo ładnie.

PIEKARSKI

A ja hrabiemu z pruskiej kasy
Zapłacę półtora miliona!

ZIEMOWIT

(patrzy na niego oniemiały)

PIEKARSKI

(przysuwając się, poufnie, półgłosem)
Mnie dziesięć tysięcy przypadnie
Od pana... ot tak... po cichutku...

ZIEMOWIT

(zrozumiał — głową potakuje)

PIEKARSKI

W gazetach napaści, hałasy
Sam połknę — i sprawa skończona...
Niech na mnie gwałtują do skutku!
Pan hrabia o niczem nic nie wie,
Mnie sprzedał.

ZIEMOWIT
(odurzony)
Półtora miliona!

PIEKARSKI
(z naciskiem, cicho)
Mnie dziesięć tysięcy, dziś jeszcze
Przy spłacie...

ZIEMOWIT
W gazetach umieszczę...

PIEKARSKI
Pan hrabia niech na mnie to zwali
W gazetach... — A teraz rejenta
Wezwiemy i świadków do sali.

Lucyan Rydel.

Z ZAGADNIEŃ RELIGIJNYCH.

I. Zagadnienie religijne naszych czasów.

Bywają epoki stanowczych twierdzeń lub zaprzeczeń, bywają epoki wątpiących pytań i zagadnień. Czyż czasy nasze nie należą do tej ostatniej kategoryi?

Gdyby okresy czasu, jak kraje i miasta miały swoje znaki herbowe, obecnie żylibyśmy pono pod znakiem zapytania. Oczywiście mam tu na myśli życie duchowe, bo materyalne życie chwili bieżącej jak najbardziej twierdzący znak za herb wziąćby mogło: nie wątpi ono wcale o sobie i aż nadto dobitnie stwierdza się w niezliczonych zdobyczach swej kultury, w nieprzepartej chęci mnożenia ich i używania, nasycania się nimi i – przesycania.

Ale czy wszyscy zaufani w swym dobrobycie używacze chwili obecnej z ufnością i w przyszłość patrzyć mogą?

Tutaj na widnokręgu naszej kultury zjawia się ogromny znak zapytania. Zakrywa on przed nami nie tylko przyszłość mniej lub więcej oddaloną, ale kto wie może już dzień jutrzejszy. Kto wie czy nasza kultura, tak dobitnie stwierdzająca się w danej chwili, nie dozna w chwili bardzo blizkiej potężnego, druzgocącego zaprzeczenia.

Rozwiązanie tego pytania zależy od rozwiązania przeróżnych pytań z dziedziny naszego życia duchowego wogóle, a naszego życia religijnego w szczególności. Był czas kiedy pojmo-

wano tę zależność jako stosunek odwrotny: mniej lub więcej bezwzględne zaprzeczenie zadań religijnych miało być równoznaczne czy równoległe stwierdzeniu zadań ogólno-życiowych.

Wspomnijmy racyonalistyczną negacyę ośmnastowieczną, szyderczą, wolteryańską negacyę. Ta prędko chciała się załatwić z zagadnieniami religijnemi: przecinała je uczonym skalpelem swej krytyki lub ostrym nożem swego złośliwego dowcipu, przekonana, że tym sposobem raz na zawsze usunęła z życia społecznego wszelką religijność, tę, jak mniemała, sztuczną na nim narośl, tamującą swobodny jego rozwój.

Jakże wielkie było to złudzenie! Pokazało się, że owe cięcia racyonalistyczno-negacyjne sparaliżowały najistotniejsze organy ustroju społecznego, co pociągnęło za sobą straszliwą gorączkę rewolucyjną, której objawy chorobliwe i do dziś dnia od czasu do czasu występują w różnym stopniu siły. A swoją drogą zagadnienie religijne uśmiercone nie zostało i w życiu późniejszem społeczeństwa europejskiego odzywało się nieraz jako jedno z najważniejszych zagadnień wszechstronnego rozwoju.

Wtedy negacya nowożytna zastosowała nową metodę walki ze swą przyrodzoną nieprzyjaciółką, pozytywną religijnością — metodę bardzo na pozór bezstronną a bardzo w istocie rzeczy obłudną: metodę krytyki pozytywnej.

»Zagadnienie religijne niewątpliwie istnieje, uśmiercone być nie może, co więcej nie może być nawet dosiągnięte przez oręż przeczenia, a to z tej prostej przyczyny, że istnieje ono poza obrębem wszelkiej naszej wiedzy, będącej nieodzownie wiedzą pozytywną i doświadczalną, poza granicami wszelkiego możliwego poznania, w niedostępnej nam sferze niepoznawalności. A zatem w gruncie rzeczy tak, jakby wcale nie istniało; jeśli gdziekolwiek jest, to dla nas go niema i być nie może a zatem głowy sobie nim zaprzątać nie potrzebujemy«.

Tak się przedstawia w najogólniejszym zarysie negacyjny pogląd pozytywizmu empirycznego na religię. Czy stosowana przezeń metoda nie przypomina trochę przysłowiowej metody strusia? Nasi pozytywiści, pogrążywszy uczone swe głowy w badania przyrodniczo-doświadczalne, i nie widząc w ich obrębie ża-

dnego zagadnienia religijnego, sądzili się zabezpieczonymi od wszelkiego z tej strony niebezpieczeństwa, sądzili, że mogą spokojnie budować zwój materyalistyczny w gruncie rzeczy światopogląd, bez obawy, aby on kiedykolwiek mógł być zachwiany przez jakieś metafizyczne potrzeby duszy ludzkiej, które, jako złudne zupełnie, raz na zawsze z religii i filozofii wygnali.

Tymczasem poza obrębem tego pozytywistyczno-strusiego widnokręgu zagadnienie religijne, jako główne zagadnienie ducha ludzkiego, istniało po staremu i jakkolwiek w istocie swej dla ogółu szerokiego niedostępne, jak tajemniczy gród Grala świętego dla niepowołanych, niemniej przeto działanie swe na ogół ten zawsze wywiera.

Z podniebnych wyżyn tajemnicy religijnej, niby poświęceni rycerze Grala, przybywający walczyć za prawdę i cnotę, zstępują na poziomy serc ludzkich idee i natchnienia, których miano i pochodzenie nieznane im często pozostaje, ale których działanie świadczy o wyższem, nadziemskiem posłannictwie, zwracającem doczesne sprawy ludzkie do wiecznych spraw Bożych. Są to zagadnienia religijne epoki. Nie zdołał ich uśmiercić ostrzem swego szyderstwa racyonalizm osiemnastowieczny, nie zdołał ich zamknąć w dziedzinie »niepoznawalnego« pozytywizm dziewiętnastowieczny. Dziś w wieku dwudziestym przybywają do nas z tej dziedziny liczniejsze, niż kiedykolwiek, bardziej tajemnicze, nierozwiązalne, ale pomimo tego tak blizkie sercom ludzkim, tak im potrzebne, nieodzowne.

Rozejrzyjmy się po obszarach duchowego życia naszej epoki, w literaturze, poezyi, sztuce, filozofii; — czyż nie widzimy wszędzie tajemniczych postaci, których miano i pochodzenie zagadką nam jest często, a które na swych tarczach bojowych noszą święty znak rycerzy Grala, znak wiekuistej tajemnicy religijnej. Nie zawsze ufać im można. Gdybyśmy podnieśli spuszczoną przyłbicę niejednej z tych postaci rycerskich, może dostrzeglibyśmy czarną pustkę, albo wykrzywioną twarz jakiejś poczwary moralnej, albo śmieszną maskę komedyanta czy błazna.

Dużo takich pustych lub błazeńskich zagadek włóczy się po naszych niwach duchowych w świętej zbroi zagadnienia reli-

gijnego. Przywdziewają ją niekiedy halucynacye spirytystów współczesnych, fantazmagorye niepowołanych, a zaufanych w sobie mistyków, przeróżne dziwotwory, rojące się w chorobliwej wyobraźni pokolenia, które samo nadaje sobie nieraz z dumą miano dekadenckiego. Ale po owocach ich poznacie je. Czyż można mówić poważnie o uszlachetniającym, podnoszącym wpływie tych objawów znamiennych duchowej choroby wieku? Ale czyż sam fakt tej choroby nie świadczy wymownie o zaprzeczanych jeszcze niedawno metafizycznych potrzebach duszy ludzkiej, które wyrosły na jej niwach dzikimi chwastami, skoro normalnie w obrębie istniejącej kultury nie mogły na nich się rozwinąć. Oto jedna z postaci religijnego zagadnienia epoki. Daremnie zaprzeczano mu wprost lub też przez odesłanie go do dziedziny niepoznawalnej. Zmartwychwstawało ono z wszelkich zaprzeczeń, powracało z wszelkich wygnań i dzisiaj donośniej, niż kiedykolwiek w duszach ludzkich się odzywa. Ale w ogromnej ich większości odzywa się jako zagadnienie bez stanowczego rozwiązania, jako pytanie bez wyraźnej odpowiedzi.

Jeśli wszelkie przeczenia racyonalizmu czy pozytywizmu nie zdołały go uczynić niepotrzebnym, to z drugiej strony przyznać musimy, że dogmatyczne twierdzenia pozytywnej religijności nie mogą uczynić go obecnie zbytecznym. Zapewne, jest ono zbytecznym dla wielu dusz wierzących szczerze i niezłomnie w duchu dogmatów i tradycyi, ale cóż mają począć dusze wątpiące, które na taką wiarę zdobyć się nie mogą a pragnienia i dążenia religijne w swem życiu wewnętrznem z ogromną odczuwają siłą? Czyż te nie mają prawa przynajmniej wierzyć w istnienie zagadnienia religijnego naszych czasów i rozwiązania go na różnych poszukiwać drogach.

Sądzę, że niezależnie od kierunku tych dróg polegać ono musi przedewszystkiem na przeniknięciu duchem religijnym wszelkich zdobyczy i bogactw kultury nowożytnej, wszelkich prądów życiowych, które do pomnożenia ogólnego zasobu kulturalnego zmierzają. Niepodobna tych zasobów wprost odrzucić, tych prądów zatamować, jakby tego pragnęli może w głębi duszy ludzie, co o te i tamte niewiele się troszczą, radzi na jednem miejscu zawsze

nieruchomo tkwić w posiadaniu tego, co im przeszłość przekazała. Niepodobna też wszelkich twierdzeń, przeczeń i wątpliwości utrzymywać stale w oportunistycznej mieszaninie bez troski o wynikające stąd sprzeciwieństwa życiowe, przykrywane oględnie płaszczem obłudy a niedostrzegalne tylko dla pospolitej bezmyślności ludzkiej.

Chodzi o to, aby ta bezduszna, oportunistyczno-mechaniczna mieszanina zastąpiona została przez pełen ducha związek organiczny religijnych i kulturalnych zdobyczy ludzkości — chodzi o to, aby religia nie była tylko jakąś szanowną starzyzną, podtrzymywaną przez pietyzm dla dawnych czasów, albo martwym dodatkiem do życia, uznawanym za potrzebny lub zbyteczny, zależnie od czysto przypadkowych warunków wychowania, obyczaju tradycyi i interesu. Czyż nie powinna ona być ożywczym pierwiastkiem ludzkiego bytu, głównym czynnikiem postępu jego i rozwoju? — A czyż jest takim czynnikiem za dni naszych? Czyż przenika i ogarnia swym wpływem wszelkie sfery naszego życia kulturalnego, wszelkie jego prądy rozwojowe.

Całe nieszczęście, że tak nie jest, że religia albo usuwana jest przez swych wrogów ze szlaków postępu, albo, w osobie urzędowego swego przedstawicielstwa, sama dobrowolnie z nich się usuwa, poczytując je za zbyt niebezpieczne dla siebie. Kiedyż zajmie przynależne sobie stanowisko! kiedyż stanie na czele pochodu postępowego ludzkości! Obecnie pochód ten jest zajadłą walką narodowości i klas społecznych. Daremnie usiłowano pogodzić walczących w idei wszechludzkiego braterstwa. Utonęła w srożącem się dziś morzu nienawiści narodowościowych i socyalnych. Obawiać się trzeba, że wszelkie duchowe i kulturalne skarby ludzkości potonąć również mogą w zdziczałych jego falach, jeśli ich nie uśmierzy jaśniejąca ponad nimi idea nadludzkiego braterstwa w Chrystusie.

Obecnie zjawia się nam ona jako zagadnienie religijne naszej epoki, jako wielkie, pełne niepokoju pytanie ducha, na które kultura nasza w postępowym swym rozwoju nie zdołała dać stanowczej, wyraźnej odpowiedzi, ani przeczącej, ani twierdzącej. Ale w przyszłości dać ją będzie musiała. A nie może to być

proste zaprzeczanie bytu zagadnienia, lub odsuwanie go ze swej drogi poza sferę poznawalności. Łatwo przeczyć temu, czego się nie rozumie, nie chcieć nie wiedzieć o tem, co się nie mieści w ramach wygodnej doktryny; ale jak żyć bez tego, co jest nieodzowne do życia duszy?

Dziś, jak i przed wiekami w historyi ludzkości niezłomna iści się prawda: nie samym chlebem człowiek żyje. A jeśli zechce na nim poprzestać, jeśli wszystkie skarby swego ducha na chleb zechce zamieniać, gorzkim stanie mu się ten chleb, trucizną stanie się dla jego człowieczeństwa.

Czy nie odczuwamy obecnie przedsmaku tej goryczy, czy nie doznajemy trującego jej wpływu we wzmagającym się obłędzie nienawiści wszechludzkiej?...

II. Spisek milczenia.

Nie można powiedzieć, aby epoka nasza odznaczała się powściągliwością mowy. Owszem wielomówstwo to jedna z głównych jej wad. Każda, niekiedy nawet drugorzędna, lub całkiem podrzędna sprawa staje się za dni naszych przedmiotem nieskończonych roztrząsań dziennikarskich, niewyczerpanej gadaniny publicznej i prywatnej, powoduje ogromne rozlewy słów i atramentu. A niechże jakieś istotnie ważne zagadnienie zaświta na widnokręgu życia społecznego, wnet falujący wciąż wpośród jego obszarów ocean słowny tak olbrzymim wznosi się przypływem, iż zalewa nawet częściowo stałe lądy jasnej, rozumnej myśli, które zawsze w karbach trzymać go powinny.

Dziwna rzecz. W tej epoce tak wielomównej jest jedna bardzo rozległa dziedzina spraw życiowych przez szczególne upośledzenie czy też uprzywilejowanie pokryta, jeśli nie całkowicie, to w znacznej części, grubą, nieprzenikliwą zasłoną milczenia. Jest to dziedzina spraw religijnych, będących ongi przedmiotem takich ożywionych rozpraw, takich zaciętych sporów, a dzisiaj prawie zupełnie pomijanych we wzajemnej wymianie myśli na szerszej widowni życia publicznego. O religii mówią i piszą przeważnie księża przez urząd swój kapłański do tego powołani; ludzie świeccy

nie odzywają się prawie o niej, a myślą i słyszą o niej tylko pono w kościele, o ile poczytują sobie za obowiązek odwiedzać go niekiedy i o ile myślą istotnie o tem, co się w nim dzieje i mówi.

Czy to przemilczanie spraw religijnych świadczy o szczególnej dla nich czci, czy też może o szczególnem ich lekceważeniu? A może wynika z ostrożnej przezorności. Wiadomo, że za lat dawnych rozprawy o religii niemało zamętu na świecie sprawiły i jej samej niemało zrządziły szkody. Może dlatego ludzie, nauczeni doświadczeniem, wyrzekli się ich raz na zawsze. Ale jakże wyrzec się ujawnienia w słowie tego, co naprawdę żyje w duszy i w sercu? Z pełni serca mówią usta. A jeśli usta nic nie mają do powiedzenia, czy nie należy przypuszczać, że w sercu pustka jest zupełna?

Gdy człowiek z natury małomówny w jakiejś sprawie zachowuje głębokie milczenie, nietrudno nam uwierzyć, że pomimo tego nosi ją w myśli i w sercu, ale jeśli wielomówny o niej milczy, to czyż nie nasuwa się przypuszczenie, że jest mu obojętna, lub może nawet nienawistna, że radby ją może — na śmierć zamilczeć. A jeśli w gadatliwem na ogół społeczeństwie jakaś sprawa doniosła, nastręczająca wiele wątpliwości, nie bywa jawnie poruszana, to czyż nie nasuwa się podejrzenie, że istnieje przeciwko niej jakiś milczący spisek milczenia?...

Zapewne, są ludzie w naszej epoce, którzy religię głęboko noszą w sercu, chociaż o niej nigdy nie mówią. Są to ludzie głębokiej, prostej wiary i prostego składu umysłu, raczej w czynie, aniżeli w uczuciu i myśli ujawniający dążenia swej duszy. Pomiędzy takimi znaleźć można pono jednostki moralnie i społecznie najbardziej wartościowe. Ale czyż wielu ich jest za dni naszych? Epoka przekwitającej kultury i straszliwego w niej powikłania spraw życiowych nie sprzyja chyba rozwojowi podobnych natur. Dusze dzisiejsze tak zawiłe, głowy tak utrudzone myśleniem, serca (a częściej jeszcze nerwy) tak przeczulone czuciem. Gdzież tu mówić o istotnej prostocie duchowej! Nierównie łatwiej o mechaniczne uproszczenie, a raczej uregulowanie dusz, po wszyst-

kie czasy zresztą bardzo powszechne. Kiedyż brakło na świecie ludzi-machin, żyjących jako organizmy fizyczne, martwych jako organizmy duchowe? I dzisiaj ich nie brak, może ich nawet więcej niż kiedykolwiek z powodu zmechanizowania w materyalnym przeważnie rozwoju naszej kultury współczesnej. Jasną jest rzeczą, iż w duszach takich ludzi i religia (o ile z jakichś względów zewnętrznych przy niej obstają) jest czemś mechanicznem, martwem, co w duszy nie żyje, a zatem ani w myślach, ani w uczuciach, ani w słowach samorzutnych nie może się objawić, tylko w bezdusznych formułkach uzewnętrznia się mniej lub więcej prawidłowo. Tacy są, że tak powiem, urodzonymi uczestnikami, knującego się dokoła religii spisku milczenia. Czyż mogą o niej rzec szczere, żywe słowo, skoro ona w duszach ich nie żyje, a tylko działa jako jedna ze sprężyn dobrze uregulowanej machiny ludzkiej?

Ale nie o nich chodzi. Niech milczą, skoro nic nie mają do powiedzenia, nic prócz bezdusznych, oklepanych ogólników, ogranych na wszystkich pozytywkach życia. Nie same jednak pozytywki odzywają się w bezmiernym, aż nadto często rozstrojonym, ale bądź co bądź wymownym chórze dążeń współczesnych. Toż słychać w nim żywe głosy, z samorzutną siłą rwące się z dusz ludzkich, jako mniej lub więcej potężne oddźwięki ich potrzeb, pragnień i porywów. Dlaczegóż pomiędzy nimi tak rzadkie są szczere, bezpośrednie odgłosy religijnego nastroju lub rozstroju? Nie mówię, aby brakło ich zupełnie. Owszem tu i owdzie dosłyszeć je można. Ale czyż udział ich w naszej współczesnej symfonii życiowej odpowiada znaczeniu, jakie religia z natury rzeczy mieć powinna w rozwoju naszego życia wewnętrznego.

Biorąc ją ściśle w całej prawdzie i szczerości, przyznać trzeba, że może ona być dla nas albo wszystkiem, albo niczem. Albo jest drogą do wiekuistego, nadziemskiego bytu, albo nią nie jest. W pierwszym razie czyż wszystkie doczesne, ziemskie drogi nie powinny w niej znajdować swego ujścia a w drugim czyż nie powinna być porzucona niezwłocznie jako bezcelowa i fałszywa?

Owóż tak stanowczego postawienia sprawy religii epoka

nasza nie lubi. Nie chce ani twierdzić, ani przeczyć stanowczo — woli oględnie milczeć. Ale czyż takie milczenie nie jest w wielu razach świadomą lub bezwiedną dążnością do uśmiercenia przemilczanej sprawy? Jest nią przedewszystkiem u ludzi religijnie obojętnych, a społecznie oportunistycznych. Tacy, sami usposobieni mniej lub więcej sceptycznie, poczytują jednak wiarę w rzeczy nadziemskie za tamę przeciw nadmiernemu w ludziach wybujaniu ziemskich namiętności i dlatego tolerować, a nawet podtrzymywać ją gotowi u swych bliźnich, jako rękojmię porządku społecznego. Ale, zastosowana w ten użytkowy sposób, religia nie może, nie powinna być żywą, twórczą siłą, pobudzającą dusze ludzkie do nieskończonych, pozaświatowych dążeń. Niech będzie raczej martwą siłą bezwładności, powstrzymującą w dziedzinie ducha wszelki samorzutny ruch energii życiowej, ciężkim balastem, regulującym polot dusz w sferze zbyt górnych pragnień i porywów. Niech ludzie wierzą w byt wiekuisty, aby w bycie doczesnym tem bardziej ograniczali swe dążenia, niech wierzą w szczęście pozaświatowe, aby tem łatwiej znosili niedolę tego świata, stanowiącą warunek jego równowagi oraz spokojnego w nim używania — dla uprzywilejowanych.

Oto w krótkich słowach określenie stanowiska religii, pojętej jako utylitarny czynnik życia realnego. Jasną jest rzeczą, iż w tym charakterze swoim powinna ona jak najbardziej streszczać się w bezdusznych formułkach, stereotypowych praktykach i nieruchomej rutynie. Żywe słowo religijne, jako objaw zewnętrzny żywego myślenia i czucia zupełnie tu niepotrzebne, a nawet w wysokim stopniu szkodliwem stać się może. Niech religia istnieje, bo jest nam potrzebna w danych warunkach rzeczywistości życiowej, ale niech istnieje jako rzecz martwa, jako martwe narzędzie, którem dowolnie wedle widoków naszych posługiwać się możemy i które w danym razie, o ile dla celów naszych okazałoby się mniej użytecznem, moglibyśmy odrzucić z jak najmniejszą szkodą dla równowagi otaczającego nas bytu społecznego. A zatem nie pobudzajcie ją żywszem słowem, ani nawet żywszem serca biciem. Cisza, milczenie dokoła niej jak na cmentarzu. Niech spo-

czywa w martwej drzemce, w którą ją pogrążyła wiekowa rutyna. W ten sposób najlepiej spełni istotne swe zadanie życiowe, zadanie bezwładnego ciężaru, który, przygniatając i tamując wszelki swobodny, żywy ruch ducha, pozwala na tem bardziej ożywiony, a przytem równomierny i prawidłowy ruch bezdusznej materyi; a ten tak nam potrzebny w swobodnem i spokojnem używaniu dóbr tego świata, stanowiących w gruncie rzeczy jedyny cel wszelkich naszych dążeń.

Takie, jak sądzę, mniej lub więcej świadome, mniej lub więcej bezwiedne motywy pociągają ogromne rzesze niewierzących sceptyków naszej epoki do spisku milczenia przeciwko religii. A czy nie przyłączają się do nich niemniej liczne pono rzesze małowiernych, wierzących w połowie, w jednej czwartej, w jednej piątej, w jednej dziesiątej, w jednej setnej i Bóg wie w jak drobnym, znikomym ułomku szczerej, prawdziwej wiary? Ci zachowują się czasem względem religii jak otaczający łoże ciężko chorego, któremu już śmierć w oczy zagląda. A więc żaden głośnego, żywego słowa wyrzec się nie ośmiela, szeptem tylko, półsłówkami ze sobą mówią, lub trwają w uroczystem milczeniu, w głębi duszy pragnąc, aby konający już raz przecie skonał naprawdę i uwolnił ich od przymusu, jaki sobie zadają wobec niego.

Wspomnijmy ten ruch ożywiony, ten gwar rozgłośny, jaki rozwijał się dokoła religii w epokach prawdziwej, szczerej, głębokiej wiary i porównajmy go z dzisiejszą w tej dziedzinie cmentarną ciszą. Wspomnijmy donośne słowa, w jakich np. Dante boleje nad chorobliwemi zboczeniami ówczesnych jej organów i porównajmy z dzisiejszą lękliwą o niej mową prawowiernych jej wyznawców!...

Ludzie owych dawnych czasów, czując ją pełną życia we własnych duszach, wierzyli w niespożytą żywotność religii, nie przypuszczali, aby zabić ją mogli głośnem, żywem słowem, nie lękali się nazwać wyraźnie choroby jej organów, którą za przemijającą poczytywali. Ułamkowo wierzący ludzie dzisiejsi, odczuwając sami w sobie słabe tylko tętno życia religijnego, skłonni są mniemać, że i religia wogóle zaledwie trzyma się przy życiu

i dlatego otaczają ją takiem grobowem milczeniem, tak lękają się wstrząsnąć śmielszem słowem wątły jej organizm, a nie myślą o tem, że właśnie ową małoduszną lękliwością tłumią wewnętrzną jej siłę żywotną, że mimowoli przyłączają się do uknutego przeciw niej spisku milczenia, który mógłby ją na śmierć zamilczeć, gdyby nie to, że jest nieśmiertelna.

Walery Gostomski.

TEORYA PARALLELIZMU PSYCHOFIZYCZNEGO.

(Dokończenie).

Prawo zachowania energii i zasada przyczynowości są tylko niejako fundamentem, na którym wznosi się najsilniejszy dowód parallelistów, dowód z zasady zamkniętej przyczynowości naturalnej. Według tej zasady wszystkie wydarzenia w przyrodzie są w ten sposób między sobą powiązane, że każde zjawisko wyłącznie według praw fizycznych wynika ze zjawiska poprzedniego. Według Königa jest ta zasada powszechnem prawem, uznanem i stwierdzonem za pomocą możliwie obszernej indukcyi. Według postulatu naukowego, że prawo stwierdzone dotychczasowem doświadczeniem należy tak długo uważać za powszechne, jak długo nie mamy przeciwnych instancyi[1], możemy zasadę zamkniętej przyczynowości naturalnej stosować na każdem polu naukowem, dopóki nie otrzyma się ścisłego dowodu, iż w pewnej dziedzinie niema ono zastosowania. König przyznaje wprawdzie wraz z innymi, że we wielu wypadkach, np. przy zjawiskach fizyologicznych w organiźmie, z powodu nadzwyczajnej ich komplikacyi, przynajmniej na długie czasy dowód doświadczalny prawdziwości tej zasady jest niemożliwy, lecz niema wypadku, w którymby wolno było powątpiewać o jej słuszności«[2].

Dowód opierający się na tej zasadzie podaje König temi

[1] *Zeitschr. f. Phil.* t. 115, str. 176, 177.

[2] König l. c.

słowy: Zasada zamkniętej przyczynowości naturalnej opiewa: »że wydarzenia fizycznego świata zewnętrznego tworzą nieprzerwany i zupełny szereg przyczyn i skutków, w którym wszystkie pojedyncze człony są jednoznacznie określone przez inne i w którym żaden człon wypaść nie może, nie pociągając zarazem za sobą całego szeregu innych. Dla związku zaś pojedynczych członów nie jest wprawdzie miarodajnem logiczne prawo identyczności, lecz pewne czysto faktyczne normy współistności i następstwa, w których powszechne znaczenie atoli według przypuszczenia nauk przyrodniczych znajduje gwarancyę w niezmienności ostatnich substancyalnych elementów świata fizycznego, których istotę właśnie owe normy wyrażają. Z tego zaś wynika po pierwsze, że żadna zmiana w świecie zewnętrznym nie może, ani całkowicie, ani częściowo zależeć od przyczyn nie należących do świata zewnętrznego, gdyż inaczej związek wydarzeń zewnętrznych nie byłby zupełny ze strony przyczyn; po drugie wynika, że wydarzenie fizyczne nie może być przyczyną skutku niefizycznego, gdyż w takim razie ciągłość łączności byłaby przerwaną w kierunku skutków« [1].

Nieco jaśniej da się ten dowód może tak przedstawić: Wszechstronna indukcya stwierdziła ogólne znaczenie zasady zam-

[1] Podajemy tekst w całości: »Das Axiom der geschlossenen Natur-Kausalität besagt, ‚dass die Vorgänge der physischen Aussenwelt einen lückenlosen und vollständigen Zusammenhang von Gründen und Folgen bilden, in welchem alle einzelnen Glieder durch andere undeutig bestimmt sind, und in dem keines fehlen könnte, ohne dass dadurch ein ganzer Komplex anderer ausfiele. Massgebend für den Zusammenhang der einzelnen Glieder sind dabei allerdings nicht das logische Gesetz der Identität, sondern gewisse rein tatsächliche Normen der Coexistenz und Succession, deren Allgemeingültigkeit aber, wie die Naturwissenschaft annimmt, durch die Unveränderlichkeit der letzten substanziellen Elemente der Körperwelt, deren Wesen jene Normen ausdrücken, garantiert wird. Daraus folgt nun erstens, dass keine Veränderung der Aussenwelt ganz oder teilweise von Ursachen abhängen kann, die ihrerseits nicht der Aussenwelt angehören, da sonst der Zusammenhang der äusseren Vorgänge nach Seite der Gründe hin ein unvollständiger wäre, es folgt zweitens, dass ein physischer Vorgang nicht Ursache einer nichtphysischen Wirkung sein kann, da in diesem Falle die Continuität des Zusammenhangs in der Richtung der Folgen eine Unterbrechung hätte«. *Zeitschr. für Phil. u. phil. Kritik* t. 115, str. 170.

kniętej przyczynowości naturalnej. Tej to zasadzie wzajemne oddziaływanie przyczynowe między duszą a ciałem nie da się w żaden sposób podporządkować, podczas gdy teorya parallelizmu w najlepszej stoi z nią zgodzie. Nie można zatem przyjąć wzajemnej przyczynowości między światem fizycznym i psychicznym, a w takim razie tylko parallelizm dostarcza możliwego sposobu tłumaczenia danej rzeczywistości.

Dowód zaś na drugie zdanie (przesłankę mniejszą) tkwić ma w następnem rozważaniu. Według wspomnianego aksyomatu każde wydarzenie świata zewnętrznego jest z jednej strony k o n i e c z n i e i j e d n o z n a c z n i e określone przez stan bezpośrednio je poprzedzający, a z drugiej strony jest k o n i e c z n ą i j e d n o z n a c z n ą przyczyną stanu bezpośrednio następującego.

Atoli taki związek konieczny i jednoznaczny w świecie fizycznym nie mógłby istnieć, gdyby:

1° jakiekolwiek zjawisko fizyczne (fizyologiczne) stało w zależności przyczynowej nie tylko od poprzedniego stanu fizycznego (fizyologicznego), ale prócz tego od czynnika psychicznego. W takim bowiem wypadku mogłyby przy jednakowych danych przyczynach fizycznych nastąpić r o z m a i t e wydarzenia (skutki) fizyczne według tego, jakie czynniki psychiczne na nie wpłynęły. Związek zatem wydarzeń fizycznych między sobą nie byłby jednoznacznie określony.

2° Taki związek konieczny i jednoznaczny nie mógłby również istnieć, gdyby przeciwnie zjawisko fizyczne mogło wywołać skutek psychiczny, gdyż wtedy następstwo aktów fizycznych byłoby przerwane przez skutki psychiczne.

Oto dowód w głównych zarysach. Przypuśćmy teraz na chwilę, że pierwsza część dowodu twierdząca o powszechnem znaczeniu aksyomatu zamkniętej przyczynowości naturalnej jest prawdziwą. Czy z tego wynika wniosek parallelistów, że świat fizyczny i świat psychiczny w człowieku jest zupełnie jeden od drugiego oddzielony i niezależny? Zdaje się w rzeczy samej, że na tej podstawie nie można się uchylić od takiej konsekwencyi. W takim razie uzasadnienie przesłanki mniejszej dowodu stałoby w całej sile, co najwyżej możnaby zauważyć, że wydarzenie fizyo-

logiczne mogłoby przecież być całkowitą przyczyną następnego stanu fizyologicznego, a prócz tego spowodować zjawisko psychiczne, że więc w tym wypadku związek konieczny i jednoznaczny zostałby nienaruszony. Ponieważ jednak ten akt psychiczny, wywołany niejako ubocznie przez akt fizyczny, mógłby znowu być częściową przynajmniej przyczyną następnego aktu fizycznego, zatem szereg wydarzeń fizycznych nie byłby istotnie jednoznacznie określonym.

Chodzi tu więc przedewszystkiem o przesłankę większą. Od niej zawisła cała siła, cała wartość dowodu.

Co prawda, kiedy temu dowodowi się przypatrujemy i pytamy się, o co tu właściwie chodzi, nie możemy się pozbyć uczucia pewnego zdziwienia. Pytamy się, czy pomiędzy ciałem a duszą w człowieku istnieje wzajemna przyczynowość lub nie. Otóż wypadałoby przecież na pierwszem miejscu przypatrzyć się nieco dokładniej samemu człowiekowi, przedewszystkiem: krytycznem okiem wglądnąć we własne życie psychiczne i psychofizyczne i badać doświadczalnie same fakta. Należałoby naprzód postawić sobie pytanie: jakie muszę mieć dane, by w jakimkolwiek oznaczonym wypadku módz orzec o stosunku przyczynowym dwóch rzeczy lub dwóch wydarzeń? a następnie, czy te dane zachodzą rzeczywiście w życiu psychofizycznem człowieka? Jeżeli tak, wtedy należy przyjąć wzajemne oddziaływanie przyczynowe; w przeciwnym zaś razie musimy się za innem rozwiązaniem problemu oglądnąć. Ta droga zdaje nam się być najkrótszą, najpewniejszą i (przynajmniej na razie) jedynie możliwą do rozwiązania naszej kwestyi. Zresztą metoda ta zgadza się nie tylko w zupełności z postępowaniem dzisiejszych nauk przyrodniczych, ale jest wprost wskazaną przez zdrowy rozum.

Jakże wobec tego postępują paralleliści? Możnaby mi tu, zdaniem naszem, słusznie zarzucić, że zamierzają rozwiązać problem drogą apryoryczną, że się nie troszczą właśnie o te fakta, o które tu najwięcej chodzi. Jakże to? Wszystkie nauki mające za przedmiot świat n i e o r g a n i c z n y, uzasadniły słuszność aksyomatu zamkniętej przyczynowości naturalnej. Wskutek tego panuje u wszystkich uczonych dążność stosowania tego aksyo-

matu, nie tylko tam, gdzie został naukowo stwierdzony, ale także tam, gdzie wogóle mamy do czynienia z materyą, z elementami fizycznymi i chemicznymi, więc także na polu biologii i fizyologii. Przecież, powiadają, tu jak tam mamy jedną i tę samą materyę. Jeżeli więc możemy postawić pewne prawa dla materyi anorganicznej, z góry można będzie przypuścić, że i w świecie organizmów materya podlega tym samym prawom. Ten właśnie pogląd przyswajają sobie paralleliści. Owszem, jeszcze dalej się posuwają twierdząc, że ta zasada jest zasadą powszechną; zapominają o tem, że tylko w świecie anorganicznym została ściśle udowodnioną; jednem słowem, prawa indukcyjne, panujące w pewnej dziedzinie, podnoszą do godności prawd absolutnych, metafizycznych w tem znaczeniu, »że każdy proces fizyczny musi mieć przebieg automatyczny, we wszystkich swoich fazach dokładnie i jednoznacznie na podstawie praw fizyki określony« [1]. Wprawdzie paralleliści nie wypowiadają tak wyraźnemi słowami swego poglądu, lecz w istocie rzeczy tak ten aksyomat rozumieją i rozumieć muszą, jeżeli wogóle ich dowód ma mieć jakieś znaczenie.

Po takiem rozszerzeniu wspomnianego aksyomatu łatwo parallelistom udowodnić niemożliwość wzajemnej przyczynowości między duszą a ciałem. Lecz nie trudno zrozumieć, że taki dowód jest apryoryczny i to jeszcze bardzo dowolny. O słuszności tego zarzutu przekonywa nas w dobitny sposób i ta okoliczność, jak paralleliści na podstawie swej nauki usiłują tłumaczyć fakta z życia konkretnego. Można się tu spotkać z najnienaturalniejszemi, z najniesłuszniejszemi tłumaczeniami, na jakie z pewnością niktby nie wpadł, gdyby odnośnym wydarzeniom przypatrywał się spokojnie i objektywnie, bez okularów z góry przyjętej teoryi. Jakże np. parallelizm tłumaczy powstanie »krytyki czystego rozumu«? Od długich lat umysł Kanta zajmuje się krytycznymi problematami poznania ludzkiego. Doszedłszy wreszcie do jasnych poglądów, uporządkowawszy swe myśli w systematyczną całość, filozof królewiecki siada do biurka. Otóż co się dzieje! Chwyta za

[1] Wentscher w *Zeitschr. f. Phil.* t. 117, str. 71.

pióro, zaczyna pisać. Ręka biegnie spiesznie po papierze, arkusz po arkuszu napełnia się myślami mającemi wywołać rewolucyę w świecie filozofów. Lecz nie wyrażam się dość ściśle mówiąc, że arkusze napełniają się myślami. Są to tylko litery, słowa — nie, nawet to nie — tylko dziwaczne jakieś kreski i znaki. W majestatycznym pochodzie spieszą myśli przez duszę myśliciela. Lecz one nie mają najmniejszego związku z tem, co ręka pisze. Albowiem każde poruszenie ręki, każda napisana litera, każdy błąd w pisaniu jest k o n i e c z n i e i j e d n o z n a c z n i e zadecydowany przez bezpośrednio poprzedzający stan fizyologiczny w kantowskim organiźmie. Jak synteza lub analiza w probierce chemika, tak i tu jeden ruch następuje po drugim z tą samą koniecznością mechaniczną. A jednak dziwna doprawdy rzecz! Wszystkie te znaki i słowa wyrażają dokładnie myśli snujące się w głowie Kanta, albo raczej, skoro te znaki odbijają się na siatkówce czytelnika, wtedy w jego głowie towarzyszą im te same myśli, jakie były wówczas w duszy Kanta. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu upływa — niezmordowany uczony siedzi przy biurku, prawa fizyczne pędzą jego ręką bez wytchnienia prawie, bez odpoczynku po cierpliwym papierze, wreszcie dzieło dokonane — i, o dziwo! przedstawia ono dokładny wyraz wszystkich jego myśli! To samo dziwne zjawisko powtarza się u drukarza, powtarza się u niezliczonych czytelników, krytyków i komentatorów.

I niech nas nikt nie posądza, że tu parallelistom coś podsuwamy, o czem sami wiedzieć nie chcą; Paulsen tłumaczy nam w podobny sposób powstanie »krytyki czystego rozumu«, a podobnie tłumaczy bitwę pod Austerlitz i inne wypadki. Zresztą jest to konieczny wniosek z teoryi parallelistycznej.

Lecz nie chcieliśmy wyprzedzać toku rozumowania ani wyciągać wniosków z teoryi parallelistycznej; chcieliśmy tylko zbadać siłę danego nam dowodu. Wróćmy więc jeszcze na chwilę do aksyomatu zamkniętej przyczynowości. Przyznać musimy, że ta zasada posiada ogólne znaczenie dla całego świata anorganicznego. Dalej przyznajemy nawet zupełną słuszność usiłowaniom rozsze-

rzania tego aksyomatu także na inne pola, gdziekolwiek mamy do czynienia z materyą. Lecz o tem nie należy zapominać, że wspomniana zasada jest na innych polach li tylko przypuszczeniem tymczasowem, hypotezą chwilową, a bynajmniej nie pewnem prawem. Kto rozszerza to prawo nawet na materyę organiczną, suponuje po cichu zasadniczą tożsamość świata organicznego, psychofizycznego ze światem anorganicznym. Wprawdzie nie żądamy na tem miejscu bynajmniej, ażeby paralleliści uznali zasadniczą różnicę między nimi, ale w każdym razie powinnaby ich nieco zastanowić już ta okoliczność, że nie tylko prosty rozum, ale także wielu bardzo poważnych badaczy przyjmuje w organizmach inny jeszcze czynnik prócz tych, jakie się znajdują w martwej materyi. A w każdym razie m u s z ą przyznać nam paralleliści, że dotąd jeszcze nikt nie zdołał wytłumaczyć życia organicznego, a tem mniej psychofizycznego na podstawie sił i praw fizyczno-chemicznych. Jeżeli więc powyższe ich rozumowanie ma być ścisłym dowodem teoryi parallelistycznej, wypada im jeszcze u d o w o d n i ć, że w naturze organicznej, a zwłaszcza psychofizycznej, stosowanie tej zasady nie napotyka na trudności.

Inaczej paralleliści wpadają w błędne koło. Powszechne znaczenie zasady zamkniętej przyczynowości opierają na nieobecności przeciwnych instancyi, a skoro im się takie wymienia, udowadniają niesłuszność przeciwnych dowodów z powszechnego znaczenia tego samego aksyomatu [1].

Lecz niektórzy z parallelistów przynoszą nam rzeczywiście dowody na to, że wspomniana zasada ma ogólne, bezwzględne znaczenie. Przypatrzmy się więc jeszcze tym dowodom.

1-szy dowód opiera się rzekomo na doświadczeniu. Tak powiada np. Wundt a za nim König. »Wszędzie, gdzie ciągły przebieg wydarzeń dopuszcza ścisłe ich oznaczenie, dochodzimy do postulatu, że przyczynowość naturalna tworzy dziedzinę w sobie zamkniętą« [2]. Spotkaliśmy się już z tym dowodem w toku naszej dyskusyi i widzieliśmy, że paralleliści to prawo indukcyjne bezpodstawnie rozszerzają.

[1] Por. Busse w *Zeitschr. f. Phil.* t. 116, str. 78.

[2] *Philosophische Studien* t. 10, str. 29.

2-gi dowód opiera się na rozumowaniach nad prawem zachowania energii, nad zasadą przyczynowości i zasadą mechanicznego tłumaczenia natury. Omawialiśmy już i te prawa. Zresztą nawet Wundt i König nie uznają tej grupy dowodów.

3-ci dowód. Bez tej zasady zamkniętej przyczynowości naturalnej ścisła nauka przyrodnicza staje się zupełnie niemożliwą. Zatem właśnie ta okoliczność, że współczesne nauki przyrodnicze tak dobrze są uzasadnione i tak doskonale się rozwijają, jest dowodem prawdziwości tej zasady. I z tą myślą spotkaliśmy się już wyżej. Jej ostatnią podstawą jest postulat, by w naukach przyrodniczych wszędzie suponować tylko przyczyny fizyczne, przypuszczać zaś przyczyny niefizyczne znaczyłoby zrzec się możliwości naukowego tłumaczenia natury.

Lecz jakkolwiek taki postulat w ramach nauk przyrodniczych jest zupełnie słuszny, trzeba jednak zwrócić uwagę na to, że nauki przyrodnicze nie są jedynym sposobem poznawania świata rzeczywistego. Kto wszędzie i bez wyjątku z takimi zasadami przystępuje do badania rzeczywistości, ten z góry przypuszcza, że prócz materyi i zjawisk fizyczno-chemicznych nic nie istnieje; ten popada więc konsekwentnie chcąc nie chcąc w skrajny materyalizm. A przecież właśnie paralleliści mniemają, że swoją teoryą mogą najskuteczniej zwalczyć przestarzały materyalizm!

Wentscher[1] zwraca całkiem słusznie uwagę na to, że nie tyle sama zasada mechanicznej przyczynowości, ile raczej ścisła prawidłowość, znajdująca w tej zasadzie swój wyraz, jest przyczyną olbrzymiego rozwoju nauk przyrodniczych w ostatnich czasach. Zresztą nauki przyrodnicze nie opierają się wyłącznie na tej zasadzie apryoryczno-matematycznej, ale prócz tego i przedewszystkiem na zasadzie empiryzmu z jego postulatem krytycznego, ściśle doświadczalnego badania rzeczywistości.

4-ty dowód. Jest to nonsensem przypisywać psychicznym zjawiskom zdolność do sprawiania skutków fizycznych. Jeżeli istota czysto duchowa, powiada Paulsen[2], jeżeli *res mere cogi-*

---

[1] *Zeitschr. f. Phil.* t. 124, str. 154 nast.

[2] *Zeitschr. f. Phil.* t. 115, str. 2, 3.

tans, może poruszać ciałami, to chociażby te ciała i te poruszenia były nie wiem jak drobne, tem samem stawia się fizykowi cz nnik, który wkracza w przebieg zjawisk fizycznych w sposób nie dający się skontrolować. Jeżeli substancya duchowa może bez nakładu »energii«, której przecież nie posiada, poruszać małym palcem lub najmniejszą partykułką układu nerwowego, wtedy niema żadnego powodu, dlaczegoby nie mogła poruszać także stołami i patelniami.

Więc teorya wzajemnego oddziaływania prowadziłaby, zdaniem Paulsena, do najgorszego spirytyzmu! Lecz każdy filozof i przyrodnik, jakiegokolwiek będzie kierunku, wie przecież dobrze, że jeżeli dusza może rzeczywiście wpłynąć na ciało, wpływ ten jest bardzo prawidłowo oznaczony. Każdy wie, że nie możemy samym aktem woli poruszać stołami i patelniami, że wielkość wysiłku psychicznego w wysokim stopniu zależy od ilości energii w organiźmie. Zresztą czy dusza nasza jest rzeczywiście jakaś *res mere cogitans,* jak to Paulsen za Kartezyuszem przypuszcza? Czy dusza jest jakąś substancyą, która z ciałem tyle ma do czynienia, ile np. duch jakiś z tym stołem, na którym piszę? Już przed wszelkiem naukowem doświadczeniem wiemy, że stosunek duszy do ciała jest najzupełniej inny, aniżeli do jakiejkolwiek innej rzeczy materyalnej, a psychologia doświadczalna przekonywa się coraz bardziej o najściślejszej i w wysokim stopniu prawidłowej łączności i zależności zjawisk psychicznych od fizyologicznych warunków ciała. Na cóż więc posługiwać się próżnemi fikcyami? Nie jest to rzeczą nauki wkładać w usta przeciwnika zdania i poglądy, których on zgoła nie przyjmuje i odnosić nad nim łatwe, lecz nie bardzo chlubne zwycięstwo.

Rozbiór dowodów teoryi parallelistycznej pokazał więc, że ten pogląd jest nieuzasadniony. Wprawdzie z tego nie wynika jeszcze prawdziwość teoryi wzajemnego oddziaływania przyczynowego, lecz o to nam w niniejszej pracy nie chodzi. Chcemy się tylko jeszcze zastanowić nad ogólnem znaczeniem filozoficznem parallelizmu. O tem w części trzeciej.

III. Znaczenie filozoficzne teoryi parallelistycznej.

Jakie stanowisko parallelizm psychofizyczny zajmuje pośród dzisiejszych prądów filozoficznych, poznaliśmy już poniekąd w pierwszej części, gdzieśmy się przypatrywali historycznemu rozwojowi naszego problemu. Systematyczna klasyfikacya rozmaitych prądów parallelistycznych pokaże nam jeszcze lepiej właściwą ich naturę filozoficzną.

Widzieliśmy, że parallelizm przybrał początkowo formę dualistyczną, niewyraźnie jeszcze u Kartezyusza, wyraźnie zaś u okazyonalistów. Lecz ten kierunek nie utrzymał się długo. Leibniz zajmuje w naszej kwestyi niejako miejsce pośrednie między dualizmem a monizmem, lecz już przed nim rozstrzygnął Spinoza kwestyę w sposób skrajnie monistyczny. Według niego absolut jest jedyną substancyą, stojącą ponad atrybutami rozciągłości i idei. Panteizm Spinozy znalazł bardzo licznych zwolenników tak między materyalistami, którzy właściwą istotę absolutu pojmowali jako byt materyalny, jak i pomiędzy spirytualistami upatrującymi w bycie duchowym naturę absolutu. Lecz pojęcie substancyi nie wytrzymało krytyki sensualistów, empirystów i idealistów; monizm substancyalistyczny nie dał się także pogodzić z najoczywistszem doświadczeniem. Zarzucono więc pojęcie niezmiennej, stałej substancyi i zaczęto uważać istotę rzeczy za czystą czynność, aktualność. Widzieliśmy, że Hume pierwszy jasno sformułował zasadę współczesnej teoryi aktualistycznej. Na tej podstawie, której następny ruch idealistyczny dał silny fundament, monizm dał się o wiele łatwiej pojąć i przeprowadzić. To też widzieliśmy, że niemal wszyscy współcześni zwolennicy parallelizmu są monistami ze szkoły idealistycznej, a rzut oka na filozofię współczesną pokazałby, że monizm ma bardzo licznych zwolenników tak pomiędzy filozofami jak i między przyrodnikami.

Możnaby więc główne formy parallelizmu schematycznie tak przedstawić:

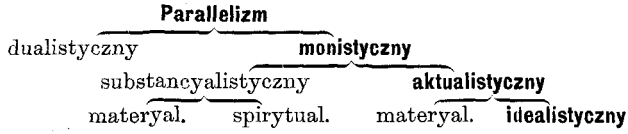

Trzy główne cechy charakteryzują więc współczesny parallelizm filozoficzny; opiera się on na teoryopoznawczym idealizmie, odrzuca pojęcie substancyi a przyjmuje teoryę aktualności *(Aktualitätstheorie)* i jest na wskróś monistyczny.

Te trzy główne cechy wyznaczają zarazem parallelizmowi miejsce wśród dzisiejszych prądów filozoficznych. Pierwsze zaś dwie cechy, jak i wszystkie inne podrzędne, dadzą się ostatecznie sprowadzić do trzeciej, do monizmu. W dzisiejszym monizmie tkwi, naszem zdaniem, najgłębszy i najsilniejszy korzeń parallelizmu filozoficznego. Wyjaśnijmy nasze twierdzenie.

Nie tu miejsce wykazywać, jakie są źródła monizmu nowożytnego i co za przyczyny jego olbrzymiego rozwoju w świecie dzisiejszych uczonych. Sięgają one po części już do wczesnej starożytności; dążność umysłu ludzkiego do jednolitego poglądu na świat, sprowadzenie najróżnorodniejszych zjawisk do jednej ostatniej zasady była i jest może najsilniejszą pobudką filozoficzną do tego poglądu. Nadzwyczajny rozwój nauk przyrodniczych w ostatnich wiekach przyczynił się do tego, że stwórcę pozaświatowego odsuwano coraz dalej poza obraz ludzkich pojęć i zasad i że coraz więcej przyzwyczajano się do tego, by samą naturę, cały wszechświat sam w sobie, uważać za jedną całość, za ostateczną racyę wszystkiego. Pogląd ten znalazł dobitny wyraz i zarazem silną podporę naukową w powszechnem prawie zachowania materyi (Lavoisier 1789) i w prawie zachowania energii (Robert Mayer 1842). Dowód, na którym się moniści zawsze najwięcej opierali, był ten, że istoty różnorodne na siebie sprawczo oddziaływać nie mogą. Inni posunęli się jeszcze dalej i, zwracając uwagę na trudności zawarte w zasadzie przyczynowości, twierdzili,

że wogóle jedna rzecz na drugą oddziaływać nie może, że więc wspólność praw panujących w przyrodzie, harmonię i jednolitość we wszechświecie tylko wtedy zrozumieć można, jeżeli się cały świat uważa za jedną absolutną, nieskończoną istotę, sprawiającą wszystkie zjawiska i wydarzenia. Przeoczyli atoli, że wtedy problemy, które chcieli rozwiązać, tylko na dalszy odsunęli plan, gdzie się chyba tylko trudności powiększają i pomnażają. Czarujące słowo monizmu, nieskończonego absolutu dało im dostateczną racyę na wytłumaczenie wszystkich, i najtrudniejszych zagadnień. Na innem miejscu dajemy obszerniejszy i gruntowniejszy pogląd na filozoficzne kierunki i podstawy współczesnego monizmu [1].

Lecz już w tej pobieżnej charakterystyce łatwo dostrzedz można ścisły związek między filozofią monistyczną a metafizycznym parallelizmem. Wszystkie bowiem dowody, z jakimiśmy się spotkali w części drugiej, opierają się ostatecznie na rozumowaniach monistycznych. W monizmie tkwi źródło argumentu parallelistów, że różnorodne istoty na siebie oddziaływać nie mogą, że więc świat psychiczny i świat fizyczny są dwiema dziedzinami zupełnie od siebie niezależnemi. A naturalizm, który się w dalszym ciągu z monizmem niemal w nierozłączną zlał całość, nadał tym rozważaniom jeszcze większe znaczenie. Według niego natura jest całością wszechświata; pojęcia wzięte z nauk przyrodniczych opanowują wyłącznie cały świat, nie dopuszczając zazdrości żadnego obok siebie współzawodnika. Bo jeżeli absolut w przyrodzie objawia się w formie takich ścisłych, matematycznych praw, jeżeli odwrotnie ten świat nam przystępny jest immanentną częścią absolutu, w którym ostatecznie tylko jedno prawo panować i wszystkie inne podrzędne w sobie obejmować musi: wtedy prawa przyrody muszą również być powszechnemi, bezwzględnemi nie dopuszczającemi żadnego wyjątku, żadnego wyłomu. Stądto mówi się tak kategorycznie o bezwzględnem panowaniu zamkniętej przyczynowości naturalnej, stądto pochodzi pojmowanie przyczyny li tylko w znaczeniu fizyczno-mechanicz-

[1] *Jahrbuch für Philosophie u. spekulative Theologie*, zeszyt lipcowy i następne 1906 r.

nem, stąd przypisuje się prawu zachowania energii powszechną, absolutną wartość, stąd pochodzą wreszcie owe zarzuty, że działalność sprawcza szeregu psychicznego na świat fizyczny równałaby się cudowi, byłaby wypadkiem spirytystycznym, nadprzyrodzonym i t. d.

Jednym z głównych i podstawowych dogmatów monizmu jest tożsamość myślenia i bytu, możliwości logicznej i rzeczywistości realnej. Z tego punktu wychodzą panteiści starożytni, jak np. szkoła eleacka, na tym samym fundamencie opierają się panteiści idealistyczni szkoły niemieckiej, jak Fichte, Schelling i Hegel. I w rzeczy samej, jeżeli wszystko jest ostatecznie tylko jednym bytem absolutnym, jeżeli w tym absolucie ostatecznie wszystko się sprowadza do jednej zasady, do jednego prawa, wtedy myślenie i byt muszą iść zupełnie ze sobą równolegle, wtedy zakres myśli nie może być większy od zakresu rzeczy, wtedy proces dyalektyczny jest wiernem odtworzeniem, jakby tylko drugą stroną procesu rzeczywistości. Zastosujmy tę myśl ogólną do naszego problemu, a zobaczymy, że parallelizm jest tylko innym wyrazem tej samej zasady. Każde zjawisko psychiczne ma swój wierny wyraz w pewnej zmianie fizyologicznej, a oba zjawiska są pozornie tylko dwoma zjawiskami, w rzeczy samej jednem i tem samem. Dlatego też oburzają się niektórzy moniści na samą nazwę parallelizmu, gdyż, jak powiada np. Forel, ta nazwa niesłusznie podsuwa myśl dualistyczną, jakoby mianowicie zjawiska psychiczne a fizyologiczne były dwiema równolegle idącemi rzeczami, podczas gdy je należy uważać za podwójny sposób objawiania się nam jednej i tej samej istoty. Jak bowiem, mając np. jabłko przed sobą, nie możemy rozłączyć wrażeń wzrokowych od wrażeń dotykowych tego jabłka, wskutek czego wnioskujemy, że jabłko widziane i jabłko dotknięte jest jedną i tą samą rzeczą, tak i zjawiska psychiczne są nierozłącznie powiązane ze zjawiskami fizycznemi, a zatem w istocie tylko jedną i tą samą rzeczą [1].

---

[1] *Naturwissenschaft oder Köhlerglaube?* w *Biolog. Centralblatt.* 1905, t. 25, str. 488.

Najdzielniejszego atoli sprzymierzeńca znalazła filozofia monistyczna w teoryopoznawczym idealiźmie. Znana jest »krytyka czystego rozumu« Kanta. Według niej wszystko, co i jak poznajemy, należy do świata fenomenalnego, t. j. do świata pozornego tylko. Poznajemy rzeczy w przestrzeni i czasie, lecz przestrzeń i czas są tylko formami subjektywnemi zmysłów naszych: poznajemy w rzeczach jedność i mnogość, substancye i przypadłości, przyczyny i skutki, poznajemy byt i niebyt, możliwość i rzeczywistość i t. d., lecz to wszystko nie jest nam przedmiotowo dane, ale wynikiem naszych form subjektywnych, kategoryi naszemu umysłowi niejako wrodzonych, według których wszystko pojmować musimy. Właściwy byt leży poza temi formami; tam, poza światem fenomenalnym, jest świat nomnenalny, rzeczywisty, bezwzględny, świat prawdziwy, taki, jaki jest w sobie. My jednak nie możemy poznać tego bytu prawdziwego; musimy wprawdzie przyjąć jego istnienie, ale istota jego jest i pozostanie dla nas na zawsze *ignotum x.*

Filozofia monistyczna chwyciła się oburącz tej dystynkcyi. Bezpośrednie, codzienne doświadczenie poucza nas w sposób dotykalny, że każdy człowiek, każda rzecz jest czemś całem, zamkniętem w sobie, odrębnem od innych rzeczy, że wprawdzie stoi w najrozmaitszej zależności od otoczenia, lecz jest bytem indywidualnym, a nie cząsteczką tylko jakiegoś bytu jednego, absolutnego. Na tę trudność zasadniczą monizm miał tylko jedną odpowiedź, że to wszystko pozór. Ale nie mógł dostatecznie uzasadnić tej odpowiedzi. Wprawdzie zawarł sojusz z teoryopoznawczym sceptycyzmem, wskazał na ograniczoność, na niepewność, na względność naszego poznania, lecz te wszystkie racye były zbyt słabe. Dopiero w krytycyźmie Kanta znalazł monizm systematyczny, szczegółowo uzasadniony całokształt teoryi poznania, dostarczającej mu pewnej odpowiedzi na owe od wieków wytykane mu trudności. Odtąd może powiedzieć, że świat, jaki poznajemy, jest tylko pozorny, że tylko umysł zbudowany tak, jak jest ludzki, w ten sposób rzeczy pojmuje, a że dopiero poza tymi pozorami znajduje się byt prawdziwy. Wprawdzie zapomina monizm idealistyczyny o tem, że konsekwentnie nie mógłby wła-

ściwie nic orzec o owym bycie, nawet czy istnieje, gdyż niema żadnego mostu prowadzącego ze świata fenomenalnego w świat nomnenalny. Zapomina również o tem, że w świecie nomnenalnym nie można już mówić o jedności, o bycie absolutnym, o nieskończonej doskonałości, o czynniku nieświadomym, o pamięci absolutu, o woli lub fantazyi; monizm opiera się tylko na krytycyźmie idealistycznym, by się dostać do tego świata; dostawszy się tam porzuca niepotrzebnego już przewodnika, a opiera się jedynie na postulacie jednolitego tłumaczenia wszechświata, powołuje się na najrozmaitsze prawa, jakie w tym świecie fenomenalnym poznał, chlubiąc się naukowością i ścisłością swych wywodów metafizycznych.

I tu także widzimy, że parallelizm jest tylko inną nazwą jednej i tej samej rzeczy. I parallelizm opiera się na dystynkcyi świata fenomenalnego i nomnenalnego. Przyznaje zgodnie z doświadczeniem, że zjawiska psychiczne nie dają się sprowadzić do zjawisk fizycznych, że materyalizm i spirytualizm są poglądami równie niemożliwymi. Ale poza tem orzeka kategorycznie o tożsamości szeregu psychicznego i fizycznego i zapuszcza się w metafizyczne spekulacye o istocie tego bytu, łudząc się, że tym sposoben rozwiązuje całą zagadkę.

Nie możemy tu roztrząsać słuszności i znaczenia teoryopoznawczego idealizmu. Ale chociażby nawet krytycyzm Kanta był najzupełniej prawdziwym, to jednak monizm i wraz z nim parallelizm zostanie najdowolniejszą teoryą. Bo jak już wspomnieliśmy, w takim razie niemasz przejścia ze świata fenomenalnego do nomnenalnego; wszystkie mosty są zerwane, a spekulacye monistów są dowolną fantazyą.

Wspomniane trudności bardzo dobrze odczuł i określił między innymi wymieniony już wyżej Harald Höffding. Podług niego parallelizm i proporcyonalność pomiędzy czynnością świadomości a mózgu wskazują na tożsamość obu form zjawiskowych. Nasz parallelizm, powiada, jest tylko empiryczną formułką, określającą tymczasowo stosunek duszy i ciała. O wewnętrznym, właściwym stosunku nic nie orzeka; przypuszcza tylko, że jedna i ta sama istota w obu działa. »Lecz co to za istota? Dlaczego obja-

wia się nam w podwójny sposób, dlaczego nie wystarcza jeden? To są pytania leżące poza obrębem naszego poznania. Duch i materya objawiają się nam jako dwójka, nie dająca się sprowadzić do jedności, podobnie jak podmiot i przedmiot. Więc pytanie tylko dalej odsuwamy. I to jest nie tylko słusznem, ale i koniecznem, jeżeli się okaże, że to pytanie o wiele głębiej sięga, aniżeli się zazwyczaj sądzi«.[1]

Mimo to nie może się Höffding oprzeć pokusie rozprawiania o owym bycie. Może tylko nam ludziom, powiada, ta jedna istota w dwóch odrębnych formach się pokazuje! Może owa istota ma o wiele więcej jeszcze form, aniżeli te dwie, które my poznajemy! Może ów byt jest istotą czysto duchową, przedstawiającą się w szacie materyi tylko naszemu poznaniu zmysłowemu!

Otóż tu mamy jasny dowód, że ten tak zwany monizm psychofizyczny nie daje żadnej odpowiedzi filozoficznej na nasz problem. A możemy dalsze zadawać pytania, których Höffding nie postawił. Jeżeli cały świat jest tylko jedną istotą, obejmującą w sobie stronę fizyczną i psychiczną, to i człowiek należy do tego bytu absolutnego i on jest w istocie czemś stojącem ponad zjawiskami fizycznemi i psychicznemi. Dlaczego więc człowiek poznaje sam siebie w tej podwójnej formie? Więc byt absolutny, będący w człowieku, niejako sam siebie oszukuje? Dlaczego wogóle ta dwoistość zjawisk? Jak długo moniści na to pytanie odpowiedzi dać nie mogą i to odpowiedzi wykazującej, dlaczego i jak ta dwoistość koniecznie z natury absolutu wynika, tak długo nie można ich uważać za monistów, tak długo ich system będzie dualistyczny, gorszy od wszelkiego przez nich osławionego dualizmu. Albowiem właśnie na tym punkcie, od którego wszystko zależy, zadowalniają się kategorycznem twierdzeniem, czczem słowem!

Widzieliśmy, jak wszyscy niemal paralleliści skłonni są do rozszerzenia swojego poglądu na cały świat. Nie tylko w człowieku albo w zwierzęciu mamy według nich stronę psychiczną i fizyczną, ale i rośliny i cały świat anorganiczny odznacza się tą samą własnością. Jak cały wszechświat ma niejako duszę i ciało,

[1] *Psychologie*, str. 83, 84.

tak i każdy atom posiada stronę fizyczną i psychiczną, jako objawy jednej i tej samej istoty. Spotkaliśmy się już z tym poglądem u Spinozy, widzieliśmy go później u Fechnera, u Wundta, u Paulsena, a prócz nich liczy panpsychizm jeszcze wielu innych zwolenników.

Otóż zdaje nam się jasną rzeczą, że i ta cecha charakterystyczna parallelizmu filozoficznego, wynika koniecznie z jego fundamentu monistycznego. Jeżeli bowiem szereg fizyczny i psychiczny są tylko dwiema stronami, dwoma istotnymi attrybutami absolutu, w takim razie te attrybuty muszą się wszędzie znajdować, gdzie jest absolut. Zatem nie tylko człowiek, ale i każda roślina, każdy kamień, każdy element chemiczny, każdy atom, będąc cząsteczką absolutu, musi posiadać jedną i drugą właściwość.

Wprawdzie panpsychiści nie przyznają się, że doktryna ich koniecznie z monizmu wypływa; chcąc się zalecić ścisłością swoich konkluzyi i ich zgodnością z metodą nauk przyrodniczych, rozwijają przed nami obraz przyrody, a począwszy od człowieka prowadzą nas kolejno przez wszystkie królestwa i rzekomo na podstawie analogii chcą w nas wmówić, że ich twierdzenie jest prawdziwem. Lecz któż nie widzi, że w tym razie posługują się analogią, przechodzącą już wszelki zakres ścisłej logiki? Analogia pozwala nam tylko u innych ludzi i u zwierząt wnioskować o istnieniu zjawisk psychicznych, a już u niższych zwierząt analogia jest tak słabą, że sobie wcale wyobrazić nie możemy, jakie jest życie psychiczne, dajmy na to, u mięczaków, lub w istotach jednokomórkowych. A jeżeli się mimo to z pobudek innych, jak widzieliśmy, analogię rozszerza na cały świat, wtedy należy pojęcie zjawiska psychicznego tak zmodyfikować, że właściwie nic mu nie pozostanie wspólnego z tem, co my zjawiskiem psychicznem nazywamy. Taki pogląd antropomorficzny dozwolony jest tylko w poezyi. Jak jednak poezya jest najbardziej subjektywnym, tak filozofia ma być najbardziej objektywnym poglądem na świat. Poezya i filozofia stoją tu na wręcz przeciwległych biegunach.

W idealistycznym moniźmie tkwi wreszcie najgłębsza racya, dlaczego paralleliści niemal wszyscy odrzucają pojęcie substancyi, a oświadczają się za teoryą aktualistyczną.

Wspomnieliśmy już w pierwszej części, jak w historyi nowożytnego idealizmu pojęcie substancyi coraz bardziej ulega rozkładowi, by ustąpić miejsca czystej czynności, aktualizmowi. W świecie fenomenalnym spotykamy się wyłącznie z czynnością, nigdy z substancyą, która zresztą jest tylko subjektywnym sposobem ujmowania rozlicznych, zawsze razem się znajdujących czynności w jedną całość. Więc czysta czynność jest pierwotnym czynnikiem, substancya tylko czynnikiem drugorzędnym, zależnym od pierwszego. Połączony z naturalizmem i ewolucyonizmem monizm dochodzi do tego samego rezultatu. Istotą absolutu jest prawo, t. j. objawianie się w rozmaitych zjawiskach i czynnościach według pewnych zasad i reguł. Substancya jako byt jeden, cały w sobie, jako pierwiastek wypływających z niego czynności, staje się w moniźmie niemożliwą, a jeżeli się jeszcze używa tego wyrazu, wtedy oznacza on li tylko zbiór wszystkich pojedynczych czynności, całość odbywającej się od wieczności ewolucyi. A zatem i tu czynność jest pojęciem zasadniczem, substancya pojęciem pochodnem.

Nie chcemy się zapuszczać w krytykę teoryi aktualistycznej; przypominamy tylko, że przecież każda czynność suponuje kogoś czy coś, kto lub co działa. Nie chcemy również wykazywać, że teorya aktualistyczna w psychologii na szczególne napotyka trudności, że aktualizm jest najzupełniej niezdolny do wytłumaczenia jedności i świadomości naszej jaźni, do wyjaśnienia nam faktu przypominania, faktu rozwoju i wzrostu życia psychicznego.

Rezultat ostatni naszego rozważania jest więc ten, że wszystkie dowody empiryczne na korzyść parallelizmu są tylko pozorne, że fundament tej teoryi tkwi zupełnie gdzieindziej, w naturalistyczno-idealistycznym moniźmie. Lecz i ten fundament jest najzupełniej dowolny; a jako taki, nie może też służyć za dowód parallelizmu.

Stąd też nic dziwnego, że k o n s e k w e n c y e teoryi parallelistycznej muszą być niedorzeczne, niezgodne nie tylko ze stanem naszych nauk, ale i z życiem konkretnem. Na te konsekwencye

wskazał już w sposób bardzo dobitny Sigwart, wskazał także Busse w swem obszernem dziele o paralleliźmie.

My właściwie nie potrzebujemy już wyprowadzać konsekwencyi z teoryi parallelistycznej; dla zaokrąglenia jednak i uzupełnienia obrazu wspomnijmy przynajmniej o niektórych.

Widzieliśmy już, że parallelizm chcąc być na wskróś monistycznym, w rzeczy samej jednak jest dualistyczny; owszem jest najskrajniejszym, bezwzględnym dualizmem, bo tworzy ogromną przepaść nie tylko w człowieku między ciałem a duszą, ale wogóle między światem psychicznym a fizycznym. Jeden z tych światów niema nic zgoła z drugim do czynienia. Niemasz żadnego przejścia, żadnego połączenia między nimi.

Stąd wypływają znowu wnioski ogromnej wagi.

Tylko w nas samych poznajemy bezpośrednio zjawiska psychiczne; poza naszą jaźnią poznajemy bezpośrednio li tylko zjawiska materyalne, fizyczne. A ponieważ w całym świecie fizycznym bez wyjątku panuje zasada zamkniętej przyczynowości naturalnej, ponieważ świat psychiczny nie może oddziaływać na świat fizyczny i odwrotnie, więc z nauki należy wyrugować wszystkie czynniki psychiczne.

A zatem biologia zamieni się w mechanikę; mechaniczna teorya życia będzie jedynie możliwą i prawdziwą biologią.

Psychologia naukowa staje się również zgoła niemożliwą. Chcąc być nauką, psychologia musi się oprzeć na ścisłem doświadczeniu; doświadczenie zaś jest wprost niedorzeczne i bezcelowe, jeżeli nie możemy z objawów zewnętrznych wnioskować o zjawiskach psychicznych badanej osoby. Zostałaby tylko jeszcze psychologia introspektywna. Ale i ta jest niemożliwą. Bo jakże mam opisać, podać do wiadomości innych moje życie psychiczne? Słowa, których w tym celu użyć muszę, czy to w mowie czy w piśmie, to tylko zbiór ruchów fizyologicznych, wynikających jednoznacznie i koniecznie z poprzednich warunków fizyologicznych. A pocóż miałbym zresztą moje wydarzenia psychiczne opisywać? Fale głosowe lub drgania świetlne natrafiają tylko na stronę fizyczną drugiego człowieka, a stąd niema przejścia do jego duszy. Więc należy odrzucić psychologię porównawczą, odrzucić psycho-

logię dziecka, psychologię religii, psychologię języka, psychologię sztuki i kultury, psychologię zwierzęcia. To wszystko nie nauka, lecz czcza fantazya nie mająca żadnej podstawy naukowej.

Że tak jest, pokazuje nam w sposób dobitny psychologia empiryokrytyczna.

Według empiryokrytyków psychologia jest nauką niemożliwą i to nie tylko psychologia porównawcza, ale introspektywna nawet. Niemożliwą i niedorzeczną jest psychologia porównawcza, gdyż opiera się na introjekcyi zupełnie nieuzasadnionej. Zjawisk psychicznych świadomych drugiego człowieka nie możemy badać żadnym sposobem, gdyż obserwujemy jedynie jego ruchy zewnętrzne. A że z jednej strony wpływu przyczynowego psychiki na organizm niema, z drugiej zaś strony ciało ludzkie z otaczającym światem jest związane na podstawie prawa zamkniętego szeregu przyczyn naturalnych czyli materyalnych, więc jedyna metoda, jaka zostaje dla psychologii, jest badanie zależności przyczynowej człowieka od otoczenia. Celem więc psychologii nie będzie poznanie świadomości, lecz poznanie człowieka, fizyologicznego oczywiście, w jego stosunku do otoczenia i do nas samych.

Że także i w ten sposób można człowieka badać, temu nie zaprzeczamy; ale żeby taka psychologia bez psychiki, bez świadomości miała być jedynie możliwą psychologią, żeby psychologia porównawcza opierała się na podstawach zupełnie fałszywych: tego twierdzenia empiryokrytycyzm nie udowodnił.

Wprawdzie odwołuje się tu na swoje wykrycie introjekcyi. Czy atoli rzeczywiście taka introjekcya ma miejsce, a jeżeli tak, czy posiada lub nie przedmiotową wartość?

Że pewną introjekcyę faktycznie wykonujemy, tego zdaje się nie można zaprzeczyć. Ponieważ aktów psychicznych, jako świadomych tylko u samych siebie bezpośrednio doświadczamy, więc jasną jest rzeczą, że przyjmując u innych ludzi takowe, wkładamy w nich takie same lub przynajmniej bardzo podobne akty psychiczne, jakicheśmy sami w sobie doświadczyli. W tem więc znaczeniu introjekcya na pewno istnieje.

Lecz tu chodzi o to, czy taka introjekcya fałszuje przedmiotową rzeczywistość. Albo raczej naprzód zadamy sobie pyta-

nie, skąd wogóle dochodzimy do owej introjekcyi, jakąkolwiek ona będzie, wykonywując ją tak samorzutnie, mimowolnie, bez świadomości nawet? Oczywiście tylko na uderzającem podobieństwie zmian fizyologicznych u innych ludzi do takichże objawów w nas samych i na wewnętrznym związku między zjawiskami fizyologicznemi i psychicznemi u nas samych, jak i u innych ludzi. Bez tego założenia owa introjekcya, zdaje się być zupełnie niemożliwą. Wprawdzie przyznać należy, że bezpośredniego dowodu na istnienie aktów psychicznych u innych ludzi dać nie możemy, że nie jesteśmy w stanie zupełnie dokładnie poznać i oznaczyć tych aktów wewnętrznych; ale z tego jeszcze nie wynika fałszywość i bezpodstawność introjekcyi.

Usuńmy na chwilę wszelką introjekcyę w myśl empiryokrytyków, co nam zostanie? Wtedy zniknie nie tylko psychologia porównawcza, ale wogóle wszelka psychologia, nawet introspektywna. Bo, jeżeli zechcemy uwierzyć Avenariusowi, nawet ta okoliczność, że ja sam w sobie rozróżniam stronę zewnętrzną i wewnętrzną, szereg zjawisk fizycznych i psychicznych, jest wynikiem owej nieszczęsnej introjekcyi. A zatem i u siebie samego o zjawiskach świadomych psychicznych albo o ich łączności ze zjawiskami fizyologicznemi właściwie mówić nie mogę. Lecz skąd wtedy wogóle poznanie, skąd akty psychiczne, skąd sama możliwość owej introjekcyi? Czyste doświadczenie będzie wtedy czemś leżącem zupełnie poza wszelkiem możliwem doświadczeniem, czemś nie dającem się sprawdzić lub skontrolować żadnem doświadczeniem, będzie więc najzupełniej metafizycznem, dowolnem przypuszczeniem.

Jak dalece zaś empiryokrytycyzm idzie w kierunku monistycznym, wynika choćby stąd, że rozszczepienie świata dualistyczne, rozróżnienie między materyą a duszą uważa tylko za owoc introjekcyi; a że ten monizm jest w istocie rzeczy materyalistycznym, o tem upewnia nas twierdzenie empiryokrytyków, że o bezwzględnem panowaniu prawa zamkniętego szeregu przyczynowości materyalnej, jakoteż zaprzeczenie odrębnej przyczynowości psychicznej czy też psychofizycznej.

Lecz po tej dygresyi wróćmy do naszych konsekwencyi.

Wszelka historya, jako nauka w razie przyjęcia parallelizmu, staje się niemożliwą. Historya nie zadawalnia się opisem chronologicznym wypadków zewnętrznych, lecz szuka ich przyczyny czy to w usposobieniu jednostek lub narodu, w charakterze lub namiętnościach danej osobistości, w ideach panujących w pewnym kraju i pewnym czasie i t. d. Lecz właśnie ten główny cel historyi opierałby się na fałszywym fundamencie. Wszystkie wojny i zdobycze, wszelki przemysł, wszelka kultura, nawet literatura byłyby jednym nieprzerwanym szeregiem przyczyn i skutków czysto mechanicznych.

Wszędzie panuje bezwzględna, twarda konieczność mechaniczna. Porywy szlachetnego serca, heroiczne czyny bohaterskiej, silnej woli, głębokie namiętności doprowadzające nieraz do okropnych przewrotów, wolność woli, moralność i odpowiedzialność czynów ludzkich: to wszystko tylko czcze słowa, to pozory bez rzeczywistości, którymi naiwna ludzkość sama siebie oszukuje.

A co się stanie z życiem psychicznem?

Ponieważ między światem psychicznym a fizycznym panuje bezwzględny parallelizm, w świecie zaś fizycznym wszystko bezwzględnie podlega prawu zachowania energii, prawu zamkniętej przyczynowości naturalnej, jednem słowem, prawom mechanicznym i fizyczno-chemicznym, więc i cały świat psychiczny pośrednio podlega tym prawom. Więc i zjawiska psychiczne tak po sobie następować muszą, jak tego się prawa mechaniczne domagają. Co się wtedy stanie z prawidłami logiki i estetyki, z zasadami etyki i prawa? Czy one mogą być prawdziwe? Jeżeli tak, to natrafiamy tu na zagadkę większą jeszcze od wszystkich poprzednich, na zagadkę, że zjawiska psychiczne są zupełnie zależne od praw mechanicznych a że mimo to tworzą odrębny świat zasad i reguł. A w tym wypadku monizm psychofizyczny znowu nam zostawia olbrzymią lukę w swoim światopoglądzie. Albo tak nie jest, a wtedy prawidła logiczne i psychologiczne stają się czczym pozorem.

Tak więc mamy istotnie tylko jeden świat, materyalny, i tylko jedno prawo, prawo materyi. Między parallelizmem

a najskrajniejszym materyalizmem niema żadnej różnicy. Parallelizm jest tylko niedołężnie maskującym się materyalizmem.

Lecz dość tych fatalnych konsekwencyi.

Wobec tego wszystkiego nasuwa się poważne pytanie: jakże więc dojść do rozwiązania postawionego na czele naszej pracy problemu?

Na konieczność drogi empirycznej wskazał ks. Kobyłecki we wspomnianej powyżej pracy. »Czy między danemi zjawiskami, powiada, zachodzi związek przyczynowy, to jest rzecz doświadczenia i tylko doświadczenia. Filozofujmy jak chcemy, rozumujmy jak tylko się podoba, ale do poznania tego, co i jak jest w przyrodzie, nie dojdziemy inną drogą. A jednak tu chodzi o zjawiska rzeczywiste, odbywające się w świecie, w przyrodzie«.

Żeby atoli doświadczalnie badać, czy między zjawiskami fizyologicznemi a psychicznemi zachodzi stosunek przyczynowy, musimy przedtem wiedzieć, po jakich znamionach zewnętrznych taką zależność poznać można. Nie zdołamy bowiem wniknąć w samą działalność przyczyny; stały związek między pewnem wydarzeniem a zjawiskiem poprzedniem przy możliwie zupełnej zmianie wszystkich mogących wpłynąć okoliczności i warunków pozwala nam jedynie wnioskować, co jest szukaną przyczyną danego zjawiska. Że każde zjawisko musi mieć swoją przyczynę, o tem mamy pewne przekonanie samorzutne, przekonanie przybierające ściślejszy wyraz w zasadzie przyczynowości, a że stosowaniu tej zasady w naszym wypadku nie stoi na przeszkodzie ani różnorodność natury fizycznej i psychicznej, ani też prawo zachowania energii lub prawo zamkniętej przyczynowości naturalnej, o tem przekonaliśmy się w części drugiej. Jak zaś badania fizyczne nadały ogólnej zasadzie przyczynowości pewne ciaśniejsze znaczenie odnośnie do zjawisk fizycznych, tak samo i badania psychologiczne mogą dojść do odrębnego prawa przyczynowego, prawa jakiegoś psychofizycznego, mającego na tem właśnie polu swoje wyłączne zastosowanie. Ci więc, którzy z góry do zjawisk

psychofizycznych stosują prawo zachowania energii lub prawo zamkniętej przyczynowości naturalnej, zapominają zupełnie o genezie i znaczeniu tych praw, i zamiast objektywnem badaniem danej rzeczywistości popchnąć naszą wiedzę na dalsze tory, tamują zdrowy rozwój i wzrost nauki.

Znajdujemy się obecnie ze względu na naszą kwestyę w podobnem położeniu, w jakiem się znajdowała fizyka w XVIII w., kiedy przestała być częścią filozofii a zaczęła się rozwijać jako nauka ściśle doświadczalna. W dawnej fizyce filozoficznej znajdujemy niejedno twierdzenie, które rzekomo z pewnością absolutną udowodniono, a które przecież okazało się później sprzecznem z doświadczeniem. Doświadczenie dopiero pokazało, że niejedno z t. zw. praw metafizycznych opierało się na niezupełnej albo powierzchownej i wskutek tego fałszywej indukcyi.

Mamy więc silne przekonanie, że i na polu psychologii wyswobodzimy się powoli z pod wpływów apryorycznych założeń, i że ściśle przedmiotowe badanie zjawisk psychofizycznych potężnie się przyczyni do rozszerzenia naszego widnokręgu naukowego i filozoficznego. Parallelizm metafizyczny przejdzie wtenczas do szeregu historycznych zabytków, gdzie już niejedna, w swoim czasie głośna teorya znalazła należne sobie miejsce.

Fryderyk Klimke.

BOSSUET I FENELON.

(Dokończenie).

»Mały Delfin« niewielkie rokował nadzieje; od dziecięctwa zdradzał prawie zwierzęce skłonności, w gniewie pasyonat, zarozumiały, wszyscy ludzie wydawali mu się atomami, na których ze swej królewskiej wysokości ledwie spoglądać raczył; zaledwie książęta, jego bracia, zdawali mu się godnymi pośrednikami między nim, a resztą rodzaju ludzkiego [1]). Fenelon dokonał dzieła nielada, ten opór złamał, zarozumiałość wykorzenił doszczętnie, a gniew przemienił w anielską łagodność, uprzejmość dla wszystkich, współczucie dla najmniejszych, a to wszystko obok dziecięcej pobożności. Przemiana była tak zupełna, że Saint-Simon po przedwczesnej śmierci księcia pisze w swych »Pamiętnikach«: »Francyę spotkał cios ostateczny: Bóg jej pokazał księcia na jakiego nie zasłużyła. Ziemia nie była go godna; był on dojrzały do błogosławionej wieczności«. Wielu historyków, z Michelet'em na czele, zachwyca się tem arcydziełem pedagogii Fenelona, a Henryk Martin twierdzi, że »ten nowy święty Ludwik, zabłąkany wśród generacyi Woltera, rządziłby na przekór duchowi wieku i stąd lepiej mu było umrzeć w kwiecie wieku i popularności«. Żeby nowy św. Ludwik miał w w. XVIII być nie na miejscu, na to trudno się zgodzić; niemniej jednak byłby to król w swoim rodzaju fatalny, ale dla zupełnie innej wady, o której

[1] Saint-Simon: *Mémoires.*

przemilczają wielbiciele Fenelona, lub niedość ją oświetlają. Był nią brak samodzielności, posunięty aż do ubezwładnienia wszelkiej energii, inicyatwy, aż do rezygnacyi ze swego zdania i niemal woli. Młody książę, całą swoją złą naturę złożywszy u stóp swego wychowawcy, oddał mu w ofierze zarazem swoją wolę, wolność, całe »ja«. Już jako dojrzały młodzieniec nie śmiał nic zrobić bez wiedzy, rady, przyzwolenia Fenelona, z którym był w nieustannym stosunku bezpośrednim lub częściej pośrednim, przez ks. de Beauvilliers.

Listy ucznia do mistrza są piękne, rzewne swą pobożnością, pokorą — godne może św. Alojzego, ale stanowczo nie następcy tronu[1]. W r. 1708, kiedy ważą się losy Francyi, młody książę, stojący na czele armii, lamentuje nad nieszczęściami wojen (nauczył się tego z »Telemacha«) i pyta Fenelona, czy może nocować w jakimś żeńskim klasztorze... Wychowawca jest w rozpaczy, po niewczasie spostrzega się na fatalnej pomyłce pedagogicznej i pisze jeden list po drugim, pełen upomnień, a nieraz i ironii nawet. Ma on najdokładniejsze wiadomości o swym wychowanku przez trzecie osoby, wie np., że »zamyka się zbyt często ze spowiednikiem«, że jest »pobożny, aż do surowości najskrupulatniejszej w drobiazgach«. Niekiedy ton listu bywa gwałtowny, aż raz mu się wyrywa słowo: »Wybacz Panie, piszę, jak szalony, ale moje szaleństwo pochodzi ze zbytku gorliwości«. Warto też zauważyć, że Fenelon zna otoczenie księcia aż do oficerów i podaje uczniowi ich świetną charakterystykę — całą galeryę typów z oceną ich zdolności strategicznych, wartości moralnej i t. d.

Ale młody książę nie tylko jest niedołężnym, skrupulatem — ale dzieckiem. Saint-Simon, który, jak widzieliśmy, jest mu bardzo życzliwy, opowiada, że w tymże r. 1708, kiedy nadeszła do obozu wiadomość o utracie Lille'u, 24-letni książę, dowódzca armii, grał w palanta

---

[1] Oto przykład, cytowany w dziele E. de Broglie: *Fénelon à Cambrai.* »Proś Boga, aby mi dał tę miłość dla Niego, miłość wszystkiego, siebie, przyjaciół, nieprzyjaciół dla Niego i w Nim. ...Módl się więc nieustannie, by Bóg dokończył we mnie tego, co rozpoczął, i by zniszczył, co pochodzi z grzechu pierworodnego i ze mnie«... List ten pisany podczas kampanii wojennej.

i pierw ukończył partyę, a potem dopiero przyjął ordynansa. E. de Broglie przeczy temu, ale parę kartek dalej (o. c. str. 209), sam przytacza list Fenelona do ks. de Chexreuse, gdzie pisze, jak dobra sława ks. Burgunckiego popadła w dyskredyt: »Spędzał on, powiadają, wiele czasu na zabawach dziecinnych ze swym bratem, których niestosowność oburzyła wszystkie osoby dobrze usposobione, — w tak smutnych warunkach, gdzie powinien był odczuć wstyd kampanii i nieszczęście państwa« [1].

Jeżeli Bossuet popełnił błędy w wychowaniu swego ucznia, to błędy Fenelona, mimo pozorów przeciwnych, były gorsze. »Wielki Delfin« nie znosił książek, ale w r. 1688, dowodząc armią, zachwycał swą odwagą i męskością wielkiego Vaubana i zasłużył na piękną apostrofę w prologu »Estery« Racine'a, gdzie Pobożność, zwracając się do Boga, mówi:

Tu lui donnes un fils prompt à le seconder,
Qui sait combattre, plaire, obéir, commander...

Metoda pedagogiczna Fenelona była zupełnie przeciwna metodzie Bossueta. Fenelon znakomicie umiał działać na umysł dziecięcy, nie surowością (kar nieużywał zupełnie), ale dobrocią, przemawiającą do serca; dobroć ta jednak to oprawa kwiecista, pod którą kryła się niewzruszona despotyczna stanowczość, — nią to ten słodki prałat dziecko naginał powoli, nieznacznie, za to tem skuteczniej, ale czynił to za długo; dziecko wyrosło na młodzieńca, a mistrz jeszcze giął — powoli, delikatnie — aż złamał. Ale właśnie ta sama świetna metoda, dobra dla dziecka, była niebezpieczna dla młodzieńca, bo uczeń nie przestawał być dzieckiem i pozostał niem istotnie do śmierci — dzieckiem dobrem, pobożnem — ale nie mężem.

W tej pedagogii jest jeszcze jedna różnica między oboma

---

[1] Dochowała się piosnka, śpiewana po ulicach miast w tymże roku:

»Cambrai, reconnais ton pupille,
Il voit de sang-froid prendre Lille,
Demeurant dans l'inaction
Toujours sévère et toujours triste,
N'est-ce pas la dévotion
D'un véritable quiétiste?

biskupami, ta mianowicie, że podczas gdy Bossuet uczy swego wychowanka, jakim królem ma być i »politykę« swą czerpie z Pisma św., Fenelon na każdym kroku daje lekcyę negatywną, jakim królem być nie należy — a jako przykład odstraszający wskazuje wcale niedwuznacznie Ludwika XIV. »Telemach«, »Rachunek sumienia króla« i listy mówią to wyraźnie, a kiedy książę Burguncki umiera, Fenelon na gwałt każe pozabierać i ukryć swe listy, a potem dopytuje się jeszcze przyjaciół na dworze, czy przypadkiem nie znaleziono jakiego pisma jego wśród papierów zmarłego księcia [1]. Nie brak zdań, i to licznych i poważnych (Brunetière, Lanson, Faguet i i.), że Fenelon przygotowywał sobie u boku przyszłego króla rolę Riechelieu'go. Faktem jest, że po śmierci »Wielkiego Delfina«, kiedy wobec poważnego wieku Ludwika XIV panowanie ks. Burgunckiego wydawało się blizkiem, Fenelon układa sławne *Tables de Chaulnes*, które nie są niczem innem, jak planem rządów, oczywiście sprawowanych *in spe* przez wychowawcę-arcybiskupa. Ideom politycznym Fenelona poświęcimy więcej uwagi przy ocenie dzieł; tu podnieśmy tylko ich zasadnicze piętno: arystokratyzm; zakaz mezaliansów, ustanowienie orderów, pewnych tylko dla arystokracyi i t. d.

Nadzieje te czy plany rozwiała przedwczesna śmierć ks. Burgunckiego w r. 1712. Fenelon odczuł ten cios boleśnie, ale na duchu nie upadł, była to energia niespożyta, niektórzy twierdzą, że niespożyta ambicya. Łaskę królewską, utraconą wskutek kwietyzmu, o którym pomówimy osobno, stara się powoli odzyskać niesłychanie gościnnem podejmowaniem wojsk, których pełna jest jego dyecezya; dla sprawy państwa podczas wojny sukcesyjnej hiszpańskiej ponosi dobrowolnie olbrzymie ofiary; otwiera swoje gumna i piwnice — nawet pałac arcybiskupi — armii francuskiej, a znajomym pisze, by o tem królowi nie mówili. Król oczywiście dowiedział się o patryotyźmie Fenelona i powoli zaczął znowu łaskawszem okiem spoglądać na wygnanego prałata, który i do nowego następcy tronu, ks. Orleańskiego, znalazł przystęp i przygotowywał sobie nową przyszłość.

[1] List do ks. de Chevreuse z d. 8 marca 1712.

Znawca tej epoki, Gazier, opowiada w liście do Janeta[1], na tegoż prośbę, co następuje: »Listy, przywiezione z Watykanu na rozkaz Napoleona w r. 1810, skopiowane przed oddaniem w r. 1814, rzucają nowe światło na postępowanie prałata... on tak dobrze manewrował, że Ludwik XIV tak bardzo do niego uprzedzony, miał go znowu właśnie powołać, gdy Fenelon umarł w styczniu 1715 r. u bramy do szczytu swych pragnień. Wynika istotnie z listów, przechowanych w Watykanie, że, aby pokonać opór Noailles'a jansenisty), król miał zebrać synod narodowy, mający polecenie eskomunikowania i złożenia z godności tego arcybiskupa. Przewodniczącym tego Synodu miał być Fenelon, który się na to godził i dla którego żądano kapelusza kardynalskiego. W ten sposób tłumaczy się powiedzenie Ludwika XIV po otrzymaniu wiadomości o jego śmierci: »Zabraknie nam go bardzo w potrzebie«.

W stosunku do jansenistów Fenelon okazał ten sam zmysł polityczny co zawsze: atakował ich w Paryżu z gorliwością apostolską, a w swojej dyecezyi był dla nich zadziwiająco łagodny, co tem znamienniejsze, że, jak wiemy, idea tolerancyi była mu zupełnie obcą, jak zresztą bez mała całemu wiekowi XVII.

Ale arcydziełem politycznych zdolności Fenelona to wielki spór o kwietyzm, który jest zbyt charakterystycznym epizodem w dziejach obu wielkich biskupów, dotąd zaprzyjaźnionych, aby się nad nim chwilę nie zatrzymać.

IX.

Pani de Guyon, kobieta bardzo pobożna, ale umysłowo niecałkiem normalna, przybywa w r. 1686 do Paryża. Tu pozyskuje zaufanie p. de Maintenon, która nie spostrzegłszy jej ekscentryczności ani fałszywej teoryi kwietystycznej, wprowadza ją nieopatrznie do założonego przez siebie instytutu dla panien Saint-Cyr. Fenelon, przebywający na Dworze, poznaje się z panią de Guyon i ulega czarowi nie kobiety[2] ale jej doktryny, która była

[1] Janet: *Fénelon*, str. 186, uwaga, stojąca w zupełnej sprzeczności z charakterystyką Fénelona, daną przez samego Janeta.

[2] Stosunek do p. de G. nie miał w sobie nic zdrożnego, ani też nie

odmianą kwietyzmu Molinosa, potępionego przez Kościół. Wszystko wydaje się podejrzanem kierownikowi duchownemu p. de Maintenon, biskupowi z Chartres: Godet'owi de Marais. Bossuet wie również o sprawie, ale milczy, bo ufa Fenelonowi. Rzecz zaczyna stawać się głośną i groźną dla interesowanych, zwłaszcza dla Fenelona, który ma być mianowany arcybiskupem w Cambrai. Wtedy to Fenelon razem z p. de Guyon upraszają Bossueta, (który się wzbrania), aby osądził dzieła kwietystki, oświadczając zgodnie, że poddadzą się wyrokowi. »Choćby mi się nawet — pisze Fenelon — to com ja mniemał czytać, wydawało jaśniejszem, jak »dwa a dwa cztery«, tobym to uważał za jeszcze mniej jasne od obowiązku, jaki mam niedowierzać własnemu światłu i przenosić nad nie światło takiego biskupa jakim Ty jesteś«. Bossuet, wierząc w szczerość słów powyższych, nic o całej sprawie nie mówi królowi i Fenelon zostaje mianowany arcybiskupem, a Bossuet ofiaruje się sam na konsekratora. »W dwa dni przed tą ceremonią — opowiada Bossuet, a uczeń nigdy temu nie zaprzeczył — Fenelon na kolanach i całując rękę, która go miała konsekrować, brał ją na świadectwo, że nigdy nie będzie miał innej doktryny, jak tylko moją« [1]. Wtedy Bossuet oddaje mu wszystkie papiery do-

---

mogło być mowy o działaniu wdzięków zewnętrznych; dowodem fakt, że p. de G. miała lat 40 i była zeszpecona ospą. (Guerrier: *Madame Guyon, sa vie, sa doctrine et son influence.* Paris 1881; złośliwą krytykę tego dzieła znajdujemy u Brunnetiere'a w studyum: *Querelle du Quiétisme*).

[1] *Relation sur le Quiétisme.* Historykom Kościoła, wielbiącym Fenelona za jego obronę nieomylności papieża pozostawiam do rozwiązania problem następujący: czy Fenelon, mówiąc te wielkie słowa, uczynił »restrykcyę mentalną« co do Quatre Articles i doktryny Bossueta, znanej nie tylko jemu, ale całej Europie w 13 lat po r. 1682? Mojem — może mylnem — zdaniem, Fenelon do sprawy kwietyzmu był gallikaninem tak jak Bussuet, a dopiero po doznanem upokorzeniu jako odwetu przeciw swemu mistrzowi podjął się obrony nieomylności. Przemawiają za tem następujące fakta: 1) Przyjaźń szczera z Bossuetem; najściślejsze stosunki zaczynają się właśnie w r. 1681, i to nie tyle Bossuet do Fenelona, ile Fenelon do Bossueta lgnie, odwiedzając go często w Germigny. 2) Wspólne tamże studya Pisma św. i Ojców Kościoła; czyż prawdopodobnem jest pominięcie kwestyi papieża, zwłaszcza w r. 1681 i następnych? 3) Wyraźne oświadczenie powyższe Fenelona, że nie będzie miał innej doktryny tylko Bossueta, bez żadnej restrykcyi, chociaż takową mógł był uczynić zwłaszcza w odpowiedzi na »Relacyę«. 4) Pomi-

tyczące sprawy, mówiąc, że nie chce mieć innej gwarancyi prócz jego zaufania.

Otóż przed nominacyą arcybiskupią w deklaracyi z d. 22 czerwca 1694 przyrzekł Fenelon przyjąć bez restrykcyi wszystko, co biskupi dwaj z Meaux i Chalons oraz ks. Tronson zadecydują«, a po nominacyi w marcu 1695 pisze, że »podpisze artykuły dla zgody, wbrew swemu przekonaniu, ale jeźli się zechce dodać pewne rzeczy, to jest gotów je podpisać swoją krwią«. Biskupi, jakkolwiek ten krok Fenelona był złamaniem danego na piśmie przyrzeczenia, ustąpili i przedłożyli artykuły, do których nowo mianowany arcybiskup pododawał tyle, że rzecz traciła całą swą siłę i zaczęła się dyskusya, zakończona wszakże szczęśliwie podpisaniem 34 artykułów. Podpisała je też p. de Guyon, przebywająca na własne życzenie w dyecezyi Bossueta i za to od swego biskupa otrzymała świadectwo prawowierności, które ona, przybywszy do Paryża, natychmiast jęła rozpowszechniać w kopiach, jako dowód czystości swej doktryny.

Bossuet po »artykułach w *Issy*«, zapowiedział ogłoszenie dzieła o modlitwie, które uważał za potrzebne »w czasie, gdzie każdy mieszał się do dogmatyzowania nad modlitwą«, chce o tem pisać, nie wymieniając wcale p. de Guyon. Ale by rzecz ta miała powagę u czytelników, prosi dwóch innych biskupów i Fenelona

---

nięcie wogóle tej kwestyi w ciągu sporu dwuletniego, gdzie przecież ten atut mógł wiele zaważyć. 5) Fenelon bardzo późno zaczyna formułować sobie doktrynę z nieomylności; za życia nie ogłasza nic zgoła w tym przedmiocie; zostawia tylko w manuskrypcie swoją piękną obronę tego dogmatu. 6) W liście do księcia de Chevreuse, pisanym z Cambrai d. 10 lutego 1710 r. donosi, że anonimowo wysyła do Rzymu memoryał »o Rzymie« i dodaje: »Razem wziąwszy, Rzymianie (= kurya) niełatwo znaleźliby Francuza, któryby im dał więcej ... e mnie i chętniejszem sercem; mają oni widzieć w tem piśmie moją niewinność i moje przywiązanie bez pochlebstwa; wyrządziliby sobie wielką krzywdę, a mnie żadnej, gdyby rozpowszechnili to małe dziełko. Zdaje mi się, że byłoby użyteczną rzeczą, aby je papież mógł czytać przy pełnem zdrowiu«, a przedtem jeszcze pisze: »ale jest to sekret, który posyłam w zaufaniu ks. Alamanni'emu«. Co za genialna polityka! We Francyi, gdzie o nieomylności niechętnie słuchano, zwłaszcza król jej przeciwny, Fenelon milczy, bo mu względy króla potrzebne i je ostatecznie odzyska, a w Rzymie cichaczem, anonimowo broni nieomylności — ale pod warunkiem, żeby we Francyi nic o tem nie wiedziano.

o aprobatę. Pierwsi godzą się bez wahania, Fenelon odmawia i już nie sam, ale przez panią de Maintenon się z tego tłumaczy, a nadto zapowiada własne dzieło o tym przedmiocie, które też w miesiąc przed dziełem Bossueta się ukazuje p. t. *Explications des Maximes des Saints* (1697).

Dzieło to nawet zdaniem Janeta, obrońcy Fenelona w sprawie kwietyzmu [1], jest »mierne, monotonne, bezbarwne, nudne«, gorsze od dzieł p. de Guyon, które są »pełne życia i barwy«. Książka Bossueta (*Instruction sur les états d'oraison*) natomiast, której, jak i Janet przyznaje, »siła logiki dodaje życia i ognia«, została pochwaloną d. 6 maja listem papieskim, gdzie powiedziano: »zdrowy rozum, rozjaśniony wiarą, wymowa, objaśniająca naukę religii, nigdy nie dały słyszeć szlachetniejszej mowy, ani nie rozlały pogodniejszego światła [2].

Niesłuszność po stronie Fenelona była oczywista i przez wszystkich uznana, nie wyłączając najszczerszych jego przyjaciół, nawet p. de Maintenon, która go najdłużej broniła. Oto co pisze przyjaciel Fenelona ks. de Brisacier (28 lutego 1697 r.): »Donoszą mi ze wszech stron, nie mówiąc o tem, co widzę własnemi oczyma, że prałaci najmniej podejrzani o uprzedzenie przeciw ks. Arcybiskupowi, księża bardzo rozumni, proboszczowie gorliwi, mądrzy doktorzy, przełożeni zgromadzeń świeckich i zakonnych, laicy poważni, bardzo obeznani z materyą duchowną, wszyscy ci ludzie, tak jak dotąd uprzedzeni byli na ks. Arcybiskupa korzyść, nie mogą się wstrzymać od powiedzenia, że ks. Arcybiskup ma mało stronników w tej sprawie; jak i w istocie prawdą jest, że niema prawie nikogo, ktoby ks. Arcybiskupowi podtrzymywał, ani pod względem formy, ani co do podstawy, a najlepsi przyjaciele ks. Arcybiskupa, nie okazując Mu tego są zasmuceni« i t. d.

Mimo pochwały dzieła Bossueta przez papieża (a więc *implicite* nagany dla zupełnie przeciwnego dzieła Fenelona), mimo całej opinii zwróconej przeciw nowej doktrynie, Fenelon nie ustępuje —

---

[1] *Fénelon*, str. 86.

[2] Libouroux: *Controverse entre Bossuet et Fénelon.*

i zaczyna się ta dwuletnia walka, która do sławy jednego ni drugiego prałata nic niestety nie dodała, a obu odwróciła od tylu ważniejszych potrzeb Kościoła [1].

Ale cóż to jest kwietyzm, albo lepiej jaka jest doktryna kwietystyczna Fenelona? Oto, zdaniem jego, doskonałość polega na akcie stałym, trwałym czystej miłości, gdzie pragnienie nagród i obawa kar nie mają już udziału; taki stan wywołuje oczywiście w duszy spokój *(quietudo)* niezamącony, który był ideałem kwietystów. I tu nasuwa się problem psychologiczny, skąd taka doktryna powstała w umyśle Fenelona? Bo w charakterze jej nie było nigdy — ten kapłan, pełen rzutkości, energii, rozwijający taką działalność apostolską, ekonomiczną, polityczną, policyjną, jeśli kto, to on niełatwoby mógł być posądzony o kwietyzm, — on, dbały o względy króla, następcy tronu jednego i drugiego (ks. Orleańskiego), miałby być obojętny na nagrodę w niebie? Nie! Ta idea była według świetnego powiedzenia Cronslé'go (op. cit. I, 217) w jego umyśle tylko, bynajmniej nie w charakterze, tak jak się to o pokorze Fenelona da powiedzieć. I tu znajdujemy ślady kwietyzmu w jednym z listów do p. de Maintenon (styczeń 1694): »Wolność ugruntowana na prawdziwem zaparciu się siebie jest to ciągłe poddanie się znakom woli Bożej, która się objawia każdej chwili, jest to śmierć straszliwa w każdym szczególe życia i zupełne wygaśnięcie wszelkiej woli własnej, aby nie działać i nie chcieć jak tylko wbrew naturze« [2]. To jest doktryna, nic więcej, bo Fenelon w życiu daleki był od »zaparcia się siebie«, a także od »działania i chcenia wbrew naturze«. Był on owszem

---

[1] Dochowała się piosnka, nie pozbawiona dowcipu, a i słuszności do pewnego stopnia, jaką śpiewano w tym roku:

Dans les combats où les prélats de France
Semblent cherchez la vérité,
L'un dit qu'on détruit l'espérance;
L'autre soutient que c'est la charité.
C'est la foi qu'on détruit, et personne n'y pense.

[2] Ten list zaniepokoił samą p. de Maintenon, która go pokazała biskupowi z Chartres do osądzenia.

despotyczny względem innych[1], ale bynajmniej nie względem siebie. Niemiecby go dziś nazwał *Kathederquietist.*

Ciekawą też kwestyą psychologiczną pozostanie, jak Fenelon, umysł tak niezależny, samodzielny charakter, nie przejmujący prawie nic od nikogo, owszem dominujący zawsze nad otoczeniem, mógł dać się usidlić kobiecie umysłem, czy charakterem bynajmniej nie wybitnej — wprost histeryczce?[2] Zdaje się, że trafnie powiedział kanclerz Dagnesseau o Fenelonie, że »został on skuszony, jak pierwszy człowiek głosem kobiety, i jego talenta, jego powodzenie, jego reputacya nawet zostały poświęcone nie illuzyi zmysłów, ale umysłu«. Skusiła go pozornie piękna teorya, głównie jako nadzwyczajność, odsłaniająca tylko wybranym dostępne horyzonty, a Fenelon, arystokrata z krwi i kości, nie lubił tego, co pospolite; i to, zdaniem prawie powszechnem (Crouslé, Brunetière, Delmont i i.), jest najprostsza geneza kwietyzmu Fenelona.

Kiedy walka przeniesiona została do Rzymu, Fenelon, przez króla wygnany do swej dyecezyi, wysyła, podobnie jak Bossuet, swego zaufanego rzecznika do wiecznego miasta i tu posyła mu instrukcye i memoryały, rozwijając, jak nigdy dotąd, swe ge-

---

[1] Klasycznym przykładem, jak Fenelon daleki był od ideału kierownika duchownego, za jakiego mają go do dziś niektórzy krytycy, jest sprawa pani de la Maisonfort, kuzynki pani de Guyon. Mimo że ta 23-letnia kobieta nie miała najmniejszego powołania do klasztoru, pani de Maintenon chciała ją koniecznie uczynić »jednym z kamieni węgielnych« swego zakładu Saint-Cyr, w tym celu zebrała naradę księży z biskupem Chartres na czele, którzy mieli wyrokować o powołaniu kandydatki; mimo oporu biskupa i gorzkich łez biednej kobiety, uchwalono, że »ma powołanie«, a Fenelon taki list do niej napisał: »Wszystko, co mam Ci powiedzieć, Pani, sprowadza się do jednego t. j. że masz pozostać w spokoju z zupełną ufnością, ponieważ poświęciłaś Twą wolę woli Bożej a którą Ci oznaczono. Powołanie nie okazuje się mniej przez decyzyę cudzą, jak przez nasz własny pociąg. Gdy Bóg nie daje nic wewnątrz, by przyciągnąć, to daje na zewnątrz powagę, która rozstrzyga«. Nie potrzeba być chyba aż moralistą, by uznać, że Fenelon stoi tu w sprzeczności z najelementarniejszemi podstawami etyki chrześcijańskiej i zdrowym »chłopskim« rozumem.

[2] Z licznych na to dowodów wystarczy jeden: kiedy Bossuet po rozmowie dłuższej z panią de Guyon nie dał się przekonać jej wywodom, prosiła go, by przysiadł się bliżej do niej, to łaska, którą ona ma, udzieli się i jemu.

nialne zdolności polityczne. Trzeba było bowiem więcej niż prostego talentu w tym kierunku, by sprawę tak jasną, można przewidzieć z góry osądzoną, przewlekać przez dwa lata i pozyskać dla siebie tylu orędowników, którzy przecież jako teologowie nie mogli pochwalać kwietyzmu. Arcydziełem zaś Fenelona to ta dwoistość postawy: podczas gdy Bossuet na każdą rozprawkę Fenelona odpowiada broszurą otwartą, znaną we Francyi i w Rzymie, Fenelon przeciwnie we Francyi gra rolę niewinnej, cichej ofiary, nic nie ogłasza, ale do Rzymu wysyła jeden traktat po drugim, gdzie czepia się jednego słówka, wysłowienia i wszystko kończy tem, że Bossuet go nie rozumie. Dyplomacya zagraniczna wmięszała się do sprawy (na korzyść Fenelona), a kardynał de Bouillon, wysłannik Ludwika XIV, tak jak w Paryżu był za Bossuetem, w Rzymie stanął przeciw niemu i groził Kongregacyi, że w razie potępienia Fenelona wybuchnie schizma we Francyi. Że Bossuet w tej walce stracił parę razy równowagę i użył słów ostrych, temu się dziwić nie można, jego prosty, zdrowy rozum musiał się oburzyć na nieszczere, ślizkie wywody Fenelona, zresztą ten mu się odpłacił, pięknem za nadobne: wyniosłą ironią arystokraty. Bossuetowi w tej walce zarzucamy co innego, mianowicie podyktowanie Ludwikowi XIV listu prawie z pogróżkami do papieża, gdy ten, a raczej Kongregacya zwlekała z decyzyą, podminowana intrygami stronników Fenelona. Bossuet tem nie tylko okazał brak należnego szacunku Głowie Kościoła, ale był niesprawiedliwy, albowiem papież robił, co mógł, by rzecz przyspieszyć, i nie on, ale intrygi zakulisowe utrudniały załatwienie sprawy.

Nareszcie nastąpiło potępienie dzieła Fenelona. Bossuet na wiadomość o tem wycofał z druku ostatnią swą odpowiedź przeciwnikowi, a po poddaniu się Fenelona wyrokowi, podniósł publicznie na zebraniu kleru z największą pochwałą ten budujący przykład uległości wyrokom Stolicy św. Istotnie uległość była budująca. Wprawdzie złośliwi krytycy widzą to samo »ja« w liście do papieża [1], które znamy z wszystkich innych dzieł arcybiskupa,

[1] »Niech Bóg uchowa — pisze Fenelon 4 kwietnia 1699 r. do papieża — aby kiedykolwiek mówiono o nas inaczej, jak tylko wspominając sobie, że

ale wrażenie w Kościele było i pozostało do dziś jak najlepsze. Niestety własnoręczne listy Fenelona wskazują niezbicie, że i tu był politykiem. Uległość nie była szczera, poddanie się było formalne. »Rozumiem dobrze, — pisze do ks. Chanterac'a, swego powiernika — że przed tym aktem poddania się (listem do papieża) papież... nie uczyni nigdy żadnego kroku na moją korzyść, by dać świadectwo czystości doktryny, którą podtrzymywałem. Jeżeli Rzym nie chce dać świadectwa czystości doktryny, którą podtrzymywałem i która jest wszystkiem, co miałem w umyśle, to czynią oni większą jeszcze krzywdę tej doktrynie, niż mnie«. List ten jest pisany dzień przed listem do papieża. »Ten, który błądził, zwyciężył — pisze do O. Tellier'a — ten, który był wolny od błędu, został zdruzgotany: Niech Bóg będzie błogosławiony!« Listów tej samej treści jest więcej, a stanowią one dowód jeden z wielu na to, że Fenelon był umysłem niezależnym, nie odstępującym od swego zdania, a fakta mówią, że, jak zawsze, tak i tu był politykiem naprawdę genialnym, dla którego nie było »sytuacyi bez wyjścia« [1].

Charakterystycznym faktem pozostanie, że w tym właśnie czasie ukazuje się »Telemach«, w którym Francya i cała Europa widzą ostrą krytykę rządów Ludwika XIV, ale Fenelon nie przyznaje się do ogłoszenia dzieła, twierdząc, że kopista podstępnie manuskrypt przepisał i wydał bez jego przyzwolenia. Cobądź, Ludwik XIV był żywo dotknięty, zwłaszcza gdy zestawiono »Telemacha« z »listem do Ludwika XIV«, który anonimowo krążył po Paryżu i był dziwnie zgodny w najważniejszych punktach z »Telemachem«. Jeżeli chronologia tego »listu« jest niepewna, to jego autentyczność, po odnalezieniu rękopisu samego Fenelona, nie pozostawia najmniejszej wątpliwości i pokazuje jaskrawo, jakie arcybiskup z Cambrai żywił uczucia dla swego króla: »Spędziłeś

---

pasterz miał sobie za obowiązek być posłuszniejszym od ostatniej owieczki swej trzody i że żadnych granic nie położył swej uległości«.

[1] Walka o kwietyzm była przedmiotem licznych i sumiennych studyów; prócz cytowanych powyżej ważne: Griveau: *Etude sur la condamnation des Maximes des Saints* i J. Denis: *Quiétisme. Querelle de Bossuet et de Fénelon,* także odnośny rozdział w dziele ks. Bellona: *Bossuet, directeur de conscience.*

całe swe życie zdala od drogi prawdy i sprawiedliwości, a więc i zdala od drogi Ewangelii... Ty nie kochasz Boga, nie obawiasz się Go nawet, jak tylko bojaźnią niewolnika; boisz się piekła, nie Boga. Twoja religia zasadza się na zabobonach, praktykach powierzchownych... Masz arcybiskupa zepsutego, gorszyciela, niepoprawnego, fałszywego, złośliwego, podstępnego, nieprzyjaciela wszelkiej cnoty... Posługujesz się nim, bo on myśli jedynie, jakby Ci się przypodobać swemi pochlebstwami... I tak jeden ślepiec prowadzi drugiego, i, jak mówi Chrystus, obaj wpadną do rowu... Uczyniono Twoje imię nienawistnem i cały naród francuski nieznośnym dla wszystkich sąsiadów...« Ks. Delmont (op. cit.) może nie bez słuszności mówi, że takiego listu nie przyjąłby sam święty Ludwik. Że zaś był anonimowy, nigdy przez autora nie uznany, więc trudno go nawet uważać za akt odwagi cywilnej, a cóż dopiero bohaterstwa w rodzaju św. Ambrożego. Ze z takiego zupełnego dyskredytu na dworze, Fenelon potrafił w ciągu lat podnieść się aż prawie do purpury kardynalskiej, to pozostanie tajemnicą zawsze tej samej genialności politycznej, której nigdy dość podziwiać nie można.

X.

Fenelon przedstawia typ niezmiernie skomplikowany i wcale niełatwy do uchwycenia. On sam to czuł, kiedy pisał do księżny de Mortemart: »Nie mogę wytłumaczyć mego wnętrza. Ono mi się wyślizguje, wydaje się zmieniać każdej godziny. Nie umiałbym nic powiedzieć, coby mi się nie wydało fałszywem w chwilę potem. Wadą trwającą i łatwą do określenia jest to, że oglądam się na siebie i że miłość własna powoduje mną często. Czynię nawet wiele przez rozum naturalny i ludzką dogodność. Moja natura jest właśnie przeciwna Pańskiej. Pani nie masz wcale ducha podobania się i schlebiania, jak ja go mam...« To własne a tak bystre wglądnięcie w siebie dowodzi, że Fenelon nad sobą pracował, że był człowiekiem dobrej woli; tłumaczą też te słowa, choć w części, tę »nieszczerość«, zbliżającą się niekiedy do »kłamstwa«, co mu zarzucają krytycy, nawet duchowni (ks. Bellon op. cit. i ks. Delmon op. cit. str. 140) i co istotnie bez trudności

da się wykazać w listach prałata. W tej też świetnej autoobserwacyi zawarta jest racya tej różnorodności stron duszy, tej, rzecby można, galeryi typów, jaką niejako wykroić można z tej tak bogatej indywidualności: Widzieliśmy już despotę prawie, polityka, egoistę, a także ucznia z dziecięcą pokorą całującego rękę mistrza, ale jest tam i kapłan iście Chrystusowy, pełen namaszczenia, jest pasterz dobry, dbający o dobro swych owieczek, nie szczędzący im serca ni mienia swego, jest kierownik duchowny — bardzo nierówny, niebezpieczny czasem — ale ileż razy naprawdę świetny dzięki bystrości swego umysłu; powiadają, że Bossuet znał człowieka, Fenelon ludzi; — stąd Bossueta listy czy kazania pozostaną raz na zawsze nieprzebranymi skarbami mądrości ewangelicznej, ale zato Fenelon w danym wypadku, na daną duszę miał wpływ ogromny, bo ją przenikał, zrozumiał — ją właśnie, tę jedną i tym przymiotem różni się tu od Bossueta. Stąd też pochodzi to ogromne przywiązanie i zaufanie, jakiem go darzyli jego najbliżsi; stąd otoczenie jego jest tak ślepo mu oddane i tak niewolniczo prawie ulega jego wpływowi w przeciwstawieniu do rodziny Bossueta. Jest w Fenelonie także patryota, nie jak Bossuet, oddany królowi, ale arystokrata, któryby chciał się z tym królem cząstką władzy podzielić, lub przynajmniej być bliżej jego boku, jako doradca, jest też niechętny królowi dlatego, że ten ludzi bynajmniej nie z pierwszej arystokracyi pochodzących (Molière, Bossuet i inni) dopuszcza do siebie, podczas gdy »niejeden z prawdziwej szlachty marnieje na prowincyi«. Jest wreszcie w Fenelonie artysta, nie tylko tem, że pisze i lubi pisać, ale we wszystko wkłada »artyzm«, nieraz niezrównany, Bossuet ani w setnej części nie był tak »artystą« w tem rozumieniu rzeczy, jak Fenelon. Ale bo ten przymiot łączy się z najważniejszym, zasadniczym rysem jego charakteru, którym jest arystokratyzm. Bossuet nie ma nic z arystokraty, jest jego przeciwieństwem. W polityce prawie niezręczny, w życiu nieporadny [1], jak nie umiał zapanować nad »Del-

[1] Bossuet w swej ogromnej dobroczynności i hojności względem rodziny nie liczył się z groszem, choć sam życie prowadził skromne i umartwione, stąd pozostawił długi. Przeciwnie Fenelon był znakomitym gospodarzem i mimo podobnej wspaniałomyślności względem ubogich i wojska,

finem« (i nie chciał może), tak był bez wpływu na rodzinę, na dworze grał czasem rolę prawie kompromitującą dla krewniaków; Fenelona rola jest stokroć gorsza, ale z jakiem mistrzowstwem odegrana, on nie upokorzy się nigdy dobrowolnie, chyba że go konieczność do tego zmusi, a i wtedy w postawie, w tonie nie przestaje być nigdy »baronem de Salignac de la Motte-Fénelon«.

Jeżeli mniej lub więcej podobnych Bossuetowi ludzi (nie zdolności) nie trudno znaleźć, to Fenelon jest typem odrębnym, niełatwym do porównania: przypomina wprawdzie św. Franciszka Salezego, także arystokratę, ale mu brak tej świętości, która z charakteru biskupa genewskiego zmazała wszystkie cechy ujemne arystokratyzmu; przypomina Woltera, lecz o ileż go przewyższa głęboką wiarą i moralnością. To podobieństwo jednak z jednej strony do najwybitniejszego reprezentanta katolicyzmu we Francyi, a z drugiej do najzaciętszego wroga wszelkiej religii wskazuje już na to, co wykażą w całej pełni dzieła, że Fenelon to postać przełomowa w dziejach idei religijnych i politycznych swego kraju [1].

M. Paciorkiewicz.

»nie pozostawił ani grosza długu, ani też grosza majątku« (St.-Simon). Trzeba jednak wiedzieć, że biskupstwo w Meaux przynosiło 22.000 fr., a Cambrai 200.000 fr. Świetny jest opis Le Dreu'go tej iście książęcej (Fenelon miał tytuł księcia cesarstwa) rezydencyi w Cambrai.

[1] Część drugą niniejszego studyum, omawiającą dzieła Bossueta i Fenelona, ogłosimy w przyszłym roku. *Redakcya.*

PROBLEM SOCYOLOGICZNY COMTE'A.

(Ciąg dalszy)

Co się tyczy klasyfikacyi nauk Comte postawił sobie cel podwójny: naprzód usiłuje wykazać, jaką drogą umysł ludzki wśród powszechnej anarchii pojęć we wszystkich dziedzinach myśli zdoła wznieść się na wyżyny syntezy filozofii pozytywnej i pod tym względem klasyfikacya nauk Comte'a niczem innem nie jest, jak programem naukowym filozofii pozytywnej. »Plan racyonalny, — mówi on — który ma nam służyć za drogowskaz w studyum filozofii pozytywnej, jest ostatecznie taki: matematyka, astronomia, fizyka, chemia, fizyologia i fizyka socyalna. Taka jest formuła encyklopedyczna, która jedna pośród ogromnej liczby różnych klasyfikacyi, mieszczących w sobie wyż przytoczone nauki fundamentalne, przypada logicznie do naturalnej i niezmiennej hierarchii zjawisk« [1].

Drugi cel klasyfikacyi jest przedstawienie całokształtu filozofii pozytywnej o ile ona wiernem jest odbiciem »naturalnej i niezmiennej hierarchii zjawisk« i pod tym względem klasyfikacya nauk jest tylko uzupełnieniem, jak to już uprzednio wspomnieliśmy, prawa o trzech stanach.

Na czem ta klasyfikacya polega?

»Na podziale nauk według ich naturalnego powinowactwa i zależności wzajemnej« [2]. A więc nie idzie tu o sztuczny podział

[1] *Cours de philosophie positive*, t. I, str. 94/95.

[2] Tom II, str. 63.

nauk lecz o podział, opierający się na zjawiskowym porządku rzeczy, na znajomości przedmiotów i ich rzeczywistem powinowactwie. Nie idzie tu dalej o system, obejmujący wszystkie wogóle nauki, lecz nauki tylko teoretyczne i abstrakcyjne, które w myśl Comte'a zajmują się wyłącznie tylko badaniem praw i zjawisk. Nauki te nazywa Comte fundamentalnemi czyli podstawowemi dlatego, że służą za podstawę wszystkim innym naukom. Należy rozróżnić, mówi on: »nauki abstrakcyjne i ogólne, które mają za przedmiot wykrycie praw, rządzących różnymi rodzajami zjawisk i obejmujących wszystkie wypadki zmyślone«, od nauk konkretnych, szczegółowych i opisowych, które są tylko zastosowaniem tychże praw do różnych jestestw wszechświatowych. »Pierwsze są naukami podstawowemi, bo na nich wyłącznie opierają się nasze studya filozofii pozytywnej« (str. 58).

W rozumieniu Comte'a cały świat zjawiskowy rozpada się na niewielką liczbę kategoryi, które w miarę komplikujących się zjawisk hierarchicznie się układają w jedną całość i są do siebie w takim stosunku, że każda wyższa kategorya opiera się na znajomości podstawowych zasad kategoryi poprzedzających. Astronomia suponuje znajomość matematyki, chemia znajomość fizyki i podstawowych zasad astronomii, a fizyologia i socyologia, nauki najbardziej skomplikowane wymagają znajomości wszystkich poprzedzających nauk. W ten sposób powstaje hierarchia nauk, poczynająca się od zjawiska najprostszego, jakiem jest przestrzenność, poprzez zjawiska konkretne i stopniowo coraz więcej się komplikujące aż do najzawilszych zjawisk społecznych. Koroną zaś tych nauk hierarchicznie piętrzących się jest socyologia, najwyższa synteza pozytywistycznego światopoglądu, ogarniająca wszystko, co nauka umie powiedzieć o świecie, o człowieku i społeczeństwie. »Filozofia pozytywna, mówi Comte, rozpada się drogą naturalną na pięć nauk fundamentalnych, które następują po sobie w porządku hierarchicznym z nieodmienną koniecznością. Podział ten niezależnie od wszelkiej opinii hipotetycznej opiera się na prostej i pogłębionej metodzie porównawczej odpowiednich zjawisk. Mamy tedy astronomię, fizykę, chemię, fizyologię i wreszcie fizykę socyalną. Pierwsza obejmuje zjawiska najogólniejsze,

najprostsze, najwięcej abstrakcyjne i najwięcej oddalone od ludzkości: zjawiska astronomiczne wpływają a wszystkie inne zjawiska, same zaś nie podlegają innym wpływom. Zjawiska zaś należące do socyologii przeciwnie są najwięcej odosobnione, najbardziej skomplikowane i konkretne, i najwięcej bezpośrednio interesują człowieka: one w mniejszym lub większym stopniu zależą od wszystkich poprzedzających zjawisk, same zaś nie wywierają żadnego wpływu na nie. Pomiędzy dwoma krańcowemi kategoryami zjawisk idą stopniowo inne oddzielne, skomplikowane, osobowe i kolejno we wzajemnej od siebie zależności. Taki jest wewnętrzny stosunek ogólny pomiędzy różnemi naukami podstawowemi, wynikający z prawdziwej obserwacyi filozoficznej, odpowiednio zastosowanej a nie z bezowocnego podziału dowolnego. Taki też jest plan tej filozofii« [1].

Naprzód tedy charakterystyczną cechą filozofii pozytywnej jest podział nauk na pięć działów według prawa rosnącej komplikacyi *generalité décroissante* i *complication croissante*, jak je Comte określa. Po matematyce idzie astronomia, dalej fizyka i chemia, fizyologia czyli biologia i socyologia. Zjawiska bowiem astronomiczne są więcej skomplikowane od zjawisk matematycznych. Matematyka »obejmuje zjawiska najogólniejsze, najprostsze, najwięcej abstrakcyjne i w najmniejszej będące łączności z ludzkością«. Astronomia zajmuje się już specyalną kategoryą ciał i bada ich prawa geometryczne i mechaniczne. Fizyka ma za przedmiot własności ogólne materyi, chemia powinowactwo ciał i prawa łączenia się pierwiastków. Biologia zajmuje się światem organicznym, socyologia bada przedewszystkiem zjawiska intellektualne i moralne człowieka, nabierające znaczenia dopiero w życiu kolektywnem. Zjawiska te są ze wszystkich najwięcej skomplikowane, albowiem z jednej strony tkwią w jednostkach i pod tym względem należy do biologii; z drugiej strony te same zjawiska ulegają w szczególniejszy sposób wpływom życia kolektywnego i generacyi poprzedzających (t. I, str. 77) i pod tym względem stanowią przedmiot nowej nauki. Jest to fizyologia rodzaju ludz-

[1] Tom I, str. 79/80.

kiego czyli fizyka socyalna. Pod koniec życia dodał Comte jeszcze nową naukę: naukę moralną czyli antropologię, która ma trzymać środek pomiędzy biologią i socyologią. »Różni się ona od dwu poprzedzających tem, że je ściśle łączy ze sobą. Biologia to nauka zajmująca się wogóle istnieniem ludzkiem co do funkcyi wegetatywnych i zwierzęcych, socyologia zaś ukazuje nam życie intellektualne i moralne, które dopiero dostatecznie poznać można w rozwoju kolektywnym. Nowa zaś nauka końcowa t. j. moralna ma ująć w system to, co wiemy szczegółowo o naszej naturze indywidualnej z punktu widzenia biologicznego i socyologicznego. Będzie to odpowiednia kombinacya tego, co koniecznie do siebie należy. Opierać się ona będzie na powyższej podstawie dedukcyi a oprócz tego i bezpośrednio, jak każda inna nauka na indukcyi sobie właściwej... Że nauka taka jest konieczna wynika to stąd, że właśnie socyologia abstrahuje od tych bezustannych reakcyi, jakie odbywają się pomiędzy światem fizycznym i moralnym człowieka według relacyi koniecznych pomiędzy wnętrznościami wegetatywnemi a organami uczuciowymi. Bo też w rzeczywistości te zaburzenia indywidualne nie zmieniają dostrzegalnie egzystencyi kolektywnej i tem mniej odczuwać się dają, im więcej ona się rozwija. Ta wzajemna neutralizacya pomiędzy różnymi jednostkami sprawia, że w socyologii utrzymuje się tylko ciągły wpływ właściwości, prawdziwie kolektywnych nawet wtedy, gdyby kto się ograniczył do prostej solidarności objektywnej. Te zjawiska muszą mniej jeszcze wpływać na studyum ciągłości subjektywnej, która przeważa coraz to więcej w porządku społecznym. Albowiem one jeszcze więcej się naturalizują w sukcesyi generacyi, niż w połączeniu się jednostek w rodzin. I to przyczyna dlaczego antropologia w ścisłem znaczeniu jest zarazem więcej szczegółową i więcej skomplikowaną, niż sama socyologia. Nazywamy ją atoli nauką moralną, chcąc przez to zaznaczyć, że nic innego nie szukamy, jak tylko podstaw normalnych, jak życie ludzkie urządzić, bezlitośnie usuwając na bok spekulacye bezowocne, które w gruncie rzeczy byłyby najtrudniejszemi ze wszystkich« [1].

[1] *Système de politique positive, statique sociale.* Tom II, str. 438.

W hierarchicznym systemie nauk niema ani logiki ani psychologii. Logiki — zdaniem Comte'a — nikt się nie nauczy z traktatów, lecz tylko z praktyki. Drogi, któremi umysł ludzki dociera do prawdy (względnej tylko) w każdej nauce i we wszystkich zjawiskach są zawsze te same t. j. indukcya i dedukcya. I pod tym względem umysł najlepiej wydoskonali się w matematyce, której zjawiska są najprostsze i najogólniejsze a formy rozumowania najjaśniejsze i najpewniejsze. Matematyka to najlepsza szkoła teoretyczna i praktyczna myśli.

A metodologia czyli logika stosowana w różnych gałęziach nauk? I metodologię podobnie jak logikę formalną uważa Comte za naukę błędną i zbyteczną. Dlaczego? bo metodologię suponuje już znajomość dróg i praw umysłu ludzkiego w kierunku prawdy, a tymczasem drogi te i prawa poznajemy dopiero z doświadczenia, z obserwacyi metod, stosowanych w różnych naukach z historycznego rozwoju nauk pozytywnych. I tu znowu mistrzynią jest praca naukowa. Tak logika cała w filozofii pozytywnej zanikła w naukach pozytywnych.

Co się tyczy badań psychologicznych, Comte wytyka im taką drogę: Psychologia należy po części do fizyologii a po części do socyologii. »Kto bada z wszelką możliwą precyzyą różne warunki organiczne, od których zjawiska psychologiczne zależą — wchodzi w zakres głównego przedmiotu fizyologii frenologicznej; kto zaś obserwuje bezpośrednio rzeczywiste skutki aktów intellektualnych i moralnych, wchodzi w zakres historyi naturalnej w ścisłem znaczeniu (t. j. socyologii)« (t. III, 613/4). Uzasadnia zaś rozumowanie to w sposób następujący: Obserwacya wewnętrzna, mówi Comte, z »natury rzeczy musi wytworzyć tyle opinii sprzecznych ze sobą, ile ma zwolenników, obdarzonych jakąś imaginacyą« (t. III, str. 613). A co ważniejsza, czego można się w ostatecznym razie spodziewać po takich badaniach, pyta się Comte? My opisujemy tylko to, co znajdujemy w świadomości, ale nie tłumaczymy zjawisk. »Obserwować umysł w sobie samym t. zn. abstrahować od przyczyn i skutków, to znaczy obserwować z daleka rezultaty zależne od warunków, które nie podpadają z konieczności pod naszą uwagę«. Któż zdoła zjawisko intellektualne

w akcie obserwować? Chyba umysł rozszczepiłby się na dwoje, z których jedenby rozumował a drugi obserwował rozumującego. Skoro zaś w tym wypadku i umysł obserwujący i umysł obserwowany jest ten sam w rzeczy samej, zdaniem Comte'a obserwacya wewnętrzna jest niemożliwą (C. I, str. 30). »Czyż to nie bezrozumna logomachia, w której jestestwa czysto myślne zajmują miejsce zjawisk rzeczywistych«. Comte idąc za współczesnymi fizyologami sprowadza psychologię do fizyologii: »Teorya pozytywna funkcyi uczuciowych i intellektualnych nieodwołalnie tedy polegać będzie w przyszłości na studyum zarazem eksperymentalnem i racyonalnem różnych zjawisk wrażeń wewnętrznych, właściwych ganglionom mózgowym, pozbawionym wszelkiego bezpośredniego narządu zewnętrznego. W ten sposób fizyologia będzie tylko prostem przedłużeniem głównem t. zw. fizyologii zwierzęcej, rozciągającej się tak aż do ostatnich swoich atrybucyi fundamentalnych« (t. III, str. 609).

Inna charakterystyczna cecha filozofii pozytywnej polega na tem, że w szeregu hierarchicznie piętrzących się nauk, z każdą nauką oprócz cech wspólnych z poprzedzającemi kategoryami nowa występuje cecha właściwa tylko danej nauce. Tak zjawisk chemicznych nikt nie wytłumaczy przez same tylko prawa fizyczne. Prawa powinowactwa są właściwe tylko chemii. »Każdy wie — tłumaczy Comte — że w rzeczywistości każda akcya chemiczna podlega naprzód wpływom ciężkości, ciepła, elektryczności i t. d., ale ponadto jest tam jeszcze coś odrębnego, co modyfikuje akcyę czynników poprzedzających. Dowodzi to oczywiście, że chemia może tylko następować po fizyce i że jest zarazem nauką odrębną«. Większy jeszcze rozdział istnieje pomiędzy światem organicznym i nieorganicznym. Istota żyjąca w swoich zjawiskach życiowych podlega prawom fizycznym i chemicznym, ale ponadto jest tam jeszcze pierwiastek inny, niedający się sprowadzić do żadnego z praw poprzedzających kategoryi. Oprócz praw fizycznych i chemicznych jest tam życie, które wśród mnogich i różnorodnych części przedstawia jedność celową i solidarną. W zjawiskach zaś społecznych spostrzegamy naprzód »wpływ

praw fizyologicznych na jednostkę i oprócz tego coś odrębnego, uwidoczniającego się w skutkach. Są to krzyżujące się wpływy jednostek, w ludzkości w szczególniejszy sposób skomplikowane przez akcyę jednej generacyi na drugą«. Stąd też socyologia musi się opierać na obserwacyi bezpośredniej i na znajomości biologii.

W rozumieniu Comte'a hierarchia nauk fundamentalnych niczem innem nie jest, jak metodycznem dążeniem do zdrowego opanowania całego świata zjawiskowego i wspinaniem się umysłu ku uniwersalności i jedności. To ἓν καὶ πᾶν filozofii Platona, ideał niedościgniony każdego umysłu głębszego. W naukach pozytywnych już Bacon i Descartes przeczuwali tę jedność, ale dopiero po wiekach całych skrzętnej pracy naukowej, po narodzeniu się najogólniejszej ze wszystkich nauk socyologii, Comtowi danem było ideał ten dawniej niedosiężny ująć w konkretne kształty filozofii pozytywnej. Nie jest to jedność doskonała, bo taką uważa Comte w dziedzinie filozofii pozytywnej za illuzyę, lecz tylko jedność względna. »Mam głębokie przekonanie — mówi on — że usiłowania, aby ogólnie wytłumaczyć wszystkie zjawiska przez jedno wyłącznie prawo, są w wysokim stopniu utopijne, nawet wtedy, gdy podejmują je najkompetentniejsze umysły. Mniemam, że środki, którymi umysł ludzki rozporządza, są zbyt nikłe a wszechświat zbyt skomplikowany, żeby taki ideał naukowy, przechodzący nasze siły umysłowe dał się urzeczywistnić. Mniemam zresztą, że gdyby nawet jego urzeczywistnienie było możliwem korzyści, jakie powszechnie do ideału tego przywiązują są ogromnie przesadzone«.

Jedność filozofii pozytywnej polega na tem, że różne klasy zjawisk i wypadków, rządzące się własnemi prawami, pod pewnymi względami analogicznemi, zmierzają nieuchronnie do jednego celu. »I stąd wynika spontanicznie harmonia zachwycająca. Naprzód bowiem wszystkie bez przerwy podlegają jednej i tej samej metodzie fundamentalnej, następnie wszystkie jednostajnie i solidarnie zmierzają do jednego i tego samego celu istotnego a wkońcu wszystkie równorzędnie podlegają jednej i tej samej ewolucyi ogólnej« (t. VI, str. 795). Prawo rządzące ewolucyą, to prawo

trzech stanów, które już uprzednio rozwinęliśmy [1]. Pozostaje nam jeszcze do wytłumaczenia metoda, która w systemie Comte'a ogromnie ważną odgrywa rolę.

Otóż według Comte'a każda nauka ma za zadanie: »zdeterminować zjawiska jedne przez drugie odpowiednio do stosunków, jakie istnieją pomiędzy nimi«. Zadanie to spełnia idealnie i z największą precyzyą matematyka, która mierzy lub oznacza wielkości znane zapomocą wielkości nieznanych. I na tem polega metoda wogóle w każdej nauce. W matematyce przybiera ona charakter dedukcyi, choć i tam punktem wyjścia jest obserwacya i indukcya, w astronomii ma ona charakter bezpośredniej eksplikacyi, eksperymentu w fizyce i chemii, w biologii panuje metoda porównawcza, w socyologii przeważa metoda historyczna. W gruncie rzeczy jest to jedna tylko metoda w różnych odmianach według zasady: za pomocą rzeczy znanych oznaczamy rzeczy nieznane. Punktem zaś wyjścia jest zawsze obserwacya. W matematyce tylko znalazła metoda ta najprostsze i najściślejsze zastosowanie. W astronomii już obserwacya i metoda indukcyjna ważną odgrywa rolę. Tylko drogą obserwacyi można uzyskać różne dane, potrzebne do postawienia równań. Obserwacya ta wszelako, aczkolwiek subtelna, odnosi się do faktów najprostszych, usuwających się z pod skomplikowanych wpływów, jakim podlegają fakta ziemskie i dlatego służyć może za typ czystej obserwacyi.

We fizyce obok obserwacyi wydoskonalonej występuje ekspryment. Podczas gdy w astronomii jeden tylko zmysł był czynnym, tu czynne są wszystkie zmysły. To też obserwacya osiągnęła we fizyce najdoskonalszy swój rozwój. Ekspryment polega na obserwacyi zjawiska poza naturalnem otoczeniem, w warunkach sztucznie wytworzonych (C. II, str. 313) w celu lepszego poznania całego procesu. Fizyka posługuje się nadto często bardzo hipotezami, których istotę i wartość objaśnia i tłumaczy najlepiej astronomia. Na czem polega hipoteza? na antycypacyi wniosków płynących z dedukcyi lub indukcyi, »na podstawie prowizorycznej supozycyi co do niektórych pojęć, które stanowią

[1] *Przegląd Powszechny*, zeszyt majowy 1906.

ostateczny przedmiot badania« (C. II 336 i d.). Każda hipoteza ma tylko o tyle wartość, o ile się da sprawdzić doświadczeniem, gdyż wyraża po prostu prawdę jakąś, którą za pomocą rozumowania i doświadczenia możnaby od razu stwierdzić, gdyby warunki, od których dany problem zależy, były odpowiednie. To też hipoteza jest tylko wtedy uzasadnioną, gdy się odnosi wyłącznie tylko do praw, a nigdy do sposobu powstawania zjawisk (C. II, str. 353). Wszelkie odbieganie od tej reguły prowadzi do teologii lub metafizyki.

Z astronomią i fizyką wiąże się ściśle chemia, która zajmuje się zjawiskami najwięcej skomplikowanemi w świecie nieorganicznym. Jakkolwiek przedmiot jej oddziela ją od fizyki, to metoda jest ta sama co w fizyce. Ona rozwija tylko eksprymentu i stwarza słownictwo, odpowiadające złożonej naturze zjawisk.

W biologii występuje nowa metoda obserwacyi porównawczej. Czem się różni metoda ta od prostej obserwacyi, właściwej astronomii i eksprymentom stosowanym w fizyce i chemii? Różnica polega na tem, odpowiada Comte, że w metodzie porównawczej w długim szeregu wypadków analogicznych porównujemy formy, powtarzające się bez przerwy kolejno w odmianach prawie niedostrzegalnych (C. III, 285), ażeby przez porównanie takie wyjaśnić i wytłumaczyć formy organiczne. W ten sposób bowiem to co jest wspólne i istotne rzuci się w oczy, a cechy dodatkowe znikną. Jest to rodzaj analizy jakiejś ciągłości biologicznej. I w anatomii i w fizyologii, mówi Comte, »porównanie metodyczne szeregu ciągłego różnic rosnących będzie zawsze najpewniejszym i najskuteczniejszym środkiem, żeby rozświetlić aż do ostatnich elementów daną kwestyę«. Wpierw jednak trzeba przeprowadzić klasyfikacyę według cech charakterystycznych tych istot, które mają być ze sobą porównane. I dlatego klasyfikacya stanowi część istotną biologii ogólnej i łączy się ściśle z metodą porównawczą.

Ekspryment w biologii jest wielce utrudniony. Ale za to natura sama dostarcza obficie okazów patologicznych, tak, że badanie chorób i zboczeń różnorodnych od praw przyrody starczy za ekspryment bezpośredni.

W socyologii wreszcie jak w biologii »naukowe badania opierają się na trzech metodach fundamentalnych t. j. na czystej obserwacyi, na eksprymencie ścisłym i na metodzie porównawczej, która z natury rzeczy ma zastosowanie tam, gdzie badanie odnosi się do ciał żywotnych« (C. IV, 329). Dobra obserwacya jest trudna i rzadka, mówi Comte, a to dlatego, że dzisiejsze pozytywne teorye socyalne są ułomne bardzo. Bez teoryi zaś poprzedzającej obserwacyę wszelka praca jest bezowocna i daremna (str. 335). Potrzeba, żeby umysł badawczy już uprzednio wiedział, co chce ujrzeć w zjawisku, dokonywającem się w oczach. Inaczej obserwacya będzie bezowocną, a zjawisko przesunie się niespostrzeżenie przed obserwatorem. Trzeba nadto przy każdej obserwacyi zająć stanowisko widza bezstronnego i przez zespolenie się najwnętrzniejsze z najbardziej pozytywnemi teoryami (str. 337) pozbyć się wrodzonego i samorzutnego poglądu na rzeczy. Fakt społeczny powinien się okazać w całej rozciągłości społecznej w łączności z faktami poprzedzającymi. Przedstawiony bowiem w oderwaniu od rzeczywistych praw, tyczących się solidarności i następstwa zjawisk, nie przedstawia żadnej wartości naukowej. W tem świetle też trzeba patrzyć się na zwyczaje pozornie drobiazgowe, na wszelkiego rodzaju zabytki i na porównawcze studya językowe, które stanowią niewyczerpane dla badań socyologicznych źródła.

Inny rodzaj obserwacyi to ekspryment. Oczywista, ekspryment bezpośredni w socyologii niemożliwy, bo na wytworzenie zjawiska społecznego składa się cały szereg przyczyn z przeszłości dziejowej i z teraźniejszości. Życie atoli pośrednio wytwarzając najróżniejsze zjawiska starczy za ekspryment. Czem choroby dla organizmu ludzkiego, tem są zaburzenia społeczne dla organizmu społecznego. Ponieważ zaś te same prawa zasadnicze działają w zdrowym jak chorym organiźmie, przeto z analizy zaburzenia wnioskować można o pozytywnej teoryi stanu normalnego. Nauka patologii społecznej jeszcze się nie rozwinęła, ale pochodzi to, zdaniem Comte'a, stąd, że wszelka obserwacya czy pośrednia czy bezpośrednia suponuje już znajomość pewną zasadniczych praw społecznych. Znajomość tę przyniesie dopiero socyologia.

Szczególnie ważne w socyologii zastosowanie ma metoda

porównawcza. W statyce społecznej doniosłej wagi są porównania społeczeństwa ludzkiego ze społecznościami zwierzęcemi, zwłaszcza co się tyczy pierwszych zawiązków społecznych, pierwotnych instytucyi, które wytworzyły spontanicznie jedność rodziny czy rodu, w tej części elementarnej socyologii, zlewającej się prawie z biologią intellektualną i moralną, albo w dziale, zwanym historyą naturalną człowieka... tego rodzaju badania są nie tylko nader korzystne dla nauki, ale naprawdę konieczne dla filozofii« (C. IV, str. 351).

Chcąc zaś w dynamice społecznej poznać różne stopnie rozwoju ludzkości, należy porównać ze sobą różne, niezależne od siebie, społeczności ludzkie, rozrzucone na całej kuli ziemskiej, »począwszy od nieszczęśliwych mieszkańców ziemi ognistej aż do najbardziej ucywilizowanych ludów w zachodniej Europie. I nie wyobrazim sobie żadnego odcienia społecznego, któryby nie był zrealizowanym w pewnych miejscowościach kuli ziemskiej i prawie zawsze zupełnie oddzielnych od siebie (str. 355). Badania te porównawcze w świetle socyologii podjęte, przedstawią nam obraz w organicznej łączności ogólnego rozwoju ludzkości — co zdaniem Comte'a stanowi główny przedmiot socyologii.

Z drugiej jednak strony, metoda porównawcza w socyologii ma i swoje ujemne strony. Kto bada różne stopnie ewolucyi tylko na ludach współczesnych, nie wytłumaczy sobie genezy różnych faz ewolucyi i form społecznych, ani nie zrozumie znaczenia czynników społecznych. »Pierwsza wada, mówi Comte, największa i zarazem nieuchronna (metody porównawczej) polega na tem, że ona z natury rzeczy nie uwzględnia różnych stanów społecznych, w koniecznym porządku po sobie następujących, lecz przeciwnie bezpośrednio usiłuje je przedstawić jako współczesne (t. III, str. 356). Opierając się zbyt wyłącznie na niej, łatwo wziąć »proste modyfikacye drugorzędne«, wynikające z różnic rasowych, klimatycznych lub też klasowych, za główne fazy ewolucyi społecznej« (str. 357). To też zawsze z metodą porównawczą tak bogatą w rezultaty naukowe, powinna iść w parze metoda historyczna, która w systemie Comte'a właściwą jest socyologii. Na czem polega metoda ta? Nie idzie tu bowiem o metodę historyczną w dzisiejszem znaczeniu. Socyologia bowiem w rozumieniu Comte'a,

jest nauką ściśle abstrakcyjną i ma za cel badanie praw, rządzących społecznym rozwojem rodzaju ludzkiego (C. IV, str. 225). A więc i metoda musi się stosować do rodzaju nauki. Otóż, zdaniem Comte'a, chcąc zrozumieć rozwój jakiegoś zjawiska społecznego, trzeba przedewszystkiem wytworzyć sobie obraz rozwoju ogółu, gdyż wszystkie rodzaje zjawisk społecznych rozwijają się razem pod wpływem najróżniejszych, nawzajem krzyżujących się czynników. »Naprzód trzeba, mówi Comte, wytworzyć sobie w najogólniejszym zarysie obraz rozwoju rodzaju ludzkiego, t. zn. trzeba obserwować i powiązać w ogniwa najgłówniejsze fazy rozwoju, jakie ludzkość kolejno przechodziła w różnych kierunkach głównych. Następnie trzeba stopniowo przystąpić do wycieniowania z coraz większą precyzyą tego obrazu, przez ciągły podział dłuższych peryodów i rodzajów zjawisk obserwacyi. Tak samo pod względem praktycznym: naprzód naszkicowany pogląd w ogólnych zarysach na przyszłość rozwoju społecznego — to rezultat pierwszego studyum przeszłości. Następnie przystąpić należy coraz więcej do szczegółów w miarę jak znajomość poprzedniego rozwoju rodzaju ludzkiego, coraz więcej rozwijać się będzie. Ostatnie wydoskonalenie nauki, którego prawdopodobnie nigdy w zupełnej mierze nie osiągniemy, polegać będzie pod względem teoretycznym na dokładnej znajomości od samego początku rozwoju postępu poprzez wszystkie generacye i co do ogółu organizmu społecznego i co do każdej nauki i sztuki i każdej części organizacyi politycznej; a pod względem praktycznym na ścisłem zdeterminowaniu we wszystkich szczegółach istotnych systemu, który w rozwoju naturalnym cywilizacyi powinien zdobyć sobie panowanie. Taka jest metoda ściśle wypływająca z natury fizyki społecznej (t. j. socyologii)« [1]. Teraz co znaczą fazy rozwoju, jakie ludzkość przechodziła kolejno w różnych kierunkach najgłówniejszych t. z. *séries sociales*? Są to zjawiska społeczne umiejętnie ugrupowane dla kolejnego zbadania stosownie do ogółu faktów historycznych różnych stanów ludzkości, na które się składają z jednej strony bezustanny wzrost wszelkiego ustroju czy nastroju fizycznego, intellektual-

[1] *Système de politique positive. Appendice général*, str. 135/6.

nego, moralnego i politycznego, a z drugiej strony zaćmienie lub rozstrój nieokreślony w kierunku przeciwnym. Z danych tych można umiejętnie wysnuć wnioski o przyszłym rozkwicie lub upadku kierunków społecznych, oczywista pod warunkiem, że będą zgodne z ogólnemi prawami ewolucyi rodzaju ludzkiego (t. IV, str. 366).

Ważną odgrywa rolę w socyologii znajomość przeszłości historycznej. I pod tym względem błądzą bardzo nasi politycy, którzy zadawalając się obserwacyą teraźniejszości, albo w najlepszym razie najświeższej przeszłości, do błędnych dochodzą wniosków. Znajomość rewolucyi francuskiej albo filozofii z XVI wieku nie wystarczy do umiejętnej oryentacyi w dziedzinie polityki i filozofii XVIII wieku. Konieczną tu jest znajomość t. zw. seryi społecznych. Tylko po wszechstronnem zbadaniu przeszłości umiejętne wysnuć można wnioski o teraźniejszości i praktyczne wskazówki na przyszłość. Ale i tu potrzebna jest kontrola innych nauk pozytywnych, czyli innemi słowy każdy wniosek socyologiczny musi być zgodny z prawami organizmu ludzkiego. Tak np. z faktu, że obecnie ludzie mniej jedzą niż w wiekach ubiegłych, nie można wnioskować, że kiedyś w przyszłości zwolna zniknie wogóle potrzeba przyjmowania pokarmów. »W ścisłej tylko harmonii pomiędzy wnioskami bezpośrednimi analizy historycznej, a poprzedzającymi pojęciami teoryi biologicznej o człowieku tkwi przedewszystkiem główna siła naukowa dowodów socyologicznych (str. 373).

Tyle co do jedności metody objektywnej, ale w filozofii pozytywnej jest jeszcze metoda subjektywna, polegająca na tem, że wszystkie nauki fundamentalne celowo są dostrojone do socyologii i w niej znajdują najdoskonalsze swoje uzupełnienie. »Studyum wszechświata, mówi Comte, jest dla człowieka, albo raczej dla ludzkości; każdy inny program byłby w gruncie rzeczy i mało racyonalny i mało zgodny z moralnością« [1]. Metoda subjektywna wycisnęła na filozofii pozytywnej piętno antropocentryczne i na tem polega jej doniosłość i znaczenie. Nauka dla nauki, to hasło w mniema-

[1] *Système de politique positive*, t. I, str. 36.

niu Comte'a nieracyonalne i niemoralne. Celem bowiem nauki jest szczęście człowieka i ludzkości. Pracować nad tem, żeby całą przyrodę oddać w służbę człowieka, pracować w tym kierunku, żeby ludzkość cała zakwitnęła szczęściem i pokojem — oto cel filozofii pozytywnej i socyologii. Socyologia jest nauką najwyższą, a wszystkie inne mają tylko znaczenie względne i są jej podporządkowane. Każda z nauk tylko o tyle jest konieczną i o tyle ma być uprawianą, o ile jest potrzebną do rozwoju następnej nauki pozytywnej i ostatecznie do rozwoju socyologii, która ma rzucić podwaliny i ustalić zasady moralności i polityki. Tak tedy szczęście człowieka i ludzkości i śledzenie dróg, wiodących do szczęścia, to cel ostateczny filozofii pozytywnej i przedmiot bezpośredni socyologii. Nauki zaś nie zmierzające do tego celu nie mają racyi bytu. Astronomia np. powinna ścieśnić swój zakres badania do systemu planetarnego, który dla rozwoju ludzkości wielkie ma znaczenie. Szersze zaś badania w dziedzinie astronomii syderalnej, to »usiłowania nierozumne«, które »dziś już stanowią wielką aberacyę naukową, właściwą naukom astronomicznym«. Co więcej socyologia, zdaniem Comte'a, nada też kierunek właściwy naukom i zorganizuje pracę naukową w kierunku rozwoju ludzkości ku szczęściu ogólnemu. Dziś naukowa praca idzie bezładnie. Ideał wspólny łączący uczonych i ich usiłowania naukowe ku wielkiemu celowi — tak, jak ongi w średnich wiekach, dziś nie przyświeca uczonym. Zadanie to spełni dopiero socyologia, która w miejsce światopoglądu religijno-teologicznego, stworzy światopogląd religijno-humanitarny. Ona odsłoni tajemnicę przyszłości i przezwycięży obecne przesilenie i utoruje drogę do pomyślnego rozwoju społeczeństw. Ona w każdej dziedzinie wskaże zagadnienia, odnoszące się do szczęścia i pomyślnego rozwoju ludzkości, które jak najpilniej rozwiązać należy. I jedna myśl znowu ożywi i połączy uczonych w pracy nad dobrem ludzkości i jeden im ideał przyświecać będzie w usiłowaniach naukowych na drodze postępu ku jaśniejszej doli. Takie nadzieje żywi Comte na przyszłość.

(C. d. n).

Ks. Leonard Lipke.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny psychologii.

Adam Mahrburg: »Psychologia« (w »Podręczniku dla samouków«. Część pierwsza: Matematyka, nauki przyrodnicze). — J. Wł. Dawid: »O wykładzie psychologii, jako nauki doświadczalnej«. — Władysław Heinrich: »Die moderne physiologische Psychologie in Deutschland«. — Tenże: »Zur Prinzipienfrage der Psychologie«. — Tenże: »Teorye i wyniki badań psychologicznych«. Część pierwsza: Badania wrażeń zmysłowych«. — Tenże: »O wahaniach natężenia zaledwie dostrzegalnych wrażeń optycznych i akustycznych«. — Tenże: »Krytyczny przegląd dotychczasowych badań nad wrażeniami barwnemi«.—Tenże: »O stałości wrażenia zaledwie spostrzegalnego przy użyciu tonów czystych«.— Tenże: »O funkcyi błony bębenkowej«. — Stanisław Loria: »Untersuchungen über das periphere Sehen«. — W. Heinrich und L. Chwistek: »Über das periodische Verschwinden kleiner Punkte«. — Ks. Stanisław Kobyłecki T. J.: »Postulaty psychologii doświadczalnej«. — Tenże: »Über die Wahrnehmbarkeit plötzlicher Druckveränderungen«. — Dr. Anna Wyczółkowska: »Szkice psychologiczne«. — Taż: »O illuzyach optycznych«. — Dr. Bronisław Bandrowski: »O analizie mowy i jej znaczeniu dla filozofii«. — Dr. Kazimierz Wais: »Psychologia« tom IV. — Ks. dr. Franciszek Gabryl: »Psychologia«.

Nie istnieje może inna nauka, któraby w ostatnich latach trzydziestu przeszła tak głęboko sięgające przeobrażenia, jak psychologia. Z nauki prawie wyłącznie spekulacyjnej, jaką była psychologia, aż do połowy zeszłego wieku, zaczęła ona przekształcać się w naukę opartą na najszerszych podstawach doświadczalnych i badawczych. Na tory doświadczenia skierował wprawdzie już przed wiekami badania psychologiczne wielki Ojciec Kościoła św. Augustyn, ale jego sposób pa-

trzenia w życie wewnętrzne człowieka, w wiekach późniejszych niewielu znajdował naśladowców. Dopiero w stuleciu XIX podjęto pracę badawczą nad życiem duchowem i jego różnorodnymi objawami na skalę bardzo szeroką. Psychologowie zaczęli stosować eksperyment; — skutkiem pobudki danej przez Wundta w Lipsku powstały liczne pracownie psychologiczne. Obecnie doszło już do tego, że prawie niema większego uniwersytetu w Europie i w Ameryce, któryby nie posiadał już choćby zawiązku jakiegoś instytutu psychologicznego. Nasz uniwersytet krakowski uczynił w tym kierunku także już krok pierwszy, za którym oby wkrótce poszły dalsze. Obfitego materyału dostarczyły psychologii również inne działy wiedzy, które w zeszłym wieku intenzywnie rozwijać się zaczęły. Do działów takich należy przedewszystkiem fizyologia, następnie antropologia, etnografia i t. d. W związku z tym rozwojem psychologii, jako nauki doświadczalnej, dokonywał się jednak także inny jeszcze proces. Psychologia, jak gdyby dla okazania i zadokumentowania swojej pełnoletności i samoistności zaczęła wyrzekać się wszelkiego z filozofią związku i uznawać się albo za naukę całkiem odrębną, albo też zaczęła przyznawać się do wspólnej z naukami przyrodniczemi przynależności.

Hasło w tym kierunku wydał w roku 1870 głośny psycholog francuski Ribot. W dziele p. t. »Psychologia angielska współczesna« wyraził on zapatrywanie, że pierwotnie wszystkie nauki były częściami filozofii, później oddzielały się od niej, stawały się samoistnemi; otóż to samo czyni obecnie także psychologia. Uzyskanie takiej niezależności wydaje się Ribotowi bardzo ważnem, oznacza bowiem zerwanie z wpływami spekulacyi metafizycznych, które krępując myśl formułkami ogólnemi, nie pozwalają jej oceniać przedmiotowo rzeczywistości i zużytkowywać doświadczenia w sposób całkiem niezależny. Hasło wydane przez Ribota podziałało, ruch w kierunku usamowolnienia psychologii zaczął wzrastać, przyłączył się do niego także Wundt, który wówczas z przyrodnika-fizyologa zaczynał dopiero przeobrażać się w filozofa, i ogłosił również psychologię za naukę przyrodniczą; za nim poszło wielu jego uczniów. Lekarze, tudzież przyrodnicy rozmaitych odcieni podchwytywali skwapliwie myśl zaliczenia psychologii do grupy nauk przyrodniczych w nadziei, iż na tej drodze zdołają najłatwiej i najprędzej życie duchowe człowieka sprowadzić do procesów chemiczno-fizyologicznych. Wyznaję otwarcie, iż ja sam wpływom tym przed laty trzydziestu do pewnego stopnia uległem. W pracy mojej bowiem francuskiej napisanej przed laty trzydziestu p. t. *La psycho-*

logie est-elle une science?, wystąpiłem wprawdzie energicznie przeciw zaliczaniu psychologii do nauk przyrodniczych, ale z drugiej strony przyznałem jej jednak stanowisko całkiem samoistne i od filozofii odrębne. Obecnie przeszła już psychologia swoją *Sturm und Drang-periode*, ruch znacznie się uspokoił i rozszerzył, badania psychologiczne pogłębiły się i krytycznie dojrzały, w związku zaś z tem zaczynają też i psychologowie na swój stosunek do filozofii całkiem innem patrzeć okiem.

Uczeni i autorowie polscy brali do niedawna w tym wielkim ruchu, który psychologię ogarnął, udział bardzo mały. Dziwić się zaś temu nie można; psychologiczne badania dzisiejsze wymagają wielkich środków, potrzebują miejsca, spokoju, odpowiednich, a nieraz bardzo kosztownych przyrządów, a więc i znacznych pieniężnych nakładów. W krajach zachodnich rządy nie żałują na te cele funduszów. Gdy przed laty trzydziestu paru Wundt przyjął w Lipsku katedrę filozofii, urządzono dlań z wielkim sumptem instytut, który wkrótce stał się wzorem dla wielu innych; u nas w Polsce któż miał łożyć na te cele? Pod rządami rosyjskim i pruskim nie posiadamy własnych ognisk naukowych, w Austryi zaś zarząd oświaty zawsze bardzo oszczędny, do tego ostrożny i bojaźliwy, a na wszelkie nowości do niedawna niechętnem patrzący okiem, wzbraniał się długi czas utworzyć nawet w Wiedniu osobny instytut psychologiczny, czyż więc mogły marzyć o czemś podobnem nasze polskie uniwersytety. Obecnie zaczynają i u nas także stosunki poprawiać się, w związku zaś z tem ożywiła się także cokolwiek twórczość na polu badań psychologicznych. Do niedawna nie mieliśmy nic prócz paru tłumaczeń z obcych języków dokonywanych po największej części w Warszawie, teraz wystarczy tylko rzucić okiem na wiązankę tytułów wypisanych na wstępie do niniejszego przeglądu, aby dojść do przekonania, że posiadamy już zawiązek własnej literatury psychologicznej i że zapęd do badań na tem polu i u nas coraz wyraźniej się objawia. Nie wszystkie wprawdzie wymienione w nagłówku prace pisane są w języku polskim, niektóre ubrały się w szatę językową niemiecką, ze względu jednak na fakt, że autorowie ich są Polakami, a po niemiecku ogłosili niektóre z prac swoich dlatego, że, albo zależało im na pomieszczeniu tych prac w czasopismach fachowych, albo, że pragnęli prace swoje uczynić przystępnemi szerokiemu gronu uczonych europejskich — mamy, jak mniemam, wszelkie prawo zaliczyć ich do naszych polskich na polu psychologii pracowników. Jest wprawdzie ta nasza literatura psychologiczna

współczesna jeszcze bardzo skromna szczególnie w porównaniu do literatury w językach obcych; bibliografia psychologii wykazuje teraz już w każdym roku po parę tysięcy numerów; my zaledwo na kilka w roku wskazać możemy, ale jednak coś już jest, a i o tem co jest pomówić warto. W przegląd mój niniejszy oczywiście nie wciągnąłem całego naszego dorobku na polu psychologii, uwzględniłem tylko te prace, które znam a nadto wypuściłem i takie, o których dawniej już na tem samem pisałem miejscu; do takich należą: Dzieduszyckiego rozprawa o uczuciach ludzkich, Abramowskiego dwie prace wyszłe osobno p. t. »O jednostkach psychicznych« i »Dusza i ciało«, wreszcie trzy tomy »Psychologii« ks. Kazimierza Waisa. O tych pracach drugi raz pisał już nie będę, jeżeliby więc czytelnik zapragnął uzupełnić sobie obraz naszej psychologicznej literatury z lat ostatnich, to pozwalam sobie odesłać go do moich krytyk i omówień dawniejszych, które tak samo jak niniejsze pojawiły się w zeszytach *Przeglądu Powszechnego*. Sprawozdanie obecne rozpocznę od rozpatrzenia paru prac programowych, rozbiór ich wskaże najlepiej, na jakie to tory usiłowano i u nas badania psychologiczne wprowadzić.

Nie mówiąc o pierwszych rozprawach d-ra Juliana Ochorowicza z lat siedmdziesiątych tudzież o mojej wyżej wymienionej pracy francuskiej z przed lat trzydziestu, która doczekała się w r. 1900 na kongresie psychologów w Paryżu zaszczytnej wzmianki ze strony znanego badacza Delbeuf'a, wystąpiła psychologia u nas w sposób niejako oficyalny na widowni naukowej na szóstym zjeździe przyrodników i lekarzy polskich w Krakowie w r. 1891. Na zjeździe tym utworzono osobną sekcyę psychologiczną, która obradowała pod kolejnem przewodnictwem d-ra Ochorowicza, prof. Raciborskiego i prof. Cybulskiego, odczytano na nich i przedyskutowano aż dziewięć referatów, z tych dwa dotyczyły zagadnień ogólniejszych, pięć zajmowało się zagadnieniami z zakresu psychologii ściślejszej, teoretycznej, dwa zaś poświęcili tacy uczeni, jak dr. Ochorowicz i dr. Rzeczniowski zastosowaniom psychologii do medycyny. Oprócz tego wygłosił na drugiem posiedzeniu walnem tegoż zjazdu w dniu 20-ym lipca p. Adam Mahrburg odczyt p. t. »Psychologia współczesna i stanowisko jej w systemie wiedzy«. Na odczyt ten muszę się powołać mając mówić o jednej z najnowszych prac tego samego autora, a mianowicie o jego artykule zamieszczonym w pierwszej części wychodzącego w Warszawie »Podręcznika dla samouków« p. t. »Psychologia«. Pan Adam Mahrburg opracował w »Podręczniku« w osobnych artykułach wszystkie działy

filozofii, tymi jednakże zajmował się tutaj nie będę, z »filozofią« p. Mahrburga w całości wziętą rozprawię się wkrótce przy innej sposobności, tutaj zajmę się tylko jego wywodami najnowszymi, dotyczącymi psychologii.

Już w odczycie z r. 1891 przedstawił się p. Mahrburg członkom szóstego zjazdu polskich przyrodników jako zwolennik stanowczy poglądu, zaliczającego psychologię do nauk przyrodniczych. Słusznie zresztą przemawia on tam za zupełną niezależnością psychologicznych badań od wszelkich spekulacyi metafizycznych. Zaliczenie psychologii do nauk przyrodniczych w owym wykładzie możnaby mu nawet wybaczyć ze względu na fakt, iż w owych czasach wielu najznakomitszych psychologów myślało tak samo, trudno więc żądać od człowieka, który nigdy nie próbował myśleć samoistnie, aby w sprawach psychologii miał zdanie odmienne od zdania powag obcych. W tym samym jednak odczycie p. Mahrburga było tyle sprzeczności i tyle niekonsekwencyi, taka tam objawiała się chwiejność między kierunkiem materyalistycznym a fenomenalistycznym, iż na ogół mówiąc ten program dla przyszłych badań psychologicznych polskich przedstawiał się bardzo niepokaźnie. Po latach jednakże blizko dziesięciu można było mieć nadzieję, iż p. Mahrburg poglądy swoje znacznie pogłębił, że posunął się naprzód wraz z postępem nauki i że skutkiem tego udzielił »Samoukom« w »Podręczniku« rad i wskazówek o wiele dojrzalszych od poglądów wygłoszonych w odczycie. Niestety, kto przeczyta rozdział w »Podręczniku dla samouków« i zestawi go z odczytem z r. 1891, przyjdzie do wręcz odmiennego przekonania. Wprawdzie początek artykułu jest tego rodzaju, iż czytelnik ze sprawami psychologii obeznany, przytakuje i cieszyć się zaczyna, że krytyczne myślenie u p. Mahrburga tak znaczne poczyniło postępy, ale radość ta w miarę dalszego czytania zniknąć musi i w końcu pozostaje przeświadczenie, iż po dobrym początku objawił się w myślach zamęt fatalny, z którym żaden samouk poradzić sobie nie potrafi.

Posłuchajmy, co mówi p. Mahrburg na wstępie do swojej programowej pracy psychologii poświęconej: »Wszyscy wiemy — pisze on na str. 549 części pierwszej »Podręcznika dla samouków« — co to jest być świadomym, doznawać czegoś, mieć pewną treść daną sobie, przytomną lub uświadomioną. Wyraz tedy świadomość oznacza cechę wspólną wszystkim stanom psychicznym bez względu na ich rodzaj i treść, która bywa raz po raz zmienną: świadomi bywamy barwy czerwonej, głodu, radości i nie możemy zdać sobie sprawy z tego,

czem mogłaby być czerwoność, głód, radość o ileby nie były kiedyś, gdzieś i u kogoś uświadomione, tak mniej więcej jak je znamy z własnego doświadczenia«. O parę zaś wierszy niżej na str. 550 dodaje w dalszym ciągu: »Świadomość jest dla psychologii faktem podstawowym, głównym, zasadniczym. Wszystkie inne nauki zajmują się zawsze czemś, co bywa lub może być uświadomione, jakąś treścią ze względu na jej znaczenie przedmiotowe, tymczasem psychologia zajmuje się samą sprawą uświadomienia jakiejkolwiek treści, samym faktem świadomości ze względu na jego znaczenie podmiotowe, na jego istnienie w nas istotach myślących, czujących, pożądających, pomija zaś kwestyę wartości tego faktu«. Dalej przychodzą znowu uwagi niemniej słuszne: »Gdy objaśniamy jakikolwiek fakt świata przedmiotowego, rozkładamy go na takie prostsze składniki jak: położenia, kształty, ruchy, opory i w tem rozkładaniu posuwamy się aż do granicy, gdzie w danych warunkach doświadczenia dalsze rozkładanie staje się niemożebnem; natenczas staramy się pokazać, jak z faktów prostych powstaje złożony i na tem polega wszelkie objaśnienie faktów świata przedmiotowego; chodzi o zrozumiałe przywiedzenie wszystkiego do możliwie najprostszych doświadczeń. »Świadomości natomiast rozkładać tak, jak to czynimy z faktami świata przedmiotowego, nie możemy, gdyż stan świadomości nie da się pojąć, jako położenie, kształt, ruch, opór, lub jako coś z położeń, kształtów, ruchów, oporów złożonego. Rozkładać możemy tylko treść uświadomioną, ale nie sam fakt uświadomienia. Skorośmy tylko treść pewnego stanu duchowego zdołali rozłożyć na jej najprostsze składniki znane z doświadczenia, pozostaje jeszcze fakt uświadomienia, który zarówno cechuje treść najzawilszą, jak najprostszą. Należy go uznać za fakt pierwotny, to znaczy: do niczego nie dający się sprowadzić, z niczego wysnuć a więc nie podlegający objaśnieniu chociaż znany«.

Wszystko to zupełnie słuszne i bardzo rozumnie powiedziane, czytelnik po prostu i logicznie myślący wyciągnie z takich założeń oczywiście wniosek, że skoro przedmiot psychologii tak bardzo różni się od przedmiotów innych nauk, szczególnie przyrodniczych, zajmujących się sprowadzaniem wszystkiego, co w przedmiotach dzieje się do »położenia«, »kształtów«, »ruchów«, »oporów«, to oczywiście niemożliwą okaże się rzeczą, zmięszać psychologię z naukami przyrodniczemi. Musi to być widocznie jakaś nauka odmienna od przyrodniczych; może stać nawet w związku z przyrodniczemi badaniami, bo przecież wiadomo,

że wszystkie nauki mogą się wzajemnie ze sobą łączyć i wspierać. Wszystkie nauki są owocami pracy umysłów ludzkich, odciąć nożem jednych badań od drugich nie można. Niewątpliwie przeto będzie miała psychologia mnóstwo punktów stycznych z naukami biologicznemi. Wszak świadomość na tle życia tylko pojawia się. Ale tu nie idzie przecież o to, czy świadomość może niezależnie od organizmu wystąpić, ale idzie całkiem o co innego. Charakter psychologii jako nauki odrębnej od przyrodniczych, nie wymaga wcale zapuszczania się w spekulacye metafizyczne nad naturą duszy od ciała niezależnej, tu wystarczy najzupełniej fakt, że świadomość — jak mówi p. Mahrburg — »do niczego nie da się sprowadzić i z niczego wysnuć«, a więc nie można jej objaśnić przez »położenia, kształty, ruchy, opory«. W naukach o świecie przedmiotów a więc i w naukach biologicznych, w naukach zajmujących się organizmami, badacz także sprowadza wszystko do położeń, kształtów, ruchów, oporów, — psycholog uczynić tego nie może, z tego wniosek, że psychologii — bez względu na jakąkolwiek metafizykę, taką lub owaką, — powinnyby być przyznane cechy jakiejś nauki od przyrodniczych odrębnej. Łaskawy czytelniku! Twój rozum, i twoja logika cechująca zwykłego śmiertelnika możeby tak rozumowała, ale pamiętaj o tem, że twoja logika nie jest i nie może być logiką takiego umysłu, za jaki we własnem mniemaniu uchodzi p. Mahrburg. Ma on swoją »nadlogikę« a ta prowadzi go do całkiem odmiennych wyników. Oto z założenia, że świadomość nie da się sprowadzić do niczego, że stany psychiczne nie dadzą się rozłożyć na te składniki, na które nauki przyrodnicze rozkładają jakikolwiek fakt świata przedmiotowego, wynika u p. Mahrburga, że »psychologia, która bada część rzeczywistości, pewną odrębną grupę zjawisk i spraw w przyrodzie, jest nauką realną w przeciwstawieniu do takich formalnych, jak logika i matematyka, jest nauką przyrodniczą w przeciwstawieniu do nauk humanistycznych inaczej zwanych duchowemi, jak filologiczne, historyczne, społeczne i filozoficzne«. Prawda, jaki to jest istotnie »nadlogiczny« wniosek w zestawieniu z poglądami poprzednio wyłuszczonymi! Dowiadujemy się więc tutaj, że psychologia jest nauką przyrodniczą dlatego, że bada część rzeczywistości a jest nią w przeciwstawieniu do nauk humanistycznych, inaczej duchowemi zwanych. Widocznie więc te ostatnie nie zajmują się żadną częścią rzeczywistości, inaczej bowiem byłyby również przyrodniczemi. Ale z takiego zapatrywania można wysnuć jeszcze innego rodzaju dziwoląga logicznego. Oto według

pana Mahrburga do nauk humanistycznych *recte* duchowych, należy wszystko, co jest wytworem czyli dziełem świadomości i duchowości ludzkiej, nauka zaś badająca świadomość samą ma być nauką przyrodniczą. Niechaj się połapie kto potrafi w tych bałamuctwach, ja do tego nie czuję się powołanym.

Idźmy jednak jeszcze dalej w ślad za poglądami p. M. i wysnuwajmy z nich odpowiednie wnioski. Jeżeli życie duchowe można rozważać tylko jako część przyrody, to pytam się jakiem prawem możemy usuwać z zakresu przyrody dzieje, kulturę, moralność, naukę, religię i t. d., jakto, więc duchowość jest częścią przyrody a jej objawy i dzieła nie, ba, czemżeż w takim razie jest ta duchowość bez swoich objawów i bez tego co tworzy? Oddzielenie się nauk humanistycznych od przyrodniczych, mamy na stronie 552 objaśnione w następujących słowach: »Ze względu na to, że wszystko, co człowiek wytwarza zależy w znacznym stopniu od jego ocen uczuciowych i zajętych przezeń stanowisk umysłowych, że zatem występują tu odrębne warunki, wydzieliły się nauki humanistyczne, poświęcone nie człowiekowi, jako części przyrody, lecz sprawom i dziełom ludzkim, nieobojętnym pod względem praktycznym«. A więc człowiek jest częścią przyrody, sprawy zaś i dzieła jego nie!

Wszystkie te jednak bałamuctwa przewyższa znacznie wywód na stronie 554, czytamy tam co następuje: »Nigdy doświadczenie nie okazuje nam stanów lub spraw psychicznych, niezależnie od warunków materyalnych czyli fizycznych, które znów stanowią właściwy przedmiot badań rozmaitych nauk przyrodniczych. P r a w d a, ż e ż a d n e g o s t a n u ś w i a d o m o ś c i n i e m o ż e m y w y s n u ć l u b o b j a ś n i ć z j a k i e g o k o l w i e k s k ł a d u w a r u n k ó w f i z y c z n y c h, bo nic nie znamy, coby mu było wspólnem. Jest wszakże okoliczność, która je wiąże nierozerwalnie w naszem doświadczeniu: oto jedne i drugie zachodzą i trwają w czasie, stale w doświadczeniu bywają dane współcześnie i bezpośrednio po sobie. Ta spółczesność, albo następczość »u w a r u n k o w a ń«, stanowi jedyne, dostępne dla nauki ogniwo, wiążące zjawiska i sprawy psychiczne z fizycznemi; ale ogniwo to wystarcza do ugruntowania psychologii w charakterze nauki doświadczalnej i na podstawach przyrodniczych. Ogniwo to psychologia sformułowała i stosuje pod nazwą zasady parallelizmu. Jak w świadomości mieliśmy fakt pierwotny, który psychologię wyodrębnia jako naukę samoistną, tak w zasadzie parallelizmu mamy pierwotne i niedające się objaśnić założenie, które jednak doświadczenie nam narzuca i które

staje się nicią przewodnią przy objaśnianiu w psychologii zapomocą nauk przyrodniczych«.

Trudno zaiste o nagromadzenie w jednym ustępie większej ilości nieporozumień i niejasności. Najpierwej dowiadujemy się, że stanu świadomości nie można objaśnić ze składu warunków fizycznych, następnie słyszymy, że zarówno stany psychiczne, jak zjawiska fizyczne trwają w czasie i bywają w doświadczeniu dane spółcześnie i bezpośrednio po sobie, wkońcu następstwo lub współczesność o b j a w ó w przemienia się w zdaniu dalszem w następstwo lub współczesność u w a r u n k o w a ń, to wszystko przyprawione szumną, ale wcale nie objaśnioną nazwą parallelizmu, ma służyć za dowód, iż psychologia jest nauką przyrodniczą. Na podstawie takiego samego rozumowania możnaby dowieść, że np. także i historya prawa należy do nauk przyrodniczych. Albowiem nie można wprawdzie jakiegokolwiek urządzenia prawnego w społeczeństwie ludzkiem »wysnuć ze składu warunków fizycznych«, ale ponieważ zjawiska przyrody i rozwój prawodawstw »zachodzą i trwają w czasie, a w doświadczeniu bywają dane współcześnie lub bezpośrednio po sobie«, a więc wynika z tego, że... historya prawa jest nauką przyrodniczą. Czytelnik raczy mi wybaczyć, że posłużyłem się w tem miejscu przykładem nieco drastycznym, zdaje mi się jednak, że na takim właśnie można najlepiej wykazać całą bezpodstawność rozumowań p. Mahrburga, posługując się przytem jego własnymi zwrotami. Jeżeli teraz zapytamy, co te wszystkie wywody właściwie oznaczają, to możemy na takie pytanie odpowiedzieć, że jest to tylko wprowadzanie do psychologii najgorszego rodzaju metafizyki. Zasadę stosownie przykrojonej współrzędności, podnosi się do znaczenia dogmatu, który przyjęty na wiarę ma służyć za podstawę całej nauce. Najpierwej słyszymy, że stan psychiczny do niczego sprowadzić i z niczego wysnuć się nie da, wkońcu zaś dowiadujemy się, że zadaniem psychologii jest badać sprawy psychiczne w ich stałych uwarunkowaniach fizycznych. Raz czytamy, że świadomość jest faktem nie dającym się złożyć z niczego, coby było prostszem (str. 550) drugi raz znowu, że zjawiska psychiczne należą pod względem uwarunkowań do najzawilszych (str. 594)!

Zapytujemy teraz, jakie może być źródło tych wszystkich bałamuctw. Odpowiedź na to można dać jedną tylko, oto autor artykułu o psychologii w »Podręczniku dla samouków«, przystąpił do napisania go z głową nabitą mnogością, najrozmaitszego rodzaju uprzedzeń. Wprawdzie zdawał sobie sprawę z różnicy między

zjawiskiem fizycznem a stanem psychicznym, ale cóż z tego kiedy z drugiej strony przejęty jest ciągłą obawą, aby go przypadkiem ktoś nie posądził o jakieś skłonności spirytualistyczne lub dualistyczne. Zamiast poprzestać na stwierdzeniu różnic faktycznych, a w metafizykę nie wdawać się wcale, on z góry stawia dogmat, że psychologia badając część rzeczywistości, bada »grupę zjawisk w przyrodzie«. Tu możemy zaraz postawić autorowi zapytanie: a co to jest przyroda? Skąd autor wogóle o tem z góry wie, że jakaś »przyroda« istnieje? Czyż nie jest to poprostu przerzuceniem własnej abstrakcyi w rzeczywistość? Z mnóstwa naszych treści czuciowo wrażeniowych, abstrahujemy jakieś ogólne pojęcie przyrody i przypisujemy mu następnie istnienie, tak samo, jak czynimy to również z pojęciem materyi. Czy pan M. nie zdaje sobie sprawy, że jego określenie psychologii możnaby odwrócić i zastosować np. do fizyki w następujący sposób: ponieważ fizyka zajmuje się grupą naszych treści psychicznych, a więc wynika z tego, że jest nauką duchową, tak samo, jak i filologia. Jeżeli p. M. twierdzi z góry, że wszystko jest przyrodą, to z takiem samem prawem może ktoś inny twierdzić z góry, że wszystko jest duchowością. To drugie będzie tak samo naiwnem przerzuceniem abstrakcyi własnych w rzeczywistość zewnętrzną, jak i pierwsze. Kto pragnie uzasadnić racyę bytu psychologii, jako nauki odrębnej, ten powinien przystąpić do rozpatrzenia jej założeń bez żadnych z góry powziętych poglądów metafizycznych. Kto początkującemu samoukowi pragnie wskazać drogę, niech mu nie zawraca głowy jakiemiś abstrakcyami lub pojęciami takiemi jak przyroda, jak parallelizm, materyalizm i wszelkie inne »izmy«, lecz niechaj wyjdzie z najprostszych i najoczywistszych faktów. Pan M. miał widocznie dobre zamiary, bo dobrze zaczął, ale cóż z dobrego początku, kiedy mu już zaraz na trzeciej stronnicy wjechała do głowy metafizyka i dobry początek poszedł w zapomnienie.

Tymczasem faktem oczywistym jest, że w stanach naszej świadomości mamy dane pewne czuciowo-wrażeniowe treści i mamy dany stan sam. Otóż badaniem i rozpatrywaniem związków między tem wszystkiem co wchodzi w zakres treści czuciowo-wrażeniowych, odnoszonych do naszego otoczenia zajmują się nauki matematyczno-przyrodnicze, zaś badaniem samego stanu psychicznego, czyli stanu świadomości, zajmuje się psychologia. Z tego wynika, że kto nie chce zabawiać się w metafizykę, lecz kto bierze tylko sam fakt pod rozwagę, ten nie może zaliczyć psychologii do nauk przyrodniczych; stan bowiem psychi-

czny, świadomość nie jest żadną czuciowo-wrażeniową treścią, nie należy do naszego otoczenia, stan psychiczny nie da się — jak to zresztą p. M. sam napisał — sprowadzić, do kształtów, ruchów, oporów, a zatem kto pragnie utrzymać w myślach swoich jakiś ład i porządek nie powinien mięszać psychologii z naukami przyrodniczemi. Nie ubliża to w niczem doświadczalnemu charakterowi psychologii, jest ona nauką doświadczalną gdyż inną być nie może, ale z tego wcale nie wynika, aby była przyrodniczą. Wynikami badań przyrodniczych ma ona prawo posługiwać się, tak samo, jak historya ma prawo posługiwać się wynikami badań geograficznych lub geologicznych, a archeologia metodami badań np. chemicznych. Ale z tego, że psychologii wielkie usługi oddała fizyologia, przecież wcale nie wynika, aby jednę pomięszać z drugą. Zdajmy sobie tylko całkiem poprostu raz jeszcze sprawę z tego, co jest przedmiotem badania dla fizyologii, a co dla psychologii. Wezmę dla objaśnienia przykład najprostszy: Doznaję wrażenia barwy zielonej. Jeżeli zwrócę uwagę badawczą na treść doznawaną i zacznę rozpatrywać związek pomiędzy przebiegami w otoczeniu fizycznem dziejącymi się umożliwiający pojawienie się tej treści w mojej świadomości, wówczas będę badał jako fizyk, jeżeli dalej zacznę rozpatrywać związek między przebiegami dokonywującemi się w organizmie a umożliwiającymi tę właśnie treść w świadomości, wówczas będę badał jako fizyolog, jeżeli natomiast zwrócę uwagę na sam stan czucia zielonej barwy i stan ten zacznę rozpatrywać, opisywać i zechcę zbadać wszystko, co tylko stanowi właściwość tego stanu w związku i w zależności od innych stanów, a także w zależności od różnych objawów życia, lub w zależności od przebiegów w otoczeniu fizycznem, wówczas będę badał jako psycholog. Oto różnica jasna i prosta: pytam się czy wobec tego do uzasadnienia psychologii potrzeba jakiejkolwiek na parallelizmie opartej metafizyki? Oczywiście, że badając naturę stanu psychicznego np. »czucie barwy zielonej«, posłużę się do tego celu wynikami badań fizycznych i fizyologicznych, ale odegrają one w mojem badaniu rolę tylko środków pomocniczych; tak samo jak na odwrót pomocą w badaniach fizyka będzie zarówno stan czucia barwy zielonej jak i wszelkie inne doznawane wrażenia, które będą mogły doprowadzić badacza do wytworzenia sobie jakiegoś obrazu naukowego o przebiegach dokonywujących się w otoczeniu fizycznem, gdy w świadomości czucie barwy zielonej występuje. Tak pojmując zadania psychologii, uważam też za rzecz całkiem niewłaściwą mówienie — jak to czyni p. Mahrburg na str. 570 — o jakimś szeregu

osobnych »dyscyplin psychologicznych«, leżących pomiędzy psychologią ogólną a szeregiem nauk przyrodniczych, dyscyplin takich, jak np. psychofizyka, psychofizyologia, psychobiologia, a nawet psychochemia! Wszystkie te nazwy polegają na grubych nieporozumieniach i jestem przekonany, że wkrótce z nauki wymiecione będą. Gdy Wundt przed laty zaczął wydawać swoją psychologię, to zatytułował ją: *Physiologische Psychologie*. W czasach przejściowych miała ta nazwa istotnie pewien sens. Chodziło o zaznaczenie, że autor nie będzie zajmował się spekulacyami metafizycznemi na temat duszy i życia duchowego, lecz że będzie badał stany psychiczne zużytkowując do tego celu, jako środek pomocniczy, wyniki badań fizyologicznych. Gdy Fechner swoje dzieło nazwał »Psychofizyką«, to jakkolwiek nazwa ta nie była zbyt trafnie dobraną, jednak można ją było na razie przyjąć celem wyróżnienia zarówno jego nowych metod i nowych sposobów patrzenia na stosunek stanów psychicznych do przebiegów w otoczeniu, jak i celem przeciwstawienia jego nauki psychologiom ze szkoły Herbartowskiej. Ale w dzisiejszych czasach rozprawiać o jakichś psychofizyologiach lub nawet psychochemiach (!) jest po prostu bałamuctwem. Albo badania te będą dotyczyły funkcyi organów fizyologicznych, np. nerwów, celem więc ich będzie wytworzenie sobie obrazu naukowego o zmianach i związkach zachodzących w funkcyach organizmu — w takim razie badania te będą badaniami fizyologicznemi, albo też będą one dotyczyły stanów psychicznych, to wtedy wyniki badań fizyologicznych posłużą za środek pomocniczy, wówczas będziemy mieli psychologię. Dzisiaj gdy nie można już mówić o psychologii naukowej innej, jeno na doświadczeniu opartej, niema też żadnej racyi do wprowadzania jakichś nomenklatur, które mogą przedstawiać tylko taką wartość, iż wzajemny stosunek nauk do siebie uczynią niejasnym i niezrozumiałym [1]. Tak samo niema najmniejszego powodu do wyróżniania jakiejś psychologii ogólnej od rozmaitych nibypsychologii szczegółowych. Cóż to jest właściwie owa psychologia ogólna? Oto jeżeli ten lub ów uczony przystąpi do pisania dzieła obejmującego całość badań psychologicznych, jeżeli w przedstawieniu swojem będzie się starał objąć wszystkie wyniki badań dokonanych do tego czasu nad naturą,

[1] Najlepszym dowodem do jakiego stopnia poglądy na psychologię obecnie już się rozjaśniły jest fakt, że czasopismo niemieckie, które długi czas wychodziło p. t. *Zeitschrift für Psychologie und Physiologie der Sinnesorgane*, obecnie podzieliło się na dwa czasopisma, z których jedno zajmuje się psychologią a drugie fizyologią zmysłów.

nad powstawaniem i przebieganiem, tudzież nad wzajemnymi związkami i rozwojem stanów psychicznych, wówczas będziemy mieli psychologię ogólną, jeżeli zaś psycholog uczyni przedmiotem swoich dochodzeń szczegółowych jakiekolwiek osobne zagadnienie psychologiczne, jeżeli po prostu mówiąc zamiast wykładu całość przedmiotu obejmującego, lub zamiast podręcznika napisze monografię, opartą głównie na wynikach własnych badań, wówczas będziemy mieli psychologię szczegółową. Wszystkie kratki, które p. Mahrburg w swoim artykule pokreślił i nomenklatury, które powprowadzał dowodzą tylko, iż sam w psychologii nigdy samoistnie nie pracował, żadnego szczegółowego zagadnienia rozwiązać nie próbował, lecz tylko zawsze przypatrywał się temu, co inni robili i to n. b. bardzo z daleka. Jeżeli ktoś bada psychologię tłumu, to bada szczegółowe zagadnienie z zakresu psychologii i nic więcej. Jeżeli ktoś bada wpływ tego lub owego urządzenia społecznego na świadomość ludzką lub na przebieganie stanów psychicznych, ten także zajmuje się zagadnieniem szczegółowem. Naukę jakąś pokratkować, to nie jest wielką sztuką, ale w nauce w sposób twórczy pracować, to zaiste o wiele jest trudniej.

Następstwem też takiego nad wyraz niejasnego i pobieżnego rozważania sprawy psychologii będzie, iż samouk z rad udzielanych przez p. Mahrburga pożytku wielkiego nie odniesie. Cóż tu znaczą i jakąż wartość mogą posiadać takie np. rady, jak znajdujące się na str. 576, t. j., że »socyolog będzie musiał specyalnie zapoznać się z psychologią tłumu i społeczeństw, etyk z psychologią obyczajów, wchodzącą w skład etnopsychologii, estetyk i badacz literatury z psychologią twórczości i t. d. Oczywiście samouk czytając to pomyśli sobie przerażony. Cóż to za mnogość jakichś osobnych »dyscyplin«, jak wyraża się po polsku p. Mahrburg — gdzież ja sobie z tem wszystkiem poradzę! Tymczasem jednak to nie wygląda tak strasznie, nie istnieją bowiem żadne takie osobne »dyscypliny«, istnieją tylko badania szczegółowe nad różnemi zagadnieniami w zakres psychologii wchodzącemi. Zamiast radzić samoukowi ogólnikowo, aby zapoznał się z psychologią tłumu lub społeczeństw, lepiej było zaiste wymienić po prostu kilka szczegółowych monografii zagadnieniem tem zajmujących się, lub dać mu wskazówki, jak ma samoistnie badać wpływ tłumu na świadomość ludzką, albo wpływ na nią tych lub owych urządzeń społecznych. Z takiej rady skorzystałby samouk na prawdę, ze wskazówki zaś, że ma zająć się jakowąś osobną »dyscypliną« nazywającą się: »psychologia społeczeństw« nie nauczy się niczego. Bardzo

też niepraktyczne są rady udzielane przez naszego autora samoukom w sprawie specyalnego kształcenia się w psychologii. Pan Mahrburg powiada, że »przystępujący do psychologii powinien nasamprzód poprzestać na jakimkolwiek jednym z polecanych podręczników, bo bez podręcznika obyć się nie może i temu powierzyć się zupełnie« (str. 583), powinien poddać się niejako tyranii zawartych w nim myśli. »Dopiero— pisze dalej — gdy się sobie tak przyswoiło cudzą wiedzę i myśl, że się stały naszem własnem stanowiskiem, dopiero wtedy można z pożytkiem przejść do innego podręcznika lub rozprawy psychologicznej jakiemuś zagadnieniu poświęconej«.

Taka właśnie rada wydaje się mnie zupełnie chybioną. Jeżeli samouk poddając się tyranii cudzej myśli zacznie wędrować od podręcznika do podręcznika, to mu się w głowie zrobi taki zamęt, że ciśnie wszystko i wyrzeknie się wogóle wszelkiej psychologii. Żądać od samouka, aby on bronił swojego stanowiska i w walce z cudzemi stanowiskami dopiero się kształcił, znaczy żądać od niego rzeczy wprost niemożliwych. Jak to, więc on ma tak postępować, że najpierwej ma się poddać tyranii jednego podręcznika i przyswoić sobie jego zapatrywania, następnie ma zabrać się do podręcznika drugiego i walczyć z nim ze stanowiska tamtego pierwszego, następnie ma w walce uledz i poddać się drugiej tyranii albo też pozostać przy pierwszej i t. d., a więc czyż ma tak wędrować ciągle od podręcznika do podręcznika, od rozprawy do rozprawy i to ma być nauka psychologii? Winszuję temu, ktoby takiej rady posłuchał, dalibóg, że nie zajechałby daleko a wszelką psychologię zbrzydziłby sobie gruntownie! Zaiste kandydat na pracownika w zakresie psychologii powinien całkiem inną obrać sobie drogę. Przedewszystkiem powinien starać się zapoznać z historycznym swojej nauki rozwojem. Historya psychologii wskaże mu, jak rozwijały się rozmyślania ludzkie nad życiem duchowem i jego objawami, historya doprowadzi go do zrozumienia obecnego stanu nauki i wskaże mu, że na to, aby mógł być psychologiem, musi przedewszystkiem zaznajomić się z budową i z funkcyami organizmu, a więc, że musi nauczyć się najpierw anatomii i fizyologii i to nie z podręczników, lecz pracując w odnośnych instytutach i pracowniach. Obok tego niech weźmie do pomocy dzieła w tym rodzaju, jak np. Guido Villa, »Wstęp do psychologii współczesnej«. Następnie dopiero będzie mógł zabrać się do psychologii i to nie ucząc się jej z podręczników, lecz przystępując do badań szczegółowych na własną rękę, lub w instytutach psychologicznych. Skoro początkujący praco-

wnik przyswoi sobie metody badań, skoro opracuje to lub owo zagadnienie, wówczas dopiero będzie odpowiednio przygotowany do ogarnięcia całości nauki, wówczas też nie będzie on potrzebował poddawać się tyranii podręczników, lecz zachowa się wobec każdego z nich krytycznie i to nie ze stanowiska podręcznika innego, lecz ze stanowiska metod, które sobie sam w pracy wyrobił i przyswoił, tudzież ze stanowiska tej oryentacyi w nauce, do której dojdzie znając jej rozwój dziejowy. Oto droga, która może doprowadzić do wykształcenia się na psychologa w stylu dzisiejszym. Kto zaś nie ma zamiaru poświęcić się psychologii lecz pragnie zaznajomić się z nią w celach ogólnego wykształcenia, ten niechaj zaznajomi się z nią z jakiegoś dobrego wykładu lub z książki, stojącej na wysokości nauki dzisiejszej, a to mu zupełnie wystarczy, wędrować po podręcznikach jemu także nie potrzeba. Jedna dobra książka lub wykład, choćby indywidualnie zabarwione, dadzą mu tyle ile mu potrzeba. Niewątpliwie ma p. Mahrburg zupełną słuszność, gdy na str. 585 pisze, że »znać jakąś naukę, to znaczy znać jej życie wewnętrzne, jej nieustanną robotę twórczą, nie zaś tylko zewnętrzne, skończone jej kształty, które są tylko fazą przejściową w jej rozwoju«. To wszystko prawda, tylko, że samouk szukający ogólnego tylko wykształcenia nie potrzebuje znać nauki do gruntu, kto zaś jej poświęcić się pragnie, ten robotę w niej twórczą pozna tylko wówczas, jeżeli sam w niej tworzyć zacznie. Przypatrywanie się nauce z boku i powtarzanie za innymi tego, co oni dokonali, to nie jest żadną pracą naukową. Dyletantom nie przydadzą się też na nic monografie, które p. Mahrburg przedniemi placówkami nauki nazywa. Przeznaczenie i rola monografii naukowych może być tylko trojaka, albo mogą one służyć tym, którzy w tych samych zagadnieniach szczegółowych fachowo pracują, albo mają ułatwiać pracę tym badaczom, którzy w celach dydaktycznych całość nauki ogarnąć i przedstawić pragną, albo też mają ułatwiać oryentacyę takim, którzy na innych pracując polach, pragną bliżej zapoznać się z tem lub owem zagadnieniem psychologicznem, którego znajomość jest im do ich specyalnej pracy niezbędną. Gdyby jakiś samouk chciał nauczyć się psychologii z monografii, to niech sobie naprzód zaśpiewa: *oleum et operam perdidi* i niech lepiej da pokój psychologii, wpakuje się bowiem w takie bagno, że z niego na pewno ze zdrowym rozumem nie wyjdzie. Tak więc gdzie tknąć objawia się w artykule pana Mahrburga taka gmatwanina myśli rozumnych z bałamutnymi poglądami, iż głowa puchnie od tego wszystkiego, szukającemu zaś tam porady samoukowi musi się wszystko poplątać, udzielanych bowiem

tam wskazówek, albo nie będzie mógł ze sobą powiązać, albo jeżeli pójdzie za niektóremi, to się do nauki chyba tylko zrazi.

Wcale też niewystarczającem jest to wszystko, co p. M. prawi o eksperymencie psychologicznym. Różnicy między eksperymentem psychologicznym a przyrodniczym nie uwydatnił on wcale, być może, że uczynił to nawet z pewnym rozmysłem, gdyby bowiem był tę różnicę należycie wykazał, to na takiej podstawie czytelnik przyszedłby do przekonania, iż między obu rodzajami eksperymentów zachodzi różnica tak zasadnicza, że na żaden sposób nie można mięszać psychologii z naukami przyrodniczemi. Bardzo delikatnie tylko w jednem miejscu na str. 592 wspomina nasz autor, że »w psychologii wszelki materyał osiągnięty eksperymentalnie musi być objaśniony w świetle własnego doświadczenia podmiotowego, samoobserwacya bowiem jest jedynem ostatecznie źródłem wszelkiego doświadczenia psychologicznego«. Przecudnie! ale jakiegoż wobec tego potrzeba magnąć koziołka, aby z psychologii robić naukę przyrodniczą. Nawiasem wspomnę, że i tu rola samoobserwacyi w psychologicznym eksperymencie jest całkiem krzywo przedstawiona. Samoobserwacya bowiem posiada tutaj znaczenie nie u badacza eksperymentującego, lecz u tej osoby, która jest eksperymentów przedmiotem, ona to ma przeprowadzać samoobserwacyę i jej treść wydawać w formie wypowiedzeń temu, który eksperymentuje, niekiedy znowu nabierają takie wypowiedzenia wartości w zestawieniu z tem, co zapisuje jakiś odpowiedni przyrząd. Przy eksperymencie więc psychologicznym nie tyle idzie o objaśnianie go w świetle własnej świadomości, lecz raczej o zużytkowanie odpowiednie cudzej samoobserwacyi. Tak więc gdzie tknąć uderza nas brak zrozumienia właściwej techniki badawczej w nauce. Niechaj to zaś nikogo nie zadziwia, kto jak p. Mahrburg sam w nauce niczego nie dokonał, nic nie zbadał, żadnej własnej myśli ni teoryi nie rzucił, ten o nauce porządnie rozprawiać nie potrafi. Jak zaś nieraz wprost naiwnie pojmuje p. M. przedmiot i cel badań psychologicznych, to dla objaśnienia tego niech posłuży przykład, zalecony samoukowi jako zadanie badawcze na str. 592: »Wobec nieba pochmurnego postanawiam wziąć parasol, zastanawiam się, czy uświadomiłem sobie związek, jaki zachodzi pomiędzy pochmurnem niebem, a potrzebą zbrojenia się w parasol; jeżeli nie, czy mogę uświadomić sobie te ogniwa, które wiążą zrozumiale te dwie okoliczności ze sobą i jak mogłem te ogniwa pominąć?« Samouku! jeżeli masz takie badania psychologiczne uprawiać, to radzę ci daj pokój wszystkiemu i raczej noś parasol nawet w dzień

pogodny, zaręczam ci, że wyjdziesz na tem o wiele lepiej, aniżeli na uprawianiu psychologii w sposób przez p. Mahrburga ci zalecany.

Doskonałą też Mahrburgowi odprawę dał Władysław Dawid, w rozprawie p. t.: »O wykładzie psychologii, jako nauki doświadczalnej« [1]. Autor zaraz na str. 3 trafił w sedno rzeczy, gdy pisze: »Idąc w ślady p. M. musielibyśmy dojść do zdumiewającego wyniku, że do nauk duchowych należą różne nauki z wyjątkiem — nauki o duchu. Jeżeli zaś powołamy się na to, że istoty czy zjawiska duchowe są częścią przyrody, to w tym sensie wprawdzie będzie można utrzymywać, że psychologia jest nauką przyrodniczą, ale znów straci racyę bytu, wogóle przeciwstawienie wszystkich nauk przyrodniczych wraz z psychologią naukom humanistycznym, inaczej duchowym, bo przecież i język, literatura, fakty historyczne i społeczne, są również częścią przyrody, tego co się staje w przyrodzie«. Nie przekonywa wcale p. D. argument, że objawów psychicznych nie spotykamy nigdy niezależnie od warunków fizycznych, bo z tego, że współistnieją nie wynika wcale, że metody badania i prawa rządzące mają być te same.

Ale musimy tu zaraz zaznaczyć, że właściwie p. Dawid niema także jasno wyrobionego poglądu, do jakiej grupy nauk psychologia należy, raczej także skłania się do uważania jej za naukę przyrodniczą, pisze bowiem tak: »Jeżeli, mimo to wszystko, uznajemy psychologię za naukę przyrodniczą, to powodujemy się tu innymi wcale względami: wychodzimy mianowicie z założenia, że bezpośrednio przedmiotem badania w psychologii są nie byty lub siły (władze), ale poszczególne zjawiska i że w badaniu tych zjawisk stosujemy te same zasady, które przykładamy do przedmiotów przyrodniczych; a więc nie wchodząc w rozbiór zagadnienia przyznajemy, że istnieją zarówno rzeczy zewnętrzne, jak nasze stany świadomości, że przebieg zjawisk psychicznych pojmowany być może wedle zasady przyczynowości, a nie np. zasady wolności. Z takiego punktu widzenia mogą być też i bywają określane, jako przyrodnicze, skądinąd uznawane bezsprzecznie za duchowe, jak lingwistyka, socyologia i inne. Ale też, o ile idzie o klasyfikacyę umiejętności, jest to tylko niepotrzebne bałamuctwo. Jasnem jest tylko, że pewien stosunek do metafizyki i pewne sposoby badania, wypróbowane i uznane za celowe w naukach właściwie przy-

[1] J. Wł. Dawid: »O wykładzie psychologii jako nauki doświadczalnej«. Warszawa 1898.

rodniczych mają być rozciągnięte i do niektórych innych nauk, które pomimo tego nie potrzebują się stawać przyrodniczemi i które też ze względu na zupełnie odmienny przedmiot niemi nie są. Z zajęcia stanowiska takiego, które określamy jako przyrodnicze, wypływa więc tylko konsekwencya, ważna także pod względem dydaktycznym, możliwie ścisłego oddzielania zagadnień metafizycznych od specyalnie naukowych, w danym razie psychologicznych, możliwie objektywne przedstawianie życia duchowego, jako przebiegu zjawisk duchowych«. Na to wszystko co tu p. Dawid powiedział, mogę najzupełniej się zgodzić, tylko że z tego wszystkiego nie wynika wcale, aby psychologii należało przyznać charakter nauki przyrodniczej. Można tylko powiedzieć, iż tak jak ją dzisiaj pojmujemy jest psychologia nauką ściśle doświadczalną, pozytywną, od metafizyki niezależną, co jednak wcale nie wyklucza jej przynależności do grupy nauk filozoficznych. Także stosunek badań psychologicznych do fizyologicznych jest u Dawida bardzo trafnie określony a niejasności w poglądach Mahrburga wykazane znakomicie. Jeżeli zaś zapragniemy odpowiedzieć na pytanie, kto w sprawie kształcenia się w psychologii i przeprowadzania badań psychologicznych, lepszych udziela rad czy p. Mahrburg czy p. Dawid, to zestawmy tylko przykład z parasolem u poprzedniego, z siedemnastu punktami zestawionymi u Dawida na str. 14. To jedno wystarczy, aby przekonać każdego o ile gruntowniejszą znajomość nauki posiada ten ostatni i o ile więcej są warte jego rady i wskazówki. Dobrze też odpowiada Dawid Mahrburgowi w sprawie powierzania się jakiemukolwiek podręcznikowi: dla specyalisty musi taka praca okazać się próżną stratą czasu. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę potrzeby wykształcenia ogólnego, to wartość uwag Mahrburga Dawid tak ocenia: »Z pośród rozmaitych wypadków, znajduję jeden tylko, w którym uznaćby można przydatność i celowość wskazówek, jakie do uczenia się psychologii daje w »Przewodniku« p. Mahrburg, jest to ten rodzaj wykształcenia, jaki daje się pannom t. zw. kończącym edukacyę, jakiego zresztą poszukują bawiące się damy, które psychologii nie odróżniają dobrze od psychologicznego romansu i które istotnie chcą się przedewszystkiem zapoznawać z różnymi poglądami mniej lub więcej znanych autorów i to specyalnie w kwestyi uczuć i charakterów; te więc z zadowoleniem się dowiedzą, że »przyrodniczość i doświadczalność« nowoczesnej psychologii polega właśnie na opisywaniu charakteru osób dokładnie znanych«. Czego samoukowi potrzeba, to niemniej jasno wykazał Dawid na str. 23: »Samoukowi trzeba —

pisze on tam — nie tylko nakreślić dokładny program studyów, ale często udzielić szczegółowych informacyi w rzeczach pozornie drobnych, powierzchownych, jak np. skąd brać pewne materyały, jak radzić sobie z jakimś szkopułem technicznym; nadto zaopatrzyć go trzeba na znaczną część drogi w szczegółowe i dość specyalne wskazówki do literatury przedmiotu, lub przynajmniej zalecić takie książki, w których te wskazówki mógłby znaleźć. Otóż tych wskazówek do psychologii prawie brak zupełny w »Poradniku«.

Rozprawę p. Dawida gorąco też każdemu do przeczytania zalecamy, a szczególnie tym wszystkim, którym poradnik do psychologii w głowach zamącił. Oby też każdy zechciał wziąć sobie do serca także końcową uwagę w rozprawie Dawida, odnoszącą się do potrzeb dobrze pojętego samouctwa. Powołanie się na przykład Ameryki powinnoby pouczyć, że poważnemu uczeniu się nikt się nie przysłuży przez wydawanie drobnych broszurek i przedrukowywanie popularnych artykułów, samouctwo wymaga czego innego, a mianowicie dzieł prawdziwie naukowych, gdyż i tu tylko to co jest najlepsze jest dopiero dobre.

(C. d. n.)

Dr. Maurycy Straszewski.

Z piśmiennictw obcych.

Geschichte der Weltliteratur. V. die französische Literatur. *Alexander Baumgartner S. J.*

Wielkie dzieło ks. Baumgartnera postępuje naprzód: niedawno wyszedł tom V, i to jaki tom: bez mała pół ósmej setki stronic, w których zamknięta całość literatury francuskiej.

Organiczniejszy niezawodnie byłby podział nie na literatury narodowe ale raczej na okresy, w obrębie których uwydatniłyby się dopiero piśmiennictwa poszczególnych języków, synchronistycznie przedstawione. Podział taki mógłby dobitniej ujawnić wspólność głównych epokowych zjawisk i prądów przenikających współcześnie całą Europę, niemniej jak wzajemne oddziaływanie ludów jednych na drugie. Jak bezpośrednio łączą się np. z sobą trubadurowie prowansalscy i pierwsi sonetyści włoscy; jak jednorodnem zjawiskiem w dziejach literatury powszechnej są północno-francuskie *Chansons de geste*, niemieckie ich przeróbki Pfaffa Konrada, Gottfrieda ze Strassburga i Wolframa von

Eschenbach i innych — a z drugiej strony *Libros de Caballeria* w Hiszpanii. Jak bezpośrednia zależność da się wykazać między *Decameronem* Boccacia, »Powiastkami Kantorberyjskiemi« Chansera w Anglii i »Heptameronem« Małgorzaty Nawarskiej. A poezya pasterska w epoce Odrodzenia: *Arcadia* Sennazara i *Aminta* Tassa we Włoszech, *Diana* Montemayora w Hiszpanii, a w Anglii *The countesse of Pembrokes Arcadia* Filipa Sidneya i *The Shepheards Calender* Spencera.

Ale są rzeczy stokroć ważniejsze: wpływ krucyat, Odrodzenie, Humanizm, Reformacya, panowanie estetyki i wpływów francuskich niemal wyłączne w XVII wieku w całej zachodniej Europie z wyjątkiem jednej tylko Hiszpanii; reorganizacya Kościoła i rozrost katolicyzmu po soborze Trydenckim, rola jaką w całej Europie odgrywa filozofia angielska i działalność literacka Encyklopedystów francuskich, Byronizm a po nim Romantyzm ogarniający wszystkie piśmiennictwa kolejno. Wszak współrodność, współrzędność, a częstokroć i współczesność tych zjawisk i wpływów nie może z należytą wypukłością i naciskiem uwydatnić się tam, gdzie w planie samym dzieła założone było rozczłonkowanie przedmiotu na osobne literatury narodowe. Wyniknęłaby z podziału epokowego, a nie narodowego, i ta jeszcze korzyść praktyczna, że autor mógłby raz jeden mówić o Odrodzeniu, raz jeden o Romantyzmie, podczas, kiedy przyjąwszy swój podział zmuszony jest powtarzać to samo w każdym tomie przy dziejach każdej z poszczególnych literatur.

Zato inny wzgląd praktyczny musiał widocznie mieć na oku ks. Baumgartner przyjmując ten, a nie inny podział: uzyskał szereg całostek zawarty w szeregu tomów, z których każdy inne przedstawia piśmiennictwo narodowe i sam w sobie się zamyka.

Ostatecznie ten czy inny podział jest rzeczą czysto formalną i zewnętrzną i żadnego zasadniczego zarzutu nie można z tego czynić autorowi, zwłaszcza, że w owym tomie V, literaraturę francuską rozczłonkował bardzo zręcznie i organicznie na trzy części: pierwsza sięga do końca średniowiecza, więc okrągło licząc do r. 1500 — druga obejmuje wiek XVI, XVII i XVIII, trzecia wiek XIX, a zaczyna się z pierwszem cesarstwem. Istotnie wielkie linie działowe nie tylko piśmiennictwa, lecz także cywilizacyi, kultury i dziejów, inaczej nie dadzą się pociągnąć.

W ocenie samej treści dzieła podnieść należy, że zwłaszcza dwie pierwsze części nie pozostawiają niemal nic do życzenia. Z właściwą sobie w całym naukowym świecie tak cenioną znajomością przedmiotu

przystąpił ks. Baumgartner do pracy, rozporządzając wszystkiemi najnowszemi zdobyczami wiedzy literackiej. Olbrzymia, rzetelna praca przygotowawcza widoczna jest na każdym kroku, a co godne szczególniejszego zaznaczenia, to jasność i przejrzystość w przedstawieniu rzeczy, zręczność i trafność w najzwięźlejszych nawet charakterystykach pisarzy czy kierunków, tak, że książka pisana z życiem i temperamentem przykuwa czytelnika i daje mu dokładny i barwny obraz literackiego rozwoju Francyi.

Rozdziały takie jak od I—XIII, gdzie podany jest szeroki, sumienny i źródłowy rozbiór *Chansons de geste,* jak XIV, malujący poezyę trubadurską w jej stopniowym rozkwicie i obumieraniu; XXI i XXII poświęcone teatrowi średniowiecznemu, odznaczają się szczególniejszą wartością.

Stojąc na stanowisku ściśle katolickiem, autor na ogół nie zasługuje mimo to na zarzut stronności wobec pisarzy częstokroć pierwszorzędnych a Kościołowi zaciekle wrogich, zwłaszcza w dwóch pierwszych tomach. Warto przytoczyć, jako taki uderzający dowód sprawiedliwości literackiej, jego sąd o Wolterze. Potępiwszy należycie fanatyczną nienawiść do chrześcijaństwa, zaznaczywszy wcale niedwuznacznie swój punkt widzenia katolicki, ks. Baumgartner nie cofa się przed przyznaniem filozofowi z Farney niesłychanego wręcz daru pisarskiego, dowcipu, władzy niezwykłej nad stylem i językiem, a nawet posuwa się do twierdzącej odpowiedzi na pytanie, czy Wolter miał talent poetycki i poetycką wyobraźnię, pytanie, na które odpowiadali przecząco wybitni a wcale nie stronniczy badacze literatury. Takich przykładów sądu bardzo rzeczowego, wolnego od wszelkiej parcyalności, możnaby przytoczyć więcej. Zbyt może ostro wypadł natomiast sąd o Rabelais, którego ks. Baumgartner nie bardzo zdaje się odczuwać: *Es ist ein Jammer..... dass aus dem Sprachgewirr nur eine riesenhafte Karrikatur, keine warhaft erfreuliche Dichtung hervorgegangen ist.* Ależ o »karykaturę olbrzymią« a nie o co innego chodziło autorowi »Gargantui« i »Pantagruela«. Jako humorystę-karykaturzystę traktować go należało, a wtedy byłby się niezawodnie przedstawił w korzystniejszem — i dodajmy — w sprawiedliwszem oświetleniu. *Est ist ein Jammer,* możnaby z tem samem prawem wołać wobec »Gulliwera« czy »Listów sukiennika« Swifta, wobec karykatur Callota czy Hogharta lub Goyi.

Szczerze wyznać trzeba, że ks. Baumgartner III część swej tak cennej pracy mniej szczęśliwie wykonał, niż dwie poprzednie. Przedewszystkiem zbyt ona pobieżnie i szczupło ujęta w stosunku do dwóch

pierwszych. Wprawdzie jest to tylko jeden wiek XIX, ale wybitnych indywidualności pisarskich i znamiennych kierunków było w nim przecie więcej, niż w każdej z poprzednich epok, choć obejmują one po kilka stuleci. Są w tym okresie zjawiska i kierunki literackie niezmiernej doniosłości, jak np. powieść francuska, której oddziaływanie na wszystkie piśmiennictwa europejskie jest niezaprzeczone chyba i ogromne.

Tymczasem autor poświęcił romansowi we Francyi tak mało miejsca, że o jako tako wyczerpującym jego obrazie mowy być nie mogło. Począwszy od Chateaubrianda zajęła powieść zaledwie 27 stronic, a w tym ścieśnionym zakresie tłoczą się i p. de Staël i sam Chateaubriand, Aleksander Dumas ojciec i Eugeniusz Sue, Bayle i Balzac, George Sand i Prosper Merimée i policzeni tutaj Michelet, Quinet i Renan cały, i Goncourtowie i Zola, Daudet, Maupassant, Feuillet, Bourget, Anatol France, Hauysmans i wszyscy, wszyscy inni, przeważnie zbyci krótkimi ustępami. Jeśli się porówna dokładność, z jaką wyczerpująco przedstawione były *Chansons de geste,* zajmujące w I cz. z górą dwa razy tyle miejsca, to nie da się zaprzeczyć jakiś widoczny pośpiech w rozbiorze powieści francuskiej.

Skutkiem tak sumarycznego ujęcia rzeczy są tutaj rażące braki. Kiedy np. mowa o Flaubercie, nie uwzględnia ks. Baumgartner dzieł tak zasadniczych, jak »Pokusa św. Antoniego« lub »Salambô«, o których nawet wzmianki niema, natomiast sąd jego o Flaubercie opiera się wyłącznie na *Madame Bovary.* W charakterystyce i obrazie działalności Goncourtów wynikły z ciasnoty miejsca także rażące braki: ani słowa o tem, co tak znamionuje obu braci, o ich malarskiem wykształceniu i punkcie patrzenia na świat, a przecie to, nie co innego, tłumaczy i wyjaśnia ich styl, język i całą ich estetykę. Co więcej, wśród dzieł Goncourtów grobowem milczeniem zbyte wszystkie ich pyszne studya historyczno-obyczajowe, jak *La femme du XVIII siècle,* ich prace z dziedziny historyi sztuki francuskiej i japońskiej, przemilczany zupełnie nawet słynny »Dziennik« Goncourtów. Styl Goncourtów jeśli kto chce, sztuczny, wymęczony i dziwaczny, nie da się jednak tak lekceważąco i powierzchownie określić, jak to czyni autor, nazywając go *die absurde Form,* w której nie widzi nic więcej nad »urywane zdania, bez budowy, z ciągłemi interjekcyami, punkcikami i kreskami«. A jednak nikt chyba nie zaprzeczy, że w stylu Goncourtów jest jeszcze coś więcej, niż interjekcya, kreski i kropki... W takiej *Madame Gervaisais,* którą ks. Baumgartner wraz z *Manette Salomon* nazwał krótko *unerbauliche Geschichte,* jest np. — niepomnę już czy krop-

kowany i punktowany — ale w każdym razie niebywale piękny opis muzyki wielkopiątkowej w kościele św. Piotra w Rzymie, opis, który należy do przedziwności literackich w całem piśmiennictwie francuskiem.

Niezupełnie także zgodzić się można na to, co pisze ks. Baumgartner o Zoli. Że pseudonaukowa teorya dziedziczności w *Rougon-Macquart*'ach nic nie warta, że u Zoli jest nieznośne doktrynerskie lubowanie się w odrażających stronach życia, że jego wrzekomy naturalizm jest nieprawdziwy, bo przeczerniony, a jego teorya »ludzkiego dokumentu« sprawiła, iż gubił się w szczegółach zabijających artystyczną syntezę — to wszystko prawda. Ale autor, który miał tyle zimnej krwi i panowania nad sobą w sądzie o Wolterze i wogóle o Encyklopedystach, mógł był zdobyć się i tym razem na przyznanie Zoli zupełnie niezwykłego talentu, a nie przypisywać wyłącznie pornograficznej ciekawości, olbrzymiego powodzenia i wpływu jego powieści. Że to wpływ ujemny zarówno pod etycznym jak estetycznym względem, o tem dwóch zdań dzisiaj być już nie może. Bądź co bądź jednak Zola nie przestanie być wielkiem acz niesympatycznem a nawet szkodliwem zjawiskiem.

Podobną pobieżność i nierównomierność w przedstawieniu zarzucić należy także rozdziałom poświęconym teatrowi a po części i poezyi francuskiej XIX wieku. Teatr ten, zwłaszcza w dziedzinie komedyi tak wpływowy i bogaty, wtłoczony został w kilkanaście stronic, na których żadną miarą pomieścić się nie może. W dodatku nie wiadomo dlaczego w tak szczupłych ramach Scribe rozpiera się aż na 4 stronicach, nie żałowano miejsca nawet na cytaty z jego libretów operowych, o których sam ks. Baumgartner powiada, że *es ist keine hohe Poesie;* obok niego także dziesięćkroć więcej miejsca niż wart zajmuje, drugi podobny trup literacki jak Ponsard, podczas kiedy nowszy teatr francuski zbyty na jednej stronicy: z dzisiejszych Becque, Hervieu, Brieux, Lavedan, Donney wyliczeni zaledwie, o Curelu, Mirabeau, o sztukach Lemaître'a, ani wzmianki.

Nie można też powiedzieć, by ks. Baumgartner nie skąpił miejsca na ocenę poezyi francuskiej XIX w. Z wyjątkiem jedynego Wiktora Hugo, któremu poświęcony trafny i doskonale napisany cały jeden rozdział, inni romantycy, a także i najnowsze kierunki wciśnięte w ramy zbyt szczupłe. Wprost nie do pojęcia jest lekceważące stanowisko wyznaczone Mussetowi, najszczerszemu talentowi poetyckiemu Francyi nowożytnej. Gdy całe stronice poświęcono rozbiorowi i ocenie emfatycznych, deklamacyjnych i pustych melodramatów Wiktora Hugo

teatr Musseta, pełen takich klejnotów, jak »Nie igraj z miłością«, jak »Świecznik«, »Kaprysy Maryanny«, »Fantazyo« załatwiony jest w jednem nic nie mówiącem zdaniu: *die meisten seiner Dramen sind stark erotisch angehaucht.* To chyba trochę za mało. A liryka Musseta, ta przenikająca, łzami i krwią z pod serca pisana liryka, pełna niewysłowionego, wpół niewieściego wdzięku — cóż o niej? *Seine Liedesklagen übertrafen an formeller Schönheit weit die Elegien Lamartins.* Oto wszystko. Dalibóg, nie znając literatury francuskiej, możnaby na podstawie książki ks. Baumgartnera przypuszczać, że w librecie Scribe'a do »Niemej z Portici«, cytowanem aż w trzech wyjątkach jest więcej poezyi, niż u Musseta. *Der romantische Lirismus... gestaltet sich hier zum leichten, anmutigen Liede, das ohne den irdischen Boden zu verlassen ins Traumland der Romantik führt.* To nie o »Nocach« Musseta, nie o jego piosnkach — to pisze historyk literatury francuskiej — o... librecie »Niemej z Portici« Scribe'a!

A inni, późniejsi poeci? Leconte de Lisle, T. Banville, Beaudelaire, Catulles Mendès, André Lemoyne, Theuriet, Armand Sylvestre, J. N. Heredia, Sully Prudhomme, wszyscy mieszczą się jak mogą na trzech stronicach, na których oczywiście nic się nie dało bliższego powiedzieć o ich fizyognomiach literackich. Z najnowszych Verlaine tak wybitny i odrębny, zbyty 6 wierszami. Dlaczego?

Ks. Baumgartner nie żałował natomiast miejsca — i słusznie całej grupie pisarzy katolickich niedocenianych i zbywanych zwykle nazbyt pobieżnemi wzmiankami. Józef de Maestre ma u niego poświęcony sobie niemal wyłącznie cały obszerny rozdział IV-ty części III. Bonald i Lamennais zajmują podobnie rozdział V, a Montalambert, Veuillot wraz z kilku pomniejszymi cały rozdział XV; cały rozdział poprzedni daje obraz życia i literatury kościelnej.

Nie chcę być fałszywie zrozumianym: nie zarzucam bynajmniej, iż raz nareszcie wdał się ktoś przecie w gruntowną charakterystykę tak wybitnych pisarzy, mowców, kaznodziejów i działaczy katolickich; owszem za zasługę tylko poczytać można ks. Baumgartnerowi, że śladem innych, uprzedzonych i stronniczych historyków literatury nie poszedł w tej mierze i oddał sprawiedliwość autorom pomijanym zwykle dlatego tylko, że są katoliccy. Ale niemniej zarzucić muszę, iż nie odżałował kilkudziesięciu jeszcze stronic druku, w których możnaby z równą dokładnością i bezstronnością mówić o poezyi Musseta czy innych pierwszorzędnych talentów, albo wdać się w rozbiór należycie obszerny teatru i powieści, obojga tak doniosłych ze względu na swoje

europejskie wpływy. Tego przecie za dobre jego dziełu brać nie można, że w niem Veuillot zajmuje więcej miejsca i większą rolę odgrywa, niż Musset, a ciasny i doktrynerski krytyk Brunetière, wysuwa się na plan pierwszy przed całe szeregi poetów. Zwłaszcza w stosunku do dwóch pierwszych części, gdzie każdy objaw literacki był tak wyczerpująco zbadany i przedstawiony, cała część trzecia wypadła zbyt nikło i powierzchownie. Ta nieumiarowość razić musi. A można jej było tak łatwo uniknąć przez rozszerzenie tych kilku punktów, na które wskazałem powyżej. Wtedy dzieło pod wieloma względami bardzo dobre, byłoby pod każdym względem jeszcze lepsze.

Lucyan Rydel.

Geschichte der Päpste seit dem Ausgang des Mittelalters. Von *Ludvig Pastor*. II Bd. Von der Tronbesteigung Pius II bis zum Tode Sixtus IV. Dritte und vierte vielfach umgearbeitete und vermehrte Aufl. Freiburg i B. Herder 1904, gr. 8°. LX und 816 S.

Ungedruckte Akten zur Geschichte der Päpste vornehmlich im XV, XVI u. XVII Jahrhundert. Herausgegeben von *Ludvig Pastor*. Erster Band 1376—1464. gr. 8°. S. XX u. 348. Freiburg 1904, Herder.

Przed 15 laty wyszedł drugi tom monumentalnego dzieła Pastora »Historya Papieży« w pierwszem wydaniu, dziś leży przed nami już w 3 i 4 wydaniu, co zaś każde nowe wydanie dzieła Pastora oznacza, można wnioskować stąd, że sam spis literatury w czwartem wydaniu 9 stron więcej obejmuje aniżeli w pierwszem. Wszystkie najnowsze i najlepsze badania odnoszące się do przedmiotu, są umiejętnie i krytycznie uwzględnione i do tego dołącza się jeszcze znaczny nowy materyał archiwalny, którym niestrudzony badacz swoje dawniejsze poglądy i sądy uzupełnia. Do tego ostatniego należą: brewa Piusa II z archiwum kapitulnego w Montepulciano, instrukcye dla posła weneckiego do Fryderyka III Seb. Baduariusza z archiwum państwowego w Wenecyi. Trzy księgi, na które się ten tom rozpada, mają za przedmiot trzy pontyfikaty, Piusa II, Pawła II i Sykstusa IV. Sąd Pastora o tych trzech papieżach, od zapatrywania jego w pierwszem wydaniu się nie różni, ale jest pogłębiony i nowemi badaniami jeszcze lepiej i gruntowniej uzasadniony. Ta sama objektywność, jasność i przejrzystość w przedstawieniu rzeczy, ta sama przedmiotowość prawdy historycznej, którą odznaczały się zawsze prace Pastora i w tem wydaniu tak korzystnie odbija od owych monografii tendencyjnych, które w papieżach czasów Odrodzenia widzą tylko intrygantów, rozpustników

i morderców, zapatrywanie, które po dziś dzień, pomimo znakomitej pracy Pastora w szerszych kołach jeszcze pokutuje. Dlatego każde nowe wydanie tego dzieła nie tylko jest przysługą oddaną nauce, ale i dla szerszych kół nowym bodźcem do złożenia nieuzasadnionych przesądów. Istnieją już, albo przygotowują się tłumaczenia tego przełomowego dzieła: włoskie, francuskie, czeskie — ale o polskiem nic nie słychać. Spotkać się u nas można często z tłumaczeniami dzieł mało znaczących, może byłoby raczej wskazanem dla naprawienia fałszywych sądów i przesądów przystąpić do tłumaczenia znakomitego dzieła Pastora. Trzecie i czwarte wydanie III tomu wyszło już w roku 1899, a I część 4 tomu obejmująca ważny pontyfikat Leona X wyszła zeszłego roku.

Równocześnie pojawiła się inna książka tegoż autora. W licznych podróżach swoich po różnych archiwach francuskich, włoskich i niemieckich, które Pastor odbywał w celu odszukania nowego materyału, zebrał on także wielką ilość drukiem jeszcze nie ogłoszonych dokumentów, odnoszących się do historyi papieży szczególnie XV, XVI i XVII wieku. Dawno już zamierzał autor materyał ten w osobnych tomach ogłosić, musiał się jednak dla różnych przyczyn ograniczyć, że do pojedynczych tomów swej historyi papieży odpowiednie niedrukowane jeszcze dokumenty dodawał. Obecnie udało mu się plan swój uskutecznić i w r. 1904 wyszedł pierwszy tom drukiem jeszcze nieogłoszonych aktów do historyi papieży, obejmujący czas od 1376 – 1464 r. Niemniej jak 205 numerów zawiera ten pierwszy tom aktów, odnoszących się do Pontyfikatów od Grzegorza XI do Piusa II, choć w bardzo nierównej mierze, bo do samego pontyfikatu Piusa II należy 142 numerów. Właściwych dyplomów papieskich jest 68, z których wypada na Piusa II 42, 15 na Kalixta III, 5 na Eugeniusza IV. Z państw włoskich największą liczbę dokumentów dostarczył Medyolan, szczególnie liczne są listy posła medyolańskiego, Ottona de Carreto; za Medyolanem idą Florencya, Sierra, Mantua. Rzadko bardzo odnoszą się te dokumenty do religijnych spraw, prawie wyłącznie mają za przedmiot sprawy polityczne.

Ułożone są według porządku chronologicznego. Na początku każdego numeru umieścił autor krótką notę, podającą treść dokumentu i czas powstania. Dla łatwiejszej oryentacyi wystawca i odbiorca są wyraźniejszym drukiem wyszczególnieni. Na dole dodaje autor częste uwagi, które albo wyjaśniają zachodzące nazwiska, albo odsyłają po informacyę do odpowiedniego tomu jego historyi papieży lub do ja-

kiegoś innego dzieła. Przy końcu umieszczony spis osób i rzeczy ułatwia odnalezienie odpowiedniego dokumentu.

Jest już ten pierwszy tom wymownem świadectwem z jak wielkim nakładem trudów i ofiar Pastor swojemu zadaniu się poświęca, daje zarazem także i możność oceny krytycznego i jasnego sądu autora.

Ks. A. Starker.

Les deux soeurs. — Le coeur et le métiér. *Paul Bourget,* de l'Académie française. Vingtième mille. Librairie Plon, Paris, str. 368.

Ostatni tom utworów Bourgeta napisany w latach 1902 i 1903, należy krom jednej nowelki *Le Candidat* do najbledszych, z pod jego pióra wyrosłych. Do tego jednego wyjątku wrócimy później. Reszta zawiera styl równie poprawny, psychologię również misterną, ale czegoś w niej brak, rzekłbyś sympatycznego prądu, wytwarzającego łączność między duszą autora a duszą czytelnika i porywającego tę ostatnią za sobą. W jednym tylko *Le Candidat* odnajdujemy rękę, która stworzyła *L'Echéance* i *Le divorce,* poza nim są rzeczy pod względem moralnym niemal obojętne; nie zepsują ani nie zbudują nikogo. Być może zresztą, żeśmy sobie smak nieco stępili, do czego sam Bourget się przyczynił, przyzwyczajając nas do silniejszego i ostrzejszego pokarmu, ale faktem jest, że tak powieść *Les deux soeurs,* jak i większość nowelek okrytych wspólnym tytułem: *Le coeur et le métiér* są przeważnie... poniekąd nudne. Sama fabuła historyi »dwóch sióstr« jest już chyba zużyta. Maluje przeciwieństwo dwóch charakterów, z których jeden u dobrej siostry, Magdaleny, porusza się na podstawie serca — a drugi, mniej dobrej, Agaty na podstawie miłości własnej. Pierwsza jest żoną i matką, druga bezdzietną wdową, piękną, bogatą, ale zajętą sobą i stąd zgorzkniałą do świata i ludzi. Magdalena pragnie Agatę powtórnie wydać za mąż i spotkawszy na drodze życia dzielnego oficera, towarzysza afrykańskiej wyprawy Marchand'a, układa sobie zaraz plan ożenienia go z siostrą. Zanim jednak zdołała go jej przedstawić, już Brissonnet zakochał się w niej samej, a nieświadomie zupełnie — i ona w nim. Zamiar wszakże nie jest opuszczony i wkrótce dzieje się, iż afrykański bohater cieszy się serdecznem uczuciem obu sióstr, to jest, że mógłby się cieszyć, ale o nim nie wie, o Agacie nie myśli wcale, a co do Magdaleny pragnie pozostać na gruncie czysto platonicznym, bez wzmianki o uczuciu innem, jak przyjaźni. Wszystko to jednak wydaje się podejrzanem mężowi Magdaleny d-rowi Liebault, zaczem Magdalena zasłania się intencyą wydania Agaty i oznajmia,

że Brissonnet albo się oświadczy, albo wyjedzie. W tym celu rozpoczyna z nim stanowczą rozmowę, w ciągu której oficer zapiera się wszelkich zamiarów dążenia do ręki Agaty, a gdy na to Magdalena oświadcza mu, że siostrę skompromitował i powinien wyjechać, biedak już nie może wytrzymać i przyznaje, że tylko ją samą kochał bez najmniejszej pretensyi ani nadziei. Młoda kobieta wzruszona, ale na wskróś uczciwa oburza się na to wyznanie i chce odejść ale podnosząc kotarę odsłania postać siostry, która podejrzliwie zazdrosna podsłuchiwała ich rozmowę. Wtedy Magdalena z dziwnem poświęceniem oszczędza jej wstydu oskarżając się, iż sama chciała, aby Agata była ukrytym świadkiem konferencyi, mającej decydować o jej dalszem życiu. Brissonnet oburzony wyjeżdża do Tonkinu, mąż uspokojony wraca do swych studyów lekarskich, Agata szlachetnieje zmiękczona cierpieniem i wdzięcznością i odtąd obie siostry stają się wzajemnie dla siebie pociechą i podporą. Każdy charakter w tej prostej opowieści jest wycyzelowany wykwintnie, sława Bourget'a wszakże nic nie byłaby straciła, gdyby tych »dwóch sióstr« nie był wydobył z nicości.

Z tamtych mniejszych powiastek: *Un cas de conscience*, *Le nègre*, *Cordélia*, *Une charité*, *Le Candidat*, *Le Portrait* — pierwsza: *Un cas de conscience* jest znów trochę zużyta, a zawsze przykra, bo przedstawia lekarza zmuszonego obowiązkiem fachowym, do przedłużenia życia człowieka, wiedząc że użyje tej zwłoki dla zbrodni t. j. dla zbeszczeszczenia przez zemstę przeszłości swej żony wobec kochających ją synów. Druga *Le nègre* kreśli walkę autora, który w chwili rodzinnej biedy sprzedał swą sztukę milionerowi pozującemu na literata, a widząc szalone powodzenie swego dzieła, chce go choć w części na własność odzyskać. Chybiwszy prośbą grozi, że sam prawdę ogłosi, ale w ostatniej chwili sumienie zwycięża i szczęśliwy nabywca pozostaje panem sytuacyi na zewnątrz. *Cordélia* jest aktorką, odgrywającą z prawdziwem uczuciem rolę córki króla Leara, bo sama będąc podrzuconem dzieckiem marzy o nieznanych rodzicach. Gdy jednak ukazują jej ojca w postaci nędznego kelnera, nędznej kawiarni, odwraca się i ucieka ze wstrętem. *Un portrait* opisuje wrażenia malarza, zmuszonego do zrobienia według fotografii portretu kobiety, którą długo kochał i kochać przestał, a którą posądza, że się zabiła na wieść o jego zaręczynach z inną.

W ładnym szkicu z życia literackiego widzimy młodego powieściopisarza otoczonego chwałą i wśród tryumfu zelżonego w zgryźliwym artykule przez złość zazdroszczącego mu literata. Zrazu postana-

wia się zemścić, lecz natomiast wzruszony nieszczęściem i nędzą swego wroga podsuwa mu skrycie własny utwór, aby mu pomódz do zachowania zagrożonej posady przy większym dzienniku. Jest to *the next best* z utworów książki trzymanej poza sferą obecnych walk i zagadnień społecznych. Autor dotyka ich tylko we wspomnianym już obrazku: *Le candidat.* Jest to epizod walki wyborczej w starem mieście prowincyonalnem, którego poważne mieszczańskie gmachy dziwnie odbijają od rojącego się wśród nich, hałaśliwego tłumu. Piotr Montbrun, kandydat zachowawczo-klerykalny, wychodzi ze zgromadzenia, gdzie przeciwnicy pod wodzą adwokata Lartail nie dali mu przyjść do słowa. Wychodzi oszołomiony od obelg i wrzasków, rozdrażniony zuchwałym śmiechem swego współzawodnika, popieranego przez Brillaulta i dzięki temu pewnego wygranej. Wybór zaś ten, to klęska dla uczciwej strony kraju, klęska dla stosunków kościelnych we Francyi. Montbrun więc cierpi podwójnie i wróciwszy do domu pogrąża się w gniewnej zadumie. Naraz jednak ukazuje się błysk nadziei. Służąca żony Brillaulta przychodzi przez zemstę odkryć mu romans między swą panią a Lartailem i w dowód przynosi podchwycone listy. Montbrun tedy rozumie, że gorliwość Brillaulta w przeprowadzeniu kandydatury Lartaila jest dziełem jego żony — teraz gdy się dowie o prawdzie przestanie go popierać, wybór Montbruna przejdzie, sprawa będzie ocaloną. Pospiesznie tedy wkłada listy do większej koperty, na której zmienionem pismem kreśli adres Brillaulta poczem idzie, aby je sam wrzucić do pocztowej skrzynki. Tu jednak zatrzymuje się i z instynktownym niemal odruchem uczciwości wyciąga list już na wpół do otworu wsunięty. W jego duszy odgrywa się walka nad godziwością używania wszelkich środków dla zniszczenia wroga. Bijąc się z myślami dochodzi do gmachu seminaryum, do mieszkania jednego ze swych przyjaciół, kapłana, którego imię świeżo w sposób obelżywy rzucił był Lartail z mównicy. »Bylebym go zastał — mówił do siebie — kto wie, czy ks. Pierron nie wyjechał. Jeźli go niema to będzie znak — dopełnię sprawiedliwości, wyprawię list! Toż przecie gdyby nie te ich przeklęte uchwały nie myślałby o wyjeździe...«

Ks. Pierron jest jeszcze w domu ale sposobiący się do wyjazdu, bo mu oskarżenie Lartaila uczyniło niemożliwem dalsze pozostanie na posadzie profesora w seminaryum. W podeszłym wieku musi zmienić tryb całego życia, uczyć się nowych obowiązków, jako kapelan żeńskiego klasztoru. Niemniej przeto nie traci swobody ducha, wita Montbruna radośnie i wysłuchawszy przedmiotu jego odwiedzin bierze mu

z rąk list mający być zwycięską bronią dla jego stronnictwa i — wrzuca do ognia... »To już za wiele — mówi — że te papiery były przez dwie godziny w twojej kieszeni« — a gdy Montbrun czyni mu uwagę, że tamci nie mieliby podobnego skrupułu, odpowiada, że właśnie o to chodzi, »abyśmy nie byli do nich podobni« — poczem wskazując na odwieczne mury seminaryum dodaje: »Widzisz — ten gmach stał tutaj, gdy bracia nasi musieli zeń uchodzić wygnani przez rewolucyę r. 1793. W kilka lat potem wrócili. Dziś na nas kolej uchodzić — ale wrócimy, bo wkońcu my osiągniemy zwycięstwo!« — Montbrun pewien dzisiejszej przegranej, ale podniesiony na duchu powraca do siebie powtarzając za księdzem: »Zwyciężymy — byleśmy nie byli do nich podobni!...«

Scena u ks. Pierron przypomina najlepsze ustępy z *Divorce*, szkoda, że cała nowelka tak skromnie między mniej cennemi się kryje. Nie jeden może ją pominąć w mniemaniu, że to jakiś szkic polityczny, a tych już dość się ma codzień w gazetach. Dodać jeszcze należy, że jeźli pozory nie mylą, kilka słów wtrąconych tu o Paskal'u pozwala przypuszczać, iż skłonność Bourgeta ku jansenizmowi nieco osłabła. Co do całości książki, być może, iż tak, jak już parę razy bywało, ten zbiór powiastek jest jakoby drobną monetą, rzuconą od niechcenia w przerwach między dwoma większemi dziełami. Byłaby szkoda, gdyby Bourget swój »talent« samymi szelągami rozsypał.

T. Wodzicka.

Rembrandt-Almanach. Eine Errinerungsgabe zu des Meisters dreihundertstem Geburtstage. Stuttgart und Leipzig 1906.

Zdumiewająco oryginalna, niepodobna do żadnej innej, jedyna w swoim rodzaju twórczość Rembrandta doczekała się dopiero w ostatnich dziesiątkach lat oceny, która go postawiła obok — albo nawet ponad najznakomitszych arcymistrzów sztuki. Dopóki żył na ziemi, cieszył się tylko przez krótki stosunkowo przeciąg czasu powodzeniem i sławą, wnet bowiem przestano go poszukiwać, pozostawiono go w najsmutniejszej samotności, a wreszcie pozwolono mu zginąć w nędzy ostatecznej. Już około r. 1655 był on prawie zapomniany a z końcem wieku XVII można było kupić dzieło jego pendzla za 70 ct. obecnej waluty austryackiej! Dziś nie żałują bogacze europejscy i amerykańscy kroci tysięcy, byleby mogli się pochwalić posiadaniem obrazu Rembrandta, chociażby jednego z najsłabszych. Bo też dzisiaj słyszy się

wszędzie hymny entuzyastyczne, przekraczające wszelką nawet miarę w uwielbieniu tego artysty.

Do licznych wydawnictw, ogłoszonych na chwałę Rembrandta w roku bieżącym, w 300-letnią rocznicę jego urodzin, przyłącza się i »Almanach«, z którego treścią zamierzam zapoznać czytelników *Przeglądu Powszechnego*. Zawiera on oprócz dwóch poematów (dość słabych) Henckell'a i Schaukal'a i kilku drobnych artykulików, także rozprawy Muther'a, Scheffler'a, Veth'a i Heyck'a, ozdobione kilkunastu illustracyami. Rozprawy te czyta się z zajęciem i pożytkiem, chociaż gdzieniegdzie popadają autorowie w szumną frazeologię, która zniewala do krytyki i protestu. Szczególnie Muther sadzi się po swojemu na oryginalność i chciałby olśnić bogactwem nowych a głębokich spostrzeżeń. We wszystkich prawie dziełach Rembrandta upatruje on odbicie jego stanów duchowych i głównych momentów jego żywota. Nieraz odgaduje on przytem rzeczy, których nikt inny nie byłby się domyślił: tak np. wynika z jego słów (str. 16), że Rembrandt nie byłby namalował swojego »Miłosiernego Samarytanina«, gdyby był przedtem nie siedział przy łożu umierającej swej żony! To są jednak fantazye. Każdy zresztą twórca szczery wlewa własną duszę w swe dzieła, a więc niema nic nadzwyczajnego i w tem, że Rembrandt w wielu obrazach wyraził swe uczucia; choć wogóle malował on częściej, niż inni, takie rzeczy, które są tylko odtworzeniem zjawisk natury.

Wobec katolicyzmu zajmują autorowie stanowisko nieprzychylne, niechęć zaś ich i uprzedzenie przeciw Kościołowi wpływa nawet na zaciemnienie ich pojęć estetycznych i sprawia, że wydają sądy wprost niedorzeczne, na które nie zgodzi się żaden znawca nieuprzedzony. I tak twierdzi Muther (str. 17), że Rembrandt »wyjawił lepiej, niż wszyscy malarze kościelni, jaki skarb poezyi, tkliwości, serdeczności i miłości kryje się w starych legendach« Nowego Testamentu, — przez to, że w malowidłach swoich treści biblijnej dał wyraz uczuciom swojego serca, wyobrażając nam Zbawiciela »nie jako bohatera«, ale jako »dobrotliwego« prostaka, »jako syna cieśli«. Katolickie zaś malarstwo kościelne wystawia Boga »jako króla, przyjmującego wiernych z dworską pompatycznością i otoczonego dekoracyą olśniewającą«, — albo też (a mianowicie odnosi się to do Hiszpanów) popada w »duszną ekstazę«. A więc arcydzieła, któremi zachwycają się od wieków miliony dusz, miłujących piękno, nie są przejęte duchem Ewangelii i nie spełniają swego zadania, a przeciwnie Rembrandt wskazał sztuce religijnej drogę prawdziwą, stawiając w miejsce Boga-człowieka i Jego Matki postaci

brzydkie, pospolite, całkiem podobne do rzemieślników holenderskich i nie mające w sobie nic idealnego! W całym tym poglądzie jest tylko jedno ziarnko prawdy: nie można zaprzeczyć, że są liczne obrazy po kościołach, które nie budzą uczuć religijnych i zasługują na zarzut, uczyniony przez autora całemu malarstwu katolickiemu.

Również i autor rozprawy p. n. *Rembrandt und seine Zeit*, wypowiada (str. 42) sąd bardzo niekorzystny a całkiem błędny o wpływie Kościoła na dzieje ludzkości a w szczególności na rozwój sztuki: przez całe średnie wieki starał się katolicyzm »zamknąć zmysły ludzkie«, żeby nie widziały piękności ziemskiej i dlatego staczał walkę daremną z »wyobraźnią starożytną«. Dopiero w wieku Odrodzenia zrozumiał on, że próżne były jego wysiłki, — co więcej, — że wprost przeciwny wywołały skutek, a wtenczas przyznał prawo do bytu w dziedzinie sztuki wspomnieniom historycznym i mitologii klasycznej, aż nakoniec »roztropność światowa jezuityzmu, zdobywającego napowrót« posterunki stracone i roztropność jego uczniów »zawarła kompromis z duchem greckim« i pozwoliła wyobrażać świętych, jako ludzi »zmysłowo pięknych«. Piękność więc idealna, do której dąży sztuka katolicka, ma być tylko przynętą i sidłem dla umysłów niebacznych. Dogmatyzm zespolił się z klasycyzmem, żeby zamknąć oczy narodom na rzeczywistość; wieki średnie chciały ją wyprzeć z duszy ludzkiej przez umartwienie, przyznając byt prawdziwy tylko światowi nadzmysłowemu.

Na tej więc podstawie oświadcza się autor przeciw »idealizowaniu« i za odtwarzaniem rzeczy »istniejących« i wysławia realizm sztuki niderlandzkiej, który przypisuje »dobroczynnemu wpływowi protestantyzmu«. Reformacya odwróciła się według niego od wszelkich »tworów fantastycznych«, od wszelkich »ideologii« i stanęła na niezachwianym gruncie rzeczywistości. Religia jej — to »prosta wiara Nowego Zakonu«; — ona nie chce »zabić życia przez ascezę« (!), ale wskazuje drogę do zbawienia przez prawdziwą moralność. Szczególnie zaś kalwinizm, odznaczający się trzeźwością i niechętny wszelkiej mistyce, miał przyczynić się do tego, że w Niderlandach zakwitnął przemysł i handel, że rozwinęły się tak pięknie wszelkie cnoty obywatelskie, — jemu też ma najwięcej do zawdzięczenia geniusz Rembrandta.

Jest to jednak pogląd bardzo jednostronny i dlatego błędny. Po pierwsze bowiem nie da się zaprzeczyć, że realizm występuje nie tylko w krajach protestanckich, ale i w katolickich: wystarczy przypomnieć Velazquez'a albo uliczników Murilla, zdobiących pinakotekę monachij-

ską. Twardym, albo nawet brutalnym realizmem odznaczają się liczne dzieła artystów, nie mających nic wspólnego »z reformacyą«. Nie jest bynajmniej prawdą, że pod wpływem »wiary średniowiecznej« ludzkość przestała widzieć rzeczywistość i pogrążyła się w bezpłodnej »ideologii«. A dalej: jakże mamy pogodzić twierdzenie, że kalwinizm uszlachetnił rodaków Rembrandta a zarazem nauczył ich cenić malarstwo realistyczne, — z faktem, że, jak już wspomniałem, wnet przestano cenić wielkiego malarza i pozwolono mu umrzeć w opuszczeniu i nędzy? Oto jedną z przyczyn tego faktu był brak wykształconego zmysłu estetycznego: nie umiano się poznać na tem, co właśnie za największą zaletę trzeba Rembrandtowi poczytać, na właściwym jego sztuce i d e a l i z m i e.

Nie można bowiem po prostu i bez żadnych zastrzeżeń zaliczać Rembrandta (jak czyni autor i wielu innych) do »realistów«. Staje on, co prawda, często w ich szeregu, a nawet posuwa się w realizmie do ostatnich granic, tak, iż malowidła jego przestają czynić wrażenie estetyczne (kiedy np. maluje mięso zabitego zwierzęcia, albo wstrętne trupy ludzkie), ale inne jego dzieła różnią się bardzo od utworów realistycznych. W najpiękniejszych jego obrazach nie można dopatrzyć się ani w kolorycie, ani w kompozycyi, ani w efektach świetlanych naśladowania rzeczywistości. Właśnie dlatego nie umiały się poznać na słynnej »Straży nocnej« (dla której w ostatnich czasach zbudowano w amsterdamskiem »Rijksmuseum« osobny pawilon, dzięki inicyatywie Israelsa) prozaiczne i tępe umysły współczesnych rodaków, właśnie dlatego, że artysta zidealizował tych strzelców i tak cudowne rzucił na nich światło; odtąd już żadnych podobnych nie miał on zamówień; — dlatego też nie zachwycano się innymi jego, najwięcej dziś cenionymi portretami, ani obrazkami jego treści biblijnej, które są pełne poezyi i niewysłowionego czaru (jak »Chrystus i cudzołożnica« albo wspomniany już »Samarytanin«), — chociaż im brak właściwego charakteru religijnego.

Godną uwagi jest zresztą także sprzeczność, jaka zachodzi w pojmowaniu protestantyzmu między dwiema rozprawami »Almanachu Rembrandta«: według Heyck'a (którego zdanie już przytoczyłem) wskrzesiła »reformacya« głęboką wiarę pierwszych wieków chrześcijaństwa i dlatego przyniosła owoce zbawienne. Według Scheffler'a zaś (str. 29) trzeba w niej upatrywać początki »nowoczesnego a t e i z m u«, który jednak ma w sobie zawierać utajoną, ale głęboką religijność«! »Protestantyzm był koniecznym, pierwszym krokiem do zniszczenia chrześcijaństwa«! Kto tu ma słuszność? Na to odpowiadają fakta, których

aż nadto wiele dostarcza historya i stan dzisiejszy umysłów w krajach protestanckich.

Ks. Aleksander Pechnik.

L'expansion de la nationalite française, coup d'oeil sur l'avenir. *I. Novicov,* membre et ancien Vice-Président de l'Institut International de Sociologie. Librairie Armand Colin, Paris 1903.

Upadek Francyi, upadek moralny, ujawniający się w licznych faktach literatury, sztuki i życia, upadek polityczny, zaznaczony w stosunkach międzynarodowych, wreszcie nawet upadek fizyczny, stwierdzony głównie przez zmniejszający się stale procent urodzin: — oto objaw niejednokrotnie podnoszony i uwydatniany z naciskiem, nie tylko przez obcokrajowców, lecz i przez samych Francuzów, którzy ubolewając nad nim bardzo, poczytują go niemniej przeto za dowiedziony i niewątpliwy.

Są jednak i zdania wprost przeciwne. Pisujący przeważnie po francusku znakomity socyolog rosyjski, Novikov, w dziele powyżej przytoczonem, na podstawie systematycznych badań nad tym przedmiotem, dochodzi do nader optymistycznego poglądu na przyszłość Francyi; wróży jej nową dobę wszechstronnego rozkwitu i wpływów wszechświatowych, mających o wiele przewyższyć te, które ongi wywierała. Pogląd to nader ciekawy; bardzo jednostronny, wprawdzie zbyt różowo zabarwiony, mający jednak za sobą wiele danych, oparty na szerszej podstawie socyologicznej i przeniknięty szczerze humanitarną dążnością.

Autor rozpoczyna od owej, nieraz przytaczanej jako dowód upadku, zmniejszającej się wciąż liczby urodzin we Francyi. Stwierdza niewątpliwość tego objawu. Istotnie ludność francuska od niejakiego czasu nie pomnaża się wcale; liczba urodzin wśród niej najmniejsza jest u wszystkich znanych: 22·4 na 1000, gdy przeciętnie wynosi ona 35 na 1000, a dochodzi nawet do 50. Czy jednak ten stan rzeczy ma trwać bez zmiany we Francyi, lub pogarszać się na jej niekorzyść? Autor przeczy temu stanowczo i przeczenie swoje popiera bardzo poważnymi argumentami — przedewszystkiem zmiennością linii zjawisk społecznych, która wznosi się i opada, zależnie od czynników działających bardzo rozmaicie w różnych okresach czasu. Wobec tego niema żadnej racyi przypuszczać, że linia oznaczająca liczbę urodzin we Francyi, zniżać się będzie i nadal, jak się zniżała dotąd. Zresztą pamiętać trzeba, że ludność francuska istnieje też poza obrębem swego

ojczystego kraju i nieraz bardzo bujnie się rozwija. W Kanadzie od r. 1763 do 1891 wzrosła z 70.000 na 2,000.000. Mając na względzie ten stopień jej mnożności, można nie bezzasadnie przypuszczać, że do r. 1991 podniesie się na 30 albo i na 40 milionów, a wtedy ogólna ilość Francuzów wynosiłaby około 100 milionów, czyli stanowiliby oni jeden z najliczniejszych narodów na świecie.

Nie można przeto mówić o wyczerpaniu żywotnej energii ich rasy. Skąd więc wynika rozrodczy jej zastój? Autor przypisuje go wyłącznie przyczynom ekonomiczno-społecznym. Francuzi mają mało dzieci dlatego, że nie chcą mieć ich wiele. Po wstrząśnieniach wielkiej rewolucyi i cesarstwa, po klęskach 1870 r. Francya musiała skupić się w sobie. Stąd czasowe jakby jej odrętwienie. Przytem pamiętać trzeba, że kultura francuska w niezmiernie bujnym swym rozwoju, doszła do ogromnej nadprodukcyi, która przy panującym systemie wzajemnego odosabniania się państw i narodów europejskich nie znajdowała ujścia na zewnątrz. Następstwem tego zmniejszony popyt na pracę ludzką i ręce do pracy. W rodzinach mniej zamożnych liczne potomstwo staje się nie źródłem bogactwa lecz ciężarem, tym większym, im znaczniejsze są potrzeby uwarunkowane przez rozwój kulturalny. Niechże jednak zmienią się warunki polityczne i gospodarcze w Europie, niechaj upadną cła graniczne i zapanuje zupełna swoboda w stosunkach międzynarodowych, a wnet ujrzymy nowy rozkwit wytwórczości francuskiej, ponowne zbudzenie się jej energii żywotnej i siły rozrodczej.

Zresztą mnożenie się ludności wynika nie tylko z naturalnego jej rozradzania się. Mają tu znaczenie i inne czynniki, które autor rozpatruje kolejno, przedstawiając je zawsze w świetle dla Francyi nader korzystnem. Przedewszystkiem czynniki ekonomiczne, których następstwem jest napływ żywiołów obcych i asymilacya ich przez ludność krajową. Nie trudno dowieść (świadczy o tem wymownie przykład Alzacyi i Lotaryngii), że naród francuski posiada szczególne zdolności asymilacyjne i z wielką szybkością pochłania osiadającą wśród niego ludność obcokrajową. Chodzi tylko o to, aby ta ludność miała łatwy dostęp do Francyi i znajdowała w niej pomyślne warunki bytu, a przyczynić się może bardzo do pomnożenia i wzmocnienia jej żywiołów narodowych. Autor dowodzi, że przyszłość bardzo pomyślnie pod tym względem się przedstawia, dzięki nowym sposobom wyzyskiwania przyrodzonych bogactw kraju, oraz różnym ułatwieniom w stosunkach międzynarodowych.

Z asymilacyą wiąże się ściśle kwestya kolonizacyi. Historya świadczy, że kolonie prędzej czy później odpadają od swoich metropolii. Zależy na tem, aby narodowość jej utrwaliła się i rozszerzyła w posiadłościach kolonialnych, przed ich odpadnięciem, tak jak utrwaliła się narodowość anglosaska w Ameryce północnej i rozwija się w niej coraz wspanialej po wyzwoleniu Stanów zjednoczonych z pod władzy wielkiej Brytanii. Owóż są różne powody (wynikające z wrodzonej Francuzom zdolności asymilacyjnej), które pozwalają przypuszczać, że zapuszczą oni silniejsze jeszcze i trwalsze aniżeli Anglicy korzenie narodowę w swych posiadłościach kolonialnych i takim sposobem zdobędą nowe dla swej narodowości pole do przyszłego rozwoju.

Z kolei rozpatruje autor inne czynniki szerzenia się narodowości francuskiej, przyswajania przez nią i pochłaniania obcych żywiołów: czynniki intelektualne, estetyczne, historyczne i językowe. Działanie ich w przeszłości i teraźniejszości przemawia niewątpliwie na korzyść Francyi i świadczy wymownie o potędze jej ekspansyi narodowej. Niema powodu wątpić, że i w przyszłości w tymże samym kierunku będą one działały i pod wpływami francuskimi, wśród różnych narodów coraz szersze otwierać będą widnokręgi, a co za tem idzie coraz silniej umacniać nacyonalistyczne stanowisko Francyi. Jej nauka, sztuka, literatura nieutracą zapewne i nadal nic z tego znaczenia wszechświatowego, jakie sobie dotąd zdobyły. Narody nieliczne, niemogące własną wytwórczością zaspokoić swych potrzeb umysłowych i artystycznych, zaspokojenia ich i nadal we Francyi głównie poszukiwać będą. Autor wykazuje dowodnie, że żaden z krajów, współzawodniczących z nią w tym względzie, nie zdoła przezwyciężyć wszechświatowych jej wpływów kulturalnych, zbija pessymistyczne przewidywania niektórych nowszych pisarzy francuskich, w rozkwicie współczesnej wiedzy niemieckiej i angielskiej, oraz literatury skandynawskiej i rosyjskiej, dopatrujących się groźnego dla swej ojczystej wytwórczości współzawodnictwa, lub widzących je w rozbudzonej twórczości samodzielnej wielu mniejszych ludów, które ongi karmiły się wyłącznie nieomal płodami umysłowej gleby francuskiej.

P. Novikov żywi poparte wielu dowodami przekonanie, że umysłowość francuska, choć może w pewnych swych właściwościach niższa od umysłowości innych wielkich ludów kulturalnych, w ogólnym swym charakterze przewyższa ją przymiotami, które dają jej i dawać zawsze będą stanowczą nad nimi przewagę we współzawodnictwie wszechświatowem. Głównym z nich to szczerze demokratyczna i humanitarna

dążność, wykluczająca arystokratyczną wyłączność właściwą Anglikom (osobliwie w ich polityce kolonialnej) oraz posługiwanie się środkami przemocy w narzucaniu swej kultury narodowej, czem tak bardzo za dni naszych przewiniły sprusaczałe Niemcy i czem zarobiły sobie na powszechną nieomal całego świata współczesnego nienawiść.

W całej tej obronie kultury francuskiej, jej humanitaryzmu i wszechludzkiego jej charakteru, pomimo przemagającego tu i ówdzie w wywodach autora, jednostronnie penagericznego tonu, dużo jest słuszności, dużo trafnych, choć niegłębokich spostrzeżeń — słusznem jest także to, co autor mówi o międzynarodowem znaczeniu języka francuskiego, które wskutek postępującego z biegiem czasu zbliżenia pomiędzy ludami i wyjątkowych istotnie przymiotów tego języka w przyszłości, wzrastać jeszcze powinno. Istotnie zdaje się, że pomimo rozpowszechniania się nowszemi czasy angielszczyzny nie zdoła ona zastąpić w stosunkach międzynarodowych mowy Francuzów. Mniej jeszcze widoków mają na to inne języki europejskie. Możnaby mieć w tym względzie pewne wątpliwości co do jakiegoś bardzo uproszczonego języka sztucznego, w rodzaju np. Esperanto, który nawet we Francyi licznych obecnie posiada zwolenników. Wobec wzmagających się z postępem cywilizacyi dążeń do jak największego ułatwienia stosunków międzynarodowych nie jest wykluczonem rozpowszechnienie się takiego języka, wolno jednak powątpiewać o możliwości naturalnego i trwałego w szerszym zakresie porozumiewania się pomiędzy ludźmi zapomocą tego sztucznego organu.

Jeśli wraz z p. Novikovem pominiemy zupełnie kwestyę owej możliwości, to trzeba się też zgodzić z nim na przypuszczany przezeń wzrost w przyszłości międzynarodowego znaczenia francuszczyzny. Trzeba też uznać, że wiele, bardzo wiele jest prawdy w tem wszystkiem, co mówi o ogromnym zasobie sił społecznych i kulturalnych we Francyi współczesnej, oraz o przemożnym wpływie, jaki dzięki temu wywiera obecnie i zapewne długo jeszcze wywierać będzie na cały świat cywilizowany. Olbrzymie zasoby kulturalne, nagromadzone przez liczne stulecia bujnego, wielostronnego rozwoju, nie wyczerpią się w ciągu kilku lub choćby kilkunastu dziesięcioleci zwyrodnienia, jakiemu uległa Francya od czasu wielkich wstrząśnień politycznych przeszłego i zaprzeszłego wieku. Trwają, działają i długo jeszcze działać będą na ludy ościenne, podobnie jak w epoce aleksandryjskiej oddziaływały na cały świat starożytny, bogate zdobycze kultury helleńskiej, pomimo postępującego zwyrodnienia jej i rozkładu. Ale czy

nie wyczerpią się zasoby kulturalne we Francyi dzisiejszej, nikczemniejącej coraz bardziej w swych panamach, draifusiadach w swem carskiem służebnictwie i płaskim oportuniźmie mieszczańskim, jak się wyczerpały ongi w upadającej, znikczemniałej Grecyi?

Wielbiciel rosyjski kultury francuskiej, zdaje się wierzyć w niespożytą jej trwałość. Niedostrzega w niej wcale objawów zwyrodnienia. Widzi trafnie, że i w dzisiejszym swym stanie jest ona ceniona, lubiana i pożądana przez ludy cywilizowane, ale dziwna rzecz, nie dostrzega wcale tego oczywistego faktu, że od dawna już przestała być przez nie szanowana, a co gorsza, że sama dla siebie utraciła szacunek.

Dawno minęły czasy, gdy się pełniły czyny boże przez Franków — *gesta Dei per Francos* — i owe późniejsze znacznie czasy, gdy przez Francyę pełniły się czyny ludzkości, gdy cała ludzkość cywilizowana podążała za francuskiemi hasłami, żyła francuskiemi ideami. Gdzież dziś owe czyny, hasła i idee? Przechowują się na kartach historyi Francyi, przemawiają do nas z dzieł wielkich jej pisarzy i artystów, ale w życiu jej współczesnem, we współczesnych jej dążeniach i działaniach politycznych, społecznych, kulturalnych czy wiele ich znajdziemy? Francya żyje duchowym zasobem przeszłości, ale nowych zasobów na przyszłość nie gromadzi, owszem, można powiedzieć, że roztrwania lekkomyślnie te, które posiada. Oczywiście nie jest wykluczonem, że w niedalekim przyszłym okresie, rozwinie ona nowe siły twórcze, wyda nowe dzieła, nowemi hasłami i ideami porwie za sobą ludzkość.

Słusznie autor zajmującej nas tu pracy, podnosi wielkie i różnorodne bogactwa ducha francuskiego i na ich podstawie opiera nadzieje swe na przyszłe rozprzestrzenienie się francuskiej narodowości. Narodowość ta wzrosła i zakwitła na gruncie najszlachetniejszych dążeń człowieczeństwa nowożytnego. Wraz z jej upadkiem upadł w Europie wszelki prawdziwy humanitaryzm i pod pokrywką zmateryalizowanej cywilizacyi, pod wodzą tryumfującego nad Francyą brutalnego prusactwa i sprusaczałych Niemiec zapanowały na całem przestworzu europejskiem walki zezwierzęconych instynktów społecznych i nacyonalistycznych.

Być może, iż jak ongi przez monarchię merowingskich i karlowingskich Franków wydobył Bóg Europę chrześcijańską z zamętu pierwotnej dziczyzny barbarzyńskiej — w przyszłości przez republikańską,

demokratyczną Francyę wydobędzie ją z obecnego chaosu zdziczałej w swem zwyrodnieniu cywilizacyi nowożytnej.

Ale potrzeba, aby Francya nawróciła się przedtem do Boga, do wiary religijnej, przez którą ongi tak bardzo wzrosła, a której obecnie tak bardzo się sprzeniewierzyła. To jej przeniewierstwo jest może największem nieszczęściem i klęską najcięższą chrześcijańskiej Europy, główną przyczyną duchowego jej zwyrodnienia. Czy zdoła ona jeszcze odrodzić się w duchu i prawdzie chrześcijaństwa?

W tem pytaniu zawiera się tajemnica przyszłych jej losów, a zatem i losów pierworodnej jej córki, Francyi, która przez swą uniwersalność, europejskość, przez zdolność wywierania szerokich wpływów na otaczające ją i pobratymcze ludy, zdaje się być powołaną do przewodniczenia tak w złem, jak i w dobrem duchowemu ich rozwojowi.

W. Gostomski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Źródła przykładów Reja w „Żywocie człowieka poczciwego". Napisał *Tadeusz Sinko.* W Krakowie. Nakładem Akad. Umiej. 1905.

Autor, znany w naszem piśmiennictwie badacz literatury klasycznej, zastanawia się w przytoczonej pracy, skąd zaczerpnął Rej przykłady, tak gęsto rozsiane w »Żywocie«. Sam Rej nie podaje żadnych źródeł z wyjątkiem Erazma Rotterdamczyka. Powołuje się tylko często na autorów starożytnych wogóle, »onych zacnych ludzi, onych mądrych filozofów«. Autor wykazuje, że Rej nie brał bezpośrednio przykładów swych z dzieł starożytnych, lecz za pośrednictwem znanych i rozpowszechnionych w wiekach średnich opowieści i anegdot. Głównem źródłem Reja jest zbiór Konrada Lycosthenesa *Apophtegmatum loci communes,* wydany w Bazylei w r. 1559. Na szeregu analogicznych ustępów wykazuje autor swoją tezę.

Również spotykać można u Reja analogiczne ustępy z Seneką, Waleryuszem, dziełami filozoficznemi Cycerona.

Jako dzieło oparte na badaniach źródłowych, dochodzące do samodzielnych i odmiennych od prac poprzednich w tym kierunku wyników, przedstawia praca p. Sinka poważną wartość naukową.

B. A.

Herzeloïde. Roman. *Von Georg Freiherrn von Ompteda.* 3 Auflage. 1905. Str. 352.

Okładka ciemno-niebieska, brzydka, przypominająca bibulaste wydania z r. 1790 lub 1810 — snać karkołomna dziś gonitwa za nowością doprowadza ludzi do kręcenia się w kółko, a przeto do powrotu w stare zakątki, takie nawet, o którychby warto zapomnieć. Na tej odpychającej okładce widnieje przecież ozdo-

ba, jedna jedyna: czerwone serce, opasane koroną cierniową, z pod której wielkie krople krwi spadają na rzeczoną okładkę. Wzrok mimowoli szuka krzyża, szuka tytułu rozmyślań o Męce Pańskiej. Ale gdzie tam! To zwykła powieść, ładna wprawdzie i moralna, a to ociernione serce jest przynależnością ludzką, niewiadomo żeńską czy męską, bo w powieści dwie istoty płaczą krwawemi łzami. Treść bardzo codzienna i prosta: młody rotmistrz pruski spotyka na Riwierze dziewczynę dziwnych zalet duszy — Herzeloidę, zbliża się do niej o tyle, aby w jej sercu wzbudzić gorące uczucie, sam myśli się oświadczyć, ale rzecz odkłada i zapomina. Wkrótce spotyka drugą, Maryę, z którą się żeni. Herzeloidę spotyka często nie już jako pannę przy matce, bo straciwszy rodziców wzięła na wychowanie sierotki po siostrze. Biedna dziewczyna zemdlała dowiadując się o jego zaręczynach z inną; odtąd jednak zachowuje się dzielnie, obecności z nim sam na sam unika, ale żonie jego jest przyjaciółką wierną i czynną, gotową każdy cierń z drogi jej życia usunąć. Niestety nie może usunąć śmierci. Maryę zwolna ale nieubłaganie trawi choroba piersiowa. Po długich mękach umiera, a po kilku latach mąż jej żeni się z Herzeloidą. Dla czytelnika niespodzianek niema, jest życie powszednie, z którego autor wydobył na jaw wszystkie odcienia i szczegóły, jest dużo zdrowego uczucia, dużo świeżości i wdzięku.

T. W.

Neue Schule des gregorianischen Choralgesangs von *P. Dom. Johner*. 1906. Pustet. 8°, XIII+298.

Prócz O. Johnera pracowali nad tą nową szkołą gregoryańskiego śpiewu O. Böckeler i O. Rafael Molitor, słynny autor książki *Die nachtridentinische Choralreform*. Wszyscy trzej są zatem przedstawicielami szkoły beurońskiej. Mając na myśli wiadome reformy Piusa X postanowili w tym kierunku dać podstawowy podręcznik. Podzielili go podobnie jak znany autor *Magistri choralis*, Haberl, na 3 części: *Vorschule*, *Normalschule* i *Hochschule*. Sądząc po zapatrywaniach autorów, względnie O. Johnera, na rytmikę gregoryańską, należy go nazwać ścisłym tradycyonalistą i uczniem duchowym Dom Mocquereau'a. Nie wiem jednakże, czy autor nie myli się jeśli sądzi, że w melodyi chorału następują po sobie dwu- i trzyczłonowe twory, bo o tem nie było mowy u średniowiecznych autorów. Jest to zbyt nowoczesne pojęcie. Praktyczne przykłady są wierne stylowi, uwagi praktyczne i dotyczące towarzyszenia chorału są bardzo cenne i zdradzają wielkie poczucie muzykalnego wyrazu gregoryańskich melodyi.

A. Ch.

Palestrina par *Michel Brenet*. (Collection des Maîtres de la Musique, publiée sous la direction de Jean Chantavoine), 12°, str. 250. Paris 1906. Félix Alcan.

Jeśli prawdą jest, że jeszcze się ten nie narodził, ktoby pojął Palestrinę tak głęboko, jak na to ten olbrzym zasługuje, to w każdym razie autor tej książki rozumie Palestrinę tak, jak niewielu. Ostatniem wielkiem dziełem o Palestrynie były dwutomowe *Memorie storicho-critiche della vita e delle opere die Giovanni Pierluigi da Palestrina* (1828) Józefa Bainiego. Po tem brakło ludziom odwagi do pisania o tej muzyce, o której nie każdy pisać może. Ukazały się tylko małe prace, nie o wszystkich, lecz tylko

pojedynczych dziełach Palestriny. Tu należy wspomnieć o archiwalno-historycznych wstępach do poszczególnych tomów zbiorowego wydania dzieł mistrza, wydania redagowanego przez Witta, Raucha, Espagne, Commera i F. H. Haberla. Nie tylko zastanawia się autor nad dziełami Palestriny, a czyni to z wielką precyzyą naukową i entuzyazmem, lecz także nad celem sztuki tego mistrza, jej wolnym upadkiem i zapomnieniem i renesansem, datującym się prawie od r. 1850, zarówno w Niemczech, jak i we Francyi.

Zanim ukaże się monografia Haberla, książka Breneta będzie z pewnością bardzo rozpowszechnioną.

A. Ch.

Der gottesdienstliche Volksgesang im jüdischen und christlichen Altertum. Ein Beitrag zur jüdischen und christlichen Kultgeschichte von *dr. Franz Leitner*, Subregens des k. Georgianums in München. Freiburg im Br. Herder, 1906, XII+283.

Autor dał nam w swej książce, zdradzającej wielkie oczytanie w filologicznej i historycznej literaturze, uzupełnienie tych wiadomości z zakresu przedmiotu, które spotykaliśmy w największej stosunkowo liczbie w dziełach prof. Piotra Wagnera, następnie Geverta, w *Paléographie musicale*, u Bäumera, Probsta, Pitry, Harnacka, Ambrosa, Fleischera, Dechesne'a, Renaudota, Hardonina, Rietschla, Christa, Krumbachera, Möhlera i innych badaczy-specyalistów. Autor zużytkował tą literaturę, ale i poczynił oryginalne badania, zwłaszcza w drugiej części książki p. t. *Der gottesdienstliche Volksgesang im christlichen Altertum* (str. 69 i nast.). Z prawdziwie niemiecką skrzętnością i wielkim nakładem pracy zebrał wszystkie miejsca z pism Ojców i doktorów Kościoła i uczonych chrześcijańskich, zawartych w dwóch słynnych publikacyach Migne'go, obejmującej kilkaset tomów: *Patrolodiae cursus completus sive Bibliotheca universalis SS. patrum et scriptorum ecclesiasticorum.* Otrzymujemy wskutek tego obraz całkowity rozwoju liturgicznego śpiewu, aż do powstania sekwencyi i hymnów średniowiecznych. Książka ta posiada tyle prawdziwych zalet naukowych i literackich, że zasługuje na wielkie rozpowszechnienie.

A. Ch.

Trzydzieste trzecie sprawozdanie Związku Spółek zarobkowych i gospodarczych w W. Księstwie Poznańskiem i w Prusach Zachodnich za r. 1904. Poznań 1905.

Bardzo wybitną rolę odegrały w rozwoju ekonomicznym ziem polskich, zostających pod panowaniem pruskiem Spółki zarobkowe i gospodarcze. Organizacyą swoją pokryły jak siecią cały obszar tych ziem, a połączone w Związek wytworzyły instytucyę silną gospodarczo, instytucyę, z którą należy się poważnie liczyć. Rozporządzają one funduszem rezerwowym 4.677.266 mk; do 149 spółek należy 73.069 członków, których udziały wynoszą 12,379.202 mk. Obrót roczny ich interesów wynosi 98.339.437 marek. Między członkami swymi liczą 1382 większych właścicieli, 37.076 mniejszych, 1390 dzierżawców, 13.845 przemysłowców, 8.088 członków różnych innych zawodów.

Takie daty przynosi nam leżące przed nami sprawozdanie. Porównanie z rokiem poprzednim wykazuje przyrost ilości członków o 14.000, wzrost obrotu o 18 mil. marek, przyrost udziałów o $1^1/_2$ miliona, a wzrost funduszu rezerwowego o 400.000.

A.

Bilans handlowy gubernii Królestwa Polskiego. Opracował *Władysław Żukowski* przy współpracownictwie *d-ra M. Chruszczyńskiego.* Zeszyt III. Warszawa 1904.

Zeszyt ten zawiera zestawienie bilansu handlowego materyałów surowych, jako to węgiel, drwa, rudy, wełna, bawełna oraz półfabrykatów, jak belki, deski, żelazo. Bilans towarów leśnych wykazuje w roku 1894 + 496 tysięcy rubli, w r. 1895 zwyżkę 322 tysięcy rubli, w r. 1896 1674 tysięcy rubli, w r. 1897 4959 tys. rub.

W zakresie minerałów tylko węgiel, torf, żelazo, blacha, cynk wykazuje nadwyżkę wywozu nad przywozem.

Inne płody mają przeważnie bilans bierny. Tylko oleje, kreda, cement, alabaster, gips, wapno, chlorek wapna, siarczarny, smary, klej, biel, szczecina, skóry, pierze, puch, kość surowa wykazuje nadwyżkę wywozu.

Powyższe daty uwzględniają jedynie wywóz za granicę. Inaczej przedstawia się bilans, gdy weźmiemy Królestwo Polskie jako całość zamkniętą wobec reszty cesarstwa rosyjskiego. Zestawienie uwzględniające ten punkt widzenia wykazuje w niektórych pozycyach bilans wywozowy wyższy, w niektórych obniża wysokość bilansu czynnego. *A.*

Galicya w preliminarzu budżetowym na rok 1903. Napisał *dr. Włodzimierz Czerkawski.*

Znane ogółowi cyfry budżetowe wykazują z jednej strony, że rząd liczy się na każdem polu za mało z naszemi potrzebami: wydatki na cele oświaty, kultury, przemysłu, wymiaru sprawiedliwości i t. p., są stosunkowo znacznie niższe, niż odpowiadające im wydatki w innych krajach koronnych. Z drugiej strony zestawione cyfry wykazują, że bierność finansowa Galicyi jest tylko frazesem, że Galicya dochodami swymi nie tylko pokrywa wydatki, ale nadto przyczynia się do wydatków wspólnych dla wszystkich krajów koronnych, do wydatków rządu centralnego.

A.

Pod jarzmem tureckiem. *Iwan Wazow.* Powieść osnuta na tle walki Bułgarów z Turkami w r. 1876. Przełożyła z bułgarskiego Helena Sopodźkowa. Wydanie wznowione. Kraków 1905. Spółka Wydawnicza Polska. T. I str. XIX, 240. T. II str. 300.

Pośród prawdziwej powodzi wydawnictw, podwójne w krótkim czasie wydanie z obcego języka przyswojonej powieści, może być najlepszą miarą jej wartości. Po wyjściu pierwszego wydania, zamieścił *Przegląd Powszechny* wyczerpującą i zajmującą ocenę, podnosząc w powieści Iwana Wazowa tło narodowe i umiejętne pochwycenie wszystkich miejscowych obyczajów, mało znanego właśnie pod względem etnograficznym narodu. Żywe i barwne obrazy życia sielskiego, romansu i krwawych zmagań się z wrogiem nie straciły nic z czasem na kolorycie, ani książka na opinii, jaką jej pierwsza recenzya wyrobiła.

A. R.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Walka o polski katechizm.

Kilka lat temu wywołała Września oburzenie i zdumienie w całym świecie. Jakaż to siła, pytano się wówczas, ożywia te nieletnie dzieci, pcha ich do cierpień i prześladowań w obronie wiary i ojczystego języka? Dzisiaj świat staje na nowo przed podobnem zjawiskiem, tylko bardziej jeszcze zdumiewającem. To już nie dzieci jednej szkoły, ale dzieci całego prawie Księstwa i części Prus Zachodnich odmawiają nauki religii w języku niemieckim i oddawają katechizmy niemieckie. Nie odstraszają ich areszty, katowanie, odbieranie wakacyi, zatrzymywanie w szkole ponad wiek przepisany. Na ich rodziców spadają kary pieniężne, składanie z urzędów, — na całe społeczeństwo uderza zaciekle protestancka, a niestety! i pewien odłam katolickiej prasy, rząd pod błahymi pozorami zrywa i rozwiązuje wiece, a jednak ten ruch żywiołowy nie słabnie lecz wzmaga się, i dzieci, po karach cielesnych i aresztach gromadnie idą nie do domu, lecz przed kościoły i figury Matki Najświętszej, modlą się, śpiewają i zamawiają Msze św. Szpalty *Dziennika Poznańskiego* i wogóle gazet poznańskich są codziennie przepełnione wiadomościami o coraz to bardziej szerzącym się oporze dziatwy szkolnej.

Ruch ten zrozumieć można, bo przecież tu chodzi o naj-

wyższe dobra, do których żadne państwo nie ma prawa: o religię i język ojczysty w modlitwie. Być może, że on nie osiągnie zamierzonego celu, że zdławi go siła i przemoc, lecz on jest i pozostanie protestem gnębionego uczucia religijnego i ciemiężonego niesłusznie uczucia narodowego. I tak ten ruch pojmuje nie tylko prasa krajowa, gdyż i to jest naturalne, ale prasa zagraniczna i nawet pewien odłam prasy niemieckiej.

»Planów — pisze *Figaro* — które przeciwnicy podsuwają, Polacy nie żywią. Nie pragną nic więcej, jak mniej szpiegowania, a więcej wolności, równości wobec prawa i używania ojczystego języka w kościele i szkole. Może to jest wiele, ale jeżeli Prusy postępować dalej będą na drodze prześladowania, obudzić mogą w Poznańskiem dążenia o wiele niebezpieczniejsze«.

»Od dawna już — informuje *Germanię* korespondent ze Szwecyi—rozpisywały się gazety szwedzkie o niemiłych zajściach pomiędzy dziećmi polskiemi, spowodowanych przymusową nauką religii w języku niemieckim. Później czytałem to samo i w jednem z pism norweskich. Nie było to pochlebnem dla Niemców żyjących w Skandynawii. Września wywołała tutaj swego czasu ogromne wzburzenie. W najwyższych sferach towarzystwa sztokholmskiego oburzenie było tak wielkie, że dla Niemca było nader trudnem komunikowanie się z niemi... Sympatye mogą się tu dzielić pomiędzy Niemców i Polaków, również mogą być i zapatrywania różne co do granic prawa przysługującego państwu w sprawie nauki, ale każdemu jest zupełnie jasnem, że nauka religii inne zupełnie ma cele, aniżeli przymusowe popieranie jakiegokolwiekbądź języka«.

Niemniej stanowczo wyraziła się w tej sprawie *Vera Roma*, artykuł zbyt znany, by potrzeba go powtarzać. *Vera Roma* nie jest wprawdzie organem Watykanu, ale zato *Osservatore cattolico* potępił przymus religijny w Prusach w tak ostrych wyrazach, że *Dziennik Poznański* ze względów prasowych nawet go przedrukować nie mógł, a równocześnie niemniej ostro napiętnowały rząd pruski *Italie, Mattino, Stampa* i medyolański *Secolo.* Do tych głosów zagranicznej prasy moglibyśmy dołączyć jeszcze setki, ograniczymy się jednak tylko do sądu *La Croix:* »Walka o szkołę

jest coraz więcej zaognioną, jej echa rozchodzą się po kraju. Jest to twarda walka dogmatu świeckiego, urzędowego materyalizmu przeciwko religijnej duszy narodu. Demokraci nasi fałszywi słyszą, że tam daleko we wschodnich prowincyach cesarstwa niemieckiego odłam nieszczęśliwej Polski wije się pod uciskiem prześladowczym. I tam także jest dusza narodu, która nie chce umrzeć. I ta dusza drga w mężnych sercach malutkich dzieci polskich, które godzą się na wszystko pod panowaniem niemieckiem, prócz na modlenie się do Boga w języku swych prześladowców. One uparły się rozmawiać z niebem w języku swych przodków«.

Niemiłe pewnie wrażenie wywołał w Prusach artykuł *Germanii*, która w ostatnich latach zajęła nieprzychylne dla Polaków stanowisko, lecz z punktu widzenia katolickiego jest zmuszona czasami stanąć w ich obronie. »Przed rokiem — pisze *Germania* w n. 205 — oświadczył uroczyście cesarz Wilhelm II w Gnieźnie: »Każdy katolik-Polak niech wie, że szanuję jego religię i że żadnych nie będzie miał pod tym względem przeszkód w wypełnianiu swych obowiązków«. Dzisiaj widzimy, że polskim dzieciom przeszkadzają w wykonywaniu tych obowiązków, bo zmuszają je do nauki religii w niezrozumiałym dla nich języku, zmuszając do odmawiania Modlitwy Pańskiej w innym języku jak ten, w którym uczyły się jej na kolanach matki... Nawet w Rosyi w czasach największego prześladowania Polaków, w nauce religii pozostał językiem wykładowym język ojczysty, a teraz wprowadzają go na nowo do nauki innych przedmiotów. Czyżby Prusy pragnęły obecnie stanąć niżej jak Rosya?« To przytoczenie słów cesarza Wilhelma nie może się w Berlinie podobać, w nas jednak nie obudza żadnych nadziei, bo pamiętamy jeszcze słowa Bismarcka, że nasze powoływanie się na obietnice królów pruskich nie jest warte złamanego szeląga.

Pomijamy tu artykuły jedynej, wiernej i starej przyjaciółki Polaków, kolońskiej *Volkszeitung*, bo wiemy, że ona zawsze staje w obronie naszej. Nie możemy za to nie zwrócić uwagi na fakt, że i między katolickiemi czasopismami w Niemczech mamy pisma nam wrogie. Wychodząca w Księstwie a popierana przez rząd

Katholische Rundschau żąda, aby niemiecką naukę religii i modlitwy zaprowadzono i w najniższych szkołach, aby utworzono stumilionowy fundusz szkolny, gdyż tym sposobem zaprowadzi się religię niemiecką w szkole a pieśni i kazania wyłącznie niemieckie w kościele. W tym szale brnie pismo dalej: »Przedewszystkiem jednak trzeba skrępować działalność polskiej prasy, istniejące obecnie pisma polskie powinny wychodzić z równoczesnem tłumaczeniem niemieckiem, nowych nie powinno być wolno zakładać, na wszystkich polskich zgromadzeniach rozprawy powinny się toczyć w języku niemieckim, adresowanie listów po polsku i napisy polskie na sklepach powinny być zakazane. Jeżeli tylko rząd razem z wszystkimi Niemcami w tym kierunku postępować będzie, to przyjdzie niezadługo czas, w którym nawet tutaj na wschodzie jedynie niemiecki język rozbrzmiewać będzie i w nim chwałę Bogu śpiewać będą«.

Z tego artykułu, jak i z głosów prasy protestanckiej brzmi jedynie zgrzyt nienawiści, w innych pismach przebija zato pewne zakłopotanie. Usiłują one tłumaczyć postępowanie rządu fałszywem twierdzeniem, że w Księstwie zmuszano dzieci niemieckie do nauki religii w języku polskim, a *Germania* w dziwnej sprzeczności z przytoczonym wyżej artykułem pozwoliła sobie nawet na twierdzenie, że u nas mowa potoczna różni się od języka używanego w piśmie, że dzieci polskie nauki religii nie potrafią nawet w języku polskim zrozumieć, bo umysł ich w niemieckim języku kształcony, że wreszcie księża należący do »polskich hakatystycznych towarzystw« sami widzą, że »wykład religii w języku polskim jest już dzisiaj z pożytkiem dla dzieci niemożliwym«.

Sprawa weszła na nowe tory po liście pasterskim ks. arcybiskupa Stablewskiego, w którym skłoniony do tego setkami petycyi rodziców wypowiada swe zapatrywania na naukę religii. Stwierdza w tym liście obniżenie się poziomu wiedzy religijnej i poczucia obyczajności, zapewnia, że przemawiał zawsze za nauką religii w języku ojczystym, że języka ojczystego w religii zawsze bronił i o jego przywrócenie się starał a to dlatego, że tylko nauka religii w języku ojczystym może wydać owoce, i że to zapatrywanie jest i zapatrywaniem Kościoła, jak to wykazują sobory i sy-

nody: trydencki, wormacki, ołomuniecki, łucki i wileński. Dziś już dłużej milczeć nie może. »Nie pozostaje nam teraz, jak abyśmy złączeni we wspólnej boleści serca, uzupełniali szkolną naukę religii — domową i kościelną nauką. Niechaj domy wasze staną się odtąd szkołą św. a w naszych świątyniach niechaj tem gorętsze wznoszą się modły, by Opatrzność Boża roztoczyła Swoją szczególniejszą opiekę nad tą dziatwą, która ma od nas przejąć spuściznę wiary«. Wzywa wreszcie arcypasterz duchowieństwo do gorliwej katechizacyi dzieci a rodziców do staranniejszego ich wychowania.

Za arcybiskupem poszło duchowieństwo; odezwa księży proboszczów poznańskich poucza rodziców: ... »Waszym obowiązkiem, rodzice, jest trzymać się tej zasady (nauka religii w języku ojczystym) niewzruszenie a wytrwale i starać się o to, aby dzieci wasze uczyły się po polsku religii św., aby polskie miały katechizmy, historye biblijne, a przytem błagać Boga miłosiernego o zmianę dzisiejszego smutnego stanu rzeczy«.

Wspaniały list ks. arcybiskupa, jak wywołał uwielbienie i entuzyazm w szeregach polskich, tak o szał prawie przyprawił protestanckie i żydowskie gazety niemieckie; trudno nawet pojąć, jak ludzie uważający się za synów cywilizowanego narodu, mogą się do tego stopnia zapomnieć i wylać z siebie tyle jadu, kalumnii, przezwisk i insynuacyi. »Jeżeli p. Stablewski — pisze *Vossische Zeitung* — będzie dalej podżegać umysły, to nie pozostanie nic innego, jak przymusić go surowo do odwrotu. Miejscem najstosowniejszem do tego będzie prawdopodobnie Ostrowo. Ledóchowski także tam był«. *Tägliche Rundschau* grozi represyą »krnąbrnemu urzędnikowi«, *Hannov. Anzeiger* wzywa rząd do walki przeciwko »zdeklarowanemu agitatorowi antyniemieckiemu, p. Stablewskiemu« i proponuje odebranie mu pensyi; stekiem napaści, kłamstw i gróźb przewyższył wszystkie dzienniki *Posener Tageblatt.*

To brutalne miotanie się pism hakatystycznych, to najpiękniejsza nagroda dla ks. arcybiskupa, bo pokazuje mu, że dotknął rany i trafił w gniazdo szerszeni.

Jedno jeszcze znaczenie ma list pasterski. Poważna prasa katolicka lepiej zrozumiała teraz niebezpieczeństwo grożące kato-

licyzmowi ze strony rządu i stanowczo nawołuje »katolików niemieckich obydwóch narodowości« do łączenia się. Czyni to nie tylko *Kölnische Volkszeitung*, ale niezwykle stanowczo i *Germania, Schlesische Volkszeitung, Bayrischer Courier* i inne, a taki masowy występ musi zrobić swoje. »Każdy katolik — twierdzi *Kölnische Volkszeitung* — który seryo pojmuje religię i sprawiedliwość, obowiązującą także w stosunku do członków innych narodowości, podpisze każde słowo tego listu. Niech się tylko nikt nie łudzi, że uda się w tej sprawie polskich katolików zizolować; gdyby ktoś na prawdę sądził, że uda się dzisiaj wywołać osobny *Kulturkampf* w polskich prowincyach państwa, niech o tem pamięta, że będzie miał do czynienia nie tylko z polskimi katolikami, ale z wszystkimi katolikami w cesarstwie niemieckiem«. *Volkszeitung* wykazuje jeszcze prawo arcybiskupa do napisania takiego listu i zbija przez hakatystyczne pisma podnoszone zarzuty, że utrzymuje on przez to ludność w oporze i podburza do gwałtu.

W czarnych kolorach przedstawia się przyszłość, w Bogu jednak nadzieja, że zaświtają jaśniejsze dni. To też nie możemy tego sprawozdania lepiej zakończyć, jak prześlicznemi słowami ks. d-ra Surzyńskiego, wypowiedzianemi na wiecu w Kościanie: »Do papieża Pawła V przybyło poselstwo z Polski z prośbą o relikwię świętych męczenników. »Relikwii chcecie, odrzekł papież, weźmijcie garść ziemi polskiej, zduście ją a popłynie z niej krew męczenników«. — Biorę dzisiaj garść naszej ziemi, wyduszam ją i patrzę: jakiś płyn się ukazuje, kropelka za kropelką, coraz go więcej, coraz silniej wybucha, całe strugi cieką — ale to nie krew. To woda jasna, przejrzysta, ale okropnie gorzka. To łzy dzieci naszych, cierpiących za polską naukę religii św.... W dziejach narodu były twardsze chwile, były położenia opłakańsze... jednak słuszność i sprawiedliwość zwyciężyła, bo prawdzie sam Zbawiciel tryumf przyobiecał. Nie obawiajmy się upadku sprawy naszej«.

Z kongregacyi maryańskich w Galicyi.

Ostatnie dziesiątki lat wykazały między innymi objawami wzrostu życia religijnego, prawie olbrzymie rozszerzanie się kongregacyi maryańskich po całej ziemi. Dość powiedzieć, że od 8 grudnia 1854 r. do 1 stycznia 1904

agregowano do głównej kongregacyi rzymskiej, tak zwanej *Prima Primariae*, 20.869 poszczególnych sodalicyi. Rok 1904 pomnożył tę liczbę o 1011, a 1905 o 878 stowarzyszeń. Z tych 878 kongregacyi, agregowanych w r. 1905, przypada na Polskę, a właściwie na Galicyę 58. Interesujące szczegóły o polskich kongregacyach podaje nam ich organ *Sodalis Marianus*.

Kongregacye objęły gęstą siecią całą Galicyę; nie mamy prawie znaczniejszego miasta, któreby jednej lub więcej kongregacyi nie posiadało. Na pierwszym planie stoi tu Kraków z 17 sodalicyami, Lwów z 7, Nowy Sącz z 7, Tarnów z 5; po jednej do pięciu kongregacyi znajdujemy jeszcze w Bochni, Chyrowie, Jarosławiu, Jaśle, Jasłowcu, Kochawinie, Kołomyi, Krośnie, Przemyślu, Rzeszowie, Samborze, Staniątkach, Stanisławowie, Starej wsi, Starym Sączu i Tarnopolu.

Co uderza, w kongregacyach galicyjskich — to dość znaczny współudział sfer intelligentnych; spotykamy tu nie tylko ludzi o starych polskich nazwiskach, ale także ludzi znanych już szerszemu ogółowi ze swej nauki lub działalności społecznej.

Z prawdziwem zadowoleniem stwierdzić należy szczególniejszy wzrost kongregacyi męskich o rozmaitym kierunku — z prawdziwem zadowoleniem, gdyż takie właśnie najwięcej do rozwoju ducha religijnego przyczynić się mogą. Mamy tu więc sodalicyę panów w Bochni, liczącą 42 członków, panów ziemi przemysko-samborskiej, w Chyrowie (52 członków), kongregacyę maryańską panów w Kołomyi (22 członków), sodalicyę panów w Krakowie (67 czł.), sodalicyę panów ziemi sądeckiej (32 członków), sodalicyę panów ziemi sanockiej) 42 członków), sodalicyę panów w Tarnowie (72 czł.), sodalicyę panów w Jarosławiu (30 czł.), sodalicyę panów w Rzeszowie (58 członków), sodalicyę maryańską panów we Lwowie (153 członków) i sodalicyę panów w Stanisławowie.

Działalność tych kongregacyi jest rozmaita. Jedne z nich ograniczają się do pracy wewnętrznej, aby »wyrobić zapomocą szczególniejszej czci Bogarodzicy w każdym stanie zastęp ludzi dzielnych, duchem Chrystusowym przejętych, aby przez nich uświęcić poszczególne stany, a przez stany społeczeństwo całe« — te dążą więc do udoskonalenia samych siebie przez gromadne na-

bożeństwa, przyjmowanie Sakramentów, rekolekcye lub odpowiednie odczyty, czyli pracują w zamkniętem kółku. Inne nie zaniedbując pracy wewnętrznej nad sobą, rozwijają przytem działalność na zewnątrz. Z tych kongregacye wiejskie, np. Chyrowska lub Starowiejska, zwróciły swą uwagę przedewszystkiem na lud: dozorują moralne prowadzenie się służby, starają się o to, by miała czas i sposobność do zadosyćuczynienia obowiązkom religijnym, ułatwiają ludowi odpowiednią lekturę. Tarnowska znowu otacza opieką stancye uczniów szkół średnich, inwigiluje uczniów w taniej kuchni, pracuje w konferencyi św. Wincentego à Paulo i urządza rekollekcye coroczne dla nauczycieli szkół ludowych.

Wybitnie przedstawiają się w tym względzie kongregacye: krakowska i lwowska. Krakowska pod dzielnym swym prefektem, radcą sądu krajowego dr. Bujakiem, pracuje w Arcybractwie Miłosierdzia, w Towarzystwie św. Wincentego à Paulo, w miejskiem biurze ubogich, »słowem — pisze Sprawozdanie — w żadnej sprawie dobrej nie braknie Sodalisów«. W sodalicyi lwowskiej zaznaczają swoją działalność tak zwane Sekcye, a więc »Sekcya miłosierdzia, mająca za cel opiekę i pomoc materyalną i moralną dla młodzieży szkół średnich« i Sekcya eucharystyczna o charakterze więcej wewnętrznym. Prócz tego pracują Sodalisi lwowscy w Towarzystwie św. Wincentego à Paulo, w Czytelni katolickiej, w Związku katolicko-narodowym, w organizacyach zawodowych robotniczych i w stowarzyszeniu tanich mieszkań dla robotników.

Nie na tem się jednak kończy działalność kongregacyi męskich; wciągają one w swój obręb różne pojedyncze stany. I tak krakowska kongregacya kupców liczy 60 członków, roztacza wpływ ściśle katolicki na towarzyszy zawodu, urządza dla nich i dla siebie rekolekcye i opiekuje się praktykantami; ci ostatni i wogóle młodzież handlowa mają również w Krakowie swoją osobną kongregacyę, liczącą 58 członków. Terminatorami w rzemiośle zajmuje się licząca 73 członków sodalicya mieszczańska majstrów w Tarnowie, tudzież sodalicya młodzieży rękodzielniczej w Krakowie (45 członków), kongregacya czeladników rzemieślniczych w Nowym Sączu (44 członków) i sodalicya czeladników rękodzielniczych w Tarnowie (22 członków). Te ostatnie uwzględniają

i wpływ religijno-moralny wśród młodzieży rękodzielniczej i ich wykształcenie i bezpośrednią materyalną opiekę nad rzemieślnikami — szkoda jednak, że jak dotychczas nie udało się jeszcze założyć kongregacyi kolejowych. Sprawozdanie *Sodalisa* podaje tylko jedną w Nowym Sączu, a właśnie dla tego stanu, szczególniej przez socyalistów zagrożonego, byłoby bardzo potrzebnem lepsze zszeregowanie się. I to jeszcze zadziwia, że dotychczas istnieje jedna tylko sodalicya nauczycieli w Starej wsi; cel jaki sobie ta kongregacya postawiła: »praca nad religijnem i moralnem wychowaniem dziatwy szkolnej i wpływ na włościan, zwłaszcza działanie przeciw pijaństwu i pieniactwu wśród ludu«, kazałyby się dużo po takich stowarzyszeniach spodziewać.

Największej może z wszystkich kongregacyi doniosłości są kongregacye przeznaczone dla kształcącej się młodzieży. Jest ich niestety dotąd jeszcze zbyt mało; kongregacya akademików w Krakowie (67 członków) i Lwowie, kongregacya uczniów wyższej szkoły przemysłowej (16 członków) w Krakowie, sodalicya maryańska młodzieży c. k. Seminaryum nauczycielskiego męskiego w Krakowie (20 członków) i kongregacya konwiktowa w Chyrowie (40 + 249 zamiejscowych członków). Podczas gdy kongregacye akademicke pracują więcej na zewnątrz, to kongregacye przeznaczone dla uczniów seminaryów i innych szkół, mając do walczenia z rozmaitemi trudnościami, oddają się przedewszystkiem pracy nad kształceniem własnego charakteru i serca, chcą wyrobić dusze silne i szlachetne, któreby mogły kiedyś później być zdolnemi do pracy na polu katolicko-społecznem. Dlatego też członkowie tych sodalicyi stykają się często z sobą na wspólnych nabożeństwach, zabawach, pogadankach i naukowych odczytach.

Powolne rozwijanie się kongregacyi dla kształcącej się młodzieży, choć to dopiero pierwszy na tej drodze krok, jest objawem wielkiego znaczenia i może w przyszłości oddać sprawie katolickiej niemałe przysługi.

Szerzej rozwijają się kongregacye żeńskie, co ostatecznie łatwo zrozumieć, sięgają jednak w swej działalności dalej, jak męskie, pracują prawie gorączkowo i to na najrozmaitszych polach. Obejmiemy w tem sprawozdaniu tylko ważniejsze.

Sodalicye: pań i panien w Kołomyi (60 członków), w Krakowie (107 członków), w Jarosławiu (40 członków), we Lwowie (154 członków), w Kochawinie (40 członków), w Stanisławowie (130 członków), mogą być wzorem pracy. Biorą one udział w Towarzystwie św. Wincentego à Paulo, w Stowarzyszeniu ekonomek, św. Zyty, w stowarzyszeniach robotnic pod wezwaniem św. Józefa, opiekują się w niedzielę i święta pracownicami, katechizują zaniedbane dzieci, zakładają ochronki, czytelnie, szwalnie, prowadzą herbaciarnie dla ubogiej młodzieży szkolnej, urządzają rekolekcye i t. d.

Rywalizują z powyższemi kongregacyami kongregacye Dzieci Maryi: w Nowym Sączu (55 członków), w Starej wsi (41 członków), w Tarnowie (152 członków), w Krośnie (41 członków), w Rzeszowie (58 członków), we Lwowie i Przemyślu (78 członków). Dzieci Maryi pracują w stowarzyszeniu św. Zyty i wogóle opiekują się sługami i chorymi, zakładają tanie kuchnie i herbaciarnie, szyją ubrania dla ubogiej dziatwy i bieliznę dla kościołów, opiekują się uczniami, są jednem słowem wzorem chrześcijańskiego miłosierdzia i chrześcijańskiej dobroczynności.

Kongregacye pań wiejskich ziemi tarnowskiej (40 członków) i Dzieci Maryi pań wiejskich ziemi krakowskiej otaczają swoją opieką służbę gospodarczą i lud; pracują nad ludem łącznie z duchowieństwem miejscowem i nauczycielstwem, propagują dobre pisma i książki, zakładają czytelnie i dążą wogóle do podniesienia ludności wiejskiej ekonomicznie i społecznie.

Wielką zasługą kongregacyi żeńskich jest to, że potrafiły się one zwrócić do tych także, które najwięcej ich opieki potrzebowały, tak np. do pań biurowych, do pracownic w konfekcyi damskiej i do pracownic warsztatowych. Szczególniej te dwie ostatnie, liczące 32 i 25 członków, były na czasie. Celem ich: wpływać umoralniająco na towarzyszki w zawodzie, kłaść tamę czytaniu złych książek i pism, chorym koleżankom iść z pomocą moralną i materyalną, dziewczęta zajęte w pracowniach żydowskich umieszczać w katolickich.

Do pracy społecznej, choć w ciaśniejszym zakresie, zabierają się i kongregacye pensyonarek i studentek. I tak kongrega-

cya panien w Kołomyi zajmuje się sierotami z ochronki, w Jarosławiu katechizowaniem dzieci i ludu i niesieniem materyalnej pomocy bliźnim: inne, jak w Staniątkach, w Starym i Nowym Sączu pracują więcej nad sobą.

Na uwagę zasługują przedewszystkiem kongregacye nauczycielek. Krakowska kongregacya liczy 132 członków, Nowosądecka 40, Starowiejska 41, Krośnieńska 40, Jarosławska 40, Lwowska 188, Przemyska 48, Krakowska dla nauczycielek wiejskich 36. Te kongregacye nie tylko się rozszerzają, co już jest objawem bardzo pocieszającym, ale też i przedewszystkiem nie zasklepiają się. Pomagają one w naukach ubogim dzieciom, szyją bieliznę i odzież dla biednych, szerzą oświatę wśród ludu, zakładają i utrzymują bezpłatne biblioteczki dzieł naukowych i religijnych, czuwają nad młodzieżą i poza szkołą, poświęcają się dla sług, zakładają czytelnie, urządzają jasełka i obchody narodowe, budzą zamiłowanie do sadownictwa i do robót ręcznych, urządzają tanie kuchnie, są zajęte w stowarzyszeniach pracownic konfekcyi damskiej, krótko mówiąc odpowiadają godnie swemu celowi i zadaniu.

W niniejszem sprawozdaniu byliśmy zmuszeni pominąć wiele poszczególnych gałęzi tego wielkiego drzewa *Prima Primariae*, nie mogliśmy nawet wymienić tych wszystkich, które za swój organ uważają krakowski miesięcznik *Sodalis Marianus*, nie taimy nawet przed sobą i tego, że nie wszystkie tak się w rzeczywistości przedstawiają, jak to ich program opiewa — każde dzieło ludzkie jest ułomne i ma swoje braki. Jeżeli się jednak w poszczególnych numerach *Sodalisa* przegląda »Kronikę Sodalicyi«, dochodzi się do przekonania, że między teoryą a praktyką niema tam wielkiej różnicy i że niejedna sodalicya więcej pracuje, jak to z jej programu wynika, że więc prawdą a nie pustym frazesem były wypowiedziane o kongregacyach polskich na kongresie katolickim w Wiedniu słowa wiceprefekta lwowskiego, Adama Konopki: »obecnie zaczynają one (kongregacye polskie) ponownie opasywać żelazną obręczą ciało społeczne, stają się znowu temi kuźniami, z których wychodzić mają bojownicy zahartowani do walki i pracy, temi kuźniami, które dostarczać mają społeczeń-

stwu wyrobionych i wyszkolonych w duchu katolickim mężów na wszystkich posterunkach życia społecznego«.

Z Sodalicyi św. Piotra Klawera.

W r. 1894 założono za wyraźnem pozwoleniem Leona XIII tak zwaną Sodalicyę św. Piotra Klawera dla misyi afrykańskich; ośm lat później, r. 1902, otrzymała Sodalicya aprobatę Stolicy Apostolskiej. »Celem jej jest ratowanie murzynów afrykańskich i wyzwolenie niewolników. Dla osiągnięcia tego celu członkowie Sodalicyi nie udają się sami do Afryki, ale wspierają z oddali wszystkie misye afrykańskie bez różnicy Kongregacyi lub narodowości«. Że Sodalicya oddaje prawdziwe usługi Kościołowi, świadczy najlepiej o tem fakt, że Ojciec św. udziela członkom jej i kapłanom-zelatorom dużo ważnych i wielkich przywilejów, którymi obdarza zazwyczaj tylko zasłużone około Kościoła i dusz stowarzyszenia. Że znowu Sodalicya mimo istniejących innych stowarzyszeń o podobnym celu, jest pożyteczną i na czasie, o tem mówi najlepiej jej rozwój.

W dzisiejszej chwili posiada Sodalicya dwa główne domy: w Rzymie i w Maria Sorg pod Solnogrodem; oprócz tego istnieją jeszcze filie w Krakowie, Wiedniu, Tryeście, Pradze, Bozen, Innsbrucku, Medyolanie, Monasterze, Wrocławiu, Paryżu, Zug (w Szwajcaryi), Monachium i kilka biur ekspedycyjnych, między innemi w Einsiedeln i St. Gallen. Sodalicya, której założycielką i obecną generalną kierowniczką jest hr. Teresa Ledóchowska, liczyła z końcem 1905 r. 4.418 zelatorów i zelatorek.

Organem tego w zbawienną działalność bogatego stowarzyszenia jest miesięcznik *Echo z Afryki*. Polskie wydanie tego pisma rozchodziło się w r. 1905 prawie w 8000 egzemplarzach, włoskie liczyło 4000 egzemplarzy, czeskie 7200, słoweńskie 2000, francuskie 2000, niemieckie 16.000.

Echo z Afryki jest istotnie pismem interesującem. Podaje ono ciekawe szczegóły z misyi afrykańskich, korespondencye misyonarzy, wykazujące niesłychane trudności, z jakiemi wiara w tym kraju walczyć musi, daje dokładny rzut oka na działalność Sodalicyi i równocześnie szczegółowy wykaz nadsyłanych datków. Ten ostatni fakt świadczy także o żywotności i po-

pularności stowarzyszenia. Mimo bowiem, że rzymska Kongregacya rozkrzewiania wiary, i takież samo lyońskie stowarzyszenie pochłaniają olbrzymie sumy, zebrała Sodalicya św. Piotra Klawera w r. 1905 na misye afrykańskie 138.375 K. 32 h., a od marca do lipca bieżącego roku 66.000 franków.

Każdy ponadto zeszyt *Echa* drukuje ofiary, złożone przez Polaków zamieszkałych w różnych krajach. Tak np. w styczniu b. r. złożono Sodalicyi krakowskiej w ofierze 206 K. 96 hal., 1792 rub. 55 kop., 99 mk. 92 f.; w kwietniu 930 K. 23 h., 952 rub. 50 kop., 244 mk. 20 f.; w maju: 665 K. 51 hal.; 1484 rub. 40 kop., 360 mk. 64 f., 7 dol.; w czerwcu: 589 K. 83 hal., 1298 rub. 97 kop.; 678 mk. 37 f. To są znaczne datki, a jednak to tylko kropla wody, jeżeli się uwzględni olbrzymi teren misyjny, jaki Sodalicya wspomaga. Wikaryat apostolski Nyassu, wikaryat apostolski północnego Zanzibaru, wikaryat apostolski Sudanu, prefektura apostolska Bosutolandu, wikaryat apostolski Belgijskiego Kongo, wikaryat apostolski Gabonu, wikaryat apostolski Niższego francuskiego Kongo, prefektura apostolska Wybrzeża Słoniowej Kości, wikaryat apostolski Północnego Zanzibaru, prefektura apostolska Zambezy, wikaryat apostolski Abissynii, prefektura apostolska Szire, wikaryat apostolski Transwaalu, prefektura apostolska Kwango, prefektura apostolska Wyższego Nigru, wikaryat apostolski krainy Gallasów, — to wszystko czeka pomocy i otrzymuje grosz wdowi. Nie można się oprzeć wzruszeniu, czytając gorące i wielką miłością bliźniego nacechowane odezwy generalnej Przełożonej Sodalicyi, lub listy misyonarzy, wykazujące, ile dobrego te drobne ofiary sprawiają i ile jeszcze pozostaje do uczynienia.

Z tego też względu Sodalicya św. Piotra Klawera z swoją filią krakowską, która wbrew wszelkim trudnościom rozwija się coraz pomyślniej, zasługuje na uznanie, a przedewszystkiem na poparcie.

Ks. Wiktor Wiecki.

Walka miast z bezrobociem.

Znamienne dla naszych stosunków gospodarczych są raz po raz pojawiające się bezrobocia, które w porze zimowej przedewszystkiem przerażające częstokroć i groźne dla rozwoju społeczeństw przybierają rozmiary. Ostatnie ogólne, wielkie bezrobocie przypada na r. 1892—5. W Stanach Zjednoczonych oceniano wówczas bezrobotnych na 2 miliony, w Anglii na 1,25—2 milionów, w Niemczech w r. 1895 stwierdzono w czerwcu 179.000, w grudniu 553.740 bezrobotnych. A w czasie spisu Niemcy po przebyciu ciężkiego bezrobocia w pomyślnie rozwijającym znajdowały się rozwoju ekonomicznym. Po kilku latach znowu większe przyszły bezrobocia, które w Anglii zwłaszcza aż do chwili obecnej olbrzymie przybrały rozmiary. Nawet w latach pod względem gospodarczym pomyślnych stale część robotników w porze zimowej przeważnie po miastach nie znajduje zatrudnienia. Dawniej w każdym bezrobotnym widziano leniwca, ktorego przedewszystkiem z lenistwa wyleczyć należy. Historya ruchów robotniczych w Anglii mówi nam o drakońskich prawach przeciwko żebrakom i bezrobotnym. Dziś atoli wiemy, że w regularnych prawie odstępach czasu powtarzające się przesilenia ekonomiczne tysiące robotników pozbawiają zarobku, że w bezplanowości dzisiejszej produkcyi przedewszystkiem szukać należy przyczyny bezrobocia. Dziś już walczą z mniejszem lub większem powodzeniem z bezrobociem i rządy i społeczeństwo. Miasta w pierwszym rzędzie, które jako ogniska handlu i przemysłu ściągają większe masy robotników i narażone są na straszne następstwa przesileń ekonomicznych, stanęły tu i ówdzie do walki z bezrobociem. Powstają biura pracy, które mają pośredniczyć w wyszukiwaniu pracy i skierować bezrobotnych tam, gdzie zarobek się znajduje. I nie ulega wątpliwości, że dobrze zorganizowane biura pracy mogą w czasie bezrobocia przez trzymanie w ewidencyi wakujących miejsc w znacznej mierze przyczynić się do złagodzenia różnych ostrości bezrobocia. I gdyby kraj cały pokryty był siecią dobrze zorganizowanych i w łączności ze sobą pozostających biur pracy, bezrobocia, przy ułatwianej lub bezpłatnej komunikacyi w znacznej mierze jeszcze przed ukazaniem się zostałyby zażegnane. Ale i biura pracy ostatecznie tylko ułatwić mogą bezrobotnym znalezienie pracy, lecz jej stworzyć nie mogą. Tu bezrobotnym gmina musi przyjść z pomocą czy to przez podejmowanie robót publicznych czy też przez ubezpieczenie robotników przed skut-

kami bezrobocia w jakiejkolwiek formie. Przedewszystkiem dostarczanie pracy bezrobotnym przez podejmowanie robót publicznych jest najprostszym i najwięcej upowszechnionym środkiem w walce miast z bezrobociem. W ostatniem dziesięcioleciu wyrobił się w tym kierunku nowy dział w polityce komunalnej.

We Francyi, według sprawozdania *Office du Travail,* wydano od r. 1890—95 w 114 miastach na roboty publiczne 4,903.750 fr., nie licząc 41 miast, które zatrudniały bezrobotnych wyłącznie tylko czyszczeniem ulic. Od r. 1896—98 w 187 miastach obrócono 3,255.500 fr. na roboty publiczne. W r. 1899 w 59 miastach 1,675.182 fr. W r. 1900 w 69 miastach 1,666.652 fr. Zarobek wynosił 18 ct. na godzinę a $1^1/_2$—$2^1/_2$ fr. za dzień. Podczas klęski zaś, która dotknęła winnice, przyznano na mocy ustawy z r. 1902 gminom klęską dotkniętym, na przeciąg dwu lat prawo zaciągania pożyczek w porozumieniu z prefektem departamentu, celem podjęcia robót publicznych w wysokości najwyżej dwu franków na każdego mieszkańca. W Anglii, Stanach Zjednoczonych i Australii roboty publiczne wielce się upowszechniły i poważną w budżecie miejskim stanowią pozycyę.

W Niemczech począwszy od r. 1894, na skutek rozporządzenia ministeryalnego w Prusiech, polecającego przełożyć o ile możności wszystkie roboty publiczne na czas największego bezrobocia, zaczęto zwolna w niektórych miastach zatrudniać bezrobotnych robotami publicznemi, przeważnie ziemnemi i drogowemi.

Dwa rodzaje rozróżnić tu należy robót publicznych: jedne skądinąd konieczne i przewidziane w budżecie miejskim, lecz tylko odłożone i zachowane na czas bezrobocia; drugie na razie lub wogóle niepotrzebne, lecz które gmina podejmuje w celu dostarczenia bezrobotnym zarobku. I tego rodzaju prace zaliczają niektórzy politycy socyalni do dziedziny dobroczynności [1]. Nam się zdaje niesłusznie, bo rząd i gminy w pewnej mierze mają ścisły obowiązek poza obrębem opieki nad ubogimi przez odpowiednie zarządzenia i bezrobociu i jego następstwom zaradzić. Do tego też obowiązku przyznały się wszystkie prawie partye w niemieckim parlamencie z okazyi interpelacyi w tej mierze z dnia 18 stycznia 1902 r. Skoro zaś na gminach ciąży obowiązek zaradzenia skutkom bezrobocia, trzeba zawsze być w pogotowiu i zawczasu obmyśleć środki zapobiegawcze i plan robót publicznych, mających się wykonać w czasie bezrobocia, zwłaszcza, że brak pracy

[1] Van der Borght: *Grundzüge der Sozialpolitik.* Str. 101.

regularnie prawie w porze zimowej w mniejszym lub większym stopniu się pojawia.

Chcąc zaś z gotowym planem przystąpić do akcyi ratunkowej trzeba przedewszystkiem dokładnie zaznajomić się ze stosunkami lokalnymi i rozmiarami bezrobocia na podstawie spisu bezrobotnych. Doświadczenie bowiem uczy, że gdzie bezrobocie zastraszające przybrało rozmiary i stało się groźną klęską, wina prawie zawsze była po stronie zarządu miasta, nieznającego stosunków lokalnych. A spis taki należy o ile możności kilka razy do roku przeprowadzić. W niektórych też miastach spisy takie urządzają się corocznie. W Dreznie od r. 1902 magistrat corocznie przeprowadza spis bezrobotnych w połączeniu z wykazami podatku dochodowego. W Stuttgarcie na skutek uchwały rady miejskiej odbywają się spisy bezrobotnych 3 razy do roku: na początku listopada, lutego i lipca. W różnych dzielnicach miasta są puszki rozstawione, do których bezrobotni wrzucają wypełnione blankiety.

Prócz znajomości rozmiarów i rodzaju bezrobocia trzeba nadto zawczasu obmyśleć program i statut pracy dla bezrobotnych. Warto tu przytoczyć niektóre postanowienia statutu z r. 1902, odnoszące się do robót publicznych w czasie bezrobocia w Frankfurcie n. M. Pomiędzy ogólnemi postanowieniami czytamy tam: § 2. Roboty publiczne mają być podjęte dopiero wtedy, gdy z powodu niepogody zastój pracy lub z innych przyczyn brak pracy nastąpi. Termin rozpoczęcia prac naznaczy magistrat po wysłuchaniu mężów zaufania. § 3. Roboty w czasie bezrobocia polegają na tłuczeniu kamieni i robotach ziemnych. Koszta, przekraczające zwyczajną sumę na ten cel przeznaczoną, ponosić ma urząd sierocy i opieki nad ubogimi. Roboty w czasie bezrobocia nie są zapomogą ubogich. § 4. Przy robotach publicznych tylko takich robotników zatrudniać wolno, którzy: *a)* należą do gminy frankfurckiej, *b)* są ojcami rodzin, *c)* którzy ubiegłego lata w mieście stałe mieli zatrudnienie, *d)* którzy nie pobierają publicznych wsparć dla ubogich. § 5. Inni bezrobotni, potrzebujący pomocy znajdą pracę w domu ubogich.

Z porządku pracy robót zimowych z r. 1902/3 ciekawe są następujące postanowienia: 1) Czas pracy trwa od godziny 8 rano z godzinną przerwą obiadową aż do zmroku, nie dłużej jednak niż 8 godzin. 2) Praca może być każdej chwili wypowiedzianą. Każdy robotnik może po skończonej pracy zerwać ugodę lub być wydalonym. 3) Robota o ile możności ma być akordową lub mieszanego systemu. 4) Kto wykona *minimum* naznaczonej roboty przy tłuczeniu kamieni

(np. $^1/_4$ mk.), otrzyma według życzenia płacę dzienną, wynoszącą dla ojca rodziny po 25 f., dla samotnych po 20 f. na godzinę; nadto miasto ponosi całą opłatę asekuracyjną do kasy chorych i przy ubezpieczeniu na starość. Płacę akordową oznacza się przy tłuczeniu kamieni, np. bazaltu, na podstawie wynagrodzenia 3.60 mk za metr kubiczny, przy robotach ziemnych na podstawie wynagrodzenia wyznaczonego przez urząd budowniczy; wyznaczenie maksimum zarobku przy pracy akordowej zastrzega sobie zarząd. 6) Robotników, którzy niezdolni są wykonać *minimum* wyznaczonej pracy, po bezowocnej admonicyi należy wydalić. Wprzód jednak przez przeciąg pięciu dni dla nabycia wprawy, choćby nie wykonali przepisanego *minimum* pracy dziennej, mają pobierać 25 a względnie 20 f. na godzinę. 7) Gdy robotę wskutek ulewnego deszczu lub śniegu przerwać trzeba, stosownie do zarządzenia, płaci się tylko za faktycznie wykonaną pracę po 25 a względnie po 20 f. za godzinę. 8) Wypłata odbywa się codziennie na miejscu pracy. Ojciec rodziny otrzymuje płacę według zarobku godzinnego, robotnik nieżonaty z zarobku tylko 1.20 mk. Resztę, płynącą z pracy akordowej, o ile możności oznacza i wypłaca się tygodniowo, robotnikom zaś nieżonatym warunkowo i według osobnego postanowienia urzędu sierocego i ubogich. Urząd ten ma nadto prawo nałożyć na część zarobku robotnika areszt, jeżeli tenże nie utrzymywał najbliższych z rodziny lub pobierał wsparcie dla siebie lub rodziny z opieki ubogich. Starszym jednak robotnikom należy z zarobku pozostawić conajmniej 1 markę, a młodszym, którzy dla utrzymania rodziców znaleźli zatrudnienie przy robotach publicznych 9.50 mk. [1]

Wydajność pracy przy robotach publicznych zależy przedewszystkiem od rodzaju zatrudnienia robotników. W porze zimowej, na którą przypada z reguły prawie czas bezrobocia, niema wielkiego wyboru robót. Roboty ziemne i drogowe, tłuczenie kamieni, rąbanie drzewa, zamiatanie ulic — ot i wszystko. A tu nie wszyscy robotnicy zdolni do robót grubych wśród mrozu i wichru przenikliwego. To też częstokroć praca idzie powoli, opornie, wypada nieraz drożej, niż robota w zwyczajnych warunkach podjęta. W Elbersfeldzie r. 1901/2 roboty publiczne w czasie bezrobocia przekroczyły zwyczajne koszta o 25—30 %. W Mannheim roboty ziemne, oddane przedsiębiorcy, kosztowały 7.725 mk., wykonane zaś w czasie bezrobocia kosztowały miasto 29.500 mk. Częstokroć też robotnicy tylko dlatego, ażeby nie wyzbyć się nabytej

[1] *Soziale Tätigkeit der Gemeinden von Trimborn und Thissen.* Str. 57.

wprawy i mozolnie wyrobionej wrażliwości rąk, nie mogą zajmować się robotami surowymi jak np. tkacze. Trzeba więc dla nich wynaleźć inny zarobek. Tak powstały po różnych miastach warsztaty pisarskie t. zw. *Schreibstuben*. W Frankfurcie n. M. założono nadto warsztaty, gdzie się wykonują drobne roboty krawieckie i szewskie, indziej izby cerowania i łatania.

Chcąc pomniejszyć tedy koszta i nie obciążać zbytnio budżetu miejskiego, trzeba o ile możności zajmować robotników pracą przypadającą do ich zawodowego wykształcenia i wprowadzić do pewnego stopnia podobnie jak w Frankfurcie pracę akordową. Przedewszystkiem umiejętne rozłożenie i przełożenie różnych robót publicznych na czas bezrobocia i program pracy o ile możności zastosowany do potrzeb i fachowego wykształcenia miejscowych robotników przyczynią się w niemałym stopniu do zatrudnienia robotników sezonowych, jak murarzy, ślusarzy, malarzy i robotników budowlanych wogóle pracą przypadającą do ich fachu. Doświadczenie też uczy, że przez umiejętne rozłożenie prac niektóre miasta, jak Drezno, Heidelberg, Brunszwik częstokroć grożące bezrobocie zażegnały i przezwyciężyły.

Co się tyczy płacy obecnie prawie powszechnie przeważa tendencya, żeby zarobek w czasie bezrobocia był niższy od zwyczajnej płacy w innym czasie. Przyczyna zaś jest ta, żeby praca w czasie bezrobocia nie stała się ponętną ani pożądaną. Z drugiej zaś strony płaca nie powinna być zbyt nizką, żeby nie wyglądała na jałmużnę, udzieloną z łaski i nie popychała robotników do szukania pomocy w opiece ubogich. Sprawiedliwa norma zachowaną być powinna. Robotnik powinien zarobić przynajmniej tyle, żeby mógł wyżyć i tyle, ile praca jego warta. Tu już gmina w imię dobra ogółu na ofiarę zdobyć się powinna, zwłaszcza, że i tak ciążą na niej obowiązki względem ubogich. Zwyczajnie przeważa płaca dzienna lub godzinowa, bo akordowa wszędzie zastosować się nie da a częstokroć jest zabójczą dla zdrowia robotnika. W Frankfurcie n. M., jak widzieliśmy, co do płacy trzymają się systemu mieszanego, t. zn. o ile możności przeważa praca akordowa, stosownie do życzenia jednak płacą też według godzin pod warunkiem, że robotnik przepisane *minimum* pracy dziennej wykona. Co się tyczy płacy warto tu przytoczyć dobrą uwagę Schwandera: »Wysokość płacy, mówi on, nie powinna się stosować do zasad opieki nad ubogimi. Płaca powinna być tak wysoką, żeby robotnik, zajęty przy robotach publicznych, mógł egzystować i nie był zmuszony udawać się o wsparcie do biura ubogich. Różnicę jednak pomiędzy płacą ojca

rodziny a płacą robotnika nieżonatego uznajemy za uzasadnioną. Tkwi ona w naturze prac publicznych. Prace te mają na celu dopomódz bezrobotnym w czasie bezrobocia. Trzeba im zapewnić egzystencyę. Innego prawa tu uznać nie można. Samotnemu robotnikowi wystarczy dużo mniejsza kwota do egzystencyi, niż ojcu rodziny, który żonę i dziecko musi utrzymać. Zasada gospodarstwa prywatnego: za równą pracę równe wynagrodzenie, która, mówiąc nawiasem, jest zupełnie niespołeczną przy robotach publicznych w czasie bezrobocia zastosować się nie da. Co się tyczy systemu płacy, to ze względu na wielką o ile możności wydajność roboty i na pilność robotnika pożądanem jest połączenie płacy akordowej z płacą dzienną« [1]. Na uwagi i zasady popowyższe, które znalazły zastosowanie w niektórych miastach, godzić się można tylko pod warunkiem, że prace publiczne w czasie bezrobocia mają charakter dobroczynności publicznej. W normalnych bowiem warunkach i w akcyi ratunkowej w czasie bezrobocia jedna tylko zasada przewodzić może i powinna: jaka praca taka płaca, czyli zasada sprawiedliwości.

Wkońcu i co do przyjęcia robotników do pracy wyrobiły się pewne normy. Zwyczajnie pierwszeństwo mają przed innymi ci, którzy najwięcej potrzebują wsparcia i na nie zasługują. A więc ojcowie rodzin przedewszystkiem oraz tacy, którzy aż do chwili bezrobocia mieli regularne zajęcie i robotnicy miejscowi, reszta zaś gdy zabraknie pracy, szukać musi pomocy w biurze ubogich. Ażeby zaś uwolnić się od leniwców, którzy bez wielkiego trudu sięgają po zarobek dzienny, niektóre miasta domagają się od bezrobotnych dowodu, że uprzednio przez dłuższy przeciąg czasu byli stale zatrudnieni. Także co do czasu zamieszkania, ażeby powstrzymać napływ robotników obcych różne miasta różne stawiają warunki. Jedne domagają się dwuletniego pobytu bez przerwy w miejscu po skończonym 18 roku, inne zadawalają się jednorocznym pobytem albo wogóle żądają prawa przynależności. Częstokroć jednak warunek zasiedzenia wręcz przeciwny odnosi skutek. Robotnicy bowiem, przynęceni w pewnym czasie ogólnego bezrobocia zarobkiem, przesiedlają się na stałe do miasta i obniżają w ten sposób płacę innym, miejscowym robotnikom lub przyczyniają się do zaognienia bezrobocia.

Obok robót publicznych, podjętych dla załagodzenia skutków bezrobocia, powstały w niektórych miastach instytucye zabezpieczenia

[1] *Soziale Tätigkeit der Gemeinden von Trimborn u. Tiessen.* Str. 55.

na wypadek bezrobocia. Że instytucye takie są potrzebne i konieczne, w teoryi prawie nikt o tem nie wątpi. Dopóki bowiem bezplanowa produkcya i różne przeobrażenia techniki raz po raz całe masy robotników pozbawiać będą pracy, żadna rada miejska i za pomocą najprzezorniejszej polityki pracy nie zdoła zatrudnić wszystkich bezrobotnych. A tu wszyscy robotnicy potrzebują zarobku, bo żyć muszą. Okazuje się więc konieczna potrzeba ubezpieczenia wszystkich robotników na wypadek bezrobocia. Cała trudność tylko tkwi w tem, jak to ubezpieczenie w życie wprowadzić? Na jakiej podstawie finansowej i rachunkowej? Kto ma koszta ubezpieczenia ponosić, czy społeczeństwo, czy gmina, czy robotnicy? Jak się ubezpieczyć przed nadużyciami ze strony bezrobotnych. Nasuwają się tu te same trudności, które już po części przy omówieniu trudności, występujących przy robotach publicznych poznaliśmy. Zasłużony na polu miejskiej polityki ekonomicznej burmistrz miasta Frankfurtu n. M., dr. Adickes, określa te trudności w ten sposób: Chcąc przyjść z pomocą bezrobotnym należy rozważyć i uwzględnić 1) »nadzwyczajne niebezpieczeństwa, jakie wynikają dla samych miast i dla miejscowych robotników z wielkiego napływu ludności roboczej, ściągniętej czy to przez podjęcie robót publicznych czy też przez asekuracyę na wypadek bezrobocia do miasta; 2) pomyślnie się rozwijające kasy ubezpieczenia na wypadek bezrobocia po scentralizowanych organizacyach zawodowych; 3) robotników, chętnych do pracy, którzy z powodu przesilenia lub zastoju utracili pracę i innej znaleźć nie mogą i robotników, którzy ze zwyczaju chwilami tylko lub niechętnie pracują, robotników, którzy stałe zajęcie mają i robotników sezonowych; 4) trudności, jakie wynikają z robót, nie przypadających do wykształcenia fachowego robotników i niedogodności, wynikające z zatrudnienia wszystkich robotami ziemnemi lub tłuczeniem kamieni; 5) nikłe i częstokroć dużo przeceniane skutki, wynikające z przełożenia robót miejskich na zimę; 6) wreszcie wielkie niedogodności, wynikające ze stałego wspierania zdolnych do pracy dostarczeniem zarobku poza legalną opieką nad ubogimi: wszystkie te względy i okoliczności prowadzą do przekonania, że miasta wprawdzie w razie naglącej potrzeby o ile możności z pomocą przyjść powinny bezrobotnym, skuteczną atoli pomoc tylko przymusowa asekuracya państwowa, miasta i kraj obejmująca w jakiejkolwiek formie przynieść może« [1]. W Niem-

[1] *Die sozialen Aufgaben der deutschen Städte* von Adickes und Beutler. Str. 39/40.

czech też, zdaje się, na seryo myślą o państwowem ubezpieczeniu. W parlamencie niemieckim dnia 31 stycznia 1902 r., przyjęto ogromną większością następującą rezolucyę w tym kierunku: wysadzić komisyę, złożoną z przedstawicieli rządów Rzeszy niemieckiej, z członków *Reichstagu* i innych na tem polu doświadczonych mężów, celem zbadania różnych zarządzeń asekuracyjnych, które dotąd wprowadziły w życie organizacye zawodowe, niektóre przedsiębiorstwa i gminy przeciwko skutkom bezrobocia oraz przedłożenia planów co do praktycznego przeprowadzenia ubezpieczenia w tym kierunku.

Bundesrath zmienił powyższą rezolucyę w tem znaczeniu, że polecił w państwowym urzędzie statystycznym stwierdzić, jakie zarządzenia w sprawie ubezpieczenia przeciwko skutkom bezrobocia dotąd wprowadzono w życie i z jakim skutkiem. Badania te miały się również odnosić do biur pracy, założonych czy to przez związki publiczne czy prywatne oraz do zagranicznych instytucyi asekuracyjnych przeciwko bezrobociu. W ten sposób na razie załatwiono rezolucyę.

Co się tyczy projektów różni różne podają. Nauka zagadnienie to w różny rozwiązuje sposób stosownie do różnych poglądów i przekonań uczonych twórców projektów. Ogniowej próby doświadczenia żaden z tych projektów nie przeszedł — to tylko zdaje się tu pewnem, że rozwiązanie praktyczne tego problemu polegać będzie na kooperacyi gmin, organizacyi robotników i przedsiębiorców oraz rządu. Niezbędnym zaś organem ubezpieczenia i kontroli będzie biuro pracy, założone i utrzymywane przez gminę.

Ale zwróćmy się do życia, jak miasta rozwiązują ten problem. Mamy co prawda pod tym względem kilka tylko przykładów, ale przykłady te zasługują na bliższą uwagę.

Ubezpieczenie na wypadek niezawinionego bezrobocia wzięło początek w Bernie w Szwajcaryi w r. 1893. Usiłowano tam w sposób następujący zaradzić nędzy, wynikającej z zastoju przemysłowego. Kasa, nosząca nazwę *Versicherungskasse gegen Arbeitslosigkeit der Stadt Bern*, opiera się na zasadzie samopomocy i subwencyi gminy miejskiej. Początkowo miesięczne wkładki wynosiły 40 ct., zapomoga zaś w porze zimowej przez przeciąg trzech miesięcy po 1 fr. dla nieżonatych a po 1.50 fr. dla żonatych. Do kasy zapisało się od razu w pierwszym roku 404 członków, liczba zbyt wielka na miasto, liczące 50.000 mieszkańców. Od razu też w pierwszym zaraz roku okazał się w kasie wielki niedobór. Wkładki wynosiły 1.100 fr. a wydatki 7.815 fr. Subwencya gminy i datki dobroczynne musiały pokryć 86% niedoboru

kasowego. W dwa lata później połączono kasę ściśle z miejskiem biurem pracy, niedobór wszelako nie zmniejszył się. W r. 1900 rozszerzono i zmieniono statut kasy. Gmina zobowiązała się płacić rocznie 12.000 fr. subwencyi, wkładki podwyższono do 70 ct. miesięcznie, oraz nałożono obowiązek ubezpieczenia się w kasie na robotników gminnych.

Położenie atoli finansowe kasy polepszyło się nieznacznie tylko. W r. 1901 wśród normalnych stosunków roboczych majątek kasy po zamknięciu rachunków wynosił 512 fr. 55 ct. W roku zaś 1903 z powodu większego braku pracy reorganizacya kasy okazała się niedostateczną. W wielkiej radzie miejskiej postawiono wniosek, żeby zasady instytucyi ponownej poddać rewizyi. W r. 1904/5 zgłosiło się z pomiędzy 593 członków kasy 305 po zapomogi w czasie bezrobocia. Wypłacono im 10.905 fr. 7 ct.

Jak widać pierwsza i najstarsza kasa miejska ubezpieczenia na wypadek bezrobocia jeszcze nie rozwinęła się dostatecznie i nie oparła na trwałej podstawie finansowej [1].

Inny typ nader ciekawy organizacyi ubezpieczenia bezrobotnych powstał w Gandawie [2]. W r. 1901 stworzono tam fundusz dla bezrobotnych na następujących zasadach:

1) Miasto zobowiązało się każdemu robotnikowi, który na wypadek bezrobocia ubezpieczył się w jakiejś instytucyi lub zaoszczędził sobie w kasie oszczędności jakąś kwotę na ten cel, udzielić wsparcia, nie przekraczającego atoli 100% pobieranych zasiłków.

2) Zasiłki gminne mają wynosić najwyżej 1 fr. dziennie a 50 fr. rocznie dla robotnika.

3) Zasiłki gminne nie obejmują ani pośrednio ani bezpośrednio robotników, dotkniętych strajkiem lub lokautem, ani robotników, walczących z pracodawcami.

Na zasiłki przeznaczyła rada miejska na razie na przeciąg 3 lat po 10.000 fr. rocznie.

»Robotnicy gandawscy powitali przeznaczenie funduszu na wypadek bezrobocia z entuzyazmem i w kilku miesiącach wszystkie prawie stowarzyszenia poczyniły konieczne kroki, żeby módz korzystać z funduszu: obecnie, w samem mieście Gandawie jest 34 stowarzyszeń, czer-

---

[1] *Kommunale Sozialpolitik in der Schweiz* von Hofmann w *Archiv für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik*, r. 1906, str. 482.

[2] *Les formes nouvelles de l'Assurance contre le chomage* par Louis Varlez. Paris 1903, str. 77 i d.

piących z funduszu i obejmujących 12.038 członków wszystkich organizacyi zawodowych socyalistycznych, katolickich, neutralnych i liberalnych«. I stowarzyszenia, w których już istniały kasy ubezpieczenia na wypadek bezrobocia i stowarzyszenia, które z powodu specyalnych trudności i wielkiego ryzyka nie kwapiły się z zaprowadzeniem podobnych kas, teraz na wyścigi starają się o spełnienie warunków, uprawniających do korzystania z funduszu zasiłków miejskich. »Murarze i malarze zakładali kasy, szewcy i krawcy antisocyalistyczni wytworzyli sobie nowy system mieszany, opierający się na zasadzie ubezpieczenia i oszczędności, szwaczki i tragarze socyaliści próbują obecnie zorganizować inne formy oszczędności przeciwko bezrobociu«. A sumy, płynące z organizacyi zawodowych t. j. z kieszeni robotników w czasie bezrobocia są niekiedy znaczne bardzo. Robotnicy metalurgiczni, pozłotnicy, zecerzy, introligatorzy płacą 9—10 fr. tygodniowo. Inne zasiłki wynoszą po 7.50 fr., 6 fr., 5 fr., 4 fr., jedno tylko stowarzyszenie płaci po 3 fr. tygodniowo. W r. 1898, gdy rada miejska wyznaczyła komisyę celem zbadania stosunków bezrobocia, organizacye zawodowe wypłaciły 15.000 fr. zasiłków w czasie bezrobocia. W r. 1900, po stworzeniu zasiłkowego funduszu miejskiego, zasiłki w organizacyach zawodowych wynosiły 25.000 fr. W roku 1901 zasiłki w organizacyach dosięgły prawie sumy 50.000 fr., wliczając 6.253 fr. subwencyi rozdzielonych. W 1902 roku organizacye zawodowe (28) wypłaciły ze swych kas 41.000 fr. zasiłków, miejskie zaś dodatki zasiłkowe wynosiły 16.000 fr., razem wydano więc pod kontrolą funduszu miejskiego 57.000 zasiłków w czasie bezrobocia w tymże roku. W następnym roku w pierwszych 6 miesiącach wydano na ten cel 33.000 fr. Subwencya miasta wynosiła w 1902 r. 15.000 fr., w r. 1903 uchwalono oprócz takiej samej sumy jeszcze dodatkowo 5.000 fr. dla tych robotników, którzy w ciągu długiego bezrobocia wyczerpali swój fundusz asekuracyjny. Organizacye bowiem zawodowe w Gandawie udzielają w czasie bezrobocia zapomóg najdłużej od 4—8 tygodni. Gdy więc bezrobotny wyczerpię swój fundusz zasiłkowy, organizacya już się nie troszczy o niego. I dla tej kategoryi robotników stworzono w r. 1903 ów fundusz specyalny.

Zasiłki, udzielane z funduszu miejskiego są w pewnym stałym stosunku procentowym, który w danym razie oznacza komitet administracyjny, do zapomóg, wypłacanych przez związki i do rozmiarów bezrobocia. Najczęściej stosunek ten nie przekracza 50% zasiłku pobieranego ze związku. Np. robotnik, który w czasie bezrobocia pobiera

tygodniowo ze związku albo z kasy oszczędności 9 fr., otrzymuje z funduszu miejskiego 3 fr., razem więc 12 fr. Gdy zasiłek asekuracyjny wynosi 6 fr. otrzyma z funduszu 3 fr. a więc razem 9 fr., gdy zasiłek asekuracyjny wynosi 3 fr., zapomoga z funduszu miejskiego wynosić będzie 1.50 fr. Stosunek ten procentowy zasiłku miejskiego do zapomóg związkowych stosownie do okoliczności zmienia komitet administracyjny funduszu, w którym zasiada ze strony robotników pięciu delegatów związków zawodowych. Tak w r. 1901 stosunek ten oznaczono na 50% zasiłku pobieranego ze związków. Wkrótce jednak stosunek ten obniżono do 30% dla robotników, którzy z powodu jakiegoś wypadku we fabryce na krótki tylko czas znaleźli się bez pracy. W następnym roku, gdy miasto udzieliło 15.000 subwencyi, dla uproszczenia znowu wyznaczono, jak uprzednio, 50% dla każdego robotnika zasiłku związkowego. Pod koniec atoli roku, gdy kasa w dobrym znajdowała się stanie, podwyższono zasiłki miejskie do 70% dla dorosłych w razie bezrobocia w ścisłem znaczeniu, 50% zaś wyznaczono dla kobiet i robotników młodocianych aż do 21 roku wychodząc z zasady, że zasiłek powinien być odpowiedni do zarobku. Skoro zaś mężczyźni większe pobierają zarobki, więc i większe otrzymać powinni zasiłki. Zasiłek bowiem zbyt wysoki w porównaniu do zarobku mógłby popchnąć bezrobotnych do szukania dobrowolnego bezrobocia. W r. 1903 w ciągu stycznia i lutego, a więc miesięcy najsroższych dla bezrobotnych ażeby zachęcić do ubezpieczenia się krawców, szewców, murarzy i malarzy, którzy pobierali tylko 0.75 fr. dziennego zasiłku z kasy związkowej, podwyższono zasiłki miejskie do 100% dla mężczyzn. W tym wypadku jednak wyznaczono najwyższą granicę dziennego zasiłku miejskiego na 0.75 fr. Kobietom zaś i młodocianym robotnikom wypłacono 50% zasiłki. W marcu zaś i miesiącach następnych tegoż roku obniżono znowu kwotę zapomogową do 60% a względnie 40% zasiłków związkowych.

Zasiłki wręcza kasa miejska bezpośrednio bezrobotnym, którzy pobierają takowe z kas związkowych lub też kasy oszczędności. Tylko że robotnicy, mający książeczki kasy oszczędności nie zgłaszają się po zasiłki. Rzecz dziwna, robotników takich liczą na tysiące w Gandawie, a 13 tylko z robotników niezorganizowanych zgłosiło się z książeczką oszczędności do magistratu po zasiłki w czasie bezrobocia. I żadna propaganda w tym kierunku nie zdołała ich wyrwać z apatyi ogólnej. Gdzie tkwi przyczyna tej obojętności na zasiłki z kasy miejskiej,

p. Varlez, sprawozdawca i prezes funduszu zasiłkowego nam nie tłumaczy.

Pomyślne rezultaty, osiągnięte w Gandawie na polu ubezpieczenia na wypadek bezrobocia znalazły naśladowców. System gandawski przyjął się w niektórych miastach Belgii i Francyi i znalazł wogóle poza granicami kraju wielu zwolenników. »Łatwość w urzędowaniu, mówi Varlez, gwarancya, chroniąca fundusz zasiłkowy przed nadużyciami, któreby mogły wypaczyć jego przeznaczenie, surowa kontrola i dobra harmonia, która istnieje pomiędzy przedstawicielami różnych partyi w komitecie: oto zalety, które wywołały potężne bardzo echo w innych miastach« (str. 93). A przyznać trzeba, że system gandawski posiada wielkie zalety. Administracya jest prosta i tania, bo opiera się całkowicie na organizacyi związków zawodowych. Kontrola jest dobra, bo opiera się na kontroli samych robotników przez robotników. Zasiłki też łatwo zastosować się dadzą do różnych kategoryi robotników i do rozmaitych wypadków, co stanowi może największą trudność w tego rodzaju ubezpieczeniach. A co najważniejsza ubezpieczenie gandawskie jest z natury rzeczy tylko zachętą do oszczędności i samopomocy, określoną dobrze statutem, żeby się nie przedzierzgnęła w niebezpieczną jałmużnę. Czy zaś system ten zdoła się upowszechnić, wątpimy bardzo. W gandawskiej radzie miejskiej każda partya polityczna mieści w swojem łonie cały szereg związków zawodowych. Są tam związki zawodowe socyalistyczne, liczące 7.714 członków, dobrze zorganizowane związki zawodowe katolickie, liczące 3.475 członków; związki liberalne, liczące 1.426 członków i związki bezpartyjne liczące 3.532 członków. To też żadna partya polityczna nie zajęła wrogiego wobec ubezpieczenia stanowiska, bo stworzenie funduszu dźwignęło i popchnęło do gorączkowego ruchu organizacyjnego wszystkie związki robotnicze. Gdzie zaś socyaliści wyłącznie w swoje ujęli ręce ruch organizacyjny, miasta nie łatwo zdobędą się na stworzenie funduszu zasiłkowego według systemu gandawskiego.

Innego rodzaju jest kasa asekuracyjna w Kolonii, założona w r. 1896 przeciwko bezrobociu w porze zimowej. Kasa, powstała z fundacyi i składek prywatnych w wysokości 70.500 mk. i corocznej subwencyi miejskiej, wynoszącej 25.000 mk., zasila się wkładkami członków ubezpieczonych i honorowych. Robotnicy, płacący przez 34 tygodni po 30 f. lub kwalifikowani po 40 f. wkładki, mają prawo w razie i w ciągu bezrobocia, jak długo pracy nie znajdą w porze zimowej od 1 grudnia do 1 marca do zapomóg codziennych z wyjąt-

kiem niedziel i świąt. Członkowie honorowi płacą albo jednorazowo 300 mk. albo rocznie co najmniej 5 mk. Wysokość zapomóg wynosi przez przeciąg pierwszych 20 dni po 2 mk. a później po 1 m. dziennie. Pobieranie zapomóg rozpoczyna się w 3 dni po zameldowaniu bezrobocia i trwa najdłużej przez 8 tygodni. Prawo do zapomóg może nabyć każdy robotnik, który ukończył 18 lat i od roku mieszka w Kolonii. Wyrobnicy, którzy stałego zajęcia nie mają, nie mogą należeć do kasy. Kto nie płacił wkładek tygodniowych, kto z własnej winy spowodował bezrobocie lub strejk lub też zapisując się do kasy, był wogóle niezdolny do stałej pracy, traci prawo do zapomogi. Zapomóg udziela się tylko do wysokości $^2/_3$ całego funduszu kasowego włącznie miejskiej subwencyi rocznej. Kasa stoi w ścisłej łączności z ogólnem biurem pracy w Kolonii.

W r. 1902/3 było w kasie ubezpieczonych 1265 a z tych 1008 bez roboty. Kasa udzieliła zapomóg w wysokości 28.807 mk. za 16.045 dni, pośredniczyła zaś w wyszukaniu roboty na 28.446 dni. Ubezpieczeni wpłacili 14.535 marek do kas. Majątek kasy wzrósł w tymże roku z 99.343 mk. 94 f. do 109.283 mk. W r. 1901/2 z powodu wielkiej liczby zgłoszeń kasa musiała znacznie ograniczyć liczbę przyjęć. W dwu następnych latach miasto podniosło roczne subwencye o 20.000 mk. a liczba ubezpieczonych wynosiła 1356 i 1650 robotników.

Kasa, jak ze sprawozdania wynika, pomyślnie się rozwija, ale ma ona dwie wady: naprzód nie obejmuje wszystkich robotników, lecz tylko tych, którzy się sami zgłaszają. A i z tych niewielką liczbę przyjąć może, tyle tylko, o ile fundusze kasy, zasilane subwencyami miasta i dobroczynnością prywatną na to pozwalają. A powtóre jest to w gruncie rzeczy instytucya w znacznej mierze na dobroczynności oparta. Samopomoc robotników w porównaniu ze subwencyami miasta i jałmużną prywatną tu mało znaczy, jak ze sprawozdania widać, zwłaszcza, że do kasy cisną się przedewszystkiem ci, którzy najwięcej są na brak pracy narażeni. Ale jako instytucya prywatna kasa ze wszech miar zasługuje na poparcie już choćby dlatego, że zebrana jałmużna i subwencya miejska za pośrednictwem kasy spływa do rąk robotników, którzy na wsparcie zasługują.

Ks. Leonard Lipke.

Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi.

(Ciąg dalszy).

Nie wszystkie Kółka rozwijają się tak korzystnie, jak Kółko rybniańskie. Składają się na to różne przyczyny. Tak czytamy np. o Kółku rolniczem w Machowie[1].

»Przeszło 5 lat temu, jak założono Kółko rolnicze w Machowie. Z początku zapisało się tylko 10 członków i dotychczas niestety znajduje się także tylko 10. Taką obojętność dla tak wielkiego i dobrego celu spowodował żyd, dziedzic miejscowy. W czasie założenia Kółka i sklepu, starał się on bardzo zamiary nasze zniszczyć i odwieść innych od przystępywania, straszył w rozmaity sposób. Oto główna przyczyna, dlaczego nasze zabiegi, nasze największe i najgorętsze zachęcania i objaśnienia nie zdołały zjednać Kółku więcej członków. Kłopot mamy wielki ze strony żydów. Jest kilku w naszym dworze a że połowa ludności naszej jest zarobnikami, straszą ich, że jak będą kupować w naszym sklepie, to im zarobku nie dadzą« i t. p.

O sklepiku w Targowiskach znów piszą: »Sklepik mógłby się bardzo dobrze rozwijać, gdyby nie to, że wielu z pośród tamtejszych włościan nie rozumie jeszcze dobrze korzyści z chrześcijańskiego sklepiku i nie popiera należycie tego pożytecznego przedsiębiorstwa, lecz woli pieniądze w obce pchać kieszenie«.

Tak sytuacya przedstawia się w opinii samych włościan. Na głębsze przyczyny wskazują głosy, pochodzące od bardziej wykształconych działaczy wiejskich. Tak w znakomitym artykule p. X. T. p. t.: »Niedomagania naszych Kółek«[2] — czytamy między innemi:

»Do zakładania sklepików przyłożyła znów czynną rękę intelligencya. Przychylność swą dla Kółek mogła okazać złożeniem znaczniejszego udziału, udzieleniem pożyczki, bezpłatnem odstąpieniem budynku pod sklep, lecz wyświadczeniem jednej z tych przysług uważała się (w przeważnej mierze) za zwolnioną od dalszych, trudniejszych o wiele obowiązków czuwania nad należytym rozwojem Kółka i prowadzeniem go w myśl obowiązującego statutu. Założono sklep, lecz o »Kółku« zapomniano; pojęcie »sklepu« zaczęło być równoznaczne z »Kółkiem«. To był początek zamieszania, które się wzmogło,

---

[1] *Przewodnik Kółek rolniczych* 1895. Str. 7.

[2] *Przewodnik Kółek rolniczych* 1899. Str. 258 i n.

gdy włościanie sami, widząc pomyślnie rozwijające się sklepy, poczęli sami zakładać Kółka rolnicze, głównie w tym celu, aby pod ich firmą sklep prowadzić. Od tej chwili »Kółko« stało się dla włościan nazwą »sklepu«, a zamęt jest obecnie tak wielki pod tym względem, że w niejednej wsi mówią o istnieniu dwóch Kółek, jednego katolickiego a drugiego żydowskiego.

Przejeżdżając przez jednę z wiosek powiatu rzeszowskiego, gdzie lud przecież jest znacznie rozwinięty, zapytałem czternastoletniego chłopca: ‚a macie tu Kółko?' ‚Mamy aż dwa' — odpowiedział — ‚jedno w środku wsi katolickie, a tu niedaleko, na prawo, żydowskie'. Niedawno znów w wagonie jakiś pan, widząc, że się interesuję Kółkami rolniczemi, pytał mnie, czyby nie mógł założyć gdzieś Kółka, bo ma kilkaset złotych i sądzi, że najlepiej zrobi ‚zakładając na wsi Kółko'. Miał naturalnie na myśli otwarcie sklepu.

Stąd wynikło, że, jak wskazano powyżej, sklepiki istotnie nader często stawały się przedsiębiorstwami prywatnemi.

Ideę kooperatywy starano się na wsi zaszczepić z reguły w pierwszym rzędzie w drodze stowarzyszeń kredytowych zwłaszcza kas Raiffeisena. A przecież prowadzenie sklepu Kółka rolniczego nie jest łatwem zadaniem i nastręcza o wiele więcej trudności, niż prowadzenie kasy Raiffeisena czyli spółki oszczędności i pożyczek. Spółka ma do załatwienia w ciągu roku kilkadziesiąt a najwyżej kilkaset interesów a do prowadzenia tych spraw może wyznaczyć pewne godziny i dni w tygodniu, sklep zaś ma dzień po dniu od rana do późnego wieczora interesentów, Spółka ściąga i wydaje od razu większe kwoty, sklep ściąga pieniądze półcentami, centami i szóstkami a wydawać musi dziesiątkami i setkami. Spółka operuje tylko pieniądzem, który ma zawsze stałą jednaką wartość, sklep oprócz pieniądza towarem o wartości, ulegającej zmianom, tak wskutek chwiejności cen targowych, jak i z powodu ubytku, zepsucia się, zleżenia. Spółka ma termina spłaty wierzycieli i ma te spłaty zabezpieczone, sklepowe wierzytelności są wprawdzie drobne, ale zato bardzo liczne, zawsze bezterminowe i bez obowiązkowego zabezpieczenia.

Stan Spółki można zbadać z największą dokładnością w ciągu godziny, stan sklepu podać możemy według książek także w krótkim czasie, lecz by sprawdzić, czy zgodny jest z zapasami towarów na to potrzebujemy przeprowadzenia uciążliwej inwentaryzacyi. Spółka nie ma żadnej konkurencyi, raczej ją wytwarza innym, a gdyby miała to o nią troszczyć się nie potrzebuje, sklep zaś ma zawsze do walcze-

nia z konkurencyą i to po części nieuczciwą, posługującą się gorszym towarem, nierzetelną wagą, a tem samem pozorną taniością. O kredyt w razie potrzeby również łatwiej Spółce, bo jest zorganizowana ustawowo, i opiera się na nieograniczonej poręce, sklep zaś tylko pośrednio kredyt uzyskać może na osobistą odpowiedzialność członków Zarządu. Rachunki Spółki pozornie trudniejsze, są w rzeczy samej prostsze i krótsze, i nie wymagają tyle czasu i tej kalkulacyi, co rachunki sklepu, gdzie trzeba badać i faktury kupców i stwierdzać, czy sklepikarz wszystko według nich odebrał i wyznaczać ceny sprzedaży i uwzględniać różne koszta administracyi i ubytki. W spółce kasyer jest odpowiedzialny za to, co doszło do jego rąk, w sklepie kierownik ma podwójną odpowiedzialność, bo za siebie i za sklepikarza, któremu fundusze do rąk swych złożone powierzył do administracyi w postaci towarów.

Ponadto zasady rozdziału zysku bywały często błędne. »Sklep kółka uważa się po prostu za przedsiębiorstwo zarobkowe udziałowców«. Zysk rozdziela się jako dywidendę między członków, nieraz w wysokości przewyższającej udział, zamiast żeby pewna nadwyżka szła na cele ogólne kółka, na budowę domu Kółka, na zakupno wspólnych maszyn i narzędzi rolniczych i t. p.

Najważniejszym jednak, zda się, szkopułem jest brak dostatecznej znajomości psychologii ludu wiejskiego i jego konserwatyzm, zwłaszcza na polu potrzeb codziennych.

»Mniej więcej przed dziesięciu laty, pisze p. X. T., byłem czynny przy założeniu sklepiku kółkowego. Małe to były fundusze, z którymi rozpoczynano i ani marzyć było można o sprowadzaniu towarów w większych ilościach ze znaczniejszego miasta. Jedno tylko postanowiłem sobie przeprowadzić od razu: wyrugować ze wsi paskudną, zapalną naftę, której litr w owe czasy 14 ct. kosztował. Na naradzie wstępnej ze sklepikarzem, ani mówić sobie nie dałem o zakupnie tego samego rodzaju w pobliskiem powiatowem mieście, w bańkach kilkunastolitrowych i na osobisty kredyt zamówiłem z rafineryi 2 beczki salonowej nafty, wyznaczając dla niej nadzwyczaj niską cenę 16 ct. za litr.

...Sądziłem, że taka dobra nafta mimo trochę wyższej ceny, znaczny będzie miała odbyt i że ludność dziękować mi będzie za jej sprowadzenie. Jakież jednak było me zdziwienie, gdy przyszedłszy po trzech dniach do sklepu, dowiedziałem się, że zaledwie 4 l. z niej sprzedano, a zaledwie 2 l. między włościan. Moje rozgoryczenie po zawiedzionych nadziejach jeszcze się wzmogło, gdy wracając ze sklepu, na zakręcie

drogi spotkałem się z gospodarzem, który naftę przywiózł. Spostrzegłem, że zetknąwszy się ze mną, chciał szybko pod korzuch schować flaszkę, którą niósł w ręce. Zagadnięty, przyznał się, że niesie $^1/_2$ l. nafty, zakupionej w kramie żydowskim. — A czemu to w sklepie nie kupiliście? — A on odpowiedział — bo mi nie potrzeba pańskiego światła, a za centa, co mniej to sobie papierków kupię.

Czując, że uporem sprawie nie pomogę, zdjąwszy pychę z serca, kazałem najbliższym razem zakupić w mieście tak pochopnie na zagładę skazaną naftę i wprowadziłem ją coprędzej w handel. Miała przy niej trochę odbytu także salonowa, lecz podczas gdy tej sprzedano w ciągu zimy 4 beczki, pierwsza beczka mej salonowej zaledwie w maju się skończyła, a drugą, czując niepowodzenie, już poprzednio sprzedałem do sąsiedniego dworu. Prowadziłem jednakowoż dokładną kontrolę sprzedaży i przekonałem się z tego, że sprzedaż salonowej nafty w stosunku do złej zwolna wzrastała i że tem samem ludność z nią się oswaja. Na drugą zimę już wypraktykowano, że jest lepszą i mimo wyższej ceny korzystniejszą do nabycia, a dopiero na trzecią zimę można było zapalną naftę już całkiem ze sklepu wyrzucić.

Takie samo przejście było i z mydłem. Ze wstrętem i żalem polecać musiałem zakupno nędznego wyrobu z żydowskiej fabryki za 16 ct. kilogram, który w sklepie po 20 ct. sprzedawano, bo kobiety ani mówić sobie nie dały o mydle, co kosztować miało 32 czy 36 ct. Sprowadziłem jednakowoż coś 20 klg. karawanowego od Rożnowskiego z Krakowa i w szabas, gdy żydowskie kramy były zamknięte, kazałem je wpychać kobietom pod pozorem, że innego w sklepie niema. I one z czasem »wypraktykowały«, czy też »doszły«, a obecnie jak wiem, w owym sklepie o taniem mydle słuch zaginął, a każda gosposia skrzywiłaby się ogromnie, gdyby na zakupionym kawałku mydła nie znalazła wielbłąda (znak wyciśnięty na mydle karawanowem Rożnowskiego).

Słowem wprowadzanie nowych towarów do handlu wiejskiego powinno następować powoli. Rozumowe jedynie wywody o ich wyższości, są wobec wrodzonego konserwatyzmu włościaństwa grochem, rzucanym o ścianę. Nowy towar ze starym musi stoczyć wpierw na miejscu długotrwałą zaciętą walkę.

W początkach bowiem nie jakością towarów, lecz jedynie ich taniością, można przyciągać odbiorców.

Nie w najmniejszej mierze oddziaływa również ujemnie na rozwój Kółek system borgowania, który niekiedy olbrzymie wprost przyjmuje rozmiary. A system ten, tem gorsze wywołuje skutki, że u nas

bierze się na borg z tą ukrytą myślą, by należytości nie zwrócić, albo zwrócić dopiero pod ostatecznym przymusem. »Przecież swój swego nie będzie ciągnął do sądu o oddanie — tak myślą sobie — a gdy mnie naciskać będzie aptekarz, żebym oddał, to mu krzyknę, żem przecież gospodarz na tylu a tylu morgach i jest mnie jeszcze na czem patrzeć«. »Na to przecież nasz sklepik, mówi drugi, co ani centa na udział nie dał — a nie żydowski, by swojemu wygodził i dał na borg, kiedy mu potrza«. Ci właśnie, których jest »na czem patrzeć«, odznaczają się największą nierzetelnością i wiecznem zwlekaniem z uiszczeniem zaciągniętych długów. Przeciwnie biedacy, co to zaledwie mają chałupę i kawałek ogrodu, wszyscy co żyją przeważnie z zarobku dziennego, umieją więcej cenić dobrodziejstwo kredytu.

Wskutek nierzetelności w uiszczaniu zaciągniętych zobowiązań przez miejscową ludność, niejeden życzliwy opiekun Kółka, zraził się do kierownictwa sklepikiem. Pragnąc zachować dla przedsiębiorstwa niezbędny obrotowy kapitał, musiał ciągłe walki staczać z kredytującymi i narażać się za sumienne spełnianie swych obowiązków na to, że po karczmach na niego obelgi miotano.

Wkońcu brak uczciwości i fachowości u sklepikarza, łącznie z brakiem należytego nadzoru. Nieuczciwość w szczególności ujawnia się nie tylko koniecznie w kradzieży, jak raczej w różnych nierzetelnych manipulacyach przy zakupnie towaru. Tak wysłańcy są często przekupni, wskutek czego kupują niejednokrotnie towary niekoniecznie najtaniej i najlepiej, bo albo kupują u źródła niewłaściwego, albo też dozwalają na fałszowanie rachunków ze strony hurtownika.

Już poprzednio wspomniano, że ogromna większość sklepów kółkowych opiera się na organizacyi spółkowej i tworzy swój kapitał zakładowy, z udziałów wnoszonych przez członków Kółka. Stąd też zyski służą przedewszystkiem na rozdzielenie dywidendy. Jej maksymalną wysokość oznacza obecnie obowiązująca instrukcya z r. 1900 na 10%. I w rzeczywistości jest ona najczęściej obliczaną w stosunku 10% od udziału, w rzadkich wypadkach jest niższą, dawniej bywała niejekrotnie i wyższą i dochodziła do 30% i niektóre zarządy powiatowe wprost skarżą się na to, że w obrębie ich działalności sklepy kółkowe rozdzielają zbyt wysokie dywidendy [1].

Nie wynika z tego bynajmniej, by idea dobra ogólnego była naszym sklepikom kółkowym zupełnie nieznaną. Ofiary na cele publi-

[1] Stefczyk j. w. str. 123.

czne przez Kółka składane, bywają niekiedy dość znaczne. Tak w r. 1904 na potrzeby kościołów i cerkwi złożyły Kółka z dochodów swoich przedsiębiorstw 26.128 K. na inne cele 7545 K. razem 33.673 K. (czyli 86% subwencyi, które kraj na cele Towarzystwa wypłacił.

Kwestya wysokości dywidendy i sposobu rozdziału zysków ze sklepiku kółkowego wogóle ma jednak pierwszorzędne znaczenie dla sposobu i kierunku sklepików kółkowych. Wogóle zyski bywają wysokie. Wedle obliczeń Stefczyka, w 27 typowych sklepikach dokonanych, kapitał oprocentowuje się tu w stosunku przeszło 50%. Ten przeciętny rezultat powstaje z bardzo znacznych różnic w wysokości zysków, osiągniętych przez pojedyncze sklepy kółkowe; w najniekorzystniejszych warunkach wykazano zyski równające się $^1/_{10}$ części kapitału własnego, podczas gdy w najkorzystniejszych wypadkach kapitał ten przyniósł przeszło 400% czystego zysku. Dzieje się to głównie wskutek tego, że w niektórych sklepach Kółek rolniczych kapitał własny nadzwyczaj szybko się obraca, do czego dopomagają chwilowe pożyczki, zaciągane często pod korzystnymi warunkami. Równocześnie zaś bezpłatna a nierzadko bardzo wydatna praca kierowników sklepu, spełniających swoje obowiązki z poświęceniem, zaoszczędza wiele wydatków, a tem samem podnosi czysty zysk. Wydatki maleją również przez ofiarność członków Kółka, życzliwość gminy i osób popierających cele Kółek rolniczych; dzięki temu lokal sklepowy otrzymują niektóre Kółka bezpłatnie lub za nizkim czynszem, transport towarów furmankami mniej kosztuje a wreszcie i darowizny powiększają zysk sklepowy.

Ale też te wysokie zyski bywają nieraz powodem upadku idei współdzielczej, tak jak to się niejednokrotnie działo w zagranicznych stowarzyszeniach spożywczych. Chciwość bywa bowiem zawsze w tego rodzaju wypadkach zabójczą i powoduje w pierwszym rzędzie ścieśnianie koła udziałowców, w dalszym zaś rzędzie rozwoju, przekształcenie sklepiku kółkowego na przedsiębiorstwo często prywatne.

Jeśli zyski nie są wielkie, to zazwyczaj jest to znowu dowodem, że sklep wogóle mało się rozwija. Do przyczyn takiego stałego rozwoju należy, jak wspomniano już powyżej, także obojętność członków Kółka dla sklepowego.

Niedomaganiom zarówno pierwszej, jak i drugiej kategoryi mógłby istotnie zaradzić projekt, w ostatnim czasie gorąco propagowany przez St. Grabskiego [1] by mianowiwie w myśl zasad raczdalskich, podział

[1] St. Grabski: »Spółki włościańskie«. W Krakowie 1905 (z. IV wydawnictw c. k. krak. Tow. rolniczego). Str. 55.

czystych zysków następował wedle ilości poczynionych zakupów. »Stowarzyszenie spożywcze nie jest spółką handlową, z prywatnymi kupcami konkurującą, lecz organizacyą konsumentów, którzy potrzebne towary wspólnie dla siebie zakupują chcąc się obyć bez pośrednika handlowego. Sklepik stowarzyszenia jest właściwie tylko wspólnym składem zapasów od razu w większej ilości i na dłuższy przeciąg czasu sprowadzonych. Więc sklepik ten sprzedaje towary w zasadzie tylko swym członkom. A jeśli sprzedaje je i innym osobom, to nie dopuszcza ich do wszystkich tych korzyści, jakie mają członkowie. Ci ostatni bowiem, choć pozornie kupują towary po zwykłych cenach handlowych, w gruncie rzeczy otrzymują je od stowarzyszenia po cenie kosztów. A to, ponieważ pozostający po oprocentowaniu udziałów czysty zysk sklepu dzieli się między członków, wedle ilości poczynionych przez każdego zakupów. By z usług stowarzyszenia spożywczego korzystać, trzeba być jego członkiem; by otrzymać dywidendę, trzeba w niem kupować. Jest więc ono istotnem stowarzyszeniem wzajemnej samopomocy i doskonałą solidarności gospodarczej szkołą. Tymczasem na założenie zwyczajnego sklepiku złoży się kilkunastu gospodarzy, a reszta kontenta, że ma sklepik, w którym może taniej dostać towaru niż u żyda, nie dba wcale o potrzeby sklepiku i ani myśli przyczynić się udziałem do dalszego jego rozwoju. A niejeden nawet z tych, co udziały złożyli, o byle co się nadąsawszy, na złość przestaje kupować w sklepie Kółka i woli dawać lichwiarzowi zarobek, rachując jedynie na duży procent od swego udziału. I nic dziwnego. Bo nic tak nie demoralizuje i bałamuci ludzi, jak korzyści nie związane ściśle z odpowiednimi obowiązkami. Ale co ważniejsze jeszcze, stowarzyszenie spożywcze o wiele wyraźniej od zwyczajnego sklepiku spełnia swe zadanie. Zadaniem tem jest bowiem przecież dostarczyć ludności wiejskiej, jako spożywcom, rozlicznych towarów, towary te taniej i w lepszym gatunku, niźliby je mogli kupić u pośrednika handlowego. Otóż stowarzyszenie spożywcze daleko silniej jeszcze uwzględnia interesy konsumenta, niźli zwykły śmiertelnik. Bo gdy ten ostatni cały zysk oddaje właścicielom udziałów, stowarzyszenie spożywcze dzieli go między swych członków, wedle ilości poczynionych zakupów, rzeczywiście więc dostarcza im towaru po cenie kosztu. Jeśli nie wielu jest właścicieli udziałów, a cały zysk ze sklepu idzie na oprocentowanie tych udziałów, to właściciele ci starają się w pierwszym rzędzie o to, by sklepik dawał duże dochody, a nie o to, by dostarczał spożywcom taniego i dobrego towaru. A nawet

i wtedy, jeśli znaczna część zysku nie na oprocentowanie udziału, lecz na zwiększenie majątku kółka idzie, nieraz zarząd kółka uniósłszy się, skądinąd szlachetną ambicyą jak najszybszego powiększenia zasobów Kółka, myśli o tem tylko, jakby możliwie największe zyski sklepik dawał, zamiast o interesy kupujących się starać. Oczywista, w obu tych wypadkach, sklepik mija się całkowicie ze swem przeznaczeniem. Coś podobnego niemożliwem jest zaś w stowarzyszeniu, dzielącem zysk między członków, wedle ilości poczynionych przez nich zakupów.

Zasada ta jest niewątpliwie słuszna, byleby była wprowadzana powoli. Bezwarunkowo natomiast wypada odrzucić zasadę ograniczania działalności stowarzyszeń spożywczych na członków, albowiem naogół ludność wiejska za mało jeszcze jest do tego rodzaju reformy przygotowana, tak, że przeprowadzenie tej reformy mogłoby zwichnąć byt niejednego sklepiku kółkowego. Zresztą najlepsze wzory zagraniczne, jak np. stowarzyszenie raczdalskie, nie trzymają się tej zasady, a na ostatnim międzynarodowym kongresie współdzielczym w Budapeszcie stanowcza większość oświadczyła się przeciw tej zasadzie. O ile zresztą, zasada ta bywa uwzględnianą, to wpływa na to przeważnie uprzywilejowane traktowanie tych stowarzyszeń, które ograniczają swą działalność na swych członków pod względem podatkowym, co jednak stanowi w każdym razie wzgląd uboczny. Zresztą różniczkowe traktowanie członków stowarzyszenia spożywczego w porównaniu z niecłonkami, samo przez się powoduje przemianę wewnętrzną konstrukcyi stowarzyszenia, wywołując z reguły ten efekt, że liczba odbiorców, nie będących członkami stowarzyszenia jest bardzo niewielką.

VIII.

Sklepiki kółkowe powstawały z reguły samodzielnie, z inicyatywy miejscowych czynników, działały lata całe bez związku ze sobą; każdy pracował i radził sobie na własną rękę, każdy też sam musiał troszczyć się o źródło, z którego pobierać miał potrzebne towary [1]. Tkwi w tem bezwątpienia dowód wielkiej żywotności ruchu, opartego na szerokiej podstawie świadomości własnych potrzeb u ogółu interesowanych. Ale też z tego powodu, nie tak łatwo mogły się te sklepiki kółkowe wyzwolić z ogólnych niedostatków krajowego handlu, bo w pojedynkę trudniej było je usunąć, niż siłami zbiorowemi.

Niedostatki te i niedogodności ujawniły się przedewszystkiem w wy-

[1] Stefczyk j. w. str. 125.

borze źródeł dla zakupna towarów. To też długi czas większość Kółek kupowała towary u kupców (żydowskich) w najbliższem mieście albo miasteczku powiatowem. Dostawcy ci w rzadkich całkiem wypadkach byli hurtownikami. Towary zatem w takich sklepach kółek rolniczych pochodzą zwykle z trzeciej, czwartej i dalszej ręki, pośredniczącej w zaspokajaniu zapotrzebowanych przez sklep kółkowy artykułów. Dlaczego tak się dzieje wyjaśniono to już powyżej. Ale też ta praktyka, która dla kupującej ludności nie jest oczywiście tajemnicą, jest w znacznej części przyczyną obojętności, niedowierzania a nawet niechęci tego koła odbiorców, na jakie sklep kółkowy mógłby liczyć; odbiorcy ci bowiem widzą w sklepie kółkowym niepotrzebnego między sobą a dostawcą towarów dla kółka pośrednika, którego usług nie cenią i omijają go, szukając zaspokojenia swych potrzeb wprost u samego źródła, jakkolwiek częstokroć różnica ceny nie pokrywa kosztów osobistego zachodu.

Zasobniejsze znów Kółka starały się niejednokrotnie nawiązywać stosunki wprost z zagranicznymi nieraz hurtownikami. Dzieje się to częstokroć kosztem bardzo żmudnej pracy, ale ta praca i zabiegi nie stoją w żadnym stosunku do korzyści płynących z takiego postępowania. Spodziewana korzyść może być dwojaką: lepszy towar i przystępniejsze ceny. Ażeby jakość towaru ocenić, trzeba być znawcą, gdyż to rzecz nie łatwa i nigdzie bardziej, jak w tym właśnie razie, pozory nie zawodzą. Że z drugiej strony kalkulacya własnych cen towarów jest względem pierwszorzędnej wagi, to jest oczywistym, ale mało uwzględnianym momentem. Nie oblicza się przedewszystkiem ściśle wpływu kosztów transportu na wzrost własnej ceny towarów. Koszta te podnoszą się nie tylko wskutek odległości między dostawcą a odbiorcą, nie tylko wskutek stosunkowo małych ilości każdego zapotrzebowanego towaru od tego samego dostawcy, lecz zarazem wskutek tego, że różne przesyłki w różnym czasie muszą być odbierane z pocztowej lub kolejowej stacyi odbiorczej.

Stosunki te spowodowały wytworzenie się idei powiatowych składów hurtownych dla zaopatrywania w towary sklepów Kółek rolniczych. Tak powstał naprzód skład hurtowny dla Kółek rolniczych w Jaśle (1884 r.). wkrótce potem zawiązuje się stowarzyszenie podobne w Tarnobrzegu i Mielcu. W składzie jasielskim kapitał zakładowy wynosił 1000 złr., a już w pierwszym roku sprzedano towarów za 56.000 złr. a ta dysproporcya między tymi dwoma czynnikami stała się prawdopodobnie powodem upadku tej pierwszej próby. Niepowodzenie to nie

zniechęciło do dalszej pracy w tym samym kierunku, gdyż instytucye tego rodzaju odpowiadały rzeczywistej potrzebie. Gdy w danym powiecie liczba Kółek znacznie wzrośnie, zwracają się one do Zarządów powiatowych z żądaniem wskazania im sposobu nabycia towarów, oczywiście tanich a dobrych[1].

Z inicyatywy Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych tworzy się też cały szereg »towarzystw handlowych«, które zaraz w samym początku stawiały sobie za zadanie pracować w łączności z kółkami, odwoływały się nawzajem do ich poparcia, a niektóre z nich rozwinęły swą działalność w zakresie identycznym z zadaniami stowarzyszeń, które wyszły z łona Kółek rolniczych i przyjęły ich firmę.

Ale tworzenie składów powiatowych okazało się podówczas przedwczesnem. Ani liczba sklepów kółkowych w poszczególnych powiatach kraju, ani też rozmiary ich zapotrzebowania w towarach, ani wogóle środki materyalne nie mogły tym składom powiatowym zapewnić funduszów i odbiorców w tej mierze, jaka jest nieodzowną dla interesu hurtownego. Okazała się więc, przynajmniej na początek, nieodzowna potrzeba, ześrodkowania całej akcyi i tym wszystkim względom zawdzięcza swoje powstanie »Związek handlowy Kółek rolniczych w Krakowie«, stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką, ukonstytuowane 3 marca 1892 r.[2]

Celem tej spółki jest podniesienie dobrobytu ludu przez popieranie działalności Kółek rolniczych w Galicyi i w W. Ks. Krakowskim na polu przemysłu i handlu.

W tym celu Towarzystwo jest uprawnione:

a) kupować, sprzedawać i brać w komis wszelkiego rodzaju rzeczy ruchome, towary i produkta na swój albo na rachunek osób trzecich.

b) pośredniczyć w handlu wyrobami przemysłu domowego i fabrycznego, oraz produktami wiejskiego gospodarstwa;

c) zakładać własne składy towarów i sklepiki chrześcijańskie Kółek rolniczych po wsiach i miasteczkach.

---

[1] A. Krzyżanowski: »Studya agrarne« j. w. str. 55.

[2] Projekt taki powstał jeszcze z początkiem lat ośmdziesiątych we Lwowie. Utworzono tu mianowicie i zarejestrowano »Spółkę dla handlu wiejskiego«, ale też na zarejestrowaniu się skończyło. (*Związek* 1891, str. 58).

d) udzielać swoim członkom zdrowego kredytu dla prowadzenia handlu i przemysłu.

Stowarzyszenie to zawiązane w r. 1892 przez szczupłe grono osób, chcących poprzeć handlową działalność Kółek rolniczych przez utworzenie odpowiedniej dla nich hurtowni artykułów spożywczych i rolniczych, liczyło z końcem pierwszego roku istnienia 414 członków z kapitałem udziałowym 44.288 K., z którego zaledwie $^1/_{10}$ dostarczyły Kółka rolnicze.

Rozwijając szybko zakres swej działalności otworzył Związek handlowy w r. 1897 filię w Rzeszowie, w początkach 1899 drugą w Wieliczce, wreszcie 1901 trzecią we Lwowie, w miejsce upadłego tu lwowskiego »Związku handlowego Kółek rolniczych«. Dziś Związek rozporządza kapitałem 192.071 K. i znacznymi funduszami rezerwowymi. Obrót towarowy Związku wynosił 1903/4 5,645.619 K., targ 1,984.622 K. 55 h., zysk brutto 196.234 K. 87 h. Związek, w stosunku do obrotów, posiada małą i niewykazującą tendencyi wzrostu, ilość członków, o tyle więc możnaby mu przypisać pewne cechy kapitalistyczne, atoli cechy te są do pewnego stopnia zneutralizowane wskutek tego, że Związek, osiągając znaczne zyski, przeważnie na handlu drobiazgowym i oddziale rolniczym, zysków tych nie obraca na wypłatę wielkich dywidend lecz przedewszystkiem na wzmocnienie sił i podstaw Związku, na wzrost funduszów rezerwowych. Dzięki temu kierunkowi gospodarki Związek handlowy ma już trwałe podstawy bytu i posiada fundusze rezerwowe wynoszące 183,352 K. 40 h. t. j. 94·42 % kapitału udziałowego.

Mimo ten, powyżej zaznaczony szczegół, stanowiący zresztą tylko dowód ostrożnej i racyonalnej gospodarki, trudno przeoczyć, że jak dotychczas stowarzyszenie nabiera coraz to więcej cech t. zw. typu londyńskiego. 29 członków posiada więcej niż po 20 udziałów 50-koronowych, łącznie na sumę przeszło 120.000 K. Każdy zaś udział daje prawo jednego głosu, z tem tylko ograniczeniem, że członek nie może mieć więcej głosów nad 20 własnych i 20 z tytułu pełnomocnictwa.

Między udziałami znajduje się również udział Banku krajowego na 20.000 K. Dywidenda nie jest wysoką (6 % obecnie), choć wobec wielkich zysków mogłaby być znacznie niższą, a ta jej stosunkowa nizkość dowodzi niewątpliwie wielkiej wstrzemięźliwości u członków stowarzyszenia.

Dość szybkiemu wzrostowi kapitału udziałowego nie towarzyszy odpowiedni wzrost ilości członków np. w r. 1902/3 przybyło członków 49 a ubyło 50. W ciągu 11 lat istnienia kapitał udziałowy wzrósł w czwórnasób

w końcu r. 1892/3 wynosił 44.288
» » 1902/3 » 192.071

gdy ilość członków nawet się nie podwoiła i w końcu

r. 1892/3 było członków 414
r. 1903/4 » » 710

Widoczną jest zatem znaczna koncentracya kapitału udziałowego, stopniowe, coraz to silniejsze przybieranie cech stowarzyszenia typu londyńskiego. Dziś w przystępywaniu na członków zainteresowani być już mogą posiadacze większych kapitałów, gdyż dzięki dobremu stanowi majątkowemu stowarzyszenia nabycie udziałów jest dobrą i pewną lokacyą kapitału, zaś spożywcy nie są w równym stopniu w tem zainteresowani, gdyż z kredytu i innych dogodności przy kupnie korzystać mogą bez względu na to, czy są członkami, lub też to niema miejsca. Spożywcy-członkowie nie uczestniczą zresztą bynajmniej jako tacy, t. zn. w miarę ilości zakupów w zyskach stowarzyszenia.

Stowarzyszenie spełnia swe zadania jako hurtownia dla Kółek rolniczych, o tyle, że kalkuluje ceny hurtowne z nieznacznym zyskiem tylko i skutkiem tego nawiązała stosunki z dużą stosunkowo ilością prywatnych sklepów i Kółek rolniczych. Warto jednak zaznaczyć, że mimo to, przeważającą co do sumy obrotów klientelę Związku w dziale rolniczym, a po części kolonialnym, są więksi właściciele ziemscy.

Sumy, uzyskane ze sprzedaży towarów w każdej filii i dla każdego działu oddzielnie osiągnięte zyski brutto i stosunek zysku brutto do targu uwidocznia podana tu tabelka porównawcza.

	Oddział kolonialny			Oddział rolniczy		
	Zysk brutto	Targ	%	Zysk brutto	Targ	%
Kraków .	42.096.36	449.678.17	9·40	49.131.19	407.204.86	12.07
Lwów. .	22.916.97	395.101.86	5.80	27.859.01	185.012.72	15.06
Rzeszów.	23.424.69	313.526.98	7.47	3.786.91	34.220.09	11.07
Wieliczka	24.691.94	184.536.23	13·60	3.333.80	18.341.64	12.72
Razem . .	113.123.96	1339.843.24	8.44	83.110.91	644.779.31	12.21

Razem oba oddziały

Zysk brutto		Targ	%
Kraków . . .	9.221.55	856.883.03	10.65
Lwów . . .	50.775.98	580.114.58	8.75
Rzeszów . . .	27.211.60	347.747.07	7.25
Wieliczka .	27.025.74	199.877.87	13.52
Razem . .	196.234.87	1,984.622.55	9.89

Wydatki administracyjne w stosunku do targu wynoszą:

w Krakowie . . . 57.032.98 : 856.883.03 t. j. 6·73%
we Lwowie . . 40.244.10 : 580.114.58 » 6·94%
w Rzeszowie . . . 21.580.37 : 347.747.07 » 6·02%
w Wieliczce . . . 17.007.17 : 199.887.87 » 8·50%

Kredytu udziela stowarzyszenie zarówno członkom jak i niečłonkom. W szczególności kredyt osobisty w otwartym rachunku, może być udzielony tylko członkom znanym, o nieposzlakowanym charakterze i wymierzony w wysokości odpowiadającej ich faktycznym stosunkom majątkowym i zdolności płatniczej np. urzędnikom żyjącym tylko z pensyi i nieposiadającym własnego majątku do wysokości $^1/_5$ miesięcznej płacy. Kredyt ten ma się obracać w granicach 10—50 K. dla jednej osoby i jest krótko-terminowym, spłacalnym z reguły w ciągu jednego miesiąca.

Ten dodatni rozwój krakowskiego Związku handlowego, spowodował też, że w kwietniu 1897 r. Zarząd Główny Tow Kółek rolniczych, zwołał do Lwowa konferencyę, która się miała zastanowić nad zjednoczeniem akcyi. Reprezentowane były związki handlowe: krakowski lwowski i nowosandecki i Towarzystwo handlowe w Dembicy; jednogłośnie zapadła uchwała, by Związki handlowe: lwowski, nowosandecki oraz Towarzystwo handlowe w Dembicy, zamienić na filie Związku krakowskiego jako najpotężniejszego kapitałem pieniężnym i zasobem fachowego kierownictwa [2].

Zamiary inicyatorów konferencyi nie odniosły wprawdzie skutku, owszem nawet już po powzięciu tej uchwały utworzono Związek handlowy dla Kółek rolniczych w Tarnobrzegu, później także w Sokalu

[1] Krzyżanowski j. w. 56.

[2] Obok hurtowni powyżej w tekście wspomnianych, potworzyły się również hurtownie w Radziechowie, Kamionce Strumiłowej, Zaleszczykach, Mielcu i Tarnobrzegu. Ale istniały tylko krótki okres czasu. *Związek* 1893.

i Krośnie, atoli siłą rzeczy myśl ta odniosła przecież częściowe zwycięstwo. Związek lwowski upadł, a agendy jego objął Związek krakowski, tworząc osobną filię we Lwowie, bardzo dobrze prosperującą. Podobnie stało się i ze Związkiem nowosandeckim. Ewolucya taka jest bezwątpienia objawem dodatnim. Administracya w stowarzyszeniach jest wogóle zazwyczaj droższą niż w przedsiębiorstwach prywatnych; również droższą jest administracya małego przedsiębiorstwa niż wielkiego[1].

Dla Kółek rolniczych ma obecnie Związek handlowy znaczenie tylko takie, jakie posiada wogóle każdy skład hurtowny. Ale treść nazwie bynajmniej nie odpowiada, bo z Kółkami rolniczemi, jako takiemi, Związek bynajmniej nie posiada wybitniejszych jakichś punktów stycznych. Ze Związkiem bywa często identyfikowany Zarząd Główny Towarzystwa Kółek rolniczych, atoli dzieje się to zupełnie niewłaściwie. Zarząd Główny, jako władza zwierzchnicza i opiekuńcza Kółek, ma zupełnie odmienny zakres działania od Związku. »Jako instytucya głównie dla Kółek rolniczych powstała, Zarząd główny Towarzystwa Kółek rolniczych, popiera jak najusilniej Związek handlowy i stara się mu wśród Kółek rolniczych wyrobić jak najliczniejszą klientelę, tem więcej, że Związek jest bezsprzecznie najpoważniejszą hurtownią chrześcijańską w kraju, zadania swe świetnie spełnia i podczas dziewięciolecia swego istnienia wprost niezwykłe, jak na nasze stosunki, osiągnął wyniki. Między Zarządem głównym a Związkiem handlowym nie istnieje jednak żadna wspólność interesów. Związek handlowy jest zupełnie samodzielną instytucyą i jedyne prawo, jakie statut związku handlowego przyznał Zarządowi głównemu, jest prawo delegowania jednego członka do Rady nadzorczej Związku handlowego«!

Te względy jednak zarazem spowodowały, że w ostatnim czasie powstała myśl stowarzyszenia handlowego przy Zarządzie głównym, złożonego wyłącznie z Kółek rolniczych i mającego ten sam zarząd (co do osób).[2]

---

[1] A. Krzyżanowski j. w. str. 57.

[2] »XX Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Kółek rolniczych za r. 1902«, j. w. str. 11.

(Dok. nast.).

Dr. Zygmunt Gargas.

Druk ukończono 3 listopada 1906 r.

POWSTAJĄCA MASONIA W WARSZAWIE.

Przybywa nowy objaw społeczny, na który należy zwrócić uwagę. W Polsce zaczyna się tworzyć stowarzyszenie o celach tych samych, jakie stawia sobie masonia.

Już od lat kilku niejasne chodziły wieści, że to w tem, to w tamtem mieście zawiązują się loże wolnomularskie. Do pogłosek takich nie przywiązywało się oczywiście wielkiej wagi. Zresztą trudno nawet było stwierdzić, czy wieściom tym odpowiada rzeczywistość, czy tylko pozory, bo po jednym, drugim fakcie wszelki ślad dalszy niknął a przynajmniej z pod kontroli publicznej usuwał się. Wieść taka, naprzykład, wiązała się z działalnością literacką p. Andrzeja Niemojewskiego, kiedy to po »Legendach« pojawiło się jego tłumaczenie Renanowego »Życia Jezusa«.

Dziś wieści stają się rzeczywistością. Pod naczelnem dowództwem p. Andrzeja Niemojewskiego powstał w Warszawie Związek o dążnościach identycznych z dążeniami Związków wolnomularskich i publicznie powiadomił społeczeństwo o swojem istnieniu. Wyszła broszura p. Niemojewskiego: »O masoneryi i masonach«, nadto od miesiąca września bieżącego roku, pod redakcyą tegoż autora, pojawia się trzy razy miesięcznie czasopismo, organ antyreligijnego Związku, pod tytułem: *Myśl niepodległa.* Prócz tego, po głównych miastach kraju, jak przed kilku tygodniami w Krakowie, zaczynają tajemnie krążyć agenci Związku i celem propagandy zwołują prywatne zgromadzenia.

Dzięki czasopismu *Myśl niepodległa*, jesteśmy w możności

zdać sobie sprawę z celów i środków Związku, z jego organizacyi i zamierzonej działalności.

Pierwszy krok do stworzenia polskiej organizacyi masońskiej zrobiono na bruku paryskim. W lipcu bieżącego roku powstała w Paryżu »Polska liga wolnej myśli«, w której statucie czytamy między innemi, co następuje:

§ 1. Polska Liga wolnej myśli ma na celu zwalczanie dogmatów i przesądów, szerzonych i podtrzymywanych przez religię i duchowieństwo, oraz rozwijanie światopoglądów, opartych na wiedzy i rozumie.

a) Wolna Myśl przeciwstawia naukę, którą uważa za jedyną opokę myślenia ludzkiego — religiom, które są zbiorem narzuconych dogmatów.

b) Przeciwstawia moralność bezwyznaniową, opartą na woli, rozumie i szlachetności człowieka, moralnościom religijnym, opartym na ślepem posłuszeństwie tajemniczym nakazom.

§. 7. Członkiem Polskiej Ligi Wolnej myśli może być każdy, nie odbywający praktyk religijnych, bez różnicy pochodzenia i płci.

To są dwa, najbardziej znamienne, paragrafy paryskiego statutu, wzorowane na statucie francuskich i włoskich tego rodzaju związków. W Warszawskim statucie, oczywiście, wskutek odmiennych stosunków społecznych, drugi z tych paragrafów w innej musi być zredagowany formie. W tym względzie bardzo są charakterystyczne słowa *Myśli niepodległej:*

»Obywatel francuski może, ale nie musi, zwracać się do władz kościelnych. Ma tedy wolny wybór, a opinia publiczna jest tak postępowa, że osłania go w zupełności od ataków wstecznictwa, jeżeli wyzbędzie się wszelkich praktyk religijnych. Dlatego francuskie i włoskie ligi myśli niepodległej mogą odnośny paragraf układać w tak lakonicznej formie. U nas inaczej. Bez chrztu nie posiada się metryki, nie posiadając metryki, nie można wstąpić do żadnej szkoły, bez zawarcia ślubu nie można być legalnym małżonkiem i mieć tak zwane legalne dzieci. Uczeń i żołnierz muszą w terminach ściśle określonych przystępować do spowiedzi, urzędnik państwowy musi w pewne dni uroczyste zjawiać się

w kościele na nabożeństwie, dziecko nie otrzyma promocyi bez stopnia z religii, a ksiądz mu tego stopnia nie da, jeżeli to dziecko nie spełnia przepisanych praktyk religijnych, chociażby zdało świetnie egzamin z przedmiotów, stanowiących naukę religii. Krajowe organizacye myśli wolnej musiałyby tedy z konieczności § 7 zredagować inaczej, wyraźniej, praktyczniej, odpowiednio do stanu prawodawstwa i stanu opinii w kraju panującej, a mianowicie, mniej więcej, w ten sposób: ‚Za przedmiot prac i walk swoich Liga obiera dążenie do przekształcenia prawodawstwa w tym duchu, aby ani żaden z jej członków, ani nikt wogóle, nie był zmuszany do tych praktyk religijnych, które mu dają tytuł na członka społeczeństwa i prawa obywatelskie (jak np. chrzest), lub które pewne akty czysto prawnego charakteru każą mu dokonywać na tle jakiejś konfesyi (jak np. śluby). Liga chce dać oparcie, opiekę i pomoc tym wszystkim, którzy albo już zerwali z praktykami religijnemi, albo dążą do zupełnego zerwania z niemi, i jedynie za warunek kładzie, aby żaden z jej członków tych praktyk religijnych dobrowolnie nie spełniał, do których nie zmusza go reakcyjne prawo'...«

W jakiej teraz formie ma pojawić się polska masonia? Czy będzie to zwykła organizacya lóż masońskich, czy organizacya odmiennie zbudowana? Otóż właśnie przy kolebce masonii warszawskiej dokonywała się urzędowa legalizacya maryawityzmu i ta podsunęła twórcom wolnomularstwa polskiego pomysł odrębnej organizacyi. »Jeżeli ciemni Maryawici — tak czytamy w zeszycie siódmym *Myśli niepodległej* — umieli założyć własną gminę i legalizować się, uczyńmy my, ludzie światli, ludzie wykształceni, ludzie rozumni to samo — załóżmy własną gminę wolną i legalizujmy ją«.

Więc wolna gmina. Ta wolna gmina ma zastąpić gminę wyznaniową, nie powinna jednak nosić nazwy gminy bezwyznaniowej, powinna powstać tak, jak gdyby przed nią i obok niej nie istniały żadne gminy wyznaniowe. Jedynym dogmatem, jaki członkowie tej gminy mają wyznawać, jest zdanie: »Wiedza jest moim Bogiem«. Etyka w tej gminie ma być zależną w zupełności od postępu wiedzy i naukowych uświadomień. »Jedynym

dogmatem etycznym dla dzisiejszej gminy wolnej będzie przeświadczenie, że ponad wszystkie metody góruje metoda postępowania naukowego: jawność, pracowanie pod kontrolą całego świata, sprawdzalność, ciągłe dążenie do uzgodnienia wiedzy z życiem«.

Są jeszcze szczegółowsze wskazówki, jak pojąć należy tę gminę.

»Gmina wolna musi posiadać swoje prawo małżeńskie, zrównane pod względem znaczenia z prawem małżeńskiem jakiejkolwiek konfesyi. Nasze śluby, niezależnie od aktu czysto kancelaryjnego mogą być, gdy tego ktoś zażąda, uroczystem oświadczeniem wobec gminy, pary młodej, że od dnia dzisiejszego para ta chce stanowić małżeństwo. A gdy niedobór małżeński zmusi ją do żądania rozwodu, gmina nie będzie się imała kruczków prawnych, lecz jej sędziowie przeprowadzą proces psychologiczny, naukowy.

»Gmina wolna urządza pogrzeby cywilne, posiada własny dom przedpogrzebowy, może nawet własne krematorya.

»Dni odpoczynkowe gminy wolnej nie mogą być wyodrębnione z szeregu dni odpoczynkowych, przyjętych powszechnie, albowiem niema najmniejszego powodu do wprowadzenia jakichkolwiek zawikłań do życia gospodarczego społeczeństwa«.

Oto główne szczegóły dotychczasowego zarysu gminy wolnej. Zarys cały jeszcze nie jest gotowy, toczy się jeszcze nad nim obrada w łonie Związku. Stąd też redakcya *Myśli niepodległej* otwiera na ten temat dyskusyę.

Jeden jeszcze szczegół charakterystyczny, wiążący się z organizacyą związku, podnieść należy, a to: nazwę związku. Nazwa urzędowa jest: Polska liga wolnej myśli. Nazw: »masonia«, »wolnomularstwo« unika związek troskliwie, co więcej, nazwę tę odrzuca i przynależności swojej do masonii zaprzecza. Celowość takiej taktyki widoczna. Propaganda z urzędową marką masońską spotkałaby się od razu z represyą policyjną tych państw, w których masonia jest ustawowo zakazaną — a powtóre słowo »masonia« zbyt odstraszająco działa na wrażliwość polskiego ogółu, ażeby na skuteczność agitacyi, pod tem hasłem, liczyć można. Tymcza-

sem »Liga wolnej myśli« jest zbiorem słów dobrze brzmiących i jak na przeciętny typ lekkomyślnego adepta dobrze dobranych.

W tem zasłanianiu się jednak przed nazwą masonii, taktyka warszawskiego związku nie bardzo jest zręczną. Pan Niemojewski ogłasza osobną, powyżej wspomnianą, broszurę: »O masoneryi i masonach«, w której wprawdzie, na początku, zaznacza, że masonem wcale nie jest, w całej jednak broszurce do niczego innego nie dąży, jak do apoteozy masonii. Co więcej. W jednym ustępie oddziela wprawdzie od masonii swój związek wolnej myśli, wyliczywszy jednak cele i idee wolnomyślnego związku, dodaje: »Wszystkie te idee współczesne wolnomularstwo francuskie wyznaje na równi z librpenserami i stara się je metodami społecznemi wprowadzić w życie«. Czyż to nie znaczy przyznać, że związek wolnej myśli jest w istocie rzeczy tem samem, co związek masoński, a różni się tylko nazwą.

Ale na inną jeszcze różnicę wskazuje redakcya *Myśli niepodległej*. W zeszycie siódmym, w artykule o wolnej gminie, czytamy taki ustęp: »Ludzie płytcy nazwą nas masonami. Ale wyniknie to z nieznajomości zasad masoneryi. Trzy są powody, dla których gmina wolna i masonerya stanowią instytucye odrębnych charakterów. Masonerya jest dla wybranych, gmina wolna jest dla wszystkich. Masonerya jest stowarzyszeniem zamkniętem, gmina wolna jest instytucyą jawną, jest właśnie gminą. To jedno. Następnie masonerya ma swój sekret; wprawdzie ów sekret należy do przeszłości, ale istnieje on dalej w formie dyskrecyi związkowej. Gmina wolna niema żadnego sekretu, żadnej dyskrecyi związkowej; wszystko, co się dziać będzie, musi być jawne, musi w najdrobniejszych szczegółach podlegać kontroli publicznej i publicznej krytyce. To drugie. A wreszcie trzecie. Masonerya jest zbudowana na podstawie hierarchii, posiadając stopnie ucznia, czeladnika, mistrza. Gmina wolna musi być instytucyą nawskróś demokratyczną. Wobec takiej gminy wszyscy są równi«.

Po przeczytaniu tego ustępu odnosi się wrażenie, jak gdyby dostało się z deszczu pod rynnę. Zamiast masonii ukrytej, a więc krępującej się jeszcze jakimiś względami, zamykającej się w pewnych kołach i ceremoniach, widzimy masonię jawną, zbliżającą

się do społeczeństwa z zamiarem propagandy powszechnej. Daleko już zaszło bałamuctwo pojęć, skoro związek walczący przeciw Bogu, wyjść może z kryjówki na światło dzienne. O nazwę tego związku, tę czy inną, mniejsza, zwłaszcza, że w tym wypadku trzebaby stworzyć nazwę, bardziej znaczącą od nazwy »masonii«.

Tyle wyczytać można z dotychczasowych publikacyi »Ligi«, odnośnie do celu, środków i organizacyi związku.

Za to, obfite dałoby się zebrać pokłosie z różnych fantazyi, mających religię ośmieszyć lub jej zasady podkopać. W tym względzie twórczość redakcyi *Myśli niepodległej* nie krępuje się żadnem prawidłem. Nie mówimy już o takich zbyt popularnych i gdzieindziej wielokrotnie powtarzanych produkcyach, jak drukowanie biletów do raju, taks penitencyaryi lub wierszy Heinego. Nawet dziwićby się można, dlaczego ci panowie wracają do pomysłów dawno zwietrzałych, skoro, wobec nierachowania się z prawdą i logiką, tak obszerne pole przed ich wyobraźnią się otwiera. Wszystko w tem pisemku *Myśl niepodległa* nastrojone jest *ad usum delphini*, w tym wypadku tendencyjnej propagandy masońskiej. Historya i egzegeza, filozofia i nauki przyrodnicze, socyologia i pedagogia wszystko to ma jednym głosem wołać: »Precz z Bogiem, precz z katolicyzmem«. Weźmiemy do ręki naprzykład artykulik, mający podać historyę katolicyzmu, to spotkamy się z poglądem streszczającym się w tym ustępie: »Duchowieństwo katolickie jest sektą, która wychodząc z założeń swej doktryny religijnej, dążyła do wszechstronnego zapanowania nad światem, panowanie to zdobyła, jakiś czas dzierżyła je niepodzielnie, wkońcu jednak zmuszona została dzielić je z innemi potęgami świeckiemi i dotąd panowania swego się nie wyrzekła. Za oręż służy jej pieniądz, tendencyjna, umyślna literatura i takaż wiedza, tendencyjne wychowanie i polityka«. Jakto, więc nic, prócz samolubnej żądzy panowania nie ożywia duchowieństwa katolickiego, czyż niema w jego dziejach żadnych ofiar, poświęceń niesamolubnych, poświęceń naprzykład misyonarzy? Misye — odpowiada na to krótko autor, wzruszając ramionami — misye to są »forpoczty zaborów kolonialnych«. Tą metodą pisany jest cały artykuł.

Chrześcijaństwo opiera się, jako na jednej ze swoich pod-

staw, na Piśmie świętem. Otóż tę podstawę zburzyć chce p. Niemojewski w artykule: »Kontradykcye ewangeliczne«, w którym chce udowodnić, że Pismo święte w najważniejszej sprawie, w sprawie zasad etycznych, jest zbiorem sprzeczności, bo w nim »niemal na każde twierdzenie etyczne możemy znaleźć przeciwtwierdzenie«. Dowód przeprowadzony jest na takich np. zdaniach:

Nie można dwom panom służyć.

A cóż, widzisz źdźbło w oku brata twego.

Oddajcie, co cesarskiego cesarzowi, a co jest Bożego Bogu.

Kto miłuje ojca albo matkę więcej niż mnie, nie jest mnie godzien.

W równie dowcipny sposób załatwia się *Niepodległa myśl* ze wszystkiem innem. Żeby obalić papiestwo, po cóż naukowa polemika, kiedy ten sam cel spełnić może kilka uczuciowych wrażeń z pielgrzymki do Rzymu. A jak łatwo znikają ze świata rzeczywistości, jako ułudne mamidła, takie istoty jak Bóg, takie fakty jak religia. »Wiedza dzisiejsza nie uznaje żadnej interwencyi Bożej. Ideę pierwoprzyczyny ruchu odrzucono jako balast zgoła niepotrzebny, w myśl zasady ekonomicznej, która w procesie badań nakazuje ograniczać się do pojęć niezbędnych. Podkopały ją prace Descartesa i Newtona, jakkolwiek sami oni nie zdawali sobie wówczas sprawy z doniosłości swoich odkryć. Lecz ostatecznie wyparły ją prawa energietyki, które zjawiska i dzieje świata tłumaczą zarazem prościej i głębiej«. I już sprawa skończona, Bóg przestał istnieć. Ten sam los o stronę dalej spotyka i religię. »Z chwilą, kiedy nauka, a przedewszystkiem astronomia, zburzywszy pokrywę firmamentu, rozsłoniła zawrotną dal bezkresu, gdy zniosła legendową przeciwstawność ziemi i nieba, pokazując, że my, mieszkańcy ziemi, bujamy, jak miliardy gwiazd, w pełnem przestworzu niebios — od chwili tej stało się rzeczą jasną, iż religia w swej tradycyjnej postaci przewrotu tego przeżyć nie potrafi: że albo popadnie w zależność od wiedzy umiejętnej i pójdzie drogą natychmiastowego rozwoju, albo musi runąć. Ale już wkrótce przekonano się, że odrodzenie było niemożliwe«.

Jeżeli w tak łatwy sposób zdruzgotano religię, cóż dziwnego, że jeszcze łatwiej przychodzi obalić poszczególne prawdy

religii. Grzech pierworodny, to fikcya! »Przez kilka tysięcy lat pouczano ludzkość o grzechu pierworodnym, tej plamie, z którą się człowiek rodzi i która musi być z niego zeskrobana czy zmyta. Teorya owa, z jakiejkolwiek strony rozpatrywana, prowadzi do niesłychanego pesymizmu. My, ludzie myśli niepodległej, zwiastujemy ludzkości wręcz przeciwną teoryę. Mówić jej chcemy o cnocie pierworodnej, źródle naszego optymizmu i to optymizmu naukowego«. Na tem zaczyna i kończy się strona dowodowa tego artykułu.

Wprost na humoreskę zakrawa artykuł »O śmiertelności duszy«. Oto najistotniejszy ustęp, w którym ma spoczywać cała siła dowodowa, że dusza ludzka jest śmiertelną:

»Teoryę o nieśmiertelności duszy wywodzi się zazwyczaj z rozgłośnego dyalogu Platona, zwanego Fedonem. A Platon był większym artystą, niż filozofem. Na skrzydłach jego artyzmu teorya ta ze starożytności przez wieki średnie dobiegła do naszych czasów. Mistrz Platon wiedział, jak uscenizować ów dyalog. Oto mędrzec niesprawiedliwie w więzieniu osadzony za szczytne przekonania, których ciemni jego współobywatele pojąć nie mogli, oto za kilka godzin wypić ma truciznę, oto otaczają go uczniowie, żądni ostatnich jego wskazówek myślowych. Więc ów mędrzec, mający niebawem odejść w nieśmiertelność historyczną, porusza i rozwija zagadnienia nieśmiertelności duchowej. Dramat filozoficzny myślącego Greka zamieniono na teologiczny dogmat bezmyślnej kruchty. Platon odszedł a miast niego zjawił się scholastyk. Platon wiedział, że Sokrates umierałby i bez owej teoryi, jak mędrzec. Ale scholastyk, który sam często umierał, jak tchórz, przeląkł się o spokojną śmierć człowieka przeciętnego. Zaczął tedy sprawę rozważać. Nie wiedział, że stanął za nim stróż gatunku, Instynkt Zachowawczy, że położył mu ręce na głowie i w ten sposób stał się panem jego myślenia. Scholastyk widział, że ginie ludzkie ciało. Ogarnął go lęk. Nie, coś przecież po człowieku zostać musi... Ale co? Tu instynkt zachowawczy zaczął jego myślami kierować, jak magnetyzer myślami swego medyum. Scholastyk szperał gorączkowo śród zakurzonych pergaminów, natrafił na Platona i z niesłychaną radością odnalazł u niego najpiękniejszy

filozoficzny pozór. W tej chwili poczuł, że w nim lęk przed zgonem przedzierzgnął się w dogmat mądrości«.

I tak, co krok. Żadne liczenie się z prawdą, z faktami, nie jest w *Myśli niepodległej* obowiązujące. Nawet nie obowiązuje w jednem miejscu to, co samo to pismo w innem miejscu mówiło. W powyższym ustępie potrzebnym był do fikcyi scholastyk, szperający w foliałach greckich, w innym artykule, poświęconym ciemnocie duchowieństwa, potrzebnym jest ten sam scholastyk, ale już jako ignorant, który nie tylko, że nie zagląda nigdy do literatury greckiej, ale ją pali, niszczy umyślnie, jest jej największym wrogiem. »Kto niszczył rękopisy greckie, kto był winien, że cała piękna tradycya kultury klasycznych Aten, Jonii, zniknęła na całe tysiąc lat?« — pyta z patosem p. Jabłczyński.

To też po rozglądnięciu się w szeregu artykułów *Myśli niepodległej*, owłada przedewszystkiem umysłem jedno uczucie, uczucie zdziwienia, jak w naszym wieku możliwe, by jakaś redakcya tak mogła liczyć na naiwność i indolencyę umysłową czytelników. Liczenie się z jakiemkolwiek kryteryum jest w tem piśmie tak małe, że samo zdawanie o tem piśmie sprawy, żenuje, i doprawdy, nie podjęlibyśmy się nigdy tej ofiary, gdyby nie chodziło o cel, do którego to pismo dąży. Jedna pstra frazeologia, zespolona z gołosłownych twierdzeń, z subjektywnych domniemań, z dowolnych fantasmagoryi i to takich, że sama próba poważnego rozprawiania się z tem wszystkiem, narażałaby na śmieszność — oto twór umysłowy *Niepodległej myśli*. Co krok powoływanie się na historyę wbrew faktom, na logikę wbrew rozumowi, na naukę wbrew nauce. Z tem wszystkiem wielka pewność siebie, wielkie poczucie swojej wyższości — podobne zwroty, jak jeden z powyżej przytoczonych — »my ludzie światli, ludzie wykształceni, ludzie rozumni«, nie raz jeden w tem piśmie się powtarzają.

Ten sposób metody nasuwa na myśl pewne krakowskie *adagium*, które złączone jest z nazwą Warszawy. Nie wspominalibyśmy o tem, ani tak ogólnikowo, gdyby nam nie przyszła z pomocą sama redakcya *Niepodległej myśli*, która zżymając się na pewien, niemiły sobie kierunek, istniejący w Warszawie, tak o Warszawie pisze: »Warszawa jest miastem niezmiernie wdzięcznem dla grasowania

różnych aferzystów, b l a g i e r ó w i krzykaczy, ponieważ w niej ludzie dobrzy są aż do niedołęstwa łatwowierni, a ludzie źli aż do czelności zuchwali«.

Na tem kończymy sprawozdanie o *Myśli niepodległej* i o »Lidze wolnej myśli«.

Wydawać sąd o propagandzie masońskiej zbyteczna, bo w tej mierze już istnieje ustalona opinia. Bezcelowem także byłoby przesądzać o przyszłości tej propagandy u nas. Taktyka, jaką sobie warszawska Liga obrała, to znaczy, jawność propagandy i posługiwanie się suggestyą, są to środki, które nie otworzą jej wrót do sfer prawdziwie intelligentnych, które jednak łatwo znaleźć mogą dostęp do szerokiej, bezkrytycznej mieszczańskiej masy. Blizka już przyszłość pokaże, o ile ta masa jest odporną, zwłaszcza w tej dzielnicy, w której zaczęła się propaganda. Faktem jest, że wszystkie najcięższe chmury idą dziś na Polskę z tamtej strony kordonu. Pod względem religijnym trzeci to już tam rodzący się objaw: »Maryawityzm«, »Kościół narodowy« i »Masonia«. Widać, że 40 lat systemu rządowego z góry, a rozkładowych kierunków rosyjskich z dołu, zrobiły swoje.

Dla katolicyzmu polskiego nowa przybywa pobudka do zdwojenia pracy.

Ks. J. Pawelski.

POLSKIE CENTRUM LUDOWE[1].

Pojawienie się nowego stronnictwa, posiadającego warunki rozwoju, stanowi zawsze doniosły fakt życia publicznego, sprowadza bowiem zmiany w dotychczasowem ukształtowaniu sił społecznych. Stronnictwa grupują jednostki około swego programu stale lub tylko chwilowo, na gruncie zgodności w zasadniczych ideach, albo też ze względu na dążenia i postulaty najbliższej przyszłości. W jednym i drugim wypadku, a raczej dla każdej kategoryi stronników, bo obie łączą się z każdą partyą, istnieje możliwość dalszego różniczkowania się lub też konsolidacyi dotąd istniejących kierunków politycznych. Godząc się nawet z programem stronnictwa we wszystkich istotnych jego rysach, jednostka musi jednak najczęściej poświęcić coś ze swych indywidualnych zapatrywań, to też przejdzie do nowo powstałej grupy, której zasady są dokładniejszem odzwierciedleniem jej istotnych poglądów. Jeszcze prędzej i łatwiej nastąpi takie przesunięcie się ze stronnictwa do stronnictwa, gdy poprzedni związek był luźniejszy, oparty na postulatach chwilowych. Wtedy wystarcza ich zmiana, osiągnięcie albo przeświadczenie, że obecnie uzyskać tych żądań niepodobna, ażeby opuścić szeregi, w których szło się dotąd. W ten sposób w obrębie wszystkich stronnictw dostrzegamy cią-

[1] Wskutek dość licznych zapytań z za kordonu o Polskie Centrum ludowe, prosiliśmy jednego z członków tego stronnictwa, o czysto informacyjny artykuł.

Redakcya.

głą fluktuacyę, która obejmuje nie tylko jednostki, zdające sobie jasno sprawę ze swych zapatrywań, lecz nawet i te, które kierują się więcej względami drugorzędnymi — hasłem, osobami i t. d., — aniżeli zgodnością swych zapatrywań z programem i właściwym celem stronnictwa. Te grupy bowiem ludzi posiadają poglądy niedostatecznie skrystalizowane, stąd też nie stanowią pewnego zastępu i łatwo przejdą do innego obozu skutkiem wyższego uświadomienia politycznego, agitacyi lub silniejszego oddziałania na nie nowego programu.

Zmiany więc w szeregach każdego stronnictwa są objawem naturalnym i koniecznym każdego życia publicznego. O ile odbywają się w obrębie istniejących już stronnictw, a nie przybierają rozmiarów zbyt wielkich, wskutek jakichś okoliczności przypadkowych, nie posiadają większego znaczenia, gdyż straty konpensują się mniej więcej z zyskami. Inna rzecz, gdy w społeczeństwie pojawia się nowe stronnictwo. Wtedy od starszych odpadają wszyscy ci, którzy należeli do nich dlatego, iż dotąd nie było grupy im bliższej, obecnie zaś nowa partya odpowiada więcej ich poglądom i uczuciom. Na jej rzecz przeto tracą inne stronnictwa pewną część swych dotychczasowych stronników bez żadnego ekwiwalentu, tracą w rozmaitej ilości i z różną szybkością, zmienia się więc znacznie stosunek sił politycznych.

Inna przemiana następuje w życiu publicznem pod wpływem konsolidacyi jednoczenia się stronnictw. Wszędzie można dostrzedz to samo zjawisko, że stronnictwa polityczne tworzą się nie tylko na podstawie pozytywnego, lecz i negatywnego programu, t. zn. przez hasła, które mają je odgraniczyć i odróżnić od innych, mniej lub więcej zbliżonych partyi. Najwyraźniej występuje to nieraz w samej nazwie stronnictwa. T. zw. stronnictwa konserwatywne, demokratyczne, liberalne, radykalne i t. p., niejednokrotnie przyjmują swe miano nie ze względu na program, lecz dlatego, że przeciwnicy szeregują się około nazwy przeciwnej. Tak np. w Stanach Zjednoczonych stronnictwo republikańskie jest konserwatywnem, a demokratyczne w swoim czasie sprzeciwiało się zniesieniu niewolnictwa; w Anglii wigowie, a więc liberalni, byli przez większą część XVIII wieku partyą dworską, toryści brali

udział we wszystkich próbach obalenia obecnie panującej dynastyi; w Niemczech dziś jeszcze stronnictwo narodowo-liberalne idzie najczęściej ręka w rękę z konserwatywnem, a zwalcza wolnomyślne i t. p. Nie tylko jednak nazwa, lecz i pewne szczegóły programu, nie mają nieraz innego znaczenia, jak tylko negatywne, różniące jedną grupę od drugiej. Ze względów taktycznych jest to często niezbędne, szczególniej w początkach, lub też w czasach, gdy jakaś partya, dzięki swym błędom, stanie się w społeczeństwie niepopularną, nie tyle dla swego programu, ile ze względu na swe postępowanie lub osoby nią kierujące. Wtedy właśnie stronnictwa, które najbardziej są do niej zbliżone, muszą najsilniej zaakcentować swą samodzielność i odmienność, jeżeli nie chcą sprowadzić na siebie niezasłużonego upadku. Punkty programu i ta część akcyi, które wyniknęły z takich powodów, są oczywiście przejściowe, prowizoryczne, tak, że powinny zniknąć, skoro odpadły przyczyny, które je wywołały. A jeżeli różnica między stronnictwami polegała wyłącznie na tych negatywnych czynnikach, partye dotąd zwalczające się mogą się połączyć w jedną całość, najczęściej pod nową nazwą, bo nic już ich nie rozdziela. Wtedy przychodzi do zjednoczenia stronnictw, w miejsce więc mniejszych i słabszych grup kilku, wchodzi jedna silniejsza. Połączonemi siłami dąży się do celu, który zawsze był wspólny, lecz którego osiągnięcie utrudniano sobie nawzajem walką, prowadzoną nie dla zasad, lecz wskutek osób, lub przypadkowo popełnionych błędów.

Utworzenie polskiego centrum ludowego nie może więc być obojętne dla rozwoju stosunków galicyjskich. To też przystępując do charakterystyki tego stronnictwa nie zamierzam stanąć na stanowisku partyjnem. Ściśle, przedmiotowo i bezstronnie, nie dla propagandy lecz celem zapoznania szerszych kół z tą nową organizacyą polityczną, pragnę przedstawić tu, niejako z punktu widzenia historycznego, jej uprawnienie, zasady, cele i praktyczną doniosłość.

W społeczeństwie polskiem, wybitnie indywidualistycznem, ogromna większość opinii publicznej jest politycznie i społecznie umiarkowana, narodowa, chrześcijańska i demokratyczna. Mimo, że zasadnicze te rysy występują nieraz zamglone tylko w naszem

życiu publicznem, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak w historyi rzeczypospolitej, jak i w czasach najnowszych, stwierdzamy je w polityce polskiej na każdym kroku. Cały dług okres rządów szlacheckich był w swej idei demokratyczny, oczywiście w obrębie warstwy, posiadającej pełnię praw obywatelskich, dziś również, pomijając z zagranicy przeszczepiony na nasz grunt i przeważnie obce żywioły jednoczący socyalizm, nie mamy stronnictwa, które byłoby istotnie skrajnem, wyraźnie antydemokratycznem, nienarodowem lub niechrześcijańskiem. Przecież powszechnie wiadomo, że olbrzymia większość tych, którzy popierają nasze partye radykalne, bynajmniej nie godzi się na ich zasadnicze poglądy, lecz idzie z niemi wskutek niezadowolenia z panujących stosunków, często tylko dla opozycyi, w której przejawia się nasz indywidualizm. Przekonanych o doskonałości któregokolwiek programu radykalnego, lub nawet znających dokładnie jego zasady i rozumiejących ich doniosłość jest tylko nieliczna garstka; reszta idzie pod tym sztandarem częścią dla postulatów drugorzędnych, częścią wskutek zwyczajnej popularności każdej skrajnej opozycyi. Podobnie i w grupach konserwatywnych nie mamy ani tej skrajności ani takiej wyłączności, jakie spotyka się za granicą. W Czechach, gdy próbowano ugody czesko-niemieckiej, oparto się na zasadzie trzech kuryi odrębnych t. j. Czechów, Niemców i wielkich właścicieli; w parlamencie wiedeńskim tak czescy jak i niemieccy posłowie z większej własności tworzą osobne kluby, podobnie jak w Berlinie — u nas byłoby takie stanowisko klasowe i prawie międzynarodowe wprost niemożliwe. Wszystkie rodzime stronnictwa, przynajmniej w zasadzie, formalnie, godzą się w najważniejszych wytycznych swych liniach, stoją na stanowisku zastępstwa całego społeczeństwa bez klasowości, równouprawnienia wszystkich bez przywilejów, ochrony narodowości i potrzeb chrześcijańskiej religii.

W zasadzie przeto ukształtowanie stronnictw politycznych odpowiadało naczelnym ideom naszej opinii publicznej. W praktycznem życiu rzecz ta przedstawiała się jednak odmiennie, rzeczywistość bowiem odbiegała nieraz bardzo daleko od teoryi, t. j. programu. Nie wdając się bynajmniej w retrospektywne re-

kryminacye tem więcej, że omówiłem już obszerniej te stosunki w ankiecie *Przeglądu Powszechnego*, muszę przecież stwierdzić, że w polityce praktycznej oportunizm chwili, jako też interesy partyjne i klasowe niejednokrotnie tak silnie ważyły na szali, że w pozytywnej akcyi ginęły często prawie zupełnie główne znamiona naszych ogólno-narodowych poglądów. Nie było widać ani umiarkowania ani demokratyzmu, polityka zapominała czasami o prawach etyki, a i struna narodowych potrzeb i interesów dźwięczała niezbyt silnie.

Wywołało to wszystko niezadowolenie, szerzące się coraz bardziej, objawiające się potężniej z dniem każdym. Przybierało ono w polityce dwie odmienne konkretne formy. Jedną było przeciwstawienie przewadze warstw klasowości grup innych — i w ten sposób wzrośli u nas socyaliści i ludowcy — drugą stanowiły usiłowania poprowadzenia życia publicznego po myśli narodowej opinii publicznej nie tylko w teoryi lecz i w praktyce — i do tego zdążały próby organizacyi stronnictwa na zasadach narodowych i demokracyi chrześcijańskiej.

Wskutek całego szeregu okoliczności drugorzędnych i trudności osobistych akcya chrześcijańska nie mogła się zespolić i zjednoczyć, lecz rozbiła się na razie na trzy odłamy, stanowiące politycznie trzy odrębne grupy, na stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, katolicko-ludowe i katolicko-narodowe. Instynktowne niejako odczucie potrzeby takiej organizacyi było tak znaczne, że jakkolwiek zwalczano gwałtownie ze wszystkich stron te usiłowania od samych ich początków, a rozbicie na trzy stronnictwa osłabiało z natury rzeczy intenzywność akcyi, każda partya potrafiła zdobyć od razu pewien mniejszy lub większy teren i przeprowadzić w pewnej liczbie okręgów swych kandydatów. Wszystkie te ustroje nie mogły się jednak rozwijać w odpowiedniem tempie. Zwalczano je namiętnie z lewej strony, bo zrozumiano tam od razu, że ich dopiero działalność może skutecznie położyć tamę dalszemu wzrostowi radykalizmu klasowego i społecznego; z równą wytrwałością występowano przeciw nim wszelkimi środkami po prawicy, bo dla stanu posiadania stronnictwa panującego groźniejszą była narodowa demokracya chrześcijańska, niż między-

narodowy socyalizm lub wiejski radykalizm ludowców. Socyaliści byli zamknięci w paru okręgach piątej kuryi, ludowcy mogli w najgorszym razie zdobyć pewną ilość mandatów wiejskich, tymczasem stronnictwa chrześcijańskie znajdowały zwolenników w każdej kuryi i grupie wyborców. Do tego przybywały spory wewnętrzne pomiędzy partyami, stojącemi zasadniczo na tym samym gruncie demokracyi chrześcijańskiej. Stronnictwom tym zależało na wyraźnem zaznaczeniu swej wzajemnej odrębności i odmienności tem więcej, że programy ich były nader do siebie zbliżone i jedynie w kwestyach drugorzędnych można było dopatrzeć się nieznacznych różnic. Nie mogąc więc podkreślić rzeczowo swej samodzielności, akcentowano ją przyjętą nazwą i co gorsza działalnością wśród wyborców, zwalczając się nawzajem z wielką usilnością, ku pożytkowi przeciwników a własnej szkodzie.

To też jakkolwiek od dłuższego już czasu tak w sejmie jak w parlamencie zasiadali posłowie reprezentujący demokracyę chrześcijańską, wpływ ich na tok spraw publicznych był minimalny. Lecz sztucznie wywołane spory musiały się kiedyś zakończyć. Mimo całej agitacyi i walk osobistych, zgodność zapatrywań i dążeń tych ludzi, nieraz tak wrogo przeciw sobie występujących, zarysowywała się coraz silniej; siła zasad zwyciężała niechęci osobiste. Znalazłszy się tyle razy w tym samym obozie, codzień poznając się bliżej, mimowolnie zadawano sobie coraz częściej pytanie: Dlaczego i o co właściwie się spieramy?

To powolne stępianie we wspólnej, parlamentarnej pracy ostrych kantów, przywiezionych jeszcze z walk wyborczych, było właściwym zaczątkiem polskiego centrum ludowego. Skoro zniknęły animozye osobiste, gdy zapomniano wzajemnych uraz i niechęci, pozostał tylko cel i programy, a pod tym względem zgodność była zupełna. Najpierw więc w sejmie, podczas ubiegłej sesyi, trzy stronnictwa, stojące na gruncie demokracyi chrześcijańskiej, zlały się w jeden klub sejmowy, a w ślad za tem ukonstytuowała się grupa centrum w wiedeńskiem Kole polskiem. Z końcem ubiegłego roku nie było już żadnych różnic pomiędzy posłami katolicko-narodowymi, chrześcijańsko-ludowymi i katolicko-

ludowymi; skonsolidowanie w obrębie ciał parlamentarnych było uskutecznione.

Pierwszem następstwem tej jedności było zakończenie polemiki pomiędzy pismami ludowemi, reprezentującemi dotąd poszczególne odłamy demokracyi chrześcijańskiej. Pism tych jest siedem, mianowicie: *Gazeta niedzielna, Kuryer dąbrowski, Postęp, Prawda, Wieniec i Pszczółka, Związek chłopski.* Prowadziły one ze sobą nieraz ostrą polemikę, co naturalnie nie odpowiadało bynajmniej celowi prasy ludowej, gdyż prowadziło co najwyżej do osłabienia wpływu jednego z tych prawie identycznych stronnictw na korzyść drugiego t. zn. do przesuwania sił w obrębie demokracyi chrześcijańskiej, gdy przecież należało dążyć do jednania sobie nowych stronników i przeciwdziałać agitacyi klasowej i rozkładowej. Przytem ciągła walka pomiędzy kierunkami bardzo zbliżonymi zniechęcała a często i bałamuciła lud; zachodziła obawa, że czytelnicy z każdej polemiki zapamiętają jedynie zarzuty, tak że po pewnym czasie ta domowa walka podkopie byt wszystkich stronnictw chrześcijańskich. Zmiana pod tym względem była konieczną. Zgoda w prasie ludowej, jednolite jej stanowisko we wszystkich sprawach publicznych i stanowcze zwrócenie się przeciw doktrynom, szerzonym przez socyalistów i ludowców, stały się jednym z najważniejszych czynników dotychczasowego, tak pomyślnego rozwoju polskiego centrum ludowego.

W każdym razie jednak utworzenie klubu centrowego i stanowisko prasy ludowej były to tylko kroki wstępne ku właściwemu zlaniu się trzech chrześcijańskich partyi w jedno stronnictwo. Aż dotąd zgoda rozciągała się tylko na posłów i redaktorów, powstała niejako u góry, nie dotarła jednak do podstaw każdej grupy, do warstw ludowych, stojących za posłami i pismami. Dlatego też na wspólnej konferencyi, odbytej w Krakowie w początkach tego roku, postanowiono ostateczne zakończenie i uzupełnienie tej ewolucyi przez utworzenie z trzech grup już istniejących jednego stronnictwa i w tym celu wybrano komisyę, która miała się zająć ustaleniem programu, opracowaniem zasad organizacyi i sposobów działania.

Pracę tę ukończono w marcu bieżącego roku i od tej chwili

zniknęły już zupełnie różnice między dawniejszemi stronnictwami chrześcijańskiemi, wszystkie bowiem zlały się w jedną całość, w polskiem centrum ludowem. Zjednoczenie to przyjęli wszyscy zwolennicy dotychczasowych stronnictw z żywem zadowoleniem, widząc w niem znaczne wzmocnienie sił i możność łatwiejszego urzeczywistnienia swych pragnień i postulatów, a dotychczasowa działalność centrum dowodzi, że jest to kierunek, który skupia koło siebie najszersze sfery naszego ludu, bo zasady centrum odpowiadają istotnie ich uczuciom i potrzebom.

Przystępując do omówienia programu polskiego centrum ludowego, muszę zaznaczyć przedewszystkiem, że kierują nim dwie przewodnie myśli, t. j. idea praw i potrzeb narodowych i zasady demokracyi chrześcijańskiej. Żadne stronnictwo nie posiada programu więcej narodowego, bo wszystkie ważniejsze nasze postulaty narodowe zajmują w programie centrum naczelne miejsca. Jest to tem ważniejsze i dla przyszłego ukształtowania stosunków politycznych tem donioślejsze, że akcya centrum ludowego rozwija się głównie na wsi i wogóle w sferach ludowych, w których niekiedy uświadomienie narodowe nie jest jeszcze dostateczne. Nie idzie tu bynajmniej o poczucie polskości; istnieje ono wszędzie i z wielką występuje żywością, lecz gdy przychodzi do oceny pewnych spraw konkretnych, nie zawsze znajdziemy dla nich u ludu właściwe zrozumienie. Wytworzyło się to częścią wskutek długoletniego zaniedbywania pracy w tej dziedzinie na szerszą skalę, częścią pod wpływem agitacyi socyalistów, a w ostatnich czasach i ludowców, którzy bądź ze względu na swój program zasadniczo międzynarodowy jak socyaliści, bądź też w celach walki partyjnej jak ludowcy, propagowali hasła z poczuciem i interesem narodowym niezgodne. Nie występowano wprawdzie jawnie przeciw polskości, ale podnosząc błędy i braki dotychczasowej polityki krajowej, zwracano się przeciw autonomii twierdząc, że zapewnia wyłączne i bezwzględne panowanie szlachty a przygnębienie ludu; głoszono, iż sprawiedliwości nie można doprosić się w kraju, chyba tylko w Wiedniu, że lud powinien jednoczyć się między sobą bez względu na różnice narodowościowe, przeciw innym klasom społecznym i t. d. Wskutek tych prądów

zadanie centrum w dziedzinie narodowej jest znacznie donioślejsze, aniżeli tych stronnictw, które pracują głównie w miastach i pomiędzy intelligencyą. W tych warstwach nie było nigdy akcyi, sprowadzającej narodową stronę życia publicznego do rzędu spraw drugorzędnych, obojętnych lub nawet szkodliwych. Idea narodowa była tam przez całe dziesiątki lat jedyną sprężyną działania, a tylko szereg błędów popełnionych przez romantyzm polityczny umożliwił różnym odłamom ugodowym propagandę pewnych tez, z nią niezgodnych, w imię taktyki i oportunizmu politycznego. Wystarcza więc wykazać, że te nowe zasady, postawione również dla narodowego dobra, są błędne, ażeby uchylić wszelki ich wpływ, ażeby przywrócić panowanie idei narodowej wraz ze wszystkiemi odpowiedniemi jej konsekwencyami. Tutaj więc mamy do czynienia z usuwaniem pewnych nieistotnych naleciałości, z pracą nad szczegółami, na wspólnej, istniejącej u wszystkich zasadniczej podstawie.

Zupełnie inne zadanie stoi wobec cetrum ludowego. Obok konieczności zwalczania prądów wprost już nienarodowych, należy jeszcze pewną część ludu wogóle narodowo uświadomić, a nawet w wielu z już uświadomionych wpoić przekonanie, że stanowisko patryotyczne domaga się czegoś więcej, aniżeli tylko trzymania się języka, wiary, tradycyi i nienawiści do wrogów. Centrum musi znaczną ilość swych stronników, a więc wielką część naszego społeczeństwa, tak wykształcić pod względem narodowym, ażeby zrozumieli, że osiągnięcie całego szeregu postulatów politycznych jest nieodzowne dla rozwoju narodowego, że walka o prawa narodowe musi zajmować w naszej działalności politycznej naczelne miejsce, że od zdobycia ich i rozszerzenia zależy w pierwszej linii pomyślny rozwój wszystkich Polaków. A zadanie to jest tem ważniejsze, że lud raz prawdziwie unarodowiony jest już później najodporniejszy, bo tak rządy, jak i jednostki czy społeczeństwa wrogie mają nieraz dość środków, ażeby wynarodowić w pewnej mierze inne klasy, wobec ludu jednak są bezsilne.

Program centrum ludowego zawiera przeto szereg punktów, podkreślających nader silnie narodową cechę jego polityki. Zasadniczo stwierdza, że stoi na gruncie jedności całego polskiego

narodu i praw tak przyrodzonych jak historycznych nam należnych, że więc w swej politycznej akcyi będzie zawsze bronić interesów ogólno-polskich, a zwalczać każdą akcyę antinarodową. W praktycznej polityce centrum zamierza przeprowadzić tę zasadę w ten sposób, że domaga się jak najdalej idącego rozszerzenia autonomii Galicyi, wraz z odpowiedzialnością przed sejmem władz rządowych, urzędowania w języku polskim we wszystkich instytucyach państwowych, w których zachował się jeszcze język niemiecki, unarodowienia nauki szkolnej i wychowania publicznego, wreszcie zapewnienia Polakom należnych im praw narodowych na Śląsku i Bukowinie. Niektóre z tych postulatów są tak naturalne, że nie potrzeba ich bliżej uzasadniać, natomiast muszę poświęcić parę słów wyjaśnienia samej naczelnej zasadzie, jakoteż kwestyi autonomii i szkolnictwa. Centrum uznaje także w polityce praktycznej jedność głównych interesów i potrzeb narodowych wszystkich trzech zaborów, a stanowiąc stronnictwo w obrębie granic monarchii austryacko-węgierskiej, postanawia działać tutaj w tym właśnie duchu. Nie chodzi więc bynajmniej o mięszanie się w sprawy wewnętrzne zaboru rosyjskiego i pruskiego, albo też o oglądanie się na nie przy każdej kwestyi aktualnej, lecz o stwierdzenie, że wszystkie polskie stronnictwa narodowe, gdziekolwiek one działają, muszą liczyć się z warunkami bytu i rozwoju narodu polskiego jako całości. W rzeczywistem życiu w wielu razach można oddziałać na swej ciaśniejszej arenie, przynajmniej pośrednio, na stosunki zakordonowe, np. wpływem swym na politykę zewnętrzną lub stosowaniem ścisłej wzajemności w sprawach wewnętrznych, z drugiej zaś strony można już bezpośrednio, we własnym zakresie działania państwa niedopuścić, ażeby polityka poszła torem, szkodliwym dla reszty społeczeństwa polskiego, np. przez jakieś utrudnienia stosowane do Polaków z innych dzielnic. Jeżeli tego rodzaju stanowisko wydawałoby się komuś niepolitycznem, bo daje rzekomo pozory do akcyi antypolskiej poza granicami Austro-Węgier, to niechaj zwróci uwagę na sposób traktowania przynajmniej przez dwa państwa zaborcze kwestyi polskiej. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że uważa się ją tam za problemat jednolity, t. zn., że w stosunku do Polaków wzgląd

na drugie państwo odgrywa zawsze bardzo wielką rolę — i to na naszą niekorzyść. Negatywnie przeto dla naszych potrzeb sprawa polska jest jedną, błędem politycznym byłoby więc wyrzekanie się możności pozytywnego przeciwdziałania temu kierunkowi drogą legalnego zużytkowywania swego politycznego wpływu w obrębie monarchii.

Sprawę autonomii krajowej można znowu zakwestyonować z dwóch różnych punktów widzenia. Jedni, uznając ją w zasadzie, na razie sprzeciwiają się jej rozszerzeniu tak długo, dopóki nie uchyli się drogą reform ustawowych partyjnych rządów krajowych; inni znowu w miejsce autonomii postawili hasło wyodrębnienia. Centrum idzie w duchu autonomicznym bez względu na chwilowe stosunki polityczne raz dlatego, że w każdym razie uważa przewagę któregokolwiek stronnictwa narodowego za mniej niebezpieczną i łatwiejszą do usunięcia, aniżeli zależność od żywiołów zupełnie obcych, które decydują o postępowaniu centralnego rządu, a powtóre że sądzi, iż właśnie przesunięcie punktu ciężkości naszej polityki z Wiednia do kraju, będzie najskuteczniejszym środkiem usunięcia dzisiejszej hegemonii jednego stronnictwa. Im więcej szerokie warstwy będą zainteresowane działalnością sejmu, tem silniej będą domagać się odpowiedniego udziału w rządach. Jeżeli stało się to już od dłuższego czasu odnośnie do reprezentacyi parlamentarnej, a słabo tylko przejawia się przy wyborach sejmowych, to głównym powodem tej sprzeczności jest fakt, że sejm uważa się za coś drugorzędnego i cały wysiłek skierowuje się na parlament. Im szerszą będzie autonomia, tem więcej przesunie się także i wyborczy punkt ciężkości, obawy przeto uwiecznienia przewagi stronnictw konserwatywnych są płonne. Zarazem centrum przyjęło termin autonomii nie wyodrębnienia, nie chcąc z góry przesądzać form i szczegółów przyszłego rozwoju, tem więcej, że opinia publiczna zgodna w swej olbrzymiej większości co do autonomii, różni się bardzo znacznie w kwestyi usamodzielnienia. W istocie rzeczy, jak dotąd jest to tylko hasłem, którego treści bynajmniej jeszcze nie ustalono. Zgoda na wyodrębnienie lub zwalczanie tej myśli, zależy przedewszystkiem od jego warunków; przeprowadzone dla nas złączy wszyst-

stkich, lecz mało kto je chyba przyjmie w formie, proponowanej np. przez Wszechniemców. Stąd też autonomia, która przecież może także przejawić się w kształcie wyodrębnienia, jest pojęciem w programie właściwszem.

Unarodowienie szkół i wychowania publicznego łączy się najściślej z kwestyą autonomiczną. Nie wchodząc w szczegóły sporu, który w tej dziedzinie toczy się u nas od lat kilku, muszę stwierdzić, że unarodowienie szkolnictwa zależy od wpływu, wywieranego przez nauczycieli, co już jest zawisłe od całego nastroju opinii publicznej — i od programu szkolnego. Wychowanie będzie prawdziwie narodowem, gdy osią nauki będą przedmioty, dotyczące Polski jako całości, a więc język, historya i literatura polska i t. p., gdy równocześnie usunie się, lub przynajmniej bardzo znacznie ścieśni zakres kwestyi specyficznie austryackich i galicyjskich, jako części składowych poprzedzających. Reforma więc nie treści nauki ogólnej, ale uszeregowania poszczególnych przedmiotów, ich celowości w planie szkolnym i wagi, którą się im przyznaje, stanowi programowy punkt dla centrum ludowego.

Narodową częścią programu zająłem się więcej szczegółowo, gdyż nie są wykluczone zarzuty, a nawet pojawiły się już w prasie, że centrum nie jest stronnictwem narodowem, bo stojąc na zasadach chrześcijańskich, mogłoby w danym razie poświęcić interes narodowy dla potrzeb wyznaniowych. Zdaje mi się, że poprzednie wywody dowodzą, jak bezpodstawnem jest podobne twierdzenie. Konstruowanie, szczególniej u nas, przypuszczalnej sprzeczności między ideą narodową a chrześcijańską, może być wynikiem albo złej wiary, albo co jest najczętsze, bezkrytycznego przejęcia zręcznie podsuniętych przez antyreligijny liberalizm haseł. Stronnictwo chrześcijańskie opiera się na ideach etyki chrześcijańskiej, chcąc więc doprowadzić do antagonizmu, należałoby chyba uznać poczucie narodowe za nieetyczne, czyli być największym wrogiem każdego narodowego programu. A jeżeli zasadniczo obie idee są zgodne, to i w praktycznej polityce nie może przyjść między niemi do walki, naturalnie o ile postulaty czy narodowe czy chrześcijańskie są sformułowane odpowiednio do zasad, z któ-

rych się je wysnuwa. Stwierdza to w istocie program centrum najzupełniej.

Drugą podstawową myślą centrowego programu jest demokracya chrześcijańska. Nie potrzebuję tu bliżej omawiać jej treści istotnej, bo rzecz ta znaną jest już dziś powszechnie, poprzestanę więc na przedstawieniu sposobu, w jaki program centrowy myśl tę rozprowadza.

Wiara, narodowość, rodzina i własność indywidualna są, według niego, podwalinami każdego społeczeństwa, które może rozwijać się tylko o tyle, o ile panuje w niem zgoda i harmonia społeczna. Stąd też centrum ludowe uważa za główne swe zadanie utrzymanie tych czynników i zwalcza zasadniczo wszelką organizacyę antynarodową, antyreligijną lub szerzącą walkę klasową. Od razu więc stronnictwo nie tylko staje na stanowisku ogólnospołecznem, lecz wprost potępia wszelką klasowość, bez względu na to, czy chodzi o egoistyczne interesy warstw wyższych czy niższych, ludu czy uprzywilejowanych. Zgoda i harmonia społeczna domagają się przeprowadzenia w życiu publicznem sprawiedliwości społecznej, a więc przyznania i przestrzegania tak praw każdego obywatela, jak i jego obowiązków. Na tem polega prawdziwe zdemokratyzowanie społeczeństwa i z tego punktu widzenia należy też oceniać wszystkie inne zasady programu. Równość praw i obowiązków prowadzi przedewszystkiem do usunięcia braków i krzywd, pozostałych z przeszłości, a ponieważ odczuwają je głównie włościanie, robotnicy i rękodzielnicy, więc centrum zwraca głównie uwagę na ich potrzeby. Nie stanowi to bynajmniej uprzywilejowania, ani nie nadaje stronnictwu cechy klasowej, gdyż nie przyznaje się tym warstwom żadnego wyjątkowego stanowiska. Po prostu chodzi o naprawienie zaniedbań, więc o sprawiedliwość, a skoro do tego raz się dojdzie, otoczy się równomierną opieką wszystkie części społeczeństwa. Dlatego obok postulatów o reformę ustawy łowieckiej i drogowej lub poparcia zdrowej parcelacyi w interesie rolników, obok domagania się ubezpieczenia na starość robotników i wprowadzenia ustawowej ochrony rękodzielnictwa przed konkurencyą wielkich przedsiębiorstw, znajdujemy w programie żądanie usunięcia systemu

bezpłatnych urzędników i wydatnej poprawy bytu nauczycieli ludowych — bo dzisiejsze stosunki we wszystkich tych kierunkach grzeszą niesprawiedliwością. Z tego samego tytułu program uznaje nietykalność ogniska domowego i praw rodzicielskich w wychowywaniu dzieci, jako też własność osobistą, dopuszczając co do niej jednak konieczność pewnych reform ze względu na dobro ogółu. Zastrzeżenie to, które mogłoby wzbudzić pewne wątpliwości, jest zupełnie uzasadnione. Własność prywatna opiera się dziś jeszcze zasadniczo na bezwzględnej, skrajnie egoistycznej doktrynie rzymskiej, jako *ius utendi et abutendi,* bez oglądania się na drugich. Społeczeństwa chrześcijańskie tak daleko iść nie mogą, bo niepodobna przyznać prywatnemu prawa jednostki mocy absolutnie bezwzględnej. Uznając zasadę miłości bliźniego, musimy dobru ogółu dać przewagę nad dowolnością indywidualną, a więc musimy mieć prawo nałożenia jej pewnych więzów, ażeby nie stała się zbyt szkodliwą dla drugich. Nie chodzi tu bynajmniej o osłabienie samej istoty prawa własności, lecz o ewentualne modyfikacye w jego wykonywaniu, co zresztą od dawna już przejęły wszystkie nowsze ustawodawstwa. Ogół t. zw. praw sąsiedzkich, prawo wywłaszczenia pod kolej lub ulicę i t. p., są powszechnie znane i przyjęte formy ograniczenia własności, nie sądzę więc, ażeby można coś racyonalnego zarzucić np. zakazowi zamiany ziemi ornej na park lub zwierzyniec w kraju o niewystarczającej produkcyi rolnej, albo, jak u nas, położenia w ten sposób tamy niszczenia lasów i t. p. Wreszcie program uznaje powszechny obowiązek pracowania i równorzędną użyteczność pracy fizycznej i umysłowej, domagając się dla obu odpowiedniej zapłaty i przyznając im charakter głównego miernika uprawnień do pożytków z organizacyi społecznej dla poszczególnych jednostek.

W zasadniczej części programu znajduje się jeszcze ustęp, odnoszący się do praw Kościoła katolickiego i duchowieństwa, przy którym muszę się cokolwiek dłużej zatrzymać, gdyż powinien on rozwiać najzupełniej wszelkie obawy klerykalizmu, które już pojawiały się tu i owdzie. Stwierdza on najpierw prawo Kościoła katolickiego do wolności »w nauczaniu, działaniu moralnem i społecznem, tudzież w urządzeniu swem wewnętrznem«, a uzna-

jąc posłannictwo duchowieństwa w zakresie kościelno-religijnym, uważa je w pracy obywatelskiej za stan równorzędny i równouprawniony z innymi. Jest to niewątpliwie jednym z objawów naszego indywidualizmu, że sfery intelligencyi niczego może nie obawiają się tak bardzo, jak zarzutu klerykalizmu. Nie jest to bynajmniej jakieś pojęcie sprecyzowane, ściśle określone, lecz straszak tem groźniejszy, że dość nieuchwytny. Trudnoby było zestawić wszystkie wyobrażenia o klerykalizmie, bo każdy go sobie wystawia odmiennie, każdy jednak broni się przed nim, jakby przed ostatnim wyrazem zacofania i nieskazitelności. Oczywistą jest rzeczą, że pewne sfery skorzystały z tego dla swych partyjnych celów. Nie chcąc, ażeby rozwijały się stronnictwa chrześcijańskie, a szczególniej pragnąc powstrzymać intelligencyę od przystępowania do nich, wyzyskały te mgliste obawy i po prostu propagowały opinię, że każda partya chrześcijańska jest zarazem klerykalną. Wobec niejasnego wyobrażenia o klerykalizmie metoda ta okazała się skuteczną; znaczna część intelligencyi stroni od stronnictw chrześcijańskich nie dla różnicy zasad lecz nie chcąc uchodzić za klerykalną.

Wielki już czas, ażeby położyć kres tej robocie. Za granicą przejrzano ją już od dawna i dzisiaj mimo znacznie silniejszej propagandy liberalnej nikt ze stojących na gruncie chrześcijańskim nie boi się klerykalizmu ani w Niemczech, ani w Belgii lub Holandyi, ani nawet w Wiedniu. U nas byłoby tak samo, gdybyśmy raz wreszcie zdali sobie dokładnie sprawę z tego, co właściwie klerykalizmem nazywamy. Przecież nie chcemy wyrzekać się czy nawet potępiać idei chrześcijańskich, jeżeli więc klerykalizm jest tak wstrętnym i szkodliwym, to musi mieć treść zupełnie inną. W istocie klerykalizm w swem pojęciu jest to oddanie panowania duchowieństwu nad całą resztą ludności. Naturalnie na taki system nikt zgodzić się nie może, gdyż stanowiłby on powrót do jakiejś średniowiecznej stanowości, tylko w gorszej edycyi. Stronnictwa chrześcijańskie są właśnie najbardziej przeciwne tego rodzaju dążeniom, bo nic dla nich nie może być szkodliwszego niż dopuszczenie choćby tylko myśli podobnej hegemonii jednego stanu. W interesie własnego bytu zwalczają one całą siłą

tego rodzaju tendencye, które musiałyby im odebrać zwolenników we wszystkich warstwach społecznych i zszeregować przeciw nim wszystkich w obronie równouprawnienia obywatelskiego. To też rzut oka na stan i rozwój wszystkich stronnictw chrześcijańskich dowodzi, że w żadnem duchowieństwie nie zajęło, ani nie próbowało nawet zająć dominującego stanowiska, że wszędzie szli na czele i kierowali całą akcyą ludzie świeccy. Centrum ludowe również tej samej trzyma się zasady. Duchowieństwu nie przyznaje się w życiu publicznem żadnych przywilejów; uznając jego rolę w zakresie kościelnym, stawia się je we wszystkich innych dziedzinach na równi z jakimkolwiek innym stanem.

Jeżeli jednak zabezpieczenie się przed zarzutem klerykalizmu miałoby polegać na tem, że księdzu nie przyznawałoby się tych praw, które przysługują innym obywatelom, to centrum jest klerykalne, bo wyraźnie proklamuje równouprawnienie stanu duchownego. Liberalizm antykościelny potrafił już do tego stopnia ujarzmić umysły, że szczerzy nawet zwolennicy swobód obywatelskich i prawdziwi demokraci godzą się, a nieraz nawet sami przedstawiają projekty obalające równość obywatelską lub ścieśniające swobodę działania duchowieństwa. Nie czują nawet jak sprzeniewierzają się swym zasadom, bo tu chodzi o księży tak bardzo niebezpiecznych. Przykład tego mieliśmy w tych dniach w parlamencie austryackim z t. zw. paragrafem kaznodziejskim, a nie jest to objaw oderwany lecz zupełnie zwyczajny. Dzieje się to ze strachu przed klerykalizmem, o ile tych obaw nie wyzyskuje się świadomie w partyjnych celach. Duchowieństwo, powiadają, dąży do wszechwładzy, dla wszystkich niebezpiecznej, trzeba więc mu przeszkodzić. A przeszkodą będzie ustanowienie wyjątkowych praw, specyalnych, stanowych więzów. W ten sposób powstają ustawy niby ochronne przed klerykalizmem, w gruncie rzeczy antydemokratyczne i nieetyczne, bo opierające się na przypuszczeniu, że osoby, należące do jednego stanu społecznego dążą solidarnie do naruszenia praw warstw innych. Nikomu nie przyjdzie na myśl wprowadzenia specyalnego ustawodawstwa dla zabezpieczenia się przed opanowaniem życia publicznego np. przez adwokatów, sędziów lub robotników czy wielkich finansistów,

a uważa się to za dopuszczalne w stosunku do księży. Dlatego program centrum musiał wyraźnie stwierdzić, że duchowieństwo jest stanem równorzędnym i równouprawnionym; nie należy mu się nic więcej od innych, ale nie wolno także w niczem ukrócać jego praw obywatelskich.

Zasady przedstawione poprzednio mają znaczenie ogólne, tworzą stałą i niezmienną podstawę polskiego centrum ludowego. Ten sam charakter posiada postulat, umieszczony na czele programu społecznego, ażeby ustawodawstwo, a zwłaszcza prawo cywilne, opierało się na zasadach etyki chrześcijańskiej, żądanie posiadające poważne znaczenie praktyczne, gdyż szczególniej w prawie majątkowem dziś jeszcze panują egoistyczno-indywidualistyczne poglądy rzymskie. Reszta programu odnosi się już do spraw praktycznych, bądź uregulowanych szczegółowemi ustawami, bądź też dotąd spornych czy zaniedbanych. Postulaty te są z natury swej chwilowe i zmienne, gdyż stają się bezprzedmiotowe, skoro przeprowadzi się reformę w ich duchu, przyszłość zaś może przynieść potrzeby nowe, obecnie jeszcze nieznane, które zajmą miejsce dawniejszych, już zaspokojonych. Część tych żądań jest tak naturalna i ogólnie uznana, że wystarczy tylko je zaznaczyć, innym natomiast należy poświęcić kilka słów wyjaśnienia. Do pierwszej grupy należą żądania, idąc kolejno w porządku programu, usunięcia bezpłatnego używania sił urzędniczych i sprawiedliwej ich zapłaty, wydatnej poprawy bytu nauczycieli ludowych, opieki nad emigracyą, poparcie zdrowej parcelacyi a przeciwdziałanie spekulacyjnej, przymusowego ubezpieczenia od pożarów, reformy ksiąg gruntowych, ustawy łowieckiej, drogowej i konkurencyjnej, dalszego rozwoju robotniczego ustawodawstwa, ograniczenia pracy nocnej, wreszcie ustawowej ochrony rękodzieł i zapewnienia im udziału w dostawach publicznych. Na te postulaty godzą się w zasadzie wszystkie odcienia polityczne, a różnica zdań odnosi się jedynie do zakresu reform, tak że dopiero na gruncie konkretnych projektów ustawodawczych możnaby bliżej omawiać te sprawy.

W dziedzinie ściśle politycznej domaga się centrum ludowe powszechnego głosowania, reformy administracyi w duchu samo-

rządnym, połączenia obszarów dworskich z gminami, rozszerzenia wolności prasy, stowarzyszeń i zgromadzeń, jakoteż uchylenia wszelkiej samowoli organów publicznych. Reformy te mają być przeprowadzone w sposób ubezpieczający nasze narodowe interesy i chroniący przed terroryzmem lub nadużywaniem swobód obywatelskich dla osobistej czy partyjnej samowoli. Ogół tych żądań jest konieczną konsekwencyą idei sprawiedliwości, demokratycznej i narodowej. Centrum, potępiając wszelkie stanowisko klasowe, musi domagać się przyznania równomiernych praw politycznych wszystkim obywatelom; nie przesądzając przeto kwestyi równości i pluralności, trzyma się stanowczo zasady głosowania powszechnego. System kuryalny musi w swych konsekwencyach doprowadzić do przedziału pomiędzy poszczególnemi warstwami społecznemi, choćby nawet pod względem ilości przyznanych mandatów był jak najsprawiedliwszy. Przynależność do kuryi wyborczej wyrabia z czasem poczucie i jak to u nas się stało, antagonizmy stanowe szkodliwe dla ogółu. Gdy jakąś kuryę opanuje jeden kierunek polityczny, w innych identyfikuje się już ogół tam uprawnionych z tą właśnie partyą i agitacya zwraca się nie przeciw poglądom politycznym, lecz przeciw całej warstwie społecznej. Naturalnym odruchem prowadzi to do zszeregowania tych zwalczanych w jednym obozie, choćby wielu z nich nie podzielało dominujących tam zapatrywań; wracamy więc do politycznej solidarności stanów, a więc i waśni a nawet nienawiści stanowych. To rozbicie społeczeństwa na klasy przynosi ogółowi nieobliczalne szkody, utrudnia sferom wykształceńszym pracę u dołu, a warstwom ludowym wyzbycie się uprzedzeń i poznanie rzeczywistych dążeń klas zamożniejszych. System kuryalny jest więc konstrukcyą prawno-publiczną, jakby stworzoną dla poparcia i szerzenia wszelkiej walki klasowej i waśni społecznej — chcąc skutecznie jej przeciwdziałać musi się stanąć na gruncie powszechnego głosowania, musi się przyznać każdemu obywatelowi prawo oddziaływania na tok spraw publicznych, kiedy na każdego nakłada się obowiązki na rzecz społeczeństwa.

Rozdzielenie gmin i obszarów dworskich wywołało te same skutki lokalne, które zawdzięczamy kuryom w życiu ogólno-kra-

jowem. Z jednej strony wytworzono w ten sposób sztuczną różnicę w obrębie tego samego zawodu, uchylono, przynajmniej pozornie, identyczność interesów gospodarczych wielkiego i małego rolnika, z drugiej zaś pokrzywdzono drobnych gospodarzy, nakładając na nich ciężary podatkowe gminne, od których jest wolny większy właściciel. Ta kreacya austryackiej biurokracyi czasów ubiegłych, hołdującej zasadzie *divide et impera*, ten przywilej przyznany jedynie Galicyi i Bukowinie był darem, który pod względem narodowym, społecznym i kulturalnym przyniósł nam bardzo wielkie szkody. Nasz ustrój gminny a przedewszystkiem jego funkcyonowanie pozostawiają bardzo wiele do życzenia, na to godzą się wszyscy. Głównymi, jeżeli nie jedynymi powodami tego smutnego stanu jest brak na wsi dostatecznej liczby osób, uzdolnionych do odpowiedniego pełnienia funkcyi administracyjno-gospodarczych i szczupłość materyalnych środków, którymi gmina może rozporządzać. I jakby dla spotęgowania jeszcze tych niedostatków tworzy się obszary dworskie, usuwając ze związku gminnego pewną liczbę ludzi wykształconych i ścieśniając bardzo znacznie podatkową zdolność gminy. Rezultat praktyczny jest świetny: Zarząd gminy chroma ciągle, a o administracyę obszarów dworskich wogóle nikt się nie troszczy. Wobec tego połączenie gmin i obszarów musi być jednym z najważniejszych i najpilniejszych postulatów naszej polityki krajowej.

Reforma dualizmu administracyjnego jest konieczną tak ze względów praktycznych jak zasadniczych w konsekwencyi autonomicznego naszego stanowiska. System dzisiejszy zawsze bardzo wątpliwej wartości, przeżył się już zupełnie i utrudnia jedynie odpowiednie funkcyonowanie władz publicznych. Naturalnie, że zmiana musiałaby nastąpić w duchu autonomicznym, inaczej bowiem niepodobnaby się zgodzić na jakiekolwiek ukrócenie uprawnień samorządu, dającego pewną gwarancyę narodową, której nie posiadamy odnośnie do czynników rządowych. Z tą sprawą łączy się dość ściśle żądanie poskromienia i uchylenia wszelkich niewłaściwości w postępowaniu organów państwowych. Nie tyle chodzi tu o nadużycia w ścisłem tego słowa znaczeniu, jak raczej o odpowiednie określenie ich roli w stosunku do ludności. Mimo

wszystko dziś jeszcze zdarzają się jednostki, ktore urząd swój pojmują jako cel sam w sobie, a w zetknięciu z publicznością mimowolnie może wywołują wrażenie, jakoby ludność była dla urzędu, a nie odwrotnie. Ponieważ takie postępowanie dostrzega się najczęściej w stosunku do warstw ludowych, więc prócz wszystkich innych braków, utrudnia to jeszcze nader skutecznie szerzenie postulatów narodowych. Niepodobna zaprzeczyć, że w bardzo licznych kołach dążenie do autonomii nie spotyka odpowiedniego poparcia tylko dlatego, że niema tam dostatecznego zaufania do bezstronności, skrupulatności i poczucia obowiązków naszych organów publicznych. Opinia ta generalizuje wprawdzie zdarzenia wyjątkowe i zastosowana do ogółu jest niewątpliwie mylna, lecz nie należy zapominać, że doskonały nawet urzędnik spełnia jedynie swe obowiązki i nikt nie widzi nic nadzwyczajnego w jego postępowaniu, natomiast każde wykroczenie i nadużycie wywołuje niechęć i oburzenie, które szerzą się i uogólniają bardzo szybko. Stąd też nie tylko w interesie dobrej administracyi lecz w ogólnonarodowym i osobistym samych urzędników leży bezwzględne poskramianie tego rodzaju objawów.

W żadnej może dziedzinie ustawowo zagwarantowana dowolność władzy nie występuje tak jaskrawo, jak w kwestyi prasy, stowarzyszeń i zgromadzeń. Reforma w duchu nowożytnym jest tu wskazana tem bardziej, że interes rządu nie zawsze jest zgodny z potrzebami społeczeństwa i władza w miarę swych dążeń chwilowych, ułatwia korzystanie z tych praw jednym, a utrudnia drugim. Żądamy stanowczo ochrony przed terroryzmem, z którejkolwiek pojawiłby on się strony, równego prawa dla wszystkich, a niekiedy nie tylko tej równości i ochrony niema, nie tylko na naruszanie obcej wolności obywatelskiej patrzy się przez palce, lecz nawet współdziała się przytem, przynajmniej pośrednio. Dowodem tego było tolerowanie, a nawet pomoc dla przeprowadzenia powszechnego bezrobocia w dniu wniesienia reformy wyborczej. Obojętną jest rzeczą, czy ta manifestacya była wskazaną i użyteczną i skąd ona wyszła, faktem jest jednak, że idąc na rękę ówczesnemu gabinetowi, skorzystała z bardzo wydatnej opieki rządowej. Wszelkie przeto zakreślenia zbyt szerokich granic

swobodnemu uznaniu władzy jest bardzo obosieczne, chodzi więc o ścisłe oznaczenie praw obywatelskich w tym kierunku, o wolność jak najszerszą, lecz równą dla wszystkich, tak przyjemnych jak i nieprzyjemnych powiewowi panującemu na razie u góry.

Poważne miejsce w programie zajmują żądania, odnoszące się do reformy ciężarów publicznych. Jakkolwiek ustawa z r. 1896 wprowadziła w austryacki system podatkowy szereg zmian nader dodatnich, daleko mu przecież do tego, ażeby choć w przybliżeniu odpowiadał zasadom sprawiedliwości ekonomicznej. Dziś jeszcze nakłada się podatki przedewszystkiem na tych, których władza podatkowa może ująć najłatwiej i najpewniej, istnieje dalej niewątpliwe przeciążenie warstw mniej zamożnych, przy stosunkowem uprzywilejowaniu klas bogatszych. Najwybitniej występuje tu tendencya przy t. zw. podatkach realnych, głównie gruntowym i domowym, jakoteż przy podatkach i monopolach nałożonych na środki żywności, w pierwszej zaś linii na sól i mięso. Podatek gruntowy niejako z ustawy już obciąża wyżej mniejszą własność niż większą, gdyż przy oznaczeniu czystego dochodu katastralnego na koszta uprawy odciąga się przeciętną wartość pracy w danej okolicy, nie troszcząc się o to, że drobny rolnik pracuje na swej ziemi bez porównania pilniej i więcej; podatek domowo-klasowy obciąża mieszkalne budynki wiejskie właściwie po raz drugi, bo stanowią one przecież niezbędną część gospodarstwa, od którego pobrano już podatek gruntowy. Monopol solny wyśrubował nadzwyczaj wysoko ceny soli, a podatek od mięsa wybiera się od poszczególnych sztuk bydła, wskutek czego jest on tem cięższy, im hodowla stoi niżej. Wszystko to byłoby może jeszcze znośne, gdyby nie dodatki samorządu. Wprowadzają one zupełną niepewność co do wysokości ciężarów publicznych i ogromne różnice nie tylko pomiędzy rozmaitymi krajami koronnymi, ale nawet pomiędzy sąsiedniemi gminami. Trzy korony podatku domowo-klasowego od prymitywnej chałupy nie stanowiłyby jeszcze nadmiernego ciężaru, lecz gdy do tego doliczy się dodatki krajowe, powiatowe, drogowe, szkolne i gminne, wypadnie zapłacić w jednej miejscowości conajmniej 6—8, w innej może 10 lub 15 kor. Żądamy polepszenia naszych stosunków hygienicznych i sanitar-

nych, a tymczasem podatek domowy, wzrastający w miarę ilości izb mieszkalnych, skłania ludność uboższą do poprzestawania na najmniejszem; pragnęlibyśmy, aby lud nasz odżywiał się lepiej, a najważniejsze pożywienie mięsne jest opodatkowane w najniewłaściwszy sposób; chcemy, aby gmina spełniała istotnie swe zadanie, a zaspokojenie każdej potrzeby wypada okupić nałożeniem dodatków, tem większych i uciążliwszych im mieszkańcy są ubożsi. Reforma przeto systemu podatkowego jest niezbędną nie tylko w interesie jednostek lecz i ogółu, tak ze względów ekonomicznych, jak i narodowo-społecznych. Przedewszystkiem więc wypada dążyć do uchylenia podatku domowo-klasowego, przynajmniej w tych wypadkach, gdy dom jest składową częścią gospodarstwa już opodatkowanego w inny sposób, jakoteż do zniesienia podatku od mięsa, zarazem należy obniżyć inne podatki bezpośrednie, wyrównać pomiędzy sobą ich wysokość, co odnosi się szczególniej do podatku czynszowego, wkońcu zniżyć znacznie ceny soli. Powtóre państwo musi się zdecydować na oddanie związkom samorządnym — krajom, powiatom i gminom — dochodów z podatków rzeczowych, jak to zrobiono już w Prusiech, gdyż ciała autonomiczne spełniają funkcye państwowe i muszą w tym celu rozporządzać odpowiednimi środkami. W ten sposób dojdzie do zniesienia dodatków do podatków, a więc do istotnej równomierności podatkowej.

Naturalnie że żądając tak znacznych ulg finansowych dla ludności, program centrum musiał się liczyć z potrzebami publicznemi i wskazać na źródła, z których pokrytoby ubytek spowodowany reformą. Zródła te istnieją i wyzyskano już je za granicą. Mianowicie stopa podatku dochodowego przy wysokich dochodach może być wyższa niż dzisiaj, a podobną progresyę należałoby zastosować do wielkich spadków, prócz tego zaś domaga się centrum, znowu na wzór pruski, wprowadzenia ogólnego podatku majątkowego, począwszy od pewnej wysokości majątku. Wydajność finansowa takich reform jest, jak uczy doświadczenie, bardzo znaczna, a słuszność ich niewątpliwa, gdyż podatki spożywcze, które stanowią główną część dochodów podatkowych, obciążają w wyższym stopniu warstwy mniej zamożne. Zastoso-

wanie silniejszej progresyi i opodatkowanie większych majątków nie byłoby przeto pokrzywdzeniem bogatszych, lecz tylko istotnem przeprowadzeniem równomierności podatkowej. Zresztą jako zewnętrzny dowód, że tak jest w istocie, może posłużyć fakt, że tego samego domaga się Roosevelt w Stanach Zjednoczonych, w klasycznym kraju indywidualizmu ekonomicznego i olbrzymich fortun.

Dla drobnych rolników centrum ludowe żąda, prócz poprzednio wymienionych już rzeczy, wprowadzenia zawodowych związków rolniczych i ułatwienia drogą konwersyi spłaty długów hipotecznych. Sprawa zawodowej organizacyi rolniczej, jakkolwiek uchwalono odpowiednią ustawę ramową, nie posunęła się u nas naprzód, głównie z powodu opozycyi towarzystw rolniczych. Nie mogę się tu wdawać w rzeczową ocenę argumentów, które przytaczano przeciw ustawowym związkom całego rolnictwa, zaznaczam jedynie, że nawet w sferach wybitnie konserwatywnych znajdują się gorący zwolennicy przymusowej organizacyi zawodowej. Prócz całego szeregu względów ekonomicznych przemawiają za nią także doniosłe czynniki społeczne. Naszym towarzystwom rolniczym zarzucają zbyt wyłączne liczenie się z potrzebami wielkiej własności, zanadto małą pieczę o interesy drobnego rolnictwa. Znaczna część tych zarzutów jest przesadna i niesłuszna, lecz w pewnych wypadkach krytyka jest niewątpliwie uzasadniona, a w każdym razie nie zniknie ona tak długo, dopóki nie zdemokratyzuje się ustrój tych instytucyi. Bądź co bądź towarzystwa rolnicze są organizacyą zawodową prawie wyłącznie większych tylko właścicieli i chociażby w całości oddały się na usługi małego rolnictwa, pozostanie zawsze jeden ciężki zarzut, że o potrzebach drobnych posiadaczy decyduje się bez tych, którzy najbardziej są interesowani.

Sprawa oddłużenia drobnych posiadłości wiejskich, traktowana do niedawna jako niewykonalna mrzonka, dzisiaj stała się już w wielu krajach kwestyą polityki aktualnej, a u nas ma tem większe znaczenie, że wskutek parcelacyi długi hipoteczne rosną stale i szybko, a znane dążenie do nabycia ziemi sprawia, że włościanie gotowi zaciągać pożyczkę na procent bardzo wygórowany.

Dziesiątki i setki małomiejskich towarzystw zaliczkowych i drobnych banków operuje w tych sferach z wielkiem powodzeniem i czasami w taki sposób, że najwyższy trybunał w jednym wypadku dopatrzył się już występku lichwy i zastosował do dyrekcyi odnośne przepisy karne. Ponieważ powszechnie uznaną jest rzeczą, że mały rolnik jest dłużnikiem bardzo pewnym i słownym, więc zamiana jego ciężarów na niżej oprocentowany kredyt z instytucyi publicznych, np. znaczne powiększenie odnośnych agend banku krajowego, nie nasuwałaby żadnych wątpliwości. Finansowy rezultat byłby bardzo doniosły, gdyż średnie obniżenie choćby o 1% tylko — a przy wysokich procentach dzisiejszych można zyskać o wiele więcej — zaoszczędziłoby drobnym rolnikom co najmniej 3 miliony koron rocznie, t. zn. znacznie więcej, niż opłacają podatku domowo-klasowego.

W sprawach robotniczych żądania reformy kontraktu o pracę i ochrony pracy wykonywanej w domu (t. zw. *Heimarbeit*) są zupełnie jasne. Ustawodawstwo nowożytne uznaje, że umowa między pracodawcą a robotnikiem nie może być traktowaną według ogólnych przepisów prawa obligatoryjnego, bo sprzedaż pracy jest zarazem przyznaniem drugiej stronie pewnego władztwa nad osobą robotnika. Scisłe określenie tych uprawnień, nie wychodzące poza granice niezbędnej konieczności, jest zadaniem ustawy, która nie może pozwolić, ażeby obchodzono przepisy, ustanowione w interesie ogółu drogą t. zw. dobrowolnej umowy, przy której szukający pracy zmuszony jest brakiem środków do życia zgodzić się na wszystko. Szczególniej regulamin dla służby wymaga zmian, bo istnieje od pół wieku i chyba odpowiada nie istniejącym już od dawna stosunkom patryarchalnym. Zarazem należy raz położyć koniec unicestwianiu ustawodawstwa ochronnego i przymusu ubezpieczenia przez rozszerzanie pracy wykonywanej w domu. W tym wypadku pozostaje się robotnikiem, pracującym akordowo na rachunek przedsiębiorcy lub magazynu handlowego, ale formalnie jest się samoistnym gospodarzem, bo pracuje się u siebie v domu. Praktyczny rezultat tego systemu jest jasny. Samodzielny rzemieślnik może pracować kiedy i jak długo mu się podoba, w dowolnej, choćby najniezdrowszej pracowni, niema obowiązku ubez-

pieczać się ani od choroby, ani od wypadku. Że jest on w istocie robotnikiem, to rzecz jego, według prawa należy do przedsiębiorców, którzy sami mogą skutecznie los swój zabezpieczyć. Innemi słowy, robotnika pozbawia się w ten sposób wszelkich korzyści ustawodawstwa ochronnego, nie dając mu nic w zamian, niepodobna więc nadal tolerować podobnych stosunków.

Wkońcu domaga się centrum reformy zawodowych stowarzyszeń rękodzielniczych w kierunku ochrony ludności chrześcijańskiej. Rozchodzi się tu o cechy, wznowione przed ćwierćwiekiem, jednakże na zasadach zupełnie odmiennych od dawniejszych związków rzemieślniczych. Dzisiaj cech opiera się na zasadzie zawodowej, niezupełnie przeprowadzonej, gdyż wolno jest łączyć rozmaite gałęzie w jedno stowarzyszenie, gdy niema w każdej z nich dostatecznej liczby rzemieślników — i terytoryalnej, bo w każdym powiecie politycznym tworzy się dla każdego zawodu lub grupy ich osobne stowarzyszenie. Wskutek tego zerwano z dawnym chrześcijańskim charakterem cechów, co w znacznym stopniu wywołało także bezowocność i bezpłodność dzisiejszych organizacyi, a było tem bardziej niesprawiedliwem, że dawne cechy, mimo ich formalnego zniesienia, utrzymały się i nadal i posiadały swe tradycye i swój majątek. To też centrum ludowe żąda, ażeby ustawę zmieniono w tym duchu, iżby chrześcijańscy rękodzielnicy mogli utworzyć swe własne cechy i w takim razie nie musieli już należeć do stowarzyszeń terytoryalnych.

Tak się przedstawia w zarysie program polskiego centrum ludowego. W przedstawieniu jego treści pominąłem lub tylko mimochodem wspomniałem o wszystkich tych sprawach, które są albo wspólnymi postulatami wszystkich naszych stronnictw, albo też nie potrzebują żadnego wyjaśnienia i uzasadnienia. Natomiast zatrzymałem się dłużej przy żądaniach nie podniesionych przez inne partye lub dających pole do nieporozumień. Starałem się przytem uwypuklić przewodnie myśli programu, ażeby można było tem łatwiej wyrobić sobie o nim zdanie. Obecnie pragnę jeszcze w kilku zdaniach podać na podstawie poprzednich wywodów ogólną charakterystykę omawianego stronnictwa. Poczynając od określenia

negatywnego, w polityce nieraz najważniejszego, stwierdzam, że polskie centrum ludowe nie jest ani radykalne, ani klasowe, ani klerykalne. W całym programie nie znajduje się żadne żądanie, któreby nie odpowiadało racyonalnemu postępowi, nie licząc się z przeszłością i rzeczywistością w doktrynerski sposób chciało burzyć a nie budować, w któremby dla zjednania sobie jednych warstw zapominano o społeczeństwie jako całości. Nie myślano ani o wyłącznych interesach stanowych, ani nie chciano jednej warstwie zapewnić przewagi — wszędzie dominującym motywem były prawa wszystkich i dobro ogółu. To też pozytywnie można zdefiniować centrum jako stronnictwo chrześcijańskie, narodowe, demokratyczne i umiarkowane. Postulaty programowe opierają się na etyce chrześcijańskiej i sprawiedliwości, są naturalną konsekwencyą zasady równouprawnienia wszystkich obywateli, jako też przyrodzonych i historycznych praw narodowych. Stronnictwo jest umiarkowane, bo uznając konieczność harmonii społecznej pragnie wszystkie warstwy skupić w pracy publicznej, a zarazem jest wybitnie ludowem, gdyż nie poprzestając na przyznaniu od dzisiaj ludowi pełni praw i pełnej ochrony jego potrzeb, uważa za pierwsze swe zadanie naprawę wszystkiego, co w przeszłości w stosunku do ludu zepsuto i zaniedbano.

Nie tu jest miejsce, ażeby omawiać dotychczasową pozytywną działalność centrum, nie mogę jednak pominąć jednej uwagi. Cała, bardzo obszerna praca wiecowa dowodzi, że nowy ten kierunek znajduje wszędzie warunki nader pomyślne, że znaczna większość ludności zalicza się do jego szeregów. Nie jest to wynikiem jakiejś nadmiernej energii lub agitacyi; i owszem, dałoby się zrobić znacznie więcej, gdyby centrum rozporządzało choć w przybliżeniu takimi zasobami, jakie mają na swe usługi inne stronnictwa. I właśnie to, iż małymi środkami osiągnięto tak znaczne rezultaty, że ze strony radykalnej pojawił się już apel do całej prasy o solidarne zwalczanie niebezpieczeństwa »klerykalizmu« jest dowodem, że to powodzenie ma znacznie głębsze przyczyny od chwilowej agitacyi lub przemijającego nastroju ludności. A przyczyną tą jest zgodność zasadniczych idei polskiego

centrum ludowego z istotą polskiej opinii publicznej. Mimo wszystko byliśmy i jesteśmy społeczeństwem patryotycznem, chrześcijańskiem, demokratycznem i umiarkowanem, stąd też tylko stronnictwa na tych opierające się zasadach trwałe mogą u nas zapuścić korzenie.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

CHATA MADEJA[1].

Idzie już Witek przez trzy dni
Idzie przez wsi, las i pole
U chłopów sypia w stodole
Wstaje gdy się dzień rozwidni,
Kładzie się z wieczorną zorzą
I znów idzie przez dzień cały.
Czasem chłopi go podwożą,
Czasem w deszcze lub upały
Idzie a idzie piechotą.
Skrzypeczki mu się przydały:
Co chwila na nich przygrywa
I rusza dalej z ochotą
Przeszedł świata kawał spory
A drogi mu wciąż ubywa.

Wreszcie wszedł w okrutne bory.
Tam, wśród wilgotnej pomroki,
Korzenie, jako potwory,
W kłąb się wiją poplątany;
Czarne sosny sklep wysoki
Dźwigają niby kolumny;

[1] Z obszernej opowieści poetycznej o legendarnym Madeju wyjmujemy niniejszy ustęp. Opowieść pojawi się w druku, w następnym miesiącu, nakładem księgarni Friedleina. *Redakcya.*

Po konarach, jak w organy
Gra i huczy wicher szumny.
Czasem słońca promyk wązki
Padnie na liście paproci
Na malinę u gałązki
Lub wodę w źródle ozłoci...

A Witek idzie wesoły,
Po drodze poziomek szuka;
Posłyszał: w boru coś puka —
To w drzewo kują dzięcioły.
Idzie, jak nie gra to śpiewa;
Stanął, patrzy, jak wiewiórka
Pędzi na wierzchołek drzewa
I w gęstwinie daje nurka.
Dalej znowu idąc borem
Widział jak się pasły sarny
Pośród zielonej polany.

Ale, gdy późnym wieczorem
Bór straszny się stał i czarny,
Witek zgłodniały, znękany
Wtulił się pomiędzy chrusty
Bo poczuł, że go lęk bierze.
Napróżno zbladłemi usty
Próbował szeptać pacierze:
Bał się ciemnej nocy w lesie.
A nuż dzikie przyjdzie zwierzę!
I o piekle i o biesie
Przypomniał sobie z obawą.

Wtem ognia światło czerwone
Poprzez pnie się doń przekrada.
Na nogi zerwał się żwawo
I szedł ciągle w ognia stronę.
Ujrzał chałupę zapadłą.

Z okienka świetlaną smugą
W bór płynęła jasność złota...
Począł biedz i niezadługo
Zapukał w spruchniałe wrota.

— »Kto się tam po nocy burzy?«
Pyta głos jakiś chropawy
I słychać miauczenie kota.
— »Wędrowiec prosi w podróży
O nocleg i łyżkę strawy«,
Odrzekł Witek drżącym głosem.
Drzwi otwarły się i w progu
Stanęła wychudła baba
Z obwisłym ku brodzie nosem.
Wspierała się na ożogu
Pokurczona, chwiejna, słaba
I patrzyła nań ukosem.
— »Wnijdź!« Wpuściła go starucha
— »Niechaj będzie pochwalony!...«
Baba nie rzekła: na wieki!
Jakby zgoła była głucha.
Wkońcu pyta: »Skąd w te strony
I gdzie idziesz?« — »W świat daleki,
Do piekła!« — »Patrzcie mi zucha!
Do piekła?! To kawał drogi!«
I stara w uśmiechu szczerzy
Zęby czarne: — »Są pierogi,
Naści! siednij do wieczerzy!«
Witek za stół, pod okienko
Siadł jeść. Baba u komina
Skulona, wzrokiem go mierzy,
Brodę sobie wsparła ręką
I tak po chwili zaczyna:
— »Hej, dobryś widno chłopczyna,
Jedz, a zmykaj cichusienko
Bo, gdybyś wiedział u kogo

Wypadła tobie gościna
Milszaby ci była knieja
I niedźwiedź z paszczęką srogą!«
— »Cóż mi tutaj stać się może?«
— »Jesteś u zbójcy Madeja
Co nie oszczędza nikogo,
Zjedz i uciekaj nieboże!«
Pobladł Witek, a tymczasem
Stąpanie słychać na dworze,
Ktoś do drzwi tłucze z hałasem
— »To ja! Otwieraj, do licha!!«
Stara jeszcze w samą porę
Witka na przypiecek wpycha
I odsuwa w drzwiach zaworę.

Lucyan Rydel.

NAJNOWSZA POWIEŚC ROSYJSKA.

(Dokończenie).

Rosya współczesna bywa codziennie widownią czynów, dających prawo mniemać, że u ogółu zaćmiły się pojęcia tego, co moralne lub niemoralne. Jeden pop staje na czele stutysięcznej watahy, symulując szlachetne uczucia, choć serce ma puste, a głowę pełną tartufowskich wykrętów, inny pop, czczony jakoby świętość, pogrąża się w odmęcie bluźnierczych i bałwochwalczych misteryów; jeden sędzia zabija swym wyrokiem oficera marynarki za to, że ośmielił się uwielbić ideał wolności, inny usprawiedliwia dostojników, choć wszyscy wiedzą, że krew im ręce broczy; jeden pedagog głosi, że za lat parę nie będzie w szkołach mowy o religii, gdyż to, co ksiądz prawi, jest przeżytkiem, inny celem wykorzenienia złych nałogów u dziewcząt, wykłada bardzo szczegółowo w pensyonatach anatomię, fizyologię i sposób rozmnażania się człowieka [1].

A cóż mówić o kupcach i rzemieślnikach, o przemysłowcach i rzeszy robotniczej, o całej olbrzymiej gromadzie, krzątającej się wyłącznie koło materyalnego dorobku, a nie zajętej rozdawnictwem darów duchowych. Tłumy te już skutkiem swych zabiegów, skutkiem rodzaju pracy i materyału jej, ulegają łatwiej zwyrodnieniu na punkcie ideałów, aczkolwiek kształcą swój spryt, wie-

[1] Ob. artykuł: »Uświadamianie młodzieży szkolnej«. *Słowo Warszawskie* z 13 sierpnia 1906 r.

dzę fachową, zdolność przystosowania się, poczucie własnej wartości i siły.

Do tych studyów psychologicznych nad człowiekiem współczesnym zaliczyłbym u Andrejewa trzy powieści: »W oknie«, napisaną w 1899 r., »Powieść o Sergiuszu Piotrowiczu« w 1900 r. i »Dolę Wasyla Fiwejskiego« w r. 1903. Pierwsza bardzo przypomina Czechowa: »Człowieka w futerale«. Drobny urzędniczyna wszystkie wolne od biura chwile spędza w oknie, rozmyślając nad życiem ludzkiem. Są w nim dwie istoty: jedna niewolnicza, drżąca przed panem radcą, bezimienna i pokorna; druga rysująca własny świat wyobraźni, w którym tworzy punkt środkowy (I, 193). Ale strach napełnia serce jego, gdy pomyśli, że mógłby zostać bogatym i możnym. Teraz on tak spokojny i bezpieczny, jak gdyby leżał na mulistem dnie głębiny morskiej, a ciemnozielona masa wód oddzielała go od roztoczy i jej wichrów. Przy bogactwie i władzy stałby na rozległej równi. Co za strach! Różni się on tem od postaci następnych, że siedząc u okna i spoglądając na życie, lecz nie biorąc w niem bezpośredniego udziału, rozważa wciąż i krytycznie ocenia, skarżąc się boleśnie i gorzko, że życie takie złe, takie niezrozumiałe, że bywa bez widocznego celu straszne, że tak powleczone nudą i nudę w sercu budzące. Bał się go, bał się utraty własnych marnych wygód, sterał się i pozostała mu tylko pamięć tych chwil, kiedy mógł sobie inny los wykuć.

Druga powieść analizuje postać wielbiciela Nietsche'go, studenta nauk przyrodniczych. Ubogi, brzydki, dręczył się myślą, że taki mierny, aż przeczytał »Tako rzecze Zaratustra«. Odtąd zrozumiał, że jest nadczłowiekiem. Odtąd atoli w marzeniach i myślach jego silnie uwydatniła się dwoistość. Religia i moralność nie istniały dlań. Miast gorącej i czynnej wiary czuł w sobie jakiś wstrętny kłębek, w którym nawyknienie do praktyk wikłało się z tanimi zabobonami. Nie miał odwagi wyznawać ateizmu, a nie miał mocy wierzyć w Boga. Nie kochał ludzi i nigdy nie doznał szczęścia, jakiego dostarcza trud dla ludzi i śmierć za nich. Ani mógł wznieść się tak wysoko, ani upaść tak nizko, żeby zdobyć władzę nad życiem i światem, — w pierwszym razie tworząc ustawy, w dru-

gim gardząc obowiązkami. Czytał, że ludzie kradną — i myślał: jabym nie mógł. Na ulicy spotykał takich, którzy webrnęli na samo dno gehenny ludzkiej — i mówił: jabym nie mógł. Czasem słyszał o bohaterach, co w imię idei lub miłości na śmierć szli — i powtarzał: jabym nie zdołał!

Zazdrościł grzesznym i czystym, a gdy mu wszystko zbrzydło — uczył się słów Zaratustry: Nie szczęści ci się w życiu, robak jadowity żre ci serce? Wiedz, że nie zawiedzie śmierć. A jednak on miał prawo do szczęścia. Buntował się tedy przeciw naturze, która prawa tego nie spełniła; przeciw ludziom, którzy dobijają okaleczałego od natury. Życie wydało mu się wązką klatką o gęstych i grubych żelaznych prętach i jedynem wyjściu. Skoro nie można zwyciężyć — umrzeć! Więc się otruł.

Osobnik to odmienny od poprzedniego: grają w nim aspiracye artystyczne, większa bujność i młodość. Podstaw etycznych brak, siły mierne, a dążenia górne. Życie połamało mu skrzydła i runął. Nie żal marnego Ikara, bo on raczej podobniejszy do gromady pełzaczy. Daleko potężniej wzbił się trzeci i najmłodszy z tej kategoryi Wasyl Fiwejski. Niepospolite to dzieło ukazuje duszę, zapadającą w mroki zwątpień zwolna, ale coraz głębiej, podobnie, jak bezdennie grzązki młak pochłania człowieka zrazu po pas, wnet po ramiona i z głową. Pastwą niedoli staje się pop, co zwiększa okropność. Wszak już nasz Słowacki w Anhellim chcąc dowieść ogromu nędzy i cierpienia, zeznał, że w katordze Sybiru ksiądz zapomniał wyrazów pacierza i ołowiem się otruł — on, którego posłannictwem było innych uczyć pacierza... Jakże biedne byłoby społeczeństwo, w któremby się znalazło wielu takich Wasylów!

Ale przypatrzmy się szczegółowiej jego życiu.

Zawisła nad nim tajemna, ciężka niedola. Ze złowrogim i podstępnym rozmysłem raziły go klęski. Padał i dźwigał się, budując cierpliwie jak mrówka grudka za grudką mrowisko swe przy gościńcu życia. W siódmym roku małżeństwa utonął mu ukochany synek Wasia. Żona z rozpaczy rozpiła się. Ludzie zaczęli go lekceważyć, nawet gardzić. Następne dziecię okazało się — idyotą, a popadia prawie szalała ze zgryzoty. Wtedy wskutek

rozmyślań pop zwolna się przeistaczał, zwłaszcza w chwilach gorliwej pracy w konfesyonale. Dotąd w jego mniemaniu istniała drobna ziemia, a na niej żył ogromny pop Wasyl z ogromnym bólem i ogromnemi wątpliwościami, inni jakby nie istnieli. Teraz ziemia rozrosła się i zaludniła się ludźmi, podobnymi do popa Wasyla. On dotąd czuł się gonnem drzewem w polu, aż oto koło niego wyrósł gęsty bezbrzeżny bór. Znikło osamotnienie, ale równocześnie skryło się słońce i nieprzejrzanym stał się mrok nocy. Pop wówczas chciwie badał ludzi. Godzinami przy spowiedzi zanurzał sondę w najtajniejsze kryjówki dusz — i przekonał się, że choć mówią prawdę, to jednak znają własne malutkie prawdy, a jednej wielkiej nawet nie przeczuwają. Nikt nie umiał słowami określić prawdy o Bogu, o tajemniczej doli ludzkiego bytu. Pop odczuwał ją — jako rozpacz i lęk nieuświadomiony, jak żal, gniew i nadzieję...

Nadszedł wielki post. Dzwony biły, ludziska wlekli się do spowiedzi, a u każdego biedy i niedoli było tyle, że starczyłoby na dziesięć istnień ludzkich. Teraz pop dławił się olbrzymią prawdą boleści. Przywołał do siebie nędzę — nędza przyszła. Dusza popa płonęła, jakby na ołtarzu ofiarnym — i każdego przychodnia radby ujął w braterskie objęcia, pocieszając: biedny bracie, walczmy razem, płaczmy i szukajmy prawdy razem! W wielką środę moc ludzi było do spowiedzi. Ostatni przystąpił Tryfon, ohydny, kaleki włóczęga, plugawy, bez nóg, wstrętny, podobny do bydlęcia, wylęgłego w kale i śmieciach. Taka też była i dusza. Pod koniec spowiedzi wyznał, iż przed laty dziesięciu pohańbił w lesie dziewczynkę, dał jej trzy kopiejki, a że mu się żal zrobiło groszy, udusił ją i zakopał. Przez dziesięć lat opowiadał on dziesięciu spowiednikom tę historyę: nie wierzyli mu, śmiali się, że z pijana wymyślił bajkę, a on ze złością klął się, wzywając równie często szatana, jak Boga...

Teraz także czatował: da wiarę czy nie da? — I rad był, że pop uwierzył: żachnął się, zbladł, wzniósł rękę, jak do ciosu. — Prawda to? — spytał głucho.

— Na Boga klnę się, że prawda, niechaj trupem padnę...

— Toż to piekło — krzyknął pop — rozumiesz, piekło! Gdybyś był robakiem, zadusiłbym cię, aleś ty człowiek! Człowiek

czy robak? Ktoś ty, mów! Gdzie twój Bóg? Czemu On cię opuścił?

— Uwierzył — pomyślał radośnie nędznik, czując, że słowa popa oblewają go jak ukropem.

Wtem pop przykucnął i namiętnie zaszeptał:

— Słuchaj! Nie bój się. Nie będzie piekła. Mówię napewno. Ja sam zabiłem człowieka — dziewczynkę. Nie będzie piekła. Pójdziesz do nieba. Rozumiesz? Ze świętymi, ze sprawiedliwymi — najwyżej. Ja ci to zapowiadam!...

Słowa te oznaczają głęboką bruzdę w religijnych przekonaniach popa. Ciosy niedoli, jakoby cięcia ostrego rylca, drążą niezłomną opokę jego duszy. Niedługo potem spłonął dom, na śmierć poparzyła się i umarła pijana popadia, a gdy konała w mękach srogich — pop Wasyl »w ogniu i śmierci odczuł nieodgadnioną blizkość Boga«. Padł na klęczki, całował proch ziemi i w ekstazie wołał: Nie! nie! Wierzę. Tyś sprawiedliwy! Ja wierzę! (II, 156).

I ażeby pogodzić swą wiarę i swe pojęcie o Bogu z niedolą, która go ścigała, wyobraził, że on wybrany do jakiegoś bohaterskiego dzieła, że na nim spoczęło szczególne umiłowanie Boże. W tem mniemaniu zaczął się modłami bez końca sposobić do dzieła. Przez całe dni i noce w cerkwi i domu odprawiał nabożeństwa. Wtedy atoli powstała wieść o nowej wierze, wypełzła z mrocznych szczelin i o setkę mil szerzyła się wieść o nowej wierze. A pop Wasyl dniami i nocami w cerkwi i w domu modlił się i odprawiał nabożeństwa...

Nastał wreszcie dzień próby. Ziemia zasypała sługę cerkiewnego starosty, który przypisał to czarom popa. Przejęty do głębi tem posądzeniem, w czasie modłów pogrzebowych pop uczuł w sobie jakieś potężne, nowe wrzenie, które go ogarnęło, jak ogarnia płomień stos smolistego łuczywa. »Wrzenie wszechwładne, nad życiem i śmiercią możne, górom rozkazujące: z drogi! i wielkie, groźne góry ustępują!

Pop w ogromnem poczuciu swej potęgi zbliża się do czarnego grobu, wznosi prawicę i woła do rozkładającego się trupa:

— Rozkazuję ci, wstań!

Na to wybucha w cerkwi panika, lud w popłochu zmyka

prócz paru osób. Pop wzywa po raz drugi i trzeci, coraz potężniej. W przerażeniu uchodzi reszta obecnych. Pop schyla się, szuka śladów życia, ujmuje rękami ostre brzegi trumny, prawie dotyka sinych ust trupa, tchnie w nie dech życia, a smrodliwem obmierzłem tchnieniem odpowiada mu niepokojone truchło. Wtedy źrenice popa zapalają się chłodnym, migotliwym żarem, żylaste ciało napełnia się poczuciem wnętrznej, żelaznej krzepkości; kryje wzrok pod kamiennym łukiem brwi i spokojnie pyta: — Chcesz mnie oszukać?

A gdy i na to jedyną odpowiedzią milczenie, wówczas burzy się.

— Czemuż wierzyłem? Czemu dałeś mi miłość ku ludziom i litość? Czemu całe me życie uczyniłeś niewolą i ciemnicą? Ani myśli niepodległej, ani uczucia, ani westchnienia! Wszystko Tobą, wszystko dla Ciebie!...

Potem potworna scena szału, miotania się na trupa, walka z dyakonem i zapamiętały pęd w dal, aż padł martwy na drodze o trzy wiorsty od wsi, obliczem w szary proch. Leżące ciało jeszcze świadczyło o rzutkości rozpędu: białe martwe ręce wywarły się naprzód, noga podwinięta pod ciało, druga w starym zdartym bucie z dziurą na podeszwie, odrzucona w tył prosto i z impetem, jakby martwy jeszcze chciał biedz...

Przerażający to obraz istoty, startej na miazgę przez jakąś żywiołową moc. Pochód popa Wasyla do zguby wraz z tokiem powieści przybiera rozmach coraz większy, owłada czytelnika jakaś halucynacya i musi użyć siły woli, by się oswobodzić od wizyjnych prześladowań. Cień nad światem staje się przeogromny, a życie złem nieznośnem. Dola ludzka łańcuchem nędzy, rozpaczy, wahań i niepewności. Bieg życia niczem innem, jeno wiekuistą przemianą zła. Przeto szatan panuje, a ludzkie wiary i nadzieje — tylko ułudą?

»Sny lekkie, sny płoche nas bawią,
które się nam w przyszłości nigdy nie wyjawią«

rzecby można z dolegliwie ranionym stratą Urszuli Kochanowskim.

Ale to pierwsze wrażenie utworu Andrejewa.

Ochłonąwszy nieco i opanowawszy je, skłonni jesteśmy głę-

boko ubolewać nad chrześcijańskiem społeczeństwem, którego kapłan dał się unieść i pogrążyć potwornym wirom malstromu. W niemiernej tej ludzkiej istocie egoizm, zuchwała buta chwastem wspaniałym wybujały. Nie masz w niej prometeizmu: i jeśli Konrad mickiewiczowski Boga wyzywa, to dlatego, żeby naród uszczęśliwić, jeżeli »Twardowski« Staffa niebu tajemnicę szczęścia chce wydrzeć, to żeby go ludziom udzielić, — ten zaś sobą zajęty, nad własnemi ranami łzy rozczulenia leje. Małym ten człowiek nie jest, ale złym jest; nie wart innego losu.

Jako typowy przedstawiciel postaci indywidualistycznych Andrejewa, znamionuje bankructwo tego artystycznego typu prawie w równej mierze, jak Falk Przybyszewskiego lub Borowski Berenta.

IV.

Znane w teoryi nowej sztuki i dość przez artystów, jako materyał twórczości cenione rozdwojenie osobowości. U nas Przybyszewski wyjaśniał je w studyach *Zur Psychologie des Individuums* I—II.

Poza zewnętrznem kołem doświadczeń tai się w głębi ducha sfera, do której docierają tylko nieliczne wrażenia, zresztą istnieje ona za obrębem t. zw. świadomości. A gdy niekiedy jakieś wrażenie przeniknie na dno tej sfery, wówczas stamtąd wypływają na powierzchnię siły, które rodzą, obce normalnemu człowiekowi popędy, nieulegle kierowniczej władzy rozumu. Czynność tego jądra duszy, które Przybyszewski figuralnie nazwał *eine nackte Individualität*, a które nasza krytyka jeszcze gorzej nazwała: »nagą duszą«, ujawnia się najczęściej w okresie chorobliwym, wśród halucynacyi, spowodowanych alkoholem, w półsennych majaczeniach, pod wpływem silnych uniesień zmysłowych...

Andrejew lubi malować właśnie takie stany, lubi — jakby Słowacki powiedział — »kwilącą serca dyssekcyę«. Widoczne to już z powieści, poświęconych analizie postaci. Ale dopiero w tych utworach, które mają za cel odtworzenie jednego momentu, jednego znamiennego rysu, widnieje to upodobanie, zaznacza się też wybitnie talent pisarski Andrejewa. I tu są dzieła nierównej wartości: mniejszej — »W ciemną dal«, »Na rzece«, »Aniołek«,

»Wala«, »Piotruś na willegiaturze«, »Widma«; niepospolitej: »Zyli — byli«, »Złodziej«, »Otchłań«, »W tumanie«.

Krytyka rosyjska, przechwalając wszystkie utwory Andrejewa w czambuł, widzi i w tych, które wymieniłem, jako mniejszej ceny, — niepomiernie wiele zalet. Rzecz prosta: jeżeli się w urywkach dziecinnej psychologii (»Aniołek«, »Wala«, »Piotruś« — wszystkie z r. 1899) widzi symbole człowieczeństwa, to co innego; ale zdaniem mojem, ani obrazek zwyrodniałego dziecka, które mimo zwyrodnienia zachwyca się choinkową figurką aniołka, ani obrazek dziecka, skazanego na poniewierkę ciężkiej pracy, a rozkwitającego na tle łąk i pól, ani trzeci obrazek dziecka, pieszczonego czule przez dobrą »nieprawdziwą« matkę, a przemocą oddanego oschłej »prawdziwej«, nie muszą drapować się w łudzącą blaskami szatę symbolizmu; i bez tego można je zaliczyć do lśniących talentem artystycznych — drobiazgów.

Zasługują zaś na bliższe rozpoznanie cztery powieści z datą bliższą, kiedy dar twórczy Andrejewa okrzepł i udoskonaliła się forma: »Żyli — byli« napisał poeta w 1901 r., »Otchłań« w 1902 r., w tym samym »W tumanie«, a »Złodziej« w 1905 roku.

Pierwsza powieść przenosi nas do kliniki moskiewskiego uniwersytetu i zaznajamia z trzema chorymi. Nad dwoma wisi miecz nieuchronnej prędkiej śmierci. Głównym jest tu bogaty kupiec z Saratowa — posępny, milczący, oburkliwy, zły.

Nie wierzył w Boga, nie pragnął życia, nie bał się śmierci. Wiek swój strwonił bez celu i pożytku. Za młodu kradł, łapali go i bez litości tłukli — więc nienawidził. W średnim wieku dusił swym kapitałem hołyszów — więc go nienawidzili. Przyszła starość i choroba, zaczęli go okradać — on zaś chwytał i bez litości bił. Tak minęło życie, które tchnęło gorzką krzywdą ludzką. To też nie mógł pojąć żeby komu mogło stać się ono miłe i niecierpiał swych sąsiadów z prawa i lewa. Jeden dyakon — w ostatniem stadyum suchot — wesoły, rozmowny, każdemu rad był sprawić przyjemność. Sam marzył o swym sadzie, o jabłoni »biała oliwka«, śpiewał z przejęciem hymny do Bogarodzicy. Drugi młody student, marzący wciąż o narzeczonej, która go codziennie nawiedzała. Ponieważ dyakon łudził się, że wyzdrowieje, przeto kupiec

zapewnił go, iż mu tylko tydzień życia zostaje. Czuł rozkosz, gdy o tem przekonywał dyakona.

Tejże nocy około drugiej dały się słyszeć tłumione łkania. Płakał pod kołdrą ukryty dyakon. Kupiec dźwignął się, zbliżył się doń i dopytywał, czemu płacze? Strach mu śmierci? Nie. Więc czemu?

— Ach, ojcze, ojcze! Słońca żal. Gdybyś wiedział, jak ono u nas i świeci i grzeje!

Wtedy kupiec przypomniał sobie potok gorącego światła, który codzień wlewał się do okien i złocił podłogę, przypomniał, jak słało słonko smugi drgające a świetliste na Wołgę, na bór, na dróżkę polną: — i strzepnął rękami, uderzył się w piersi, padł z płaczem na poduszkę obok głowy dyakona. Płakali gorzko, że nie ujrzą słońca, jabłoni, »białej oliwki«, że mrok ich ogarnie, że życie takie miłe, a śmierć okrutna. Obaj ci skazańcy na rychły zgon miłują życie: i ten, co nie wierzy w nic, i ten, co do Matki Bożej się modli. Wspólność niedoli brata ich, ale nam ten koniec jeszcze mówi, że dyakon chyba małej wiary i lichego męstwa człowiek. Jest i w nim i w kupcu to rozdwojenie osobowości, bo w twardej duszy kupca na dnie spoczywa głębokie przywiązanie do życia, starte doświadczeniami. Podobny wybuch z pod zewnętrznego pokostu innej jaźni przedstawia powieść p. t. »Złodziej«. Złodziej Jurasow, świeżo skradłszy portmonetkę, jechał koleją. Wobec ludzi miał się za równego im i pragnął od nich względów; spotykał zaś tajoną, często jawną niechęć. Widzą w nim coś zdradliwego a nieuchwytnego — i to właśnie napawa go głuchą trwogą. Przyroda wydaje mu się takąż. Dusza złodzieja, choć szczuje go własne sumienie, rwie się do życia, pragnie cel jego pojąć, dąży do zbratania się z ludźmi. Ale współcześnie jakiś nieukojony lęk przed światem trapi go. Czuje się winnym, choć nieodpowiedzialnym za swe winy i jak kradł w podnieceniu bez istotnej potrzeby, tak ginie rzucając się pod koła kuryerskiego pociągu, w podnieceniu, choć nie wiadomo, czy go za ostatnią kradzież rzeczywiście ścigano i szukano. Ten Jurasow, — to instynktowiec, potroszę artysta. Owłada nim tęsknica, poddaje się jej, jego czynna i bujna wyobraźnia roi mary nieistniejące, ożywia

przyrodę, poddaje się łatwo wrażeniom chwili. Pomiędzy tem, co czyni codzień, sondując cudze kieszenie, a tem, co czyni wkońcu, kiedy od męki własnej duszy szuka schrony w śmierci — przepaść duża. Jurasow, złodziej kieszonkowy — i Jurasow *furiis agitatus Orestes* — dwaj niesłychanie różni ludzie. I niema co mówić: Andrejew zadziwiająco misternie zniósł przegrody i przepaści między tymi osobnikami.

W powieści »W tumanie« ze skrajnym naturalizmem i brawurą odmalowany rozdźwięk między ojcem a synem w nowoczesnej rodzinie. Dzięki temu, że ojciec tylko powierzchownie zajmuje się synem, że podobnie, jak ów ojciec w scenie 7 »Wyzwolenia«, chciałby, aby syn za j e g o tylko szedł myślą i słowem, syn nabywa wstrętnej i brzydkiej choroby, niema zaufania do ojca i nie zwierza mu się, nie ocala się przez czystą miłość, gdyż ta się zjawia zapóźno, brnie coraz głębiej, pije i kończy zamordowaniem kobiety i samobójstwem w lupanarze. Straszna końcowa scena mordu, dokonanego w stadyum niepoczytalności, wykazuje z przerażającą plastyką ten kres poniżenia, do jakiego osunąć się zdolna dusza, niegdyś czysta — a zarazem i to, że tkwiące w niej atomy szlachetnej czułości żyją i w zbrukaniu ostatecznem. Tę właśnie dwoistość z największą precyzyą odtwarza Andrejew w powieści »Otchłań«.

Student Niemowiecki poszedł na przechadzkę za miasto z uczenicą gimnazyum. Kochali się pierwszą, czystą miłością. Ponieważ słońce chyliło się ku zachodowi, wracali spiesznie ku miastu. Po drodze spotykali dużo podejrzanych kobiet i mężczyzn. W lesie na polance koło pustej butelki leżało trzech »bosiaków« — a trzeba było koniecznie przejść koło nich ścieżynką. Jeden z łotrów napadł Niemowieckiego, stoczył z nim walkę; wszyscy trzej rzucili go w omdleniu na dno dołu, potem ją dopędzili i z kolei dokonywali nad nią plugawego gwałtu.

A kiedy Niemowiecki odzyskał świadomość, zrazu myślał, że to okropny sen, potem w rozszaleniu szukał i wzywał jej, a wkońcu odnalazłszy chłodne ciało w głębokim bezwładzie pogrążone, cucił, wołał wszystkimi jękami rozpaczy, bezsilności, mi-

łosnej żądzy, aż nareszcie, objęty jakimś zwierzęcym popędem, uczynił ją pastwą sprosnej chuci. Otchłań go pożarła.

Niemowiecki — człowiek dobry, zdolny do porywów ponad codzienną banalność. Ale pomimo tego moralnie przeciętny. Dusza jego odzwierciedla skupienie wpływów rodziny, szkoły i życia — wpływów lichego gatunku, nie hartujących charakteru. Gdy stanął wobec próby, która potrzebowała moralnego wyrobienia i hartu, natychmiast górę wzięły uśpione, lecz nieopanowywane popędy. Mógł jednakże wynik tragicznej sytuacyi nie być tak ohydny. W pewnem moskiewskiem piśmie *(Kuryer)* sam rzekomy bohater opowieści student Niemowiecki podawał do publicznej wiadomości, iż końcowy obrót akcyi był odmienny. Ujrzawszy ukochaną w tak wstrętnej postaci, zetknąwszy się z tak okropnem i pełnem ohydy splugawieniem, uczuł niezwalczony wstręt i nawet nie okazując pomocy, uciekł, rzuciwszy ją na ofiarę ponurych i ciemnych mroków leśnych... Wynik ten o tyle różny, że u Andrejewa, gdzie budzi się zwierz, tam otwiera się otchłań: rzecz jest postawiona stanowczej i ostrzej.

Ale Andrejew nie lubi zgoła wszelkiej pośredniości a lubuje się w tem, co niezwykłe — i skrajne. Cała jego psychologia człowieka dąży do wyśledzenia i zobrazowania stanów, nieujętych żadnem rozumowaniem, żadną kalkulacyą. Jednakże przyznać trzeba, że w sposobie obrazowania tych stanów jest pazur lwi. Misternie i wysoce artystycznie zwłaszcza przeprowadza Andrejew stopniowanie nastrojów, mających doprowadzić do końcowego czynu, który zjawia się, jako rezultat i ostateczne ogniwo łańcucha przyczynowego. Misterność zaś polega na takiem uwzględnieniu postępowości i rozwoju tych stanów, że ani luk i przeskoków, ani białych nici w zszywaniu faz psychologicznych czytelnik nie dostrzega: odbywa się zazwyczaj owo spadanie osobnika po równi pochyłej obłędu w sposób naturalny, że on sam nawet nie dostrzega pogrążania się duszy w przepaść. Starałem się, mówiąc o powieści »Życie Wasyla Fiwejskiego« — nie pominąć tych stopni; są one wyraźne i w powieści ostatniej. Ta zgubna przemoc, która Niemowieckiego strąciła w otchłań, nie była taką potężną od początku; ilekroć żądza ślepa i zwierzęca szczerzyła brzydkie

oblicze, zjawiały się przegrody, działające coraz słabiej w miarę słabnącego oporu. Oto np. jeden moment i jeden ze stopni walki. Niemowiecki i jego ukochana szli i gawędzili, ale ich myśli zajęte były wrażeniem chwilowego uścisku rąk. Z jakąś ostrą nienasyconą rozkoszą wciąż wracał w myśli widok wązkiej smugi białych spodniczek i wytwornej nóżki, — aż nareszcie zdołał bezwiednym wysiłkiem woli stłumić myśl o nim. Wtedy dusza mu poweselała, sercu stało się w piersi przestrono, zachciało się pieśń jaką zanucić, ręce wyciągnąć do nieba i zawołać: niech pani biegnie, będziemy się ścigali! A od tych chęci łzami wezbrały powieki«. W tym momencie pomiędzy otchłanią a nim stanęła tama, która prysła później — pod koniec. I jeżeli się w sądzie uogólniającym cokolwiek posuniemy, trzeba będzie smutne wysnuć refleksye o tych moralnych przegrodach, jakie dzielą spółczesną młodzież od przepaści. W wiekuistej walce ciała i ducha, instynktów i woli, uczuć i rozumu, wątły opór pryska pod naporem silniejszej podniety. Czy i o ile winna tu propaganda zdziczenia, szerzona przez naturalistyczną literaturę?

Trzeba wiedzieć, że część swej popularności zawdzięcza Andrejew dwom dziełom w 1902 r. napisanym: »Otchłań« i »W tumanie«, a mianowicie znacznej dozie pikanteryi i zmysłowości, nasycającej obrazy tych dzieł. Wywiązała się w krytyce polemika: jedni ganili jaskrawość scen, nazywając je pornograficznemi, drudzy bronili — a stąd rosła sława. Aby poprzeć własne zdanie, przytaczam w dosłownym przekładzie końcową scenę drugiej z wymienionych powieści — scenę zabicia dziewczyny przez Pawła.

— Kasia zeskoczyła z łóżka i tocząc się a trzęsąc grubym, włochatym karkiem, poczęła zadzierać mu kurtkę.

— *Won, won!*

— *Słysz ty, czorcie!* — wrzasnął ze złością Paweł. — Wtedy zerwała się nagle dzika scena: pijana kobieta, czerwona z gniewu, rzuciła kurtkę i z rozmachem trzasnęła Pawła w pysk. Ten porwał ją za koszulę, rozdarł i oboje kłębkiem stoczyli się na podłogę. Obalając stołki i wlokąc za sobą kołdrę tarzali się niby jakiś dziwny zrośnięty stwór o czworgu rąk i nóg, wściekle zczepieni, dusząc się nawzajem. Ostre pazury orały policzki Pawła i grzęzły się w oczy; przez sekundę widział nad sobą oszalałe z pasyi

lico, dzikie gały czerwone jak krew; z całej siły dusił czyjąś krtań. Następnej sekundy oderwał się od kobiety i stanął.

— Psie — warknął, ocierając krwawą twarz. A do drzwi dobijał się ktoś i wył: Otwórzcie, dyabły przeklęte!

Lecz kobieta znowu z tyłu napadła na Pawła, obaliła go — i znowu zakotłowali się w milczeniu po ziemi, dusząc się, tracąc dech od wściekłości. Wstali, padli i znów wstali. Paweł grzmotnął kobietę na stół, aż pod jej ciężkiem cielskiem na druzgi zgniótł się talerz, a obok ręki Pawła dźwięknął długi nóż, oblepiony miękiszem chleba. Lewą ręką ujął go i bokiem gdzieś z wysiłkiem wsunął. Cienkie ostrze wygięło się. Sunął nóż powtóre, a ręce kobiety drgnęły i zmiękły od razu niby ścierka. Oczy jej wylazły z orbit i zawyła w twarz Pawła ochryple i przejmująco wciąż jedną nutą, jak zarzynane zwierzę.

— A — a — a — a!

— Milcz — syczał Paweł i wraził nóż jeszcze raz i jeszcze raz. Za każdym ciosem kobieta skakała niby pajac na nitce, za każdym ciosem szerzej otwierały się usta, a śród białych zębów perliły się bańki krwawej piany. Ucichła już, lecz Paweł wciąż słyszał jej przenikliwe, okropne wycie i syczał:

— Milcz!

Przełożył nóż z lewej ręki do prawej, mokrej i ślizkiej — i uderzył z góry raz i drugi raz:

— Milcz!

Truchło ociężale osunęło się ze stołu i głucho stuknęło włochatym karkiem. Paweł nagiął się i spojrzał: wzdęty brzuch sterczał, więc Paweł wetknął weń nóż. Potem wyprostował się i z nożem w ręku cały krwią omazany jak rzeźnik z rozdartą w bójce wargą skierował się do drzwi. Z niepokojem czekał krzyku, zgiełku, szalonej wrzawy, gniewu, pomsty — więc uderzyła go dziwna cisza. Ani dźwięku, ani westchnienia, ani szelestu. W zegarze chwiało się wahadło — bez szmeru; z ostrza noża spływały na ziemię gęste krople krwi, a nie słychać było kapania. Jakby nagle zamarły wszystkie dźwięki i wszystkie żywe głosy świata. Coś tajemniczego i coś straszliwego działo się z drzwiami. W milczeniu wzdymały się, jak brzuch tylko co przekłuty, drgały w milczącej agonii

i opadały; znowu wzdymały się i opadały ze śmiertelnem drganiem, a za każdym razem ciemna szczelina u góry rozchylała się złowieszczo. Niewysłowiona groza tchnęła z tego niemego i złowrogiego nacisku, groza i potężna siła, jak gdyby cały obcy, niepojęty i zły świat parł się w cienkie drzwi. Paweł z pośpiechem ale nie bez skupienia zrzucił z piersi lepkie łachmany koszuli i żgnął się nożem w bok naprost serca.

Kilka sekund stał prosto, wlepiając wielkie błyszczące źrenice we drzwi nadymane kurczowo. Wnet zgiął się, przysiadł na pięty i runął... (II, 102) Niezawodnie cechuje opis tej sceny plastyka i siła brutalna. Wyobraźnia autora z uporem i jasnością ściga każdy drobny szczegółik, każdy dźwięk, każdy ruch, każdą zmianę położenia; spółcześnie wczuwa się w mózg i nerwy osób działających, uświadamia i odtwarza w ledwie dostrzegalnych liniach kwilenie ich duszy; spółcześnie pamięta o wywodach psychologicznych ogólnych, jakieby wysnuł obserwator-krytyk. Wraz z oddaniem Andrejewowi tego *suum cuique*, trzeba jednak stwierdzić, że obraz taki — to propaganda zdziczenia. Niech tam sobie obrońcy poety utrzymują, iż jest on wyższym nad zarzuty tego rodzaju i że jego powieści mają doniosłe wychowawcze znaczenie. My temu wiary nie dajemy. Ohydne takie opisy nigdy i na nikogo umoralniająco nie oddziałały. Plugawią one wyobraźnię, wstrząsają nerwy, napełniają niepokojem i przerażeniem duszę, uczą dzikości i powodują ogrubienie wszystkich szlachetnych popędów ludzkich. Jeżeli o pięknem artystycznem malowidle życia da się ze starożytnym pisarzem orzec, że *mollit mores nec sinit esse feros*, to o takiem da się powiedzieć, że wrodzoną człowiekowi dzikość potęguje.

Leonid Andrejew jest najmłodszym z rosyjskich nowelistów, cieszących się głośną sławą w Europie; jest niezawodnie najwięcej europejskim, gdyż w jego duszy znalazły siedzibę prądy, jakie zasiała filozofia pesymizmu oraz indywidualizmu, w jego talencie znalazły wyraz formy, wyrobione przez naturalizm. Rosyjskiego życia poznawać wyłącznie z dzieł tego pisarza nie należy. Prądy atoli europejskie uległy u Andrejewa przeobrażeniu; ludzie utworów jego mają znamiona rasy słowiańskiej, aczkolwiek życie tych

jednostek napiętnowane niedolą świata: one nie przyznają się do narodowości żadnej. Jak się ukształtuje w swej treści twórczość przyszła Andrejewa — odgadnąć niełatwo. Z przekonań politycznych należy on do obozu skrajnego w Rosyi. Warto zauważyć, że Europa odwraca się od beznadziejnego pesymizmu i butnego indywidualizmu w artyźmie, że z jednej strony sztuka się unarodawia i uspołecznia, a z drugiej strony szuka i znajduje ideały dodatnie: jawi się przez to reakcya wszelkiej dekadencyi w swej treści, stwarzając sobie nowe formy, odrzuciwszy ślepe uwielbienie dla natury. Czy Andrejew wejdzie w rozwoju swym na te nowe tory? Wielki ten talent w formach przyswoił sobie środki, udoskonalone przez naturalizm. Jeślibym miał szukać dlań artystów podobnych pod względem formy, tobym wskazał d'Annunzia we włoskiej, Przybyszewskiego w naszej literaturze. Przewyższa jednak znacznie Przybyszewskiego subtelnością analizy stanów duchowych osobnika i miarą w zachowaniu granicy, poza którą kończy się artyzm a zaczyna maniera. Wyobraźnia Andrejewa nader żywa, bujna, wynalazcza umie wskazać takie szczegóły obrazów, które im nadają wypukłość rzeźby: ani abstrakcyi, ani rozlewności, ani zbanalizowania obrazów niemasz. Siła i plastyka bije i opanowuje duszę czytelnika. W tej mierze może mu Gorkij dorównywa a może go nieco przewyższa, ale ani Czechow ani Wieresajew. Jako artysta — odmiennie też maluje Andrejew pejzaż. Jak człowiek tak i pejzaż jego nie jest ściśle narodowy rosyjski. Gorkij lub Wieresajew lubią krajobraz rodzimy i nieraz zdobią nim karty dzieł swych. Andrejew jak d'Annunzio lub Przybyszewski za pomocą nastrojowych krajobrazów potęgują wrażenie chwili. Bywa to środkiem powiększenia efektu światła i cieni, wśród których ukazują się wizye duchowe... Nie objektywne obrazy natury, lecz subjektywne fragmenty stylizowane, jak gdyby wywołane stanami duszy osób działających. Tak np. w chwili paroksyzmu szału popa Wasyla czarne chmury zalegają horyzont i wybucha okropna burza (II, 187—9). Tępy i beznadziejny smutek domu waryatów w powieści »Widma« wzmacnia się takim obrazkiem: »Zapadał wieczór i w dali nad wierzchołkami drzew unosiło się ogromne stado kawek, szukając noclegu. Miotały się gęstą,

żywą ławą z wrzaskiem, a choć ich było mnóstwo, to jednak w ich kłopotliwym wrzasku dźwięczało osamotnienie jesieni, przeczucie długiej nocy zimowej, daremna skarga. Kilka kawek oderwało się od stada, a gdy nadleciały bliżej, widać było, że cztery kawki ścigają jedną — i wnet znikły wszystkie za borem« (II, 221).

I zawsze taki sam — dorabiany do artystycznych potrzeb — pejzaż.

Twórczość tego niezwykłego talentu jeszcze nie dosięgła zenitu. Ostatnie dzieła, o wiele doskonalsze od początkowych, dowodzą, że rosyjska literatura może w nim uzyskać wielkość w rodzaju Tołstoja, jeżeli poniecha obrazowania rozpaczy, zwątpień i zgrzytów ogólno-ludzkich, a zechce pióro swe poświęcić malowaniu doli i niedoli zbiorowej duszy własnego narodu.

Antoni Mazanowski.

W ARABII SKALISTEJ.

Wrażenia z podróży r. 1905.

(Dokończenie).

VI.

Wśród ruin i Beduinów.

Elżi — Beduini (ich zalety, wolność, szechowie, kwestya sukcesyi, razye, prawo krwi, gościnność) — *ʿAin Musa* — nocleg u Nomadów — ich postać, ubranie — uczta — »żółty król« — noc z Karamizanek — odjazd — wschód słońca — znowu Beduini — drugi Job — *inundatio camelorum* — wielbłąd u Beduinów — *ʿOdruh*, jego dzieje, obóz rzymski — cywilizatorstwo Rzymian — w pustyni — w miasteczku Maan — szech rozbójników — na stacyi — chrzciny mospanie!

Miało się już dobrze pod wieczór, gdy przybyliśmy do Elżi. Choć mocno zmęczeni, zdecydowaliśmy się zwinąć obóz i ruszyć naprzód, by przy księżycowej nocy zarwać godzinę lub dwie z dnia jutrzejszego. Szech Musa odprowadził nas do granicy swej wioski, zapraszając jeszcze raz na nocleg do siebie, — ale odmówiliśmy. Trzymając się arabskiej zasady, że gościowi należy zostawić zupełną swobodę w odejściu, nie nalegał.

Plemię Liazinów, którego jest szechem, należy do Arabów osiadłych, którzy zajmują się głównie uprawą roli, mniej zaś oddają się życiu pasterskiemu. Postawą i językiem nie różnią się od prawych Beduinów pustyni; mają jednak odmienny nieco cha-

rakter, co jest naturalnym wynikiem ich pracy i zajęcia; są więcej chciwi na grosz, więcej się płaszczą i politykują.

W pojęciu Beduinów pustyni są oni czemś podrzędnem tylko, Arabami zarabizowanymi *(Must'ariba)*, potomkami Izmaela. Prawdziwymi Arabami[1], Arabami-Arabów *('Arab-'Ariba)* są jedynie oni w swojem mniemaniu, oni, co żyją wolno na pustyni jak ptak w powietrzu, oni co po Himazyatach odziedziczyli krew niebieską w żyłach. Stąd dla mieszkańców wiosek i miast, a więc i dla Arabów osiadłych na roli, prawdziwy Beduin żywi w sercu pogardę. Bo i jakże oni, lud namiotów, lud płótna, nie mają gardzić ludem, co się przywiązuje do błota, jest ludem »gliny«.

Natomiast Arabowie-Arabów, synowie i dzieci pustyni, znają co to wolność. Jak ich ojcowie nie zaznali oni od wieków cudzego jarzma; przebiegają po dziś dzień wolno pustynne przestrzenie, a tylko jedno ich upaja: jazda na koniu w wolnej przestrzeni. »Beduin — powiada Réclus w swojem dziele[2] — niema nad sobą pana, nie uznaje w nikim nieograniczonego władcy; nie zależy nawet, ściśle rzecz biorąc, od swego plemienia. Do braci swej rasy przywiązuje się on i towarzyszy im jedynie dlatego, bo widzi w tem swą przyjemność, swą korzyść i swój honor«. Solidarność jest ich zasadą, której pozostają wierni aż do ostateczności i dla której ofiarują wszystko. — »Gdy ogół plemienia — ciągnie dalej Réclus — nie może się zgodzić np. co do jakiej wyprawy wojennej, zawarcia pokoju, wyboru nowego obozowiska i t. d., partye niezgodne rozstają się w przyjaźni między sobą[3]; w ten sposób dzieli się ludność w nieskończoność, aby się grupować wedle nowych powinowactw. Ta ojczyzna kolektywistyczna, na którą się składa wspólność interesów, ciągłej ulega

---

[1] Nazwę Arabów wywodzą filologowie od słowa arabskiego *'arab* = pusty, nieurodzajny (skąd *'arabah* = równina pustynna). Arab więc = mieszkaniec pustyni.

Zupełnie to samo znaczenie posiada wyraz Beduin od arabskiego *badw* = puszcza; stąd *badawi* (nasze Beduin) = mieszkaniec pustyni.

[2] Réclus: *Nouvelle géographie universelle,* tom IX, p. 880 sqq.

[3] Por. Abraham i Lot. *Gen.* XIII.

zmianie, podobnie jak i ugrupowanie namiotów. Plemiona mieszają się ze sobą, jak fale morskie...«

»Każde plemię, ba nawet każdy klan, ma swego naczelnika, zwanego szechem [1]. Zwykle bywa nim potomek znamienitszej familii, starego rodu, albo człowiek bogaty, który w imieniu całego plemienia, czy obozu, może pokrywać ze swej kieszeni obowiązki gościnności... Obok tego główną jego funkcyą jest rozsądzanie nieporozumień po zasięgnięciu rady głów familii: jest więc rodzajem sędziego rozjemczego, arbitra; jego wyroki nie mają siły prawa. Zwykle wykonuje się je, bo opierają się na prawie zwyczajowem i na opinii ogółu; ale niema żadnej sankcyi karnej: skazany może się uchylić od wyroku, opuszczając np. plemię, albo narażając się na ogólną pogardę; staje się wówczas *bawakiem*, t. j. człowiekiem bez honoru« [2]. Każdemu Beduinowi wolno, kiedy zechce, opuścić wraz ze swą rodziną i dobytkiem obóz wspólny, by na swoje ryzyko, na swój rachunek wieść życie samotne, założyć nową osadę, albo przyłączyć się do innego plemienia.

Prawdziwy Arab nie uznaje ciągłości władzy, sukcesyi, czy dziedzictwa u swych szechów. Każdy szech może być w każdej chwili zmienionym, zniesionym ze swej godności, wedle upodobania ogółu, z rąk którego otrzymał swą godność. A dzieje się to często. Jeźli np. plemię chce podjąć walkę lub urządzić razyę, wtedy obiera sobie na dowódcę człowieka dzielnego, pełnego podstępów, prawdziwego *mākir'a*. Jest to jakby dyktator starych Rzymian na czas wojny, z tą różnicą, że nie posiada absolutnej władzy. Po wyprawie wraca do szeregu, do swej trzody, a plemię wybiera sobie na czas pokoju człowieka statecznego, mądrego, *(hākima)*, któremu zleca załatwianie bieżących spraw lub interesów i obowiązki gościnności.

Znał zbyt dobrze usposobienie i naturę swych ziomków Mahomet i dlatego kwestyi chalifatu nie załatwił. W Koranie dał tylko ogólne wskazówki — zgodne zresztą ze zwyczajem ogółu Arabów — że na następcę proroka i głowę wiernych winno

---

[1] *Szeich* = starzec, starszy.

[2] Dotąd Réclus l. c.

się wybierać z pomiędzy najgodniejszych. O dziedziczności (np. dynastyi i t. p.) niema nawet mowy; tem mniej o władzy stałej, nieograniczonej, o absolutyźmie. Są to rzeczy wprost przeciwne wszystkim pojęciom i wiekowym zwyczajom Arabów. To też i z tego tytułu nienawidzą Turcyi, jako ciemiężcy wolności.

Jeźli jednak mimo wszystkiego, szechowie pewnych większych plemion stają się *de facto* małymi królikami *(malik)*, dla swych bogactw, rodu i przymierzy z sąsiedniemi plemiony, to i oni muszą nader ostrożnie postępować, by w jednej chwili nie utracić wszystkiego. Tak długo bowiem są poważanymi, są naczelnikami, jak długo umieją interesa swoje jednoczyć z interesami plemienia. W przeciwnym razie plemię składa ich z godności; a sąsiedni szechowie lub plemiona nie ujmą się nigdy za nimi, bo ogólnem i głębokiem jest poszanowanie wolności osobistej jednostki i plemienia.

Obok głównej cechy prawych Arabów, którą jest miłość wolności i niezależności, posiadają oni wiele innych zalet. Są prości nadzwyczaj i nie wymagający [1], wstrzemięźliwi, wytrzymali na wszystkie życia niewygody. Pokarm pożywają tylko raz na dzień, wieczorem [2], nie używają wcale upajających trunków; nigdy też nie spotka się Beduina pijanego; ich *labban* (rodzaj kwaśnego mleka) nigdy nie upaja, a bardzo odświeża. Szczególnie jednak i w wysokim stopniu cechuje ich cierpliwość. Bez słowa skargi znoszą głód, pragnienie, chłód nocy i dnia upały, lub wielkie trudy pochodu. Zranieni lub chorzy godzą się z losem; jak chore owce oddalają się w jakiś samotny kącik i tam cierpią bez jęku; zarówno obojętnie czekają na śmierć, jak na wyzdrowienie. Względem swych żon, (których posiadają zwykle tylko jedną) i względem swych dziatek są nader słodkimi i łagodnymi. Każdy Arab

[1] Należy to dobrze zrozumieć. Beduin poprzestaje na małem, ale (jak słusznie zauważa Réclus, l. c. p. 875 i jak miałem sposobność wielekroć sam się o tem przekonać), to co posiada, musi być doskonałem: jego daktyle, jego kawa, jego wonności są w istocie najlepsze; — jego zwierzęta domowe są również doskonałe.

[2] Volney po długich obserwacyach oceniał, że całodzienny pokarm Beduina na pustyni nie przenosi 6 uncyi (170 gramów): w mięsie, owocach lub winogronach.

jest, jak mówią znawcy, mocno podszyty poezyą; wynika to prawie z ich sposobu życia, ich zamiłowania do wolności, do stepów, z ich samotności, wkońcu z głębokiej wrażliwości i uczuciowości.

Mimo umiarkowania i wstrzemięźliwości — i na nich trudy pustynnego życia ryją swe głębokie ślady. Beduini starzeją się nader szybko. W 40 roku broda już im siwieje, w piątym krzyżyku już są starcami. Wprawdzie rzadko kiedy chorują, ale pierwsza poważniejsza choroba powala ich zwykle do grobu.

Mówiąc o Beduinach niepodobna prawie nie wspomnieć o *razyach*. Wszak w Europie dla wielu Beduin jest równoznaczny z okrutnym łupieżcą i dzikim rabusiem. Nie jest to prawdą, przynajmniej niezupełną. Prawdziwymi rabusiami i rozbójnikami są Alawini w Arabii skalistej, a Taamirah w puszczy syryjskiej. Reszta plemion nie są rabusiami, ściśle rzecz biorąc i według obowiązujących praw.

Szczupłość pastwisk, o które już Abraham z Lotem się układali [1], dalej ubóstwo, brak silnej organizacyi politycznej, są wewnętrznym powodem, czemu już od wieków wyrobiło się w Arabii zwyczajowe prawo międzynarodowe, uznane powszechnie przez wszystkich Arabów. Prawo to pozwala »podnieść rękę« przeciw swym sąsiadom, zająć jeźli się powiedzie ich stada, ich pastwiska, celem odzyskania zagrabionej poprzednio własności, celem odszkodowania się [2]. Ale to samo prawo domaga się, aby te wy-

---

[1] *Gen.* XIII, 6—12.

[2] Są to jakby dawne »zajazdy« polskie, w których szlachta zbrojną ręką egzekwowała wyroki trybunałów, z tą różnicą, że Beduin nie czeka wyroku osobnego trybunału, bo taki trybunał nie istnieje, zresztą ten wyrok jest mu już wiadomy. Plemię solidarnie trzyma ze sobą: za doznaną razyę jednego ze swych członków płaci razyą na drugiem plemieniu, do którego należy winowajca. Jest to więc *(servatis servandis)* tylko inna forma sprawiedliwości publicznej, która w cywilizowanej Europie, politycznie zorganizowanej, załatwia rzecz więzieniem, wymuszeniem spłaty odszkodowania — a czyni to przez swych reprezentantów-sędziów i żandarmeryę; — podczas gdy w Arabii w braku międzyplemiennej żandarmeryi, samo i całe plemię karze złodzieja innego plemienia, który dopuścił się rabunku. O złodziejstwach w obrębie tego samego plemienia nigdy nie słyszałem, a długoletni znawcy Wschodu zapewniali mię, że kradzież taka jest rzeczą nieznaną u Beduinów.

prawy zdobyczne, z bronią w ręku, odbywały się bez wylewu krwi, bo cena krwi *(dijah)* jest u tych ludzi wolnych i niezależnych niezmiernie wysoką: spłacać ją można i musi się jedynie krwią własną. Prawo krwi odwetu *(tar)*, które wskutek nadużyć, do jakich daje sposobność — jest powodem walk nieraz wiekowych, jest wobec stosunków społeczno-politycznych jakie panują w Arabii, prawem słusznem i uzasadnionem [1];

[1] Prawo »odwetu«, brane ogólnie, w tem znaczeniu, gdzie się nadaje w Europie słowo: odwet — jest niechrześcijańskiem, nieetycznem i słusznie wydaje się dzikiem i okrutnem. Bronić go lub chcieć usprawiedliwiać ze stanowiska etyki byłoby co najmniej... nierozumnem. Natomiast prawo odwetu, tak jak je rozumiały wszystkie bez wyjątku ludy semickie w starożytności i jak je praktykują obecnie jeszcze w Arabii, nie jest nadużyciem, odwetem *sensu stricto*, ale tylko inną formą sprawiedliwości publicznej i jako takie jest uzasadnionem. Nie chcę być źle zrozumianym i tłumaczę się jaśniej.

Przy luźnej i prawie nieistniejącej organizacyi społeczno-politycznej (u wielu ludów semickich w starożytności i u Arabów dzisiejszych), przy braku wszelkiej władzy wykonawczej (z prawem przymusu i karania) nawet u szechów, przy niebezpieczeństwach życia na pustyni, ciągłych zatargach i najazdach — wynika koniecznością rzeczy, że z jednej strony krew się leje, z drugiej zaś nie byłoby hamulca, któryby skutecznie wstrzymywał mordy lub rozlew krwi, bo jak wspomniałem, nawet szechowie nie posiadają władzy wykonawczej, karzącej. Co więc począć wobec tego? Praktyka kilkudziesięciu wieków ułożyła stosunki jak następuje. Zdaniem wszystkich etyków państwo (w danym wypadku plemię) posiada władzę karania śmiercią za większe zbrodnie, np. za wylew krwi. Tę władzę państwo europejskie wykonuje przez swych urzędników, czy reprezentantów państwa, arabskie (plemiona) zdały wykonanie wyroku na pewne, prawem zwyczajowem ściśle określone osoby. Takiemi są najbliższy krewny zmarłego i tylko on. Jeśli zaś ten krewny nie jest głową familii, albo nie posiada dość potęgi, by ukarać winowajcę i mordercę swego krewniaka, wtedy może swój obowiązek i swoje prawa przelać na głowę familii albo na innego krewnego, potężnego. Ale w tym wypadku rzecz musi być ogłoszoną i wiadomą wszystkim.

Podobne promisy w imieniu Bożem wydał Mojżesz dla Izraelitów: ***Rzekł Pan do Mojżesza: Mów synom Izraelowym... Blizki (propingnus) zabitego, mężobójcę zabije, zaraz skoro go pojma. Jeśli kto z nienawiści winien będzie mężobójstwa, krewny zabitego, zaraz skoro go najdzie, zabije.*** (Num. xxxv, 9, 10, 19—21).

Tak rozumiane prawo krwi, nie jest zwykłą pomstą osobistą, którą musi potępić każda etyka, ale jest czynem karzącej sprawiedliwości publicznej całego plemienia, której wykonawcą na mocy obowiązującego prawa jest najbliższy krewny poległego. Ale chociaż samo to prawo jest słuszne i uzasadnione, nie wynika z tego, aby stosunki polityczno-społeczne (które do-

a powinnaby nosić nazwę: prawa sprawiedliwości karzącej. Jest ono nadto silnym a jedynym hamulcem rozlewu krwi przy tego rodzaju wyprawach, często zbójecko-rycerskich.

Jedynym, prawdziwym błędem synów pustyni jest chciwość wszystkiego, co świeci, a więc i pieniędzy; więcej dlatego, że świecą i że się podobają, niż dlatego, że mogą zapewnić pewną sumę przyjemności. Ale jakkolwiek Beduin ceni pieniądze, to jednak ponad wszystko jest mu cennem i drogiem prawo gościnności bezinteresownej. »Pieniądz stracony można odzyskać — powiada ich przysłowie — ale honoru się nie odzyszcze«. To też dla tego honoru prawy Beduin pustyni śmiertelnie by się obraził, gdyby mu gość chciał coś ofiarować za gościnność. Tem mniej sam nigdy niczego nie zażąda i niczego nie przyjmie od gościa. Handel z gościem, gdy ten żąda pokarmu i przytułku, zostawia Beduin pustyni tym pół-Arabom, zarabizowanym w Syryi, którzy w jego pojęciu mają honor w kieszeni, a czoło miedziane. Gość jest rzeczą świętą. Choćby on nawet był osobistym wrogiem, nawet dłużnikiem wylanej krwi, skoro tylko dotknie się sznurów jego namiotu, jest witany i traktowany serdecznie.

Tak wysoce ceniona i stawiana, a tak heroicznie nieraz wykonywana gościnność, jest jednak koniecznością rzeczy i może z tej konieczności się zrodziła. Gdzież szukać w pustyni przytułku,

---

magają się takiego prawa) były idealnymi — i aby samo prawo nie dawało sposobności do zadowolenia osobistej zemsty. W ostatnim wypadku wykonawca prawa krwi, nie będzie wprawdzie odpowiedzialnym za śmierć mordercy jako taką, ale odpowie przed Bogiem za swój prywatny grzech: zaspokojenie prywatnej, nizkiej zemsty.

Powiedziałem także, że prawo krwi jest hamulcem rozlewu krwi. Tak jest w istocie. Krew wylana musi być pomszczoną (Por. co przepisał Mojżesz: *Gen.* IX, 6; *Exod.* XXI, 12, 14, 16, 20, 22, 23; *Levit.* XXIV, 17; *Num.* XXXV, 16—21, 31), bo tego wymaga samoobrona jednostki w pustyni i prawo do życia, jakie każdy posiada. To też ta świadomość, ta pewność, że za oko oko, za ząb ząb, za śmierć śmierć mię pewnie czeka, jest silnym hamulcem wylewu krwi u tych dzieci pustyni niezależnych od nikogo. Dlatego Beduin przed niczem tak nie drży, niczego tak się nie obawia, jak mordu drugiego Beduina. Czemu — bo wie, że własnem życiem to z pewnością przypłaci.

Że tak prawo »o razyach« jak i prawo krwi dają wiele sposobności do nadużyć, tego przeczyć ani usprawiedliwiać nie myślę.

cienia i pokarmu, jeźli nie w pierwszym napotkanym namiocie. Potrzeba gościnności jest koniecznością, w jakiej dziś lub jutro każdy Arab znaleźć się może. A »jaką miarką mierzym, taką ci odmierzą«. To też Mojżesz w prawie swojem nie wahał się tą racyą poprzeć przepisu o gościnności. »Miłujcie przychodnie, boście i sami byli przychodniami w ziemi egipskiej« [1].

Ta *ratio interna* nie uwłacza jednak Beduinom i nie zmniejsza ich zasługi, bo może nawet nie zdają sobie sprawy z tej istotnej potrzeby gościnności; a co do siebie to chętnem sercem i nie bez zaparcia ofiarują ją każdemu przybyłemu, nawet Europejczykowi.

Za miłem zrządzeniem Opatrzności mieliśmy jeszcze dziś przekonać się o gościnności arabskiej, mieliśmy patrzeć na scenę, jakby wyjętą z Biblii [2].

Po godzinie jazdy z Elżi stanęliśmy u obfitego źródła Mojżeszowego (*'Ain Mūsā*), skąd bierze początek *Nahr Wādī Mūsā*, przepływający przez Petrę. Z przyjemnością uraczyłem się jego słynnym nektarem i myślałem, że tu przepędzimy noc. Ale nasz Petrarch zakomenderował: »naprzód«. Wiedział on, że na drodze do Odruhu, niedaleko stąd, ma obozować plemię *Roallah* i u nich postanowił szukać przytułku; chciał nam także pokazać, jak wyglądają prawdziwi Beduini nomadzi u siebie w domu.

Jakoż po upływie pół godziny na pochyłości góry zobaczyłem obóz arabski. Całość tworzyła wielką elipsę, w której rzędami amfiteatralnie stał namiot przy namiocie. Ich czarne sukno z wielbłądziej wełny, ładnie odbijało przy łagodnem świetle księżyca. Zbliżamy się. Ogromna ilość wielkich, owczarskich psów poczęła ujadać i w podskokach rzucać się ku nam. Siedzieliśmy na koniach, więc skończyło się na ujadaniu. Niezwykła wrzawa o spóźnionej porze zwróciła uwagę Beduinów.

Spostrzeżono nas. Szech wychodzi naprzeciw, kłania się sposobem arabskim i wita nas słowy: *merhaba waahlan wasachlan* [3],

[1] *Deut.* x, 19.

[2] *Gen.* xviii, 2—9.

[3] »Witajcie; (znajdziecie tu) rodzinę i swobodę«.

następnie każdemu podtrzymuje strzemię. Zsiadamy z koni, prowadzą nas do wnętrza namiotu szecha. — Namioty wogóle dość obszerne, składają się z czarnego sukna rozpiętego sznurami na drągach. Sukno zakrywa tylko cztery strony namiotu (boki i wierzch); czoło namiotu jest odkryte na całej długości i zwykle skierowane ku wschodowi. Wewnątrz płat sukna przedziela namiot na 2 połowy. Jedną część po lewej stronie zajmuje rodzina szecha, w drugiej miejsce dla gości lub na zebranie ojców familii.

Natychmiast krewni szecha rozścielają na ziemi plecionki i kobierce, a szech sadza nas w głębi. Tuż przed namiotem rozgrywa się zajmująca scena. Beduini różnych familii przynoszą jeden po drugim wielkie worki z owsem dla koni; tyle worków, ile zwierząt. Każdy worek wnosi się naprzód przed gości, stawia na chwilę na ziemi, jakby dla przekonania gościa, że owies wyśmienity; następnie wynosi się go do koni. Zadowoleni żandarmi śpiesznie przywiązują wory do szyi swych rumaków, a nasza straż tylna z Maan także nie zapomina o swoich. Pierwsza to czynność Beduina wieczorem po przybyciu. Bo jak ludzie, tak i konie raz tylko wieczorem otrzymują swą strawę, którą przez wolną część nocy powoli spożywają.

Tuż przed namiot znoszą suchą trawę i rozniecają ogień. Aby go podtrzymać aż do północy, dorzuca się odpadki wielbłądzie. Utrzymywanie ognia do północy jest obowiązkiem szecha, a ma być oznaką, że namiot jego zaprasza każdego, kto zechce przybyć.

Po kilka razy powtórzonych zapytaniach o nasze zdrowie [1], powodzenie, podróż i po zapewnieniach, że największą przyjemność im sprawiliśmy naszem przybyciem, szech powstał, by wydać rozkazy przygotowania uczty. Uprzedził go ks. Lammens i usilnie prosił, aby dla spóźnionej pory odstąpiono od zwyczaju i nie zabijano koźlęcia; mięsa sobie nie życzymy. Zmartwiło to trochę szecha, ale zastosował się do życzenia.

Tymczasem przed namiotem szecha coraz ludniej. To głowy rodzin zebrały się u swego naczelnika, aby powitać jego gości

---

[1] *Kif halak* (jaki twój stan, twe położenie, zdrowie i t. d.), jak się masz?

i wziąć udział w ich przyjęciu. Po powitaniu na sposób arabski, siadają w kuczki długim szeregiem po naszej prawej i lewej ręce.

Blask ogniska oświecał ich twarze i ubiór. Co za ładne typy męskie! W Europie takich się nie spotyka. Tylko pustynia takich rodzi; tylko wichry stepu takich kołyszą! Średniego wzrostu, chudzi, ale bardzo żywi. Muszkuły zdradzają w nich wielką siłę. Twarz ich owalna, mocno spalona od słońca i wiatrów pustyni, jest wyrazem energii, śmiałości, ale i dziwnej jakiejś słodyczy. Czoło wysokie, szlachetne. Broda krótka, często już siwa, a wąs średni, w nieładzie, każą się domyślać, że tualecie nie poświęca się tu wiele czasu. Tylko ich oczy czarne, z brwiami zmarszczonemi, zdają się być wyrazem surowości i dzikości. Pochodzi to stąd, że od dzieciństwa fałdują czoło, marszczą brwi i przymrużają oczy, by przy oślepiającym blasku pustyni módz się wpatrywać w daleki horyzont i śledzić, co się dzieje wokoło.

Ubiór ich nad wyraz prosty, ale nie pozbawiony pewnej *sui generis* elegancyi i poezyi. Przypomina mocno opisy biblijne. Składa się z koszuli i długiej wełnianej sukni, najczęściej białawej, przepasanej w biodrach. Czasem tylko u bogatszych lub dzieci suknia jest różnokolorowa »wzorzysta«, ale uchodzi to już za zbytek lub za dowód wielkiego ojcowskiego afektu [1]. Niektórzy z Beduinów noszą także (z powodu nocy) zarzutki, które zwykle przywdziewają, gdy wychodzą w drogę, w czasie pory deszczowej, lub zimnej rosistej nocy. Są to obszerne płaszcze, przecięte z boku, podobne do średniowiecznych pancerzy lub do ornatu kościelnego, a narzuca się je przez głowę na ramiona.

Podczas gdy tak ciekawie oglądam ich stroje, w środku tej oryginalnej *Tafelrunde*, zaczęła się przy ognisku scena ciekawa i nawskroś wschodnia. Sam szech przyniósł woreczek z ziarnkami moki, które płucze naprzód, następnie na patelni przypala. Trzeba było widzieć, z jaką to zręcznością i powagą czynił! Milczenie ogólne towarzyszyło czynności. Rozpoczyna się teraz tłuczenie kawy. Wonne ziarna wsypuje szech do drewnianego moździerza

[1] Por. *Gen.* XXXVII, 3, 23 — gdzie Jakób sprawia Józefowi suknię »wzorzystą«.

i oddaje jednemu z członków familii. Ten wśród dźwięków melodyi, smętnej i smutnej jak pustynia, co ich otacza, wybija w takt tłuczkiem, którym wykonywa równocześnie niezmiernie szybkie a zgrabne ruchy. Tak spreparowaną kawę bierze szech znowu w swe ręce i po odrobinie wsypuje do mosiężnego imbryka z wodą, a gdy ten pocznie się na ogniu burzyć, i miłą woń dokoła rozsyłać, szech dosypuje jeszcze po trzykroć tłuczonej kawy. Tymczasem przyniesiono porcelanowe filiżanki. Choć są czyste zlewa je szech jeszcze raz wodą i stawia na tacy.

Teraz rozpoczyna się rozdzielanie gotowej już moki. Szech według ceremoniału próbuje przed wszystkimi jej dobroci, a przekonawszy się, że jest godną jego szechowskiego stołu, nalewa w każdą filiżaneczkę do połowy trunek:

Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach moki i gęstość miodowego płynu.

który jest samą moką, spreparowaną na sposób arabski. Opowiadano mi, że Arabowie mają sekret preparowania kawy. Może to przesada, ale przyznać muszę, że takiej kawy dotychczas nigdzie nie piłem; nawet w Syryi nie spotyka się równie wonnego a smacznego płynu.

Pierwszą filiżaneczkę roznosi sam szech ze stereotypowem: *tafaddalu*[1]; na które mu się odpowiada: *mamnunak*[2]. Wszyscy ojcowie rodzin zebrani wokoło ogniska, otrzymują także po filiżance. Drugie, obowiązujące danie tejże moki, roznosi już jego synek, ślicznej urody chłopczyna. Teraz jesteśmy już gośćmi w ścisłem słowa znaczeniu.

Imbryczek odstawia się na ognisko i rozpoczyna się gotowanie jajecznicy na patelni i pieczenie chleba. Ale tę czynność szech już innym zostawia, bo to zajęcie mniej honorowe. Sam zaś poczyna gości bawić rozmową. Z początku szła rozmowa oporem. Szech trochę małomówny i bardzo poważny. Przyczyną tego byli po części żandarmi tureccy, którzy także uważali się za gości, a których Arabowie jako przedstawicieli Turcyi nie lubią. Zresztą

[1] »Uczcij mię« = proszę.
[2] Jestem ci dłużnikiem.

wkrótce poczęto wnosić potrawy, a podczas gdy goście jedzą, według ceremoniału arabskiego panuje głębokie milczenie. Służba usługuje, a szech stoi jakby gotów na każde skinienie gościa.

Zastawiają stół i talerze, to znaczy: położono przed każdym po kilka płatów świeżo upieczonego chleba (podpłomyk), który kształtem swym przypomina mocno mace żydowskie, ale jest miękki, tak że go zwijać można i ciepły, bo świeżo wyszedł z pieca (czytaj: z kamienia na ogniu). Ten chubz jest naszym stołem i nakryciem, zastępuje europejskie widelce, noże, łyżki a nawet serwetę. W jaki sposób zapyta kto? W bardzo prosty. Oto jajecznicę umieszczono na wielkiej patelni w środku przed nami tak, aby każdy mógł jej ręką dosięgnąć. Bliżej nas w osobnych blaszanych, głębokich miseczkach rozdzielono labban (rodzaj kwaśnego mleka). Otóż rozłożywszy jeden płat chleba na kolanach, jako serwetę, drugim sięga się i nabiera potrosze jajecznicy albo pije się labban (jak niektórzy u nas kawę z bułką). Apetyt mieliśmy wielki, a trzeba przyznać, że jajecznica z masłem była wyborna, labban zaś wprost niezrównany. To też szech z dumą spoglądał po swych towarzyszach, zadowolony, że »konsulom« jego stół smakuje. Pod koniec tej uczty, zwyczajem starożytnych bohaterów, który i w Arabii ma swe zastosowanie, zjedliśmy nasze stoły, serwety, talerze, łyżki, widelce i noże. W podobny sposób uraczono po nas naszą eskortę. Finał uczty równy początkowi: podwójna porcya wybornej moki, którą uraczono także wszystkich zebranych ojców rodzin.

Teraz dopiero rozwiązały się Beduinom języki. Gość po uczcie i po kawie jest członkiem rodziny, dosłownie według powitania: *ahlan wasachlan.* Palenie tytoniu w fajkach kończy ceremoniał. Każdy Beduin przystępuje kolejno do ogniska, by z węgli zachwycić nieco ognia i wraca na swe miejsce, które zajmował od początku.

Rozmowa coraz żywsza: o podróży, o nowinach na świecie, i... zgadnijcie o czem... o Rosyi. Z ciekawością wypytują się Beduini o wszystko, a szczególniej o »żółtego króla«[1]. Tak

[1] Cara Rosyi nazywają krajowcy w Syryi i Arabii dość często i dość

dobrze znają wiele rzeczy, że nieraz trudno im powiedzieć coś nowego. Ciekawy byłem niezmiernie, z kim »trzymają« te dzieci pustyni, bawiące się w politykę. O fibrosyjskich uczuciach u Arabów osiadłych w Syryi, a należących do ortodoksyi greckiej, przekonałem się w czasie podróży po ziemi zajordańskiej [1]. Otóż synowie wolności, prawdziwi Beduini, życzyli zwycięstwa Japonii, nie dla jakiejś sympatyi dla narodu, którego nie znają, ale z niechęci do Rosyi, która jak Turcya w ich oczach jest wrogiem wolności osobistej, największego daru człowieka. Tak tu Arabowie-Beduini miłują wolność i niepodległość.

O Turcyi Beduini milczeli. Jakże mogli mówić, gdy mieli przed sobą dwóch żandarmów z Maan, Kurdów rodem, oddanych całą duszą Turcyi? Znaczyłoby to narazić się na prześladowanie i wypędzenie z granic [2] i z zajmowanych a dość obfitych pastwisk, co dla ludu nomadów jest kwestyą bytu.

Tak to gwarząc o matuszce-Rosyi, słuchając opowiadań o zatargach, jakie mają ze swymi sąsiadami, spędziliśmy z godzinę.

Plejady już wysoko wyszły na niebo, księżyc w pełni przebiegł $^1/_3$ swej drogi, gdy znużenie poczęło kleić nam oczy. Natychmiast szech podniósł się z tapczanu a z nim oddalili się wszyscy Beduini, życząc nam szczęśliwej nocy i pomyślnej podróży.

Szczęśliwej nocy! — tak, tego sobie wszyscy życzyliśmy. Mimo twardego łoża (na ziemi), a jeszcze twardszej poduszki (siodła), posnęliśmy wkrótce. Ale zjawił się gość pod namiotem w postaci kóz, które zwabione ciepłem pokładły się obok nas, u naszych nóg; a nawet zaczynały być niegrzeczne i w poszuki-

---

powszechnie *al-malik al-asfar*, dosłownie = monarcha (król) żółty. Czemu? Oto w dziełach klasyków arabskich rasa biała nosi nazwę: *banu-l-asfar* (pokolenie żółte). A ponieważ w ich przekonaniach prawdziwym władcą κατ' ἐξοχήν w Europie jest prawie tylko imperator Wszechrosyi, stąd nazwali go »królem żółtym«. Wychodzi to w języku naszym na jedno i to samo, co »biały car«.

[1] Przyczyny tej sympatyi wyłożyłem w rozdz. II.

[2] W ostatnim lat dziesiątku Turcya wypędziła Arabów z okolic Amman i Żeran (za Jordanem) i oddała ich majętności kolonistom czerkieskim.

waniu za lepszem miejscem skakać nam po piersiach. Zbyt ożywiona rozmowa psów z księżycem, beczenie owiec, wreszcie płacz niemowlęcia w drugim przedziale obok nas, przerywały mi często niespokojny sen. Nie lepiej się czuli moi towarzysze. Względny koniec utrapieniu położył złocisty Wenus, który ze wschodu zaczął nam zaglądać pod namiot i spędzać resztki snu z powiek. Był to znak, by wstawać.

Poczynamy być już nawpół Beduinami, bo jak oni dla braku wody nie myjemy się już piąty dzień. Wąsy i brody nasze przedstawiają już stan takiego zdziczenia, w którym nie przyjętoby nas pod żadnym warunkiem, w żadnem towarzystwie europejskiem. W Arabii o to nikt się nie troszczy. Nawet eleganci, europejscy inżynierowie, są na to wyrozumiali, bo sami temu losowi często ulegają.

Na posiłek jakikolwiek jeszcze zawcześnie; zresztą Arabowie tylko pod wieczór biorą pokarm, a tę samą zasadę zastosowują względem swych gości.

Gdy cała karawana była do drogi gotową, wsiadamy na koń. Szech znowu podtrzymuje każdemu strzemię, w najgrzeczniejszej formie życząc szczęśliwej podróży. O jakiejkolwiek zapłacie za nocleg, za przyjęcie nas, naszych ludzi i koni, nawet mowy niema; nie jest on przecież handlarzem syryjskim. Znając na wskróś prawych Arabów, ks. Lammens nie chciał obrażać poczciwego szecha ofiarowaniem zapłaty. To też jako jedyną zapłatę powtórzyliśmy szczerze, ono wielkomówiące arabskie podziękowanie: *Kattar Allah chairak* — (oby Allah zwiększył twe szczęście). Na co nam szech odpowiada: *wachairkom* (i wasze szczęście). Podnosząc rękę do piersi, czoła i ust rzucamy ostatnie: *chatirkom* (żyjcie szczęśliwie), a zebrani Beduini odpowiadają chórem *ma' as-salām* (podróżujcie w pokoju).

Tak rozstaliśmy się z tymi nomadami, w swej prostocie, obyczajach, poglądach szlachetnymi i poetycznymi. Cywilizacya i zgniła zniewieściałość Europy do nich nie doszła; patryarchalne formy życia jeszcze w całej pełni tu kwitną.

Powoli spuszczamy się z góry, na której pochyłości rozłożyli się nasi Beduini, co nas tak gościnnie podejmowali. Spuszczamy się w wąwóz po to tylko, aby na nowo wdzierać się ku wierzchołkowi drugiego pasma. Gdyśmy byli na szczycie, ognisty wóz Heliosa wynurzył się już z nad oparów widnokręgu. Rzuciłem ostatnie spojrzenie ku zachodowi. Jakże cudnie przedstawiają się poszarpane Petry wierzchołki w falach purpury, któremi oblała je dzienna pochodnia! Jakże promienieje iglica Żebel Haruna! Jak jaśnieją w oddali łańcuchy Synaju! Spoglądając na pasmo esz-Szerat z Petrą w środku, miałem chwilowo złudzenie, że to Karpaty, które ubrały swe czoło w koronę Tatr! Ale wkrótce złudzenie prysło pod wpływem refleksyi i krytyki. Natomiast zajął na chwilę mą uwagę stok góry, którą dopiero co rzuciliśmy, one długie szeregi czarnych namiotów, »namiotów Cedar« [1] i tysiące owiec skubiących trawkę po pastwisku. U wrót namiotów widać Beduinów, którzy stojąco modlą się i biją pokłony w kierunku wschodzącego słońca. Koran przepisuje im zwracać się ku Mece, więc ku południowi. Czyżby ten zwrot ku wschodowi był reminiscencyą odległych czasów, kiedy ich przodkowie byli jeszcze wyznawcami sabeizmu?

Przebyliśmy kilka dolin i pagórków, gdy drugie obozowisko Beduinów wychyliło się z boku. Było to właśnie plemię, któremu przewodniczył szech Arar ibn Zazi, osobistość znana i szanowana w Arabii północnej. Musieliśmy o niego zaczepić, gdyż wyższy dygnitarz Damaszku prosił ks. Lammensa, by był łaskaw doręczyć mu list, jeźli go spotka. Właśnie żandarmi, znający dobrze okolicę zawiadomili nas, że obecnie bawi on ze swem plemieniem między Petra a Odruh. Szech wyszedł na spotkanie i zapraszał uprzejmie, by do niego wstąpić. Ale pośpiech na to nie pozwalał. Wychyliliśmy z konia filiżaneczkę moki i doręczyliśmy mu list. Nie posiadając sztuki czytania, prosił naszego Petrarchy, aby mu list odczytał. Życzeniu jego stało się zadość.

---

[1] *Cant.* 1, 4; — w okolicy, w której się znajdujemy, koczowało ongi bratnie plemię Nabatejczyków — plemię Cedar.

Wśród rozmowy zapytał szech, co porabia jeden z jego znajomych w Damaszku? »Umarł«, brzmiała odpowiedź. Szech spoważniał w jednej chwili; potem podniósł rękę ku niebu i wyrzekł z powagą słowa Koranu: »Tylko oblicze Allaha jest nieśmiertelne«. Szech jest osobistością bądź co bądź niezwykłą. Liczy około czterdziestki; rysy twarzy nader wybitne i piękne; ubiór bogaty; szacunek, z jakim go otaczają żandarmi i z jakim koło niego chodzą Beduini, potwierdza w całości to mniemanie, jakie o nim mają w Damaszku. Plemię jego musi być bogate, bo ogromna ilość bydła, owiec, koni i osłów tłoczy się koło osady na pastwisku.

Co jednak szczególnie mię uderzyło, to ogromna ilość wielbłądów. Z pewnością było ich kilka tysięcy. »To drugi Job«, pomyślałem, *vir magnus inter Orientales*, który przed próbą posiadał 3.000 wielbłądów, a po jej przebyciu 6·000 [1].

Jak za czasów Abrahama [2], tak i po dziś dzień, wielbłąd jest głównem bogactwem i najdroższym skarbem Arabów i wogóle mieszkańców pustyni. Według Arabów, wielbłąda i daktylowe drzewo stworzył Allah z tej samej gliny, co Adama; były one z Adamem w raju i będą mu towarzyszyły w przyszłem życiu. To też we wszystkich ważniejszych ceremoniach i świętach bierze udział wielbłąd. Z wielbłąda ogłaszał Mahomet prawa i wojny; z wielbłąda przemawia w Mece kaznodzieja do zgromadzonych pielgrzymów; pierwszą moszeę wybudowano na miejscu, gdzie spoczęła wielbłądzica Mahometa w czasie jego ucieczki. Nawet do nieba nie chciał Mahomet wstąpić, jak tylko z garbu wielbłąda. Gdy mały wielbłądek przyjdzie na świat, głowa rodziny bierze go na ręce i niesie przed namiot, wołając: »Dziecię nam się narodziło« [3]. I w istocie pielęgnują go [4] jak dziecko; na jego szyi wieszają amulety [5], aby go ochronić przed okiem złośliwca. Nigdy prawdziwy Arab nie uderzy wielbłąda; ale jak konie zachęca go

---

[1] *Job.* I, 3, XLII, 12.

[2] *Gen.* XII, 16; XXIV, 10, 35; — por. także *Gen.* XXX, 43; XXXII, 7, 15; *Tob.* X, 10; XI, 18; *Iudith.* II, 8; III, 3.

[3] Réclus: op. cit. IX, p. 875.

[4] Por. u Żydów. I *Par.* XXVII, 30; *Gen.* XXIV, 14, 19, 20.
Por. u Żydów *Jud.* VIII, 21, 26; *Isai* III, 18.

głosem i śpiewem do marszu; przemawia do niego długo; wszelką obelgę i krzywdę wyrządzoną wielbłądowi uważa za własną. To też nieraz bywały wojny i razye o krew wielbłądzią. 600 imion i epitetów (według innych 1000) rozbrzmiewają chwałę wielbłąda.

Tak to Arab spłaca dług wdzięczności względem tego »okrętu pustyni«, względem zwierzęcia, któremu zawdzięcza, rzec można, prawie wszystko, bo to, co najwięcej ceni, wolność. Z jego tylko pomocą chroni się do niedostępnej puszczy przed jarzmem zdobywców[1]. Gdyby nie wielbłąd byłby Arab od dawna już dźwigał jarzmo wzgardzonego fellacha, który ciągnie wóz nad brzegami Nilu lub Orontu.

Drogą na pół pustynną przybyliśmy o $7^1/_2$ do *ʿOdruh* (ʿAdruh). Dzieje tej miejscowości dość niezwykłe. Z pierwszą wzmianką o Odruchu spotykamy się u Ptolomeusza. Rzymianie zamieniwszy Arabię w prowincyę, założyli tu warowny obóz dla oddziału wojska, strzegącego nowej murowanej drogi z Bosra do Akaby. Miejscowość nadawała się do tego bardzo, bo posiada rzecz istotną: źródło i to obfite. Że przy twierdzy i pod jej cieniem powstała osada, rzecz to bardzo prawdopodobna. W czwartym wieku zbudowano przy twierdzy kościół dla żołnierzy; widocznie legion składał się z chrześcijan. Uczeni utożsamiają Odruh z Tameną (starem Theiman), gdzie obozowała *cohors IV Palaestinorum*.

Arabowie przybywszy do Odruhu, znaleźli tu już dość wielkie i bogate miasto. Stąd też ich geografowie przypisywali założenie Odruhu Żabalowi ibn Havit, z dynastyi Rassanidów. Ale niesłusznie. — Mukaddasi, historyk arabski, opisuje bliżej spotkanie się Mahometa z mieszkańcami Odruhu. Widząc zbliżającą się armię Proroka (n. 630), Odruhanie uznali za roztropne wykupić się haraczem. Za cenę 100 denarów ofiarował im Prorok pokój. Układ spisano na skórze, a uradowany Prorok miał podarować swój płaszcz na pamiątkę. Odruh w czasach arabskich należało do prowincyi esz-Szarat.

---

[1] Por. 1 *Reg.* XXX, 34. Biblia na licznych miejscach wylicza usługi, które te zwierzęta oddają ludziom.

Za piątego chalifa Aliego Odruh był świadkiem ciekawej sceny. Jak wiadomo z historyi, Ali maczał palce (pośrednio czy bezpośrednio) w mordzie poprzedniego chalifa Otmana. Otóż wedle zasad arabskich mord ten musiał być pomszczonym. Syn Otmana, pijanica i słabej głowy, zdał swój obowiązek na dalszego krewnego Muawiję, gubernatora prowincyi syryjskiej. Ten zażądał od Aliego ukarania morderców (którzy nb. byli jego oficerami!) Ali znalazł się w położeniu dzisiejszego króla Serbii: bez wyjścia.

Muawija wypowiada mu wojnę. Przyszło do walki pod Siffin, ale ta dzięki heroizmowi i fanatyzmowi Irakanów (żołnierzy z prowincyi Irak) oddanych ślepo Koranowi poczęła być groźną dla gubernatora Damaszku. Co począć? Za radą swego pomocnika i przyjaciela *ʿAmrū ibn al-ʿAsi* — owego Bismarka Omajadów, Muawija wysyła parlamentarza do wojska nieprzyjacielskiego, który niosąc na pice Koran, wołał, że jego władca zdaje cały spór pod sąd »Bożej Księgi«. Irakanie widząc Koran, w tej chwili zaprzestali walki, mimo zaklęć Aliego; a nadto zmusili go, oddać całą sprawę pod sąd polubowny deputatów, na podstawie Koranu.

Z partyi Irakanów wybrano pobożnego, ale dość ograniczonego Abu Musa; Muawija ze swej strony wysłał swego Bismarka. Święty sąd zebrał się w Odruh. Każda deputacya przyprowadziła ze sobą po 500 jeźdźców. Uprzejmością i fortelami udało się przebiegłemu synowi Al-Asiego pozyskać zaufanie Abu Musy. Wkońcu przedłożył mu, że jedynem wyjściem z tej całej przykrej dla Islamu sprawy i z rozdwojenia między Arabami, będzie, jeśli każdy z nich wyrzeknie się swego władcy i ogłosi go pozbawionym chalifatu. Poczciwy Abu Musa dał się podejść i ogłosił publicznie detronizacyę Aliego, co też uczynił i Amru ibn Asi co do Muawiji. Gubernator Damaszku nic na tem nie stracił, bo nie był podówczas jeszcze chalifem, a Ali postradał wszystko, bo w oczach fanatycznych muzułmanów sprawa jego została przez »Bożą Księgę« zasądzoną. To było początkiem upadku Aliego i początkiem dynastyi Omajadów, która dobre po sobie zostawiła wspomnienie w Syryi, przez swój takt, roztropność i tolerancyę dla chrześcijan.

Ruiny tylko pozostały z tego bogatego niegdyś miasta; dzielą

się zaś na dwie kategorye: jedna część, stary obóz rzymski, leży tuż nad źródłem, a druga część ruin (prawdopodobnie młyny?) rozłożyła się o 500 m. ku wschodowi na pagórku Tell Odruh.

Na bliższą uwagę zasługują tylko ruiny rzymskiego obozu. Nie myślę opisywać ich dokładnie. Podjął się tej żmudnej pracy i dokonał ją prof. Domaszewski we wspomnianem dziele [1], gdzie podaje także bardzo prawdopodobną rekonstrukcyę obozu i zamieszcza liczne fotografie. Rzecz ta mogłaby bliżej interesować tylko filologów, archeologów i historyków. Dla ogólnikowego obrazu wystarczy kilka rysów.

Obóz leżał na wysokości 1280 m. na łagodnej pochyłości pagórka, u którego stóp dotychczas bije obfite źródło z wyborną wodą. Z warownego obozu, który był skierowany ku wschodowi, zachowały się dotychczas zewnętrzne mury, w środku zaś rodzaj wojskowego sanktuaryum, w którem (według prof. Domaszewskiego) przechowywano obozową chorągiew. Inni upatrują w nim *praetorium* obozowe. Ruiny murów zewnętrznych zachowały się miejscami wcale dobrze. Wynosiły one 6 metrów wysokości a 2 m. szerokości. Sam obóz, szeroki na 200 m., długi na 250 m., miał kształt nieregularnego prostokąta. Na murach jego wznosiły się cztery dwupiętrowe wieże po 13 m. wysokości i 14 mniejszych bastyonów, 11 m. wysokich. Z każdej strony świata prowadziła do obozu brama, a kapitele pilastrów, *portae decumanae*, jeszcze są widoczne. Do dawnego obozu przytykają ruiny kościoła.

Obóz zbudowano z wielkich kamiennych bloków, starannie ociosanych. Mało już z tego materyału pozostało, gdyż w późniejszych czasach zamieniono obóz na kopalnię wapna, a wieże na wapienne piece. Nadto mieszkańcy z Maan, mimo wielkiej odległości, dotychczas uważają Odruh za swój kamieniołom, z którego zwożą wielbłądami materyał budowlany do miasteczka. Nic dziwnego, że przy takiej gospodarce mało co zostało.

Ale i ta odrobina, i te resztki pysznej murowanej drogi, która obok Odruhu przechodziła, mówią głośno o cywilizacyi

[1] *Die provincia Arabia* str. 433—460

Rzymu, jego praktyczności i duchu organizacyi. Wprawdzie wielkie monarchie Wschodu, np. kraj nekropolii, Egipt, zostawiły po sobie pomniki, których wspaniałe ruiny dziś jeszcze budzą podziw dla swej proporcyi i rozmiarów. Ale żaden naród nie umiał, tak jak Rzymianie, połączyć ducha sztuki z organizacyą praktyczną rzeczy. Ich budowle w Syryi są tego dowodem.

Rzymianie nie stawiali jedynie świątyń lub grobowców; oni budowali wszędzie i przedewszystkiem drogi i mosty, na granicach państwa twierdze; w miastach teatry, łaźnie, rynki. Podbiwszy jakąś prowincyę organizowali ją, wcielali do państwa, upodabniali we wszystkiem do Rzymu. — Nie czynili zaś tego w jednem, dwóch lub kilku tylko miastach uprzywilejowanych, które były niejako środowiskiem ruchu i w którychby, jak w ogniskowej jednoczyły się wszystkie pomniki religijne i świeckie, cywilne lub wojskowe. Nie; każde miasto, w ścisłem tego słowa znaczeniu, nawet takie, co nie miały za sobą żadnej historyi, znaczenia, które zaledwie znano — nawet takie miasta miały swe pyszne świątynie, teatry, propylee, swe *fora* uwieńczone kolumnadą, zaludnione posągami lub wotywnemi tablicami. Wystarczy wspomnieć w Syryi tylko te miasta, które osobiście zwiedziłem, jak np. Amman (Philadelphia), Żerasz (Gerasa), Mkes (Gadara), Izbid (Arbela), Betras (Capitolino), Baalbeek i t. d., żeby już nic nie mówić o ogniskach handlu i życia, jak Palmira, jak Bosra. Rzymianin: pretor czy prefekt, czy prosty prokurator, wyjeżdżając z Rzymu znajdował na swym posterunku mały kapitol, cyrk, teatr, naumachię, łaźnie i inne rozrywki stolicy świata.

Przyznać trzeba, że Rzymianie nie tylko podbijali ludy i ciągnęli z nich zyski, ale im dawali cywilizacyę, przynajmniej materyalną. Inni zdobywcy o tem nawet nie pomyśleli i po dziś dzień często nie myślą.

Dumając o znikomej chwale i potędze starego Rzymu, rzucałem Odruh, by znowu zanurzyć się w pustynię arabską. A puszcza to w całem słowa znaczeniu. Nigdzie ni osady, ni drzewa, ni pola, ni wody. Tylko słupy telegraficzne z Keraku do Maan pozwalają przypuszczać, że tędy przeszła stopa cywilizatora.

Kierując się busolą, długi czas jechaliśmy na południowy zachód. Upał dokuczał do żywego; *fata morgana* łudziły i pieściły oko; — ale chmurki żadnej na niebie — żadnego wiatru w powietrzu a te były nam najwięcej pożądanemi. Od ciągłych upałów, mimo cienia kapelusza, nasze nosy w pierwszym dniu poczerwieniały, w drugim zzieleniały, w trzecim zrzuciły spalony pancerz, czarnego już koloru. Odtąd co cztery dni regularnie ten sam powtarzał się proces, tak dalece, że owe peryodyczne l u s t r a mogłyby nam wybornie służyć za jednostkę mierniczą czasu.

Nareszcie około południa ukazuje się Maan. Za godzinę byliśmy w miasteczku. Była to niedziela, więc p. nadinżynier Gelos był u siebie i oczekiwał nas ze śniadaniem. W towarzystwie szefa i jego pomocnika p. inżyniera Steina (Niemca z Hessyi) spędziliśmy mile kilka godzin, wypoczywając w cieniu poddasza po pięciu dniach ciągłej podróży i słuchając opowiadań o Turcyi i kolei mekkańskiej.

Tu miałem sposobność przypatrzeć się dawnemu szechowi szczepu Alawinów. Słynny to rozbójnik na całą Arabię, postrach wszystkich karawan od Keraku aż po Akabę. Ile żywotów ludzkich ma on na swojem sumieniu. Postać istotnie straszna: oczy dzikie, twarz ponura, zawzięta, sroga; włos mu się już bieli. Na starość poddał się Turcyi, stał się jej służącym, a teraz z jakąś petycyą kornie stał przed Europejczykiem. Dziwne a zmienne losu koleje!

Na wieczór pogalopowaliśmy na odległą stacyę Maan, bo tam nas oczekiwano.

Już w pierwszym dniu po przybyciu nasza suknia duchowna zwróciła uwagę europejskich robotników, a szczególniej ich małżonek. To też zaraz zgłosiła się deputacya z prośbą o... chrzest dwojga niemowląt. Katolickiego księdza od sześciu lat tu nie widziano, a Włosi, przy całej swej zapalczywości i kłótliwości są, według zapewnień ich szefa, gorliwymi katolikami. Ułożyliśmy się, że z powrotem, w niedzielę pod wieczór, odbędzie się chrzest. Mamusie były bardzo zadowolone, boć do niedzieli można było

przygotować się, wyszukać kumów i kumoszki, a przedewszystkiem sprowadzić ojców rodzin, pracujących na linii.

Jakoż po powrocie, wydelegowany przez mych towarzyszów, udzieliłem z radością Sakramentu Odrodzenia.

Naczelny przedsiębiorca kolejowy, Włoch, p. Denti — pod którego batutą pracują wszyscy robotnicy — uważał za stosowne sprawić uroczyste chrzciny, na które prócz interesowanych stron zaprosił wszystkich obecnych inżynierów i nas. Wesołość ogólna trwała do 10-tej wieczorem; a mówcy nie omieszkali podnieść, że do licznych wielkich zasług budującej się kolei mekkańskiej należy zaliczyć i tę, że Europa może się krzepić w pustyni arabskiej... pilznerem.

Domówienie.

Opuszczając następnego dnia Maan, opuszczałem wprawdzie dawną Arabię skalistą, ale nie opuszczałem Arabów. Te dzieci pustyni już od VIII wieku upodobały sobie ładną ziemię zajordańską i porzuciwszy koczowniczą włóczęgę po pustyni, osiedlili się w dziedzictwie potomków Lotowych [1].

W te to urocze krainy skierowaliśmy naszą, odtąd wyłącznie już konną, ἀνάβασις, by iść odtąd krok w krok za Izraelitami, zdążającymi do Ziemi Obiecanej: zwiedzić *Kir Moab* [2]; — przekroczyć żydowski Rubikon, przepaść rzeki *Arnon* [3]; — obozować w *Aroër* [4] i *Dibon* [5]; — patrzeć na walki Izraela z Amorejczy-

---

[1] *Deut.* II, 9, 19.

[2] (Dzisiejsze Kerak) stolica Moabitów. Nb. Żydzi nie otrzymawszy pozwolenia przejścia przez terytoryum Moabitów, zmuszeni byli okrążyć ich terytoryum pustynią ze wschodu. Por. *Num.* XXI, 11, 12; XXXIII, 44; *Iudic.* XI, 18.

[3] Dzisiejszy *Wadi Mozib* — dawna granica Moabitów i Amorejczyków — por. *Num.* XXI, 13, 24, 26, 28; *Deut.* II, 24; *Iosue* XII, 1; *Iudic.* XI, 18 — a także np. *Isai* XVI, 2.

[4] *Num.* XXXII, 34; *Deut.* II, 36; IV, 48; — por. *Iosue* XIII, 16; *Iudic.* XI, 33; IV *Reg.* X, 33; II *Reg.* XXIV, 5; *Jer.* XLVIII, 19.

[5] Dzisiejsze *Diban.* Por. *Num.* XXI, 30; XXXII, 3—4, 34—36; *Iosue* XIII, 9; *Isai* XV, 2, 9.

kami i królem Sehon[1]; — zapuścić się na żyzne *campestria Moab*[2] i *Medaba*[3], świadki wiekowych walk ludu wybranego z Ammonitami[4]; — drapać się z Mojżeszem na góry *Abarim*, *Phasga* i *Nebo*[5], by oglądać z tej perspektywy upragnioną krainę; — biadać z Izajaszem i Jeremiaszem nad ruinami *Hesebonu*, *Eleale*[6] i *Rabbat*[7]; — przebyć z Jakóbem przepaścistą dolinę *Jabloku*[8]; — zwiedzić miasta Dekapolu: *Gerasę* (Żerasz), *Gadarę* (Mkes), *Arbelę* (Irbid), *Capitolias* (Betras); — patrzeć na pole walki w *Edrei*[9]; — grzęznąć w dębowych lasach *Basanu*[10]; — złożyć wizytę ojczyźnie Eliasza w *Thisbe*[11]; — zanurzyć się w łoże Jordanu[12]; — a przebywszy go zwiedzić w Galilei wszystkie pamiątki chrześcijańskie, których pełne są Ewangelie.

---

[1] *Num.* XXI, 21—31, 34; *Deut.* I, 4, 27, 44; II, 24; III, 2; IV, 46, 47; XXXI, 4.

[2] *Num.* XXII, 1; XXVI, 3, 63; XXXIII, 48; 49; XXXVI, 13; a także *Deut.* XXXIV, 1, 8; *Iosue* XIII, 32.

[3] Dzisiejsze *Madeba* por. *Num.* XXI, 30; *Iosue* XIII, 9, 16; *Isai* XV, 2.

[4] Por. np. I *Par.* XIX, 1—19; XX, 1-3; *Iudic.* X, 6—18; XI, 1—33; I *Reg.* X, 1—19; XII, 26. IV *Reg.* XXIV, 2; II *Par.* XX; *Ezech.* XXV, 10.

[5] *Num.* XXXII, 48—52; XXXIV, 1—4; por. także *Num.* XXXII, 3; XXXIII, 47, 48; XXVII, 12.

[6] *Hesebore* dzisiejsze Hesban; *Eleale* = *El'Al* por. *Isai* XV, 4; XVI, 9; *Ierem.* XLVIII, 1—47; a co do Hesaboru *vide Num.* XXI, 21, 25—31; XXXII, 3; *Deut.* II, 24-32; III, 6; XXIX, 7; *Iosue* IX, 10; II *Esdr.* IX, 22; *Iudit.* V, 20; *Cant.* VII, 4.

[7] Dwie były Rabbat. Jedno: *Rabba Moab*, drugie *Rabbath-Ammon* (dzisiejsze *Amman*). Jeremiasz mówi o *Rabbath-Ammon* (XLIX, 2—3), *Ezech.* XXI, 20, 25. Zwiedziłem obydwie.

[8] Dzisiaj: *Wadi-Zerka*. *Gen.* XXXII, 22. Por. także *Num.* XXI, 24; *Iudic.* XI, 13.

[9] Dzisiaj: *Der'at*. Por. *Num.* XXI, 33; *Deut.* I, 4; X, 10; *Iosue* XII, 4; XIII, 31; XIX, 35—38.

[10] *Isai* II, 13; XXXIII, 9; *Ezech.* XXVII, 6; por. także *Deut.* III, 11, 13; XXXII, 14; XXXIII, 22; *Iosue* XVII, 1; XXII, 7—8; IV, *Reg.* X, 33.

[11] Zwane dziś często *Mar Elias* III *Reg.* XVII, 1; XXI, 17, 28; IV, *Reg.* I, 3, 8; IX, 36.

[12] Dziś nosi nazwę: *Szeriat* el-*Kebire*. — Por. przejście Żydów przez Jordan wspomniane: *Gen.* XXXII, 10; *Num.* XXXII, 5; XXXIII, 51; XXXV, 10; *Deut.* III, 27; IV, 21, 26; IX, 1; XI, 31; XII, 10; XXVII, 2, 12; XXX, 18; XXXI, 13; — *Iosue* I, 2, 11, II, 23; III; IV; XXIV, 8; — *Iudic.* VI, 33; X, 9; XII, 6; II *Reg.* II, 29; XVII, 22, 24; XIX; — III *Reg.* II, 18; — IV *Reg.* 5, 10; I *Par.* XIX, 7. — *Isai* IX, 1; — I *Mach.* V, 24; IX, 48.

Podróż ta więcej urozmaicona, więcej interesująca, pełna na każdym kroku wspomnień biblijnych i historycznych, przechodzi jednak ramy skromnego sprawozdania. Trzeba jej opis odłożyć do... lepszych czasów.

Ks. Władysław Szczepański.

Bejrut, 18 października 1905.

MIHOVIL NIKOLIĆ

KARTKA Z WSPÓŁCZESNEJ LIRYKI CHORWACKIEJ.

(Dokończenie).

Jak wspomniałem na początku, jest jeszcze druga kategorya poezyi Nikolića, co do treści i tematu obszerniejsza i głębsza, mniej zamykająca się w ciasnem kole osobistych tylko poety wspomnień i uczuć. Jest kilka zaledwie nowszych utworów ogólniejszej natury, w których poeta odwraca się na chwilę od swych własnych pamiątek i, jako członek społeczeństwa i ludzkości, spogląda na nie, zastanawia się nad położeniem ich i zadaniem, swą intuicyą poetycką pragnie zbadać ich przyszłość, zrozumieć ich powstanie. To też szersze, głębsze tu porusza problemy, ogólnoludzkie, lub ogólno-społeczne; pragnie rozwiązać lub tylko roztrząsa ich zagadki.

I w tych właśnie kilku nowych, ale jaskrawo odbijających od całej, dotychczasowej poezyi Nikolića utworach, widzę odpowiedź pomyślną i nadziejną na te obawy niektórych krytyków chorwackich przed wyczerpaniem się, stagnacyą poety, przed tem, by obracając się ciągle w jednym zakresie myśli i natchnień, nie począł się powtarzać i powszednieć. W tych kilku utworach znajduje poeta nowe źródło natchnienia, nimi wskazuje, że duch jego zbolały o krok naprzód postąpił, o jeden stopień wyżej się wzniósł.

Przeszedłszy długą walkę z sobą, swemi własnemi marzeniami, swem szczęściem i cierpieniem, przełamawszy ciężką kryzis osobistych bolów i wylawszy je z przepełnionej duszy śpiewem swej poezyi, — tej smutnej powieści swego serca i nadziei, — stanął u wrót nowego świata, nowej panoramy obrazów i widoków, nowych natchnień i idei. Obok siebie ujrzał: — człowieka; w nieskończonej masie przed sobą ujrzał — ludzkość całą. Wśród krzyku swej duszy posłyszał głos wtórujący człowieka, a w dali potężne, rozjęczone, smutne i, jak długie dźwięki organów, — nieskończone echa płaczu, jęku i westchnień, radości i śmiechu całego człowieczeństwa. W tych nielicznych utworach późniejszych chcę widzieć zadatek przyszłej poezyi Nikolića.

Zarzucono Nikolićowi, że niepotrzebnie wciągnął do zbioru swych poezyi utwory niektóre wczesnej młodości, mniej skończone, słabsze. Niektórym posłużyły one za dogodną broń zaczepną i powód do ostrej krytyki. Zdaje mi się jednak, że w tem niema żadnej ujmy dla poety; że zbiór cały nie stracił na tem nic na wartości. Owszem dzięki tym kilku, (bo jest ich bardzo niewiele,) młodocianym utworom poety bardziej widoczny i jasny jest rozwój talentu jego, jest lepszy pogląd na jego dojrzewanie duchowe od pierwszych chwil odezwania się do dni dzisiejszych. Jak późniejsze poezye podkreśliły od razu postęp poety w jego twórczości, chwyciły od razu wszystkich za serca i gorąco przemówiły, tak i w tych najnowszych utworach Nikolića kryje się coś, co od razu uderza i zwraca uwagę, a w czem — być może, — początek nowego leży, bodaj równie szczęśliwego zwrotu w poezyi.

Tak zapatrując się na te poezye Nikolića, do nich zwróciłbym słowa krytyka Ivanowa z przedmowy do »Księgi żywota« *(Knjiga života)* Nikolića i Tucića, gdzie nadaje utworom ich głębsze, symboliczne, ogólno-narodowe, lub ogólno-ludzkie znaczenie: wyrazu bólu nie indywidualnego, ale całego społeczeństwa, »odzwierciedlenia tragiki całego pokolenia«.

»Ty żyć możesz — powiada krytyk do Nikolića, — tylko we wspólnej naszej niedoli. To ci daje siłę, gdy śpiewasz cichą melodyę cierpień naszych i dźwięki jej rozpływają się w duszach

naszych«. A dalej mówi do obu: »Wasze powołanie i wasza siła i nadzieja w tem, że odkrywając rany swoje i nasze, szukacie oddźwięku w dalekich, tajemnych stronach przyszłości i ducha...«

Należą tu utwory takie, jak *Čista srijeda* (»Środa popielcowa«), *Žmija, Post omnia, Lanci* (»Łańcuchy«), *Neshvaćeni* (»Niepojęci«).

W utworach tych kilku zebrał Nikolić wszystkie owe elementy cierpień każdego człowieka, kiedy naraz przejrzy całą słabość swej natury, kiedy zrozumie całą nicość bytu i życia ludzkiego, kiedy poczuje twarde okowy, jakiemi mu spowiła przyroda piersi i skronie. Są to uczucia, które często owładają każdą, czującą głębiej duszą człowieczą, szarpią serce i nerwy, długą toczą walkę z życiowymi popędami człowieka, często wprawdzie zwyciężając je, samego jednak czynią słabym fizycznie, cierpiącym, odmiennym i niezrozumiałym dla szerokich, prostych tłumów ludzi.

Jest to nowy u Nikolića, a silny i szczery akord wrażliwej, lirycznej duszy, którym ona się wzniosła do szczytu poetyckiej twórczości i dotychczasowego swego śpiewania. W tych utworach płynie żywa krew młodości; w nich popada poeta w najdalsze głębiny uczucia i najcięższy ból, jaki uczuwa nad sobą samym, nad człowiekiem wogóle, światem i bytem.

Przejściem niejako od poezyi miłosnej do głębszej poezyi i społeczno-refleksyjnej, do poezyi myśli i uczuć człowieka, a nie tylko kochanka, — jest »Środa popielcowa«, *(Čista srijeda)*. Tu wyraźnie poeta głosi, że zrywa z dotychczasową myślą i natchnieniem, porzuca ten płaski świat zabaw i miłości, dąży ku dalszym, jaśniejszym, trwalszym światom, wytęża wzrok ku przyszłości.

Gęsta zasłona dymów i kadzideł kościelnych kryje przed nim szczęścia i zawody przeszłości, w mgłę zapomnienia spowija weselne dźwięki miłości i czary kobiecych oczu. Symbol pokuty: szary popiół, co spadł na jego głowę, jest dlań zarazem symbolem zerwania z przeszłością, a błogosławieństwem na nową drogę przyszłości; jest dlań namaszczeniem na wielkie, nowe natchnienia i wzloty ducha.

Ostatnie zapustne się maski smutno wleką,
Błędnemu podobne kołu;
Łachmany szat gubią, rozkoszy potem cieką,
»Popiołu!« — krzyczą — »popiołu!«

To życie tak krótkie, jak wy, zapustne czary — —
Pij! — póki się pieni twa czasza!...
Za mną głucha przeszłość i grób został stary, —
Zapomnieć — to rola dziś nasza...

I porwany wspomnieniem szalonych dni karnawałowych, kreśli autor rzadkie u niego obrazy wesołości i szalonej rozkoszy. Tu, raz pierwszy i jedyny rozpacznym porwany szałem, rzucił takie słowa; tu też, w zakończeniu wiersza, raz jedyny odzywa się daleki, głuchy ton cynizmu.

Po szalonym korowodzie namiętności ucicha nagle wszystko i znowu:

Ostatnie się maski smutne wleką,
Błędnemu podobne kołu;
Łachmany szat gubią, rozkoszy potem cieką,
»Popiołu!« — krzyczą — »popiołu!«

I poety dusza obudziła się w umęczonem bezgranicznym szałem ciele i opamiętała się i jękła w boleści: »popiołu!... popiołu!...«

Z pokutnego prochu zasłona tylko blada,
Smutnym rozdarta promieniem, się wije
Z poza niej maska ostatnia do mnie gada,
Złośliwym uśmiechem się śmieje...

Žmija i *Post omnia* — to są dwa utwory, stojące z sobą w pewnym stosunku, związku — nie treściowym, ani formalnym, ale oderwanym, ideowym, w tem t. zw. w filozofii *Beziehung*, — w stosunku, w jakim stoją do siebie początek, źródło wszystkiego i wszystkiego koniec.

W pierwszym wierszu poeta cofa się przed wieki, zatrzymuje się przy chwili, kiedy pierwsi ludzie raj opuszczają, a z nimi i — żmija, duch grzechu i wszelkiego złego na ziemi; — w drugim utworze wybiega duchem daleko naprzód, przed siebie; mierzy wzrokiem poezyi tę przepowiedzianą chwilę, kiedy wszystkiemu

koniec nastąpi, kiedy na zużytej, wyczerpanej, potwornie wynędzniałej ziemi jedna tylko istota pozostanie, — »ostatni« człowiek, ostatni krok na niej postawi. Te dwa momenty ludzkości dla utworów swych poeta wybrał; bolesne momenty z powieści pierwszego i ostatniego człowieka.

W traktowaniu tylko tych utworów zachodzi różnica. W »Żmiji« poeta pierwszych ludzi i ich stosunek do Boga i świata wziął tylko za punkt wyjścia dla swych refleksyi i myśli, od nich szybko bieży dalej i staje znowu przed sobą samym, przed swem życiem i uczuciami; bada swój stosunek do tej, co »z Edenu z pierwszymi wyszła ludźmi, w chaosu się skryła kurzawie i gryzła żywot pierwszego człowieka do ostatniego jego tchu«; — do tej, co świat cały i wieki wszystkie przepełzawszy w prochu i kale, po wszystkich ziemiach ślizkie swe ślady zostawiając, — zawsze ta sama, zawsze silna i niezmienna, uparcie i niezmęczenie i dziś pełza dalej i dalej i — pełzać będzie do ostatniego tchnienia tej ziemi, do ostatniego dechu »ostatniego« człowieka. Zimnem patrzy okiem na tę, która i jego nie ominęła, lecz swym, wolnym, ślizkim krokiem i do jego wcisnęła się piersi i jemu bolesnym, syczącym śmiechem zagląda w oczy i jemu niesie cierpienie i mękę, pragnąc wessać się w jego krew, w ciało i duszę.

Nią, uwiedziony pierwszy człowiek w raju klęskę na siebie sprowadził i cały ród ludzki, przy jej pomocy i fałszywym podstępie on poznał tajemne drzewo,

> Gdzie Prawdy zarzewie tkwiło,
> I szukał źródła bezśmiertnej duszy —
> I to pierwszym grzechem było!
>
> Człek padł złamany, — a w świeżym grobie
> Piekielna się mara wgnieździła...
> I to na biednym, nieszczęsnym tym świecie
> Pierwsza tragedya była!...

I dziś, po wiekach wieków wędrówki, splądrowawszy i podziurawiwszy, jak robak pień leśnego drzewa, ziemię na wskroś, we wszystkich jej kierunkach i pokoleniach i do nas doszła i do poety już pełza.

Ja czuję ciebie; już doszłaś ku mnie,
Na wargach śmiech pianę ci toczy,
Za tobą ostatnia zamknęła ofiara
Swe szklane, bolesne swe oczy...

Syczesz już ku mnie; wyroki moje
Czytam już w twojem oku,
Niesiesz mi mękę i ciernie życia,
Ból, jad i ranę głęboką...

Chcesz we mnie się wessać, jak czerw w suche drzewo,
Odjąć mi pokój, cześć, mowę
Ja cierpieć będę, lecz kiedy dojdziesz
Do serca, — skręcę ci głowę!...

Post omnia!... Spełniły się słowa proroków i ziemia w proch się rozpadła, a na nią wraz z gwiazdami wszechświat runął cały. W chaosie bezmiernym ginących planet i światów walczyły nieprzeliczone ze sobą stworzenia i mary. W popiele leżały połamane skrzydła ptaków, co chciały wznieść się na wyżyny i ujść zagładzie; — i zwiądł ostatni kwiat ziemi, próżno czekając spragnioną piersią — świeżej rosy i słonecznego ciepła promieni. Liście i drzewa w popiół się zmieniły, wody w łożyskach wyschły. — Runął tron, z którego władał najpotężniejszy władzca świata. I głos wielki zamarł i nie odezwało się więcej pragnienie żadnej sławy, ni krzyk swobody, — tylko z pod czarnego popiołu ostatni człek martwym, niemym na świat spoglądał okiem. — Nad bezkresnym chaosem brzeg Golgoty się dźwigał; — nie zdołały go zachwiać długowieczne pociski, ni fale, a na świetlanej jego krawędzi krysztalna łza zabłysła, łza, — co jeszcze przed wiekami na smutną padła ziemię...

I ostatni zadrżał człowiek... Między ziemią i obłokiem
Kroczył w blaskach Bóg i Człowiek poprzez błękit wielkim krokiem,
Pod stopami piorunami błyskał chaos gdzieś w głębinie,
A nad głową raj czarowny świecił tęczą na wyżynie...

I zatrzymał się nad brzegiem tej Golgoty, świętej góry,
Pokazując palcem na krzyż, co się dźwigał ponad chmury,
A łez świętych strumień szczery padł w ślad jego z ich topieli
Na krzyż, który wszyscy znali, ale pojąć go nie chcieli...

Dwa te utwory: *Žmija* i *Post omnia* bynajmniej nie zestawia ze sobą sam autor; — powstały one w różnych chwilach, różnych są nastrojów wyrazem, różny sposób traktowania rzeczy i różna formy szata. Zestawiłem je ze względu na pokrewieństwo, »odnośność« — jeśli się można tak wyrazić — ich idei, jako pierwsze i ostatnie ogniwo wielkiego łańcucha zagadnień ludzkości, problem jej początku i jej *fatum* — grzechu, jej końca.

W drugim utworze zaznacza zarazem poeta dość jasno, *credo* swej wiary: »Na końcu wszystkiego« — krzyż stawia męczeński, Chrystusowy, wśród otchłani bezmiernego chaosu, — na jego wyciągnięte wskazuje ramiona, świętej łzy Chrystusowej błyszczeć każe dla ludzkości, jak gwieździe przewodniej do wiecznego szczęścia, do życia przyszłego prowadzącej.

Lanci (Łańcuchy) i *Neshvaćeni* (Niepojęci), to znowu dwa utwory, które, jak dwa poprzednie, nawzajem się uzupełniają i jedną owiane ideą, z tą tylko różnicą, że pokrewieństwo ich jest jeszcze ściślejsze, niż poprzednich, bo z jednego wytrysły źródła natchnienia, jednym blaskiem jaśnieją, jednym tonem, jednym nastrojem dzwonią — zdaje się, że w jednej zrodziły się godzinie.

Jeśli tam zastanawiał się poeta nad stosunkiem człowieka, a w szczególności swoim, do Boga i ziemskiego bytu, nad stosunkiem duszy do świata i przyszłości, — to tu zajmuje go kwestya stosunku jego samego do świata i ludzi, wzajemnego stosunku ludzi do siebie samych, ich położenia, dążeń, idei. Tamtych źródło w oderwanem cierpieniu myśli, tych — w realnym stosunku poety do otoczenia.

Pieśni te należą do najlepszych utworów Nikolića; pełne są niezwykłej u niego siły i jędrności, wstrząsającego tragizmu i »prawdziwego, faustowskiego — jak się wyraził jeden z krytyków — pessymizmu«. Poeta, smutnymi obrazami społeczeństwa posępnie nastrojony, w pełnych współczucia i gorzkiego żalu słowach śpiewa te strofy. Istota jego drży cała przy tej muzyce bolu i skargi, klątwy i gniewu; uczucia jego, jak nawalnice przewalają się w rozpartej cierpieniem piersi i cała pieśń staje się

jednym, wielkim, ciężkim krzykiem, westchnieniem lub jękiem bolejącej duszy, czasem potężną błyskawicą gniewu, piorunem groźby — przekleństwem na tych, do których przyjazne w ciemną otchłań wyciągał ramiona, aby ich ratować, — a oni, zapamiętali w swej ciemnocie i złości, odepchnęli go od siebie; — klątwą na tych nieszczęsnych, »co pełzają niewolniczo po czarnym prochu za chlebem, całując swój niewolniczy łańcuch«, — których podźwignąć chciał z kału i błota swą pieśnią, a którzy wyśmiali go i oplwali — niewdzięczni.

W tych utworach, a zwłaszcza w »Niepojętych« po raz pierwszy staje poeta oko w oko wobec ludzi i daje wyraz śmiały swego do nich stosunku; — stąd jest w tem zupełnie coś nowego, niebywałego dotychczas u Nikolića.

Slucham waszych dźwięków, na waszą patrzę rdzę
I wspominam ranę, co boleśnie krwawi,
Nademną niebo blaskiem wolności wkoło drży,
W chmur obłokach orzeł się swobodą pławi...

I jam był orzeł — śpiewa dalej poeta — i silny duszą byłem, co rwała się pod niebo; — tytanem byłem, aż — wyczerpany padłem, stargawszy swe gwałtowne skrzydła...

Przyrodo tajemnicza! — ty, jak ludzka dusza — od »początku« trwasz i trwać będziesz do »końca«! Często kusi się nędzny śmiertelnik ciebie przejrzeć swym tępym wzrokiem, lecz oślepiony pada wkońcu od twego blasku... lub wraca na ziemię, do swych kajdan życia i targa je i wstrząsa, patrząc w swobodne nad sobą niebo, tęskniąc ku gwiazdom, co na niem jaśnieją.

Łańcuchy i rdzo i dźwięki jęczące,
Przesmutna pieśni cierpiących dusz!
Przez wasze ogniwa czuję, jak strasznie
Unicestwienia dmie wiater i kurz
I... jak ochładza uznojone czoła,
I z łez osusza niewolniczy żłób
O! rdzo, łańcuchy i dźwięki jęczące,
Przesmutna pieśni od świtu po grób!...

Patrzcie! — woła dalej — padam przed wami, całuję waszą rdzę — ślady ludzkich mąk i słucham dźwięków waszych i lody wasze całuję i śpiewam wam ponurą niewolników pieśń.

Lecz raz się podźwignę!... Potężną siłą, co tchnie we mnie demon, ja strząsnę was z dłoni i cisnę o ziemię, lub — z wami sam zginę!

Oto treść »Łańcuchów«. Ponura, groźna, ołowiana, jak piętrzące się chmury ponurej burzy, — ciężka i bolesna, jak te niewolnicze kajdany, rdzą obsiadłe, wrzynające się raną w zbolałe ciało nędzarzy, — przeraźliwa i zgrzytająca, jak ostry, tępy, fałszywy dźwięk tego łańcucha, gdy targną nim potężne ramiona swobody.

W »Niepojętych« jeszcze jaśniej występuje stosunek poety do ludzi. Tu zwraca się poeta wprost do nich; — do tych, co noszą kajdany niewoli życia, namiętności własnych, — co pełzają w brudnym prochu własnych uciech i pożądań życiowych, w powszedniości i używaniu, — nie dość silni, by wznieść się na wyżyny duszy, skruszyć okowy ciała, odżyć swobodą ducha. Tu — wprost wyrzuca im w oczy ich nędzę moralną i płaskość, gromi słabość ich ducha, ciasnotę umysłu i małość serca; — w bolesnej skardze spowiada się ze swych rozczarowań i zawodów, — potężnym wreszcie głosem przeklina ich i ze wstrętem się od nich odwraca:

Słyszałem wasze jęki — woła poeta — i spieszyłem, by was ratować, a wyście — głusi i ślepi byli. »Promieni!« — wołała dusza wasza, a »światła!« — ciemna źrenica; — i jam leciał, jak wicher swobody ku wam, z otwartą piersią i ramiony, bo żal mi było tych dusz, co giną.

Wkoło niewolnicze jęczały głosy; — ojcowie i dzieci łkali bolesnem szlochaniem: a na srebrne brody łzy sypały się gorzkie. — Ciemność dokoła, a wśród niej drżący cały, jak liść drzewa wśród mroźnej zimy, — pełza w błocie — człowiek!...

I ja leciałem tam, do was... Pieśń moja mię niosła skrzydlata,
Gorąca, gwałtowna, jak żywot, — ten żywot mój nędzny cały;
Ujrzałem powiędłe wasze — te usta — niewolne — blade
Moje całować je chciały!...

Niosłem wam — dusze — siłę potężną z mojego kraju,
Gdzie tylko wolności niwy, — topole bystre, lot śmiały,
Gdzie Tytan orlemi skrzydły, o nieba uderza chmury,
A wyście — wyście nie chciały...

Niosłem wam słońca pożary, pożary skier pełne ognia,
Myśląc, że z oczu wam bielma ciężkie, obwisłe spali...
Chciałem skruszyć łańcuchy, co piersi wam opasały
A wyście — nędzni nie dali!

Chciałem was, biednych powieść tam na me rodne pola,
Kędy nie pełza niewolnik po czarnym prochu za chlebem. .
Chciałem, — byście swobodni — w swobody pieśń uderzyli
Pod wolnem potężnem niebem...

A wyście drżeli tchórzliwie, trzęsąc się, jako trzcina,
Niewolny łańcuch całując, co krwawił się waszem ciałem,
Syczeliście na mnie blademi — zwiędłemi swojemi usty,
A ja je całować chciałem...

Dość już! — Odchodzę od was!... W ciemności i nizkiem pełzaniu
Niech słaba się wasza dusza, jak kwiat robaczny rozpadnie!
Ja — pieśń wolności skrzydlatej chcę śpiewać dalej i dalej,
Zginście! — to słowa ostatnie!...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

W *Undinie*[1] znowu na chwilę odzywa się struna przeszłości; odzywa się jednak cicho i głucho, jakby dalekie echo przebrzmiałych akordów. Dzwoni przyciszonym dźwiękiem wśród nowej, mglistej, mistycznej aryi. *Undina* — to senna, długa ballada. Wszystko w niej dziwnem, mgławem przysłonięte światłem. Niema tu szalonych wstrząsających krzyków rozpaczy, niema słonecznych, tęczowych barw gorącej miłości, niema orlich, górnych uderzeń skrzydeł o nieba sklepienie, — tu cicha bogini, z wieczornych obłoków zrodzona, płynie lekkim krokiem po mistycznej łące, z kwietną koroną na głowie, do bladej gwiazdy podobna na mlecznej nieba drodze, — migająca, uśmiechnięta, nieuchwytna.

Poeta, co często zachodził na brzegi strumienia słuchać szeptów fal o przeszłości, ujrzał jej bajeczną postać i biegnie ku niej i woła i jej pieśni zapomnienia słucha, za rozwiewne jej szaty chwyta i miłośnie do piersi przyciska. Gorące swe usta na usta jej położył, — lecz usta jej z lodu...

Znikło spłoszone widmo, — mgła się rozwiała, i znowu —

[1] *Undina* od łac. *unda* (fala), rodzaj nimfy, boginki strumieni leśnych.

tylko potok szumiał leśny i szeptał słodko o tej, co znikła — i o jej koronie kwietnej — i o pocałunku na różowych ustach; — szumiał pieśnią z owego kraju, gdzie tylko zapomnienie panuje i pokój...

O, słodka była pieśń fal szemrząca
Jako śpiew martwej gdzieś duszy,
Zdawało się, jakby z za grobów płynęły
Szepty tajemne wśród głuszy.

Ku falom się schylił, by dać pocałunek
I duszy gorącej swej drżenie:
Chciał wizyę w nich znaleźć, jasną — czarowną
Życia smutnego marzenie...

I znowu płynęły wody... Noc głucha padła na ziemię, — piany czepiały się brzegów, a z fal strumienia dźwigała się postać wyśniona. Białe, przeźroczne jej szaty i ciało, — na głowie znowu kwietna korona; — cicho płynęła po łąk zieleni — miłosna i uśmiechniona.

Przyszła nad znany brzeg strumienia, przyszła do niego. — On leżał piękny, jak Eros, — blademi, zimnemi usty całował ziemię, na którą już dawno — wyrzuciły go litosne wody stumienie. Ona przyszła ku niemu, — piękna, jak Psyche i padła mu na pierś milczącą i pocałunki na usta martwe kładła, jakby go niemi przebudzić chciała.

Lecz on leżał chłodny i spokojny, jak marmur; — wśród sitowia zaś płynąc, przeszłości balladę szeptały fale po pustym, dalekim kraju...

Undina — to smutne refleksye poety, w błękitną mistycyzmu szatę odziane, — refleksye nad ciężką jego przeszłością, do której, jak do pięknego, wyśnionego kwiatu młodości i szczęścia rwał się i wyciągał ramiona z dziecięcą ufnością, oddaniem się i wiarą, a która zmroziła go swym pocałunkiem, z różowych, powabnych ust podanym, — która powiodła go za sobą, powiodła na zawrotne wyżyny ducha i serca. A gdy słaby — jej się chwycić chciał ramion i na nich wesprzeć, — znikła z mgłą bladą, zdradliwie zostawiając go na pastwę otchłani życia i losu. — Powróci ona jeszcze w swem świetlanem ciele, w swym wieńcu wonnych

róż i bławatów na skroni, — z żalem, miłością i sercem dla nieszczęsnego kochanka; — przyjdzie jako przyszłość i szukać go będzie i budzić ze snu martwego pocałunkami, — na ustach jednak jego zciętych lód i zimno tylko znajdzie.

Oto — przeszłość i przyszłość straszna poety, — oto wielki tragizm promiennej boginki, co płynie na falach losu. Odbija się wraz z niemi od twardych kamiennych wybrzeży i uchodzi na głębiny wód, porywając za sobą nieszczęsnego człowieka; — powraca znowu, lecz na to tylko, by opłakać ofiarę szalonych fal, wyrzuconą na wybrzeże, — powraca cicha, spokojna, łagodna, pełna miłosnego szmeru i czułych uścisków, lecz — niestety za późno.

Oto — cała przesmutna idea dziwnego utworu; oto — cały tragizm życia i pieśni poety chorwackiego. Jest to cicha, marzycielska, rzadka w dzisiejszych czasach ballada, pełna romantyzmu i pierwiastków mistycznych. Jeden z krytyków Nikolića odkrywa w utworze tym »słowiańską duszę poety, która nigdy nie może się otrząść z mistycyzmu«, porównuje ją i łączy węzłem pokrewieństwa z duchem Preradovića, a u nas Mickiewicza. Słuszne, czy niesłuszne to porównanie, które wymagałoby ściślejszego zastanowienia, — w każdym razie słusznem jest i trafnem podkreślenie tego mistycznego nastroju w *Undinie* Nikolića.

Co do zewnętrznej strony wiersza Nikolića, — nie tu miejsce szczegółowo roztrząsać tę kwestyę. Prosta rzecz — pierwszym warunkiem byłoby poznanie tych utworów w oryginale. Tu poznajemy je w nader bladej tylko odbitce w naszym języku, — wszystkich więc piękności wiersza, melodyjności i muzyki słów i rymu, wszystkich delikatnych odcieni stylu i sposobu wyrażania lotnej myśli nie możemy absolutnie pochwycić. Musimy tedy poprzestać tylko na zaznaczeniu, że jak wewnętrzna treść (z małymi wyjątkami), tak i strona zewnętrzna Nikolića poezyi nader pociągająca, żywa i skończona.

Wiele harmonii dodaje tu i ówdzie poważny rytm klasyczny, — wiele uroku i niezwykłej siły gdzieindziej — swoboda zupełna i lekkość budowy wiersza, nietrzymanie się żadnych prawideł wierszowania, dowolne mieszanie białego wiersza z najregularniej-

szą, prawdziwie misterną harmonią najpoprawniejszej poezyi, — siła i patetyczność w wyrażaniu się, lotność i lekkość strof, mimo wielkiej swobody, składających się zawsze na jedną, wielką, piękną, harmonijną całość.

Częste apostrofowanie jednej, ważnej myśli, przeplatanie utworu, jakby wciąż powtarzającym się na kanwie jednym motywem, — jednem wyrażeniem lub całą strofą, — co u nas w tak wysokim stopniu spotykamy u Wyspiańskiego, a co tak silne robi wrażenie: — to wszystko działa ogromnie na czytelnika, wywołuje wielkie zadowolenie estetyczne słuchu, myśli i uczucia — proste zaś zawsze, naturalne i swobodne, bez cienia deklamatorstwa, sztuczności lub przesady, — przemawia silnie do wszystkich nerwów naszego ducha, gra na wszystkich strunach serca i uczucia

* * *

Nikolić wydał jeszcze oprócz poezyi szereg utworów prozaicznych, nowel, czy wrażeń, które wspólnie z podobnego rodzaju utworami innego pisarza chorwackiego, S e r g i u s z a T u c i ć a, wyszły pod zbiorowym tytułem: »Księga życia« *(Knjiga života).* Utwory obu tych pisarzy, przeplatające się nawzajem, poprzedza poetyczna jakby przedmowa, pióra krytyka Ivanova, który tłumaczy nam genezę tego oryginalnego zbiorku dwóch różnych zupełnie poetów i charakteryzuje w silnych i barwnych słowach twórczość i ducha tych dwu pisarzy. Dlatego, — w znacznej części przytaczam tu ten treściwy, a charakterystyczny prolog do »Księgi życia«, który nam najlepiej tłumaczy tę dziwną spółkę dwu talentów, zupełnie od siebie odmiennych, wręcz sobie przeciwnych, a zarazem jakby nawzajem się uzupełniających.

»Nie jest to przypadek, — pisze Ivanow, — żeście jeden obok drugiego, — jest to coś więcej: jakaś wewnętrzna potrzeba. Różnemi drogami nad jedną przyszliście przepaść. Jak morze, co się rozbija o kamienne skały, to cichym, posępnym odgłosem, to szaloną orgią spienionych bałwanów, — tak w was odzwierciedla się w dwojaki sposób tragika naszego pokolenia.

W półmroku twych pieśni, Mihovile, drży boleść — jak, kiedy jesienny wiatr jęczy liśćmi, strząśniętymi z młodych latorośli.

Napróżno opierasz się, napróżno z nadzieją w szczęście pragniesz samodzielnie, wśród uniesień i czarów przejść przez życie; na próżno, póki każdy nerw w tobie cierpi... Czyż porzucisz świat, bujając po kwietnych polanach fantazyi, pod błękitnem niebem samotnej i spokojnej duszy swojej? — Wspomnij na Wieruczkę![1] Czy możliwe jest pięść podnieść, czy możliwe na ruinach budować przyszłość? Wtedy ostaniesz sam, — bez wspomnienia i bez nadziei, — bez owych świetlanych promieni jej duszy, w ciemnicy swej niedoli. Ty płaczesz, gdy pomyślisz, że mógłbyś na wieki utracić Wieruczkę. Wierz mi, nie jest to myśl o Wieruczce, ale desperacki krzyk Twej duszy, która żyć może tylko w naszej wspólnej niedoli. To Ci daje siłę, gdy śpiewasz cichą melodyę cierpień naszych i dźwięki jej rozpływają się w duszach naszych...«

W tych dość tajemniczych i szumnych słowach podaje autor przedmowy znaczenie i charakterystykę obrazków Nikolića, pomieszczonych w »Księdze żywota«. Ostatnie zwłaszcza słowa są charakterystyczne. Jednak — zdaje mi się — że więcej byłyby one na miejscu — zastosowane do poezyi chorwackiego pisarza, niżeli do jego, zresztą pięknych i miło się czytających szkiców nowelistycznych, jakby wyrwanych kartek z dziennika osobistych wrażeń poety, jakby impressyi z chwilowych jego duszy nastrojów i uczuć, — niezawierających jednak nic nadzwyczajnego, nie zdradzających wcale (albo bardzo rzadko), — jakichś głębszych, ukrytych idei, — których krytyk się dopatruje, — jakiejś »myśli dalszej« poety, szerszego, mistycznego znaczenia słów. Dlatego słowa te ostatnie czytał już czytelnik wyżej, przy charakterystyce poezyi Nikolića; tam już je cytowałem, uważając je za stosowniejsze dla jego poezyi, daleko głębszej i wyższej, aniżeli te, zresztą piękne, ale przeciętne obrazki prozą.

Ciekawym jest dalszy ciąg przedmowy Ivanova, gdzie w wyrazistych barwach maluje sylwety obu poetów: Nikolića i Tucića, których utwory dziwnie w »Księdze żywota« — to powiewną tchną melancholią, — to w ponure uderzają gromy.

---

[1] *Vjerućka*, (Wieruczka) deminut. od *Vjera* (Wiara), imię bohaterki kilku nowel poety i prawdopodobnie miłości Nikolića.

»Z marzycielskich wybrzeży twoich moll-akordów wyrywają się dysonanse. To jest Sergiusza (Tucića) ciężki krok. W źrenicy ostrego jego oka, w rysach kamiennego lica odbija się wszelkie cierpienie. Jego słowa są, jak uderzenia młota. I kiedy jest smutny i łagodny — jego obrazy odbijają się, jak zęby w ludzkiem ciele; jako uderzenie burzy, która przewala się po przepaściach i łamie oliwki. Ty śnisz i płaczesz, — on wspina się po skałach i krzakach. Twoje życie, jakby budziło się o zachodzie słońca, kiedy pierwszy mrok zapada, — a jego — ciemna noc.

Doszliście przed tę samą przepaść — smutni. Spotkaliście się zamyśleni... A przecież! Wasze powołanie i wasza siła i nadzieja — zdaje mi się — w tem, że, odkrywając rany swoje i nasze, szukacie oddźwięku w dalekich, tajemnych stronach... przyszłości i ducha«.

Niezależnie od tego górnego prologu chcąc scharakteryzować impresye Nikolića, pomieszczone w «Księdze życia« musimy powiedzieć, że nie są one niczem innem, jak powtórzeniem dawnych skarg i porywów, nadziei i rozczarowań, które tylko, jako poezya, daleko silniej działały. Nie wprowadza tutaj autor niczego nowego, żadnych świeżych, nowych pierwiastków; jest, jak przedtem poetą-lirykiem, który spowiada się z swych wrażeń duszy, cierpień serca, wzlotów myśli. Ukrywając się zawsze za jedną z postaci owych nowel, siebie tylko maluje, swoje tylko kreśli uczucia; — pozostaje poetą takim, jak był i przedtem. Jako liryk widzi swą duszę i ją przedewszystkiem maluje, — jako opowiadacz patrzy i na świat zewnętrzny i na drugich ludzi, o których dowiadujemy się tylko tyle, o ile się w jego duszy oni odbili.

Do najpiękniejszych należą: »Nostalgia«, »Cisza«, »Nokturn Chopena«, »Wieruczka«, z których dwie ostatnie są jakby częściami jednej całości. W słowach tu prostych, szczerych i niewyszukanych, w formie pogadanki z swą ukochaną, kreśli swe chwilowe nastroje, wrażenia, jakich doznawał w różnych chwilach życia. Tu i owdzie rzuca jakieś głębsze, szersze myśli i refleksye, ale zawsze tylko, jakby mimochodem, bez chęci filozofowania, bez planu, bez początku i końca, — jakby od niechcenia.

Roztęskniona melancholia, cichy smutek, — jak i w poezyi jego, — tak i tu w główną uderzają strunę. Szczęście i swoboda,

za któremi wiecznie tęskni i wzdycha, uciekają od niego i znaleźć ich nie może, — a gdy myśli, że znalazł i na chwilę radością się uniesie, to wnet przychodzi rozczarowanie i żal, — i wówczas smutno poeta szepta w półmrokach i ciszy pokoju swej kochance: »Jeśli jest w życiu szczęście, to to jest szczęście, — kiedy wszystko zapomnisz i przebolejesz i kiedy świętości twojej duszy staną się dla cię tak naiwne, proste i przystępne, jako kwiat na polu«. (»Nostalgia«).

Tę górność lotu, ton idealny, mistyczny nastrój duszy zawsze i wszędzie poeta zachowuje; krok jego jest tak lekki i cichy, jak tej bogini fal losu, co z mgłą wieczorną nad wody strumyka ku niemu zstępowała. Wzrok jego i myśl buja górnie zawsze i wysoko, kędy najdrobniejszy pył ziemi nie dochodzi, kędy najcichszy szmer mieszkańców świata nie dolata. Ucieka od nich na te słoneczne, śnione wyżyny poezyi, a jeśli kiedy powróci do nich, to smutnem okiem po nich wodzi i szuka w nich duszy, — szuka niestety na próżno, — duszy na świecie znaleźć nie może.

»Poco — woła — ustawiczne te, nizkie walki w życiu, poco te napadania wzajemne na siebie, poco kłótnie, poco to wszystko, kiedy niema duszy w ludzkiem społeczeństwie; — a ja tej duszy wiecznie szukam i tylko — duszy...« (»Wieruczka«).

»Michał« Tołstoja jest dla niego od pierwszej młodości ewangelią, — z niej się modli i jej słowem żyje, — jej miłością bliźniego, którą tchnie książka cała. — »Bo i wielką jest ta miłość bliźniego! Ona dysze wielkim, świętym zapachem z przeszłości chrześcijaństwa! Ona szuka duszy. Lecz dzisiaj mało dusz na świecie...« (»Wieruczka«).

Takie myśli snując przed swą kochanką, poeta zapada w coraz cięższą melancholię, w bolesne uświadomienie, że nic na świecie dobrego nie utrzyma się, nie ostoi przed drapieżnym pazurem widma złości, przed trującym jadem węża fałszu, podstępu i podłości. Smutne rozczarowania i gorzkie doświadczenia nauczyły go z mniejszą, jak dawniej ufnością i wiarą w swiat patrzeć, do ludzi wyciągać ramiona; — jego poetyczną duszę zaprawiły one piołunem pessymizmu, a niekiedy cierpkiej ironii, sarkazmu. Wskutek tego, najszczęśliwszy, najspokojniejszy, gdy zdala od tej nie-

szczęsnej ziemi, od jej się brudów odwróci, i na ludzkie nie patrząc mrowiska, na skrzydłach poezyi w niebiańskie ulata sfery, w wyśnione zaświaty leci ideałów, w dziewicze krainy wspomnień. Wówczas, szczęśliwy »zamyka się wśród ciemnych marzeń ciszy i chwile prześnione« wspomina. — Niosą mu one ciszę i ukojenie, nie mogą jednak zabić jego wiecznej melancholii, wiecznej, nieskończonej tęsknoty, która zewsząd się odzywa, — nie mogą uśmiechem rozjaśnić przesmutnych, zawsze łzawych oczu poety.

Nawet, gdy spokojny i szczęśliwy na pozór przy boku kochanki, smutku tego wyzbyć się nie może i zdradza się z nim w każdem słowie:

— »Dla kogo sztuka?« — naprzykład każe pytać swej ukochanej i odpowiada: — »Dla ludzi, by nią żyli!«

— A jeśli się śni i marzenia runą?

— Wtedy się żyje przeszłością...

— Przeszłością...! — powtórzyła za mną.

— Tak! — przeszłością!... Każdy ją ma. I u każdego jest ona czemś najważniejszem. Zwłaszcza owa przeszłość młodości, kiedy słońce wschodzi... Później już ciężej; przychodzą groby, — żywe i martwe groby, — Wieruczko!...« (»Nokturn Chopena«).

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Oto — charakterystyczne momenty — dla poznania nastroju »Księgi życia«. — Przeszłość, przeszłość i przeszłość — jasna, droga, niezapomniana! — poza nią nic, tylko smutek i tęsknota. One wypełniają ten zbiorek nowel Nikolića, a w znacznej części i jego poezye; — one też specyalny twórczości jego nadają charakter i zabarwienie, — one dają nam obraz serca jego, talentu i myśli.

Można się co do tego kierunku i nastroju w poezyi sprzeczać, — nie można jednak w żadnym razie utworom Nikolića odmówić niezwykłej i niechwilowej wartości artystycznej, nie można im odmówić wprowadzenia do poezyi chorwackiej wielu pierwiastków nowych, wiele piękna w formie, wiele szczerości i piękna,

myśli i nastroju, wiele siły, oryginalności i muzyki. — Są to prawdziwie tęczowe, choć łzawe blaski na nowo wschodzącem słońcu poezyi, które przy dalszej pracy poety zaświecić mogą jasno na chwałę młodemu poecie i literaturze chorwackiej.

Tad. Stan. Grabowski.

Zagrzeb. W czerwcu 1905 r.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z nowszych powieści polskich.

Ludwik Stasiak: »Obrona sztandaru«. Mieszczańska powieść historyczna. — Wincenty Rapacki: »Histryoni«. Powieść z czasów Dyoklecyana. — Kazimierz Gliński: »Gady«. Powieść z XIV wieku. — Kazimierz Zdziechowski: »Przemiany«. Powieść. — E. Jeleńska: »Obrączka«. Powieść. — Jerwicz: »Baśń życia«. Szkic powieściowy. — Wacław Sieroszewski: »Ol-Soni Kisań«. Powieść. — Cezary Jaczewski: »Oko Ahura-Mazdy«. Powieść na tle legendy o Zoroastrze. — Spektator: »128-my Samarkandzki pułk dragonów«. Powieść. — Faustyna Morzycka: »Powrotne fale«. Dziewięć strof powieściowych z życia współczesnego.

Ktoby tylko okiem surowego krytyka na »Obronę sztandaru«[1] patrzał, miałby niejedno do zganienia. Zadziwiłby się najpierw tytułowi, bo powieść daje wprawdzie obrazy z życia mieszczan nowosądeckich, maluje szeroko bunt chłopski za Napierskiego a dopiero na ostatnich osiemdziesięciu stronach zajmuje się poświęceniem sztandaru i jego obroną przy wypędzeniu Szwedów z Sącza. Możnaby też powiedzieć, że olbrzymie skoki, gwałtowne urywanie scen i przenoszenie czytelnika w zupełnie inne środowisko, utrudniają oryentacyę a więc nie są koniecznie zaletą; że styl kwiecisty, gwałtowny, nerwowy, o ile dodaje dużo wdzięku i uroku pojedynczym ustępom, o tyle nuży w całości; że dwa wiarołomstwa, z których jedno bardzo smutnie,

[1] Ludwik Stasiak: »Obrona sztandaru«. Mieszczańska powieść historyczna. Kraków. 1905. Str. 364.

drugie bardzo tragicznie się kończy, to chyba za wiele na jedną powieść. Rozumiemy, że wiarołomstwo Koszwicowej było autorowi potrzebne, nie widzimy jednak żadnego celu w przedstawieniu wiarołomstwa żony kata, bo to nam danych stosunków wcale nie wyjaśnia Nie każdy wreszcie na to się zgodzi, że samobójstwo córki Wielogłowskiego dodaje utworowi piękności i niejeden pomyśli sobie może, że za wiele w nim krwi.

Kto jednak zechce w »Obronie sztandaru« widzieć tylko szereg, dość luźno zresztą z sobą połączonych obrazów z naszej przeszłości, będzie autorowi za jego dzieło na prawdę wdzięcznym. Wielka potęga słowa i uczucia przebija w różnych ustępach, tak wielka, że nie często się dzisiaj z podobną spotykamy; obrazy zaczerpnięte z polskiej przyrody, z gór, lasów, błoni i rzek, z polskich zwyczajów wreszcie, choć dość rzadkie, ale udatne i wdzięczne; pietyzm autora dla naszej przeszłości, ten pietyzm, który nie pozwala mu pominąć i drobnych nawet szczegółów, oświetlających jakkolwiek całość, porywa czytelnika z sobą; znany już z »Humoresek« humor p. Stasiaka, skoncentrowany niejako w powieści w postaci kata, każe się szczerze uśmiać. Jaki ten kat pyszny, gdy np. wygaduje na Bochnię, gdzie »mieszczaństwo pijanica w pijanicę, rabować ani mordować się nie chcą, egzekucyi za grosz«, gdy egzaminuje Czepca, czy »na prawdę ma do łupienia psów powołanie«, gdy prosi fałszerza Użewskiego, aby się przecież przyznał do zbrodni, inaczej pozbawi go 3 złp. i sześciu groszy, wyznaczonych za ścięcie winowajcy, lub gdy po zdradzie żony ślubuje pomstę »wszystkim niewiastkom, pannom i podwikom«!

Największą jednak zasługą książki, to szeroko rozwinięte tło historyczne, wdzięczne gdy mówi o Nowym Sączu, jego bogactwach, o zdolnościach, obyczajach, pociechach, smutkach i ofiarności jego obywateli, groźne gdy omawia krzywdy i ucisk chłopów polskich, tortury polskie i szwedzkie lub piekielne intrygi aryanów. Czytającemu te karty włosy stają na głowie; można zrozumieć dlaczego chłopi się zbuntowali i trzeba powiedzieć sobie, że to nie była niemiecka wojna chłopska, ale walka o najświętsze dobra.

Z pewnem niedowierzaniem bierze się »Histryonów«[1] do ręki. Pisać dziś po Sienkiewiczu powieść z czasów rzymskich, do tego po-

[1] Wincenty Rapacki: »Histryoni«. Powieść z czasów Dyoklecyana. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1906. Str. 267.

trzeba i dużo talentu i więcej jeszcze odwagi. A jednak czytelnik, odłożywszy książkę, powie sobie, że nie stracił czasu na darmo.

Na tle znanego nam z martyrologium i z aktów męczeńskich życia histryona Genezyusza, który nawrócił się w chwili, gdy na scenie pogańskiej wyśmiewał naukę i obyczaje chrześcijan, maluje autor obraz ginącego już i upadającego Rzymu. Histryonami tam to nie tylko właściwi aktorzy, nimi są także cesarze, naród rzymski, nawet niektórzy z ówczesnych chrześcijan. Rzym stary ginie dlatego właśnie, że z histryonów się składa. Mieszkańcy olbrzymiego państwa i miasta są aktorami w życiu, w pracy, w zabawach. Dawna potęga Rzymu, oparta na naturalnej poczciwości natury ludzkiej, znika a nowe powstaje państwo, którego całym i jedynym orężem: krzyż. Ten krzyż wywołuje prześladowania i walki, a jaki tego skutek? »Na twarzach niegdyś obojętnych widzisz żarliwość i gotowość wielkich ofiar. Duch potężnieje. Godło odkupienia wskrzesza w nich siły do walki. Któżby z nich nie chciał umrzeć, jak umarł Zbawiciel świata?« (str. 59). To też gdy Dyoklecyan podpisał dekret prześladowania chrześcijan, »dawał światu krwawe widowisko i pracował usilnie dla zbudowania tronu innemu władcy« (str. 179). Jak krwawa ironia brzmi ta uwaga, a to tylko Nemezys dziejowa.

Za to, że autor, choć opisuje zepsute życie i orgie Rzymian, w niczem jednak nie uraził skromności i że tak pięknie i szlachetnie przedstawia chrześcijan, ich cierpienia i walki, należy mu się szczere uznanie.

O »Szkicach teatralnych«, dołączonych do »Histryonów«, możemy tyle tylko powiedzieć, że wolelibyśmy je widzieć w osobnem wydaniu, gdyż psują wrażenie poprzedzającej powieści; to rzecz z całkiem innego świata. O przedostatniej pracy p. Rapackiego »Około teatru«, do której i »Szkice teatralne« należą, pisaliśmy w *Przeglądzie* przed kilku miesiącami; ówczesny nasz pochlebny sąd w całości powtarzamy.

W zamierzchłą przeszłość Polski, w czasy króla Łokietka, prowadzą czytelnika »Gady« [1]. Tej powieści zawdzięczyć można kilka chwil miłej rozrywki — p. Gliński umie bawić i zająć. Przyczynia się do tego styl, który swoim w miarę użytym archaizmem działa dziwnie bezpośrednio a często nastrojowo. Ze stylem łączą się obrazy i opisy,

[1] Kazimierz Gliński: »Gady«. Powieść z XIV wieku. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1906. Str. 422.

których w każdej powieści autora jest niemało — czuć w nich młodzieńcze porywy, wiosenny urok, zrozumienie i miłość przyrody i znajomość dawnych zwyczajów; taki np. opis nocy Andrzejowej z pewnością się spodoba. Do zainteresowania czytelnika przyczynia się niemało i niezwykłość sytuacyi. Od takich charakterów, jak urocze pacholę Orlik, paź Święcy, od obrazów, jakie przed nami roztacza Słowicza noc, pełna blasków księżyca, klaskania słowików, dźwięków harfy i dziewiczych marzeń, odwykliśmy już dzisiaj. Surowy krytyk pewno na nie się skrzywi i ramionami wzruszy, tak mu te sceny przypomną dawne, dziś nie popłacające romanse pasterskie z czasów piosenki: »Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły«, przeciętny za to czytelnik chętnie je przeczyta a może i nawet do nich powróci, właśnie dlatego, że to takie dawne, a więc miłe wspomnienia. Zaletą obecnej powieści jest także to, że do końca trzyma uwagę na uwięzi i — nie nudzi, a to w dzisiejszym potopie belletrystycznym wiele już mówi.

Treść »Gadów« następująca: Potomek wielkiego rodu Święców, Jaśko Święca, wraca po wielu latach z auzońskiej ziemi do ojczyzny, gdzie dziad jego, wojewoda gdański, który niegdyś zdradził Polskę Krzyżakom, umiera w leśnej chacie, przeklęty i nieżałowany. Jaśko, nie znający stosunków, przysięga pomścić dziada na królu, chowa zmarłego w rodzinnych grobach a sam w otoczeniu Krzyżaków, jedzie do Krakowa szukać umiłowanej, którą poznał w noc Andrzejową. Odnajduje ją, lecz towarzysz, Krzyżak Wolffram, w którym piękność Helżbietki wzbudziła pożądliwość i namiętność, wykrada dziewczynę. Jaśko już nawrócony do króla, goni go, a po drodze spotyka znanego ze swego okrucieństwa ale i z czuwania nad dyscypliną zakonną Krzyżaka Trottenberga, który się do niego przyłącza. Kmieć, któremu Krzyżacy zamordowali syna, zabija Trottenberga, Jaśko dogania Wolfframa, a on widząc, że niema ratunku, morduje Helżbietkę i sam ucieka. Tymczasem wybucha wojna; Wińcz z Szamotuł połączył się z Krzyżakami, nawraca się w ostatniej chwili, Łokietek zwycięża pod Płowcami, Jaśko znika. Wypływa wreszcie gdzieś po latach w klasztorze włoskim, gdy w spowiedzi rozgrzesza Wolfframa.

Zepsucie więc i złość krzyżacką przedstawił autor w życiu i dziejach Wolfframa i brata Johana; około nich przelotem tylko ugrupował szereg faktów, myśli i osób, tak że z tego wszystkiego wytworzył się obraz zdrady, przewrotności, podstępu, obłudy, fałszu, jednem słowem obraz najwyższej moralnej nędzy, groźny wprawdzie i tragiczny, ale przymglony, niejasny i niewyraźny. Czy takie pojęcie

przedmiotu historycznego odpowiada celowi powieści, o tem możnaby dysputować, mniej się nam podobają różne nieprawdopodobieństwa. Święca widzi, że imię jego rodu jest znienawidzone a nie przychodzi mu nigdy na myśl poinformować się o przyczynie u Polaków. Żyje pod wpływem krzyżackim nienawiścią do króla; widzi, że cały naród tego króla uwielbia i nie zdaje sobie z tego sprawy. Po śmierci Trottenberga wychodzi sam jeden z Orlikiem cało z walki z Krzyżakami — jak? tego już nie rozumiemy. Takich błędów rzeczowych możnaby jeszcze więcej naliczyć, a one nawet wyrozumiałemu czytelnikowi osłabiają wrażenie, ponieważ autor ślizga się tylko po faktach i każe czytelnikowi najważniejszy moment danego epizodu dośpiewać sobie w duszy, a on sobie dośpiewuje w sam raz co innego. Ten błąd można wprawdzie wytłumaczyć romantycznym nastrojem powieści p. Glińskiego, błędem on zawsze pozostanie. Poza tem różne epizody nie dają nam wprawdzie dokładnego obrazu wieku i ludzi, gdyż są nakreślone za pobieżnie, ale dają przynajmniej tego obrazu kontury. Nie chcemy wreszcie robić p. Glińskiemu zarzutu z tego, że czasami, szczęściem rzadko, trochę grubo maluje, bo takie pojęcie pojedynczych momentów wydaje się nam zawarunkowanem życiem i czasem, które autor przedstawia a nie widzimy tam błota ani złej woli; ciekawem za to i senzacyjnem jest pojawienie się już w dalekiej przeszłości liter H. K. T., których geneza wyprowadzona z nazwiska Henryka Korneliusza Trottenberga.

»... Jest jakieś prawo życia, jednakie dla wszystkich, które będąc przekroczonem, mści się. Nie można żyć jednostronnie dla samej tylko idei... Każdy ma chwilę w której zażąda szczęścia, w której przechodzi obok swego szczęścia. Wyciąga rękę... Nieraz idzie dalej z próżnemi rękami i wówczas może stać się użytecznym działaczem, szlachetnym myślicielem, lecz wszystko cokolwiek uczyni, będzie miało jeden cel: oto zasłonięcie próżni...« (T. I. 339 sq.). »Całe nasze życie — to próba, szkoła, krótka wędrówka, szereg ćwiczeń i plag... Życie jest długie i niczem się nie zapełni pustki, żadne idee, żadna działalność... Kobieta, która prowadzi, tworzy i działa, wpada w nieszczęście... Wielkie cele, wielkie ideały miażdżą szczęście osobiste tak, jak parowozy miażdżą ludzi. Bojowanie żywot człowieczy... utrapienie ducha... Nie przyjdzie samo wyśnione królestwo Bożych obietnic. W trudzie i męce winno być uczynione, pracą poświęceń, służbą zaprzysiężonych niewolników. Kto wszedł na drogi zbawienia i trudu niech odda

siebie, siebie całego. Za czarną rzeką niema wytchnienia i niema nadziei prócz tej, że kiedyś, kiedyś dla innych dalekie świty, daleka wiosna. Jeźli ziarno pszeniczne wpadłszy w ziemię, nie obumrze, samo nawet zostawa. Lecz jeśli obumrze, wielki owoc przynosi«.

W tych, a przedewszystkiem w ostatnich zdaniach, krystalizują się, jeżeli się nie mylimy, główne myśli, dość ciężko i może za rozwlekle, ale z talentem napisanych »Przemian« [1].

Paweł Nieborowski po pewnych zawodach w życiu, ma taki wytknięty cel przed sobą: pracę nad ludem. Ale ten cel nie wypełnia jego życia i nie tylko dlatego, że o ciemnotę, apatyę i opór wiejskiego ludu i szerszych nawet mas rozbijają się usiłowania tego idealisty. Pustkę życia chce zapełnić miłością i dalej pracować, czuć jednak, że i tu znajduje się na fałszywej drodze, gdyż jego żonie brak przymiotów do takiej pracy wymaganych. Odbywają się więc w nim przemiany, ale widać, że szczęśliwy i zwycięski z nich nie wyjdzie, gdyż nie rozumie życia i jego celu.

Równolegle z nim przewija się przez powieść postać Anny Opolskiej; piękna, bogata, ubóstwiana, »wielka działaczka«, więc w opinii ludzkiej szczęśliwa, »rozwiązała zadanie życia tak świetnie i zbrakło jej czegoś« (t. I. 819), pustka w jej życiu, bo przykuta do starego, niekochanego męża, rwie się do miłości, a zapomina, że »miłość, to czyn, to poświęcenie, to cicha, chętna ofiara« (str. 116, t. I); serce jej należy do jej rządcy, Stefana Modrzeca, a jeżeli nie idzie za nim i do niego, to tylko dlatego, »że na nią posypie się grad kamieni« (t. II. str. 334) i nie może sobie nawet powiedzieć, że w niej »zwyciężyła cnota, że usłuchała głosu sumienia, słów duszy. Cnota? Ludzie zwyciężyli ją i życie zwyciężyło ją« (str. 335), wszystko więc odtąd jest w jej życiu, »tylko jednego nie można, nie wolno, tylko jednego nie będzie nigdy...«, t. j. szczęścia, gdyż i ona weszła na fałszywą drogę, gdy szła za mąż za Opolskiego, a »prawo życia przekroczone mści się«; i ona celu życia nie pojmuje.

A najszlachetniejszy i najsympatyczniejszy ze wszystkich Stefan, którego serce całe do Anny należy, który całe życie swoje poświęcił pracy dla drugich, on czuje dzisiaj, że gdzieś daleko, »bezpowrotnie szczęście jego, jego szczęście zostało daleko — za rzeką własnej męki, za rzeką ludzkiej niedoli«, ale równocześnie czuje i to, że »nie przyj-

[1] Kazimierz Zdziechowski: »Przemiany«. Powieść. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1906. T. I, str. 346. T. II, str. 347.

dzie samo — wyśnione królestwo Bożych obietnic. W trudzie i męce winno być uczynione, pracą poświęceń, służbą zaprzysiężonych niewolników. Kto wszedł na drogi zbawienia i trudu, niech odda siebie, siebie całego« (t. II, str. 347); i on rozumie symbol Chrystusa o ziarnie pszenicznym, obumierającym w ziemi. I tak snuje się ta myśl i owija dokoła innych postaci tej powieści.

Przyznamy otwarcie, że z pewnem uczuciem przygnębienia skończyliśmy czytanie »Przemian«, że nużył nas rozwlekły ton całości, te długie refleksye i rozumowania, wolny postęp akcyi; przyznajemy również, że nie godzimy się z wszystkiemi zapatrywaniami autora, choć one nieraz w powabną przybrane szatę, że nie rozumiemy takiego np. twierdzenia: »Bóg jest nieskończenie daleko. Modlitwy i prośby opadają, jak znużone żurawie, którym nie przelecieć morza. Za morzem niezmiernem cierpienia jest Bóg... daleko, mądry i niepojęty widz niedoli człowieczej, król obojętny i pan, nieubłagany mocarz... daleki jest Bóg od zbolałego serca...« (t. II, str. 238); to jednak przyznamy chętnie, że w autorze widzimy i człowieka talentu i człowieka szlachetnego serca, który na życie patrzy się poważnie. Różnych ludzi dają nam »Przemiany«, różne słabostki i słabości ludzkie, one malują, nigdzie jednak w nich nie spotkać satyry Weyssenhofa lub gryzącego pióra Rodziewiczówny. Autor chłoszcze błędy, lecz czyni to jako ten, który chce poprawić. Zna serce ludzkie i umie w serce parzeć. Wolelibyśmy, żeby w życiu pani Anny brakło tych błędów i upadków, które plamią jej wyniosłą, szlachetną duszę, lecz równocześnie czujemy, że mogą się znaleźć i znajdują się w życiu człowieka chwile, w których to biedne ludzkie serce inaczej postąpić nie potrafi, w których ono jest tak na wskróś ludzkiem. I dlatego, powtarzamy raz jeszcze, choć nie godzimy się na wszystkie wywody autora, pozostajemy z uznaniem dla jego szlachetnej duszy i dobrej woli.

W jesienną noc stara kobieta spisuje swoje wspomnienia [1]. Na wszechnicy w Krakowie otrzymała dyplom doktora filozofii, to jej jednak nie dało szczęścia. Swoi jej nie rozumieją, praca literacka nie wypełnia pustki, podróże nie zadawalniają, wychodzi wreszcie po długich walkach za mąż za człowieka, o dobrem w gruncie sercu, ale

[1] E. Jeleńska: »Obrączka«. Powieść. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1907. Str. 284.

słabej woli i burzliwem życiu. Literackie aspiracye co chwilę zaciemniają horyzont małżeńskiego szczęścia, mąż stacza się w przepaść i pod wpływem miłości żony powstaje na nowo — katastrofa ostateczna już grozi, gdyż jedno nie rozumie drugiego; wtenczas żona przynosi heroiczną ofiarę, przestaje być uczoną i literatką a staje się żoną i choć »sama nie była szczęśliwą, to dużo dała szczęścia i snuła długą nić miłości«.

W tych ramach przesuwa się dużo myśli i obrazów. Życie studenckie naszkicowane ulotnie tylko, ale sympatycznie; przeciwstawione jemu czcze, nudne i filisterskie życie wyższych warstw. Słychać o emancypacyi kobiet, rzucone gromy na »powódź zbrodni i gwałtu, którą puściły na świat męskie rządy«. Jest tam trochę i o wolnej miłości, na którą autorka wprawdzie się obrusza, ale której cichaczem, w teoryi przynajmniej, nie potępia, gdyż bohaterka na dowody przeciwnika niema żadnej odpowiedzi a robiąc bilans swego małżeństwa, dochodzi do wniosku, że ono jej nic nie dało. Jest w powieści dużo flirtu, trochę sceptycyzmu, dziwnie ciekawe zapatrywania na małżeństwo, »dobroduszna nauka katechizmu« o wolnej woli, o stosunku mężczyzny do kobiety i — bez tego się naturalnie obejść nie może — zidyociały ksiądz, potrzebny do tego, by wykazać reakcyjne i średniowieczne stanowisko kleru w stosunku do dzisiejszej literatury; jest także niedbała korekta (a może i co więcej?) w cytatach łacińskich lub francuskich np. *femina tacet in ecclesiam.*

Jedno w powieści jest dobrze opracowane: moment psychologiczny, który musiał dać taki a nie inny rezultat, to znaczy złamane życie, i gdyby nie mgliste teorye pod koniec dzieła, możnaby w tych warunkach prawie bez zastrzeżenia na wszystko się zgodzić.

W jednem tylko różnimy się od autorki. Nie powiemy, że winę złamanego życia ponosi »kobiece serce, które zanadto kocha, zanadto się całe umieszcza w małżeńskiej obrączce«, ani sama o b r ą c z k a, ani fakt, że Hania chciała służyć dwom panom, literaturze i mężowi, gdyż to wbrew twierdzeniom autorki, gdzie będzie trochę więcej poczucia obowiązku i trochę więcej rachowania się z realnymi warunkami życia, nie wydaje się nam wcale niemożliwem, ale w niedobraniu charakterów. Gdy się z sobą łączą dwa charaktery, siebie nawzajem nie rozumiejące i stojące na dwóch przeciwnych biegunach, o harmonii a zatem i o szczęściu mowy być nie może; strona zwyciężająca się wypełni tam wprawdzie swój obowiązek, ale musi sobie powiedzieć: »nie byłam szczęśliwą«.

»Baśń życia«[1] daje w przedstawieniu losów matki i jej ułomnego syna garść pytań do rozwiązania. Ta, jak ją autor niesłychanie trafnie i oryginalnie określa »sen-kobieta« śpi i nic jej zbudzić nie potrafi. Wyszła za mąż za człowieka, nad którego mogiłą w kilka miesięcy po ślubie stała bez łzy w oku, prawie z nienawiścią w sercu— on jej rozbudzić nie mógł. Przyjaciel, Stefan, potrafiłby ją może rozbudzić, ale on po doznanym zawodzie kochać już nie umie; z innym, z którym się poznała w górach, po miesiącu na zawsze się rozstała. On się pewnie nie spodziewał nawet, że jej dusza pod jego tchnieniem zaczynała już żyć.

Syn Leny, Julek, kaleka, to dziwne dziecko. Żyje w nim głębokie przygnębienie, żal, ból, zazdrość, ironia, jakaś chorobliwa ciekawość, dążąca do rozwiązania wszystkich zagadek życia. To umysł filozoficzny, który w siedemnastym roku życia, krótko przed śmiercią, pisze dzieło: »Książka smutna dla wesołych ludzi, a wesoła dla smutnych. Uwagi o życiu tego, który nigdy nie żył«, dzieło pełne, fałszywych nieraz, ale prawie zawsze oryginalnych uwag. Jego niezwykłe zamyślanie się, dociekanie przyczyn, tłumaczą sobie jedni przez to, że jest poetą, inni, że jest egzaltowanym lub po prostu kaleką. Matka go ostatecznie nie rozumie; oddalają się od siebie coraz więcej. Sama bez Boga nie może mu dać odpowiedzi na najważniejsze pytania, a gdy syn umarł »uczuła tylko, że się coś złamało, ale że ona żyje... wiedziała, że deszcz ucichł, że ktoś coś na zawsze pożegnał«.

Koło tych dwóch osób grupuje się kilka innych, które jednak wybitnej roli w powieści nie odgrywają.

Tak się przedstawia »Baśń życia«. Jest w niej wiele ustępów silnych, rzewnych, niecodziennych, jest dużo myśli, które nie często w powieściach spotykamy, znajduje się w niektórych miejscach prawdziwa liryka, wiosenna pogoda, szczere uczucie, ale na wszystkie te trudności »Baśni życia«, na te pytania: »Czemu życie dla ludzi jest tak ciężką, nierozwiązalną zagadką? Czemu tak mało spragnionych i głodnych bywa nakarmionych, czemu tak mało wybranych, a tylu, co szczęścia łaknie, czemu jednym jest życie ciągłą gonitwą, tęsknotą, pragnieniem, wieczną walką i męką bez celu, a dla innych stoją pełne a niezasłużone puhary szczęścia« (str. 120) i t. d., na te pytania już dawno odpowiedział zdrowy rozum i wiara; dla nich życie nie jest

[1] Jerwicz: »Baśń życia«. Szkic powieściowy. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolf. 1906. Str. 152.

zagadką. Kto przyznaje, że się modlić nie umie, że »tam wszystko jednakowo dobre i że niema nagród dla szlachetnych ani kar dla złych ludzi« (str. 77), nie dziw, że tej zagadki sobie nie rozwiąże.

Do »Krainy Cichego Poranku«, do Korei prowadzi »Ol-Soni Kisań« [1]. Kto zna Sieroszewskiego, jako autora »Korei«, ten po tej egzotycznej powieści dużo ciekawych rzeczy spodziewać się będzie i nie zawiedzie się w swem oczekiwaniu. »Ol-Soni« przedstawia zmaganie się dwóch światów. Młodzi, widząc grożącą państwu ruinę, chcą przejąć od cywilizacyi zachodniej to wszystko, co jest w niej dodatniego, żądają zaprowadzenia szkół, kolei, telegrafów, zniesienia niewolnictwa a nawet... wywłaszczenia; starzy, opierając się na zasadzie, że Zachód uwzględnia tylko potrzeby ciała a Wschód duszy, i że, co przez tysiąc lat dobrem było, i teraz nie może być złem, potępiają w czambuł wszystkie »japońskie nowinki« a »zamorskich dyabłów« przepędziliby najchętniej za siódmą granicę. Wybucha powstanie; młodzi pod wodzą Kim-non-czi'ego, syna królewskiego ministra, Kim-okkium'a zdobywają, wspomożeni przez Japończyków, pałac, więżą króla, lecz żołnierze chińscy i przekupnie seulscy, na ich czele ojciec Kim-non-czi'ego, pałac odbierają. Bunt zostaje stłumiony potokami krwi; ginie Kim-non-czi, jego przyjaciel i jak on sam, potomek starego rodu, Kim-ki, a kochanka Kim-non-czi'ego, tancerka Ol-Soni, shańbiona przez króla, kończy samobójstwem. Jedynym skutkiem powstania było zniesienie niewolnictwa; w »Krainie Cichego Poranku« wszystko pozostało przy starem.

Na tem tle rozwijają się ciekawe, a nam wogóle mało znane obrazy. Staje przed oczami ten zmurszały kraj z swym despotyzmem i niewolniczą uległością, odmalowany w pięknych szkicach z życia publicznego i rodzinnego; pojawiają się stare, zapleśniałe przesądy i przepisy, których dzisiaj już nikt zrozumieć i ich potrzeby pojąć nie potrafi; widać nienawiść do »zamorskich dyabłów«, do ich pracy i przez nich zaprowadzonych instytucyi; czuć na każdym kroku, że Japończycy odgrywają w Korei tę samą rolę, jak np. w Europie Niemcy; spotykamy wreszcie ten obcy nam świat w tajemniczych i spiskujących klasztorach, w przybytkach tancerek a tancerki same na ucztach i zabawach. Ten ostatni szczególniej moment był drażliwym, trzeba jednak

[1] Wacław Sieroszewski: »Ol-Soni Kisań«. Powieść. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff 1906. Str. 247.

przyznać autorowi, że niebezpieczeństwo dość dobrze ominął. Rzadko tylko czuć, jak w tym chaosie niewolniczych, zwyrodniałych, starym przesądem spętanych typów, kobieta poznaje swe poniżenie i jak silniejsze duchy czują potrzebę reformy, — niestety! jeszcze nie przyszedł czas.

Tytuł powieści wydaje się nam mniej odpowiedni, gdyż Ol-Soni w całym ruchu za mały bierze udział; tem chyba da się on usprawiedliwić, że uprowadzenie Ol-Soni przez króla przyspieszyło wybuch.

Tomik zawiera jeszcze dwie drobne prace: pesymistyczny obraz »Przepowiednia Wernyhory« i wspomnienie z Syberyi »Sclavus saltans«.

Bardzo głęboko w dzieje ludzkości, bo co najmniej do ósmego wieku przed Chrystusem, sięga »Oko Ahura-Mazdy« [1]. Musimy to stwierdzić na samym początku, że do przeczytania tej powieści potrzeba dużo siły i wytrwałości, gdyż daje ona wogóle lekturę ciężką.

Tem okiem Ahura-Mazdy, czyli Ormuzda, a więc Boga, jest słońce, w przenośnem znaczeniu jest niem Zaratustra czyli Zoroaster, którego życie i naukę na podstawie ksiąg Awesty i nowszych badań podaje autor. Stają więc przed czytelnikiem starożytne, tak odległe i tak nieznane krainy Medów, Turanów i Iranów. W chwili, kiedy państwo Medów chyliło się do upadku a religia została spaczona, narodził się Zaratustra. Jego przyjściu towarzyszą znaki, które naiwność ówczesnych uważa za cuda. Ale reformatorskie zapędy religijne Zaratustry natrafiają na opór. Schodzi swoim wrogom, kapłanom, z oczu i, aby lepiej przygotować się do poznania i wypełnienia woli Ahura-Mazdy, spędza całe lata w samotności wśród gór, gdzie słowa Fanuela, syna Henocha, wpływają dodatnio na tworzenie i kształcenie się jego pojęć religijnych, nie oczyszczają ich jednak zupełnie. Żonę umiłowaną rozdarł mu lew, nic go już nie wiąże z ziemią, zostawia dzieci w domu rodziny a sam wybiera się w świat głosić swą naukę, dać ludziom poznać jedynego Boga i jego prawo, które im szczęście przynieść może. Zawiść kapłanów ściga go i w tej drodze. W niewoli ciężkiej u Turanów pędzi lat kilka, ratuje go stamtąd król irański, Kawa Wistaspa, który pobił Turanów a ich władcę, Astę, wziął do niewoli. W Iranie dochodzi do wpływu, znaczenia, skupia dokoła siebie garstkę wyznawców, lecz mimo »cudów« nie osiąga celu, aż dopiero wielkie

[1] Cezary Jaczewski: »Oko Ahura-Mazdy«. Powieść na tle legendy o Zoroastrze. Kraków. Gebethner i Spółka. 1906. Str. 350.

zwycięstwo Aryów nad Turanami, rzuca Wistaspę i Aryów w objęcia jego nauki.

Widać, że autor wżył się w swój przedmiot. Z szczerem zamiłowaniem maluje swego bohatera; czuć z każdej kartki powieści, że ten idealista, właśnie dlatego, że był idealistą i nie umiał czy nie chciał się liczyć z konkretnymi warunkami życia, nie mógł za życia swego wywrzeć tego wpływu, o jakim marzył. Silnie też występuje w powieści odwieczna walka dobra ze złem, zdrowego postępu z niezdrowym konserwatyzmem, formułki z treścią. Pięknie i szlachetnie rysują się niektóre charaktery, jak np. starego maga, Ramatora, doradcy króla Iranu, Jamaspy, żony Zaratustry, Kagary lub córki Jamaspy, Hwowi. Tylko obraz ówczesnego świata wypadł za abstrakcyjnie, za mglisto. Nie żądamy wprawdzie od powieści, aby nas uczyła archeologii, etnografii czy też historyi, ale słusznie żądać możemy, żeby nam dała plastyczny obraz świata, w który nas prowadzi. Wszak i Prus w swym »Faraonie« wiódł nas daleko, a jednak jakie tam konkretne, realne, plastyczne malowidło starego Egiptu. Tego w powieści p. Jaczewskiego niema, niełatwo się w niej zoryentować a i niektóre charaktery, odgrywające w dziele wielką rolę, wypadły dość słabo. Trudno nam w każdym razie wyobrazić sobie takiego króla Iranu, Wistaspę, opowiadającego, jak mu »łydki dygotały«, jak go »w dołku zemdliło, że nie wie, jakim sposobem powstrzymał się, aby na łożu kozła nie wywrócić«; trudniej jeszcze wyobrazić sobie wschodniego monarchę, chodzącego po sali na palcach i zaglądającego za kotary, czy przypadkiem kto nie podsłuchuje. Wogóle komiczny pierwiastek, występujący w niektórych postaciach, nie wydaje nam się bardzo na miejscu.

Powieść Spektatora [1], choć nowego nabytku literaturze nie przysporzy, znajdzie jednak czytelników, gdyż jest aktualną i wierną fotografią życia a przytem dużo w niej »aromatu koszar i stajni« i »garnizonowych przyzwyczajeń«. Zaliczyć ją można do rzędu senzacyjnych niemieckich powieści żołnierskich w rodzaju »Z małego garnizonu«; różni się od nich o tyle tylko, o ile wprowadza w zupełnie odrębne środowisko, skutkiem czego i ogólny charakter inaczej wypada.

Czytając tę powieść łatwo zrozumieć, dlaczego ostatnia wojna

[1] Spektator: »128-my samarkandzki pułk dragonów«. Powieść. Kraków. Gebethner i Spółka. 1906. Str. 269.

rosyjsko-japońska tak, a nie inaczej, się skończyła. Wszystkich przedstawicieli tego rosyjskiego pułku, którego fotografię daje autor, cechują jedne i te same, a tylko ujemne, własności: gruba rozpusta, pijaństwo, gonitwa za używaniem, zapoznanie obowiązków, podłość, fałsz, brak honoru i poczucia własnej godności, chłopskie wychowanie, gburowatość, intryga i t. d., w nieskończoność. W tej całej bogatej galeryi typów dwa tylko odbijają dodatnio: jeden, zaledwie naszkicowany, stary sebastopolczyk, Wengierin, który potrafił przynajmniej w wojnie tureckiej zginąć śmiercią walecznych, i drugi czerkies, Mosułow, który swym czerkieskim rozumem pojmuje znaczenie takich słów, jak: ziemia ojców i który czuje, że dla awansu zmieniać religię, to hańba.

Trzy typy polskie pojawiają się w powieści: Ropowski występuje tylko chwilami; Jahotyński odmawia z zimną krwią swemu towarzyszowi polskiemu pomocy, gdy chodzi o uratowanie ojczystego gniazda, a nadto żeni się z jego narzeczoną, by ją wkrótce po ślubie porzucić i romansować z żoną rosyjskiego generała; Kurhanowski po utracie narzeczonej i Kurhadoczka wdaje się w miłostki z generałową, dla niej przechodzi na prawosławie, widzi dokoła siebie zazdrość i hańbę, niema nawet odwagi, by sobie śmierć zadać i ginie wreszcie w Bałkanach, nie śmiercią walecznych, lecz śmiercią zrozpaczonego zapaleńca.

Z tymi charakterami polskimi moglibyśmy się nawet i pogodzić, bo autor prawdopodobnie chciał przedstawić, jak demoralizująco działa takie otoczenie, lecz żal mamy do autora za te typy polskich obywateli, jakie nam dał. Jest ich trzech; każdy z nich w innych warunkach byłby doskonałym w swoim rodzaju. Taki np. prezes Murejsza z swoimi sławnymi aksyomatami, jak: kiedy człowiek się żeni, zakłada rodzinę, lub: koło, aby było dobre, musi być okrągłe; taki Konrad Sowiecki z swojem hasłem *sono neutrale* i z ciągłem utrapienieniem z powodu żab, wygrywających mu zawsze w jego »Żabim Stawie«; taki wreszcie stary Jahotyński, który swojem postępowaniem codziennie wykazuje prawdę przysłowia o dyable i starym piecu — wszystkie te postacie to same w sobie pyszne figury, ale trzeba je było przeciwstawić innym, któreby je mogły zrównoważyć , boć przecież nie tylko z takich społeczeństwo się składa. Nie myślimy tu wcale o stosowaniu recepty o cnocie i zbrodni, o nagrodzie i karze, ale ani estetyka ani prawda życiowa nie wymagają od powieści, by przygnębiała i bawiła się w stronniczość.

»Powrotne fale« [1] składają się z dziewięciu strof powieściowych, jak pisze autorka na kartce tytułowej, z dziewięciu fal, jak podaje w tekscie, przyczem nie zawadzi nadmienić, że fala ósma zawiera tylko trzy wiersze tekstu i pięć wierszy kropek. Kto te »Powrotne fale« uważać będzie rzeczywiście, jako obrazy z życia współczesnego wogóle, ten z pewnością nie wiele z nich zrozumie; kto w nich zechce widzieć, jak też w rzeczy samej jest, obrazy chorych i narwanych dusz z współczesnego świata, ten także wiele nie zrozumie, ale przynajmniej będzie miał o całości jakie takie pojęcie. Znajdzie więc w tych strofach powieściowych doktora Broniewską-Jakobi, żyjącą w »wolnej miłości« ze sławnym socyologiem, a ta dr. Broniewska śmiało, »może siebie postawić za wzór całym szeregom postępowych kobiet, którym pierwsza utorowała drogę i wskazała jak iść mają, ani na chwilę nie ustępując nizkim przesądom i burżuazyjnej płytkiej moralności« (str. 37); znajdzie tam córkę Broniewskiej, pochodzącą z tego związku, która dziwną ironią — i to jest jeden z udałych ustępów powieści — uważa siebie za pochodzącą z rodu królewskiego, a która później jeździ z kochankami po różnych częściach świata, gdyż »dwoje wolnych duchów chce szczerzej w głąb dusz swych zajrzeć« i nic ich wiązać ani krępować nie może (88), przedtem jednak matce, nie chcącej pozwolić na to zaglądanie »w głąb dusz«, rzuca w twarz brutalną obelgę: »może inna matka mogłaby mi zabronić, ale ty nie, nie masz prawa...« (str. 93); znajdzie tam cudowne dzieci w postaci Wacka Dowgirda, który jako młode chłopię wygłasza głębokie poglądy na stan świata, np.: »najlepiej jak ludy same sobą się rządzą i żadnych nad sobą nie uznają władzców« (str. 13). Nie brak też i nadczłowieka w postaci d-ra Henryka i starej panny, wyrażającej się jak parobek i szukającej w głębokiej przepaści alpejskiej schronienia przed »parszywym zbytkiem burżuazyjnym«. Filozof zaś dowie się, że życie, to »ciągłe powrotne fale eteru«, że »zło i dobro jednako wytwarzać musimy, to co nazywamy dobrem, z czasem w zło się przekształca, a gdy to opadnie, znowu białą grzywą piany tryumfujące dobro powstaje« (str. 25), że kłamstwo »to tylko samoobrona nietykalności mojego ja i mojej indywidualności« (str. 92), że przeznaczenie przepotężne nas bierze i trzyma i t. d. Jedynym pięknym epizodem książki mogłaby być hi-

[1] Faustyna Morzycka: »Powrotne fale«. Dziewięć strof powieściowych z życia współczesnego. Warszawa-Kraków. Gebethner i Wolff. 1906. Str. 224.

storya Luccioli, gdyby i tam wiarołomstwo i wolna miłość, która autorce, zdaje się, dziwnie do smaku przypada, nie psuły wrażenia.

W interesie czytelnika i autorki chciałoby się życzyć, żeby ta dziewiąta fala, która »o zimnej skały ostry zrąb się rozbiła... i zniknęła w morzu zapomnienia« (str. 224), nie była powrotną.

Ks. Wiktor Wiecki.

Muzeum dyecezyalne w Tarnowie. *Leonard Lepszy.* (Teka Grona Konserwatorów Galicyi zachodniej. T. II, str. 319—342 i w osobnej odbitce).

Dzięki inicyatywie i energii ks. prałata d-ra Józefa Bąby — Tarnów posiada bardzo interesujące i cenne muzeum. Mam na myśli zbiory dyecezyalne, pomieszczone w budynku seminaryum duchownego. Kto zna warunki w jakich pracują polscy historycy sztuki i konserwatorowie, a nadto komu wiadomo, co się dzieje z zabytkami na prowincyi, ten potrafi należycie ocenić doniosłość instytucyi tego rodzaju. Ileż to dzieł sztuki kościelnej ginie bezpowrotnie bądź z powodu zapoznania ich wartości przez zarządy kościołów zwłaszcza w odległych wioskach, bądź przez niesumienność antykwarzy, którzy je jako wysortowane »rupiecie« wykupują za bezcen i wywożą za granicę, lub wreszcie przez nieumiejętne odnawianie, które zaciera pierwotny charakter obrazu, rzeźby czy zabytku, wchodzącego w zakres przemysłu artystycznego. Przynajmniej w naszych stosunkach niemal jedynym i pewnym środkiem zapobiegawczym jest gromadzenie zabytków w muzeach, w których mają zapewnioną fachową opiekę. Muzea dyecezyalne — kreacye najnowszych czasów wywołane wspomnianymi warunkami — mają jeszcze i tę dodatnią stronę, że nagromadzony w nich materyał staje się dostępnym dla ogółu, a zwłaszcza dla tych, którzy z niego w celach naukowych korzystać zapragną. Podstawą metodycznego badania jest głównie analiza porównawcza, którą najłatwiej można przeprowadzić w muzeach, gdzie dzieła sztuki do pewnej epoki należące, są razem zestawione. Oby za przykładem Tarnowa poszły wszystkie stolice dyecezyalne w całej Polsce!

P. Leonard Lepszy, znany zaszczytnie historyk sztuki, opublikował w II tomie »Teki Grona Konserwatorów Galicyi zachodniej«, wydanym w 1906 r., spis znaczniejszych zabytków, znajdujących się w muzeum dyecezyalnem w Tarnowie, a tem samem ułatwił badaczom korzystanie z nader cennego materyału, zebranego z niemałym trudem przez ks. d-ra Bąbę. Praca p. Lepszego jest spisem naukowym w rodzaju

katalogów rozumowanych, bo opisom zabytków oraz determinowaniu ich towarzyszą sumienność i gruntowna znajomość przedmiotu. Porządek alfabetyczny przyjęty przez autora, jest w tym wypadku wcale dogodny, bo muzeum nie należy jeszcze do bardzo zasobnych, w przeciwnym jednak razie system ten nie byłby wskazany. Wszystkie inwentaryzacye, podobnie jak katalogi rozumowane, ujmują materyał w odpowiednie grupy, uwzględniając naprzód rzeźbę, potem malarstwo a wreszcie przemysł artystyczny, co ułatwia oryentowanie się w materyale a nadto pozwala na pierwszy rzut oka osądzić, w jakim kierunku są luki w muzeum.

Pracą swą wyświadczył p. Lepszy prawdziwą przysługę zarówno badaczom, jak i miłośnikom sztuki — to też każdemu, kto zamierza zwiedzić muzeum w Tarnowie — zalecić należy, aby się naprzód z jej treścią zapoznał.

Julian Pagaczewski.

Z piśmiennictw obcych.

Z nowszej literatury hiszpańskiej.

Armando Palacio Valdés: »Eli dilio de un enfermo«. »La fé«. »La aldea perdida«. — Vincente Blasco Ibanez: »La Horda«. — Don Juan F. Munoz y Pabón: »Paco Góngora«. »La Millona«. — Don José Ciurana y Mayo: »Una penitencia«. — * * * »La Obra de Mamá Dolores«. — Don Modesto de Villaescusa: »Pedro Juan y Juan Antonio«.

A teraz przejść nam trzeba do innego autora, który acz starszy od Moralesa, bo mógł już w r. 1894 na czele swoich utworów umieścić przedwczesny napis *Obras completas,* przecież jeszcze nie przestał pisać i nawet w swych dawniejszych utworach pozostanie chyba długo młodym i świeżym. Powieści jego istniało wtedy 12 zawierających 17 tomów, a prócz nich utwór poważniejszy *La origen del pensamiento* (»Pochodzenie myśli«), który dostąpił zaszczytu tłumaczenia na język angielski.

Autorem tym jest Armado Palacio Valdés. Pierwsze zbiorowe wydanie swoich pism poprzedził podobnie jak Morales (w *Amor y Amor*) dedykacyjną przedmową do syna, żaląc się w niej na wygaśnięcie pierwiastka duchowego w społeczeństwie hiszpańskiem: »Naród nasz — pisze — znajduje się od kilku lat w usposobieniu nie tylko obojętnem ale wprost wrogiem wobec wszelkich objawów ducha. Namiętny po-

ciąg do »utylitarności«, wszechpotężna zmysłowość ogarnia zwłaszcza tę klasę średnią, która w pierwszej połowie wieku tyle dała dowodów przywiązania do wszystkiego, co dobre i piękne. Młodzież, od której pochodzić zwykły szlachetne porywy i prądy umysłowe, obecnie myśli tylko o przepychaniu się siłą łokci do władzy, do wpływowych posad, do wygód. Ojciec mój mawiał, że gdy za jego czasów spotkało się młodzieńca z książką w ręku błądzącego samotnie, można było naprzód powiedzieć, że czyta wiersze. Twój ojciec ci powie, że obecnie można być pewnym, iż czyta zbiór praw municypalnych lub ustaw administracyjnych. Dokąd idziemy tą drogą? Czy do wzniesienia i oświecenia naszego kraju czyli wprost do barbarzyństwa i wzgardy cywilizowanych narodów? Dowiesz się ty albo twoi synowie. Ja umrę nie wiedząc.

»Jakkolwiekbądź jawną jest rzeczą, iż literatura mało ma dzisiaj zwolenników w Hiszpanii. Prasa nawet, zamiast ją rozpowszechniać i popierać, odwraca ku sobie czytelników, czem przyczynia się niemało do tak smętnego zaniedbania belletrystyki. Co więcej — łatwość, z jaką pierwsze lepsze utwory bywają — byle ich autor umiał się zakręcić — wynoszone pod niebiosa, dowodzi lekceważenia, z jakiem są traktowane...«

Ów zupełny brak zainteresowania się publiczności a przez to samo i brak krytyki ma — zdaniem Valdésa — niektóre strony dla autorów korzystne. Piszą bowiem swobodnie bez obawy chłosty przeciwników, *ils font de l'art pour l'art.* Sam nie ma nadziei przypaść do gustu ogółowi nie lubiącemu miary, »pałającemu dziś entuzyazmem dla pisarza francuskiego równającego namiętności ludzkie z ślepemi chuciami zwierząt a nazajutrz padającemu na kolana przed Rosyaninem, który mieni grzechem miłość małżeńską i odmawia trybunałom prawa sądzenia przestępców...«

Z powyższych słów, stosujących się zapewne do Zoli i z pewnością do Tołstoja, wynika, iż autor mieni się być posiadaczem tej »miary«, której, według niego, ogół nie umie oceniać. Zdawałoby się przecież, że nawet wśród tego »ogółu« znajduje się znaczna mniejszość umiejąca rozeznać piękno od brzydoty; inaczej jakże byliby doszli do sławy wielcy pisarze, którymi ludzkość się szczyci? Można Valdésowi przyznać, że pisze z wielkim talentem, ale by wszędzie zachowywał miarę — tego chyba nie. Znamy tylko dwa jego utwory: *El idilio de un enfermo* (»Idylla chorego« i *La fé* (»Wiara«) — oba tytuły, jak zwykle bardzo pociągające. »Idylla chorego«, powieść o 309 stronach

czyta się właściwie z niesmakiem pomimo pięknego a dla nas ciekawego tła wsi hiszpańskiej, pomimo różnobarwnych i oryginalnych zamieszkujących ją typów. Wybornym jest wiejski proboszcz energiczny, prosty i nieco zdziczały, gorszący się np. bardzo, że przybyły doń na letni pobyt młodzieniec zmienia bieliznę w sobotę a nie w niedzielę. Ten młodzieniec jest właśnie owym »chorym« nie idyllicznym wcale, bo się w pośród handelków i miłostek napytał suchot. Lekarz posłał go na wieś, więc sobie przypomniał, że ma krewnego proboszczem w jakimś oddalonym kącie; przyjęty gościnnie, urządza sobie na czas kuracyi rozrywkę w uwiedzeniu pobożnej i uczciwej dziewczyny, poczem niewyleczony wraca do miasta, gdzie po ostatecznych wybrykach umiera. Raz jeszcze — rzecz pięknie napisana, ale niemiła.

Drugi utwór *La fé* (»Wiara«) posiada daleko więcej moralnych błędów i bez porównania więcej wartości. Pewien Niemiec patrząc na jedno z naszych dzieł sztuki, którego lepiej nie wymieniać, by ludziom nie zepsuć żółci, mówił, że nie byłby nigdy uwierzył, aby mogło być tak wiele pięknych szczegółów w tak brzydkiej całości. O książce Valdésa można powiedzieć toż samo tylko odwrotnie, bo całość piękna a brzydkie szczegóły, piękna teza a przeprowadzenie jej tak przykre, że go na tem miejscu streścić nawet nie byłoby łatwo. Przedewszystkiem rażącą musi być dla katolika powieść, której część odbywa się przy konfesyonale: taka rzecz choćby z największem traktowana uszanowaniem, wydaje się brakiem szacunku dla tajemnicy otaczającej sakrament. Po drugie w naszych zwłaszcza czasach, niedobrze jest wystawiać jakoby na scenę różnorodne typy księży dodatnie i ujemne. Wiemy, że wszyscy są ludźmi i nie wszyscy świętymi, ale wiemy także, jak srogą karę poniósł syn Noego za uwydatnienie upojenia ojca... Po trzecie p. Palacio Valdés szczycący się z umiejętności zachowania miary, ma ją snać bardzo szeroką w sprawach erotycznych. W trzech czy czterech ustępach niema nic do pozazdroszczenia Zoli; sąd tylko zawsze zachowuje zdrowy, nazywający zło złem a dobro dobrem.

W r. 1905 ukazał się nowy utwór tego samego autora *La aldea perdida* (»Zgubiona wieś«). Treść główną stanowi zmiana poczciwej, cichej wioski o świeżych łąkach i gajach na piekło kopalni węgla. Bolesna walka opisana z wielkiem życiem i siłą. Krytycy jednak czynią autorowi zarzut, że sprawę traktuje z punktu estetycznego a nie moralnego, na czem traci wiele istotnej wartości. Niektóre z powieści Valdésa wyszły z illustracyami; tu u wstępu widnieje tylko portret autora; twarz silna, pełna, nieco krótka, o kwadratowej szczęce okrytej

czarnym zarostem; po mętnem trochę wejrzeniu ciemnych oczu znać przyzwyczajenie do szkieł...

A teraz znów skok ogromny do jednego z najświeższych i najbardziej w pewnych kołach cenionych powieściopisarzy hiszpańskich: Vicente Blasco Ibanez. W chwili gdy w czerwcu 1905 r. kończył zaczętą w kwietniu tegoż roku powieść *La Horda* [1], widniało już na półkach księgarskich 9 innych romansów o niezmiernie różnych tytułach: *Arroz y tartana* (»Ryż i tartana« [2]), *Flor de Mayo, Sonnica la cortesana, Entre naranjos* (»Wśród pomarańcz«). *El intruso, La catedral, Canas y barro* (»Trzciny i glina«) i t. p. Prócz tego powiastka *La condenada* (»Skazana«), zbiorek obrazków *Cuentos Valencianos* i podróż do Włoch p. t. *En el païs del Arte* (»W kraju sztuki«). Ibanez jest bardzo czytanym. *La Horda* rozeszło się szybko w 6.000 egzemplarzach, czego zapewne główną przyczyną jest dotykanie w niej palących kwestyi społecznych. Ibanez zda się jest bezwyznaniowym; takim przynajmniej jest jego bohater, poza którego niewiarą nie przeziera nigdzie bystrzejsze i głębsze zapatrywanie autora. Jest mu się przynajmniej wdzięcznym, że krom niechętnej wzmianki o Siostrze Miłosierdzia w szpitalu poprzestaje na abstynencyi, na niedorzecznych paplaninach o śmierci, słowem, że nie przechodzi do jawnego ataku — chyba, że za taki uważać wypada bardzo sympatyczny opis człowieka świątobliwego, równie czystego na duszy jak zaniedbanego na ciele, uznanego przez lekarzy i księży za niezdrowego na zmysłach. Ten całymi dniami modli się, biega po kościołach, po rynkach i przedmieściach głosząc słowo Boże: »Księża mi każą używać ruchu i nie myśleć wciąż o religii a ja — myśleć o czem innem nie mogę!« skarży się raz znajomemu. »Przed kilkuset laty czczonoby go jako świętego — dodaje autor — dziś — wzgardzono nim jako waryatem!« Zdanie to można na dwa sposoby zrozumieć, albo jako krytykę obecnej oziębłości lub — co prawdopodobniejsze — alluzya do rzekomego stanu umysłowego świętych...

Ibanez rozumie przez »hordę« liczną, bardzo ubogą i bardzo dziką ludność przedmieść Madrytu. Chcąc ją nam dać poznać we wszystkich odmianach, wodzi nas z jednej biednej dzielnicy w drugą w ślad za swym bohaterem, literackim »cyganem«, który porwawszy córkę zawodowego kłusownika, operującego w parkach królewskich, błąka się z nią w coraz to gorszej nędzy aż wkońcu biedaczka umiera.

---

[1] *La Horda.* Novela. F. Sempere y Comp. Editores. Str. 385.

[2] Rodzaj wózka.

Zaczynamy przegląd od redakcyjnego biura wielkiego dziennika, gdzie już pod wieczór młodzi pisarze ziewają z głodu a tu siedzieć będzie trzeba prawie do świtu. Z jakiem zajęciem wpatruje się w twarz głównego redaktora przechadzającego się zwolna po sali w oczekiwaniu na depesze mające służyć do rannego wydania! Zdarzało się, że na tej twarzy odbiło się zadowolenie a wtedy ukazywała się z kieszeni papierośnica i każdy mógł choć dymem głód swój zażegnać; czasem też a były to noce szczęśliwe, dyrektor posyłał do restauracyi i cały swój personal traktował.

Z redakcyi przechodzimy na kraniec miasta w dzielnicę gałganiarzy. Nazwa brzydka ale rzemiosło intratne, to też tłoczy się doń lud mnogi; jedni piesi, drudzy z taczkami, trzeci z wózkami ciągnionymi przez osła. Zwą się między sobą *gente de la busca* t. j. »ludzie szukający« a możnaby często powiedzieć i »znajdujący«. Jest między nimi arystokracya i plebs; pierwsi zbierają szczątki zbytku na głównych ulicach, żywią się resztkami kuchni wykwintnych, ubierają w łachmany jedwabne. I trzeba słyszeć jak grymaszą, jak krytykują porządek służących pani Z. lub zdolności kucharki pana Y! Są między nimi bogacze zbierający tyle jadła, że im starczy na trzymanie drobiu; osła zaś żywią przeważnie słomą ze starych strzech. Mieszkania różnią się rozmiarami raczej, niż materyałem budowlanym. Tak w większych jak w mniejszych mało jest cegły i mniej jeszcze drzewa, zato widać pozbierane kamienie, rumowisko, czerepy garnków, zgniecione naczynia blaszane, dziurawe podeszwy i t. p. Wewnątrz ciemności, dym szukający największej dziury w dachu, by się nią wydobyć, nad głowami olbrzymie bogactwo pajęczyn wiszących z improwizowanej powały czasem tak nizko, że w nocy poruszone przeciągiem muskają twarze śpiących pod niemi ludzi. Łóżka niekiedy bywają dziwne, złożone z rzeźbionych kawałków; ci zaś, co na nich leżą szczycą się mnogością i rozmiarem posiadanych pajęczyn, uważając je za ochronę przeciw zaraźliwym chorobom. Powiadają, że zarodki tychże gdzieindziej wdychane przez ludzi zatrzymują się na pajęczynach. Zabobony u nich kwitną, ale wiary jest mało, niektóre baby zadając sobie gwałt chodzą na naukę i modlitwy do stowarzyszenia pań — toż warto się ponudzić, aby w końcu roku otrzymać prześcieradło obiecane tym, co uczęszczają pilnie. Wódka i inne występki kwitną również; po uliczkach brud, kwik, wrzaski, kułaki, zdziczenie. Pan Ibanez ukazuje nam wśród tego otoczenia typ pokątnego polityka, wydawcy brukowej gazety, perorującego wciąż przeciw centralizacyi rządów i upatrującego w federacyi

poszczególnych krajów dzisiejszych prowincyi Hiszpanii lekarstwa na wszelkie zło. Widzimy poczciwego murarza, dawniej żołnierza z *guardia civil* t. j. po prostu żandarma piorunującego wciąż na burzycieli porządku; gdy jednak jego samego przywala zapadający się mur gmachu wadliwie stawianego przez budowniczego oszusta, na usta konającego tłoczą się przekleństwa na ustrój społeczny, którego przez całe życie bronił. Pogrzeb jego daje powód do demonstracyi, przy opowiadaniu której autor zda się nie gorszyć rzucanymi na policyę kamieniami, ale zato gorszy się bardzo, kiedy policya daje salwę w tłum. Zmarły murarz miał syna i martwił się bardzo widząc, że się kieruje na łotra. Daje to sposobność czytelnikowi do zwiedzenia więzienia *la carcel Modelo,* rzeczy ciekawej w tej chwili, gdy anarchiści usiłują złem urządzeniem więzień upozorować zamach na parę królewską. Tam, gdzie nas autor prowadzi, nie znać żadnych nadużyć, żadnych tortur ani zaniedbania; raczej pewna pobłażliwość panuje w części zamieszkałej przez małoletnich przestępców. Zajmują osobne cele, widują się jednak dostatecznie, aby módz wspólnie nowe łotrostwa urządzać na przyszłość.

Najciekawszym ustępem książki jest opis dzielnicy cyganów — nie literackich ale prawdziwych. Jest to mały rząd w rządzie i miasteczko w mieście. Cyganie mięszają się z ludnością krajową o tyle tylko, o ile ich do tego zmusza zarobek na życie. Mężczyźni chodzą po jarmarkach handlując końmi lub pomagając innym do handlu; kobiety wychodzą na miasto i wróżą. Co dziwna, to surowość obyczajów, panująca wśród nich; upadła kobieta staje się przedmiotem obrzydzenia i wzgardy; nieraz tak z rąk rodziców jak i dalszych krewnych sypią się na nią okrutne razy. Ukryta w kącie rodzicielskiego domu nie śmie głowy wychylić. Małżeństwa zawierają się w bardzo wczesnym wieku, w razie owdowienia zaś nie wolno kobiecie wyjść za mąż po raz drugi. Bywają wdowy liczące po lat 14, a skazane na wieczną żałobę, przy której noszą czarną bieliznę i sypiają w czarnej pościeli. Nie wolno im brać udziału w żadnej uroczystości, choćby u matki zmarłego męża. Przy uroczystościach takich najważniejszym przysmakiem jest czekolada. Warzą ją w dużym kotle w takiej ilości, że się zapach po ulicy rozchodzi, następnie każdy czerpie z kotła miseczką. Cyganie są przeważnie ubodzy i zaniedbani w odzieniu a przytem wymyślni bardzo na punkcie jadła. Żaden z nich nie weźmie do ust żywności ugotowanej nie wprost dla niego: wolałby umrzeć z głodu, niż zjeść np. kawałek mięsa pozostały z cudzego obiadu. Po odzieniu

ich można poznać, z jakiej pochodzą prowincyi; dzielą się jeszcze na grupy, na zajęcia i niektóre dawne zwyczaje; tak np. cyganki z Andaluzyi wychodzą na miasto a rodowite z prowincyi Mancha nie opuszczają swych domów. Wyobraźnia u wszystkich jest żywa, zmysł do oszukiwania wielki. Mówią językiem mieszanym, zawierającym mnóstwo osobnych wyrażeń; nadto nazwy miast są u nich inne, przyczem najczęściej poprzedzone wyrazem *Gao,* co znaczy »miasto« albo »osada«. Ciekawem jest, że jedna z trzech stolic królestwa Songhoisów w Sudanie nosiła też nazwę Gao. Ta jedna jest w ruinach podczas gdy Dienne i Tombuktu wznoszą nad Nigrem swoje dziwne gmachy.

Streszczeniem i tezą powieści p. Ibanez jest zapowiedź, że głodna horda, otaczająca Madryt syty, szerokim pasem swej nędzy, powstanie lada dzień i na środek miasta się rzuci. To miasto nie wie o niej i ani się domyśla, jakie morze nienawiści dokoła niego się piętrzy. O usiłowaniach zaradzenia złemu, o pracy chrześcijańskiej nad ulżeniem nędzy autor nie wspomina prócz owego prześcieradła dawanego w nagrodę za udaną pobożność. Wierzymy, że opisy jego są prawdziwe — pytanie tylko czy nie są jednostronne. Podobnie, jak Zola w *La Débacle* opisał wszystkie okropności wojny zamilczając o bohaterstwie chrześcijan niosących pomoc rannym i zgłodniałym, tak zapewne i p. Ibanez pomija milczeniem miłosierdzie chrześcijan madryckich. Czyniąc o niem wzmiankę, byłby musiał odmienić ton, co dla piszącego nie zawsze jest dogodnem. Pomimo to przyznać należy, iż nie mówiąc już o opisach, można w utworze jego znaleźć dużo talentu, sporo psychologii, trochę filozofii *sui generis* a nawet też *sui generis* uczucia.

Dodać należy, iż Ibanez nie cieszy się dobrą sławą wśród katolików hiszpańskich i zapewne sowicie na to zasłużył, co zresztą można powiedzieć i o wielu innych autorach. Powieść nie antyreligijna, nie antyklerykalna a przytem silna, czerstwa i czysta, jest istotną rzadkością. Moralność a raczej przyzwoitość mniej jest cenioną, niż u nas. Ks. Aïcardo, na którego tym razem spuścić się musimy, czyni ten zarzut nawet utworom innego kapłana, Don Juan F. Munoz y Pabón *Paco Góngora, La Millona* i t. d. Styl i barwność tego autora mają być znakomite, charaktery zrazu bardzo silnie ujęte a potem słabnące, przytem każda nowa powieść jest miłem ale powtarzającem się echem poprzedniej. *La Millona* jest historyą walki uczuć bogatej, poczciwej ale lekkomyślnej dziewczyny między popędem serca i rozumu pchającym ją ku związkowi z szlachetnym Ksawerym a parweniuszowską

próżnością matki i swoją ciągnącą ku przybyszowi z miasta opowiadającemu cuda o swych koligacyach i znajomych. W oczach obu pań największym defektem Ksawerego jest fakt, że posiada — aptekę. Nie chcąc być »panią aptekarzową«, piękna panna wychodzi za »obcego młodzieńca«, który straciwszy większą część jej posagu ratuje sytuacyę kupując — także aptekę! Dowcip D. Juana Munoz y Pabòn przypomina pono Alarcona; snać jednak, że mu z niejednej strony czyniono zarzut zbyt śmiałego kroczenia po ślizkich brzegach, uczuł bowiem potrzebę samoobrony i dał jej wyraz w przedmowie następnej nowelki. Ks. Aïcardo chciałby, aby z takim talentem, mogącym działać na szerokie masy autor ten puścił się na wyższe tory i nie tylko t. zw. *genre* malował. Żądanie jednak może być nieroztropne, bo niejeden zdolny do drobnych rzeczy okaże się niezręcznym w wielkich: Aleksander Fredro nie byłby zapewne umiał napisać tragedyi ani Defregger malować wielkich scen historycznych.

Prócz ks. Pabóna widzimy jeszcze wymienioną bohatersko-religijną powieść z czasów średniowiecznych *Una penitencia* p. Don José Ciurana y Maijo utalentowanego autora dramatu *Fé, Patria, Amor. La Obra de Mamá Dolores* nieznanego autora, powieść obyczajowa, opowiada o biednej dziewczynie, która utwierdzona w cnocie naukami świątobliwej babuni, znosi prześladowanie i niemal męczeństwo z rąk wyrodnej matki, usiłującej popchnąć ją do grzechu. Fakt pono prawdziwy i opisany poprawnie. Dalej znów powieść społeczna: *Pedro Juan y Juan Antonio* p. Don Modesto de Villaescusa, dzieło propagandy chrześcijańskiej i antysocyalistycznej. Śliczny ma być początek malujący spokojne, acz pracowite życie dwóch wieśniaków z nad Ebru. Rzecz atoli słabnie, gdy idą »za chlebem« do Barcelony i wpadają w wir społecznych problemów. Autor opisał wielką działalność barcelońskiej Sodalicyi Niepokalanego Poczęcia i innych dziwnie pięknych instytucyi chrześcijańskich od kilku lat walczących w tem mieście; nie miał jednak siły czy odwagi pogłębić przedmiotu. Stąd też dzieło jego dobre ale powierzchowne nie dosięgło do zamierzonego celu...

Trudno wymieniać wszystkie złe czy uczciwe hiszpańskie powieści. Dość jest rozejrzeć się między wyliczonemi, by dostrzedz, że sztuka powieściopisarska w ojczyźnie Cervantesa nie upadła ani też nie uczyniła widocznych postępów. Dużo jest ludzi zdolnych, ale ani jednego geniusza. Przytem jednak pomimo wad wykazanych powyżej, żaden ze znanych nam autorów nie zeszedł tak nizko, jak wielu dziś pisarzy i autorek francuskich. W każdym niemal romansie hiszpańskim trafia

się na krople lub kałuże błota — w żadnym nie brodzi się w niem od początku do końca. Pomimo to, jest go jeszcze za wiele; niektórzy maczają w niem pióro, bo jak pisze w swej obronie D. Pabón, chcą »zabawić damy« (winszuję!!) — inni mniemają, że bez tej domieszki niepodobna dać obrazu życia. Zapominają: pierwszy, że dla dam lubiących błoto pisać nie warto, a drudzy, że — jak słusznie jakiś mądry Francuz powiedział: »Rżnięta czara pełna złotego wina nie jest mniej »realną« od wódki w brudnej blaszance...« Innemi słowy piękno jest równie prawdziwem jak brzydota, dobro jak zło, czystość jak brud. Chciałoby się o tem przekonać pisarzy francuskich, hiszpańskich i — polskich.

T. Wodzicka.

Die Entwicklung des Warenhandels in Österreich. Ein Beitrag zur Wirtschaftspolitik des Absolutismus von *Dr. jur. Helene Landau.* Wien und Leipzig. Wilhelm Braumüller k. u. k. Hof- und Universitäts-Buchhändler. 1906.

Gdy patrzymy na toczącą się przed naszemi oczyma walkę na polu ustawodawstwa handlowego i przemysłowego, to zwykliśmy pojmować jej objawy, jako coś całkiem nowego, będącego wykwitem nowoczesnego rozwoju na polu przemysłu i konjunktur handlowych. A jednak walka ta trwa od wieków, bo tylko jej formy czy szczególne przedmioty, o które toczono zapasy, ulegały zmianie, bo zmieniał się ustrój społeczeństw, ich wymagania i pragnienia, pod wpływem wypadków politycznych i wydarzeń, pod względem rozwoju przemysłowego doniosłych. Książka pani d-ra Landau jest pod tym względem z wielu powodów ciekawa. Przedewszystkiem autorka miała możność wyzyskania bardzo bogatych i nieznanych materyałów do historyi handlu i przemysłu w monarchii habsburskiej, znajdujących się w archiwach Dworu cesarskiego i ministerstwa spraw wewnętrznych, tudzież w bibliotece Rady państwa. Strona źródłowa — to główna wartość rozprawy p. Landau, bo ona sprawia, że czytelnik może śledzić rozwój ustawodawstwa handlowego, a częściowo i przemysłowego w Austryi od XIV stulecia, aż niemal po najnowsze czasy i poznawać, jak to wiele z zagadnień polityki przemysłowej dzisiejszej doby tworzyło się przez całe lat dziesiątki, nie mogąc się doczekać ostatecznego rozwiązania.

W dziełku pani Landau należy rozróżnić dwie główne kwestye: Jedną z nich jest rozwój ustawodawstwa handlowego i przemysłowego

w Austryi, od ustroju średniowiecznego ku systemowi nowożytnemu, drugą zaś stosunek rządów absolutnych do powyższej ewolucyi i coraz nowszych jej przejawów. Rozwój ten bowiem napotykał po drodze na bardzo poważne przeszkody, wynikające przedewszystkiem stąd, że stan kupiecki, rej wodzący w średniowiecznych miastach, długo się opierał żądaniom rękodzielników, domagających się coraz natarczywiej usunięcia panującej wówczas zasady, że do trudnienia się handlem potrzeba posiadać dom w jednym z t. zw. *landesfürstliche Städte* i że nie wolno równocześnie trudnić się rękodzielnictwem. Zarazem jednak w tych wszystkich wypadkach, w których rozchodziło się o interes mieszczaństwa, jako takiego, czy to w przeciwstawieniu do innych klas ludności, czy też w stosunku do zagranicznych kupców, tam ustawały wzajemne walki, a ich miejsce zajmowała solidarność w imię lokalnego patryotyzmu, który częstokroć nie liczył się z żadnymi innymi, choćby nawet wyższymi względami, widząc w egoistycznym interesie mieszczaństwa *suprema lex* i *optima ratio*. Oczywista, że z chwilą, gdy odkrycie nowych dróg i wypadki polityczne zachwiały podwalinami ustroju średniowiecznego, gdy trzeba było pomyśleć o reorganizacyi przestarzałego systemu obrotu handlowego na jednolitych i nowożytnych podstawach, że wówczas separatystyczne dążenia małych państewek, jakiemi były do pewnego stopnia średniowieczne miasta ze swemi odziedziczonemi po wiekach, waśniami klasowemi, przestarzałemi pojęciami o przywilejach, prawach i obowiązkach publicznych, musiały ten rozwój wstrzymywać, a nieraz nawet wypaczać.

Takie też stosunki zastał w Austryi nowy prąd, który zaglądnął do niej z Zachodu, mianowicie — merkantylizm! Kiedy jednak polityka ekonomiczna współczesnej Anglii, Holandyi i Francyi postawiła sobie za główne zadanie pomnożenie bogactwa narodowego w myśl zasad merkantylistycznych, to w Austryi, wyludnionej po długich wojnach, kwestye populacyonistyczne wysunęły się do tego stopnia na pierwszy plan, że poczęto dostosowywać do nich wszystkie inne, a więc także i zagadnienia polityki handlowej i przemysłowej. Jeden z pierwszych pisarzy austryackich, hołdujących merkantylizmowi, Becher, widzi w swych »Politycznych dyskursach« w stanie kupieckim podporę społeczeństwa, twierdząc zarazem, że *alle anderen leben von ihnen*, ale tylko o tyle, o ile obracają towarami krajowymi. Innym, zwłaszcza zagranicznym kupcom wydaje wojnę, twierdząc, że są oni »Hummeln, welche den armen Bienen den Honig stehlen, Juden und Canaillen, die vorgeben, man könne dergleichen Waren nicht im Lande machen

damit hinter ihren diebischen Gewinn Niemand gründlich komme«. Czyż daleko to odbiega od *Strassenzwang* i innych bardzo daleko idących ograniczeń obcych kupców, jakie czytamy w prawie miejskiem, wydanem dla Wiednia przez króla Leopolda jeszcze w roku 1198? Za inicyatywą Bechera i innych poczęto zakładać przeciwko składom zagranicznych towarów rozmaite przedsiębiorstwa, jak np. *Seiden-Compagnie in Österreich*, wyposażane w przywileje i popierane przez państwo, lecz celu nie osiągnięto, bo nie umiano społeczeństwa ani przygotować, ani wychować do zmienionych nowoczesnych stosunków, bo nie zrozumiano, jak Colbert we Francyi, idei przewodniej merkantylizmu i poprzestając na formie, wprowadzono tylko jeszcze większy chaos w nieuporządkowane stosunki.

I tu dotykamy drugiej strony dziełka p. Landau, dotyczącej stosunków rządów absolutnych do rozwoju stosunków przemysłowych i handlowych w Austryi. Patentem z 24 marca 1764 zamieniono Austryę w rodzaj »zamkniętego państwa handlowego« i nakazano, że wszystkie zagraniczne towary, znajdujące się u kupców i przeznaczone do pozbycia, mają być w ciągu sześciu miesięcy z kraju usunięte. Ścisłe określenie terminu zostało zarządzone z obawy, ażeby nie sprzedawano przemycanych towarów zagranicznych, jako resztek z czasów przed wydaniem patentu, przeoczono jednak tylko taką drobnostkę, że przecież koszta połączone z podobnem usunięciem obcych towarów z granic krajów austryackich, muszą pociągnąć bardzo poważne straty materyalne dla kupców, którzy takie towary posiadają. I co się stało? Na prośby gremiów kupieckich i na przedstawienia władz krajowych przedłużono pierwotny sześciomiesięczny termin w ten sposób, że ostatecznie powyższy środek stracił swe praktyczne znaczenie. Ale tak samo i inne zarządzenia, skierowane przeciw importowi z zagranicy, zawiodły, bo już patentem z 14 października 1774 r. złagodzono w pewnym zakresie postanowienia patentu z 1764 roku.

Ówczesne rządy austryackie mimo to, iż liczyły w swem gronie wielu ludzi zdolnych i zdających sobie sprawę z odbywającej się w ich oczach ewolucyi, nie umiały czy nie mogły pomódz nowoczesnemu rozwojowi do szybkiego usunięcia przeszkód; często objawiała się u nich pewnego rodzaju niemoc, pozwalająca przypuszczać, że niższe władze umiały obchodzić zarządzenia władz centralnych. Typowym na to przykładem jest walka z t. zw. *Wiener Eisenhandlung-Kommunität*; był to rodzaj kartelu żelaznego, gdyż dwunastu handlarzy żelaza w Wiedniu, których liczba w myśl *Eisensatzordnung* z 21 maja 1627

nie mogła być zwiększona, złączyli się kontraktem z 10 czerwca 1749 w związek, który miał obracać wspólnymi funduszami na wspólny rachunek. Wskutek licznych skarg ze strony publiczności na zbyt wygórowane ceny wyrobów żelaznych, rząd nakazał, by każdy z owych dwunastu handlarzy prowadził interes odrębnie i na własny rachunek. Kartel jednak był widocznie silniejszy, od ówczesnych rządów, gdyż przetrwał faktycznie blizko pół wieku. Wprawdzie już dekretem z 15 kwietnia 1784 uznano firmę wiedeńskiego związku handlarzy żelaza za nieistniejącą, lecz dopiero na prawdę położono koniec wszechwładztwu dwunastu uprzywilejowanych kupców dekretem nadwornym z 31 lipca 1798 przez ostateczne i stanowcze wcielenie ich do *Wiener bürgerliche Handelsstünde.*

Jednym z najciekawszych rozdziałów książki p. Landau jest bezsprzecznie ostatni, w którym autorka przedstawia próby reform na polu ustawodawstwa przemysłowo-handlowego w Austryi w pierwszej połowie XIX wieku. Tu wchodzi w grę nowy czynnik, mianowicie względy polityczne. Cesarz Franciszek II obawiał się, aby rozwój przemysłu nie przeszczepił z Zachodu prądów rewolucyjnych, gdyż wytwór jego — proletaryat robotniczy — wydawał się cesarzowi podatnym dla nowostek zachodnich. I oto zdarzył się fakt w swem znaczeniu bardzo doniosły. Na prośby cechów rękodzielniczych, wystosowane do Tronu o przywrócenie im pełni dawnych przywilejów, nadworna komisya komercyalna oświadczyła się w swej opinii stanowczo przeciw żądaniom rękodzielników. Wskutek tego, wymieniona komisya zajęła stanowisko przeciwne zapatrywaniom cesarza i potrafiła go bronić w miarę sił swoich jak najwytrwalej. Dzięki temu jednak, że cesarz osobiście był przeciwny reformie ustawodawstwa przemysłowego w duchu nowożytnym, upadł również projekt ustawy przemysłowej z r. 1835, uznający już w zasadzie wolność przemysłową.

Mimo to jednak, rewolucya, idąca z Zachodu, zaczepiła i o Austryę, zwłaszcza, że znalazła w niej dla siebie wiele palnego materyału. Dopiero nam, znającym wypadki, które wypełniły historyę monarchii habsburskiej po roku 1848, występuje przed oczy w całej pełni małostkowość obaw, żywionych przez ówczesne sfery decydujące. Absolutyzm, schorzały i nie mający odwagi, aby się odmłodzić, boi się niemal własnego cienia; już samo słowo »wolność«, choćby to była wolność przemysłowa, lub jakakolwiek inna, wywołuje widmo politycznej rewolucyi, pragnącej zdruzgotać jego wszechwładzę. I co jeszcze ciekawsze, że oto nowe prądy dochodzą już do sfer rządowych, a nawet sprawiają,

że jedna z władz centralnych śmie zająć otwarcie stanowisko, sprzeczne z zapatrywaniami Dworu... Omawiana przez nas książka pozwala nam śledzić rządy absolutne w Austryi, w stosunku do nowych prądów; widzimy, jak te rządy często nawet rozumieją, że trzeba coś zrobić, ale nie wiedzą, jak się do tego zabrać, lub, co gorsza, chwytają się półśrodków, *ut aliquid fecisse videatur*, po to tylko, by za późno się spostrzedz, że wypadki przeszły ponad ich półśrodkami i że trzeba ster oddać w inne, młodsze ręce. Błąkał się absolutyzm austryacki przez lat dziesiątki, bronił *status quo* wszystkiemi siłami, wstrzymywał rozwój handlu i przemysłu, odmłodzenie całego państwa, aż wreszcie otrzymał pod Sadową cios stanowczy, z którego więcej się nie podniósł. Książka pani Landau jest naprawdę poważnym, źródłowym »przyczynkiem« nie tylko do polityki ekonomicznej absolutyzmu w Austryi — jak brzmi tytuł dziełka — lecz wogóle do historyi rządów absolutnych w monarchii Habsburgów. Żałować tylko należy, że autorka nie wyzyskała w swej pracy materyałów cyfrowych, kryjących się zapewne w bardzo pokaźnej liczbie w tych archiwach, które pani dr. Landau były dostępne. Cyfrowy materyał byłby z jednej strony przyczynił się do wyjaśnienia niejednego ciekawego szczegółu, a z drugiej strony byłby poważnem źródłem dla dalszych badań historyczno-statystycznych. Wiemy zaś z ust[1] byłego prezydenta Centralnej Komisyi statystycznej w Wiedniu, d-ra Inama-Sternegga, że takie materyały do statystyki handlowej, zwłaszcza od czasów Maryi Teresy, znajdują się jeszcze dotąd nieogłoszone w różnych archiwach. Jakie zaś naukowe znaczenie mogłoby mieć ich ogłoszenie, dość wskazać na znaną francuską publikacyę Arnoulda: *De la balance du commerce et des relations commerciales extérieures de la France 1716—1788.*

Dr. Kaz. Wł. Kumaniecki.

[1] Por. *Bulletin de l'institut international de statistique* t. II l. 1. Rome 1887, str. 173.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Układ dziesiętny w bibliografii filozoficznej. *Ks. dr. Radziszewski.* Warszawa. 1904.

System Deveya ma za cel zszeregować w sposób rozumowany, oparty na treści bibliografii. Devey dzieli całość wiedzy ludzkiej na 10 grup: 0 dzieła ogólne, 1. filozofia, 2. religia, 3. nauki społeczne, prawo, 4. filologia, lingwistyka, 5. nauki matematyczne, fizyczne, przyrodnicze, 6. nauki stosowane, technologia, 7. sztuki piękne, 8. literatura, 9. geografia, historya.

W zakresie filozofii (1)—10 oznaczać będzie dzieła ogólne, 11 i 12 metafizykę, 13 antropologię, psychologię, 16 logikę, 17 etykę, 18 filozofów starożytnych, 19 nowożytnych.

Z tych działów tworzą się nowe przez dodawanie, np. do 16 oznaczającego logikę cyfr 1, 2 i t. d. na oznaczenie poddziałów.

W ten sposób cyfrowo można oznaczyć tytuł każdego dzieła, broszury i t. d. Znaczenie mieć będą wykazy tak zszeregowane dla badaczy, chcących się zapoznać z całością pewnej gałęzi wiedzy. System ten będzie ułatwiał zoryentowanie i korzystanie z materyału piśmienniczego zwłaszcza wobec coraz dalej obecnie idącej specyalizacyi wiedzy.

R.

Tematy runiczne w herbach szlachty polskiej.

Kilkustronnicowa broszurka rozwija tezę, rzuconą w swoim czasie przez prof. Piekosińskiego, że herby szlachty polskiej, ich formy i znaki wywodzą się z alfabetu runicznego. Autor graficznie przedstawia przeobrażenie prostych znaków runicznych na figuryczne znaki herbowe. Przejście to przedstawione przez autora zbyt jest sztuczne, zbyt skonstruowane, by można przypuszczać, że tak wytworzyły się w rzeczywistości znaki herbowe, pomijając już i tę okoliczność, że wogóle znajomość runa już nie w Polsce, ale wogóle u rycerstwa średniowiecznego wydaje się więcej, niż wątpliwą. Znacznie prostsze jest przypuszczenie, że znaki, jakie w herbach widzimy, wytworzyły się samorzutnie, zwłaszcza, że są to przeważnie wyobrażenia przedmiotów świata zwierzęcego lub rzeczy nieżywotnych.

R.

Das geistliche Leben in seinen Entwicklungsstufen nach der Lehre des hl. Bernard. *Dr. Joseph Ries.* Freiburg i. Br. Herder. 1906. XI, 327. 8-ka.

Książka ta nie należy bynajmniej do rzędu pospolitych traktatów ascetycznych. Jest to praca ściśle naukowa, nie mająca formalnego celu parenetycznego a przedstawiająca w systematycznem ugrupowaniu całokształt ascetyki i mistyki św. Bernarda, uważanego przez Kościół za jednego z największych mistrzów życia duchownego. Materyał zaczerpnięty jest wprost ze źródeł, z pism Świętego, o ile uchodzą za niewątpliwie autentyczne. Autor nie poprzestaje na uwidocznianiu wewnętrznego związku logicznego głoszonych przez Bernarda teoryi i poglądów, lecz objaśnia nadto ich stosunek zarówno do dawniejszej, jak i późniejszej teologii, zwłaszcza do koryfeuszów scholastyki, jako to Mistrza Sentencyi,

św. Bonawentury i św. Tomasza. Przy sposobności prostuje opaczne interpretacye pewnych twierdzeń czy zapatrywań sławnego opata, na którego naukę napadano niejednokrotnie, zwłaszcza ze strony protestantów i racyonalistów. Literatura pomocnicza, zużytkowana przez autora, jest wcale obfita. Rozkład treści jest następujący: Wstęp (str. 1—50) zawiera naukę Świętego o wartości i celu nauki (filozofii i teologii), tudzież o jej stosunku do życia duchownego, następnie przytacza poglądy Bernarda na życie ludzkie, jego cel i drogi. Warto zaznaczyć (wbrew przeciwnemu twierdzeniu Harnacka), że opat klarawaleński, będący najczystszym typem mnicha średniowiecznego i wzorem dla niezliczonej rzeszy innych mnichów, zna przecież tylko jeden jedyny chrześcijański ideał życia, wspólny dla wszystkich stanów, a tylko różnicę widzi w drogach i sposobach, którymi może być urzeczywistniony. *Bonam autem vitam ego puto et mala pati et bona facere et sic perseverare usque ad finem.* Przeszedłszy do właściwego tematu podaje autor w rozdziale pierwszym (51—116) naukę św. doktora o naturze ludzkiej jako podmiocie i substracie życia duchowego. Ciekawym jest tu ustęp, zawierający pogląd świętego na wolność woli. Drugi rozdz. (117—241) mieści w sobie naukę o objawach i warunkach rozwoju życia duchowego w duszy i jej władzach za pomocą cnót. Trzeci rozdział (242—267) poświęcony jest nauce o namaszczeniu Ducha św., a czwarty i ostatni wreszcie (268—327) podaje mistykę Bernarda. Kierunek myśli świętego jest na wskroś praktyczno-mistyczny. Całą swą naukę ascetyczną i mistyczną czerpał on z najczystszych źródeł, bo z Pisma św., w którem niezwykle był oczytany, z najznakomitszych Ojców Kościoła i z żywej krynicy własnej duszy, niezmiernie ubogaconej darami łaski i natury. Niczego nie chciał uczyć, czego wprzód sam w sobie nie doświadczył. Stąd też ów dziwny żar miłości Bożej, tryskający z każdego jego słowa. Zdrowym i pożywnym pokarmem nauki Bernarda karmiły się wszystkie późniejsze wieki; Święci po nim żyjący na tej nauce się kształcili. Zdumiewająca a tak obfita w błogie skutki dla Kościoła działalność, którą wielki ten mąż rozwinął w swym klasztorze i daleko poza jego murami w całym świecie zachodnio-chrześcijańskim, miała źródło swej siły jedynie w jego wyjątkowem, ścisłem, mistycznem obcowaniu z Bogiem. Książka d-ra Riesa wydaje nam się bardzo na czasie nie tylko dlatego, że przyczyni się do sprawiedliwego sądu o zakonach średniowiecznych, ale i z tego jeszcze względu, że pokazuje ludziom dobrej woli drogę, która najskuteczniej poprowadziłby mogła i dziś do odrodzenia zwycięstwa wewnętrznego świata, do zwycięstwa sprawy Chrystusa i Kościoła. Wszystkim kierownikom dusz, spowiednikom, kaznodziejom i słuchaczom teologii szczególnie ją polecamy.

H. L.

La Princesse d'Erminges. *Marcel Prevost.* Quinzième édition. Paris. Alphonse Lemerre éd. 1904. Str. 310.

Już tu chyba wydawca użył sztuczki zapisując na pierwszem wydaniu liczbę 10 albo 12 zamiast skromnej jedynki. Niepodobna bowiem uwierzyć, aby powieść, bardzo średniej wartości, znana już mnóstwu czytelnikom z *Revue des deux mondes,* tak gęsto rozeszła się po świecie. Sprzeciwiałoby się to zdaniu optymistów o postępie dobrego smaku w ludzko-

ści. Takich *drame passionel,* jaki widzimy w powieści Prevosta — nie gorszych i nie lepszych — wydrukowano od lat dziesięciu setkami w Paryżu. Początek streszczający w tonie kronikarskim dzieje wpół niemieckiej a na wpół francuskiej książęcej rodziny zdaje się zapowiadać jakąś monografię historyczno-romantyczną. Wstęp ten wszakże służy jedynie za uzasadnienie niemieckiego rysu brutalności w charakterze męża tytułowej heroiny powieści. Losy tejże są równie banalne jak niesmaczne. Wychowana bez zasad, bez nauki i miłości, dzieckiem prawie wychodzi za księcia d'Erminges, potem przez tegoż zaniedbana i jawnie zdradzana a zbyt ograniczona i leniwa, by sobie stworzyć życie osobne. Arletta (imię modne obecnie u powieściopisarzy) upada za pierwszą pokusą. Skutki winy zmuszają ją do wyznania prawdy mężowi, który okazawszy się dziwnie wspaniałomyślnym wpada w złość, gdy żona wszystkie jego propozycye odpycha z fanatyzmem macierzyństwa spotykanym tylko w romansach francuskich. Wypędzona z domu, kryje się na przedmieściu ze służącą, która sama niegdyś wpadłszy w grzech w czasach gdy nie wierzyła, odzyskała wiarę przy łożu śmiertelnem człowieka, którego miała zaślubić i odtąd modlitwą i pracą odkupuje swą winę. Autor pozwala się domyśleć, że przykład jej pobożności na Arlettę podziała i — na tem koniec. Historya zaczęta z wielkim rozmachem słabnie w miarę obracania się kartek i kończy, jak mówią Francuzi *en queue de poisson.* Niby to ma być moralne, niby pobożne a w gruncie ani moralne, ani pobożne tylko — nudne.

T. W.

Le Marquis de Valcor. *Daniel Lesueur.* Seizième éd. Paris. Alphonse Lemerre édit. 1904. Str. 469.

Le marquis de Valcor stanowi pierwszą część trylogii, której całość autor zatytułował *Le masque d'amour.* Nie pierwszy to jego utwór. Literatura francuska zapisuje już długi szereg jego powieści o romantycznych tytułach, z pomiędzy których jeden *Lèvres closes* zabłądził swojego czasu do kroniki literackiej naszych *Przeglądów.* Lesueur posiada wielką zaletę: opisuje miłość ale w niej nie topi treści swych opowiadań. Zbyt wiele na to u niego jędrności, życia i wyobraźni. W *Lèvres closes* np. głównym rysem powieści jest bohaterskie poświęcenie siostry; w *Marquis de Valcor* odbicie senzacyjnego procesu, który przed rokiem wzniecał na Zachodzie radość reporterów i ciekawość publiczności. Jest to historya człowieka, który korzystając z wielkiego podobieństwa zabił w Ameryce markiza de Valcor i pod jego nazwiskiem do Europy powrócił. Autor wyzyskał sytuacyę wprowadzając swego bohatera w szereg zawikłań i kierując nim tak zręcznie, że czytelnik dopiero przy końcu domyśla się prawdy. Książka zamyka się w chwili tryumfu rzekomego Valcor'a a pogromu nie tylko jego osobistych wrogów ale i rządowego stronnictwa w Izbie pragnącego zgnieceniem jednego z członków świata arystokratycznego zgotować nową chwałę dla swego obozu. Lesueur nie bawi się w analizy uczuć i dyssekcye »nastrojów«; charaktery zarysowuje głównie czynami, opisanymi językiem prostym a barwnym, bez wielkich subtelności, ale i bez niedbalstwa, bez pretensyi do moralizowania, ale i bez brzydkich opisów. Zdawałoby się, że to powieść z przed lat dwudziestu,

gdyby nie sumienniejsze obrobienie przedmiotu, pogłębienie i wypolerowanie ważniejszych części. Co prawda autorowi daleko do Bourgeta, ale mu równie daleko do różnych autorów współczesnych, do takiej np. hr. de Noailles, łączącej sentymentalizm z obrazą uczuć religijnych a kwiecistość z niedorzecznym brakiem pojęć etycznych. Obecnie smutno powiedzieć, iż rzadko kiedy powieściopisarz dotknie tematów religii, bez skrzywienia ich w tę lub ową stronę — jest się prawie wdzięcznym, gdy który, jak Lesueur, trzyma się od nich daleko. *T. W.*

Du champ de bataille à la Trappe: Le Frère Gabriel. Par *Dom Du Bourg, moine bénédictin.* Paris. Libr. Perrin et Co. Str. 364.

Pomiędzy rokiem 1835 a 1895 rozwinął się bohaterski poemat, rycerski hymn na cześć Najśw. Panny — żywot Gabryela Mossier. Recenzye jego w pochwalnych pieniach wyśpiewali już anieli w niebie, dobrze jednak zrobił Dom Du Bourg, że nam ją w ludzkie przyoblekł słowa i do podziwu przedstawił. Czytając dzieje tego czciciela Maryi przypomina się to, co Henry Lassere mówi o dziełach Ernesta Hello: ma się wrażenie, że się stąpa po szczytach, w lazurze, wśród wielkich blasków, z pod których na mgły ziemskie szkoda spuścić wzroku. Aż miło się robi na myśl, że to rzecz współczesna, że też same cnoty, te same porywy, o jakich, jak o legendarnych zjawiskach czytamy za czasów św. Bazylego lub św. Benedykta, mają istnieć równie silne, gorące i świeże wśród powszedniości obecnego świata, wpośród świstu lokomotyw, huku maszyn i giełdowego zgiełku. Gabryel Mossier był synem zamożnej, mieszczańskiej rodziny; skończywszy nauki przywdział mundur dragoński, przebył kampanię r. 1870 i w ślad za nią pruską niewolę, poczem wstąpił do Trapistów w Chambarands, gdzie pozostając w skromnych funkcyach klasztornego »Braciszka« w r. 1897 pobożnie życie zakończył. Oto główne, zewnętrzne rysy tego żywota, pod którymi kryją się niezmierzone skarby zasługi. W krótkiem sprawozdaniu niepodobna ich odmalować, niepodobna oddać walki i zwycięstw natury żywej, energicznej i dumnej, rzucającej miecz użyty przeciw wrogom ojczyzny jedynie, by pochwycić broń przeciw piekłu, skruszyć w sobie wszystko, co ziemskie i przedzierzgnąć się niemal w anioła. Gabryel był dzielny, w bitwie pod Gravelotte zasłużył na krzyż legii honorowej a w następnych bojach na stopień kapitana; w klasztorze chciał sługą pozostać, odmówił zaszczytu kapłaństwa i białej szaty I-go Chóru. Pracował w kuchni, zamiatał, czyścił, woził z pomocą nędznego osiołka piasek i cegłę do budowy kościoła, pielęgnował chorych, zakładał własnemi rękami ogród roślin lekarskich, słowem spełniał wszystkie obowiązki Trapisty, podobnie jak dawne obowiązki żołnierskie z imieniem Maryi na ustach i w sercu, otoczony czcią i przyjaźnią przeora, tak jak niegdyś przyjaźnią swego pułkownika. Nie brak mu przytem było krzyżów, nie brak cierpień fizycznych i pokus duchowych, wśród których rozwijał względem siebie surowość, którą przełożony musiał ustawicznie uśmierzać. Ten przeor, późniejszy opat w Chambarands, to też prześliczna postać, dziwnie słodka i wzniosła, bardziej »ludzka« od samego Gabryela. Autor tłumaczy, iż święci gdy już przewalczą świat i dotrą do samego Boga, tracą to, co było ostrego, twar-

dego w ich cnocie, zbliżają się napowrót do ludzi, którzy już dla nich nie przedstawiają niebezpieczeństwa, śmielej nawet cieszą się ziemskimi darami Opatrzności, widząc w nich tylko nowe powody wdzięczności. Śliczny jest epizod walki Gabryela z własną miłością rodzinną, jego rygoru dręczącego matkę i siostrę, osładzanego wciąż litością dla nich poczciwego przeora, którego wpływ poparty natchnieniem Najśw. Panny zwalcza wkońcu przesadę w sercu żołnierza-mnicha, otwierając w niem napowrót zdrój czystych a gorących uczuć człowieczych. Śmierć Gabryela nastąpiła po długich cierpieniach cicha i słodka. Sława jego nadziemskich cnót już się od dawna rozeszła była poza murami klasztoru. Być może, iż kiedyś Kościół policzy go w grono świętych; dziś nawet bez aureoli świętość jego może służyć za przykład do naśladowania choćby z bardzo daleka, opis zaś jego żywota za niezmiernie pociągające i pożyteczne czytanie.

T. W.

Die tridentinische Eheschliessungsform (c. Tametsi) nach der Konstitution Pius X. »Provida« vom 18 Jan. 1906. *Dr. Martin Leitner.* Regensburg 1906. Verlag G. I. Manz. Str. 24.

Wiadomo wszystkim, iż Pius X powziął wielką myśl zrewidowania i zreformowania całego prawa kanonicznego. Komisya kodyfikacyjna dnia 19 marca 1904 przezeń powołana do życia, z nadzwyczajnem wytężeniem wszystkich sił pracuje obecnie nad urzeczywistnieniem doniosłego planu wielkiego papieża, a że spodziewać się można po niej wielkich rzeczy, o tem świadczą pojedyncze akty ustawodawcze, którymi Stolica św. w ostatnich miesiącach zadosyćuczynić pragnęła najgwałtowniejszym potrzebom niektórych prowincyi kościelnych. Najdonioślejszą z pomiędzy tych ustaw partykularnych jest niezawodnie konstytucya *Provida* z 18 stycznia b. r., w której jednem pociągnięciem pióra — rzecby można — Pius X uregulował prawo zawarcia małżeństwa w państwie niemieckiem i zażegnał wszelkie spory i stąd wynikłą w tym kierunku niepewność prawną.

W powyżej wskazanej broszurce ks. Leitner podaje wcale dobry, jasny i gruntowny komentarz do wspomnianej konstytucyi, której treść zawiera się w tych dwóch punktach zasadniczych: iż małżeństwa czysto katolickie w Niemczech pod karą nieważności zawierane być muszą w formie trydenckiej; małżeństwa zaś mieszane albo czysto akatolickie za ważne uważane być mają, choćby zawierane były bez przestrzegania tejże formy. Jedno atoli zdanie autora zasługuje na sprostowanie. Na str. 12 powiada autor: »Jeżeli narzeczeni w państwie niemieckiem jeszcze nie nabyli *domicilium* lub *quasidomicilium*, to ich nie obowiązuje prawo zawarcia małżeństwa, stworzone teraz dla Niemiec«. Zdanie to w swej ogólności jest mylne, bo, jak sam autor na str. 14 pisze, »dwie obce osoby katolickie podlegają w Niemczech formie trydenckiej nawet wtedy, gdyby w ich ojczyźnie forma trydencka nie była wymaganą do ważności małżeństwa«. *J. R.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ostatnie wypadki we Francyi.

Rozprawy kościelne, toczące się obecnie we Francyi, przedstawiają się tak mglisto i nieuchwytnie, że mimowoli nawet nasuwają myśli, iż sam rząd i główne czynniki nie zdają sobie jeszcze jasno sprawy, jaką wybrać drogę. W sierpniu zagroził Briand księżom, którzy bez upoważnienia Związków wyznaniowych odprawiać będą nabożeństwa, aresztem, postawił więc od razu kwestyę na ostrzu noża. Na to odpowiedziała francuska rada stanu, że ponieważ pierwszy paragraf ustawy separacyjnej gwarantuje zupełną wolność sumienia i wyznania, wykonywanie praktyk religijnych nie może zależeć od Związków, lecz od ogólnej ustawy o zgromadzeniach z r. 1881, a ta wymaga tylko uwiadomienia władzy w każdym poszczególnym wypadku. Teraz zmienił i Briand swe zapatrywanie. »Kościół katolicki — mówił do przedstawicieli *Matin*'a — odrzuciwszy korzystne dla siebie prawo, musi się poddać ustawie ogólnej. Ponieważ artykuł pierwszy ustawy separacyjnej poręcza wolne wykonywanie kultu, będzie i obrządek katolicki wykonywany, jak każdy inny. Państwo nie odbierze mu tego prawa i jak w przeszłości, tak i teraz zostawi kościoły do jego dyspozycyi. Proboszcz będzie mógł w kościele odprawiać nabożeństwa i miewać

kazania, lecz równocześnie będzie miał tylko używanie kościoła, podczas gdy w razie utworzenia się Związków miałby niejako prawo własności; w kościele będzie on tylko dzięki tolerancyi państwa i gminy a mógłby w nim być na mocy prawa. To samo stanie się z budowlami, które są własnością Kościoła katolickiego. Lourdes i Kościół Serca P. Jezusa na Montmartre staną się razem z 2000 świątyń francuskich własnością państwa. Wynoszący 400 milionów skarb kościelny, któryby był przeszedł na własność Związków, będzie przez państwo zasekwestrowany. Dla wiernych nic się nie zmieni, dla kleru wszystko«.

Wbrew swoim dawnym zapatrywaniom minister nie tylko nie kładzie nacisku na Związki, lecz utworzone dotychczas przeciw woli papieża i biskupów Związki uważa nawet za nielegalne i twierdzi, że paragraf czwarty ustawy separacyjnej nie pozwala na oddanie dóbr kościelnych tym stowarzyszeniom; i niema w takiem pojęciu rzeczy — twierdzi — żadnego poniżenia, jeżeli Francya za przykładem Ameryki uzna powagę biskupów.

Tu jeszcze nie koniec. »Kościół — utrzymuje Briand w *Matin* — nie buntuje się przeciw prawu lub państwu. Prawo nie nałożyło Kościołowi bynajmniej obowiązku zakładania czy przyjmowania Związków. Udzielono mu tylko przywileju, z którego nie chce korzystać. Tem gorzej dla Kościoła a dodałbym, tem lepiej dla państwa. Rząd nie robi Kościołowi najmniejszego zarzutu z tego, że nie chce Związków; prawo go do tego nie zmusza. Kościół miał prawo do odrzucenia Związków i my przeciwko temu nic nie mamy, do niczego też nie chcemy zmuszać«.

Dotąd mogłoby się zdawać, że wszystko jest w porządku i że można w dobrą wolę rządu uwierzyć, ale już siódmego listopada staje Briand w sprzeczności z samym sobą, i orzeka publicznie, że o pozostawieniu kościołów dla wykonywania kultu bez Związków wyznaniowych nie może być mowy i że po jedenastym grudniu bieżącego roku tylko od rządu zależeć będzie, czy zechce Związkom po tym terminie utworzonym odstąpić dobra kościelne, czy też przekazać je gminom. To już się sprzeciwia nie tylko wyżej przytoczonym zapatrywaniom ale i tekstowi

uchwały rady ministrów orzekającemu, że z przekazaniem dóbr kościelnych gminom trzeba zaczekać do 11 grudnia 1907 r.

Sprawa powikłała się jeszcze więcej, gdy Briand dziewiątego listopada zapowiedział znowu w parlamencie: »Kościoły i po jedenastym grudniu pozostaną otwarte dla swoich zadań. Rząd zawsze uwzględni swój obowiązek t. j. zapewnienie wolności kultu rzeczypospolitej. Rada państwa udzieliła Kościołowi terminu do zwrócenia dóbr kościelnych do 11 grudnia 1907 r.« i t. d.

Jeżeli się z tem połączy ciekawe stanowisko, jakie w całej sprawie zajmuje Clémenceau, który raz się odgraża, to znowu prosi lub zapewnia, że za jego rządów żaden kościół nie zostanie zamknięty, że ustawa ma być ustawą zupełnej wolności, to na prawdę trudno się w tym chaosie zoryentować, ale nie trudno zrozumieć, że skrajne żywioły w parlamencie nie są tem wszystkiem zachwycone a znowu powierzchowniej rzecz biorący przeciwnicy ustawy oddają się illuzyom. *Journal des débats,* który bynajmniej z rządem się nie solidaryzuje, twierdzi, że Briand postąpił sobie, jak postępuje człowiek, który jest zdecydowany zapewnić prawu poważanie, ale który pragnie równocześnie i uszanować wolność sumienia. Prawo z r. 1905 — pisze znowu *Temps* — rozdzielając państwo od Kościoła, chciało dać wolność nie tylko państwu ale i Kościołowi i nie chodziło mu bynajmniej o dokonanie dzieła antyreligijnego. Dalej rząd przeprowadzając ustawę musi ją stosować w duchu liberalnym, jeżeli nie chce zmienić jej istotnego charakteru; taka metoda jest ze stanowiska prawnego zupełnie lojalna a rozumna, daleko patrząca polityka innej nawet użyć nie może.

Inaczej i, zdaje się, rozumniej pojmuje chwiejne stanowisko rządu *Gaulois.* W pozornych ustępstwach widzi on nie zasługę rządu, ale wynik silnej postawy papieża. »To pierwsze zwycięstwo, ale ono nie wystarcza, ponieważ nie daje jeszcze tych gwarancyi, których papież słusznie domagać się musi. Orzeczenie rady stanu nie obowiązuje rządu do niczego; rząd może z niem robić, co mu się podoba. Zarzucają nam, że Briand, pod pewnym względem składa broń, gdyż oświadcza, że nie zamknie kościołów i nie

przeszkodzi odprawianiu nabożeństw. To jest wprawdzie możliwem, ale to jest równocześnie tylko tolerowaniem, podczas gdy Kościół potrzebuje pewnego, zagwarantowanego prawa, a takie może mu dać tylko uchwalona przez parlament ustawa«. *Libre Parole* występuje jeszcze ostrzej. Podaje ona wogóle w wątpliwość dobrą wolę rządu i twierdzi, że cała taktyka rządu jest tylko pułapką, obrachowaną na to, aby wszystkie kościoły powoli zamknąć, ponieważ rząd lęka się je zamknąć od razu.

Ten ostatni pogląd jest też prawdopodobny. Briand a z nim i rząd sądzą, że uda im się jeszcze zjednać katolików i Kuryę, że powstanie Związków na mocy kompromisu między ustawą a encykliką nie jest jeszcze wykluczone — tak łatwo się tłumaczy chwiejne stanowisko ministra, jego dwuznaczniki i jego sprzeczności. A i tego dla zrozumienia postępowania Brianda pominąć jeszcze milczeniem nie można, że poznaje on całą trudność i niebezpieczeństwo, leżące w bezwzględnem stosowaniu ustawy, pozornemi zato obietnicami można uśpić czujność i wmówić w tłum, że w istocie nic strasznego nie grozi, skoro na oko wszystko pozostaje po staremu.

Ostatnie zajścia znane z gazet nasuwają rzeczywiście przypuszczenie, że rząd nie bardzo seryo myśli o stosowaniu ustawy w duchu liberalnym. Przy inwentaryzacyi kościołów płynie znowu krew, bombami rząd otwiera świątynie, arcybiskupowi Paryża odgraża się wyrzuceniem go na bruk, areszty się napełniają a prokuratorzy wytaczają śledztwa biskupom, którzy protestują przeciw takiemu postępowaniu. I inaczej być nie może. Rząd, który przez usta jednego ze swych ministrów, socyalistę Vivani'ego chwali się publicznie: »wyrwaliśmy wiarę w życie przyszłe z serca ludzkiego. Zagasiliśmy światła na niebie i nikt ich więcej nie zaświeci; pokazaliśmy płaczącemu, że za temi chmurami, za któremi szuka jego oko, nic dla niego nie istnieje«, taki rząd gwarancyi i pewności dać nie może. Chwila rozstrzygająca zbliża się szybko; trudno dziś przewidzieć, co najbliższa przyszłość przyniesie. Jedno powiedzieć można: obóz katolicki skupiać się zaczyna, ale jeszcze jego siły zanadto rozstrzelone, a on sam nieprzygotowany.

Kulturkampf w Hiszpanii.

Zaciemnia się powoli i horyzont w Hiszpanii. Na pierwsze miejsce wysunięto tam w parlamencie sprawę stosunku państwa do Kościoła; sprawa ta ma być rozstrzygnięta na wzór Francyi a więc wbrew konkordatowi bez porozumienia się z papieżem. O początku tego konfliktu pisaliśmy w zeszycie październikowym *Przeglądu,* do niego więc czytelników odsyłamy.

Od tego czasu jednak sprawa się zaogniła. Przykład Francyi podziałał podniecająco; stronnictwa radykalno-liberalne są w Hiszpanii liczne a na usługach swych mają najpopularniejsze dzienniki, jak *el Imparcial, el Liberal, el Heraldo,* które jeżeli religii nie są wprost wrogie, są dla niej przynajmniej zupełnie obojętne. Katolicy, rozdwojeni między sobą i rozdzieleni na obozy, nie mogą tym pismom przeciwstawić dzienników równie poważnych i wpływowych; walczą one między sobą, albo też są niedbale redagowane. Podkład pod przyszłą walkę był więc dobrze przygotowany, a okazyą do zaostrzenia stosunków był list pasterski biskupa z Tuy, wydany przy sposobności dekretu królewskiego o małżeństwach cywilnych. Zdaje się, że w ogniu walki biskup z Tuy, uniesiony gorliwością, poszedł za daleko; w jego liście znajdują się ostre ustępy, które mogły obrazić ministra kultu, hr. Romanones. Romanones wytoczył biskupowi proces, prasa antykatolicka tryumfowała. »Biskup z Tuy — pisze *el Liberal* — dokonał przez swój list pasterski rozdziału Kościoła i państwa w swej dyecezyi; pozostaje jeszcze do przeprowadzenia rozdział w całym kraju«. Biskup przeprosił ministra publicznie, zdaje się pod wpływem Rzymu a następstwem tego były — zaburzenia antyklerykalne w Walencyi, w Alcoy i w Madrycie.

Nadeszła stosowna chwila. Romanones oświadcza publicznie, że wypowiada, nie konkordat wprawdzie, ale tak zwany *Convenio,* zawarty między papieżem a rządem w r. 1904 za gabinetu Maury. O tym *Convenio* pisał *Przegląd* w r. 1904, t. 83, str. 301. Chodzi tu o kongregacye. Artykuł 29 konkordatu z r. 1851 przypuścił do Hiszpanii tylko trzy zakony: Lazarystów, Oratoryanów i inny jakiś trzeci, który według jednych rząd, według drugich biskup mógł dla dyecezyi zatwierdzić.

Jakie miało być stanowisko innych kongregacyi? Tę kwestyę

chciał rozwiązać Sagasta, który uznał legalność tylko trzech kongregacyi, a dla innych przygotowywał nowe prawo o stowarzyszeniach i to w myśl artykułu 17 konkordatu. Po jego śmierci orzekł Maura, że paragraf 29 nie wyklucza bynajmniej innych kongregacyi, ponieważ konkordat gwarantuje wolność praktykowania religii katolickiej. W tym celu zawarł z papieżem *Convenio*, które przyjął senat a które dawało kongregacyom daleko sięgające wolności. Maura przedłożył *Convenio* Kortezom i równocześnie widział się zmuszonym do podania się o dymisyę.

Obecne ministeryum Lopez-Dominguez zarzeka się, że nie chce bynajmniej wojny z Kościołem, pragnie tylko wrócić państwu jego prawa. Na tej podstawie wnosi Romanones w Kortezach nowy projekt prawa o kongregacyach, znoszący tem samem *Convenio* Maury. Projekt zaznacza między innemi, że nie wolno nikomu wyrzec się swych praw przez złożenie dożywotnich ślubów zakonnych, że każdy członek kongregacyi, chcąc zrzucić przyjęte na się obowiązki, ma prawo żądać pomocy państwa a państwo musi go bronić, że kongregacye z dożywotnimi ślubami mają w Hiszpanii osiąść tylko na mocy osobnej ustawy, że przy zakładaniu pojedynczych domów dopuszczonego do kraju zakonu będą potrzebne te same formalności, jak przy wprowadzaniu tegoż zakonu, że państwo dekretem ministeryalnym może rozwiązywać domy zakonne, że kongregacye składające się z cudzoziemców lub których zarząd znajduje się poza Hiszpanią, będą podlegały rządowi, który może je rozwiązać lub zupełnie znieść stosownie do uchwały rady ministrów i t. d. Rzym zaprotestował, ponieważ tu chodziło nie tylko o sprawę polityczną ale i religijną a nikt do niego się w tej rzeczy nie odniósł; Madryt wykręcił się sianem twierdząc, że prawo o stowarzyszeniach ma charakter generalny a tylko mimochodem odnosi się do kongregacyi i równocześnie postanawia wnieść w Kortezach nowy projekt, zastępujący śluby zakonne zwykłem przyrzeczeniem w imię honoru.

Walka rozpoczęła się, wbrew wszelkim zaprzeczaniom, na całej linii a dziwne światło rzuca na nią co najmniej dziecinne i niegodne zachowanie się rządu względem swego ambasadora przy Watykanie, Ojedy. Wytrawny ten dyplomata przyjął swój

odpowiedzialny urząd otrzymawszy obietnicę, że rząd stanowiska jego mu nie utrudni. Prywatna audyencya u Piusa X zdawała się świadczyć o dobrych stosunkach między Watykanem a Madrytem; kiedy więc na niej Ojeda, jako reprezentant króla, złożył papieżowi w imieniu swego monarchy wyrazy czci i hołdu, wziął mu to rząd tak dalece za złe, że nie udzielał mu żadnych instrukcyi. O przedłożeniu nowego prawa Kortezom dowiedział się ambasador dopiero po jego wniesieniu a po różnych prośbach, listach i telegramach otrzymał wreszcie sam tekst prawa i to w wycinku gazetowym. Ten fakt rzuca nie tylko bardzo ujemne światło na gabinet hiszpański, ale jaśniej jeszcze mówi, że od gabinetu samego Rzym wiele spodziewać się nie może.

Niespodzianki w Anglii.

Dwie przykre niespodzianki spotkały w ostatnich tygodniach rząd angielski. Z takim nakładem pracy i agitacyi przeforsowane w parlamencie antyreligijne nowe prawo szkolne, doznało w izbie lordów nieoczekiwanego przyjęcia. Izba lordów załatwiła się z ustawą krótko i przydała jej, przyjęte większością $^5/_6$ głosów uzupełnienie tej treści: »publiczną (to znaczy z funduszów państwowych utrzymywaną) szkołą jest tylko taka, w której codziennie pewna część godzin poświęcona jest wykładowi religii«. Tem lakonicznem, lapidarnem uzupełnieniem obrócili lordowie całe dzieło ministra Birrella w niwecz.

Takie niespodziewane załatwienie sprawy napsuło w sferach rządowych dużo humoru; rząd znalazł się w kłopotliwem położeniu. Sekretarz stanu, Asquit, oświadczył w Manchester, że rząd izbie lordów ustąpić nie może i nie ustąpi, choćby nawet mógł. W duchu za to pojednawczym przemawiał w Bristol sam twórca ustawy, minister oświaty, Birrell. Rząd jest zdecydowany zastosować się w pewnych granicach do wymagań lordów, ale nigdy nie może się zgodzić na prawo tak zredagowane, jak to uczynili lordowie. Takie prawo nie da się przeprowadzić. »Minister, któryby się podobnego dzieła podjął, w przeciągu dwunastu miesięcy umrze lub zwaryuje«. »Walka będzie ciężka, a, da Bóg, zwyciężymy; jeżeli nie, sądzę, że żadne stronnictwo liberalne tej walki na nowo nie podejmie. W interesie pokoju jesteśmy gotowi do ja-

kiegokolwiek załatwienia sprawy, jeżeli tylko nabierzemy przekonania, że będzie ono oznaczać ostateczne uregulowanie rzeczy«. Jeżeli jednak izba wyższa zamiaru swego nie zmieni — kończył Birrell — wtenczas każdy rząd liberalny będzie tylko pozornym tak długo, dopóki nie nastąpi zmiana konstytucyi.

Że jednak rząd nie może za wiele na naród się spuszczać, o tem świadczyć się zdaje druga nieprzyjemna niespodzianka: wynik wyborów gminnych w Londynie. Od r. 1900 rozpada się Londyn na 28 gmin, z samodzielną administracyą; po wyborach 1903 r. miało 13 gmin większość liberalną, 12 konserwatywno-umiarkowaną, 3 niezależną. Nowe wybory zmieniły stosunek. W trzech gminach jest obecnie większość liberalna, w dwóch niezależna, w dwudziestu trzech za to konserwatywna. Taki wynik był nieprzewidziany i nie był brany nawet w rachubę. Różne pisma zdając sobie sprawę z tego stanu rzeczy, dochodzą do przekonania, że przyczynę trzeba przypisać nadmiernemu wzrostowi podatków gminnych, zbytniemu zbliżeniu się stronnictwa liberalnego do socyalnej demokracyi, (tak np. w centrum stronnictwa robotniczego, we Woolwich, umiarkowani pozyskali piętnaście miejsc, choć jeszcze przed wyborami wódz stronnictwa, Keir-Hardie, zapowiedział pewne zwycięstwo socyalistów i wyciągał już naprzód wnioski mające świadczyć o ich potędze i stanowisku rządu w sprawie prawa szkolnego. Nawet radykali, zdaniem różnych posłów, przeszli z tego powodu do obozu konserwatywnego, choć w innych rzeczach z nim się bynajmniej nie solidaryzują. Przygnębienie w kołach rządowych tem większe, że taki fatalny w swych następstwach wynik wyborów, zeszedł się z tak stanowczem odrzuceniem ustawy w izbie lordów. Zaczynają już nawet kursować pogłoski, że rząd nosi się z zamiarem rozwiązania parlamentu.

Dalsze losy »wojny z dziećmi«.

Pod zaborem pruskim wre dalej. Mimo niesłychanie surowego postępowania władz, opór dzieci szkolnych przybiera coraz szersze rozmiary, staje się ruchem żywiołowym. Zakłopotanie rządu wzrasta.

Norddeutsche Allgemeine Zeitung w oficyalnym artykule stara

się rząd uniewinnić. Tylko tym dzieciom, pisze, wykładają religię po niemiecku, które język dobrze rozumieją, choć w rzeczywistości rzecz ma się całkiem przeciwnie. Wyniki osiągnięte są zadowalniające — wywodzi gazeta dalej — choć biskupi i księża co innego widzą. Rząd — twierdzi *Zeitung* wreszcie — choćby chciał, nie może uledz, gdyż niema polskich nauczycieli; tu zapomniano jednak, że jednych nauczycieli spensyonowano, innych poprzenoszono, a jeszcze innych szykanowano do tego stopnia, że musieli dymisyi zażądać.

Zakłopotanie rządu można zrozumieć. Niemiecką »wojnę z dziećmi« potępiają nie tylko wszystkie wielkie gazety świata, z wyjątkiem wszechniemieckich austryackich, nie tylko niemieckie katolickie, ale i z własnego obozu odzywają się od czasu do czasu głosy nawołujące do odwrotu. Gorzkie prawdy mówi rządowi młodo-liberalny *Fortschritt*, bardziej gorzkie hakatystyczna *Deutsche Tageszeitung*. »W chwili, gdy Niemcy prowadzą podziwienia godną politykę, gdzie według kursującego dowcipu książę Monaco jest naszym jedynym przyjacielem, przyjmują polskie sprawy charakter walki podjazdowej, na korzyść naszych międzynarodowych wrogów, a gdyby tak źle jeszcze nie było, pokazują zagranicą, że nowe niemieckie państwo w posadach swych się rysuje«.

To też nie trudno już zrozumieć, że te same protestanckie i hakatystyczne pisma, które zwykle ujadają na wpływ Kościoła w szkole, zwracają się w swem zakłopotaniu do arcybiskupa poznańskiego z prośbą o pomoc.

Jak się to wszystko skończy? Procesy, katowania, zabieranie dzieci rodzicom, jak to miało miejsce w Zaborzu, zdają się wskazywać, że rząd na razie jeszcze o odwrocie nie myśli. A jednak z wyrazem ulgi i ufności przytaczamy tu słowa *Köln. Volkszeitung*: »naród, który tworzy dziesiątą część Prus, który wielką przeszłość łączy z produktywną pracą teraźniejszości, działa na polu sztuki i literatury, taki naród w wieku rozbudzonego aż do szowinizmu poczucia narodowego, drażniony do tego stale przez rząd pruski, taki naród nie ulegnie germanizacyi. Ta szeroko zakreślona i z trudem przeprowadzana polityka rozbije się o opór polskiego narodowego uczucia. Straty będą, to pewna, ale kto

inny poniesie koszta tej walki (nr. 952). »Rodzina rozstrzygnie o ostatecznem zwycięstwie. Jeżeli tam dziecko do modlitwy w ojczystym języku przyzwyczajać będą, jeżeli rodzina po polsku mówić i piękne polskie pieśni przechowywać będzie, wtenczas język nie zginie. Jeżeli rodzina katolicką zostanie, nie lękam się o religię kraju« (nr. 962).

Ś. p. Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański.

Niezbadane drogi Opatrzności! Te słowa nasuwają się same na wiadomość o śmierci Prymasa Polski, arcybiskupa Gniezna i Poznania. Nie mogła ta śmierć przyjść w gorszej chwili. Kiedy na wszystkich ziemiach dawnej Polski wre i burzy się, kiedy w Poznańskiem strumieniem leją się łzy katowanych dzieci, a Kościół tamże przechodzi ciężkie walki i przesilenia, śmierć zabiera wodza, naszego brata, który rozumiał i odczuł nasze potrzeby i nasze bóle i umiał bronić naszych praw i naszej wiary. Życie nie słało mu róż pod stopy, a z pewnością nie tak go bolały cierpienia fizyczne, które już oddawna złamały jego ciało, choć nie ugięły ducha, ile te cierpienia moralne, których mu życie nie szczędziło. Postawiony na odpowiedzialnem stanowisku, zmuszony strzedz tego Kościoła, którego kierownictwo powierzył mu Bóg, otoczony wrogami nie tylko jego religii ale i jego narodu, nie zawsze znajduje uznanie. Pamiętamy jeszcze te smutne chwile, kiedy krótko patrzące, w ciasnem kole swych stronniczych zapatrywań obracające się radykalne gazety polskie, bryzgały na niego jadem, z za zielonego stolika dyktowały mu prawa, pomawiały nieledwie o zdradę narodową. To bolało i boleć musiało tę duszę prostą, ożywioną miłością Kościoła i kraju. Walki z rządem pruskim niejedną ciężką zgotowały mu chwilę; bolał ten arcypasterz, gdy widział, jak z rąk Kościoła wyrywały się i ginęły dusze, zmniejszała pobożność, rosła niewiara, szerzyła się obojętność. Dzisiaj te walki i cierpienia dla niego się skończyły; Bóg powołał wiernego sługę po wieniec nagrody, powołał w chwili dla nas ciężkiej i przygnębiającej. Co teraz nastąpi?

Ks. Wiktor Wiecki.

Listy z Warszawy.

I.

Dwa lata w życiu Warszawy.

Rok 1905-ty i 1906-ty.

Długo pamiętać będzie Warszawa te dwa lata, które zmieniły gościnny, miły, wesoły »gród syreni« w jaskinię złodziejów, rabusiów i morderców.

Wróciłem dnia 26 stycznia 1905 r. do Warszawy z Rzymu. Nazajutrz wychodzę na miasto, Alejami Ujazdowskiemi ku Krakowskiemu Przedmieściu. W Alejach, na placu św. Aleksandra, na Nowym Świecie stoją na wylotach bocznych ulic gromadki ludzi, niespotykanych zwykle w tych stronach, pozbawionych fabryk. Ludzie młodzi w czapkach, w długich butach, z wyglądu robotnicy. Pomiędzy nimi mnóstwo chłopców, prawie dzieci, różnych pauprów wielkomiejskich.

Cóż to takiego? Czyby jakie święto? Kalendarz nie mówi dziś nic o święcie.

Powozy, dorożki krążą, jak zwykle.

Nagle otoczyło kilkunastu wyrostków jakąś dorożkę.

— Ściągaj sałaciarzu liberyę z grzbietu, bo ci ją ściągniemy i ruszaj do domu, jeźli ci żebra miłe.

»Sałaciarz« dziwi się napadowi, macha batem, klnie.

— Odczepta się, nygusy, nie przeszkadzajta spokojnym ludziom pracować na chleb dla żony i dzieci i na owies dla szkapy.

— He, he, służka burżujów, jaki pyskaty. Ściągaj zaraz liberyę; psia...

Dorożkarz broni się jeszcze. Kilkanaście rąk ściąga go z kozła, rozbiera go z liberyi, kilkanaście pięści wali go w kark, po łbie.

— Naści na drogę i jazda do domu!

Dorożkarz w starym, dziurawym korzuchu ucieka jak oparzony.

Ucieka jeden, drugi, trzeci. Są, którzy widząc, co się dzieje, nie czekając na bezwzględne ręce i pięści, zdejmują sami liberyę i umykają co tchu do domu. Pasażerowie wyproszeni z »drynd« przez zuchów ulicznych, maszerują pieszo. Nikt się nie opiera. Po godzinie zamarł w mieście ruch kołowy. Powozy, dorożki znikły z ulicy.

Ale oto chodzą jeszcze tramwaje. I na nie rzucają się gromady dzieci, wyrostków, robotników. Do domu, do remizy! — rozlega się komenda. I tramwaje nie opierają się i one schodzą z ulicy.

Policya zaskoczona tą niespodziewaną rywalką, nową policyą, stoi bezradna, więcej zdziwiona, niż zagniewana. Bawi się nawet tą nową »władzą«.

Zbliżam się do kościoła św. Krzyża. Ogromny tłum przewraca właśnie jakiś opierający się woli ludu tramwaj. W tem rozlega się z tyłu tętent galopujących koni. To szarżują dragoni, rozwinąwszy się w szerz ulicy. Nawet trotuary zajęli. Szarżują bez dobytych szabel, rozbijają kupy tylko rozmachem koni. Nie bardzo się trudzą. Tłum rozpryskuje się na wszystkie strony, jak woda, w którą ktoś cisnął z góry kamień i jak woda łączy się znów, zlewając się w jedną zwartą całość, gdy dragoni przelecieli.

Szarże kawaleryi nie straszą, nie płoszą wcale zuchów ulicznych. Spędzeni z jednej ulicy, spieszą na drugą, gospodarując w mieście z humorem aż do wieczora.

Tak zaczęła się w Warszawie »praca wolnościowa«, zaczęła się od razu terrorem, jak wszędzie i zawsze, gdy lud wychodzi na ulicę. Był to terror niewinny, więcej humorystyczny niż tragiczny, ograniczył się na kułakach i uderzeniach pięści, ale despotyczny, bezwzględny, znów, jak wszędzie i zawsze, gdy lud chwyta cugle rządów w rękę.

Zdziwiła się Warszawa intelligentna. Skąd wzięli się ci »awanturnicy«, którzy mają odwagę gospodarować w mieście pod nosem policyi, drwiąc sobie z jej groźnej powagi? Trzymana przez lat czterdzieści na obroży biurokracyi, ręką więcej niż mocną, ściskana za gardło kleszczami pogromcy, zdobywcy, Warszawa straciła ochotę do »awantur«. Potulna, pokorna zabawiała się wistem, teatrem, literaturą, uciekając od polityki, jak od ognia. Nasza polityka gazeciarska obracała się z konieczności w ciasnych, wyblakłych ramach reporty zagranicznej. Wiedzieliśmy doskonale, co się dzieje w Paryżu, Berlinie, Wiedniu, Londynie, w Ameryce, w Indyach wschodnich, ale nie znaliśmy psychologii własnego społeczeństwa.

A w łonie naszego społeczeństwa, w jego najniższych nizinach, działy się rzeczy niezwykłe, zgoła niespodziewane. Na samym dole narodu, w fabrykach i warsztatach, wrzało od dawna. Wrzało po cichu, bo wybuch jawny, głośny, był w naszych warunkach niemożliwy, ale wrzało tem groźniej, że pod ziemią, bez kontroli dojrzałej, wytrawnej intelligencyi.

Kiedy się »burżuje« zabawiali wistem, teatrem i literaturą, ro-

botnik polski kształcił się na socyalistę, o czem nikt nie wiedział, czego nikt nawet nie przypuszczał.

Pieniądz był po wszystkie czasy samolubem, chciwcem, wyzyskiwał zawsze pracę. Historya jednak zna epoki, w których jego chciwość łagodziły uczucia i wierzenia szlachetne. Kapitalistę wieków średnich (szlachcica) trzymały w cuglach, żywa wiara i honor rycerski. Wiara nie pozwalała mu uciekać, krzywdzić ubogiego, honor zabraniał mu plamić się chciwością. Nie był prawdziwym rycerzem, kto nie umiał być hojnym.

Gdy rewolucya francuska, zburzywszy całą przeszłość, ośmieszywszy chrześcijaństwo i tradycye rycerskie, uwolniła kapitał od kontroli wiary i honoru, stał się pieniądz ordynarnym samolubem, uznającym tylko prawo siły i sprytu. Brutalna siła nie jest szlachetną — spryt drwi z sumienia chrześcijańskiego.

Cała kultura XVIII i XIX stulecia, poparta przez naukę nasamprzód encyklopedystyczną i następnie pozytywistyczną (z krótką przerwą romantyzmu) dążyła świadomie, rozmyślnie do zmateryalizowania człowieka, do skierowania wszystkich jego myśli ku ziemi.

U nas zaczął się ten ruch »otrzeźwiający« właściwie dopiero po r. 1863, po ostatniem powstaniu, na co wpłynęła dużo klęska polityczna. Pokonane, krwią ociekłe Królestwo, postanowiło zerwać tradycyę rycerską, z epopeją szlachecką i wstąpić na drogę t. zw. pracy organicznej, polegającej głównie na restauracyi ekonomicznej. Gdy będziemy bogaci, będziemy silni — uczyli trzeźwi. Równolegle z tem wytrzeźwieniem praktycznem szło wytrzeźwienie ideowe, czyli popularyzowanie, szczepienie t. zw. wiedzy niezawisłej, pozytywistycznej. Z literatury belletrystycznej znikli bohaterowie, kapłani, poeci, artyści i t. p. ideologowie; miejce ich zajęli przyrodnicy, inżynierowie, przemysłowcy, handlarze i t. p. »kupcy i rataje«. Wiedza niezawisła i dobrobyt stały się hasłem, ideałem nowego pokolenia. Główną przedstawicielką tego kierunku w powieści była młoda Eliza Orzeszkowa, której pomagał Michał Bałucki. Wszystkie powieści Orzeszkowej z pierwszego okresu jej twórczości apoteozowały nauki ścisłe, techniczne i przemysł — praktyczną stronę życia.

Dzięki wytrzeźwieniu wysunęli się wszelacy »praktyczni« na pierwszy plan naszego społeczeństwa, zajęli piedestały należące się tylko wielkim obywatelom, bohaterom, prorokom i wieszczom. Pierwszemu lepszemu inżynierowi, przemysłowcowi, kupcowi zdawało się, że

zbawią kraj nabijając własną kieszeń. Bo na tem głównie skończyła się »robota organiczna«.

Entuzyaści wytrzeźwienia zapomnieli, nie wiedzieli, że dobrobyt demoralizuje człowieka, że gromadzący się pieniądz podnieca wrodzone każdej żywej kreaturze samolubstwo, że wszelka »praktyczność« niezrównoważona, nie trzymana na obroży przez tęsknotę duszy, staje się płaskim materyalistą.

Życie odsłoniło wkrótce jednostronność »wytrzeźwienia«. Wyrastały u nas liczne fabryki, przedsiębiorstwa przemysłowe, spekulacye handlarskie, ale twórcy owych »posterunków obywatelskich« nie mieli wcale ochoty stanąć na piedestałach wielkich obywateli, ofiarników, posłanników i t. d. Zgarniali wesoło mamomę, używając jej dla siebie.

Co rewolucya z r. 1789 zrobiła we Francyi, tego dokonało u nas jednostronnie podjęte wytrzeźwienie. Idea chrześcijańska, odrywająca człowieka od ziemi, od jej doli i rozkoszy, stała się przesądem, niepraktycznych czasów przeżytkiem, honor brzydzący się brudem szachrajstwa, wyzysku, zbladł, niewygodny wstecznik dla handlu i przemysłu. Walka o byt, kult złotego cielca i spryt kupiecki rozsiadły się szeroko w Królestwie, drwiąc z wszelkiego idealizmu.

Porastał przemysł w złote pióra, bogacił się handel, a dusza polska traciła swoje dawne blaski. Na szczyty społeczne wydostawali się tylko sprytni, zręczni, bezwzględni. Kto chciał w tej pogoni za złotem runem zachować białe skrzydła uczciwości, prawości, honoru, komu się zdawało, że można zdobyć, majątek, stanowisko drogą prostą, ten ginął, spadał w błoto proletaryatu. Łajdactwo, szubrawstwo, grzech nazywano z uśmiechem cynicznym: sprytem. Temu nowemu »talentowi«, wytworowi szachrajstwa przebaczano wszystko, jeźli powodzenie uwieńczyło jego nikczemne pomysły.

Warszawa stała się miastem na wskróś kapitalistycznem, burżuazyjnem. Pieniądz gospodarował tu, jak w Manchestrze, jak w środowiskach przemysłowych Ameryki, był panem absolutnym. Ulegała mu nawet arystokracya rodowa, łącząca się związkami małżeńskimi z córkami zbogaconych szachrajów i lichwiarzów żydowskich, padała do jego stóp nawet prasa, tocząca walkę o dobrobyt zapomocą środków kupieckich (premia). Handel, handel, handel! rozlegało się na całym obszarze Królestwa.

Ten cały rejwach »wytrzeźwiający«, demoralizujący szczyty społeczne, spadał niewyraźnem zrazu echem w niziny, tam, gdzie stały

miliony ubogich, wydziedziczonych, którym ciężka praca dawała skąpy, czarny chleb, starczący zaledwie na wyżywienie rodziny.

Szczyty społeczne nie uważały przez długi czas za potrzebne zwracać uwagi na ten szary tłum roboczy, który zaczął nasłuchiwać coraz uważniej, co się ponad nim, w górze myśli, mówi i robi. Echa wrzawy, wywołanej przez pogoń za dobrami materyalnemi, podnieciły wkońcu i jego apetyty, rozbudziły w nim chciwość. Pierwszem, plastycznem wcieleniem tego wpływu doktryn materyalistycznych na lud, była gromadna emigracya chłopów do Brazylii. Polski chłop tak przywiązany do ziemi, do »gruntu«, że nie cofał się przed grzechem śmiertelnym (w stosunku do starych rodziców i krewnych), gdy chodziło o powiększenie szmata ziemi, sprzedawał ukochaną ziemię, rzucał bez żalu zagrodę ojców i leciał na oślep za morze po »większe dobro«.

Głównie jednak bezrolny, bezdomny robotnik fabryczny, rekrutujący się przeważnie z ludności wiejskiej, zaczął odczuwać nieznośny ból pracy, bez nadziei spokojnej starości.

Więcej niż gdzieindziej hołdowali nasi przemysłowcy hasłom materyalizmu, tłoczyli się do świątyni Złotego Cielca. Bo cóż to są za ludzie? Albo Żydzi, urodzeni czciciele bożka Mamona, albo napływowi Niemcy, którzy przybyli do Królestwa w celu zrobienia szybkiego majątku. Milionowe fortuny nagromadzili przemysłowcy łódzcy, z których wielu zaczęło karyerę albo od sklepiku, albo od jednego warsztaciku. A robotnik ich, ten, który pracował na ich miliony przez lat kilkadziesiąt, umierał nędzarzem.

Potrzeba było tylko agitatorów socyalistycznych, aby cichy żal wydziedziczonych rozbudzić i zmienić w głośny, groźny gniew. A na tych agitatorach nie zbywało, dostarczył ich proletaryat intelligentny.

Pamiętamy jeszcze wszyscy, jak głośno, szeroko rozbrzmiewały po roku 1870 obietnice wiedzy. Wiedza, to potęga, to czarodziejka, która daje światło, stanowisko wybitne i dobrobyt!

Więc tłoczyli się do bram świątyni wiedzy, powołani i niepowołani, tłoczyli się przedewszystkiem ubodzy, ambitni, chciwi dobrobytu, spodziewając się od patentów uniwersyteckich dostatku. Rozczarowali się biedacy bardzo prędko, bo nie uczonych wybiera bożek Mamon do swojej złotem kapiącej, drogimi kamieniami błyszczącej świty. Cóżby on robił z tymi »niedołęgami« nietresowanymi, nie przygotowanymi do służby w swojej świątyni? Pierwszy lepszy drapieżny kupczyk, bezwzględny sprytowicz, jest mu milszym od najuczeńszego uczonego.

Więc rozczarowali się wszyscy ci, którym się zdawało, że opatentowana dyplomowana wiedza da im dobrobyt, majątek. Na tysiąc lekarzów, prawników, inżynierów, dorabia się po kilkudziesięcioletniej pracy zaledwie dziesięciu znaczniejszych fortun, stu zdobywa dobrobyt, dwustu, trzystu najwyżej wiąże koniec z końcem, reszta klepie biedę, szarpie się, targa w sieci ubóstwa.

I oto gotowi agitatorzy socyalistyczni. Wszyscy rozczarowani, niezadowoleni intelligenci, wszyscy, których apetytów nie nasyciła wiedza rzemieślnicza, zgromadzili się głośno albo po cichu dokoła sztandaru socyalistycznego.

Pomogła im młodzież uniwersytecka lecąca zawsze i wszędzie z uporem ćmy w każdy ogień, pomogła im owa niedouczona półintelligencya, zawsze i wszędzie w chwilach wywrotowych najgłośniejsza, najkrzykliwsza, pomogli wkońcu Żydzi oklaskujący hałaśliwie każdą robotę wywrotową, jakakolwiekby ona była, każdy zamęt w społeczeństwach chrześcijańskich.

Cały ten proletaryat intelligentny i półintelligentny, niezadowolony z istniejącego porządku rzeczy, w którym nie znalazł dla siebie wygodnego miejsca, pracował nad »uświadomieniem« proletaryatu fabrycznego.

Potrzeba było tylko chwili odpowiedniej, iskry, płomienia z zewnątrz, aby nagromadzony zapalny materyał wybuchnął.

Ta chwila nadeszła.

Mały Japończyk uderzył żelazną pięścią w ogromną Rosyę i olbrzym zachwiał się ciężko raniony. Czego się niewielu spodziewało, stało się. Dawidek pokonał Goliata. Czem go pokonał? Nie samemi tylko armatami i karabinami, obsługiwanemi doskonale, ze sprawnością mistrzowską. Pokonał go jeszcze gorącym patryotyzmem, karnością, odwagą żołnierską i uczciwością uczciwego człowieka, którego nie można niczem przekupić.

Klęski idące po sobie jedna po drugiej z przerażającą szybkością, policzkowały naród rosyjski, jeszcze wczoraj taki potężny, a dziś taki słaby, a policzkując go, potrąciły o najskrytsze struny jego sumienia. Wszystko, co tliło się na dnie tego sumienia od czasu dekabrystów, wszystkie żale do biurokracyi, która zbudowała z narodu podnóżek dla siebie, buchnęły na zewnątrz lawą gorącą. W prasie rosyjskiej posypały się krytyki mordercze, wybitni uczeni, publicyści, obywatele, wszelacy ludzie dobrej woli zawołali wielkim głosem: tak dalej być nie może, trzeba przebudować, odnowić zmurszały gmach państwa

i odrodzić naród! Wołanie to rozbiegło się, rozleciało po całem imperyum rosyjskiem, jako olbrzymie stado spłoszonych ptaków, budząc wszędzie, gdzie nadleciało, życzenia pokrewne.

Rewolucya nadciągała.

Z naturalnego po tylu klęskach omdlenia rządu, skorzystali socyaliści rosyjscy i nasi, a skorzystali od razu, z wielką brawurą wysuwając się na pierwszy plan akcyi »wolnościowej«. Kiedy inni dysputowali, oni zabrali się do roboty skuteczniejszej, do czynu.

Zaczęli skromnie, humorystycznie, rozbieraniem dorożkarzy z liberyi i przewracaniem tramwajów, zasmakowawszy jednak w bezkarności swawoli, rozmachali się, posuwali się szybko coraz dalej a dalej, aż doszli do absurdu.

Po pierwszej, nierozważnej przegrywce rewolucyjnej (przewracanie dorożek i tramwajów) przyszły strajki. Strajkowały fabryki, strajkowały warsztaty, szewcy, krawcy, stolarze, rzeźnicy, strajkowały kantory kupieckie, strajkowali stróże domów, wkońcu nawet aptekarze, nawet roznosiciele gazet. Strajkowało wszystko, co miało dwie ręce do roboty i gębę do jedzenia.

Bezrobocie nie jest w zasadzie grzechem, każdemu bowiem robotnikowi przysługuje prawo odmówienia pracodawcy swoich rąk, swojej głowy, jeżeli uważa, że jego pracę za mało wynagradza i każdemu przysługuje prawo poszukania sobie wygodniejszego bytu. Czasy niewolnictwa, poddaństwa, przymusu skończyły się bezpowrotnie.

Ale bezrobocie powinno być dobrowolne. Zmuszanie robotnika do strajku jest takim samym grzechem, jak wyzyskiwanie słabszego.

Tymczasem wstąpił nasz socyalizm od razu na drogę bezwzględnego terroru. Z tajnych, podziemnych komitetów wychodziła komenda: dziś strajkują robotnicy fabryczni, jutro szewcy, pojutrze tacy owacy — wszyscy razem, ławą, bez żadnego wyjątku, a ktoby się ośmielił wyłamać z pod tego terroru, ten niech pisze testament.

I długi czas nie ośmielił się nikt oprzeć woli podziemnych dyktatorów. Na dany znak rozbierali się dorożkarze z liberyi, zamykali kupcy sklepy, milkły maszyny fabryczne — milionowe miasto zamierało. Bywały w Warszawie dni, w których oprócz różnych zakazanych figur, nie było na ulicach żywej duszy. Każdy chronił się pod dach bezpieczny, byle nie narazić się na gniew nie wiadomo kogo — nieznanych nikomu, ukrytych władców. Nawet policya, jeszcze niedawno tak u nas buńczuczna, położyła po sobie uszy i schodziła przezornie z drogi podejrzanie wyglądającym jegomościom. A nuż dobędą browninga?

Tchórz obleciał »gród syreni«, dygotało ze strachu miasto burżuazyjne, eldorado bankierów, fabrykantów, spekulantów, sprytowiczów. Opustoszały droższe restauracye, teatry, sale koncertowe. Kto mógł, uciekał z Warszawy za granicę.

Korzystając z panicznego strachu, jaki padł na burżujów, takich pewnych, gdy im nic nie grozi, gospodarował sobie socyalizm w Warszawie i w miastach fabrycznych, jak w kraju zdobytym. Kupcom, którzy nie chcieli zamknąć sklepów na jego rozkaz, wybijał drogie okna wystawowe, niszczył towar, fabrykantom, opierającym się żądanym podwyżkom, przykładał rewolwer do piersi, nielubianych z takich lub innych powodów majstrów, przełożonych, zwierzchników, wywoził na taczkach z warsztatów, kokotki »uczył moralności«, druzgocąc ich graty, wyrzucając je oknami na ulicę, na bruk, na spokojnych »burżujów« nakładał podatki. Nie było w r. 1905 ani jednego dnia, w którychby dwóch, trzech »delegatów« nie dzwoniło do mieszkań: dawaj na to, na owo, na cele takiej owakiej partyi! I każdy dawał, na co go było stać, dawał ze strachu.

Jedni ze strachu, inni chętnie.

Bo ta »robota wolnościowa«, która odsłoniła od razu przyłbicę, okazała się od razu walką ekonomiczną, nie mającą nic wspólnego z właściwą wolnością polityczną, olśniła, zachwyciła bezkrytyczny tłum przeciętnej intelligencyi i półintelligencyi. Ten tłum bezkrytyczny widział w socyalistach »pionierów wolności politycznej«, wyrzucił ich na wyżyny »bohaterów przyszłości«, — podziwiał ich, uwielbiał zrazu, oklaskiwał głośno ich odwagę.

A nie tylko tłum.

Ludzie, skądinąd zdolni, utalentowani nawet, zasłużeni, znani w nauce i literaturze, stracili przytomność, zachwycali się odwagą, dzielnością, bezwzględnością wywrotowców. Byli, którzy nazywali teror socyalistyczny »robotą Chrystusową«.

Pomięszały się pojęcia. Prosty gwałt stał się wyrazem najwyższej sprawiedliwości, — krzywda ubogich, drobnych rzemieślników, których towar, pracę, chleb niszczono, koniecznością polityczną — zabójstwo partyjne słuszną karą za nieposłuszeństwo. Najstraszliwszy, neronowski despotyzm wzięto za kwiat wolności.

I powtórzyła się znowu stara prawda, powtórzona przez historyę, że w chwilach wywrotowych tracą nawet niegłupie głowy miarę w oku, miarę sądu. Lśniący tuman entuzyazmu przesłania im wzrok, iż widzą wszystko na opak, iż nie są w stanie spokojnie rozważać.

W pierwszym roku rewolucyjnym nie wolno się było w Warszawie odezwać ze słowem rozważnem. Wprawdzie miały nasze pisma zachowawcze: *Słowo, Dziennik Powszechny, Rola* i umiarkowane: *Gazeta Polska* i *Goniec* od razu odwagę nazwać gwałt gwałtem, bezprawie bezprawiem, głupstwo głupstwem, ale któż słucha w chwilach namiętnych głosu rozważnego? To wstecznicy, maniacy, czarni obskuranci i t. d. Pierwszy lepszy krzykacz wiecowy lub gazeciarski znajduje więcej wiary od nich.

Reszta prasy toczyła się za prądem chwili, za hasłami popularnemi, jedne gazety ze strachu, drugie z sympatyi. Ze strachu o maszyny, które bomby socyalistyczne mogły zniszczyć, ze strachu o prenumeratorów, sprzyjających »ruchowi wolnościowemu«, którzy mogli odpaść.

Steroryzowawszy jedną część ludności groźbą zemsty, drugą zaś olśniwszy swoją bezwzględnością, socyaliści rozkołysali się na dobre. Zrewolucyonizowali cały świat roboczy, wykształcili sobie we wszystkich fabrykach, we wszystkich warsztatach, w kantorach nawet kupieckich, w sklepach i sklepikach, w instytucyach finansowych, w aptekach, wszędzie, gdzie praca uważała się za pokrzywdzoną przez kapitał, agitatorów, mowców ulicznych i wiecowych i rzucili cały ten hałaśliwy legion na »burżujów«. Ruchliwości i energii trudno im odmówić. Zabrali się w istocie do roboty z wielkim rozmachem.

»Burżuje« struchleli. Dziewięć dziesiątych właścicieli fabryk, pryncypałów, majstrów poddawało się bez oporu teroryzmowi, przyjmowało skwapliwie narzucone im warunki pracy. I struchleli robotnicy natury spokojniejszej, nie mający ochoty do »awantur«.

Ale tu i owdzie znalazł się jakiś odważniejszy lub chciwszy »burżuj«, jakiś samodzielniejszy lub rodziną obarczony robotnik, który nie miał czasu do »roboty wolnościowej«, bo dzieci wołały o chleb.

Na tych »buntowników« znalazł się sposób. Na imię mu: nóż, browning.

I oto zaczęły się zabójstwa »partyjne« czyli terorystyczne. Strzelano do właścicielów, dyrektorów i majstrów fabryk, strzelano do biedaków, którzy, nie posiadając środków na przetrzymanie strajku, a nie chcąc przymierać głodem z żoną i dziećmi, pracowali pokryjomu, nocami. Gdy noże i browningi nie pomagały, weszły w ruch bomby.

Przez cały prawie rok 1905 był wojujący socyalizm panem sytuacyi. Rząd, przerażony wynikiem wojny japońskiej, zaskoczouy nagłym wybuchem wojny domowej, straszniejszej zawsze od zewnętrznej, stracił poczucie swojej siły, nie wiedział, jak sobie radzić w nowem,

bardzo ciężkiem położeniu. Śruby maszyny rządowej rozluźniły się, organa władzy straciły sprężystość, — stanęły bezradne.

Równocześnie z socyalizmem przebudził się w łonie naszego narodu drugi lew: patryotyzm.

Skrępowana od lat czterdziestu dusza narodu, poczuwszy, że pęta z niej zaczynają opadać, odetchnęła swobodniej, szerzej.

Ta dusza, zdeptanego po r. 1863 narodu, podnosiła się już od pewnego czasu z popiołów. Dźwigała się wolno, ostrożnie, bo inaczej nie mogła. Przejawem tego ocknięcia była praca nad ludem, nad jego narodowem uświadomieniem, nad przygotowaniem wielkiej armii do przyszłej roboty politycznej. Trzy czwarte narodu zrozumiały, że wszelka działalność polityczna bez oparcia się na szerokiej podstawie ludu polskiego będzie walką bez wojska, bitwą bez żołnierzy.

Jeśli podziemnej, kreciej roboty przygotowawczej socyalistów nie widział nikt, tak nie dostrzeżono także cichej, systematycznej pracy narodowców. A ona szła swoją, wytkniętą drogą i wydała bujne owoce.

Bo oto, kiedy powiał nad imperyum rosyjskiem oddech swobodniejszy, kiedy się u nas zaczęły tworzyć wyraźne stronnictwa, stanęła znakomita większość narodu bez namysłu, bez agitacyi pod sztandarem »narodowej demokracyi«.

Dwa te najsilniejsze w kraju stronnictwa, socyalizm i narodowa demokracya, musiały się zewrzeć, uderzyć na siebie przy pierwszej sposobności.

Sposobność ta przyszła po ogłoszeniu konstytucyi dnia 30 października 1905 roku.

Dalszy ciąg w następnym liście.

Teodor Jeske-Choiński.

Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi.

(Dokończenie).

Gdy jednak wytworzenie takiej instytucyi, współzawodniczącej ze Związkiem handlowym groziłoby wybuchem ostrej walki, której rezultat nie wiadomy, która jednak w każdym razie wyszłaby na szkodę społeczeństwa, przeto byłoby może rzeczą pożądaną przekształcenie Związku w kierunku ściślejszej spójni z kółkami w ten sposób np., by każdych 20 Kółek do Związku należących miało jednego delegata do Rady Nadzorczej Związku handlowego. Kółka partycy-

pują w oprocentowaniu udziałów i w czystym zysku Związku handlowego w stosunku do zrobionych zakupów. Kółkom przysługuje prawo korzystania z tych samych warunków sprzedaży i udogodnień, przyznawanych przez Związek innym odbiorcom. Towarzystwo Kółek rolniczych ma delegata do dyrekcyi Związku z głosem doradczym w sprawach zakupów dla Kółek. Na propozycyę Związku Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych kooptuje delegata Związku na członka Zarządu i Wydziału wykonawczego.

Przeprowadzenie tego rodzaju organizacyi spowodowałoby niewątpliwie, że działalność Związku handlowego choć pośrednio tylko nabrałaby więcej łączności z instytucyą Kółek rolniczych i że z instytucyą tą nie byłaby złączona tylko nazwą, jak to się dzieje niejednokrotnie obecnie.

Sklepiki Kółkowe mają, jak powyżej wspomniano, bardzo ciekawą formę prawną. Są to, w myśl § 6 instrukcyi, Spółki ciche, w których Kółko rolnicze jako takie jest właścicielem przedsiębiorstwa a inni członkowie Kółka, którzy wnieśli udziały, są jego cichymi wspólnikami.

Każdy wspólnik cichy jest odpowiedzialny wobec Kółka rolniczego za jego zobowiązania całym deklarowanym chociażby nie w całości wpłaconym udziałem. Kółko rolnicze odpowiada natomiast całym swoim majątkiem za zobowiązania, przyjęte z tytułu prowadzenia sklepu pod firmą Kółka rolniczego (§ 7).

Otóż stwierdzić wypada przedewszystkiem, że gwarancye te papierowe dla wierzyciela żadnej prawie nie przedstawiają wartości. Przedewszystkiem bowiem rozmiary owych wartości majątkowych są zupełnie nieznane, bo spółka sklepowa, jako spółka »cicha« bynajmniej nie jest obecnie zobowiązana do publicznego składania rachunków. Powtóre, majątek kółka jest często prawie żaden, a fakt chwilowy cofania ostatecznego udziałów może faktycznie pozostać zupełnie ukrytym.

To też o ile sklepik chce uzyskać jakikolwiek poważniejszy kredyt towarowy czy to od Związku handlowego, czy też od jakiejkolwiek innej, rzetelnej i uczciwej firmy handlowej, to nie może z reguły występować jako »Sklep Kółka rolniczego«, tylko musi koniecznie uzyskać podkład gwarancyi osobistych jak prezesa, sekretarza, sklepikarza i t. p. dla swych zobowiązań, co oczywiście jest połączone niejednokrotnie ze znacznemi trudnościami a bywa nieraz zarodkiem przemiany Spółki sklepowej na przedsiębiorstwo czysto prywatne. »Tak jak pożyczkowa Kasa gminna zamiast służyć równomiernie w miarę

potrzeby wszystkim członkom gminy, często staje się prywatną własnością wójta i jemu najbliższych, tak też i sklepik traci powoli charakter spółkowy. Z tego też względu przemiana tych spółek w stowarzyszenia zarobkowe i gospodarcze z ograniczoną poręką, zarejestrowane po myśli ustawy kwietniowej z r. 1879 jest bardzo pożądana, bo da, w zasadzie przynajmniej, sklepikowi od razu silniejszą podstawę finansową [1]. Atoli i w tym kierunku nie można działać zbyt pośpiesznie, albowiem przemiana taka pociąga za sobą obowiązek publicznego składania rachunków czyli zmusza Kółka do prowadzenia prawidłowych ksiąg handlowych. Prowadzenie takich ksiąg, przejrzyście urządzonych, nie jest wprawdzie rzeczą zasadniczo niemożliwą, jak tego dowodzi choćby przykład działalności Biura Patronatu Spółek oszczędności i pożyczek. Atoli Biuro to tworzy spółki dość powoli, ludzie się dość powoli do nowych wymogów przystosowują, a sklepików Kółkowych jest moc olbrzymia, więc też i reforma musi się odbywać powoli i oględnie, jeśli niema pociągnąć zbyt licznych, a niekoniecznie potrzebnych ofiar za sobą.

Sklepiki Kółkowe stoją pod kontrolą lustratorów handlowych przy Zarządzie Głównym Towarzystwa Kółek rolniczych.

Lustratorów tych było w r. 1904 czterech, którzy przeprowadzili lustracye w 346 Kółkach. Pożytek tych lustracyi uznają obecnie już same Kółka rolnicze, czego najdosadniej może dowodzi fakt, że Zarząd Główny z roku na rok uzyskuje coraz to wyższe kwoty jako całkowity lub częściowy zwrot kosztów, poniesionych na przeprowadzenie lustracyi. Tak w r. 1902 zwrócono 767 K., w r. 1903 1325 K, w r. 1904 zaś już 2072 K Przedmiotową potrzebę fachowej kontroli udowodnił zaś ten fakt, że na podstawie dokonanych lustracyi i wskutek interwencyi lustratorów uratowano w r. 1904 w kilkunastu Kółkach z majątku stowarzyszeń 6.341 K, które niesumienni administratorowie wspólnego dobra, względnie nieuczciwi, płatni funkcyonaryusze przedsiębiorstw zwrócić byli zmuszeni do kasy Kółka już to na podstawie dobrowolnie przyjętych zobowiązań, już też wskutek wyroku sądowego [2].

Instytucya lustratorów jakkolwiek okazała się niezmiernie pożyteczną, przyszła jednak cokolwiek za późno, bo dopiero w 14 lat po powstaniu pierwszych sklepików Kółkowych. To też w międzyczasie popełniono w bardzo wielu Kółkach dużo błędów, które następnie trzeba

[1] A. Krzyżanowski: »Studya agrarne« j. w. str. 51.

[2] XXII Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Kółek rolniczych za rok 1904. Str. 12.

było odrobić. A i teraz jeszcze liczba lustratorów jest w stosunku do zapotrzebowania, w stosunku do wielkiej liczby Kółek zbyt szczupłą. Dla zawodowego kształcenia sklepikarzy Kółkowych Zarząd główny założył w Czernichowie czteromiesięczne kursa. Kursa te dostarczają też istotnie głównego zastępu sklepikarzy dla przedsiębiorstw Kółek rolniczych. W r. 1904 opuściło szkołę po czteromiesięcznej teoretycznej nauce, połączonej z praktyką w Bazarze Kółka rolniczego czernichowskiego 23 sklepikarzy. Płace nauczycieli, koszta utrzymania uczniów w internacie i stypendya dla nich wynosiły w r. 1904 razem 6.100 K [1].

Obok tego urządzono wędrowne kursa handlowe, z których pierwszy odbył się w Sokalu. Uczono przepisów prawnych, mających zastosowanie w handlu wiejskim, wymogów prowadzenia tego handlu, towaroznawstwa, manipulacyi sklepowej, zasad rachunkowości kupieckiej, zastosowanej w handlu wiejskim.

Drugi jednomiesięczny kurs urządzono w Nowym Sączu na wiosnę 1899 r., trzeci wreszcie w r. 1906 w Kamienopolu pod Lwowem.

Ważnym w końcu sposobem pomocy dla Kółkowych sklepików jest fundusz pożyczkowy dla popierania handlowo-przemysłowej działalności Kółek rolniczych, utworzony na skutek petycyi Zarządu głównego uchwałą sejmową z dnia 27 listopada 1890 r., udzielający pożyczek bezprocentowych. W r. 1904 z funduszu tego uzyskało pożyczki 33 sklepów Kółkowych w łącznej kwocie 25.900 K.

IX.

Odrębny typ stowarzyszeń stanowi »Narodna Torhowla«, stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką we Lwowie, odrębny przedewszystkiem z uwagi na swój charakter narodowy. Jak cały szereg stowarzyszeń spożywczych, poprzednio omawianych, jest objawem tendencyi ukrajowienia handlu ze stanowiska ludności chrześcijańskiej, tak znów »Narodna Torhowla« jest objawem tendencyi unarodowienia handlu ze stanowiska ludności rusińskiej [2].

I jakkolwiek przeciw wnoszeniu pierwiastka narodowo politycznego do organizacyi społeczno-gospodarczych wiele niejednokrotnie bywa wypowiadanych zarzutów, to jednak zjawisko to coraz bardziej się upowszechnia i w miarę pogłębiania idei narodowej coraz wię-

---

[1] XXII Sprawozdanie j. w. str. 13.

[2] Por. w tym względzie Gargas: »Bank związkowy czeskich kas Oszczędności (Oszczędność 1905).

kszej niewątpliwie będzie nabierać siły i mocy. Bo wszak spotęgowanie siły narodowej nie w ostatnim rzędzie przejawiać się musi i w sferze jego życia gospodarczego. Uznając przeto, że dążenie do unarodowienia handlu, względnie do wytworzenia handlu narodowego, jest u Rusinów galicyjskich zjawiskiem zupełnie zrozumiałem, zaznaczyć wypada, że »Narodna Torhowla«, stowarzyszeniem spożywczem w rozumieniu wzorów angielskich, dotychczas jeszcze nie jest, jakkolwiek do tych wzorów usilnie zbliżyć się stara, zbliżanie to jednak utrudnia może mała liczba spożywców rusińskich w miastach i miasteczkach wschodnio galicyjskich.

Centralny zarząd Torhowli i centralna jej składnica znajduje się we Lwowie. Ponadto Torhowla posiada jeszcze składy filialne w Stanisławowie, Przemyślu, Tarnopolu, Drohobyczu, Kołomyi, Stryju, Śniatynie, Samborze, Rohatynie, Brodach, Sanoku, Horodence, Borszczowie, Złoczowie i Zbarażu. Majątek stowarzyszenia wynosi 145.711·53 K.; Składa się on przedewszystkiem z udziałów 20-koronowych na łączną kwotę 109.670·54 kor., na majątek stowarzyszenia składa się również fundusz rezerwowy w kwocie 33.198 kor. 73 hal., tudzież rezerwy towarowe w kwocie 2.842·26 kor.

Torhowla ma, podobnie jak to czyniły niegdyś nasze stowarzyszenia zaliczkowo-spożywcze, oddział wkładkowy i przy pomocy wkładek, które wynosiły w r. 1905 łączną kwotę 808.083·68 kor., zasila poważnie a tanio swój kapitał obrotowy, jakkolwiek ten sposób zwiększania kapitału okrotowego, jak o tem wspomniano na innem miejscu, nie jest pozbawiony poważnych niebezpieczeństw. W każdym razie podnieść wypada, że kapitał wkładkowy siedmiokrotnie przewyższa kapitał udziałowy, prowadzenie interesów handlowych więc bądź co bądź znacznie ułatwia.

Liczba członków jest na galicyjskie stosunki dość znaczna, wynosi bowiem 1061, jakkolwiek pozostaje dużo w tyle poza liczbą członków stowarzyszeń zagranicznych. Towarów sprzedano za ogólną kwotę 1,617.498 kor. 69 h., z czego największa kwota przypada na skład lwowski (218.161·45 K.), najmniejsza na zbarazki (38.713·28 K.). Ogólny obrót kasowy wynosił 7,687.072 K. 2 h., czysty zysk wynosił 15.978 K. 40 h., który rozdzielono w formie 7%-owej dywidendy od udziałów.

Kwestyę rozdziału zysków wedle zakupów w myśl zasad roczdalskich, poruszono w łonie stowarzyszenia, zarząd wydał nawet bro-

szurę, popularnie kwestyę tę wyjaśniającą. p. t.: *Jak zawodyty kramnycie społkowy systemu Roczdal,* pióra p. Petruszewicza, chcąc zwłaszcza zwrócić na to uwagę wiejskich stowarzyszeń spożywczych, ale stanowczego kroku nie uczyniono dotychczas ani w samejże »Torhowli«, ani też w kramnyciach o Torhowlę się opierających.

Torhowlę możnaby w znacznej mierze postawić na równi ze Związkiem handlowym Kółek rolniczych. Podobnie jak ten ostatni, ma być i Torhowla centralną składnicą dla wiejskich sklepów (rusińskich oczywiście). Ale gdy Związek jest właściwie hurtownią dla wiejskich stowarzyszeń spożywczych, a tylko wskutek faktycznego swego rozwoju, rozciąga swą działalność na wiejskie sklepy chrześcijańskie wogóle, to Torhowla z góry stawia zasadę, że jest rzeczą obojętną, czy to jest sklep spółkowy, byle to był sklep rusiński. To też prawie trzecią część klienteli Torhowli stanowią kramy wiejskie, kramy te w liczbie 1001, korzystają w Torhowli ze specyalnego rabatu, który w r. 1905 wynosił łączną sumę 49.405.48 K. na ogólną sumę 491.490·63 K. towarów kramom tym sprzedanych.

Kramom tym oddaje zresztą Torhowla także usługi takie, jakie świadczy Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych Kółkom rolniczym, względnie sklepikom tychże Kółek. Od początku istnienia stowarzyszenia t. zn. od lat dwudziestu, było w Torhowli na praktyce 326 uczniów, z których znaczna część następnie otwarła samoistne przedsiębiorstwa handlowe.

Różne niewłaściwości w handlu wiejskim, jak zbytnie hołdowanie systemowi borgowania, nienależyte prowadzenie ksiąg handlowych i t. p., spowodowały Zarząd do urządzenia w r. 1905 w Tarnopolu, na żądanie filii »Proswity« kursu handlowego (kurs *kramnyczny*). Torhowla przeprowadza również lustracyę kramnyć, założyła wkońcu w Szelpakach stacyę dla eksportu jaj, atoli natrafiono tu na zbyt silną konkurencyę dotychczasowych handlarzy żydowskich i na zbyt małe zrozumienie sprawy u włościan, którzy sytuacyę chwilową w ściśle egoistyczny sposób, dla siebie starali się wyzyskać, wskutek czego musiano się ograniczyć na wysyłce 60 skrzynek jaj. Interes ten skończył się stratą w kwocie 1.539 K. 91 h.

W ostatnim czasie, jak wspomniano, Torhowla zaczyna zwracać baczniejszą uwagę na kwestyę tworzenia stowarzyszeń spożywczych systemu roczdalskiego, postanawiając zakładanie takich stowarzyszeń wszędzie tam, gdzie kramnyć albo niema wcale, albo też, gdzie kramnycie już istniejące chylą się do upadku. Dążenia w tym kierunku

ujawnione nie przeszły jednak dotychczas w fazę czynów na ogół, nie możemy przeto »Narodnej Torhowli« uważać za organizacyę spożywców, jeno za instytucyę zdążającą do wytworzenia handlu rusińskiego, względnie ożywienia ruchu w tym kierunku istniejącego. Poza tem przyznać należy, że Torhowla jest prowadzoną solidnie, że obroty jej są poważne, jakkolwiek, jak wspomniano, oparcie znacznej części interesów na kapitale wkładkowym, mieści w sobie poważne niebezpieczeństwa na przyszłość. Obecny stan rzeczy, zwłaszcza wobec braku ściślejszej organizacyi między Torhowlą a kramnyciami, jest dodatniem stwierdzeniem ideowej i społeczno-gospodarczej solidarności ogółu rusińskiego, bardzo naturalnej zresztą u społeczeństwa, najmniej w kraju zróżnicowanego pod względem zawodowym i socyalnym[1], a nie należy zapominać, że organizacya ta ma charakter odporny wobec wszelkiego obcego handlu, zarówno żydowskiego, jak i polskiego[2].

---

[1] »Wiadomości statystyczne« T. XX, r. I., j. w. str. 45.

[2] Poza temi stowarzyszeniami »Statystyka stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych w Galicyi za r. 1904«, wydawana przez Narcyza Ulmera, podaje jeszcze następujące stowarzyszenia: *Narodnyj dim* w Rytrze, Tow. handlowe w Bolechowie, Tow. spożywcze salinarne w Bolechowie, Tow. spożywcze katolickie w Bołszowcach, Bazar Kółka rolniczego w Czernichowie, Tow. spożywcze salinarne w Drohobyczu, Kółko rolnicze w Grodzisku dolnem, *Narodnyj dim* w Horodence, Stow. kolej. w Knihininie, Stanisławowie, *Ruskij Naridnij Dim* »*Woskresenie*«, Gospod. spółka sklepowa w Kutach, Spółka handlowa w Miklaszowie, Powiatowe tow. handlowe w Mościskach, Chrześcijańskie tow. spoż. handl. w Przemyślu, *Narodnyj Dim*, spółka handlowa w Samborze, *Narodnyj Dim* w Stanisławowie, Tow. spożywcze salinarne w Stebniku, *Narodnyj Dim* w Stryju, Tow. spożywcze urzędników i robotników, Tow. spożywcze w Tarnopolu, Tow. spożywcze w Ubieszynie, Tow. spożywcze w Górce węgierskiej.

Są to wszystko stowarzyszenia, które, jak wspomniano, do Związku nie należą, stąd też nie posiadamy szczegółowych o tych stowarzyszeniach informacyi. Wiele jest zresztą wśród tych stowarzyszeń spółek anemicznych i takich, które istnieją tylko w rejestrach sądowych, a firm i osób doszukać się nie można.

Statystyka Związku podaje daty o tych stowarzyszeniach, łącznie z datami o stowarzyszeniach wytwórczych i innych.

Byłoby jednak niewątpliwie pożądanem oddzielenie zupełne stowarzyszeń spożywczych, a co się tyczy »innych«, to ich kategoryzacya pozorne tylko sprawia trudności, przyjmując jednak punkt wyjścia powyżej podany, z łatwością każde stowarzyszenie da się przydzielić do jednej z zasadniczych kategoryi kooperatyw.

X.

Historya stowarzyszeń spożywczych i rozbiór szczegółowy ich stanu obecnego, stwierdzić więc może na ogół bardzo początkowe stadyum ich rozwoju. Zdarzają się stowarzyszenia finansowo wcale korzystnie ufundowane, zdarzają się nawet stowarzyszenia, opierające się na zasadach współdzielczości spożywczej, ale są to wyjątki, mogące co najwyżej służyć za dowód, że może u nas być lepiej. Ale na ogół jest u nas źle w tym kierunku, na ogół zrozumienie korzyści zrzeszania się jest u naszych spożywców jeszcze bardzo niewielkie i do naszych stowarzyszeń spożywczych w całej pełni można też zastosować zdanie Libelta, wypowiedziane przezeń w jednem z jego pism pomniejszych: »Kiedy w Anglii towarzystwa skały drążą, rzeki minują, u nas trudno jeszcze zebrać się, aby połączonemi siłami wytrwać choć w drobnem przedsięwzięciu« [1]. Towarzystw przemysłowych i uczonych wcale nie było, dopiero w ostatnich czasach pojawiać się poczęły, ale jak się rzekło, za późno, mówi Libelt. W naszych stowarzyszeniach, które szerzyć należy przez sam wzgląd na naszą wsteczność przemaga jeszcze owo z upadku naszego pozostałe wyosobnienie się samowolą, niejako owo dawne »nie pozwalam«. »Nie opuszczajmy więc towarzyskości — konkluduje Libelt — bo to czyni zaszczyt sercu człowieka, gdy z serca jako potrzeba jego płynie, ale zarazem łączmy się i w towarzystwa, bo co jeden nie zrobi, dziesięciu zrobi, czego jeden nie dokaże, stu dokaże a z tego połączenia nie tylko jest korzyść powszechnego dobra, ale jest i zysk dla stowarzyszonych«.

Życzenia te na długie lata, zdaje się, pozostaną u nas jeszcze echem wołającego na puszczy. Brak zrozumienia korzyści zrzeszania się u spożywców stanowi, jak wspomniano, walną przeszkodę rozwoju stowarzyszeń spożywczych w naszym kraju. Stąd wniosek prosty: popularyzacya idei i jej właściwych założeń, to jedna z najważniejszych zadań zmiany stosunków w tym kierunku. O jednym przedewszystkiem zasadniczym momencie pamiętać się powinno, że handel chrześcijański, to nie stowarzyszenie spożywcze.

A drugi postulat, nierównie ważniejszy, ale też i nierównie trudniejszy do przeprowadzenia w życiu: to wytworzenie odpowiedniego zastępu ludzi, mających odpowiednie wykształcenie i rutynę zawodową.

---

[1] Karol Libelt: »Pisma pomniejsze. T. I. Pisma polityczne. Oddział II«. Poznań 1850. Str. 231 i n.

Reforma w tym kierunku jest tem trudniejsza do przeprowadzenia, że tu nie wystarczą same kursy handlowe w rodzaju czernichowskich, tu trzeba przedewszystkiem pewnej kultury kupieckiej, nie tworzącej się z dnia na dzień, lecz stanowiącej wykwit dłuższego rozwoju.

O ile siły takie u nas się znajdują i o ile one są należycie z naszem społeczeństwem zespolone, należy z nich korzystać; o ile nie zachodzi taka ewolucya, jaka się odbywa w sklepikach Kółek rolniczych w kierunku wydzierżawiania tych sklepików, jest to typowym dowodem, że pozyskanie właściwości kupieckich jest warunkiem niezbędnym tworzenia stowarzyszeń, zdolnych do życia i że ono tworzenie takich stowarzyszeń bezwarunkowo musi poprzedzić.

Rozwój wielkiego przemysłu, nagromadzanie wielkich mas robotniczych w jednem miejscu, niewątpliwie wytwarzaniu tych stowarzyszeń sprzyja, ale bynajmniej nie jest warunkiem niezbędnym ich rozwoju. Dowód: wiejskie stowarzyszenia spożywcze. Osady o charakterze ściśle drobno-mieszczańskim nie są jednak istotnie co prawda dla rozwoju tych stowarzyszeń przydatne, choćby z powodu wybitnej roli społecznej, jaką w tych osadach kramarstwo musi odgrywać. W tych też wypadkach stowarzyszenia urzędnicze byłyby może nieraz na miejscu. Natomiast w miastach większych, tworzenie tego rodzaju kastowych stowarzyszeń nie byłoby właściwe, zwłaszcza z uwagi na niewielkie stosunkowo liczby osób do zawodu urzędniczego należących. Co innego, o ile chodzi o stowarzyszenia robotnicze, tam gdzie istotnie robotnicy w większej znajdują się masie.

Ścisłe przestrzeganie zasad, doświadczeniem za słuszne uznanych, jest również niezbędnym warunkiem przestrzegania tej idei, więc powolne rozwijanie zakresu działania stowarzyszenia, zaczynając nieraz od samych tylko wspólnych zakupów, bez prowadzenia sklepu na razie, rozdział zysków wedle zakupów, unikanie borgowania, oto środki, których ścisłe i rozumne przestrzeganie zapewnić zdoła lepszą przyszłość idei stowarzyszeń spożywczych i w Galicyi.

Dr. Zygmunt Gargas.

Druk ukończono 30 listopada 1906 r.

POSŁOWIE ANKIETY.

I.

Ze szczerem zadowoleniem przychodzi nam stwierdzić, że nie zawiedliśmy się w nadziejach pokładanych w naszej ankiecie. Przynosi ona obfity plon. W kilku miesiącach powstaje spory tom, na który składają się prace wybitnych przedstawicieli myśli polskiej, prace niejednokrotnie niepospolite, czy głębokiem ujęciem i szerokością widnokręgu, czy szczerością prawdy i polotem zapału, a nawet tymi momentami, które, prędzej czy później, w tej czy w owej dziedzinie, powodują przełom.

O właściwem znaczeniu tej ankiety będzie można mówić dopiero wtedy, gdy jej wskazania zaczną urzeczywistniać się w życiu. W sprawie tej piszemy jeszcze poniżej. Niezależnie jednak od tego ostatecznego znaczenia, można już dzisiaj wskazać na pewne szczegóły, które przeoczyć byłoby błędem, a które rolę ankiety stawiają we właściwem oświetleniu.

Ankieta nasza może mieć najpierw znaczenie, jako jedna z prób, dążących do stopniowego stwarzania żywotnej katolickiej opinii w kraju. Czem jest ustalona, jasno skrystalizowana opinia publiczna, jak ona właściwie jest tem, co się nazywa duchem czasu, który rozstrzygający wpływ wywiera na wszystkie dziedziny życia jednostkowego i publicznego, jak bez niej jednostkowe wysiłki po większej części rozbijają się o ogrom przeciwieństw — tego chyba uzasadniać bliżej nie potrzeba. I to drugie również jest oczywistem, że takiej publicznej opinii katolickiej w kraju

niema, owszem, że panująca obecnie opinia publiczna stoi niejednokrotnie w otwartej sprzeczności z zasadami katolickiemi, a stąd samo nawet przyznanie się do tych zasad bywa nieraz wysoce niepopularne.

Wobec tego położenia rzeczy nie było nam dziwnem, gdy tak przed, jak i tuż po rozpisaniu ankiety spotykaliśmy się z niedowierzaniem w jej powodzenie. Czy ci, których głos mógłby na szali opinii dzisiejszej zaważyć, wezmą udział? — a jeżeli wezmą, czy głos ich nie przyniesie więcej ambarasu aniżeli korzyści? — oto wątpliwości, które nie były pozbawione pozornej przynajmniej siły i znaczenia.

Mimo tych wątpliwości rozpisaliśmy ankietę. Czy zabawiliśmy się w ryzyko? Zdaje nam się, że nie; przynajmniej nie leżało to w naszym planie. Ryzyko może być czasem wskazane w zakresie spraw prywatnych, ale na forum publicznem, zwłaszcza w sprawie tak ważnej i wielkiej, jak sprawa katolicyzmu, ryzykowanie byłoby lekkomyślnością.

Więc cóż? Oto wydawało nam się, iż siła dzisiejszej antykatolickiej opinii, przynajmniej w naszym kraju, jest to jeszcze potęga, ale potęga, która opiera się na coraz kruchszej podstawie, bożyszcze na glinianych nogach, które imponuje tłumowi, ale już coraz mniej umysłom wyższym. A z wyżyny tych umysłów poczyna się zawsze świt idącej królowej opinii.

Prosty rzut oka na to, co się w dzisiejszym świecie dzieje, uzasadnia aż nadto wymownie nasze przekonanie. Panujące w ubiegłem stuleciu kierunki ideowe, naturalni rodzice dzisiejszej opinii, już albo zniknęły z widowni, jak pozytywizm, albo gonią już resztkami życia i istnieją już tylko jako martwa formułka bez treści, jak liberalizm. Razem, oczywiście, z zasadą upadają i jej konkluzye; cały zatem arsenał rynsztunku wojennego, jaki dwa te kierunki stworzyły przeciw katolicyzmowi, może mieć już tylko czysto historyczne znaczenie. Rdzewiejąca ta broń jest jeszcze w niejednych rękach w użyciu, — prawda, — nie zapominajmy jednak, że o wyniku tej walki decyduje to, że żaden rzetelny i gruntownie wykształcony umysł nie bierze już dzisiaj tej broni do ręki.

Na miejsce dwu tych kierunków przyszedł socyalizm, który przez dziwne pomieszanie pojęć przejął w spadku po swoich poprzednikach stanowisko wrogie katolicyzmowi. Jak groźnym jest ten przeciwnik, jak walka z nim wymaga wytężenia sił, każdemu dziś jest jasnem. Ale są też pewne momenty, które sprawiają, że dla katolicyzmu nie prędko istnieć będzie dogodniejszy przeciwnik od socyalizmu. Już to najpierw, że po epoce nieuchwytnego, sceptycznego agnostycyzmu, ignorującego z dystyngowaną wyższością i z pobłażliwym uśmiechem zagadnienia religijne, przychodzi epoka stanowczej walki, już to jest dla katolicyzmu, któremu walka zawsze służyła, dodatnim objawem. W poprzedniej epoce nie było nieraz wiadomo, gdzie, z kim, jaką bronią walczyć należy; samo zresztą pojęcie walki o idee religijne trąciło starzyzną. Właściwie można było tylko wypowiadać opinie, które z innemi, wprost sprzecznemi, w równej linii rejestrowano. Socyalizm stwarza sytuacyę jasną i zdecydowaną. W miejsce połowicznego typu intellektualisty wprowadza całego człowieka, z jasno określonemi przekonaniami i dążeniami. Wie się od razu, z kim się ma czynienia i co czynić trzeba. — A jakżeż doniosłem następstwem socyalizmu jest to, że po epoce usypiającego intellektualizmu idzie epoka czynu! Socyalizm przez swą skrzętność, nieznużoną działalność i ruchliwość zmusza po prostu przeciwnika do czujności i działania. Najważniejszym jednak dla naszej sprawy jest ten moment, że w całym szeregu postulatów schodzi się socyalizm z [illegible] tami idei chrześcijańskiej, czem niewątpliwie do jej zwycięstwa przyczynić się może, — tam zaś, gdzie poza granice tej idei chrześcijańskiej wychodzi, gdzie jest właściwie socyalizmem, jest tak jednostronny i nieetyczny, że dla wielu, zwłaszcza dla [illegible] słów głębszych, szlachetniejszych, może być tylko drogowskazem do przeciwnego obozu. To też widzimy to zjawisko, że wraz ze wzrostem socyalizmu, katolicyzm, po pewnej epoce uśpienia, wraca z młodzieńczą siłą na widownię i wraz z socyalizmem dzieli świat na dwie połowy. Kwestya społeczna stała się dziś panującą, a do rozwiązania jej stanęły naprzeciw siebie tylko te dwa obozy.

Zewnętrzne te pomyślne warunki nie miałyby wielkiego dla naszej sprawy znaczenia, gdyby w samem łonie katolicyzmu nie

było tych objawów żywotności, które wskazują na wzrost jego siły. Ten moment, jako najistotniejszy, uwydatniliśmy w kwestyonaryuszu ankiety, i na nim tak całą ankietę oparliśmy, jak i wiarę w jej powodzenie. Nie miejsce po temu ani potrzeba, by objawy te wyliczać; wystarczy zresztą sama wzmianka pontyfikatu Leona XIII. Na jeden tylko szczegół, a to, by uniknąć nieporozumienia, które także w toku ankiety tu i owdzie przebijało, chcemy zwrócić uwagę. Kiedy mowa o wzroście i żywotności jakiegoś kierunku czy idei, nie znaczy to jeszcze, że kierunek ten opanował już wszystkie lub choćby tylko ważniejsze pozycye życia jednostkowego i publicznego. Byłby to już etap ostatni, do którego wszakże niejeden kierunek, mimo niezaprzeczonych tryumfów w swoim pochodzie, nie dochodził. O żywotności i wzroście jakiegoś kierunku mówić już nawet wtenczas trzeba, kiedy ta żywotność zaczyna się przejawiać w sferze czysto ideowej, w powstawaniu nowych idei, projektów, tem bardziej zaś wtenczas, gdy te idee zaczynają przybierać konkretną formę rzeczywistości. Przechodząc do naszej sprawy, fakt, że w społeczności katolickiej widzi się tyle niedomagań, choćby nawet tylko tyle, ile ich sama ta ankieta przytacza, nie zaprzecza jeszcze faktowi wzrostu katolickiej żywotności. Wystarczy, że powiał duch, że padły hasła, że wyciągają się coraz liczniejsze ręce do pracy, że już niejeden zagon uprawiono. Byle była wytrwałość, a wtedy i chwila obrobienia odłogu i zwycięskiego powrotu do należnego sobie stanowiska przyjść musi.

Tymczasem to, co już jest rzetelnym dorobkiem tej żywotności katolickiej w ostatniej dobie, to już wpływ swój na coraz szersze kręgi umysłów wywiera, to już jest zawiązkiem przyszłej opinii publicznej. A nawet czemś więcej, niż zawiązkiem, jest wpływ ten u nas w Polsce, gdzie katolicyzm ma taką przeszłość za sobą, gdzie mimo wszystko ma on jeszcze dzisiaj taki stan posiadania, gdzie wreszcie z tyluwiekową tradycyą nawiązuje węzeł dzisiejsza żywotność. Wiele z objawów tej żywotności, w niektórych dzielnicach od szeregu lat się datującej, są to czyny niezwracające uwagi ogółu, praca codzienna, niepozorna. Ale, jak w przyrodzie,

tak i w sferze duchowej żaden atom nie ginie, każda cegiełka mrówczej pracy powiększa budowę.

W tym stanie rzeczy, zawiązująca się publiczna opinia katolicka jest w stosunku do przeciwnej sobie, a przynajmniej odmiennej od siebie panującej opinii publicznej, opinią prywatną licznych jednostek. W miarę wzrostu żywotności te jednostki są coraz liczniejsze i bardziej wpływowe, aż wreszcie przyjdzie chwila, w której i ilością i znaczeniem zadecydują one o przełomie.

Chwilę taką przyspieszają próby zbiorowego porozumienia się. Próba taka skupia opinie jednostek w pewien odłam opinii publicznej, co, gdy ten odłam jest znaczny, z wybitnych przedstawicieli różnych sfer złożony, decydująco wpływać musi na dalszy jego wzrost.

Jedną z prób takich jest nasza ankieta — i w tem najpierw upatrywać można jakieś jej znaczenie.

Znaczenie to, samo w sobie dość doniosłe, jest jednak w stosunku do treści ankiety czemś zewnętrznem, jest tylko formalnem następstwem pewnej ilości i jakości uczestników ankiety. Główne znaczenie ankiety spoczywa w jej treści.

Nie wchodząc jeszcze w szczegółowe znaczenie tej treści, podnosimy najpierw ogólniejszy jej moment, o ile, w ogóle, mamy przed sobą jakąś dyskusyę w sprawach katolicyzmu.

Dyskusya w sprawach katolicyzmu! ileż to słowo nawet w gronie wierzących katolików budzi zdziwienia! Dla jednych są to sprawy, nienadające się do dyskusyi, gdyż nic nowego, ich zdaniem, powiedzieć o nich nie można; dla drugich jest to dyskusya, nie należąca do ludzi świeckich, tylko do duchowieństwa. Te i inne pobudki, nieraz bardzo szlachetne, jak cześć dla religii, stawiająca wszystko, co się do niej odnosi, ponad wszelką dyskusyę, powodują to jedno następstwo, że o sprawach katolicyzmu panuje w opinii publicznej grobowa cisza. Nawet kanon towarzyski wyklucza religię z rozmowy. Wynik ostateczny ten, że sprawy te stają się dla ogółu obcemi, dalekiemi, a w ślad za tem idzie obojętność dla nich i zupełna ich nieświadomość.

A jednak w chwilach, w których sprawa katolicyzmu była

żywotną, blizką sercu, i na forum o niej dyskutowano. I czyste niepodobieństwo, by mogło być inaczej.

Skąd te i tym podobne przekonania, raczej uprzedzenia, biorą swój początek, trudno byłoby w krótkich słowach określić. Zapewne, jest w katolicyźmie pewna sfera ściśle religijna, sfera wiary, moralności i kultu, która stoi ponad wszelką dyskusyą publiczną i prywatną. Ale podobny zbiór wyższych ponad dyskusyę pewników można wykazać w każdej dziedzinie, czy naukowej, czy jakiejkolwiek teoretycznej lub praktycznej, w których jednak, mimo to, co do dalszej ewolucyi czy adaptacyi dyskusya wciąż istnieje, a istnieje jako nieodzowny czynnik rozwoju. Podobne prawo rozwoju i przystosowania istnieje i w katolicyźmie. Poza niezmiennym pierwiastkiem Boskim istnieje w katolicyźmie i pierwiastek udzki, który ciągłym podlega zmianom i ustawicznie przystosowuje się do warunków i potrzeb chwili. Poza zmianami zaś, należącemi do juryzdykcyi władzy kościelnej, istnieje całe mnóstwo zmian i ulepszeń, do których powołana jest i społeczność świecka. W żywotniejszych epokach katolicyzmu można wykazać cały szereg dążności i kierunków obyczajowych czy teoretycznych, społecznych czy politycznych, naukowych czy artystycznych, kierunków, w których najistotniejszy udział biorą ludzie świeccy. Rzecz zresztą sama przez się oczywista. Idea Chrystusowa dana jest całej ludzkości i przeniknąć ma wszystkie stosunki ludzkie. Stąd obowiązek każdego członka katolicyzmu, by do wcielenia tej idei w życie tak prywatne, jak publiczne, w swoim zakresie wedle sił i możności, przyczyniał się.

Ewolucya zaś ta wciąż trwa i niema żadnych z góry zakreślonych granic. Ponieważ całego człowieka obejmuje moralność i wiara, więc i pole do tych zmian i przystosowań tak szerokie, jak szeroka natura ludzka i jak daleko sięgają jej dążności. O ile w swoim Boskim pierwiastku katolicyzm jest zachowawczym, o tyle, gdy o ewolucyę stosunków ludzkich chodzi, zasadniczo rzeczy biorąc, jest na wskróś postępowym.

Jest zatem obszerne pole do dyskusyi i dla ludzi świeckich, i jeżeli o stworzenie katolickiej opinii publicznej i pogłębienie katolickiej żywotności chodzi, dyskusya ta jest warunkiem nie-

zbędnym. Oczywiście, że nie chodzi tu o dyskusyę dla dyskusyi, o jakieś sztuczne podniecenie opinii, ale o dyskusyę, która jest nieodzownym wyrazem silnych przekonań i przygotowaniem czynu i o tyle jest już współudziałem w pracach katolicyzmu. Ze zaś taka dyskusya jest u nas możliwą, że może zatoczyć bardzo szerokie widnokręgi, że może wnieść nowe myśli, że przytem nie potrzebuje dotykać tego, co stoi ponad dyskusyą, najlepszym dowodem nasza ankieta. I w tem, że przyczynić się ona może do usunięcia podobnych uprzedzeń, a zarazem do żywszego zajęcia się ogółu sprawami katolicyzmu, jest jej dalsze znaczenie.

Nie potrzebujemy już chyba zbyt szczegółowo wyłuszczać znaczenia ankiety, o ile o bezpośrednią jej treść chodzi, gdyż to znaczenie jest samo przez się widoczne. Chodzi o program akcyi katolickiej na obecną chwilę, program uwzględniający krytycznie te zadania, które należy spełnić. Znaczenie takiego programu, uzyskanego przez ankietę, spoczywa w tem, że jest on wyrazem przekonań społeczeństwa w obecnej chwili, że wskazuje zatem inicyatywie te cele i środki, do których grunt w społeczeństwie jest podatny.

I jeszcze jedna pobudka kierowała nami, aby taki program w obecnej chwili uzyskać. Katolicyzm u nas był zawsze głównym czynnikiem w rozwoju narodowej sprawy. A właśnie dla tej narodowej sprawy nadeszła obecnie chwila przełomowa. W takiej chwili każdy czynnik społecznego rozwoju powinien skupić się w sobie i jasną drogę działalności na przyszłość wytyczyć.

Pozostaje nam obecnie obowiązek podać treściwy przegląd najważniejszych szczegółów tego programu, z tą rezerwą, jaka, przy ujmowaniu w całość różnych zdań, jeżeli już nie konieczną, to przynajmniej jest wskazaną. Przegląd ten podajemy podług pewnych kategoryi, ażeby następnie na ich podstawie dojść do jakiejś syntezy i rzutu oka na dalsze przeznaczenie tej ankiety.

II.

Na czoło dzisiejszych zadań katolicyzmu, jak w rzeczywistości, tak i w tej ankiecie wysunęła się akcya katolicko-społeczna. Stoimy pod znakiem ruchu socyalnego. Wszyscy w nim są

zainteresowani. Takie lub inne rozwiązanie zagadnień socyalno-ekonomicznych z konieczności wyciśnie swe specyficzne piętno na bieg życia ludzkiego i w innych dziedzinach, nie wyłączając religijnej. Jeżeli gdzie, to tutaj właśnie katolicyzm ma ogromne zadanie przed sobą, W stronę katolicyzmu zwracają się oczy wielu i odeń czekają przewodnich zasad i skierowania ku nim całego ruchu. Obowiązek katolicyzmu ujęcia w swe ręce ruchu społecznego w naszych czasach potęguje się jeszcze z tego powodu, że wroga mu organizacya socyalistyczna usiłuje nadać owemu ruchowi kierunek wprost niezgodny z prawem naturalnem i Boskiem i grożący nieobliczalnemi klęskami dla religii, kultury, a nawet samego dobrobytu powszechnego, w imię którego występuje.

Nie znaczy to bynajmniej, aby za jedyną pobudkę do pracy społecznej i miarę jej rozciągłości miała służyć potrzeba zwalczania socyalizmu. Być może, owszem jest prawdą, że socyalizm dodał bodźca katolikom do zajęcia się akcyą społeczną, lecz katolicyzm, jako taki, miałby tyleż co i dzisiaj do zrobienia na tem polu, choćby ani jednego socyalisty nie było na świecie. Te same stosunki ekonomiczne, które dały okazyę zrodzenia się socyalizmu, są dostateczną bezpośrednią pobudką do katolickiej pracy. A zatem na sztandarze naszej akcyi należy wypisać p o z y t y w n e hasła naprawy stosunków społecznych w duchu chrześcijańskim.

Co robić?

Pierwszym etapem pracy katolickiej, jak wszędzie, tak i tutaj musi być uświadamianie ogółu co do zasad katolickich, obowiązujących etykę społeczną, inaczej — szerzenie społecznej nauki chrześcijańskiej. Niektórzy z uczestników ankiety uznali to za najpilniejsze zadanie katolicyzmu na dzisiaj. Z tego założenia wypłynął szereg praktycznych postulatów, jako to o urządzaniu odczytów na tematy socyalne, kursów socyalnych z kolei po rozmaitych miastach, wieców katolickich, broszur popularnych i t. d. Lecz nadewszystko czuć się daje potrzeba poważnej publicystyki katolickiej, propagującej społeczne i polityczne zadania katolicyzmu. Mamy w ankiecie dokładnie uzasadnioną potrzebę dziennika ka-

tolickiego, jak również gorące odezwy do społeczeństwa, aby tę sprawę poparło nawet dobrowolnem opodatkowaniem się. W związku z tem stoi nagła potrzeba fachowego przygotowania katolickich sił publicystycznych. Postulaty te, jakkolwiek wyszły przeważnie z Galicyi i miały na względzie tutejsze stosunki, jednak są tego rodzaju, że jeszcze w większej mierze dadzą się zastosować do dzielnic polskich pod panowaniem rosyjskiem.

Drugim etapem pracy społecznej katolickiej w ideowym porządku są organizacye zawodowe. W jedności siła! Doskonałym i wszechstronnym organizacyom przedewszystkiem zawdzięcza socyalizm swoje powodzenie; na nich pokładają wielkie nadzieje i katoliccy uczestnicy ankiety. Organizacye te objąć powinny wszystkie stany i wszystkie zawody. Biorąc pod uwagę warunki poszczególnych dzielnic polskich, stwierdzono w sprawie asocyacyi, że kiedy w Poznańskiem organizacye dosięgły względnej doskonałości, w Galicyi zaś są w stadyum rozwoju, to w Królestwie i innych dzielnicach podległych Rosyi są one dopiero w skromnych zawiązkach lub tylko w projektach i dobrych chęciach. Tam przeto sprawa ta staje się najbardziej aktualną i gwałtowną.

Nie od rzeczy będzie dotknąć tu jeszcze jednej kwestyi, mianowicie wyznaniowego i narodowego zabarwienia organizacyi społecznych. Pod tym względem usłyszeliśmy parę wskazówek. Z jednej strony była przestroga, aby organizacyom zawodowym nie narzucać obcych im celów, w rodzaju n. p. służenia za dekoracye przy pewnych obchodach religijnych i narodowych, lub propagandy jakichś ogólnej natury idei wyznaniowych lub patryotycznych, bo do tego służyć mogą inne stowarzyszenia specyalnie *ad hoc* urządzone. Z drugiej jednak strony, zwłaszcza w dzielnicach o mieszanej religijnie lub narodowościowo ludności, jak na Śląsku, Rusi lub Litwie, wskazaną jest rzeczą, aby unikać organizacyi mieszanych, lecz trzymać się zasady związków czysto-katolickich i czysto-polskich. Uniknie się przez to niebezpieczeństwa rozdźwięków w łonie samychże organizacyi i wydania ich na łup wrogich polskości i katolicyzmowi dążeń. Gdzie sprawa Kościoła i narodowości będzie tego domagała się, będzie można zawierać raczej przejściowe i nie krępujące własnej autonomii so-

jusze z organizacyami innego wyznania lub języka na zasadzie równości.

Aby akcya katolicyzmu na polu socyalnem była owocną, owszem możliwą, musi on wypowiedzieć służbę tym skrajnym konserwatywnym kierunkom, które mu historya narzucić umiała ze szkodą istotnych jego interesów. Oczywista, że ze wszystkich konserwatywnych czynników w świecie katolicyzm jest najkonserwatywniejszym, o ile stoi na straży wiecznych prawd i ideałów. Ale właśnie w imię tych ideałów nie może łączyć swych losów z losami takich skrajnie konserwatywnych partyi i politycznych kierunków. Nie za konserwatyzmem iść Kościołowi, ale konserwatyzmowi, o ile się jeszcze przyznaje do katolickich sympatyi, należy iść za Kościołem, wiecznie młodym, wiecznie się rozwijającym, adoptującym stare zasady do nowych potrzeb społecznych. Inaczej świat poszedłby naprzód bez katolicyzmu i odpowiedzialność za błędy takiego postępu spadłaby i na katolicyzm.

Jeżeli za główną zasadę demokracyi uważa się prawiedliwość społeczną w rozdziale praw i obowiązków wszystkich jednostek i grup, to nie jest ona, demokracya, niczem innem, jak najistotniejszym postulatem katolicyzmu. W tym duchu, w duchu demokracyi chrześcijańskiej, tak bardzo odpowiadającym dążeniom dzisiejszej ludzkości, katolicyzm ustawicznie naprzód iść winien. Jest to ogólne wskazanie, które jeszcze nie przesądza o stanowisku katolicyzmu wobec konkretnych form idei demokratycznej, zwłaszcza wobec stronnictw politycznych. W program polityczny każdego stronnictwa wchodzi prócz idei ogólnej cały szereg postulatów, szczegółowych spraw, luźno lub wcale z tą ideą ogólną nie związanych, w których zasady katolickie dozwalają różnicy zdań. Stąd Kościół, jako taki, musi stać ponad partyami politycznemi chwili bieżącej, z żadną z nich bezwzględnie się nie solidaryzować, odpowiedzialności za żadną z nich na siebie nie ściągać, lecz wszystkie partye jednoczyć i skupiać przy warstacie społecznej pracy w kierunku możliwego zrównoważenia kiedyś interesów wszystkich bez wyjątku stanów i grup ludzkiej społeczności.

Ta dążność, aby różnic nieistotnych jak najmniej było w katoli-

ckiej społeczności, już jest dziś wskazaną. W tym celu wszyscy świadomi ideałów katolickich winni skupić się około jednego sztandaru i zawiązać we wszystkich krajach ziemi polskiej stronnictwa polityczne katolicko-polskie, czy też pod inną nazwą, mniejsza o to, byleby dążyły one nie do osiągnięcia ciasnych, stanowych, klasowych korzyści z uszczerbkiem innych stanów, lecz ku powszechnemu dobru. Obyśmy doczekali się w istocie tego, co jeden z uczestników ankiety obiecuje, że wobec potęgi wrogiej socyalizmu stanie inna potęga tych, którzy, odrzuciwszy przeróżne szyszaki i tarcze, odważnie powiedzą: Jesteśmy katolikami!

* * *

Wielkie do spełnienia zadanie ma katolicyzm polski w dziedzinie stosunków narodowościowych. Nikomu nie jest tajnem, że na tem głównie polu rozgościła się niemoralna zasada egoizmu, gniotąca słabsze narodowości na rzecz silniejszych, lub na rzecz wszechwładnego państwa, a jednocześnie wzbudzająca niepomierne i niezdrowe apetyty nawet w samych słabszych narodowościach. Misya katolicyzmu polega na tem, aby i w polityce zapanowało przeświadczenie powszechne, że każda narodowość ma prawo samodzielnie się rozwijać, byleby ów rozwój nie gwałcił praw cudzych, a zatem, że wszystkie inne narodowości mają obowiązek jej w tem nie przeszkadzać. Podobna zasada równej sprawiedliwości winna cechować i stosunki międzypaństwowe.

Wychodząc z takiego poglądu na zadanie katolicyzmu względem polityki, niektórzy uczestnicy ankiety podali i praktyczne w tym przedmiocie wskazówki. Naprzód tedy kwestya narodowościowa. Gdzie polskości grozi niebezpieczeństwo zagłady, a przynajmniej zatamowania prawidłowego jej rozwoju, jak w Prusach, Poznańskiem, na Śląsku, w Rosyi, tam zadaniem katolicyzmu jest bronić ją przed zakusami nieprzyjaciół, przypominając mocniejszym zasadę sprawiedliwości i zatrzymując swą polską szatę nawet wbrew wszelkim wymaganiom żywiołów nieprzyjaznych. I tak, co się tyczy stosunków poznańskich, wskazano w szczególności, aby popierać tam naukę polską n. p. przez ożywienie Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu, przez zakładanie lub sprowadzenie

związków, uprawiających naukę. Co do polityki, zaznaczyła się w ankiecie tylko jednostkowa opinia, by podtrzymywać zjednoczenie z centrum niemieckiem, gdyż to wydaje się być jedynym sposobem, by nie dopuścić rozszerzenia się hakatyzmu na całe społeczeństwo niemieckie.

Analogiczne zadanie katolicyzmu względem polskości istnieje i w Rosyi. I tam katolicyzm Polaków winien pozostać polskim i bronić swej polskości. Ale nie znaczy, że ma być narzędziem do narzucania polskości innym narodowościom. Tu się wyłania przedewszystkiem kwestya litewska. Skoro w łonie tego narodu rozpoczął się dość silny ruch w kierunku samodzielnej, odrębnej, kulturalnej pracy, katolicyzm nie ma jej przeszkadzać. Jego zadanie godzić sąsiedzkie zatargi, opiekować się zarówno interesami kulturalnymi obydwóch narodowości na podstawie zasady: »równi z równymi, wolni z wolnymi«.

Bardziej zaognioną jest kwestya stosunków rusko-polskich, lecz i tutaj katolicyzm, przedewszystkiem w Galicyi, gdzie jest wspólną obu stron religią, winien być polem do porozumienia się, zbliżenia i zacieśnienia węzłów sąsiedzkich. Niechaj tylko obie strony będą prawdziwie katolickie i religijne! W celu religijno-kulturalnego podniesienia polskiego ludu we wschodniej Galicyi, wskazanem jest zakładanie kościołów, kaplic, szkół i czytelni ludowych. Żywotność łacińskiego obrządku w tych stronach może i powinna wywołać tylko szlachetną emulacyę w łonie obrządku greckiego, co znowu wyjdzie na dobre obu stronom. Co katolicyzm ma do spełnienia z tamtej strony, to nie wchodziło w zakres naszej ankiety. W szczegółach zapatrywań na daną kwestyę ujawniła się pewna rozbieżność. Podczas gdy z jednej strony polecano unię i unitów opiece polskiego katolicyzmu, z drugiej strony usłyszeliśmy radę, aby przestać opiekować się unią i wystarać się o zniesienie zakazu przechodzenia na obrządek łaciński. Wdzięczni jesteśmy, że w odnośnem miejscu zaznaczono odrazu odmienne nasze zapatrywanie. Pomijając tę sprawę, należącą do miarodajnych sfer kościelnych, stwierdzamy, że od katolicyzmu spodziewać się trzeba załagodzenia sąsiedzkiej waśni. Pomimo niezapomnianych sąsiedzkich uraz, należy pracować w tym kie-

runku, a pracę rozpocząć od bliższego wzajemnego poznania się. Temu przypisze się zasługę, kto pierwszy wyjdzie na spotkanie. Duchowieństwo w pierwszej mierze do tego powołane. Zanim przyjdzie do jakiegoś porozumienia się, do jakiegoś *concilium charitativum*, szukajmy porozumienia i zbliżenia każdy w bezpośredniem swem sąsiedztwie. Odezwał się w tej mierze sympatyczny głos młodego teologa, proponujący wzajemne stykanie się kleryków dwóch obrządków na polu religijno-naukowem, jako podstawę przyszłego zbliżania się pracujących już na parafiach kapłanów.

Kwestya żydowska! Ile bólu ona sprawia! Ile trudności nastręcza! Naród ten tułaczy, pozbawiony własnej ojczyzny, jest skazany na to, aby się albo rozpłynął i zaasymilował ze społeczeństwami, które mu gościnności wśród siebie udzieliły, albo, pozostając sobą, aby krwawił organizmy społeczne, w które się przedostał, wprowadzając do nich pierwiastki rozkładu moralnego i tucząc się ich sokami żywotnymi. W odpowiedziach na ankietę niejednokrotnie poruszono tę sprawę, proponując rozmaite środki obrony społeczeństwa chrześcijańskiego przed żydowstwem. Nie wszystkie jednak proponowane środki wchodzą w zakres katolicyzmu, jako takiego, względem sprawy żydowskiej. Wskazano jednak i to, co katolicyzm ma do spełnienia. Mianowicie z jednej strony winien chronić społeczeństwo nasze przed wybuchami niechrześcijańskiego antysemityzmu, oczyszczając słuszną obronę naszego społeczeństwa z niezdrowych pierwiastków rasowej nienawiści, z drugiej zaś strony stać na straży naszych ideałów religijnych, etycznych, narodowych wobec grożącej ich deprawacyi ze strony żydów. Zaakcentowano w tej mierze planową akcyę na polu ekonomicznem i potrzebę szkoły wyznaniowej. W dwóch słowach stosunek nasz do żydów streszcza się, jako energiczna samoobrona i sprawiedliwość.

Najradykalniejszym sposobem rozwiązania kwestyi żydowskiej byłaby zupełna ich asymilacya ze społeczeństwem, wśród którego żyją. Wszystkie jednak próby asymilacyi na tle religijnego indyferentyzmu sprawiały nam tylko nieobliczalne szkody. Jedyna droga do asymilacyi — to chrzest. Tu się otwiera dla ka-

tolicyzmu trudne, ale naturalne pole pracy. Ze zdziwieniem podniesiono w ankiecie, że polski katolicyzm tak mało na tem polu zdziałał. Trzebaby więc uorganizować katechumenaty i wynaleźć środki podtrzymania nowonawróconych żydów, zarówno ekonomicznie, jak i moralnie w późniejszem życiu.

* * *

Dwa jeszcze postulaty, ogólniejszego znaczenia, odnoszą się do katolicyzmu polskiego, jako polskiego. Jeden z uczestników ankiety zwrócił uwagę na to, że polski katolicyzm powołanym się być zdaje do tego, aby stworzył chrześcijańską teoryę nowożytnego państwa. Byłaby to twórcza wkładka do wszechświatowej skarbnicy ludzkiego ducha. Drugi postulat przypomina katolicyzmowi polskiemu, że ma coś do zrobienia w Rosyi i dla Rosyi.

Weźmy kwestyę społeczno-ekonomiczną. Patrzymy na radykalizm rewolucyi społecznej w Rosyi, grożący w razie powodzenia nieobliczalnymi kataklizmami może nie tylko dla samego imperyum carów. Cerkiew urzędowa, grubymi łańcuchami przykuta do ciężkiego rydwanu absolutyzmu, z natury rzeczy musi być ultra-konserwatywną, a jako taka żadnego wpływu na dążności społeczne wywrzeć nie jest w stanie. Widzimy też, że w rzeczy samej nic a nic na polu społecznem i ekonomicznem nie zrobiła. Tę zaniedbaną rolę religijną w sprawach społecznych może i winien podjąć katolicyzm. Rozwijając akcyę społeczną na chrześcijańskich podstawach, czynem odeprze zarzut bezpłodności, skierowywany przeciwko chrześcijaństwu przez rosyjską rewolucyę socyalną, a jednocześnie przytępi ostrza jej radykalizmu, wskazując w praktyce inny bezpieczniejszy i bardziej celowy sposób rozwiązania palącej kwestyi społecznej. To wielkie zadanie katolicyzmu zdaje się o tyle ułatwionem na rosyjskim gruncie, że dusza słowiańska rosyjskiego rewolucyonisty czy nawet nihilisty z natury swojej posiada wiele żywiołu religijnego i nienawiść do konkretnych form chrześcijaństwa wypływa u niej stąd, że w rodzimej Cerkwi zatraconym został ten ideał społeczny szczęścia powszechnego, w który ona głęboko wierzy i któremu z zapałem

romantycznym się poświęca. Wydobyć ów ideał z głębi chrześcijańskiego objawienia — takie jest tam zadanie katolicyzmu.

Wznieśmy się teraz do sfery czysto religijnej. Jeśli katolicyzm wogóle, nawet na mocy swego imienia, jest religią z prawa uniwersalną, a zatem wciąż dążącą do coraz większej ekspansyi, to dla katolicyzmu naszego w szczególności polem ujścia owej ekspansywnej energii przedstawiają się obszary Rosyi. Tę misyę katolicyzmu polskiego, podejmowaną niejednokrotnie za lepszych dni, w ostatnich czasach ucisku i samoobrony niemal doszczętnie zarzuconą, na nowo podjąć każą niektóre odpowiedzi na naszą ankietę. Zwłaszcza obecna chwila nadaje się ku temu, kiedy myśl Wł. Sołowiewa poczyna kiełkować w umysłach religijniejszych w łonie samejże Cerkwi rosyjskiej. Tymczasem przybiera ona kształty niezadowolenia z obecnego położenia prawosławia, przejawia się w formie autokrytyki ciętej i bezwzględnej i pewnego ruchu ku odrodzeniu, dotąd jednakże bliżej nie określonemu. Jeśli katolicyzm polski pójdzie na spotkanie owych dążeń z tamtej strony, kto wie, czy one nie przybiorą konkretniejszych kształtów wielkiego zjednoczenia religijnego. Żadnych szczegółowych planów pod tym względem ankieta nie przyniosła, — może na nie zawcześnie, wobec tego, że na tem polu nie zrobiono żadnych jeszcze początków, — ale samo przypomnienie ogólnej myśli zasługuje na uwagę.

* * *

Nie zapomniano zadań katolicyzmu i w dziedzinie nauki i sztuki.

Co do nauki, to czas już po temu, aby i na tem polu katolicyzm wysunął się naprzód i tendencyjnej nauce niechrześcijańskiej przeciwstawił naukę czystą, przedmiotową, nie wyjmując żadnej gałęzi czy to przyrodniczych, czy historycznych lub społecznych nauk. Do tego potrzeba ze strony uczonych katolików, aby zbyt się nie krępowali pewnemi tradycyami co do metod badania, i jeśli istotnie szukają tylko prawdy, a szukanie prawdy ma być jedynem najwyższem hasłem w nauce, — aby bez

obawy, z ufnością, oczekiwali wyników swych dociekań. Przytem tendencyjno-katolickich założeń z góry stawiać nie potrzebują.

Społeczeństwo zaś całe winno się zdobyć jeżeli już nie na stworzenie jakiegoś katolickiego ogniska rzetelnej nauki, to przynajmniej instytucyi popierającej naukę, np. w postaci Towarzystwa popierania wydawnictw naukowych katolickich, na wzór istniejących towarzystw zagranicą, naprzykład towarzystw *Görresa* lub *Leogesellschaft.*

Względem sztuki ma katolicyzm do spełnienia przedewszystkiem to zadanie, by popierać prawdziwą sztukę religijną, a nie dopuszczać do świątyń taniej łokciowej tandety, lub spoganiałej i bezmyślnej pseudo-religijnej sztuki ostatniej doby. Poruszono też myśl utworzenia przy Akademii sztuk pięknych oddziału malarstwa religijnego. Co się tyczy w szczególności belletrystyki, to zaakcentowano obowiązek katolików, by wpływać skutecznie na etyczne podniesienie jej poziomu, by bojkotować stanowczo i wytrwale wszystkie te utwory, które obrażają sumienie katolickie, rugować panowanie pornografii i bezmyślnego paradoksu. Jest to właściwie dopiero negatywna strona programu, ale ważna z tego powodu, że jakość podażu literackiego stosuje się i liczy z jakością popytu.

* * *

Warunki żywotnej akcyi katolickiej w jednej z odpowiedzi sprowadzono do tej prostej formułki: potrzeba ludzi, pieniędzy i pracy.

Potrzeba ludzi.

Mówiąc o zadaniach katolicyzmu, wpadlibyśmy w wielki błąd, gdybyśmy pod imieniem katolicyzmu chcieli rozumieć tylko Kościół rządzący, hierarchię, duchowieństwo. Utożsamiać duchowieństwo z katolicyzmem, monopolizować w jego ręku przeprowadzenie w czyn zasad katolickich, przy zupełnej bierności innych stanów, to znaczyłoby szerzyć ciasny klerykalizm i zapoznawać istotę ustroju Kościoła katolickiego, będącego przecież społeczeństwem wszystkich wiernych, nie zaś partyą samych tylko księży.

Na ten punkt zwrócono szczególniejszą uwagę w wielu odpowiedziach.

Przejrzyjmy zatem wszystkie nasze kadry, według podziału: duchowieństwo, intelligencya i lud.

Ideał polskiego kapłana, jaki stawiają odpowiedzi na ankietę, jest tak wysoki, tak wszechstronny, że czytelnika zbiera ochota zaprotestować, iż za wiele od księdza się żąda. Ale jest to wielki zaszczyt dla stanu duchownego, że mu przyznaje się na każdem niemal polu stosunków ludzkich tak wybitne stanowisko, tem bardziej, że większość tych wymagań wyszła z pod pióra ludzi świeckich. Każdy ksiądz może słusznie powiedzieć: wysoko o nas trzymają, skoro tyle od nas żądają. Może być również pewnym, że jego intensywna praca nie z zazdrością, lecz z uznaniem i z poparciem spotka się w tych sferach, z których tego rodzaju żądania wyszły. Tacy ludzie nie odeszlą księży do zakrystyi.

Wchodząc w szczegóły wymagań skierowanych w stronę duchowieństwa, nie zatrzymujemy się dłużej w tej dziedzinie, która najistotniej należy do jego urzędu, a którą jest głoszenie zasad wiary i moralności i dawanie przykładu własnem życiem. Zaznaczmy tylko, że co do kaznodziejstwa odczuwano w ankiecie potrzebę, by podniósł się jego poziom i przystosował do potrzeb chwili.

Ankieta zwróciła także uwagę na inne dziedziny działalności duchowieństwa. Wśród polskiego społeczeństwa ma ono wdzięczne pole do pracy społecznej i naukowej. Chociaż z wielu stron zauważono, że w dziedzinie reform społeczno-ekonomicznych pierwszorzędne i stałe zadanie Kościoła, w znaczeniu hierarchii i stanu duchownego, polega raczej na moralnem oddziaływaniu i wskazywaniu katolickich zasad, niż na czynnem przewodnictwie tego rodzaju organizacyom, — powszechna jednak panuje zgoda, że w obecnych warunkach, kiedy inne stany zbyt mało są świadome katolickich zasad, na duchowieństwie, jako najbardziej uświadomionym i najwięcej wpływowym stanie, spoczywa lwia część czynnej pracy na polu społeczno-ekonomicznem, przynajmniej dopóki nie zastąpią księży dostatecznie przygotowane do tej pracy czynniki świeckie.

Na polu zaś nauki, jak z jednej strony stwierdzono obniżenie wydajności naukowej stanu duchownego, tak z drugiej strony wyrażono pragnienie, aby i tutaj zajął on wybitne stanowisko. Nie dosyć wlec się za innymi, za obcymi, lecz na czoło ruchu naukowego wysunąć się należy, być siłą twórczą w owem laboratoryum wszechświatowem nauki chrześcijańskiej. »Trzeba w duchowieństwie naszem wzbudzić europejskie ambicye«, pisze jeden z uczestników ankiety i wskazuje zaraz, aby przy dokonywanej obecnie w Rzymie reformie prawa kanonicznego wzięło czynny udział.

Wynika stąd, że aby sprostać takim zadaniom, kler nasz musi odznaczać się wybitnymi przymiotami i wszechstronnem przygotowaniem. Wskazano w tym względzie na kilka przymiotów, jakie winny cechować naszych kapłanów. Przedewszystkiem na powołanie swoje winni oni patrzeć z wyższego punktu, niż własny, klasowy interes; ceniąc wysoko swą godność duchowną, trzeba być wolnym od klerykalnej ambicyi, trzeba być wzorem bezinteresowności i ofiarności, trzeba czuć się nie tylko księdzem, ale i obywatelem, członkiem większej niż duchowny stan społeczności. Ze względu na ścisły związek, jaki u nas zachodzi między katolicyzmem, a polskością, a poniekąd i ze względów ułatwienia sobie wpływu na społeczeństwo świeckie, duchowieństwo nasze winno być patryotycznem i jeśli dotąd braku patryotyzmu nie można było mu zarzucić, to życzyć tylko tego wypada, aby i nadal przymiot ten je cechował.

Potrzeba dalej kapłanom niemałego przygotowania naukowego, zadawalniającego nie tylko wspólne wszystkim czasom wymagania, lecz zastosowanego do potrzeb naszych czasów i do tej roli, którą duchowieństwo u nas odegrać powinno. Nie wszędzie na ziemiach naszych jednakowo zadawalniający jest stan wychowania kleru. Jeśli chodzi o nauki społeczne, najlepiej rzecz się przedstawia w Poznańskiem; w Galicyi zrobiono piękne początki, natomiast w Królestwie i Rosyi widzimy dziewiczą ziemię. A zatem podtrzymywać wykształcenie socyalne duchowieństwa tam, gdzie jest wprowadzone, a wprowadzić tam, gdzie go dotąd niema, oto jeden z najbardziej podkreślanych postulatów ankiety. Dla

duchowieństwa, pracującego już na parafiach, wskazano urządzać kursa socyalne w wolniejszych porach roku.

Poruszono i kwestyę nauczania teologicznego, proponując zmiany w kierunku większego niż dotąd uwzględnienia metody historyczno-porównawczej i bezpośredniego zapoznania się ze źródłami teologii: Pismem świętem i dziełami Ojców Kościoła.

W jednej z odpowiedzi słyszeliśmy nawoływania, aby społeczeństwo skoncentrowało wszystkie swoje siły w celu wychowania światłego i gorliwego kleru. Stosuje się to przedewszystkiem do Polski rosyjskiej. Ze strony zupełnie kompetentnej wyszła rada gruntownej reformy tamtejszych uczelni teologicznych. Zamiast zbyt młodych kandydatów, nieprzygotowanych dostatecznie do słuchania poważnych wykładów, trzeba przyjmować do seminaryów tylko maturzystów; aby zaś mieć wystarczającą liczbę powołań, wskazanem jest zakładanie seminaryów niższych, na wzór istniejących w Galicyi. Akademia petersburska winna się stać ogniskiem poważnej teologicznej wiedzy; dla Królestwa zaś takie ognisko winno powstać w Warszawie w postaci Akademii lub fakultetu teologicznego. Oto szereg konkretnych, a nagłych postulatów. W celu wprowadzenia w życie tych i tym podobnych projektów, pożądaną rzeczą są synody dyecezalne duchowieństwa i zjazdy coroczne biskupów.

Dla moralnej wzajemnej pomocy i podtrzymania ducha kapłańskiego wskazanemi są stowarzyszenia świeckich kapłanów, na wzór tego rodzaju stowarzyszeń, istniejących na Zachodzie. Głosy, omawiające stosunki kościelne Królestwa, mocno akcentowały potrzebę wprowadzenia tam zakonów. Potrzebne są zakony przedewszystkiem nauczające i misyjne, lecz nie mniejsza potrzeba i takich zgromadzeń, któreby bezpośrednio życiem swem apostołowały i wskazywały drogę do rozwiązania zawiłych problematów społecznych. Polski katolicyzm, zwłaszcza w Królestwie i w Rosyi, mający po kompletnej ruinie dawnych zakonów zaczynać wszystko *ab ovo*, nie jest zmuszony do krępowania się istniejącemi formami życia zakonnego i może stworzyć coś nowego. I w rzeczywistości, kiedy w Galicyi słyszymy życzenia, aby na czele sklepików wiejskich stały zakonnice, lub, żeby za-

konnik stał przy warsztacie fabrycznym, to z Królestwa dowiadujemy się, że tego rodzaju życzenia tam już sama konieczność po części zrealizowała. Jeśli prawdą jest, że »apostolstwo domowe i wpływ na bliźnich, oraz wielkie posługi miłości daleko łatwiej spełniają się dzisiaj pod zasłoną świeckiej odzieży«, to zadaniem katolicyzmu naszego i społeczeństwa będzie podtrzymać zawiązane organizacye tercyarskie, a zadaniem hierarchii zabezpieczyć je przed możliwem wykrzywieniem i spaczeniem tego rodzaju życia. Może owe zakony bez habitu wszechstronną a nieznaczną działalnością swoją stworzą epokę w życiu katolicyzmu naszego.

* * *

Przejdźmy do intelligencyi. Oczywista, że nie może być mowy o współpracy intelligencyi w osiągnięciu zadań katolickich, jeśli intelligencya nie jest przejętą duchem i zasadami katolickiemi. W takim razie cała akcya katolicka spada na barki duchowieństwa, a wtedy i zarzuty klerykalizmu nie miałyby słuszności. Że u nas co do katolicyzmu intelligencyi nie jest najgorzej, to stwierdza sam fakt tylu światłych i przychylnych katolicyzmowi odpowiedzi właśnie ze sfer świeckiej intelligencyi; ale że nie jest i najlepiej, o tem przekonywa nas owa surowa nieraz autokrytyka, jaką z tychże sfer słyszymy.

Najpowszechniejszy niedostatek katolickiej intelligencyi na tem polega, że liberalna szkoła wyrobiła w niej pojęcie katolicyzmu, jako szaty odświętnej, jako pewnych obowiązków kultu. Zatracono zaś poczucie potrzeby, aby na wierze i zasadach katolickich oprzeć swoje życie w całej jego różnorodności: rodzinne, społeczne, polityczne, a jeszcze bardziej zanikło poczucie obowiązku ofiarnej pracy nad urzeczywistnieniem w świecie ideałów chrześcijańskich. Może zwraca się jeszcze uwagę na to, czego wiara zakazuje, ale mało na to, czego ona od nas oczekuje, do czego nas wzywa i zachęca.

A więc intelligencyę, która nie jest nieprzychylną katolicyzmowi, tylko nie zna katolickich ideałów w całej ich rozciągłości, należy przedewszystkiem uświadomić, na czem polega istota katolickiego życia, należy rozniecić wśród niej wiarę żywą,

objawiającą się nie w samem praktykowaniu czysto kościelnych form i dewocyi, lecz w całem życiu, tak iżby na wszystkie stosunki patrzyła i o wszystkiem sądziła ze stanowiska wiary i ideałów chrześcijańskich.

Pierwszy krok — to uświadomienie sobie braków i do tego sama nasza ankieta przyczyniła się w pewnej mierze. Pozytywną część pracy nad uświadomieniem intelligencyi w jej katolickich zadaniach winna przedewszystkiem spełniać literatura religijna w postaci traktatów apologetycznych i konferencyi o istocie i zadaniach katolicyzmu. Podniesiono słusznie potrzebę bliższego zapoznania się intelligencyi z Pismem św. przez czytanie w wydaniach opatrzonych dobrymi komentarzami. A zatem wyłania się obowiązek społeczeństwa popierania tego rodzaju produkcyi literackiej i obowiązek Kościoła dostarczenia odpowiedniego apologetycznego podręcznika i popularnych wydań Biblii.

Następnym środkiem uświadomienia intelligencyi byłyby częste rekollekcye z poruszaniem w nich tematów praktycznych dzisiejszej doby.

Dalej wskazano na potrzebę twórczości polskiej, na czysto naukowem polu, aby czytający ogół wyzwolić z pod wpływów obcej liberalnej i protestanckiej tandety naukowej, przesiąkłej uprzedzeniami do Kościoła katolickiego. Specyalnie dla Królestwa proponowano w tym celu starania o utworzenie przy uniwersytecie katedry historyi kościelnej. Wreszcie jako praktyczna szkoła iście katolickiego życia intelligencyi zalecają się sodalicye maryańskie, konferencye św. Wincentego à Paulo i inne tego rodzaju asocyacye.

Szczególną uwagę zwrócono na szkołę, bo taką będzie intelligencya, jaką jest szkoła. Pomijając inne światłe, ale czysto techniczne rady pedagogiczne, notujemy tylko to, co dotyczy religijnego wychowania młodzieży. Z naciskiem podnoszono, że do takiego wychowania nie wystarcza dzisiejsza nauka religii. Potrzeba, aby i inne przedmioty nauczania szkolnego wolne były od wszelkich pierwiastków wrogich katolickiej prawdzie i cały system wychowania oparty był na podstawie ściśle katolickiej. Pożądaną rzeczą jest pomnożenie dla uczącej się młodzieży prak-

tyk religijnych, dobrowolnych, pożądaną rzeczą przy wykładzie religii jest, aby wpajać w młodzież zasady etyczne nie tylko tyczące życia indywidualnego, ale i publicznego we wszystkich jego przejawach, wreszcie zewsząd odzywają się głosy o zmianę systemu wykładu religii przez usunięcie ze szkół średnich suchej i drobiazgowej dogmatyki, a wprowadzenie jasnego i przystępnego wykładu etyki i apologetyki, jak również lektury Pisma św. i Ojców Kościoła. Zaprowadzić też trzeba egzamin z religii przy maturze.

W Królestwie i Rosyi oprócz ogólnych postulatów wysuwają się jeszcze inne. Tam wychowanie religijne w szkole prawie trzeba tworzyć z niczego. Tam potrzebna gruntowna zmiana podręczników i metody, większe uzdolnienie i przygotowanie katechetów, zmiana ich prawnego stosunku do władz szkolnych i do młodzieży, wreszcie poddanie nauki religii w szkołach pod kontrolę władzy duchownej.

Szczególniejszą troską otoczyć należy moralne zdrowie młodzieży szkolnej. Wiele się słyszy narzekań na panujące wśród uczniów zepsucie. W istocie nie trudno stwierdzić ciągłe obniżanie się wśród nich poziomu etycznego, ale czy wina spada na samą tylko młodzież? Czy poza szkołą robi się wiele dla jej moralnego zdrowia? Odezwały się głosy, że na ogół mówiąc młodzież dzisiejsza nie jest gorszą od dawniejszej, owszem — lepszą nawet. Cechuje ją pewien idealizm pragnień i dążeń, rwanie się do szerszej pracy, czego dawniej w tym stopniu nie bywało. Wskazaną jest zatem rzeczą, aby odnaleźć właściwe ujście tym szlachetnym porywom serc młodocianych i ująć je w karby rozumnego kierownictwa. Zaabsorbowana sympatyczną dla siebie pracą pod czujnem okiem doświadczeńszych, młodzież nie będzie miała tyle sposobności na niemoralne wybryki. Rozciągnąć tedy należy opiekę i czujność nad życiem młodzieży, zwłaszcza na stancyach prywatnych. Organizować dla niej godziwe zabawy, wycieczki naukowe. Oprócz czysto kościelnych sodalicyi młodzieży szeregować ją w kółka etyczne, mające na celu wzajemną obronę przed zepsuciem; wśród młodzieży starszej organizować kółka naukowej i moralnej bratniej pomocy młodszym kolegom. Popierać wresz-

cie pisemka, w których i młodzież mogłaby zaprawiać swe siły do późniejszej naukowej czy publistycznej działalności. Tem wszystkiem zająć się powinny specyalne Towarzystwa przyjaciół młodzieży, przy czynnem poparciu całego katolickiego społeczeństwa.

Niezmiernie ważną siłę posiadał zawsze katolicyzm w niewieście chrześcijańskiej, jak znowu nikomu nie jest tajnem, ile szkody przynieść może kobieta bez religii, lub o jednostronnej i spaczonej religijności. Jakiem jest zadanie katolickiej niewiasty względem religijnego wychowania młodego pokolenia, jaką jej dominująca rola w ochranianiu religijnych i narodowych ideałów wśród młodzieży i w urabianiu dzielnych charakterów, również jak się praktycznie zabrać do pracy w tym kierunku, tego dotknęło pióro doświadczeniem bogatej i zasłużonej wychowawczyni. Skądinąd znowu rozległ się głos do niewiast polskich, nawołujący je do zrzeszania się w związki katolickich kobiet dla tem łatwiejszego wypełnienia ciążących na nich społecznych obowiązków, lub przynajmniej do korzystania z doświadczenia istniejącego już Związku.

Zwrócono też uwagę i na kwestyę wykształcenia żeńskiego. Dziś, kiedy i u nas wychodzi na widownię kwestya kobieca, kiedy zapoczątkowano wykształcenie wyższe kobiet i poczęto dopuszczać je na stanowiska publiczne, dla katolicyzmu nie może być rzeczą obojętną, jakimi torami potoczy się kwestya wychowania kobiet. Wskazano więc na potrzebę otoczenia opieką młodzieży płci żeńskiej, pragnącej zdobyć wyższe wykształcenie, przez zakładanie katolickich żeńskich gimnazyów i internatów dla uczęszczających na uniwersytet. Tam dziewczyna winna się i o tem dowiedzieć, co jej płeć zawdzięcza Kościołowi katolickiemu i co ona sama może i winna zdziałać dla katolicyzmu. W katolickiej żeńskiej szkole czy bursie możnaby zakładać podwaliny i pod organizacyę kobiet w celach przyszłej pracy społecznej w duchu ewangelii.

* * *

Pozostaje nam lud. Minęły bezpowrotnie czasy patryarchalne, kiedy lud się traktowało jako bierny element społeczeństwa, o którym inni mieli radzić bez jego własnego udziału. Lud występuje

w roli elementu czynnego, który wprządz należy do wspólnej pracy. Lud się uświadamia, ale uświadamianie to bywa często jednostronnem, otwierającem oczy ludu na jego prawa, a zamykającem na obowiązki społeczne. Pierwszy więc postulat ogólny w tym względzie polega na tem, aby uświadamianie ludu było wszechstronnem.

Lud polski z natury swej jest religijnym, lecz religijność jego częstokroć wylewa się tylko w formy kultu, dewocyi, pełnienia przykazań kościelnych o poście, spowiedzi i święceniu niedzieli, podczas gdy przykazania Boskie są jednocześnie w ogromnem zaniedbaniu, a o ofiarnej i solidarnej pracy społecznej lud ten nie ma ani pojęcia. Najbliższym tedy obowiązkiem duchowieństwa względem ludu jest wszczepić weń świadomość koniecznego związku, jaki zachodzi między religią a życiem, tak publicznem jak i prywatnem, słowem umoralnienie ludu. Cel ten osiąga się głównie przez misye i rekolekcye ludowe o szerokim zakroju tematów, przez związki katechizmowe np. w formie zalecanych przez Piusa X Bractw nauki chrześcijańskiej, wreszcie przez czytelnictwo ludowe i odczyty o kwestyach społecznych i politycznych. Zaproponowano ze strony duchownej wyzyskać do celów oświaty ludowej istniejące już bractwa kościelne, użyć czasu poniesporego w niedziele i święta do wspólnych czytań i pogadanek na bieżące tematy. Z innej strony zalecono nawet rozciągnąć pieczę Kościoła nad zabawami ludowemi, teatrem, aby i one stały się środkiem umoralnienia ludu i odciągnęły go od trwonienia czasu w karczmie. Nie powtarzamy poprzednio już podniesionych postulatów co do katolickiej akcyi społecznej i ekonomicznej na wsi.

* * *

W kalejdoskopie projektów, postulatów, wskazówek, dostarczonych nam przez uczestników ankiety, przesunęły się dotąd przed oczami naszemi te żądania, które obracają się około kwestyi: co robić, kto ma robić i jak tych pracowników przygotować. Ostatni punkt z owej trójcy: ludzi, pracy, pieniędzy, kwestyę zdobycia środków dla przeprowadzenia akcyi katolickiej, wymownie poruszyło polskie Centrum ludowe, przedstawiając się

w ankiecie, jako stronnictwo oparte na zasadach demokracyi chrześcijańskiej.

Prawie przy każdym z poprzedzających momentów bardzo wymownie przekonywała ankieta, jak wielką przywiązuje się dziś wagę do pracy nie w rozsypkę, z amatorstwa, lecz w ujętej w karby organizacyi. Otóż pozostaje nam streścić te żądania, które nakreślają ogólny charakter zorganizowanej akcyi katolickiej.

Na pierwszem miejscu stawiamy poruszony w ankiecie postulat doboru ludzi. Na tym stopniu ewolucyi sumienia ogółu, na jaki już nasze czasy wstąpiły, żąda się od każdego działacza społecznego harmonii między własnem jego życiem a głoszonemi przezeń zasadami, lub narzucanemi ogółowi żądaniami. Nie stoi to w sprzeczności z poruszonym w ankiecie tak charakterystycznym u nas brakiem konsekwencyi życiowej. Brak jej we własnych czynach, ale znieść tego nie możemy, jeśli ten brak spostrzegamy u ludzi, przychodzących do nas w roli przewodników. I tacy przewodnicy nie porwą nikogo dla swej idei, owszem ideę samą uczynią niepopularną. Kwalifikacyi na działacza w katolickiej akcyi nie szukać w objawach zewnętrznej pobożności i w zapewnieniach czyichś o swym katolicyźmie, lecz przedewszystkiem w nieposzlakowanej prawości charakteru, w proporcyi całego prywatnego i publicznego życia do głoszonych katolickich zasad.

Przechodząc do samej organizacyi, stwierdzamy, że musi ona opierać się na zasadzie ścisłego podziału pracy. Akcya katolicka, wzięta w całej swej rozciągłości, ma przed sobą pole olbrzymie i tak różnorodne, że żadna organizacya, żaden związek nie mógłby podołać nie tylko wszystkim, ale i kilku naraz żądaniom. Stąd wynika, że zasada podziału pracy, która jest warunkiem rozwoju gospodarstwa społecznego i wszelkiego postępu kulturalnego, ma być zastosowaną również i w pracy społecznej katolicyzmu. Z tym postulatem łączy się inny pokrewny, mianowicie autonomii poszczególnych organizacyi, każdej we własnym zakresie. Tylko takie organizacye, każda ze swoim ściśle określonym programem, niezależne i nie podporządkowane pod organizacye innym celom służące, mogą skupić ludzi o odpowiednich zdolnościach i upodobaniach i zużytkować praktycznie ich siły.

Zato z pewnem zastrzeżeniem należy mówić o lokalnej autonomii organizacyi katolickich. Wprawdzie kładziono w ciągu ankiety niejednokrotnie nacisk na to, aby pracy katolickiej nie poczynać od góry, od centralnych organizacyi, lecz przeciwnie od dołu, od organizacyi lokalnych, z których dopiero, jak z pojedyńczych komórek, złoży się cały organizm; niemniej przeto konieczną się być zdaje organizacya centralna wszystkich jednorodnych związków lokalnych, jako wytwór spontaneiczny tych ostatnich we własnym interesie. Tylko takie organizacye centralne nie mogą się mieszać do wewnętrznych spraw miejscowych, bo te tylko przez miejscowe siły dobrze załatwione być mogą. Nie wskazanem jest również, aby centralne zarządy narzucały swoje programy; raczej inicyatywa niech z dołu wychodzi, zrodzona nie przy zielonym stoliku, lecz w ogniu doświadczenia praktycznego.

Co się tyczy podstawy do podziałów terytoryalnych działalności organizacyi miejscowych, to dla wielu z nich, mianowicie dla tych, które obejmowaćby miały szerokie masy wiejskiego ludu, wskazano na gotowy podział parafialny i dyecezalny i radzono wyzyskać takowy do celów organizacyjnych.

Ważną jest kwestya stosunku organizacyi katolickich do hierarchii kościelnej. W tej mierze mieszczą się w ankiecie dwa zdania. Jedno pragnęłoby oddać te organizacye pod juryzdykcyę ścisłą Kościoła, z drugiej zaś strony zwrócono uwagę na to, że jakkolwiek pożądanym jest jak najszerszy udział w nich duchowieństwa, jednak poddawanie organizacyi katolickich pod bezpośrednią władzę Kościoła rządzącego z wielu względów mogłoby być niepożądanem. Zadanie jego — w tej opinii — polega raczej na wpływie moralnym, niż na ścisłym nakazie i jurydycznem kierownictwie.

Czy wobec podkreślonej autonomii zawodowej poszczególnych organizacyi katolickich nie potrzeba jednak czegoś, coby pojedyńcze ogniwa pracy łączyło w jedną całość? Usłyszeliśmy pod tym względem dwa zdania, które jednak dałyby może się pogodzić. Z jednej strony wskazano nam na potrzebę jakiegoś Związku centralnego, jakiejś Ligi polsko-katolickiej, mającej za cel popieranie pracy katolickiej na wszystkich polach. Z drugiej

strony znowu wskazywano, że za cement, jednoczący poszczególne ogniwa akcyi w jedną całość, wystarczy wspólna idea, w tym razie idea wcielenia w życie zasad chrześcijańskich, przy pewnej luźnej organizacyi, jaka przedstawia się np. w kształcie ogólnych wieców katolickich. Czy dwa te projekty nie dałyby się w jakiś sposób pogodzić? Proponowana Liga może nie koniecznieby musiała tamować autonomiczny rozwój poszczególnych organizacyi i ich grup jednorodnych, ani ograniczać ich inicyatywę przez narzucanie swoich programów. A przytem może byłby ten dodatni skutek, że organizacye słabsze mogłyby w niej znaleźć niejako podporę i pomoc, wreszcie tego rodzaju Liga skutecznie umiałaby reprezentować na zewnątrz całość akcyi katolickiej, czego same wiece sporadyczne w tym stopniu nie osiągnęłyby. Kwestya więc pozostaje do rozstrzygnięcia, czy nie mogłyby podobne Ligi katolicko-polskie istnieć we wszystkich dzielnicach polskich bez uszczerbku zasady o podziale pracy.

III.

Jaka z tła tylu rozlicznych szczegółów wyłania się synteza? Jak w najistotniejszych rysach przedstawia się ten ideał żywotności katolickiej, do którego dąży ankieta? W syntezę tę wchodzą ogólniejsze a najbardziej charakterystyczne idee, częścią już poprzednio omówione, częścią z rozmysłu odesłane do tego miejsca.

Znamieniem społeczności katolickiej winna być wewnętrzność »w duchu i w prawdzie«. Z całą czcią dla wszystkiego, co jest w katolicyźmie formą, zewnętrznym przepisem, z tem zrozumieniem, że bez zewnętrznych form wkrótce i wewnętrzna treść znikłaby, wyrażali niejednokrotnie członkowie ankiety to pragnienie, ażeby największy nacisk w pracy katolicyzmu spoczął na tem, co jest istotą rzeczy, a więc na zgodności życia z ideałem ewangelicznym, na wnętrznem uchrześcijanieniu, wysokiej wartości moralnej. I ten postulat w różnych zastosowaniach stawiali także świeccy członkowie ankiety względem społeczności świeckiej, zarówno w stosunku do ludu jak do intelligencyi. Jesteś katolikiem, to bądź człowiekiem wysokiej moralności: w tej społeczności katolickiej idea, duch rządzić powinien. Stan duchowny, jak

każdy inny stan, jest i być musi jakiemś stanowiskiem urzędowem, ale niech tego jak najmniej się widzi i czuje; duchowni niech to będą wybrańcy idei, apostołowie, z gorliwością i zapałem wielkich epok chrześcijańskich. Ideały i zasady katolickie należy wszczepiać w poznanie i świadomość ogółu, wprowadzać je w życie prywatne i publiczne, bez rutyny, bez jakiegoś znużenia i oschłości, z całą mocą wewnętrznej siły i przekonania. Idea katolicyzmu powinna dziś powstać z poczuciem swego wysokiego dostojeństwa, z całym temperamentem młodzieńczości winna »porywać szumem i lotem rodzących się z niej myśli i pragnień», lub jak ktoś inny w ankiecie się wyraża, winna powstać »z siłą lwa i polotem orła«.

A w wyrażeniu tych i tym podobnych postulatów i pragnień panuje nawet pewna bezwzględność, albo — albo, żadnych kompromisów, żadnych tuszowań, żadnej służalczości. W tej mierze czuć w ostatnich latach zmianę w sądach; być może, że jasne i zdecydowane stanowisko socyalizmu dodało hartu opinii publicznej.

Tę zdecydowaną stanowczość stanowiska możnaby, w myśl ankiety, uważać za dalsze znamię katolicyzmu. Walka na wszystkich polach. Już nie mówimy o tak oczywistej walce, jak z pornografią, uorganizowaną rozpustą, alkoholizmem, lub z takiemi wadami narodowemi, jak niekonsekwencyą, połowicznością, wybujałym indywidualizmem, lub przechodząc do innej dziedziny, samoobrona przeciw żydostwu, lub walka z zewnętrznymi wrogami polskości i katolicyzmu, — ale i wewnątrz samej społeczności wytyczona jest walka, z jednej strony z socyalizmem, z drugiej z monopolem katolickim konserwatyzmu. A nawet jako zasada rzuconem było hasło, że wśród dzisiejszych antychrześcijańskich stosunków katolicyzm powinien zerwać ze wszystkimi konwenansami i konwencyami i przejść do opozycyi. W rzeczywistości tą drogą szła zwykle każda wielka idea, a szła zawsze idea Chrystusowa.

Jak nieprzejednanem i niewzruszonem powinno być stanowisko katolicyzmu w tem wszystkiem, co jego istotę wewnętrzną stanowi, tak znowu tam, gdzie chodzi o ewolucyę stosunków ludzkich, winien katolicyzm, w myśl ankiety, iść w pierwszym sze-

regu postępu. Postępowość to dalsze znamię: postęp w ewolucyi stosunków społecznych, w pracy narodowej, w nauce, słowem w każdej ludzkiej dziedzinie. Intelligencya katolickiego myśliciela nie powinna być zacieśnioną do pewnych formuł, winna ją znamionować pewna szerokość, pewien inkluzywizm, który obejmuje i godzi w sobie wszystko, co jest istotnie pięknem, dobrem i prawdą. Na straży zaś tego postępu powinna w obozie katolickim stanąć czujna autokrytyka, o czem już poprzednio, pisząc o dyskusyi, mówiliśmy.

I jeszcze jedno znamię katolicyzmu, wiecznie mu właściwe, — nadprzyrodzoność. Szerzenie na ziemi królestwa Bożego, miłości Boga i bliźniego, nadprzyrodzonego życia wiary, oto odnoszące się tu postulaty.

Na tem kończymy przegląd ankiety.

* * *

Czy będzie z niej owoc, praktyczna korzyść?

Pytanie to u nas w Polsce powtarza się dzisiaj zawsze, ilekroć zaczyna się jakaś praca, poprzedzona obradą, zjazdem, wiecem. A tkwi w tem pytaniu głęboki pesymizm, poparty niestety tem smutnem doświadczeniem, że u nas wszystko kończy się na słowach.

O tyle ten pesymizm jest słuszny. Ale, o ile traci się z góry do wszystkiego wiarę, o ile nie przywiązuje się żadnej wagi do słowa, do obrad, wieców, o tyle jest on niesłuszny. Zresztą ci sami, którzy wobec tych objawów w katolicyźmie są tak nieufni, patrzą na nie z niechęcią i od udziału w nich usuwają się, wobec tych samych objawów w obozie radykalnym nie mają dość słów obawy przed żywotnością radykalizmu.

Jest w tem niekonsekwencya, bo czyż byłoby lepiej, gdyby panowała grobowa cisza śmierci? Czy lepiej było w poprzednich dobach, kiedy żadnych wieców nie było, żadne idee, projekty nie powstawały, tylko wszystko dokoła spało snem niezamąconym? Czy, przeciwnie, to, że dzisiaj w sprawie katolickiej mnożą się idee i słowa, czy to już nie jest jakimś stopniem żywotności, jakimś jej rozpędem, nie dość silnym wprawdzie, by przełamać

bierność i lenistwo słowiańskie, ale ku temu zdążającym? Przy nowych próbach i wysiłkach, przy wytrwałości, ten rozpęd musi się wzmocnić i do jakiegoś celu doprowadzić. Jeżeli czegoś ma się dokonać, to innej drogi niema; niema czynu, jeżeli pierwej nie było idei.

Tem zaś pogodniej patrzymy na obecną atmosferę katolicką u nas, rojącą się w tej chwili od przeróżnych projektów i idei, że już właśnie ta bierność niejednokrotnie była w tych czasach przełamaną i że pewne plany i zamiary już się zamieniły w czyn. Widzimy dzisiaj dokoła siebie, w różnych stronach kraju i w różnych sferach, wiele katolickiej inicyatywy i to inicyatywy niejednokrotnie skutecznej.

Do niej należeć będzie urzeczywistnienie postulatów ankiety.

Do naszej zaś Redakcyi, jako czasopisma, należeć będzie, ażeby ten program akcyi katolickiej w szczegółach pogłębiać i rozleglejszej poddawać dyskusyi. Prasa katolicka ma tutaj wielkie zadanie. Gdybyśmy wśród tej prasy znaleźli sojuszników, którzy pewne ważniejsze postulaty ankiety chcieliby wyczerpująco oświetlić drogą rozpraw, konferencyi, zawodowych ankiet, chętnie podzielilibyśmy się pracą. *Ad maiorem Dei gloriam.*

Redakcya „Przeglądu Powszechnego“.

CZTERDZIESTOLECIE ELIZY ORZESZKOWEJ.

Szczęśliwy, komu w życiu dano
Doczekać plonu swojej pracy
I ujrzeć myśl swą przechowaną
I najpiękniejsze zebrać wiano
Z kłosów, co niosą mu rodacy.
El...y: »Na jubileusz J. I. Kraszewskiego«.

Wśród krwawego zamętu i rozprzężenia, gdy ciemności zmagają się ze światłem, dziejowa sprawiedliwość łamie się z długiem bezprawiem, a przeszłość okropna narodu waży z lepszą jego przyszłością — w takiej chwili przełomowej błysnęła w Warszawie piękna i słuszna myśl uczczenia czterdziestoletniej pracy i zasług Elizy Orzeszkowej. Ich wartości najlepszą jest miarą, choćby to samo, że społeczeństwo nawet w tak niezwykłych i groźnych warunkach nie przepomniało tej uroczystej rocznicy, a na to hasło serdecznem echem odpowiedziała cała Polska. I nie dziw, bo imię sędziwej pisarki otoczone jest od dawna czcią i miłością wszędzie, jak daleko sięga polska mowa, a znane i poważane wśród obcych także narodów. I dobrze, iż właśnie w tym chaosie gwałtów, szałów, zawiści i zbrodni, opromieni się chwałą głośnego hołdu rodaków to imię szlachetne i czyste. Wszak przez cztery dziesiątki lat, z tem imieniem wypisanem na karcie tytułowej pojawiały się nieprzerwanym ciągiem książki nawołujące do płodnej, rzetelnej pracy, do cichej codziennej służby wielkim ideałom ludzkim i narodowym, książki wskazujące bezustannie, że jedynemi

trwałemi podwalinami gmachu społecznego i narodowego jest litość, przebaczenie, miłość!

* * *

Rok 1863 był nie tylko krwawem zamknięciem naszych zbrojnych wysiłków, tylokrotnych, a zawsze tak bezskutecznych; jest on także słupem granicznym i datą wstępną, otwierającą nowy okres naszych dziejów. Otrząsnąwszy się z rozpaczy i podźwignąwszy z pogromu, wstąpiliśmy wtedy na inną drogę, wiodącą do tego samego celu: do wskrzeszenia Ojczyzny.

Głęboka zmiana zaszła jednak w pojęciach, działaniach i życiu całego polskiego społeczeństwa: od bohaterstwa i męczeństwa do obowiązku i pracy, od szarpania się i krwawienia w pętach, do powolnej i mozolnej odbudowy tego, co najświętsze dla nas na ziemi.

I piśmiennictwo polskie, które po wszystkie wieki bywało zawsze wiernem odbiciem ducha epoki i potrzeb narodowych, i tym razem odzwierciedliło w sobie stan duszy narodu. Pokolenie wielkich poetów, Tyrteuszów Polski porozbiorowej, zeszło w tym czasie do grobu lub zamilkło; ze zgonem Mieczysława Romanowskiego na polu walki, zgasł ostatni promień polskiego romantyzmu.

Piśmiennictwo nasze przeszło z »hymnu do prostej powieści«. Życie — boleścią, nadzieją, walką drgające życie, z całą szarzyzną dni powszednich, z radościami i smutkami zwykłych prostych ludzi, życie z całem brzemieniem trosk, trudów i zapasów o byt, owo różnorodne, z tylu poplątanych nici związane życie, jęło przemawiać wówczas do naszych poetów i pisarzy z taką siłą, jak nigdy przedtem. U Asnyka i Konopnickiej wytrysnęło ono rzewną piosenką współczucia dla ludzkiej niedoli, u Prusa, Orzeszkowej, Sienkiewicza roztoczyło przejmujące obrazy tej niedoli a wypowiedziało się w szeregu postaci, które duszę polską i polską naturę ujawniały we wszystkich jej odmianach.

Prawda, powieściopisarze nasi mieli drogę utorowaną przez Korzeniowskiego i Kraszewskiego, lecz powieść polską trzeba dopiero było wydźwignąć na wyżyny nowoczesnej powieści europejskiej, a na tych wyżynach znaleźć własną swoją osobistą formę

i nie zatracić rodzimego polskiego tonu i kolorytu. Jedynie talenty niepospolite mogły sprostać takiemu zadaniu. Tych troje sprostało.

* * *

Orzeszkowa rozwijała się powoli i stopniowo. Jakaż droga przebyta od naiwnego i rozwlekłego »Dziennika Wacławy« do wspaniałej galeryi portretów na tle pysznego krajobrazu w »Nad Niemnem«! Ale w »Nad Niemnem« luźna była jeszcze i niepowiązana ściśle budowa całości, przepyszne obrazy przesuwały się jak w kalejdoskopie. Dopiero »Bene nati« mieli być tem dziełem zamkniętem w sobie i klasycznie skończonem, a »Cham«, ten bezzarzutny klejnot artyzmu i głębokiego odczucia postawić miał swoją autorkę w rzędzie pierwszych i najwyższych twórców powieści współczesnej.

Nie tu miejsce na szczegółowy rozbiór twórczości niestrudzonego pióra Orzeszkowej. Wymienione tutaj dzieła nie streszczają w sobie bynajmniej całego czterdziestolecia pracy tak bogatego w plon pisarski, posłużyć jedynie mogą za punkty wytyczne nieustannej drogi w górę, »Ad astra«. Między niemi długim łańcuchem ciągną się prace, z których każda, za pojawieniem się swojem, witana była żywem zajęciem polskiego społeczeństwa. Któż nie zna, któż nie czytał tych powieści, kreślonych żywo i barwnie, owianych coraz szlachetniejszem uczuciem, przeniknięty ch tak często myślą głęboką, a zawsze pełnych obywatelskiego ducha!

* * *

I to stanowi Orzeszkowej znamienną cechę. Artystka całą duszą, gdy stanie przed słońcem zachodzącem nad zwierciedlanymi nurtami Niemna, gdy wiosenny poranek, czy zimową, gwiazdami wyiskrzoną noc w cichej wsi opisuje, artystka szczera, prosta i serdeczna wobec kształtów, barw, dźwięków i woni, jakiemi do niej przemawia otaczająca przyroda Orzeszkowa wobec istot ludzkich ma w sobie oprócz ciekawości psychologicznej coś więcej i coś większego jeszcze: ludzkie, współczujące serce, kobiece litośne serce, które niezdolne jest obojętnie brać i na zimno ma-

lować ludzkich cierpień. Jest w niej coś, co płacze nad nędzą życia, coś, co na czytelniku wymusza współczucie i za serce go chwyta. Ale książki jej nietylko wzruszać i rozrzewniać mają zamiar. To im nie wystarcza. One podnosić, krzepić, koić, leczyć, poprawiać chcą i zaprawiać myśl i wolę ludzką ku dobremu! I dlatego każda z tych książek jest nie tylko literackiem dziełem, ale i obywatelskim czynem, a to czterdziestolecie jest jednem długiem pasmem niezmordowanej, żarliwej służby publicznej. Ile ta silna, zdrowa i gorąca dusza słabych dusz wsparła w walce, ile stygnących serc rozgrzała, ile promieni rzuciła w ciemny padół życia! Któż to zgadnie, któż to policzy? Ale niech jej to będzie poczytane za chlubę, że przez czterdzieści lat życia zachowywała dla siebie i wypijała tajemnie swoje zwątpienia i rozczarowania, swoje gorycze i niesmaki życia, a na zagonie swojej pracy stawała, przewalczywszy w sobie wszystko, spokojna i pogodna, czasem smutna, lecz zawsze pełna litości nad ludźmi i wiary w ludzi.

* * *

Niech mi będzie wolno dodać w końcu jedno wspomnienie osobiste, które najlepiej odmaluje tego serca wielkość i prostotę gołębią. Przed laty dziesięciu, początkujący i nieznany prawie przybyłem do Warszawy, by niewyrobione pióro zaprawić nieco w literackim dziale pism tamtejszych. Na początek poruczono mi ocenę dwóch tomów nowel Orzeszkowej p. t. »Melancholicy«. Starałem się przynajmniej w ogólnym zarysie ująć literacki profil autorki, wniknąć w wewnętrzne pobudki jej twórczości, określić jej właściwości pisarskie. Ale poważyłem się, może nie bez niejakiej słuszności, wytknąć parę uchybień językowych i stylistycznych. Uczyniłem to wprawdzie z należytem poszanowaniem wielkiego imienia i większej może jeszcze zasługi, bądź co bądź było to jednak, zwłaszcza ze strony tak młodego recenzenta, trochę śmiałe. To też kiedy w kilkanaście dni później oddano mi w redakcyi list z podpisem Orzeszkowej, uczułem się w pierwszej chwili jakoś nieswojo: niezawodnie wyczytam ostre wymówki zakończone pogardliwą odprawą.

Jakże odmienny był ten list! Nie mogę nawet powiedzieć:

łaskawy, bo był po prostu przyjacielski, tak skromny, jak przystało prawdziwie niepospolitemu talentowi, a tak serdeczny, że od pierwszych słów podbił mnie i oczarował. Ani cienia urazy o krytykę miejscami nazbyt może śmiałą, a całe stronice tchnące ciepłem najszlachetniejszego serca. I ten pierwszy list i dalsze otrzymane później w latach następnych, przechowuję jako najmilszą pamiątkę; w tej chwili oto leżą wszystkie przede mną, odczytałem je na nowo, a jeśli bronię się przed pokusą, by z nich przytoczyć jaki ustęp, to jedynie dlatego, że są dla mnie zbyt zaszczytne. Później miałem sposobność zbliżyć się osobiście do Elizy Orzeszkowej. Wobec dobroci niewysłowionej tego spojrzenia, szczerości tego uśmiechu zbladłyby nawet i te listy!

* * *

Oto lat czterdzieści mija, odkąd stanęła do ciągłej, statecznej, a tak zbożnej pracy. Pokolenia wykarmiła światłem swojej dzielnej i szlachetnej myśli, pokolenia całe rozgrzewała żarliwością kochającego serca. Lata pobieliły tę głowę, jednę z najczcigodniejszych w Polsce, głowę, z której wyszło tyle dzieł niezwykłych. Ale myśl nie przygasła, serce nie ochłódło, ręka nie osłabła w pracy. Czas, wielki czas nam wszystkim, którzyśmy nad jej książkami tyle dobrych, tyle pięknych przeżyli godzin, iżbyśmy przed nią skłonili się nizko i z głębi wdzięcznych piersi powiedzieli jej za wszystko: »Bóg zapłać!«

Ale jej, tej pracownicy niezłomnej, tej słudze Polski, tej głosicielce litości, przebaczenia i braterstwa, jej nawet po czterech dziesiątkach lat nie czas jeszcze ustępować z pola, nie czas odkładać pióro, niespożyte dotąd. Ona nie spocznie do końca. Przeto w oczekiwaniu i pragnieniu dalszych prac i dalszych zasług dorzucamy do tamtego »Bóg zapłać!« także jeszcze i na przyszłość gorące: »Szczęść Boże!«

Lucyan Rydel.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

TEORYA PARALLELIZMU PSYCHOFIZYCZNEGO. Przez *Fryderyka Klimkego T. J.* 1 166

NAJNOWSZA POWIEŚĆ ROSYJSKA. Leonid Andrejew. Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego* 23 342

KWESTYE EGZEGETYCZNE W OSTATNICH DZIESIĘCIU LATACH. (Dok.) Przez *ks. Alberta Condamin'a T. J.* . 37

MIHOVIL NIKOLIĆ. Kartka z współczesnej liryki chorwackiej. Przez *Tad. St. Grabowskiego* 51 382

Z TWÓRCZOŚCI FRANCUSKIEGO PASTORA. (Dok.) Przez *T. Wodzicką.* 68

BODENHAIN. Scena z dramatu. Przez *Lucyana Rydla* . 145

Z ZAGADNIEŃ RELIGIJNYCH. I. Zagadnienie religijne naszych czasów. II. Spisek milczenia. Przez *Walerego Gostomskiego* 155

BOSSUET I FENELON. (Dok.) Przez *M. Paciorkiewicza* . 190

PROBLEM SOCYOLOGICZNY COMTE'A. (C. d.) Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 205

POWSTAJĄCA MASONIA W WARSZAWIE. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 301

POLSKIE CENTRUM LUDOWE. Przez *prof. d-ra Włodzimierza Czerkawskiego* 311

CHATA MADEJA. Przez *Lucyana Rydla* 338

W ARABII SKALISTEJ. Wrażenia z podróży roku 1905. (Dok.) Przez *ks. Władysława Szczepańskiego T. J.* . 358

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Filozofia św. Augustyna na tle epoki. Przez Maurycego Straszewskiego, zw. prof. filozofii w Uniw. Jagiell. *(Ks. dr. Franciszek Gabryl)* 81

Studya społeczne. Leopold Caro. *(Dr. Kaz. Wł. Kumaniecki)* . . . 88

Mikołaj Rej. Studyum krytyczne. Aleksander Brückner. *(Dr. St. Dobrzycki)* 92

Z zachodnich kresów. Szkice i rozpatrywania. Przez Franciszka Morawskiego. *(J.)* 97

Z dziedziny psychologii: Adam Mahrburg: »Psychologia« (w »Podręczniku dla samouków«. Część pierwsza: Matematyka, nauki przyrodnicze). — J. Wł. Dawid: »O wykładzie psychologii, jako nauki doświadczalnej«. *(Prof. dr. M. Straszewski)* 279

Z nowszych powieści polskich: L. Stasiak: »Obrona sztandaru«. Mieszczańska powieść historyczna — W. Rapacki: »Histryoni«. Powieść z czasów Dyoklecyana. — K. Gliński: »Gady«. Powieść z XIV wieku. — K. Zdziechowski: »Przemiany«. Powieść. — E. Jeleńska: »Obrączka«. Powieść. — Jerwicz: »Baśń życia«. Szkic powieściowy. — W. Sieroszewski: »Ol-Soni Kisań«. Powieść. — C. Jaczewski: »Oko Ahura-Mazdy«. Powieść na tle legendy o Zoroastrze. — Spektator: »128-my Samarkandzki pułk dragonów«. Powieść. — F. Morzycka: »Powrotne fale«. Dziewięć strof powieściowych z życia współczesnego. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* . 400

Muzeum dyecezyalne w Tarnowie. Leonard Lepszy. (Teka Grona Konserwatorów Galicyi zachodniej. T. II.) *(Julian Pagaczewski)* 414

Z piśmiennictw obcych.

Z nowszej literatury hiszpańskiej: Conde de Casa Valenica: »Estudios historicos«. — Don Antonio Maria del Valle y Serrano: »Viajes, hazanas y aventuras de un Héroe del Siglo XIII«. — Espinosa y Quesada: »Cosas de Espana«. — Jacinto Octavio Picon: »Lazaro«. — Margr. de Figueroa: »La Vizcondesa de Armas«. — Pio Baroja: »Camino de Perfecion« (Passion mistica). — Francisco Acebal: »Huellas de Almas«. — Gustavo Morales: »Amor y Amor«. *(Teresa Wodzicka)* 99

Geschichte der Weltliteratur. V. Die französische Literatur. Alexander Baumgartner S. J. *(Lucyan Rydel)* 237

Geschichte der Päpste seit dem Ausgang des Mittelalters. Von Ludwig Pastor. II. Bd. Von der Tronbesteigung Pius II bis zum Tode Sixtus IV. — Ungedruckte Akten zur Geschichte der Päpste vornehmlich im XV, XVI und XVII Jahrhundert. Herausgegeben von Ludwig Pastor. Erster Band. *(Ks. A. Starker T. J.)* 243

Les deux soeurs. Le coeur et le métier. Paul Bourget, de l'Académie française. *(T. Wodzicka)* 245

Rembrandt-Almanach. Eine Erinnerungsausgabe zu des Meisters dreihundertstem Geburtstage. *(Ks. dr. A. Pechnik)* 248

L'expansion de la nationalité française, coup d'oeil sur l'avenir. I. Novicov, membre et ancien Vice-Président de l'Institut International de Sociologie. *(W. Gostomski)* 252

Str.

Z NOWSZEJ LITERATURY HISZPAŃSKIEJ: Armando Palacio Valdés: »El idilio de un enfermo«. »La fé«. »La aldea perdida«. — Vincente Blasco Ibanez: »La Horda«. — Don Juan F. Munoz y Pabón: »Paco Gongora«. »La Millona«. — Don José Ciurana y Mayo: »Una penitencia«. — *** »La Obra de Mamá Dolores«. — Don Modesto de Villaescusa: »Pedro Juan y Juan Antonio«. *(T. Wodzicka)* 415

DIE ENTWICKLUNG DES WARENHANDELS IN ÖSTERREICH. Ein Beitrag zur Wirtschaftspolitik des Absolutismus von Dr. jur. Helene Landau. *(Dr. Kaz. Wł. Kumaniecki)* 423

Zapiski bibliograficzne.

LEGENDY CHRYSTUSOWE. Selma Lagerlöf. Przekład ze szwedzkiego Wandy Młodnickiej. *(W. T.)* 112

LES AMUSETTES DE L'HISTOIRE. Charles Normand. *(T. W.)* 112

GESCHICHTE DES POLNISCHEN ADELS. Von E. von Żernicki Szeliga. *(W. T.)* 113

»Biblioteka Prawdy«: PORADNIK DLA ROLNIKÓW, KUPCÓW, PRZEMYSŁOWCÓW. Napisał Franciszek Szczepański. — ŚW. PASCAL. — POGADANKI O PRAWIE SPADKOWEM. Napisał Piotr Szufnara. — JAK SIĘ BRONIĆ PRZED WYZYSKIEM ŻYDOWSKIM? — ŚW. FRANCISZEK SERAFICKI. Napisał O. Floryan z Haczowa. — O OPIECE NAD SIEROTAMI. Napisał Mieczysław Szybalski. *(B. A.)* 114

ŻYWOT ŚW. BRATA GERARDA MAJELLA ze Zgromadzenia OO. Redemptorystów. Napisał O. Bernard Łubieński. — BŁOGOSŁAWIENI MĘCZENNICY O. MARCIN GRODZIECKI, O. STEFAN PONGRACZ, KAPŁANI TOW. JEZ. I MAREK STEFAN KRIŻ, kanonik ostrzychomski. Napisał ks. Marcin Czermiński T. J. *(B.)* 115

HISTORYA MEGO ŻYCIA. Helena Keller. *(A. R.)* 115

ŹRÓDŁA PRZYKŁADÓW REJA W »ŻYWOCIE CZŁOWIEKA POCZCIWEGO«. Napisał Tadeusz Sinko. *(B. A.)* 257

HERZELOÏDE. Roman. Von Georg Freiherr v. Ompteda. *(T. W.)* 257

NEUE SCHULE DES GREGORIANISCHEN CHORALGESANGS von P. Dom. Johner. *(A. Ch.)* 258

PALESTRINA par Michel Brenet. *(A. Ch.)* 258

DER GOTTESDIENSTLICHE VOLKSGESANG im jüdischen und christlichen Altertum. Von dr. Franz Leitner. *(A. Ch.)* 259

TRZYDZIESTE TRZECIE SPRAWOZDANIE ZWIĄZKU SPÓŁEK ZAROBKOWYCH I GOSPODARCZYCH w W. Księstwie Poznańskiem i w Prusach Zachodnich za r. 1904. *(A.)* 259

BILANS HANDLOWY GUBERNII KRÓLESTWA POLSKIEGO. Opracował Władysław Żukowski przy współpracownictwie d-ra M. Chruszczyńskiego. Zeszyt III. *(A.)* 260

GALICYA W PRELIMINARZU BUDŻETOWYM NA ROK 1903. Napisał dr. Włodzimierz Czerkawski. *(A.)* 260

POD JARZMEM TURECKIEM. Powieść osnuta na tle walki Bułgarów z Turkami w r. 1876. Przełożyła z bułgarskiego H. Sopodźkowa. *(A. R.)* 260

UKŁAD DZIESIĘTNY W BIBLIOGRAFII FILOZOFICZNEJ. Ks. dr. Radziszewski. *(R.)* 428

TEMATY RUNICZNE W HERBACH SZLACHTY POLSKIEJ. *(R.)* 428

Str.

Das geistliche Leben in seinen Entwicklungsstufen nach der Lehre des hl. Bernard. Dr. Joseph Ries. *(H. L. T. J.)* 428

La Princesse d'Erminges. Marcel Prevost. *(T. W.)* 429

Le Marquis de Valcor. Daniel Lesueur. *(T. W.)* 430

Du champ de bataille à la Trappe: Le Frère Gabriel. Par Dom Du Bourg, moine bénédictin. *(T. W.)* 431

Die tridentinische Eheschliessungsform (c. Tametsi) nach der Konstitution Pius X. »Provida« vom 18 Jan. 1906. Dr. Martin Leitner. *(J. R. T. J.)* 432

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

PAZDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Po encyklice *Gravissimo officii.* — Z programu antyreligijnego w Hiszpanii. — *Nowa Reforma* i generał Jezuitów. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 117

Ze świata literatury: »Wieczory nad Lemanem« w Niemczech. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 128

Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi. Przez *d-ra Zygmunta Gargasa* 132

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Walka o polski katechizm. — Z kongregacyi maryańskich w Galicyi. — Z Sodalicyi św. Piotra Klawera. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 261

Walka miast z bezrobociem. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* . . . 274

Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi. (C. d.) Przez *d-ra Zygmunta Gargasa.* 287

GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła: Ostatnie wypadki we Francyi. — Kulturkampf w Hiszpanii. — Niespodzianki w Anglii. — Dalsze losy »wojny z dziećmi«. — Ś. p. Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 433

Listy z Warszawy. I. Dwa lata w życiu Warszawy. Przez *T. Jeske-Choińskiego* 443

Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi. (Dok.) Przez *d-ra Z. Gargasa* 452

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.